



Andrzej Wardziak

PRZEDWIECZNY
ZEW

ANDRZEJ WARDZIAK

Przedwieczny zew



© 2020 WARBOOK Sp. z o.o.

© 2020 Andrzej Wardziak

Redaktor serii: **Sławomir Brudny**

Redakcja i korekta językowa: **Zespół redakcyjny**

eBook:

Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux, atelier@duchateaux.pl

Ilustracja na okładce: **Adrianna Grzelak**

ISBN 978-83-65904-55-3

Wydawca: **Warbook Sp. z o.o.**

ul. Bładnicka 65

43-450 Ustroń

www.warbook.pl

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[20.12.2012, godzina 23:57](#)

[Początek](#)

[Rozdział 1](#)

[Warszawa, maj 2020](#)

[Rozdział 2](#)

[Gdzieś nad Azją, lipiec 2020](#)

[Rozdział 3](#)

[Warszawa, sierpień 2020](#)

[Rozdział 4](#)

[Bhutan, sierpień 2020](#)

[Rozdział 5](#)

[Warszawa, sierpień 2020](#)

[Krew](#)

[Rozdział 6](#)

[Bhutan, sierpień 2020](#)

[Rozdział 7](#)

[Warszawa, sierpień 2020](#)

[Rozdział 8](#)

[Bhutan, sierpień 2020](#)

[Rozdział 9](#)

[Warszawa, sierpień 2020](#)

[Rozdział 10](#)

[Bhutan, sierpień 2020](#)

[Kilka godzin później](#)

[Ghankhar Puensum, parę godzin wcześniej](#)

[Rozdział 11](#)

[Warszawa, sierpień 2020](#)

[Warszawa, sierpień 2020](#)

Rozdział 12

Bhutan, sierpień 2020

Rozdział 13

Ghankhar Puensum, sierpień 2020

Rozdział 14

Warszawa, sierpień 2020

Rozdział 15

Bhutan, sierpień 2020

Rozdział 16

Warszawa, sierpień 2020

Rozdział 17

Gdzieś w południowej Azji, wrzesień 2020

Pot

Rozdział 18

Kilka miesięcy później

Rozdział 19

Tatry, lato 2021

Rozdział 20

Dziennik Skryby Zeszyt Pierwszy, strona 75

Rozdział 21

Australia, lato 2021

Indonezja, kilka miesięcy wcześniej

Rozdział 22

Dziennik Skryby Zeszyt Drugi, strona 91

Rozdział 23

Tatry, lato 2021

Rozdział 24

Australia, lato 2021

Australia, parę dni później

Rozdział 25

Dziennik Skryby Zeszyt Trzeci, strona 57

Rozdział 26

Tatry, lato 2021

Rozdział 27

Dziennik Skryby Zeszyt Pierwszy

Rozdział 28

Australia, lato 2021

Rozdział 29

Wyspa Bożego Narodzenia, lipiec 2021

Rozdział 30

Dziennik Skryby Zeszyt Trzeci, strony 27-30 pismo odręczne

Rozdział 31

Australia, lato 2021

Rozdział 32

Dziennik Skryby Zeszyt Czwarty, strona 41

Rozdział 33

Australia, lato 2021

Łzy

Rozdział 34

Australia, lato 2021

Rozdział 35

Australia, lato 2021

Rozdział 36

Australia, lato 2021

Rozdział 37

Australia, lato 2021

Rozdział 38

Wybrzeże Meksyku, lato 2021

Rozdział 39

Kilka dni wcześniej, Australia

Rozdział 40

Australia, lato 2021

Rozdział 41

Australia, lato 2021

Rozdział 42

Meksyk, lato 2021

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Meksyk, Chichén Itzá, lato 2021](#)

[Epilog](#)

[Dziennik Skryby Zeszyt Piąty pismo odręczne](#)

PROLOG

20.12.2012, godzina 23:57

Joshua nerwowo śledził wskazówki zegarka umieszczonego na lewym nadgarstku, prawą rękę zaciskając na kolbie karabinu. Był pewien, że za kilka minut, może godzin, świat ulegnie zagładzie. Nie wiedział, w jaki dokładnie sposób to miało nastąpić, nie wiedział, gdzie się miało zacząć. Ale na ten moment przypadał przecież koniec kalendarza Majów – a starożytni z pewnością wiedzieli o czymś, o czym nie wiedzieli ludzie współcześni; coś musiało się wydarzyć. Dlatego też Joshua siedział w swoim podziemnym bunkrze wyposażonym w środki zapewniające mu jałowe, nudne życie przez co najmniej sześć miesięcy. Jednak wolał to niż śmierć. W końcu wydał na bunkier wszystkie oszczędności, dodatkowo zaciągając całkiem pokaźny kredyt. Nie martwił się tym jednak, będąc absolutnie pewnym, że najdalej za parę dni nie będzie ani jednej instytucji, która wymagałaby od niego spłaty pożyczonych pieniędzy. Siedział więc i czekał, w głębi duszy nie do końca wiedząc, czy się cieszy, czy też nie.

Chris Patterson zajął miejsce przy oknie w swoim górskim domu i co chwilę zerkał na wskazówki zegarka. W prawym ręku trzymał lampkę z czerwonym winem, kilkuletnim australijskim shirazem z domieszką cabernet sauvignon. Zakręcił nadgarstkiem, zaciągnął się bukietem, następnie skosztowawszy trunku, oblizał usta. Smakowało dobrze, jak zawsze. Wpatrywał się przy tym w Dolomity, zastanawiając się, czy przetrwają koniec świata, który może łaskawie nastąpi za kilkanaście minut. Nie wierzył w to zbytnio, ale tak naprawdę chciałby, aby proroctwo, którego de facto nie było, a które dopowiedzieli sobie ludzie, się spełniło. Siedział więc i czekał, tak samo jak Joshua i miliony ludzi na całym świecie.

Lena nie śledziła wskazówek zegarka. Zamiast tego kończyła oglądać drugą część „Władcy Pierścieni”, zastanawiając się, czy może włączyć jeszcze trzecią, bo w sumie następnego dnia jest sobota. W końcu jednak sen ją zmorzył, zwinęła się więc w kołdrę i poszła spać. Miała dziewiętnaście lat. Coś słyszała o kalendarzach Majów, jakieś komentarze o końcu świata, jednak nie przejmowała się tym zbytnio. Wiedziała już, że ludzie czasem muszą sobie pogadać na różne niezrozumiałe tematy, i tyle. Niespecjalnie ją to interesowało.

Minęła północ i nie wydarzyło się nic szczególnego. Oceany nie zalały lądów, rzeki nie wyparowały w tajemniczy sposób ze swoich koryt, nie eksplodowały wszystkie wulkany naraz. W Ziemię nie uderzyła olbrzymia asteroida, opętani szaleńczą rządzą mordu ludzie nie rzucili się sobie do gardeł, zmarli nie powstałi z grobów, cena za ba-

ryłkę ropy ani drgnęła. Internet nadal działał. Nie nastąpiło nic specjalnego. Wyraźnie zawiedzione media milczały.

A jednak coś się stało. Wydarzyło się coś, co uszło uwadze serwisów informacyjnych, czego nie zauważyły satelity, czego nie dostrzegł przypadkowy wędrowiec. Na wiecznej zmarzlinie pokrywającej szczyt Gangkhar Puensum, ostatniego i najwyższego niezdożytego siedmiotysięcznika na Ziemi, pojawiła się niewielka rysa. ■

POCZĄTEK

„The Dungeons Are Calling”
Savatage

ROZDZIAŁ 1

Warszawa, maj 2020

– Kochanie, muszę ci coś za-ko-mu-ni-ko-wać – przesyłabizowała Katarzyna Pi-skorczyk, wchodząc do salonu.

Lena odwróciła gwałtownie głowę od laptopa, kołysząc dredami. Zaciekawiona uniosła brwi, czekając na dalszy ciąg. Jednak zamiast tego jej matka teatralnie skuliła się, wyciągnęła zza pleców kopertę i zamachała nią gwałtownie, jakby odpędzała natrętnego owada. Twarz rozświetlał jej uśmiech jak u dziecka, które przed chwilą rozpakowało pod choinką swój wymarzony prezent.

– Nie! – krzyknęła Lena, błyskawicznie zrywając się z kanapy. Sekundę wcześniej odstawiła laptopa na stolik, jednak zrobiła to tak niedbale, że prawie spadł. W ostatniej chwili go poprawiła. Przy okazji sięgnęła po lustrzanekę, która leżała na blacie.

Włączyła ją i ustawiła na automatyczne programowanie.

– Muszę ci zrobić zdjęcie! – zawołała. – Udało się?! – Nacisnęła spust migawki. Naturalna, nieustawiana fotka na pewno wyrażała szczere emocje. Liczyła na to, że udało się jej dobrze wykadrować, co przy strzale z biodra było szczególnie trudne. Odłożyła aparat, chociaż strasznie ją korciło, aby zobaczyć, czy zdjęcie wyszło. Miała nadzieję, że będzie dobre. A nawet jeżeli nie, to w Photoshopie uda się jej coś z niego zrobić. W końcu zajmowała się tym już od lat.

– Tak! – w głosie Katarzyny słychać było niekłamana radość.

– Serio? Masz to?!

– Tak, tak, tak! – krzyczała podniecona kobieta, niemal podskakując w miejscu. Gdyby jej studenci zobaczyli takie zachowanie szanownej rektorki, mogliby zmienić zdanie co do jej kompetencji. Na szczęście żadnego nie było w pobliżu.

Lena wstała i z uśmiechem na twarzy podeszła do matki. Nagle jednak poza radością ogarnęło ją inne, równie silne uczucie – strach. Co z tego wszystkiego wyniknie? Czy mama będzie bezpieczna? A jeżeli nie wróci? Wątpliwości zaatakowały ją znie-nacka, ale dziewczyna szybko je od siebie odsunęła, patrząc na wesoły uśmiech Katarzyny. Wszystko będzie dobrze, przekonywała samą siebie w myślach. Wszystko będzie dobrze.

– Mogę? – zapytała cicho, wyciągając rękę po kopertę.

– No jasne. Przecież ja już czytałam.

Lena wyjęła znajdującą się w środku kartkę. Ledwie przesunęła wzrokiem po treści, nie mając wystarczającej cierpliwości, aby czytać tekst od początku do końca. Na to przyjdzie czas później, teraz musiała tylko upewnić się, że największe marzenie jej mamy właśnie się spełnia.

Pozwolenie, dofinansowanie, wyprawa, ekipa. Te cztery słowa wystarczyły, aby Lena uniosła głowę i pokiwała nią pełna uznania.

– Ja pierdolę. No grubo.

– Nie przeklinaj – upomniła ją matka, unosząc groźnie palec, jednakże uśmiech nie zszedł jej z ust nawet na chwilę.

– A jak? Nie da się inaczej!

– No, chyba masz rację. To ja też pierdolę. I zajebiście, nie?

Lena uniosła brwi i zaśmiała się w głos. Takie słowa bardzo rzadko słyszała z ust rodzicielki.

– Gangk... har Puen... sum? – powiedziała, spoglądając na list, aby upewnić się, że wymawia nazwę w prawidłowy sposób.

– Gangkhar Puensum w Bhutanie, tak. Najwyższy z niezdojtych szczytów Ziemi – powiedziała z namaszczeniem Katarzyna.

Lena poczuła się tak, jakby stała przed żeglarzem, obwieszczającym, że oto zbudował drewnianą łajbę i zamierza przepłynąć nią ocean, ale jest mocna, więc nie ma się czym martwić. Milczała przez parę sekund, obserwując dziwny blask w oczach matki, jednak gdy w końcu się odezwała, poczuła, że ma dziwnie wyschnięte gardło.

– Kiedy wylatujesz?

– Jeszcze nie wiem. Za parę miesięcy, nie wcześniej. Musimy mnóstwo rzeczy zaplanować, zwerbować najlepszych ludzi, zebrać sprzęt, podbić pieczętki na zezwoleniach i tak da... oj, kochana, martwisz się? Co się dzieje?

No tak, pomyślała dziewczyna. Mogła przewidzieć, że matka zobaczy niepewność kielkującą w zielonych oczach swojej pociechy.

– Nie, no spoko, tylko...

– Wiem, wiem. Też się boję. W końcu nie wiadomo, jakie lichy siedzi na tej górze, prawda? – Katarzyna próbowała zażartować, ale dość średnio jej wyszło. Lena skwitowała to tylko delikatnym uniesieniem jednej brwi, zachowując przy tym kamienny wyraz twarzy. Gdyby była bohaterką komiksu, nad jej głową bez wątpienia rozblęsnęłyby w chmurce: „Serio?”

– Dobra, nie ma co, trzeba otworzyć wino – zarządziła dziewczyna, ponownie odsuwając od siebie ponure myśli.

– Niestety, nie teraz, kochana. Wina napijemy się może później, jak wrócimy z kolacji.

– Uuu... idziemy na kolację? Na bogato.

– No pewnie. Trzeba to odpowiednio uczcić, żeby zyskać przychylność bogów.

– Mamo, przecież ty nie wierzysz w bogów.

– Bo jeszcze żadnego nie spotkałam – odpowiedziała Katarzyna, zabierając list z rąk Leny i machając nim przed jej nosem. – Ale kto wie, kto wie.

– No dobrze, warto było dostać taki list – powiedziała pani profesor, dyskretnie oblizując palce.

– Mhm – mruknęła Lena z ustami pełnymi indyjskiej potrawy z białego sera paner w sosie, na który składała się chyba połowa przypraw i ziół występujących na całej planecie. Po chwili odchyliła się, pozwalając, aby głowa bezwładnie opadła jej na oparcie drewnianej ławki.

– Chyba umieram.

– Oj tak. Chociaż dla takiego jedzenia warto.

Lena pokiwała głową, ale jej wzrok był nieobecny.

W tym momencie podeszła do nich kelnerka, Hinduska w średnim wieku, i zapytała niezłą, choć wyuczoną polszczyzną, czy im smakowało i czy miałyby ochotę na deser.

– Ochota jest, ale miejsce się skończyło – odpowiedziała Katarzyna. – Poprosimy za to jeszcze po lampce tego pysznego wina.

Kiedy kobieta zniknęła, Lena zapytała:

– Wiesz już, kogo zabieracie?

Katarzyna dopiła resztkę trunku z kieliszka i zastanowiła się nad odpowiedzią, patrząc córce prosto w oczy. Westchnęła i odstawiła lampkę na stół.

– To będzie trudna decyzja – stwierdziła.

– No raczej. Wyprawa sama w sobie jest... trudna.

– NiebYWale.

Lena zauważyła delikatne uniesienie prawego kącika ust i błysk w oku matki. Uśmiechnęła się.

– Niezwyczajnie.

– Nadzwyczajnie wręcz.

– Lecz czy warta poświęcenia?

– Każdego. Dla wiecznej chwały.

– Tak. I skarbów.

– I skarbów.

– I expa.

– Czego?

– Nieważne. Skarbów.

– I skarbów – zakończyła z szerokim uśmiechem Katarzyna.

Zabawy językowe, jakie urządzały sobie z matką, zawsze bawiły Lenę, chociaż wiedziała, że w takich chwilach obie musiały wyglądać z boku jak dwie trzebioczące nastolatki.

– I tak dalej, i tak dalej. No ale powiedz. Na bank już szukałaś i pewnie masz listę kandydatów.

– W punkt – skwitowała Katarzyna. – Jak wiesz, w świecie antropologów, etnologów i archeologów trudno będzie znaleźć kogoś, kto radzi sobie w górach równie dobrze jak z przedmiotem swojej specjalizacji... ale kogoś znajdę. Na pewno zabieram ze sobą Chrisa Pattersona i dam mu wolną rękę przy wyborze jeszcze ze dwóch równie doświadczonych alpinistów.

– Tego Chrisa? – upewniła się Lena.

– Uhm. Dokładnie tego, o którym myślisz. – Oczy Katarzyny nabrały tryumfalnego wyrazu.

– Nieźle. Tylko jak go namówisz?

– Kochanie ty moje – powiedziała profesor, pochylając się nad stołem i kładąc dłoń na dłoni córki. – Już się zgodził.

– Żartujesz?! – Lena zareagowała tak entuzjastycznie, że zwróciło to uwagę pozostałych gości restauracji. Posłała im przepraszający uśmiech. – Jeezu, jak ja bym

chciała tam być z aparatem. Może ty go ze sobą weźmiesz?

– Wiem, że chciałabyś tam być. I tak, na pewno wezmę aparat, ale nie taką armatę, tylko jakieś małe cyfrowe cudeńko, dla takich amatorów jak ja. A co do Chrisa, to szczerze mówiąc, namówienie go nie było specjalnie trudne. Przecież gość zdobył Koronę Ziemi, do tego prawie wszystkie siedmiotysięczniki, oczywiście oprócz Gangkhar Puensum, na który wielokrotnie próbował wejść. Raz nawet od strony Chin, ale go namierzyli i zawrócili. I tu pojawia się ja, machając mu przed nosem zezwoleniem podpisanym przez samego króla Bhutanu. Myślałam, że popłacze się ze szczęścia, jak do niego zadzwoniłam. Jakby mógł, sam by mi za to zapłacił, a ja mu jeszcze proponuję wynagrodzenie.

– I wieczną chwałę.

– Dokładnie.

– No to gratuluje. Ale powiedz mi prawdę... nie boisz się? – zapytała Lena. W tonie jej głosu było zdecydowanie więcej obawy, niż zamierzała okazać.

– Nie. Jeszcze nie. Zacznę się bać w momencie, w którym do mnie to wszystko dotrze.

– Jesteś nienormalna.

– Też cię kocham – odparła z uśmiechem Katarzyna.

Kelnerka przyniosła zamówione wino, po czym znów zostały same.

– Wiadomo, że się obawiam. – Katarzyna wróciła do tematu, widząc, że córka czeka na ciąg dalszy, i rozumiejąc, jaką wagę miało samo pytanie. – Ale to nie jest niezdrowy strach. Nie jest paraliżujący. Trochę się boję, przyznaję, ale to bardziej ekscytacja. Podniecenie przed zbliżającą się przygodą – wiesz, o czym mówię. Przecież nikomu wcześniej nie udało się tam wejść!

– No właśnie! Może z jakiegoś powodu góra pozostaje niedostępna?

– Co masz na myśli?

– Może... – Lena zastanowiła się chwilę, szukając odpowiednich słów – może to nie jest miejsce dla człowieka, i już. Może po prostu na Ziemi są takie miejsca, w których człowiek ma nie stawiać swojej płaskiej, brudnej stopy – i koniec kropka. Skoro inni już próbowali i nikomu się nie udało, to po co się tam pchać na siłę?

– Lena, kochanie, gdyby nie zabobonne wierzenia Bhutańczyków, góra już dawno zostałaby zdobyta.

– Oj mam, idziesz na obcy teren, więc powinnaś...

– Tak, wiem, uszanować lokalne wierzenia i tradycję. Oczywiście. Nie zamierzam chodzić w kółko z transparentem, na którym napiszę, że na szczycie Gangkhar wcale nie mieszkają bogowie, za kogo ty mnie uważasz. Mam tylko na myśli to, że gdyby rząd Bhutanu był bardziej wyrozumiały dla osób innego wyznania, góra pewnie zostałaby już zdobyta. – Powiedziawszy to, utkwiała wzrok w dużym posągu Ganeśa, człowieka z głową słonia, umieszczonym na drewnianym piedestale w rogu sali. W mitologii indyjskiej Ganeś był między innymi patronem uczonych i nauki, opiekunem ksiąg, liter, skrybów i szkół. Katarzyna poczuła się dziwnie, jakby martwa rzeźba patrzyła na nią lekceważącym spojrzeniem półprzymkniętych oczu. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że posąg z niej drwi, szydzi z jej wątpliwości i obaw.

– Nie wiesz tego na pewno. Ile razy już próbowano?

Katarzyna wróciła spojrzeniem do córki, otrząsając się z zamyślenia.

– Kilka oficjalnie, nieoficjalnie zapewne więcej. Każdorazowo przed szczytowym atakiem zespół musiał się wycofać. Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego, kiedy to Bhutan oficjalnie zezwolił na wspinanie się, miały miejsce cztery ekspedycje, w osiemdziesiątym piątym i szóstym, wszystkie zakończone niepowodzeniem. Rekordziści podeszli na wysokość ponad siedmiu tysięcy dwustu metrów, czyli zostało im niecałe czterysta metrów do szczytu. Musieli się wycofać, bo rozpętała się burza. W połowie lat dziewięćdziesiątych władze Bhutanu zakazały wspinaczki powyżej sześciu tysięcy, argumentując to poszanowaniem lokalnych wierzeń. W dwa tysiące trzecim władze poszły o krok dalej i teraz wspinaczka w Bhutanie jest zabroniona całkowicie. No, była. Może nadal jest, ale już nie dla wszystkich.

– Czyli to nie takie hop-siup.

– Oczywiście, że nie. W końcu to prawie ośmiotysięcznik. Do każdej góry trzeba podchodzić z pokorą, to jest absolutnie jasne i zrozumiałe. Nie zapominaj jednak, jak bardzo zmienił się sprzęt przez ostatnie dwudziestolecie. Jest teraz nie tylko lżejszy, ale i wytrzymałszy. Do tego pojawiły się liofilizowana żywność, wysokoenergetyczne batony, jedzenie, które mieści się w plecaku, a wystarcza na tydzień skrajnego wysiłku. I nie zapominaj, proszę, że twoja mamusia zdobyła już niejedyn ośmiotysięcznik, więc coś na ten temat wie.

– Okej, tak, masz rację – przyznała Lena niechętnie. – Ale nigdy nie zdobywałaś dziewiczego szczytu.

– Zdobyłam najwyższy szczyt na planecie!

– Mamo, na Everest ustawiają się teraz kolejki! Co to w ogóle za argument. Za chwilę postawią na szczycie Starbucksa, żeby alpiniści – mówiąc to, zrobiła palcami cudzysłów – mogli się napić ciepłego espresso i podładować smartfona po pielgrzymce szczytowej, bo tego już nie można nazwać atakiem. I pewnie już mają tam wi-fi.

Katarzyna Piskorczyk zaniósła się śmiechem.

– Wiesz, że nie zrezygnuję – powiedziała po chwili zupełnie poważnie.

– Wiem. Ale chcę, żebyś na siebie uważała. Bardzo. Bardzo, bardzo.

– Będę, kochanie. Przecież zawsze na siebie uważam.

– I masz być ze mną w stałym kontakcie. Stałym, nie tak, jak ostatnio.

– Przecież wiesz, że przez burze czasami traci się łączność. Nawet satelitarną.

Lena przekrzywiła głowę i uniosła delikatnie brwi.

– Dobrze, dobrze – poddała się Katarzyna. – A teraz przepraszam, muszę iść do toalety. Bądź tak uprzejma i poproś o rachunek.

Lena odprowadziła matkę wzrokiem. Nie wiedziała dlaczego, jednak martwiła się o nią bardziej niż zwykle. Na dnie jej żołądka pojawiła się ciężka, nieprzyjemna gęstwa. I nie chodziło o ilość pysznego jedzenia, które miała przyjemność niedawno pochłonąć. To było przecucie, pewien rodzaj pierwotnego strachu. Niepokój, który odczuwa się nagle, często bez żadnego uzasadnienia. Przełknęła ślinę, zerkając na posąg, który wcześniej przyciągnął uwagę jej mamy. Pół człowiek, pół słoń wpatrywał się przed siebie, jednak Lena miała wrażenie, że patrzy prosto na nią. Że przenika ją

wzrokiem, ostentacyjnie ignorując fakt jej istnienia. Poczwała się obco, jakby to miejsce jawnie okazywało jej swoją wrogość. ■

ROZDZIAŁ 2

Gdzieś nad Azją, lipiec 2020

– Witam państwa na pierwszym, oficjalnym spotkaniu zespołu – rozpoczął Michał Kuśnierz, powoli wstając ze swojego miejsca. Kapitan prywatnego odrzutowca poinformował o zakończeniu wznoszenia się, stwierdził również, że znaleźli się na wysokości rejsowej, i życzył pasażerom przyjemnego lotu. Lampka bezpieczeństwa zgasła, można było rozpiąć pasy i rozprostować kości, chociaż obsługa zalecała zachowanie ostrożności.

Wysoki, szczupły mężczyzna w wieku, jak oceniła to Katarzyna, około trzydziestu pięciu – czterdziestu lat stanął pewnie między rzędami foteli, chwytając rękami za najbliższe zagłówki. Miał na sobie idealnie dopasowany lniany garnitur w kolorze jasnego beżu i brązowe skórzane półbuty. Krótko ostrzyżone włosy i świeżo zgolony zarost przywodziły na myśl wojskowego. Wrażenie to dodatkowo potęgowało przenikliwe spojrzenie jego szarych, głęboko osadzonych oczu.

– Pozwólcie, że przejdę na angielski, co dla większości z was nie powinno stanowić żadnego problemu – stwierdził i nie czekając na reakcję zebranych, kontynuował: – Mówicie do mnie Michał. Po prostu Michał. – Zrobił chwilową pauzę, celem zaakcentowania komunikatu. – Jestem koordynatorem całej operacji, bezpośrednim współpracownikiem doktora Rittnera, którego zapewne poznaliście. Jeżeli nie osobiście, to na pewno mieliście przyjemność rozmawiać z nim przez telefon. Również znakomita większość z was miała już okazję się spotkać i poznać, lecz nie wszyscy. Pozwólcie więc, że pokrótce przedstawię koordynatorów poszczególnych podzespołów, aby było wiadomo, kto jest odpowiedzialny za dany sektor...

– Przepraszam, mam tylko jedno krótkie pytanie – powiedziała nagle ładna blondynka siedząca przy oknie kilka rzędów dalej, jednocześnie unosząc w górę rękę. Zadzwońiły zawieszona na nadgarstku bransoletki.

Mężczyzna posłał jej zaskoczone spojrzenie i już otwierał usta, jednak blondynka nie pozwoliła mu dojść do słowa.

– Dziękuję. Szybkie, naprawdę. – Po tym słowie zrobiła jednak sekundę pauzy, co zdecydowanie zirykowało Michała. Zamknął usta i zacisnął szczęki, co nie uszło uwadze Katarzyny Piskorczyk, siedzącej najbliżej niego. – Mógłbyś nam powiedzieć, bo jak rozumiem, przeszliśmy na „ty”, skąd ten cały pośpiech? Pewnie większość z nas musiała porzucić projekty, nad którymi pracowaliśmy, no, przynajmniej ja, a z racji narzuconego tempa nawet nie miałam czasu dokładnie się spakować i zebrać całego potrzebnego sprzętu. Dziękuję. Przepraszam, że ci przerwałam.

Zaskoczony mężczyzna błyskawicznie przywołał na twarz idealnie wystudiowany, dyplomatyczny uśmiech, prezentując równe białe zęby.

– Oczywiście. Może zanim wejdę w szczegóły, odpowiem tylko tyle: podejrzewamy, że nie jesteśmy jednym zespołem badawczym udającym się na szczyt Gangkhar. – Blondynka już ponownie otwierała usta, jednak tym razem Michał był szybszy. Uniósł otwartą dłoń i posłał jej spojrzenie nieznoszące sprzeciwu. – Chętnie odpo-

wiem na wszystkie pytania, niemniej najpierw chciałbym wprowadzić wszystkich państwa w temat. I przy okazji opowiedzieć o samej wyprawie, co, jak podejrzewam, rozwieje przynajmniej część wątpliwości.

Samolotem zakołysało, ale nikt się nie odezwał.

– Jak zapewne państwo wiedzą, znaleźliśmy się na pokładzie tego prywatnego odrzutowca za sprawą pewnego nigdy wcześniej niezdobytego szczytu. Tutaj chciałbym przypomnieć, iż deklaracja udziału w wyprawie była dobrowolna – powiedział, patrząc wymownie na blondynkę. – Dodam również, że żadna z osób, do których się zgłosiliśmy, nie odmówiła, więc udało nam się skompletować zespół najwybitniejszych specjalistów. Jeszcze raz za to dziękuję. Jestem pewien, że tym razem ekspedycja zakończy się sukcesem. Jako pierwszego chciałbym przedstawić Chrisa Pattersona, który będzie odpowiedzialny za część techniczną całego wejścia. Chris, jako jeden z najbardziej doświadczonych alpinistów na świecie, posiada nieocenioną wręcz wiedzę i doświadczenie. Poza niezwykle imponującą listą zdobytych szczytów warto wspomnieć o jego samotnym wejściu na Mount Everest, i to, co należy podkreślić, bez dodatkowego tlenu. Przypomnę, że udało się to zaledwie kilku osobom na świecie. Gdy rozpoczniemy wspinaczkę, Chris przejmie dowodzenie i jego decyzje muszą być respektowane, a polecenia niezwłocznie wykonywane. Proszę pamiętać, że od tego może zależeć życie lub zdrowie każdego z nas.

Szczupły, ale wyraźnie umięśniony blondyn uniósł się na fotelu i uprzejmie uklonił się w kierunku zebranych. Z jego ogorzałej twarzy biło skupienie, ale i pewien rodzaj pewności i młodzieńczej zadziorności, niezbędnej przy trybie życia, jaki sobie wybrał. Żeby robić to, co on, w dodatku na takim poziomie, trzeba było mieć tę iskrę w oku.

– Dziękuję – kontynuował Michał. – Chris zabrał ze sobą swoich doświadczonych przyjaciół, Jamesa Scorfiolda oraz Antoniego Carcasa. James leci z nami, Antoni będzie na nas czekał już w Bhutanie. – James, siedzący obok Chrisa, podniósł dłoń, aby w ten sposób przywitać się z pozostałymi. – Po dotarciu na szczyt osobą odpowiedzialną za zabezpieczenie bazy będzie Sara Smith. Wybitna speleolog oraz grotołaz, która na swoim koncie ma między innymi rekord zejścia do najgłębszej jaskini na planecie. Aktualnie przerwaliśmy jej prace nad eksploatacją podziemnych korytarzy kompleksu australijskich jaskiń Jenolan, za co, mimo wszystko, nie zamierzam przeproszać – powiedział Michał, ironicznie się uśmiechając.

– Przepraszam, ale skoro się wspinamy, to czemu leci z nami grotołaz? – zapytała Katarzyna Piskorczyk, ignorując wcześniejszą prośbę o powściągliwość. Nie mogła powstrzymać ciekawości. Odwróciła się i przepaszająco uśmiechnęła do Sary, mając nadzieję, że ta nie będzie miała jej za złe tego pytania. Blondynka odwzajemniła uśmiech i spojrzała wymownie na Michała, pozwalając mu udzielić wyjaśnień, które sama, oczywiście, doskonale znała.

– Trafne, aczkolwiek dość oczywiste pytanie – stwierdził Michał. Nabrał głęboko powietrza. – Pozwolę sobie pominąć szczegóły, które na tym etapie absolutnie nie są konieczne. Powiem tylko tyle, że ostatnie zmiany klimatyczne na naszej planecie, zmiany, w które część osób uparcie nie zamierza wierzyć, spowodowały obsunięcie

się pewnej części wiecznej zmarzliny, która zalegała na południowym krańcu szczytu. Dokładnie rzecz biorąc, sto siedemdziesiąt trzy metry pod nim, na południowym zboczu. Pewien projekt badawczy, w który jest zaangażowany doktor Rittner, obejmuje dokładną obserwację satelitarną obszarów dotychczas lub ciągle niedostępnych dla człowieka. Dzięki takiemu, powiedzmy, monitoringowi jesteśmy w stanie zareagować odpowiednio szybko. Tak też się stało tym razem. Odpowiadając już bezpośrednio na pani pytanie, pani profesor, Sara leci z nami, ponieważ osunięcie się śniegu odsłoniło wejście do jaskini. Użycie satelitarnej aparatury pomiarowej, zeskanowanie struktury skały i wstępne analizy pozwalają przypuszczać, że jej tunele ciągną się co najmniej do wysokości sześciu tysięcy metrów.

W samolocie zaległa cisza, mącona tylko odległym, miarowym buczeniem odrzutowych silników. Ta wiedza nie była dostępna oficjalnie – zebrani na pokładzie zrozumieli, że dowiedzieli się o tym jako jedni z pierwszych ludzi na świecie. Katarzyna poczuła zarówno ekscytację, jak też lęk i niepewność. Emocje w pełni rozumiała w obliczu nieznanego.

– Czyli... – zaczęła odrobinę nieporadnie, jednak szybko przełknęła ślinę, nakazując sobie zachowanie profesjonalizmu – chce pan powiedzieć, przepraszam, chcesz powiedzieć, że sto siedemdziesiąt metrów od szczytu, na wysokości około siedmiu i pół tysiąca metrów nad poziomem morza, jest jaskinia, która schodzi w głąb góry do sześciu tysięcy?

Michał pokiwał głową.

– Tak, mniej więcej to chcę powiedzieć. Zastrzegam jednak, że nie wiemy, jak naprawdę jest głęboka.

– Ożeż w mordę – skwitowała po polsku profesor. Michał uśmiechnął się, słysząc te słowa.

– Dokładnie tak samo powiedziałem, gdy pierwszy raz o niej usłyszałem. Ale to nie koniec rewelacji.

Pasażerowie spojrzeli na niego, jakby nie do końca rozumiejąc, jakie jeszcze sensacyjne wiadomości może im przekazać. Tymczasem mężczyzna, delektując się wrażeniem, jakie zrobił, odczekał kilka sekund, zanim podjął temat:

– Zdjęcia termowizyjne potwierdziły, że w tej jaskini może istnieć życie.

– Na tej wysokości? – zapytał wyraźnie skonsternowany Chris. Miał głęboki, wzbudzający zaufanie głos. – To jakaś odmiana tych lam z Andów? Nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywały.

– Gwanako andyjskie, ale nie, to nie one. Aż tutaj nie zawędrowały – odparł Michał z uśmiechem. – Nie potrafimy powiedzieć nic więcej, bazujemy tylko na analizach termicznych.

Bał się usłyszeć kolejne pytanie, lecz na jego szczęście już nikt więcej nie zapytał o formę tego życia. Informacja o humanoidalnych kształtach, jakie wyłapały termowizjery, mogłaby, delikatnie mówiąc, negatywnie wpłynąć na morale całej grupy.

– Nie ma innych wejść, niżej? – zapytał Chris.

– Żadnego, o którym wiemy. Może jakieś są, aczkolwiek wątpimy w to.

– Dlaczego?

– Bo gdyby były, z pewnością ktoś by je już odkrył.

Chris pokiwał głową, usatysfakcjonowany odpowiedzią lub przynajmniej udający, że tak jest. Na chwilę obecną otrzymane informacje uznał za wystarczające.

– Wróć do głównego tematu – Michał znów zabrał głos. – Leci z nami profesor Katarzyna Piskorczyk. Światowej klasy antropolog, archeolog oraz alpinistka w jednym. Badała między innymi ludy zamieszkujące Australię i Nową Zelandię, opisując w swojej publikacji wpływ ukształtowania terenu i środowiska na sposób, w jaki dana kultura się rozwija.

Katarzyna wstała, odwróciła się w stronę pozostałych pasażerów i skinęła głową. Kilku z nich patrzyło na nią skonsternowanym wzrokiem, nie do końca rozumiejąc, co człowiek z taką specjalizacją robi na tego typu wyprawie, jednak nikt nie zdecydował się zadać pytania wprost. Następnie zerknęła na Michała, spotykając jego nieco aroganckie spojrzenie. Przypomniała się jej kolacja z Leną i radość, jaką odczuwała w związku z uzyskaniem zgody na wyprawę. Niespełna tydzień później do jej gabinetu wkroczył Michał, tłumacząc, że de facto została zwerbowana, a wszystko odbyło się z inicjatywy doktora Rittnera. Dziecięca radość gdzieś wtedy prysła, chociaż i tak powinna być wdzięczna za możliwości, jakie się przed nią otwierały. Opadając na fotel, pomyślała o tym, że chciałaby wiedzieć, co robi teraz jej córka. Ostatni raz rozmawiała z nią kilka godzin wcześniej, a miała wrażenie, że od ich spotkania minęły tygodnie. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że nieprędko znów ją zobaczy, chociaż za wszelką cenę starała się odrzucić lub chociaż stłumić tę myśl.

– Wszystko w porządku? – usłyszała nagle głos dobiegający z lewej strony.

Odwróciła się i spojrzała na swojego sąsiada, mężczyznę w średnim wieku o śródziemnomorskiej urodzie i ciemnej karnacji. Tuż przed startem wymieniła z nim kilka kurtuazyjnych zdań, ale nie próbowała nawiązać dłuższej rozmowy, z góry zakładając, że jest Włochem lub Grekiem, do których nie pałała zbyt wielką sympatią. Tymczasem nieznajomy odezwał się nienaganną polszczyzną.

– Wygląda pani trochę blado. Może poproszę o wodę? – zapytał, pochylając się w jej stronę, tak żeby nie zagłuszać dalszej części wprowadzenia wygłaszanego przez Michała.

– Nie, dziękuję. Po prostu czasami średnio bawię się podczas lotu, to wszystko – odpowiedziała mile zaskoczona. Następnie wyciągnęła w jego stronę prawą dłoń. – Katarzyna Piskorczyk.

– Tak, wiem. Słyszałem – odpowiedział z uśmiechem, odwzajemniając gest. – Aleksander Tomaszewski, ale mów mi Olo.

Ucisnęli sobie dłonie i Katarzyna z uśmiechem uniosła delikatnie brwi, zadając nieme, acz uprzejme pytanie.

– Logistyka i zaopatrzenie. Moje zadanie polegało... w sumie to dalej polega na tym, żeby wszyscy na miejscu mieli to, co jest im niezbędne do pracy.

Pokiwała głową z uznaniem.

– Miło mi.

– Mnie również.

– Myślę, że jednak powinniśmy go jeszcze trochę posłuchać.

Uśmiechnęła się ponownie i odwróciła w stronę Michała. Olo pokiwał głową, wyraźnie zawiedziony zakończeniem konwersacji tak szybko. Odwrócił się w stronę okna, aby podziwiać widoki.

– ...myślę, że tyle wystarczy. Oczywiście po wylądowaniu i zakwaterowaniu będzie mnóstwo czasu na dokładniejsze poznanie się oraz integrację. Zależy nam przede wszystkim na zdobyciu góry i zbadaniu jaskini, lecz nie dokonamy tego, jeśli morale w grupie będzie na niskim poziomie. Dlatego wspomnę, iż doktor Rittner nie szczęśliwie wydał pieniędzy na tę wyprawę. W przypadku jakichkolwiek pytań zapraszam do siebie. Dziękuję.

Samolotem znowu odrobinę zakłótyło, przez co Michał musiał mocno wczepecił dłonie w zagłówki foteli. Nie okazał jednak zdenerwowania. Zamiast tego uśmiechnął się, ewidentnie odczuwając radość z turbulencji.

– No dobrze, chyba najwyższy czas, abym usiadł. Jeszcze tylko dodam, że po wylądowaniu będziemy zakwaterowani w hotelu przez jedną noc, a jutro z samego rana ruszamy do pierwszej bazy, gdzie będziemy się aklimatyzować przez około tydzień. Tam też przekażę państwu wszelkie szczegóły wyprawy. Dziękuję.

Powiedziawszy to, usiadł i od razu sięgnął do kieszeni, wyjmując z niej smartfona. Odblokował ekran za pomocą skanera linii papilarnych, jednak tuż po tym, jak telefon zaśnił jasnym blaskiem, mężczyzna zatrzymał palec w powietrzu i powoli przekręcił głowę, zerkając prosto w oczy obserwującej go Katarzynie. Profesor uśmiechnęła się odrobinę bardziej nerwowo, niż zamierzała, jednak wyraz twarzy Michała pozostał niewzruszony. Katarzyna Piskorczyk odwróciła głowę speszona, wyszeptawszy wcześniej nieme „przepraszam”.

Przeszło jej przez myśl, że musi uważać na tego człowieka. Coś z nim było nie tak, chociaż jeszcze nie potrafiła powiedzieć co. Miała jednak nosa do ludzi, to była jedna z cech, które przekazała Lenie. Miała też złudną nadzieję, że co do niego się myli.

Dalsza podróż upłynęła leniwie i spokojnie. Jacyś ludzie cicho rozmawiali, ktoś coś czytał, ktoś pracował na laptopie. Zdecydowana większość członków ekipy przejawiała tę ostatnią aktywność, podczas gdy Katarzyna zdecydowała się odprężyć umysł i dała się ponieść wyobraźni. Jak to mawiała Lena, postanowiła wycilować. Córka zawsze wymawiała to słowo delikatnie, zarzucając swoimi gęstymi, nienaganie utrzymanymi dredami, wprowadzając tym kilka koralików w subtelne klekotanie. Katarzyna uśmiechnęła się na to wspomnienie, wyjmując z torby powieść kryminalną.

– O, spójrz – lekturę przerwał jej w pewnym momencie Olo, wciskając się mocniej w fotel, aby Katarzyna miała lepszy widok.

Przysunęła się do niego i spojrzała we wskazanym kierunku. Jej oczom ukazały się w oddali charakterystyczne zielone dachy lotniska w Paru. Nie musieli lecieć do Delhi, mogli wylądować bezpośrednio w małym, aczkolwiek jedynym międzynarodowym porcie lotniczym w Bhutanie, co bez wątplenia znacznie przyspieszyło ich podróż.

– Doktorek musi mieć niezłe wpływy, skoro mogliśmy wylądować tutaj – stwierdził Olo. Zerknął wymownie na Michała, który – jak gdyby nigdy nic – właśnie budził się z drzemki.

Katarzyna mruknęła coś niezrozumiałego w odpowiedzi.

– Gdyby nie to, stracilibyśmy kilka dni na jazdę samochodami. Gdzieś czytałem, że droga przez Bhutan to „Niebiański trakt stu tysięcy zakrętów”, czy jakoś tak. Ponad sześćset kilometrów ostrych wiraży, urwisk, jedno po drugim. Non stop. Taka zakopianka, tylko wersja hard. Dramat jakiś. Chociaż nie wiem, co gorsze, urwiska czy korki...

– Korki. Ale faktycznie, mamy szczęście – skomentowała z uśmiechem, zauważając, że współpasażer uparcie domaga się jakiejś reakcji.

– Myślę, że szczęście nie ma tu nic do rzeczy – odpowiedział wymownie.

– Szanowni państwo, za chwilę podchodzimy do lądowania – głos pilota rozległ się w głośnikach. – Prosimy zająć miejsca i zapiąć pasy bezpieczeństwa.

Kilka minut później samolot zatrzymał się przy jednym z hangarów. Nikt nie kłaskał, nikt nie gratulował pilotowi. Katarzyna Piskorczyk uśmiechnęła się sama do siebie. Ekipa, z którą leciała, to nie byli turyści na wycieczce do Egiptu.

Przy wyjściu poczuła chłodne górskie powietrze. Było pełne świeżości, jakiej nie sposób zaznać w jakimkolwiek innym miejscu. Nabrała go głęboko w płuca, rozkoszując się siłą i energią, jaka ją wypełniła.

– Przepraszam – usłyszała jakiś głos dobiegający zza pleców i ruszyła w dół schodów. Jeszcze się nawdycham, pomyślała.

Na płycie lotniska ekipę przywitała delegacja mężczyzn ubranych w tradycyjne, pomarańczowo-czerwone stroje gho, które były czymś na kształt togi noszonej przez tybetańskich mnichów. Na bosych stopach mieli tylko drewniane sandały. Niektórzy członkowie ekipy nieporadnie próbowali odwzajemnić ukłony.

– Witamy w Bhutanie – pierwszy z mężczyzn odezwał się po angielsku, co spotkało się z niemałym zdziwieniem części podróżnych. – Z przyjemnością zajmemy się państwa bagażem – dodał, odsuwając się i wskazując im płynnym ruchem ręki terminal, do którego powinni się udać.

Grupa ruszyła we wskazanym kierunku. Michał został, żeby zamienić parę słów z mężczyzną, który ich przywitał.

– Całkiem tu ładnie. Fajne góry – stwierdził po chwili Olo, podziwiając otaczające ich szczyty.

– Poczekaj na prawdziwie góry – skomentował Chris, uśmiechając się zadziornie. W jego oczach zamigotała wesoła iskierka. – Tam dopiero będą widoki.

Reakcją na jego słowa były delikatne, w niektórych przypadkach niepewne uśmiechy członków ekipy, którzy słyszeli tę wymianę zdań. Każdy czuł większą lub mniejszą ekscytację, jednak dla profesor Piskorczyk tym razem w otaczających ją szczytach było jeszcze coś, co nie pozwalało jej się w stu procentach zrelaksować. Rozglądając się, w pewnym momencie poczuła, że góry są niedostępne, mroczne i... złowieszcze. Ich szczyty jakby spoglądały z pogardą na wędrowców, na nic niewartych ludzi, którzy myśleli, że są wszystkim, nie będąc tak naprawdę niczym szczególnym. Byli tylko

pyłem, przypadkowymi drobinami kurzu unoszonymi przez wiatry czasu. Katarzyna poczuła chłodny podmuch i objęła się ramionami. Pokora, pomyślała, przypominając sobie rozmowę z Leną. A jeżeli na ich szczytach faktycznie mieszkają bogowie? – usłyszała głos w swojej głowie. Jeśli tak, to fajnie będzie któregoś spotkać – odpowiedziała sobie w myślach ironicznie, próbując trochę pokrzepić nadwątlone morale, odrzucić mroczne chmury gromadzące się nad głową.

Uśmiechnęła się niepewnie i weszła do terminalu.

– Wszędzie sprawdzałeś? Na pewno? – zapytała Sara, podchodząc pewnym, szybkim krokiem do Ola. W jej głosie brzmiało nerwowe niedowierzanie, a postura zdradzała, że najchętniej złapałaby mężczyznę za poły kurtki i tylko ostatkiem sił się przed tym powstrzymuje. Znajdowali się w hangarze chwilowo pełniącym funkcję magazynu. Wokół nich wznosiły się metalowe konstrukcje, na które pakowano palety z przeróżnej maści towarami. Kilku robotników przyglądało się im ukradkiem.

– Oczywiście! – bronił się Olo, unosząc w górę ręce. – Wszystko było dokładnie spisane, zamówione i dostarczone. Wiem, jak mam wykonywać swoją pracę. Proszę bardzo.

Wyciągnął przed siebie protokół odebrania towaru, na ich szczęście sporządzony w języku angielskim, co w przypadku Bhutanu nie było wcale oczywistością. Sara wyrwała mu dokument z rąk i zerknęła na niego pobieżnie.

– No i co? – zapytała z pretensją, marszcząc brwi.

– O tu, zobacz. Podpis, towar został odebrany, zmagazynowany i powinien tu być. Zrobiłem wszystko jak na...

– Dobra, okej. Rozumiem – przerwała mu, coraz bardziej zdenerwowana. – To gdzie jest sprzęt? Chyba tym się miałeś zajmować, nie? Logistyka, zabezpieczenie, dbanie o to, żebyśmy mieli czym pracować?

Olo wciągnął głęboko powietrze i powoli je wypuścił. Nie skomentował tego w żaden sposób, poza delikatnym pokręceniem głową.

– Cudnie. Czyli co, myślisz, że ktoś sobie ten sprzęt pożyczył? – zapytała retorycznie Sara, po czym oddała mu protokół i odwróciła się, ruszając w stronę wyjścia z magazynu. – Idę po Michała.

– Poczekaj, idę z tobą – stwierdził i pobiegł truchtem za kobietą.

Po paru minutach odnaleźli szefa wyprawy. Stał w słońcu z boku terminalu i rozmawiał przez telefon komórkowy. Sara, zupełnie na to nie zważając, podeszła do niego i głośno powiedziała:

– Okradziono nas.

Michał uniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać ją od przeszkodzenia mu w rozmowie. Dziewczyna jednak spojrzała mu prosto w oczy i kontynuowała:

– Towar został odebrany – mówiła, wskazując ręką na Ola, który dyplomatycznie postanowił trzymać się parę metrów dalej – ale potem ktoś go zwinął z magazynu. Bez sprzętu nie dam rady założyć bazy ani wejść na szczyt, nie mówiąc już o zejściu do jaskini. Mamy sobie sami upleść liny?

Głośne westchnienie oznaczało danie za wygraną. Michał przeprosił swojego rozmówcę, zapewniając, że oddzwoni, gdy tylko będzie mógł. Zablokował telefon i zwrócił się do dziewczyny:

– Poszukajcie dokładniej. Na pewno gdzieś jest. I następnym razem poczekaj, aż skończę – bardziej zażądał, niż poprosił.

– Okradli nas. I błagam cię, nie rzucaj argumentu pod tytułem dokładnego sprawdzenia magazynu. Nie jesteśmy dziećmi – odpowiedziała buńczucznie, rzucając mu gniewne spojrzenie.

Michał powoli wypuścił powietrze i powiedział:

– Dobrze, chodźmy. Olo, pokaż mi ten protokół. – Wziął dokument do ręki i całą trójką ruszyli w stronę magazynu.

Kilka minut później znaleźli kierownika składu. Rozmowa z nim nic jednak nie zmieniła.

– Niech mnie pan jeszcze raz posłucha. Towar został odebrany, co potwierdza podpis, o tu, w tym miejscu. Dlatego teraz uprzejmie proszę o wydanie rzeczy, zanim zadzwonię po policję. – Michał bezskutecznie próbował wytłumaczyć mu, na czym polega problem i z jak poważną sytuacją mają tu do czynienia.

Jednak kierownik magazynu, Bhutańczyk w podeszłym wieku, kulił się tylko i przeproszał.

– Nie wiemy, jak zrobiło – mówił łamaną angielszczyzną. – My poszukamy, na pewno znajdzie. Przepraszamy.

– Tak, wiem, słyszałem. Jednak chciałbym zobaczyć nagranie z monitoringu – naciskał Michał.

Bhutańczyk spojrział w stronę kamery wiszącej w rogu pomieszczenia, z obiektywem ustawionym na główne – i jedyne – wejście do magazynu.

– Nie. Nie działa od wielu lat. – Powiedziawszy to, skulił się jeszcze bardziej, jakby w obawie przed fizycznym atakiem większego od siebie i młodszego mężczyzny.

Michał pomasaował palcami nasadę nosa. Nabrał głęboko powietrza, zastanowił się przez chwilę, aż w końcu odparł:

– Dobrze, zrobimy inaczej. Olo, dam ci numer do naszego człowieka, który potrafi szybko zorganizować sprzęt. Zrób dokładną inwentaryzację, sprawdź, czego brakuje. Może coś się zaplątało w innym bagażu, może jakaś skrzynia jest zastawiona. Nie patrzcie tak na mnie, wiem, że już sprawdzaliście, ale bądźcie tak uprzejmi i sprawdźcie jeszcze raz. Może weźcie kogoś do pomocy. Doktor Rittner posiada praktycznie nieograniczone fundusze, jednak to ja jestem osobą odpowiedzialną za budżet tej wyprawy.

Olo niechętnie skinął głową.

– Dobra, sprawdzę jeszcze raz – powiedział.

– Pomogę ci – dodała Sara.

– Świetnie, bardzo wam dziękuję. A z tobą jeszcze nie skończyłem! – zawołał Michał, ruszając w kierunku oddalającego się Bhutańczyka.

Olo burknął pod nosem:

– Jaki on wyrafinowany, przepraszam, proszę, garniturek...

Sara spojrzała na niego z błyskiem w oku.

– Zobaczmy czy będzie takim kozakiem na górze. I pod nią. – Uśmiechnęła się zadziornie, przesuwając pierwszą z brzegu skrzynię.

Gdy Michał ponownie wybierał numer telefonu swojego niedawnego rozmówcy, zobaczył, jak w jego stronę pewnym krokiem podąża Chris. Przerwał połączenie, nim alpinista zdążył do niego podejść.

– Słucham, w czym mogę ci pomóc? – zapytał jak zwykle uprzejmym tonem, chowając komórkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Miałem się tu spotkać z Antonim, ale nigdzie go nie ma. Nie odbiera też telefonu.

Michał poczuł, jak pod koszulą mimowolnie zadrgały mu mięśnie, jednak starał się nie okazywać zdenerwowania. Cholerne problemy, pomyślał.

– Jesteś pewien?

Chris spojrzał na niego ironicznie. Po chwili zmarszczył czoło, pochyliwszy się nieco w jego stronę.

– Czy czego jestem pewien? Tego, że nie ma tu mojego człowieka? Tak, do cholery, jestem tego pewien. On nigdy się nie spóźnia i zawsze ma przy sobie telefon. Jakbym nie był go pewien, to nawet bym mu nie proponował tej wyprawy.

– Spokojnie, coś wymyślimy.

– Nie będę spokojny. Nie przy takim przedsięwzięciu – zachnął się Chris.

– Poczekamy jeszcze dwie godziny, a jeżeli nie pojawi się do tej pory, ruszamy bez niego. I nie martw się o przedsięwzięcie.

Ostatnie zdanie wprost wyrażało lekceważenie Michała w stosunku do rozmówcy.

– Nie ma mowy. W takim wypadku odmawiam. – Chris nie dał się zbić z pantafelku. Michał spojrzał na niego poirytowany.

– Może to twój budżet, ale moje nazwisko – dodał Chris.

– Jesteś pewien? Odrzucisz taką szansę tylko dlatego, że twój kompan znowu zachlał i teraz leczy kaca Bóg wie gdzie?

Chris pochylił głowę, ale nie powiedział nic. Michał kontynuował:

– Tak, wiem o jego słabościach. Twoich również. To jedno z moich zadań. Inne polega między innymi na tym, żeby zapewnić bezpieczeństwo i pełen skład osobowy wyprawy. Dlatego jeżeli pan Carcas nie raczy się pojawić do... dwóch godzin od tego momentu, ruszamy bez niego.

– We dwóch nie damy rady wprowadzić tylu niedoświadczonych ludzi na górę.

– Nie będzie takiej potrzeby. Zespół odpowiadający za zabezpieczenie drogi na górę będzie trzyosobowy. Ja to załatwię.

Chris zastanowił się przez chwilę nad tymi słowami, patrząc w asfalt pokrywający płytę lotniska. Dziesiątki myśli przelatywało mu przez głowę. Nie wiedział, czy bardziej się martwi o Antoniego, czy bardziej jest na niego wściekły. Niestety, chcąc nie chcąc, musiał przyznać Michałowi rację. Wcześniej już niejednokrotnie sam zawałał terminy przez problemy Antoniego z alkoholem.

– Dobrze – powiedział w końcu.

Michał spojrział na niego, ledwo powstrzymując uśmiech. Bawiło go, że ten człowiek wyraził swoją aprobatę, jakby mogło to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Za siebie też mam zastępstwo, gdyby trzeba było. Nie martw się – pomyślał, lecz zachował tę refleksję tylko dla siebie. Miał jednak ochotę zaśmiać się Chrisowi prosto w twarz.

– Dwie godziny – powiedział na odchodne, unosząc w górę lewe ramię z zegarkiem. Żaden z nich nawet nie podejrzewał, że Antoni nie stawił się nie dlatego, że znowu zwyczajnie się upił, lecz dlatego, że zaledwie dziesięć kilometrów od miejsca, w którym obaj rozmawiali, jego zwłoki właśnie zakopywano w ziemi. Nikt nie lubi ludzi zbyt bystrych i zadających zbyt wielu pytań na temat szczegółów zadania, które dla wszystkich uczestników jak najdłużej miało pozostać tajemnicą. ■

ROZDZIAŁ 3

Warszawa, sierpień 2020

– O Jeezu... Jakie to dobre. Ale miałem ochotę na mięso – wymruczał Łukasz, z rozkoszą przeżuując kolejny kęs steka. Średnio wysmażonego, takiego, który po naciśnięciu widelcem jeszcze puszcza odrobinę krwi.

Przełknął. Przejechał językiem po dziąsłach, szukając resztek smaku. Następnie nadział na sztuciec kolejny kawałek i, jak poprzednim razem, zanurzył go w kwaśno-pikantnym sosie, z pogardą patrząc na grillowane pieczarki i smażone w ziołach ziemniaki. Gdyby nie były w zestawie, na pewno by ich nie zamawiał – w zupełności wystarczało mu te trzysta gramów soczystej wołowiny. Z malującą się na twarzy błogością jadł, skupiając się na tym, aby smak dotarł w najdalsze zakamarki podniebienia. Przełknąwszy, odetchnął z rozkoszą. Sięgnął po piwo i pociągnął konkretny, wielki łyk. Czuł się jak król wszechświata.

– A tobie jak smakuje?

Lena uniosła głowę znad swojej wątpliwej jakości sałatki ze zbyt niedojrzalym awokado.

– Całkiem spoko, dzięki. Ale widzę, że ty trafiłeś w dziesiątkę.

– No, stek jest mega. Najlepszy.

W jego głosie brzmiała taka duma, jakby własnoręcznie wyhodował i ubił wołu, a następnie oporządził go i przygotował w tak doskonałej formie. Tymczasem po prostu zaprosił dziewczynę do najlepszego steak house'u w Warszawie, zupełnie ignorując fakt, że ta nie przepadała nie tylko za czerwonym mięsem, ale i za mięsem w ogóle. Nie miał jednak pomysłu na to, jak inaczej mógłby jej zaimponować, niż pokazując, że stać go na obiad za prawie dwieście złotych.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

– Nie rozumiem, jak możesz nie lubić wołowiny. Przecież to najlepsze mięso. – Łukasz znów spróbował zagaić rozmowę.

Lena spojrzała na niego znad swojego talerza. Najpierw zlustrowała chłopaka, jakby widziała go po raz pierwszy – może z rok, dwa lata starszy od niej, chyba średnio dbający o formę, chociaż to tak naprawdę trudno było ocenić. Przynajmniej nie miał wystającego brzucha i wiszących luźno cycuszków, co niestety stawało się coraz bardziej powszechne. Dbał natomiast o karierę, co było widać od razu. Spinki przy mankietach kremowej koszuli, zaopatrzonej w subtelne, acz doskonale widoczne logo na lewej piersi. Opalenizna, ale nie taka z solarium, tylko przywieziona z zagranicznych wojaży. Chociaż równie dobrze to mógłby być samoopalacz, kto go tam wie – pomyślała, uświadamiając sobie, że jej znajomość tematu jest równa zainteresowaniu tym aspektem. Poza tym spoglądała na nią całkiem niegłupia twarz, w oczach chłopaka widziała tę dziwną, arogancką pewnością siebie typową dla mieszkającego na przedmieściach handlowca. Co ja tu robię? – pomyślała, ale szybko przypominała sobie, że umówiła się tylko po to, aby choć przez chwilę przestać myśleć o matce. Przy okazji może z tego wyjdzie jakieś ciekawe zlecenie w plenerze, bo ponoć Łukasz miał coś,

co chciałby sfotografować, jak twierdziła jedna z jej koleżanek.

– Nie wiem, jeżeli już, to wolałam białe mięso. Wołowina i wieprzowina są dla mnie zbyt... no nie wiem, żyłaste? Trzeba je ciamkać i glamać, tylko rosną w ustach.

Chłopak powoli opuścił widelec, nie dowierzając temu, co właśnie usłyszał. Lena, widząc jego blednące oblicze, zaśmiała się w duchu: może powinna zacząć rozglądać się po sali w poszukiwaniu lekarza. Lub ochroniarza.

– No nie żartuj. Nic nie rośnie. Kochana, po prostu nigdy nie jadłaś dobrze przyrządzonego steka, ot co. – Wysunął widelec z nadzianym kawałkiem mięsa w jej stronę.

Spojrzała z pogardą najpierw na stek, potem na Łukasza. Słowo „kochana” cały czas rezonowało w tyle jej głowy, odbijało się od środka czaszki, za wszelką cenę próbując znaleźć ujście. Chłopaczyna nieco się zapędził. Patrzyła nań w milczeniu, aż ten w końcu odpuścił, cofnął rękę i łapczywie pochłonął kawałek mięsa. Zapadło niezręczne milczenie.

Lena zerknęła za okno. Niech ktoś, z łaski swojej, przyjdzie i mnie zabije – mówił jej wzrok, jednak nie pojawił się ani kat, ani rycerz na białym koniu chętny uratować niewiastę z opresji. Ludzie spacerowali po ulicy, jedni w biurowych koszulkach, inni w T-shirtach i krótkich spodenkach czy spódnicach. Jak na dłoni miała również kalejdoskop ludzkich emocji – ktoś się śmiał, ktoś denerwował, ktoś inny dreptał przed siebie, pozostając zupełnie obojętnym na świat. Co ja tu robię? – pomyślała ponownie, nie skupiając wzroku na niczym konkretnym, aż w pewnym momencie w kadr okna wszedł mężczyzna z psem. Lena niespecjalnie знаła się na rasach, jednak to bydlę wydało jej się wyjątkowo wielkie. Kojarzyło się z jakimś dogiem, może niemieckim, angielskim, kto go tam wie – absolutnie nie była w stanie tego rozróżnić, jednak pies wyglądał pięknie. Jego lśniący w słońcu krótka sierść i majestatyczna, dumna postawa powodowały, że aż miło było na niego patrzeć. Co innego jednak z podchodzeniem do zwierzęcia – pies wydawał się tak olbrzymi, że odstraszał samym wyglądem, choć poza tym pewnie był pokorny jak cielak. Dopiero po paru sekundach dziewczyna zorientowała się, że zwierzę patrzy prosto na nią. Właściciel czworonoga stał przez chwilę, myśląc, że pies chce obwąchać okno i parapet, jednak gdy zauważył, że ten tylko stoi i się gapi, zaczął go poganiać. Pies jednak nie chciał się ruszyć. Stał i wpatrywał się w Lenę swoimi wielkimi, na wpół przymkniętymi ślepiami. Nie merdał ogonem, nie szczekał, nie robił nic innego – po prostu stał i patrzył, podczas gdy właściciel szarpał smycz, coraz bardziej posapując i stękając. Lena zmarszczyła brwi, wyraźnie zakłopotana. Czemu ten pies wpatrywał się akurat w nią, czemu się przy tym nie ruszał? Nie znała się na zwierzętach, więc nie potrafiła stwierdzić, czy takie zachowanie można odebrać jako pozytywne czy negatywne. Odwróciła się, żeby sprawdzić, czy może pies patrzy na coś, co jest za nią, jednak tam była tylko dalsza część pustej sali. Przyglądała się psu, próbując odczytać jego intencje. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak stoi na zewnątrz – bezpośrednio przed olbrzymim dogiem. Nie potrafiła powiedzieć czemu, ale to wyobrażenie napawało ją lękiem. Poczwała niepokojące ukłucie kielkujące gdzieś na dnio żołądka, falę gorąca przechodzącą przez jej ciało, jak stres przed egzaminem, na który się nie przygotowała. Wyszło jej gardło, z tru-

dem mogła przełknąć ślinę.

Na szczęście właścicielowi udało się odciągnąć psa. Odzyskując spokój, Lena spojrzała na Łukasza, który akurat kończył pałaszowanie steka. Zastanawiała się, czy chłopak w ogóle zauważył jej stan, czy też był zbyt zajęty tym, co znajdowało się na talerzu.

– Chcesz jeszcze piwa? – zapytał, przełknąwszy ostatni kawałek.

– Tak – odparła bez chwili wahania. Nie dość, że gardło wyschło jej na wiór, to jeszcze miała nadzieję, że alkohol odpędzi paskudne uczucie strachu, które zaczęło przejmować nad nią kontrolę.

– Dziwne – rzucił nagle chłopak.

Zmarszczyła brwi.

– Co takiego?

– No ten pies.

– Strasznie wielki, fakt – odpowiedziała powoli i ostrożnie, jakby przeczuwając, że Łukasz nie do końca to ma na myśli. Nie myliła się.

– Nie o to chodzi. Jest upał, a on miał zamknięty pysk. Może był chory, albo coś.

Lena nabrała głęboko powietrza.

– Dzięki, super się bawiłem – powiedział Łukasz, prezentując zęby w doskonale wystudiowanym uśmiechu numer pięć.

Lena odwzajemniła grymas, jednak tylko z czystej grzeczności. Oczywiście mogłaby się założyć o ostatnią garść orzechów, że chłopak nie zauważył ironii.

– No, ja też. – Pokiwała głową.

Zapadło krępujące milczenie, kolejny i zapewne nieostatni raz, jeżeli kiedykolwiek jeszcze przyjdzie się im spotkać. Stali pod wejściem do klatki, dokąd Łukasz odprowadził dziewczynę. Rozejrzał się, jakby dla upewnienia się, że są sami, po czym oparł lewą dłoń o ścianę, pochylił się w stronę Leny i zasugerował:

– To co, może jeszcze jakieś piwko u ciebie? Albo wino? Skoczę do sklepu, jeżeli nie masz.

Serio? – Lena przez chwilę zastanawiała się, czy na pewno nie powiedziała tego głośno. Nie dość, że się wprasza, to jeszcze bada stan mojego barku – pomyślała.

– Alkohol mam, niech cię o to głowa nie boli. Chętnie bym jeszcze z tobą posiedziała, ale dzisiaj już nie mogę – odpowiedziała, teatralnie spoglądając na zegarek. – Zobacz, już po dziesiątej.

– No to co, przecież wcześniej i jutro so...

Coś jeszcze próbował mówić, rozkładając ręce w błagalnym geście, jednak Lena, wstukawszy kod, otworzyła drzwi i przestała go słuchać. Następnie odwróciła się do Łukasza, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Serio nie mogę. Jutro muszę być rano na nogach, mam sesję. Dzięki raz jeszcze, pa...

Pomachała mu ręką i zamknęła drzwi, nie czekając na odpowiedź, pożegnanie lub – o zgrozo! – próbę pocałunku.

– ...lancie – dokończyła cicho, słysząc kliknięcie zamka w drzwiach oddzielających ją od Łukasza. – Jezu, za co? – wyszeptała do pustej klatki. – Zabiję ją.

Spotkanie z Łukaszem nie było jej pomysłem. Parę dni wcześniej koleżanka z pracy namówiła Lenę na randkę w ciemno z, jak to określiła, „świetnym towarem, może niezbyt lotnym, ale przecież przyda ci się trochę rozrywki, masz iść i nie dziękuj”. Nie dociekała, skąd kumpela go zna ani dlaczego o nim nigdy nie mówiła, ale teraz doszła do wniosku, że powinna była zapytać. Bez wątpienia zrobi to przy najbliższej okazji.

Podeszła do windy i wcisnęła guzik sprowadzający ją na parter. Kabina była na ostatnim piętrze, więc żeby nie stać beczynnie, sprawdziła skrzynkę pocztową. Cały czas uważała, aby nie spojrzeć w stronę drzwi wejściowych. Kątem oka widziała, że Łukasz ciągle tam stoi i się jej przygląda, pewnie robiąc przy tym jakieś jego zdaniem zabawne lub uwodzicielskie miny. Nie, nie nawiąże kontaktu wzrokowego, nic z tego, będzie go ostentacyjnie ignorowała, ot co. W skrzynce znalazła same ogłoszenia i ulotki – rzeczy, których chyba nikt nie przegląda, ale które ktoś uparcie do tych skrzynek wpycha. Co za marnotrawienie papieru. Z rezygnacją włożyła je do stojącego niedaleko kartonu na makulaturę, odwróciła się i weszła do windy, która w międzyczasie raczyła łaskawie zjechać.

Po chwili zamknęła drzwi swojego mieszkania. Rzuciła materiałową torbę na ławeczkę stojącą w przedpokoju, niedbale zostawiła japonki tam, gdzie spadły jej ze stóp. Podreptała do kuchni, otworzyła lodówkę, wyjęła napoczętą butelkę białego wina, udając, że nie zauważa sterty brudnych naczyń, które niemalże wysypywały się ze zlewu. Jutro – pomyślała. Wyszła na balkon, zastanawiając się po drodze, jak piękne musi być życie ludzi, którzy mają zmywarę.

Usiadła w podwieszanym fotelu. Właściwie sama nie wiedziała, jak nazwać ten „mebel”, który jakiś czas temu zainstalowała na łańcuchu pod sufitem razem z Kryską – swoją serdeczną przyjaciółką i współlokatorką. Grunt, że nie tylko był usztywniany z jednej strony wikliną, ale jeszcze stabilny i wygodny. Zwinęła się w kulkę z winem w ręce i telefonem między nogami. Powoli się bujała, rozmyślając o mijającym wieczorze i patrząc na roztaczający się przed nią widok na miasto. Zastanawiała się, co zrobić, żeby ten wieczór nie był stracony. Dwa wypite piwa dawały o sobie znać, ale niewystarczająco – pociągnęła zatem łyk wina, bezpośrednio z butelki. Przelewanie do kieliszka oznaczałoby przecież kolejną rzecz do umycia, a to było czymś absolutnie nie do zaakceptowania, chociaż nie lubiła pić wina w ten sposób. Kojarzył się jej z typowym menelstwem. Nikt jej jednak nie widział, więc mogła sobie na to pozwolić, bo w sumie dlaczego nie? Miała wystarczająco dość krytyki z zewnątrz, żeby sobie czasem móc odpuścić. Przyjrzała się blokom, oczami wyobraźni widząc twarz Łukasza pałaszującego stek. Pociągnęła kolejny łyk, gdy telefon zaczął wibrować.

Na wyświetlaczu pokazało się zdjęcie Maćka, z którym przyjaźniła się jeszcze od czasów gimnazjalnych.

– No hej – przywitała się, odbierając połączenie.

– No cześć, kochana. I jak było, mów, mów. – Jego głos był jak zwykle pełen entuzjazmu i energii, jakby przed chwilą wypił ze trzy red bulle i popił je litrem kawy lub jakby wydarzyło się coś niewiarygodnie fascynującego. Tymczasem ten typ po

prostu tak miał, co Lenę szczerze irytowało.

– Wiesz, całkiem spoko... – zaczęła relacjonować, jednak Maciek szybko jej przerwał.

– Aha. Czają.

– No co?

– Jak mówisz, że spoko, takim tonem, to znaczy, że było słabo, a teraz pewnie wiesz na tym swoim fotelu i się czilujesz, a telefonem przerwałem ci gapienie się na dachy mokotowskich bloków i kończenie wina, które ostatnio zostawiliśmy u ciebie w lodówce. Swoją drogą, jak to możliwe, że go nie dopiliśmy?

Zaśmiała się.

– Nie wiem, ale aktualnie bardzo się z tego cieszę – odpowiedziała, pociągając kolejny łyk.

– No ale serio, aż taki dramat?

– Błagam cię. Jakbym trzymała przed sobą odwrócone lustro, pewnie byłby wniebowzięty.

Maciek przez chwilę milczał.

– Masz chociaż zlecenie?

– Nope. – Bardziej zabrzmiało to, jakby zrobiła bańkę ustami, niż wypowiedziała słowo.

– Aha. A gdzie byliście?

– W tym steak housie w centrum.

– Na Marszałkowskiej?

– Nie, w Jerozolimskich. Przy Kruczej.

– Uuu, na bogato. I jak, dobre żarcie?

– Miśku, a pamiętasz, że ja, jak by to powiedzieć, nie przepadam za czerwonym mięsem? Ani białym? Ani, w sumie, to żadnym?

– No tak, chyba kiedyś o tym wspominałaś.

– Właśnie. Więc coś tam pojadłam, ale bez szału. Za to on prawie musiał zmieniać gacie, tak się tym stekiem podniecił.

– Słuchaj, jak to dobra wołowinka, i jeszcze jak jest zrobiona medium-rare, tak, że krewka cieknie, chociaż pewnie to zależy, jak kto lubi, no ale wtedy to przecież... – Michał zaczął się rozpędzać, ale Lena nie pozwoliła mu dokończyć.

– Błagam cię, oszczędź mi. Nasłuchałam się tego cały wieczór i już naprawdę nie mam ochoty gadać o kotletach z krowy.

Na chwilę zapadła pełna oburzenia cisza.

– Stekach.

– Kotletach z krowy.

– Steeekaaach – zaakcentował Maciek, przeciągając sylaby.

– Jeszcze raz to powiesz, a skoczę z balkonu.

– Głupia jesteś.

– Bo ty jesteś taki mądry. Lepiej mów, jak tam twoja miłość.

– Lilou? Zajebicie. Już nauczyła się, że nie sikamy na kanapę, a meble to nie gryzaki. Stekach.

– Już? Kurczę, faktycznie szybko. Tylko dwa lata jej to zajęło. Czy może trzy? Srekach.

– Oj, bujaj się. Przecież nie mogę jej wszystkiego zabraniać.

– To znaczy, że na wszystko jej pozwalasz.

Cisza, która zapadła po drugiej stronie, potwierdzała ciężki proces myślowy, którego doświadczał Maciek. Kołowroty skrzypiały, zawiasy piszczały. Wreszcie ośrodek mowy ożył:

– No w sumie... jakby na to tak spojrzeć...

Maciek dumnie obnosił się ze swoim kundelkiem, którego zaadoptował ze schroniska ponad dwa lata temu. Psiak był niewyobrażalnie wdzięczny i lojalny oraz wprost proporcjonalnie do tego nieposłuszny. Lilou szybko zamieniła dom w wychodek, a Maćkowi brakowało asertywności, aby przejąć nad tym kontrolę. Dlatego niezbyt chętnie spotykali się u niego, co Lena nie raz wypominała przyjacielowi.

– Ej, a widziałaś ten filmik na YouTube?

– Tak – odpowiedziała ironicznie, delikatnie przymykając oczy. Uwielbiała teksty tego typu. Czy widziałaś TEN filmik, słyszałaś TEN kawałek, oglądałaś TEN film? Przecież jak się mówi „ten”, to druga osoba od razu wie, co autor miał na myśli, no jakże mogłoby być inaczej.

– Masakra, co? Ja bym chyba narobił w gacie, jakbym był na ich miej...

Cisza, która ponownie zapadła, tym razem zdradzała, że coś tam w głowie Maćka ponownie przeskoczyło, jakieś tryby się ruszyły i chłopak chyba załapał.

– Nie widziałaś go, co?

– Nie – przyznała ostentacyjnie Lena po paru sekundach teatralnej pauzy, przelicykając wino, które – o zgrozo – smakowało niebezpiecznie dobrze.

Usłyszała westchnienie.

– Dobra, to jak wejdiesz na fejsa, rzuć okiem na to, co udostępniłem. Serio, mega dziwna sprawa.

– Dobrze, zobaczę.

– No to zobacz, zobacz i napisz coś tam, jak już obejrzysz – naciskał Maciek.

– Muszę teraz?

– Chyba ci nie ucieknie, ale naprawdę warto zobaczyć.

– Wiem, podkreśliłeś to już ze dwieście razy! Dobrze, rozłączamy się i oglądam ten film, bo żyć mi nie dasz. Pa.

Maciek jeszcze raz na pożegnanie rzucił, że warto, tak na wszelki wypadek, gdyby Lena jednak nie usłyszała poprzednich rekomendacji. Dziewczyna pokiwała głową z politowaniem, zastanawiając się, skąd u niektórych ludzi bierze się cecha każąca im po piętnaście razy powtarzać to samo podczas jednej rozmowy.

– Tak, u mojej mamy wszystko w porządku, dzięki, że pytasz. Nie, no coś ty, zupełnie nie martwię się tym, że od paru dni nie daje znaku życia. Luzik, spoko. Przecież tylko poszła na totalnie dziewiczy teren, z ludźmi, z którymi nigdy się nie wspinała, ale jasne, nie ma się czym przejmować. Filmik na fejsie i steki – powiedziała do bloku naprzeciwko. Blok niestety stał nieświadomie obojętny. W sumie trochę tak, jak jej przyjaciel.

Wygasiła ekran, myśląc o tym, co usłyszała. Maciek ją zaintrygował, jednak postanowiła odczekać jeszcze chwilę, zanim zobaczy filmik – dzięki temu ciekawość wzrosła, a emocje będą jeszcze większe – tak przynajmniej myślała, a może wcale nie myślała, tylko przez wypity alkohol myśli niesfornie uciekały i robiły to, na co akurat miały ochotę. Spojrzała na fioletowe chmury leniwie płynące przez wieczorne niebo. YouTube poczeka, a widok, jaki miała przed sobą, nie zdarza się każdego dnia. Światło pięknie przeslizgiwało się po rantach zabudowań, obłoki tworzyły magiczny, odrobinę apokaliptyczny klimat. Mogłaby z tego wyjść fajna fota, ale wyturlanie się z legowiska było ostatnią rzeczą, na którą Lena miała ochotę. Czasem lubiła po prostu patrzeć i rozkoszować się zmianą jakiegoś obrazu, zamiast za wszelką cenę wszystko katalogować. Gromadzić obrazy w wewnętrznej pamięci mózgu, w miejscu, do którego zapewne nigdy nie trafi. Zapytana o to, pewnie nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego.

Kilka minut później zalogowała się na Facebooku. Odnalazła profil Maćka, z rzucającym się od razu w oczy zdjęciem Lilou w bardzo dużym przybliżeniu. Szybko trafiła na link prowadzący do filmu na YouTube. Jak miała w zwyczaju, zamiast go kliknąć, najpierw przejrzała komentarze: Masakra; Ja na miejscu tych ludzi chyba bym się przekreśliła; Hehe, jakby ktoś wyłączył baterię; Skończył się budżet na karmę i wydać efekty – to wystarczyło, aby ją zachęcić. Kliknęła link.

Nagranie pokazywało rodzinny spacer w zoo – trzyletnia dziewczynka, siedmioletni chłopiec, matka i nagrywający wszystko ojciec przechadzali się między wybiegami dla zwierząt w piękny słoneczny dzień. Lena przesunęła kilka pierwszych minut, pomijając ochy i achy dzieciaków nad żyrafami, hipopotamami i wszelkiej maści innymi stworzeniami, które owszem, były piękne, ale niespecjalnie ją interesowały. Zatrzymała film w momencie, w którym obraz zaczął się chaotycznie zmieniać. Cofnęła, włączyła ponownie.

Z głośników sęczyły się typowe dla zoo dźwięki – odległe nawoływanie ptaków, jakieś pomrukiwania, głośnie śmiechy dzieci i gwar zwiedzających. Słysząc było też głos ojca, który ostrzegał swoich podopiecznych przed zbytnim zbliżaniem się do wybiegu z żubrami, gdy nagle zapadła cisza, jakby ktoś wyłączył jeden z kanałów dźwięku. Ptaki zamilkły, zastygając na drzewach, małpy przestały kołysać się na gałęziach, parzystokopytne uniosły łby znad koryt. Drapieżniki podniosły się, zastygając w dumnie wyprostowanych pozach, przypominając bardziej eksponaty z muzeum figur woskowych niż żywą faunę. Zwierzęta przestały wydawać jakiegokolwiek odgłosy, a ludzie po przejściu paru kroków zatrzymywali się, zaskoczeni ich nietypowym zachowaniem. Z początku rozbawieni, błyskający fleszami, robiąc sobie selfie ze spokojnie stojącym w tle lwem, stopniowo tracili na pewności siebie. Już nikt się nie śmiał. Rozglądali się z narastającym niepokojem, zaczęli mówić coraz ciszej. Odsuwali się od klatek, zbijali w grupki na środku szerokiego chodnika, oby jak najdalej od dziwnie nagle cienkiego ogrodzenia, które było jedyną barierą między nimi a dzikimi zwierzętami. Tymczasem te stały i uparcie milczały. Każde patrzyło na najbliższego sobie człowieka, wzrokiem już nie beznamiętnych ślepiów, ale inteligentnym spojrzeniem pełnym pogardy, zawiści i czegoś na kształt obietnicy. Pamiętamy, mówiły. W oczach

zwierząt pojawiło się coś, czego nie było tam wcześniej, lub co było, ale skrywało się głęboko w czeluściach zdominowanej przez człowieka natury. Aż do momentu, w którym stwierdziło, że czas wyjść na powierzchnię, i ten czas najwyraźniej nadchodził.

Lena poczuła, jak włoski na jej przedramionach stają dęba. Nie była w tym zoo, nie widziała tego na żywo, ale potrafiła wyobrazić sobie lęk, jaki zawładnął ludźmi. Na ekranie zobaczyła, jak postaci zaczynają przemieszczać się w kierunku wyjścia. Z początku spokojnie, jednak w ich ruchach widać było strach powoli przejmujący nad nimi kontrolę. Ojciec zawołał swoje dzieci i ruszyli w stronę wyjścia. Mała blondynka uniosła twarzą w stronę kamery:

– Tatusiu, co się dzieje? – zapytała pełnym przejęcia głosem.

– Nie wiem, skarbie. Chodźmy. Trzymajcie się blisko mnie – odpowiedział głos zza kamery. Głos, w którym wyraźnie słychać było narastające zdenerwowanie.

Nagle ktoś, gdzieś daleko z przodu, zaczął biec. Jeden człowiek, którego nic nie ugryzło, nic nie podrapało, ale który po prostu stwierdził, że natychmiast musi być gdzie indziej. I to była iskra, której przestraszony tłum potrzebował – jak na starcie maratonu, jedni po drugich zaczęli pędzić przed siebie, kurczowo ściskając swoje aparaty, torebki i plecaki lub dzieci, które powędrowały w objęcia ratujących się ucieczką rodziców. Operator kamery również zaczął biec, biorąc na ręce córkę, a syna pozostawiając matce. Słychać było tylko uderzenia podeszew o betonowy chodnik, podczas gdy chaotyczny obraz z kamery zrzuconej na biodro i podskakującej na pasku pokazywał wystraszone, spanikowane twarze uciekinierów.

Lena przyglądała się temu z narastającą grozą, zastanawiając się, jak by się zachowała na ich miejscu – z jednej strony nic specjalnego się nie wydarzyło, z drugiej wydarzyło się aż nadto. Przecież nie oglądała relacji z zoo z drugiego końca planety, ale film z warszawskiego zoo znajdującego się zaledwie kilkanaście kilometrów od miejsca, w którym aktualnie przebywała. W pewnym momencie skupiła wzrok i cofnęła nagranie o kilka sekund. Wydawało się jej, że zauważyła coś dziwnego. Spróbowała to namierzyć, zatrzymując obraz w odpowiednim momencie. Udało się dopiero za którymś razem.

W zatrzymanym kadrze dostrzegła młodą lwicę stojącą przy samej kracie swojego wybiegu. Zwierzę było spokojne, beznamiętnym wzrokiem odprowadzało uciekających ludzi. Nie skupiało spojrzenia na nikim konkretnym, nie kręciło łbem, zdenerwowanie tłumy jakby zupełnie go nie obchodziło. Po prostu stało i patrzyło na bezładną masę, a Lena wiedziała, że gdyby tylko mogła, lwica rzuciłaby się w pogoń, chętnie rozszarpując komuś gardło, nie z głodu, ale z samej chęci rozszarpywania. I na jednym gardle na pewno by się nie skończyło.

Lena wyłączyła YouTuba, upiła kolejny łyk wina, tym razem nieznacznie większy niż poprzednie. Ponownie zapatrzyła się na bloki przed sobą. Tonęły w coraz głębszych szarościach, fiolety gdzieś się rozmyły, zniknęły. Nieważne jak jest ciepło, zawsze w pewnym momencie nadejdzie zimna ciemność, przeszło jej przez myśl. Choć film zrobił na niej niemałe wrażenie, jakaś część jej świadomości cały czas orbitowała wokół matki. Zastanawiała się, czy brak kontaktu to kolejne, zwykłe zakłóce-

nia, czy może tym razem stało się coś poważniejszego. Zawiał zimny wiatr, delikatnie szeleszcząc liśćmi drzew znajdujących się kilkadziesiąt metrów niżej. Dziewczyna poczuła przejmujący chłód, wstała więc, zamierzając wrócić na balkon z kocem. Jednak na chwilę odwróciła się i dokładnie przyjrzała blokom naprzeciwko, jakby coś ją zatrzymywało, jakby było tam coś, czego nie widziała wcześniej, a widzieć powinna. Dopiero teraz, skupiając wzrok, spostrzegła, że na dachu siedzi stado ptaków. Setki małych, ciemnych sylwetek. Nieruchomych, milczących. Lena zatrzymała się w pół kroku, irracjonalnie obawiając się, że jej gwałtowna reakcja może poderwać je do lotu. Z drugiej strony nie rozumiała, dlaczego się tak wystraszyła, przecież to normalne – ptaki poruszają się stadami i siadają wysoko, tam, gdzie są bezpieczne. Po kilku długich sekundach wycofała się ostrożnie z balkonu, w głębi duszy przeklinając własną głupotę i zdolność do wyolbrzymiania. Zamknęła za sobą drzwi, dokładnie sprawdzając, czy klamka na pewno jest dociśnięta do końca. Opuściła rolety, trochę po to, aby sąsiedzi jej nie podglądali, a trochę po to, aby nie widziały jej ptaki. Przeszła do kuchni, dopiero tam zapalając światło, następnie wróciła do salonu i usadowiła się na kanapie, wcześniej sięgając po pilota od telewizora. Włączyła plazmę i rozpoczęła rajd po kanałach, absolutnie nie zastanawiając się nad tym, na co patrzy. W tyle głowy cały czas rezonował filmik, który obejrzała parę minut wcześniej, oraz wyobrażenie rodzicielki wspinającej się na nieznany i niezdobyty szczyt. Przypomniała sobie rozmowę z Maćkiem i randkę z Łukaszem. Faktycznie masakra, pomyślała, nie wiedząc, do czego bardziej pasuje to określenie.

W głębi duszy Lena przeczuwała, że coś się zbliża. Coś dużego i złego. Na horyzoncie zbierały się czarne, ciężkie chmury, zwiastując rychłe nadejście potężnej, bezlitosnej nawałnicy. ■

ROZDZIAŁ 4

Bhutan, sierpień 2020

– Jesteś pewien, że to mnie utrzyma? – zapytał Olo, patrząc wymownie na Chrisa. Trzymał w ręku zakręcany karabinek wspinaczkowy typu HMS, niesamowicie lekki i zarazem niezwykle wytrzymały – to właśnie z racji jego piórkowej wagi ludziom często trudno było uwierzyć, że mogą mu zawierzyć swoje życie i bezpieczeństwo.

– Spokojnie, bez obaw. Utrzyma ciebie, mnie i jeszcze parę osób, jak będzie potrzeba – odpowiedział z uśmiechem Chris. W tonie jego głosu i ruchach było coś takiego, że Olo z łatwością mu zaufał. Niemniej był przekonany, że za parę godzin znowu dopadną go wątpliwości i po raz kolejny będzie wypytywał Chrisa, aby usłyszeć jego zapewnienia, że wszystko jest w porządku. I tak pewnie w kółko.

Mruknął coś pod nosem i odszedł w stronę swojego namiotu. Chris uśmiechnął się, odprowadzając go wzrokiem, jednak po chwili sposepniał i sięgnął do kieszeni spodni. Wydobył telefon i zerknął na wyświetlacz. Z rozczarowaniem stwierdził brak wiadomości od Antoniego. Westchnął ciężko i rozejrzał się po otaczających ich wzniesieniach. Jakby podświadomie łudził się, że nagle na którymś z nich pojawi się znajoma sylwetka kumpla, wesoło wymachującego rękami i zadowolonego z dowcipu, jaki udało mu się zrobić. Wcześniej Chris dzwonił do znajomych i rodziny, aby potwierdzić, że Antoni faktycznie wybrał się w podróż – w końcu mogło mu się odwiedzić i mógł teraz zwyczajnie grać tyłek na kanapie. Chris nawet miał nadzieję, że tak było. Niestety, nic takiego nie miało miejsca – wszyscy zgodnie potwierdzili, że Antoni wyjechał, wcześniej opowiadając, jak bardzo jest podekscytowany wyprawą. Co się wydarzyło później – tego nie wiedział nikt. Chrisowi bardzo się to nie podobało – mijał już drugi dzień bez wiadomości od kumpla. Niby niewiele, jednak jak kogoś znamy i wiemy, czego się po nim możemy spodziewać, to szybko potrafimy wyciągać wnioski. Często pochopne.

Telefon, który Chris trzymał w ręku, nagle zawibrował. Zaskoczony mężczyzna prawie upuścił go na podłogę. Nadawcą SMS-a, który wyświetlił się na ekranie, był Antoni. Chris wypuścił powietrze, które zdawało się zalegać w jego płucach od co najmniej czterdziestu godzin, i przeczytał tekst:

Hej, przepraszam za milczenie. Musiałem sobie wszystko poukładać. Nie mogę z wami ruszyć. Później wyjaśnię. Przepraszam, Antoni.

W pierwszej chwili Chris ucieszył się, ale szybko sposepniał. Coś było nie tak.

Po pierwsze, Antek nigdy się nie podpisywał pod wiadomościami. Mieli swoje numery od dziesięcioleci, więc po co miałyby to robić? Po drugie, facet nie uznawał znaków interpunkcyjnych ani chociażby dzielenia tekstu na zdania – po prostu wyrzucał z siebie słowa jedno po drugim, niezbyt przejmując się tym, czy ktokolwiek zrozumie ich sens. Uważał, że na interpunkcję szkoda tracić czas. Chris zmarszczył brwi. Czy przypadkiem znowu nie daje się ponieść wyobraźni? Zagryzł wargi, pokiwał głową, jakby doszedł do konsensusu z samym sobą, i szybkim krokiem opuścił namiot. Po chwili udało mu się znaleźć Jamesa. Mężczyzna właśnie pakował sprzęt wspinaczkowy.

wy do plecaka. Chris podzielił się z nim swoimi wątpliwościami.

– Nie wiem, czy potrzebnie się nakręcasz – powiedział James.

– Przecież to nie jego styl – upierał się Chris.

– Nie? No dobrze, to może tak – uśmiechnął się James. – Spróbuj pić przez trzy dni, a potem coś napisać do kogoś, kto na ciebie liczył. Będziesz robił kropkę po każdym zdaniu, żeby tylko pokazać, że absolutnie i wcale nie jesteś pijany. Mnie się właśnie wydaje, że to jest dokładnie jego styl.

Chris zamyślił się. Nie do końca odpowiadała mu argumentacja Jamesa, jednak nie potrafił jej niczym zbić. Patrzył, jak kumpel pakuje rzeczy, wreszcie jednak odezwał się, niechętnie przyznając mu rację:

– Może... – zaczął, jednak ten szybko mu przerwał, jakby tylko na to czekał:

– Nie może, tylko tak. I zostaw już ten temat, mamy masę rzeczy do przygotowania – powiedział stanowczo James. – Antek dał dupy, nie pierwszy raz zresztą. Prze stań to analizować.

Chris mógł tylko przyznać mu rację, chociaż zrobił to niechętnie. Wystukał na telefonie: OK. Trzymaj się i wysłał wiadomość. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale załapała go fala niewypowiedzianego smutku i żalu. Czuł się tak, jakby się żegnał z przyjacielem. Poczul w gardle twardą gulę, ale w tym momencie usłyszał głos Jamesa, który z plecakiem na plecach stał już w wyjściu:

– No idziesz czy nie?

– Tak, tak, już – odparł Chris, udając, że szuka czegoś w kieszeni. Potrzebował paru sekund, aby dojść do siebie po tym równie niespodziewanym, co silnym emocjonalnym kryzysie. – Idę.

Dotarli do celu jako ostatni. Olbrzymi pomarańczowy namiot, w którym zaplanowano spotkanie, był już pełen ludzi. Zebrana ekipa liczyła około dwudziestu osób, z których zdecydowaną większość Chris kojarzył z samolotu i hotelu. Chris wszedł za Jamesem, po czym zasunął wejście. Na zewnątrz było o dobrych piętnaście stopni zimniej niż w środku. Niech się przyzwyczajają, pomyślał, prześlizgując się wzrokiem po zebranych. Większość siedziała w rozpiętych kurtkach, jednak trafiło się paru zmarzluchów zakutanych po samą brodę, dodatkowo z czapką naciągniętą na czoło. Cienie pod oczami zdradzały fakt, że dla niektórych noc na górskim zboczu była sporym wyzwaniem i chyba dopiero zaczynało do nich docierać, na co się pisali.

– Witamy spóźnialskich – powiedział z uśmiechem Michał. – Rozumiem, że możemy zacząć? – zapytał, ręką wskazując dwa wolne miejsca po swojej prawej stronie.

Chris pokiwał głową, precyzyjnie się przez mały tłumek i zasiadł przy głównowodzącym.

– Tak, tak, oczywiście. – Nabrał głęboko powietrza, ponownie zerkając na zebranych. Skup się, nakazał sobie w duchu.

Wiedział, że bezpieczeństwo wyprawy leży w jego rękach, toteż zmusił się do odrzucenia wątpliwości dotyczących Antoniego i skoncentrowania myśli tylko na tym,

co było tu i teraz. Jako zawodowy wspinacz miał to doskonale wytrenowane.

– Szanowni państwo, to może od razu... – zaczął, jednak Michał niespodziewanie mu przerwał, jakby nagle przypomniał sobie coś bardzo istotnego.

– Przepraszam, ja zacznę, ponieważ mam ważny komunikat. Pragnę przedstawić wam nowego członka naszej wyprawy, Barry’ego LaBine.

Mówiąc to, wskazał siedzącego obok siebie młodego, szczupłego mężczyznę. Barry, ubrany na czarno, bardziej przypominał żołnierza niż alpinistę, chociaż niewiele można było wywnioskować, patrząc na opatuloną kurtkę sylwetkę. Nowy uśmiechnął się do zebranych, kiwnął głową Michałowi, ale nie powiedział nawet jednego słowa. Gdy przeniósł wzrok na Chrisa, uśmiech zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca poważnemu, skupionemu spojrzeniu.

Michał skinął dłonią.

– Chris, możesz mówić dalej – powiedział.

– Przede wszystkim dziękuję za przybycie – Chris podjął przerwany wątek. – Od razu przejdę do konkretów. Za dwa dni pogoda powinna się ustabilizować na tyle, że będziemy mogli bezpiecznie, to znaczy względnie bezpiecznie, o czym proszę nawet na chwilę nie zapominać, podjąć próbę wejścia na pięć tysięcy i założenia tam kolejnego obozu. Proszę się nie stresować wspinaczką samą w sobie, będziemy razem z Jamesem wybierać najprostsze z możliwych podejść. Plan jest taki, że prowadzimy grupę, zakładając tak zwane liny poręczowe, do których wy – powiedział, unosząc dłonie tak, aby dokładnie było wiadomo, kogo ma na myśli, chociaż poza członkami wyprawy w namiocie nie było nikogo innego – będziecie się przypinać. Takich poręczówek można się chwytać, można się na nich podciągać, jednak można też robić tak, że po prostu się w nie wepniecie, a do podchodzenia będziecie używali obu czekanów. Lub będziecie robili jedno i drugie naraz.

W tym momencie James sięgnął po swój plecak i zaczął z niego wyciągać różne akcesoria, większości zebranych osób zupełnie nieznaną lub widzianą przez nie tylko na filmach. Zaczął tłumaczyć zebrany budowę karabinków wspinaczkowych, zaprezentował popularne, wysokiej jakości Grivele, które służyły do poruszania się na linie. Widać było, że nie tłumaczy tego pierwszy raz, gdyż nie zagłębiając się zbyt w szczegóły, szybko wyjaśniał to, co najważniejsze. Chris wykorzystał ten moment na dokładniejsze przyjrzenie się nowemu członkowi ekipy. Miał doskonałą pamięć do twarzy, ale jego nie kojarzył ani z opowieści, ani ze specjalistycznej prasy. Oczywiście, na świecie są setki tysięcy ludzi, którzy uprawiają wspinaczkę, jednak robiących to na światowym poziomie – jak zresztą w każdej branży – jest stosunkowo niewielu. I przeważnie wzajemnie wiedzą o sobie wszystko, a tego faceta Chris widział po raz pierwszy. I coraz mniej mu się to podobało.

– Każdy z was dostanie własny sprzęt. Między innymi uprząż, czekany, raki, małpy, lonże. – James wykladał kolejne elementy osprzętu i Chris mógł kontynuować. Mówił wolno, a James prezentował każdą z wymienianych przez niego rzeczy. – Bez obaw, pokażemy, w jaki sposób czego używać, i przeprowadzimy odpowiednie szkolenie również w terenie, nie zostawimy was z suchą teorią. – Zauważył, że na te słowa parę osób z ulgą wypuściło powietrze.

Chris napotkał wzrok Katarzyny Piskorczyk, która z blaskiem w oczach wpatrywała się w nowiusieńki sprzęt leżący na stole. Wyglądała przy tym tak, jakby chciała natychmiast ruszyć samotnie na górę. Już teraz, zaraz, od razu. Mężczyzna uśmiechnął się. Pomyślał, że przyda mu się ktoś z takim zapalem – przy odrobinie szczęścia pani profesor może będzie mogła pomagać we wciąganiu tego stada owiec na górę.

Z kolei gdy przeniósł wzrok na Sarę, ujrzał znudzoną dziewczynę, która akurat bawiła się telefonem. Jednak nie zmartwiło go to. Wiedział, że nie tylko pod ziemią, lecz także w górach i na skałach radzi sobie naprawdę nieźle. Będzie mocnym punktem zespołu.

– Dobrze – kontynuował – po założeniu kolejnej bazy na wysokości pięciu tysięcy będziemy potrzebowali około tygodnia na aklimatyzację. W tym czasie ja i James będziemy wychodzić na krótkie rekonesanse, żeby jak najlepiej poznać górę i wyznaczyć najbardziej optymalną trasę. Założenie jest takie, że kolejna baza będzie na sześciu tysiącach, a potem ostatnia na siedmiu. Nie wiemy jeszcze, jak dokładnie może wyglądać zejście do samej jaskini, lecz obawiamy się, że będziemy musieli dostać się na sam szczyt, skąd do jaskini trzeba będzie zjechać. Może na miejscu okaże się inaczej.

– A przepraszam, nie możecie tego zaplanować teraz, na podstawie zdjęć? Tyle się słyszy o symulacjach komputerowych i, no wiecie... – zapytał jakiś człowiek z końca namiotu, którego Chris nie zdążył zobaczyć. Głosu też nie kojarzył.

– Teoretycznie byśmy mogli. W praktyce jednak wygląda to tak, że dopiero z odległości kilku metrów jesteśmy w stanie ocenić, czy dane miejsce nadaje się do przejścia, czy też nie. Fotografia wykonana z odległości kilku kilometrów, a nawet kilkuset metrów nie pokaże nam wszystkich szczelin, stopni i chwytów, które możemy wykorzystać. Te możemy zobaczyć dopiero na miejscu.

– Chwytów? Mamy się wspinać? – zapytał ten sam mężczyzna. Tym razem wychylił się odrobinę zza siedzącego przed sobą człowieka, toteż Chris mógł mu się przez chwilę przyjrzeć. Na oko dwudziestopięciolatek, gładka cera, opalony. Ubrania z najwyższej półki – mógłby się założyć, że kupione ze dwa dni przed wyprawą. Pewnie jakaś sycha, może nawet wnuczek samego doktora Rittera. Taki rozpieszczony, duży bachor, który wszystko musi mieć podane na tacy. Chrisowi aż zadrżała powieka.

Co się stało z tymi ludźmi, zastanowił się, gdzie się podziała cała ich spontaniczność i chęć przeżycia przygody, chęć wkroczenia w nieznanne?

– Nie wykluczamy takiej możliwości... – powiedział po chwili, wcześniej z premedytacją robiąc długą pauzę i z satysfakcją zauważając, że młodzieniec wyraźnie sposepniał. – Natomiast takie sytuacje będą ograniczane do niezbędnego minimum. I nie tylko dlatego, że to byłoby dla was niebezpieczne, lecz przede wszystkim z tego powodu, że większość z was nie ma zielonego pojęcia o wspinaczce. Przez to, po pierwsze, poruszałibyśmy się niewyobrażalnie wolno, po drugie – narazilibyście całą grupę na zbędne niebezpieczeństwo.

– Więc jak... – młodzieniec nie dawał za wygraną.

– Przy użyciu lin. Ale to już przekaże wam James.

Młody człowiek ewidentnie miał ochotę jeszcze coś od siebie dodać, ale Chris dyplomatycznie najpierw uniósł dłoń, a następnie wstał i zaczął powoli przedzierać się w stronę wyjścia z namiotu.

– Już? – usłyszał skonsternowany szept Michała.

Kiwnął głową i odpowiedział:

– Muszę jeszcze przygotować sprzęt i dokładnie wszystko przemyśleć. Nie mieliśmy na to wcześniej czasu – wyjaśnił.

Oczywiście wymówka była kiepska, jednak nie potrafił się skupić na tyle, aby dalej prowadzić zebranie. Musiał wyjść i zaczerpnąć powietrza. Nowy kompan już działał mu na nerwy, chociaż Chris nie potrafił powiedzieć dlaczego – nieraz wspinał się z dopiero co poznanymi ludźmi i nigdy nie było problemów.

Wychodząc z namiotu, kiwnął tylko głową Jamesowi. Był pewien, że stary przyjaciel dokładnie wszystko zrozumiał i bez większego problemu będzie mógł kontynuować. Widział, że Sara i Katarzyna odprowadzały go wzrokiem, jednak nie odwzajemniły ich spojrzeń.

Uderzyło go mroźne powietrze. Odszedł parę kroków od dużego namiotu, zagłębił się między mniejszymi, mieszkalnymi, jednak i te minął, kierując się w stronę wysokich skał. Wystarczyła niespełna minuta spaceru, aby poczuł się znacznie lepiej. Trzeszczący pod butami śnieg, ciemna noc rozświetlana niezliczoną ilością gwiazd, dominująca, przejmująca cisza – to był jego świat. Zgasił czołówkę, aby bardziej wczuć się w klimat, mocniej zagłębić się w noc. Potrzebował tego.

Odszedł mniej więcej pięćdziesiąt metrów od obozu, błędząc w ciszy i ciemności w poszukiwaniu dostatecznie dużego głazu, na którym mógłby usiąść i kontemplować. Wreszcie znalazł odpowiedni, na który sprawnie wskoczył i pogrążył się w odcięciu własnych rozważań. Spojrzał na majestatyczny, skryty w mroku szczyt Gangkhar Puensum, zastanawiając się, co też góra im przygotowała.

Jednak niedające się ujarzmić myśli co chwila uciekały do Antoniego. Niby dostał wiadomość, ale jakiś głos z tyłu głowy śmiał się z niego, szydząc z faktu, że tak łatwo dał się na to nabrać.

Nagle usłyszał szelest dochodzący gdzieś od strony namiotów. Mimowolnie skupił wzrok i wstrzymał oddech. Nie chciał podsłuchiwać, jednak intuicja podpowiadała mu, że warto pozostać nieruchomym i niezauważonym. Po paru sekundach zobaczył jakąś postać, podnoszącą się ze śniegu, czujnie rozglądającą się i ponownie schylającą ku ziemi. Chris zauważył, że wyglądała na naprawdę sporą. Nawet pomimo dzielącej ich odległości stwierdził, że mogła mierzyć co najmniej metr dziewięćdziesiąt. Nie mógł sobie przypomnieć nikogo tak wysokiego w grupie, chociaż mógł to być jeden z tragarzy, którego wcześniej nie zauważył. Skulił się, zasłonił ręką szybką czołówki, żeby przypadkiem nie odbiła żadnego zbłąkanego strumienia światła, i zastanowił się, co powinien dalej zrobić.

Nie miał jednak zbyt dużo czasu do namysłu, bo nagle dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie – tajemnicza postać ponownie wstała i rzuciła się pędem w stronę gór-

skiego zbocza, a z namiotu, przy którym majstrowała, zaczął wydobywać się podejrzany syk.

Chris poderwał się, aby ruszyć w pościg za nieznanym, ale... zawahał się. Nie był pewien, co powinien zrobić – rzucić się w pogoń czy podbiec do namiotu i zoba-
czyć, co się w nim wydarzyło.

Zastanawiał się zbyt długo, niemniej jednak, jak mu później powiedziano, wahanie mogło uratować mu życie.

Mrok nocy rozświetlił bowiem gwałtowny huk eksplozji. Chris w ostatniej chwili padł na śnieg, zasłaniając rękami głowę, ale przez to boleśnie obił sobie łokcie. Ułamek sekundy później jakiś metalowy odłamek przeleciał nad nim, rykoszetem odbijając się od skał. Huk wybuchu niósł się echem po dolinie, a kawałki płonącego namiotu opadały leniwie w promieniu prawie stu metrów, niczym świetliste lampiony.

– To zły omen, mówię ci – powiedział cicho Olo, uważnie wpatrując się w kubek z parującą herbatą. Było już rano. Podkrążone oczy i puste spojrzenia osób zebranych w wielkim namiocie, tym razem pełniącym funkcję stołówki, mówiły same za siebie.

Katarzyna zerknęła na niego podejrzliwie znad owsianki, ale niczego nie powiedziała. Nie chciała wchodzić w teorie spiskowe ani wierzyć konspiracji, a podejrzewała, że facet tylko na to czeka. I bez tego czuła się wystarczająco nieswojo.

Po nocnym wybuchu rozpoczęła się akcja ratownicza – parę osób gasiło płonący namiot, inni dbali o to, aby ogień się nie rozprzestrzenił. Na szczęście przy leżącym wokół śniegu nie było to zbyt trudne. Wtedy też Chris wraz z kilkoma innymi osobami rzucił się na poszukiwanie obcego, który dokonał sabotażu i – jak później twierdził w rozmowie tylko z Michałem i Jamesem – doprowadził do eksplozji. Nie znaleźli nikogo, a co najdziwniejsze, ślady kończyły się w dość nietypowy sposób – urywały się kilka metrów przed skalną ścianą, jakby agresor rozpułnął się w powietrzu.

Poszukiwania miały zostać wznowione rano, przy dziennym świetle, chociaż informacja o ewentualnym sabotażu została utajniona. Kierownicy wyprawy jednogłośnie stwierdzili, że miał miejsce wypadek. Pewne fakty rozsądniej było przemilczeć, nie miało sensu wprowadzanie nerwowej atmosfery.

– Co mówisz? – zapytała siedząca przy nich Sara.

– Że to zły omen. Powinniśmy odpuścić – powiedział odrobinę głośniej. Jakieś sprawne ucho wychwyciło ten komentarz, czyjaś głowa delikatnie odwróciła się w jego stronę.

– Ciszej – powiedziała Katarzyna. – Nie potrzebujemy sensacji.

– No przestań, po prostu mówię, co myślę – zaczął się tłumaczyć, ale Sara się wtrąciła:

– Profesor ma rację. Nie ma sensu stresować i tak już zestresowanych ludzi. Spójrz na nich.

Mówiąc to, konspiracyjnie zerknęła na siedzących z nimi innych członków wyprawy. Wydawali się przygaszeni, bali się gwałtowniej poruszyć, głośniej rozmawiać. Jakby nocna eksplozja cały czas rezonowała w ich głowach i sercach. Nie dość, że nie

byli doświadczeni w tego typu wyprawach, to jeszcze nocny wypadek drastycznie obniżył ich morale.

Katarzynie przypomniła się sugestia córki, że może góra powinna pozostać niezdojta. Że może na Ziemi są miejsca, w których po prostu człowiek nie powinien się pojawiać. Zadrżała, i bynajmniej nie z zimna.

Michał krążył wokół niewielkiego głazu, czujnie rozglądając się wokół. Nie mógł sobie pozwolić na to, aby ktokolwiek przeszkodził mu w rozmowie, którą właśnie przeprowadzał.

– Jesteś pewien, że to był atak? – usłyszał jak zawsze spokojny, stonowany głos doktora Rittnera. Oczami wyobraźni widział, jak jego przełożony siedzi odchylony na skórzanym fotelu i bawi się piórem. Miał to w zwyczaju, zwłaszcza gdy coś go gnębiło.

– Tak – odpowiedział uważnie, pamiętając, jak dokładnie musi dobrać słowa. – Zabezpieczyliśmy wszystko jak należy, nie było mowy o pomyłce. Chris widział kogoś, kto podobno zbliżył się do namiotu, coś przy nim majstrował i szybko się oddalił. Potem ten sam namiot wyleciał w powietrze.

– Mhm, rozumiem – stwierdził po drugiej stronie doktor. – Dużo sprzętu straciliśmy?

– Jakieś czterdzieści procent butli z tlenem. Sporą część jedzenia, większość środków medycznych. Wiedzieli, gdzie uderzyć.

– Straty w ludziach?

– Żadnych. Wszyscy byli w głównym namiocie, na odprawie. Tylko Chris z niego wyszedł.

– Myślisz, że to mógł być on?

Michał zganił się za to, że sam na to wcześniej nie wpadł. Przecież Chris mógł skutecznie taką akcją dywersyjną. Po co? Chociażby po to, aby zagrać na czas, czekając na Antoniego. Michałowi ta teoria wydała się mocno naciągana, szybko więc ją odrzucił.

– Nie, to nie był on – stwierdził z pewnością w głosie.

– Czyli jednak... – doktor powiedział to bardziej do siebie niż do Michała.

– Słucham?

– Nie, nic. Nieważne. Po prostu uważajcie na siebie... może pomyśl nad wystawieniem jakiejś straży w obozie, wart, masz przecież do dyspozycji ludzi. Tylko dyskretnie, żeby nie siać niepotrzebnej paniki. I śpieszcie się. Sam wiesz dlaczego.

Michał zamyślił się na chwilę, ale jedyne, co mógł zrobić, to pokornie pokiwać głową i zastosować się do poleceń przełożonego.

– Tak jest, dobrze. Tak zrobimy.

– Doskonale – stwierdził jego rozmówca i jeszcze przed zakończeniem rozmowy dodał: – Oczywiście sprzęt, który straciliście, jest już w drodze. Nie traćcie czasu. Powodzenia.

Powiedziawszy to, Rittner odłożył telefon i zastukał palcami w mahoniowe biurko.

Czyli jednak było tak, jak dało się przewidzieć, pomyślał. Wiedzieli o nich. Wiedzieli, śledzili, sabotowali. Pewnie też stali za klęską pierwszej wyprawy, co tylko potwierdza jego teorię.

Doskonale.

– Peta! – zawołał.

Do gabinetu wszedł potężny, barczysty mężczyzna. Łysa, naznaczona bliznami i wystającymi żyłami czaszka sprawiała niezbyt pozytywne wrażenie, ale Rittner nie zawołał modelki, tylko szefa swoich najemników. A Peta doskonale znał się na swojej robocie. I wykonywał ją cholernie dobrze. Mężczyzna spojrzał na swojego mocodawcę i zapytał:

– Tak?

– Monitorujcie wyprawę dokładniej. Tylko dyskretnie. Może wyślij kilku snajperów, nie wnikam w to, masz wolną rękę. Ale Zakon zaczyna się coraz bardziej panoszyć.

Peta kiwnął głową i bez słowa zniknął za drzwiami.

W tym samym czasie znajdujący się setki kilometrów dalej Michał wyłączył telefon i odetchnął głęboko. Co tu się dzieje, zaczął się zastanawiać. Przy okazji poczuł, że ta misja zdecydowanie różni się od pozostałych, jakie wykonywał na polecenie doktora. Tu stawka była znacznie wyższa – poddawała próbie jego lojalność, wymagała poświęcenia się i podjęcia olbrzymiego ryzyka. Możliwe nawet, że ryzyka ostatecznego.

Pytanie tylko, czy Michał był na nie gotowy. Do tej pory myślał, że tak, ale gdy stawał oko w oko z niebezpieczeństwem, zaczynały go dopadać coraz większe wątpliwości. ■

ROZDZIAŁ 5

Warszawa, sierpień 2020

Lena obudziła się na kanapie. W pierwszej chwili nie bardzo mogła skojarzyć, gdzie się znajduje i jaka jest pora dnia, jednak po paru chwilach wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Telewizor już dawno się wyłączył, a reszta wina zalegająca na dnie lampki świadczyła o tym, co robiła w ostatnich minutach przed zaśnięciem. Obok lampki stała pusta butelka, chociaż mogłaby przysiąc, że nie przynosiła jej z lodówki. Automatycznie sięgnęła po telefon z nadzieją, że na wyświetlaczu zobaczy wiadomość od mamy. Niestety, na próżno.

Zwilżyła językiem wyschnięte usta. Uniosła się na łokciach, potem usiadła. Ciężko wypuściła powietrze i pogładziła się po głowie, powoli skanując wzrokiem salon. Wyglądał nieźle, aczkolwiek odrobinę gorzej, niż pamiętała z dnia wczorajszego. Wzrok zatrzymał się na opuszczonych roletach, jednak stwierdziła, że chwilowo nie ma co zapraszać światła.

Wolała nie podchodzić do lustra – nie miała specjalnej ochoty weryfikować jakości swojego wyglądu. Zamiast tego z nisko zwieszoną głową podreptała do łazienki. Wiedziała, że jej współlokatorka jest nieobecna, jednak z przyzwyczajenia zamknęła za sobą drzwi. Zapaliła światło, którego ostry blask zaatakował ją z niespodziewaną siłą, zmuszając do przymknięcia powiek. Zakłęła, unosząc rękę w obronnym geście. Po chwili zbliżyła się do umywalki i niechętnie głęboko popatrzyła w swoje opuchnięte oczy, starając się otworzyć je jak najszerzej. Gdzieś tam cały czas tliła się zieleń, jednak zamiast emanować świeżością i życiem, tym razem przypominała zieleń bągienną. Lena czuła się brudna, zmęczona i drażnił ją własny zapach. Westchnęła z rezygnacją.

Nagle usłyszała kroki na korytarzu i nim zorientowała się, co się dzieje, ktoś otworzył drzwi do łazienki. Lena aż podskoczyła.

– Jezus Maria, jak mnie wystraszyłaś!

– Ha, no właśnie widzę. A ja, głupia, myślałam, że się przyzwyczaiłaś, że mieszkamy razem – odpowiedziała z uśmiechem Kryśka. – Ale śmiesznie podskoczyłaś.

Podeszła do Leny i bezczelnie przepchnęła się do zlewu. Sięgnęła po szczoteczkę i szykując się do mycia zębów, zagaiła:

– Co, główka boli, nie? – W jej oczach migotały figlarne iskierki.

– Wal się. Jak widziałaś, w jakim jestem stanie, to mogłaś mnie chociaż obudzić.

Kryśka zaśmiała się głośno, opryskując Lenę pastą do zębów.

– Lencia, skarbenku ty mój, ależ ja cię budziłam. I to ze dwa razy.

Lena uniosła brwi ze zdumienia, ale zamiast odpowiedzieć, machnęła ręką i ziewnęła.

– Dobra, kończ i spadaj, bo muszę się wczłogać pod prysznic.

– No już, już.

– Właściwie to czemu nie jesteś w pracy? – Lena powoli zaczynała kojarzyć fakty.

Kryśka przerwała mycie zębów i odpowiedziała, wymachując szczoteczką przed

lustrem.

– No, dzisiaj nie pracuję. Przecież ustaliłyśmy to ze dwa miesiące temu, pamiętasz? Miał być spokojny dzień, restowy, bo jutro...

– O ja pierdołę.

Oblicze Kryśki znowu rozświetlił szeroki uśmiech.

– Zapomniałaś, co?

– Na śmierć.

– Jezu, ale ty jesteś zakręcona. Ale spoko, jeszcze zdążysz się ogarnąć.

– No, na pewno. Aktualnie mam ochotę zwinąć się w kulkę, położyć w kącie i umrzeć.

– Spoooko, do południa jakoś wydobrzejesz, zamówimy tłustego chińczyka, potem kanapa i seriale, a rano będziesz jak młody bóg. Albo bogini. Jak zwał, tak zwał.

– Srogini – odbiła Lena, z rezygnacją siadając na krawędzi wanny.

Kryśka w tym czasie skończyła myć zęby i opłukała twarz.

– Idę ogarnąć coś do jedzenia, a ty ogarnij siebie. No chyba że chcesz, żeby umyć ci plecki... – zagaiła figlarnie i kołysząc biodrami, zbliżyła się do Leny. Ta natomiast, sprawiając tym samym zawód przyjaciółce, wyciągnęła przed siebie ręce.

– Spadaj, zapomnij. Idź lepiej zrobić mi kawę.

– Zrobię ci, co tylko zechcesz – odpowiedziała niezrażona tym Kryśka, wijąc się obok Leny niczym kotka w rui.

– Kawę. Chcę kawę – odparła z uśmiechem Lena, widząc te teatralne wygibasy. – Idź już!

Kryśka w końcu wyszła, a gdy drzwi się zamknęły, Lena bez zwłoki przekręciła zamek. W końcu była sam na sam ze swoim kaczem.

Zrobiła głęboki wdech i powolny wydech. Stała na środku łazienki, zrzuciła z siebie wczorajsze ubranie, pozwalając mu swobodnie spaść tam, gdzie stała. Podeszła do lustra, dokładnie się przyglądając swojej szczupłej, lekko pociągłej twarzy. Zacisnęła szczęki, uwydatniając i tak już mocniej zarysowane kości policzkowe, otworzyła szerzej oczy, starając się dostrzec w nich zieleni, tak doskonale grającą z zielenią dredów, które nosiła na głowie. Poza zielonymi miała też pasma brązowe. Następnie prześlizgnęła się wzrokiem po swoich licznych tatuażach, złapała w dłonie pełne piersi, delikatnie je unosząc, a potem odsuwając ręce i pozwalając, aby opadły. Klepnęła się kilka razy w całkiem płaski brzuch, spoglądając niżej i upewniając się, że wszystko ciągle jest na swoim miejscu i w stanie, jakiego oczekiwała. Stała na palcach, przekręciła się bokiem. Kiwnęła z zadowoleniem głową, kończąc tym samym przegląd. Nie ma dramatu, pomyślała i weszła pod prysznic.

Kryśka, stojąc w kuchni i przygotowując śniadanie, usłyszała przytłumiony przez drzwi okrzyk dziewczyny. Nie po raz pierwszy zastanowiła się, jak można dobrowolnie wejść pod lodowatą wodę, rano, i to jeszcze na kacu. Pokręciła głową z pełnym uznania uśmiechem.

Kilkanaście minut później dziewczyny spotkały się w skromnie, ale gustownie urządzonej kuchni. Lena lubiła gotować i spędzać czas w tym pomieszczeniu – dlatego imitujący drewno blat musiał być odpowiedniej wielkości, przy oknie stała szeroka

drewniana donica ze świeżymi ziołami, a ze ściany zwisał olbrzymi warkocz czosnku. Kiedy gotowała, zawsze pachniało tu świeżością, lasem i obietnicą doskonałego posiłku.

– O, wyglądasz jak człowiek. No, prawie – skomentowała Kryśka na jej widok. Lena założyła zielone spodniki, kończące się ledwo poniżej kroku, i zwykłą czarną bluzkę na ramiączkach, spod której przebijał czarny stanik. Wielki, misternie wykonany gekon, spoczywający na jej prawym ramieniu, gotów był wyrwać się spod skóry i zaatakować. Tatuaz kończył się w połowie pleców, z daleka wyglądał tak, jakby jaszczurka przysiadła na dziewczynie i wysunął ciekawie łeb nad jej ramieniem, przyglądała się światu.

– Wal się. Kawy.

Kryśka kiwnęła głową w stronę kubka, z którego unosiła się para. Lena podeszła, złapała go oburącz i od razu pociągnęła kilka krótkich, ostrożnych łyków. Westchnęła z rozkoszą.

– Spokojniej, bo zaraz się nakręcę.

– Ty jesteś wiecznie nakręcona – skomentowała Lena, posyłając jej spojrzenie zza parującego kubka. Śmieszły ją te ich przekomarzania się, lubiła je, chociaż nigdy do niczego więcej między nimi nie doszło. Kryśka była fajna, zdrowa, jak się mówiło na mieście, ale Lena nie była pewna, czy chce wchodzić na takie terytoria ich przyjaźni. Wolała tego nie robić. Zbyt wiele było do stracenia.

Nagle współlokatorka spoważniała, wiedząc już, że i tym razem nie uda się jej niczego osiągnąć.

– No dobra, laska, opowiadaj, jak tam było wczoraj na randce.

– A weź, nie ma o czym mówić. Palant. Cały czas tak naprawdę zastanawiam się, czemu w ogóle się z nim spotkałam.

– Ojej. Jak mi przykro – skwitowała z uśmiechem przyjaciółka.

– No, domyślałam się, jak strasznie z tego powodu ubolewasz.

– A co z tym zleceniem? Miałś mu coś tam ogarniać w plenerze, nie? Jakaś działka, dworek.

– Nawet o tym nie rozmawialiśmy. To znaczy wspomniał, że ma jakąś działkę, chyba gdzieś za Piasecznem, nie pamiętam. Ponoć jest tam od groma wielkich, starych domów. Wiele opuszczonych... – mówiąc to, uniosła jednoznacznie brwi i podrapała się za uchem.

– Spadaj. Po ostatniej akcji nie łążę z tobą po opuszczonych domach. Cały czas ten alarm świdruje mi czaszkę. Lencia, a tak zmieniając temat... Zanim wczoraj padłaś trupem, oglądałaś jakieś wiadomości, czy coś?

Lena spojrzała podejrzliwie na Kryśkę. Dopiero po paru sekundach przypomniała sobie rozmowę z Maćkiem, film na YouTube i strach, jaki w niej wywołał.

– Nie... – odpowiedziała ostrożnie. – A czemu? Co jest?

Kryśka przez chwilę milczała, uważnie przyglądając się przyjaciółce, ale w końcu uznała, że spróbuje zadać pytanie inaczej.

– A byłaś chociaż w necie?

Lena stwierdziła, że nie bardzo ma ochotę na gierki i zabawy, więc przeszła do

rzeczy, może odrobinę zbyt agresywnie, niż zamierzała:

– Krycha, powiedz po prostu. Co się dzieje? Ruscy nas napadli, ISIS dokonało kolejnego zamachu, co? W ciąży jesteś? Ja jestem?

– Spokojnie, słońce ty moje, spokojnie – odpowiedziała szybko przyjaciółka, zrobiwszy kroczek w tył i upewniwszy się, że Lena nie zamierza ani oblać jej gorącą kawą, ani zrobić niczego innego, równie nieprzyjemnego.

– Dobra, luz. Sorry. Mów, co jest grane.

Kryśka posłała jej podejrzliwe spojrzenie, niemiej uznała, że jest względnie bezpieczna.

– Coś się stało ze zwierzętami.

– A, to... No wiem, rzeczywiście, widziałam wczoraj film z zoo. Fakt, dziwna sprawa. Ale że aż w wiadomościach o tym mówili? No i ja pewnie bym się na miejscu tych ludzi...

– Z warszawskiego, czy którego?

Lena zamilkła i spojrzała pytająco, przekrzywiając głowę.

– Dobra. Pewnie z warszawskiego, ale to nie ma znaczenia. Zwierzętom odbijało wszędzie jednakowo – usłyszała w odpowiedzi.

– Jak to wszędzie?

– No to, co widziałś na filmiku, działo się w różnych miejscach.

Wzrok Leny cały czas wyrażał kompletne niezrozumienie.

– Jezu, czego nie kumasz? Widziałś film z jednego zoo, to teraz przemnoż to sobie przez wszystkie inne, jakie tylko istnieją. Polskie, zagraniczne. Wszystkie. Wszędzie.

– Co ty pierdolisz?! – W tym momencie Lenę stać było jedynie na taką ripostę.

– No serio, przecież sama bym tego nie wymyśliła. Mówili w faktach, w wiadomościach, Internet aż pęka od filmików i relacji. Wszędzie zwierzęta najpierw się zatrzymywały, a po chwili zaczynały się wpatrywać w ludzi. Jakieś to dla mnie upiorne, nie wiem. Straszne.

– No – pokiwała głową Lena. – Wiem, masakra. Ciekawe, co im odbiło.

– Właśnie nikt nie wie. Nie wiedzą nawet, jak to ugryźć, gdzie szukać.

– Niby śmieszne, ale...

– Właśnie. Ale wcale nie takie do końca zabawne – skwitowała Kryśka. – Ponoć nie tylko w zoo.

– Ale... i co, dalej tak stoją? – zapytała Lena.

– A wiesz, w sumie to nie wiem. Dobre pytanie. Ale chyba nie. Nie, widziałam jakiś komentarz, gdzieś mówili, że po paru minutach wszystko wróciło do normy.

Lena zmarszczyła brwi, ale przyjaciółka nie powiedziała już niczego więcej. Dziewczyny zamilkły, nie bardzo wiedząc, jak mogłyby skomentować całą tę sytuację. W międzyczasie Kryśka skończyła robić jajecznicę z kurkami, przełożyła ją na talerze i przesunęła parujące danie w kierunku Leny.

– Dzięki, ratujesz mi życie – powiedziała dziewczyna, sięgając po widelec.

– Spoko, nie pierwszy, nie ostatni raz – mówiąc to, Kryśka puściła do Leny oko.

Podczas jedzenia rozmawiały o mało istotnych rzeczach, natomiast po skończo-

nym posiłku Lena zakomunikowała, że musi się uwalić na kanapie, bo do niczego innego się nie nadaje. Obiecała również, że jak tylko dojdzie do siebie, to grzecznie posprząta, zastrzegając, że Kryśka ma po prostu wyjść z kuchni, zostawiając wszystko tak, jak jest. Zapomniały o temacie dziwnego zachowania zwierząt. Jeszcze zanim opuściły kuchnię, Lena przypominała sobie psa oraz armię ptactwa, która napawała ją lękiem, niemniej zdecydowała się zachować to dla siebie. Zastanowiła się jeszcze, czy to właśnie przez nie tak szybko się upiła, jednak nie udało jej się znaleźć satysfakcjonującej odpowiedzi.

Pomyślała też o tym, co robi teraz jej matka, gdzie się znajduje, jak radzi sobie z pogodą. Dlaczego od paru dni się nie odzywa, pomimo monitów z jej strony, pomimo SMS-ów i nieodebranych połączeń, które musiała przecież widzieć. Czy też trafiła na dziwne zachowujące się zwierzęta? Czy zginęła pod lawiną? Może wpadła w szczelinę, w której umierała długie godziny, samotna, zmarznięta i przerażona? Myśląc o tym, Lena chyba znalazła prawdziwy powód wczorajszego upicia się. ■

KREW

„The Presence of Goddess”
Obscure Sphinx

ROZDZIAŁ 6

Bhutan, sierpień 2020

– O matko – wyszeptała Katarzyna Piskorczyk. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat poczuła autentyczny lęk. Od momentu urodzenia Leny, od kiedy zostawił ją mąż, niejednokrotnie się bała, jednak prawie nigdy nie był to strach związany bezpośrednio z nią samą – zawsze bała się o kogoś. Teraz jednak czuła niemalże paralizujący lęk na myśl o zagłębieniu się w mroczne, niezbadane czeluści jaskini. Zapomniała o przenikającym do szpiku zimnie, zapomniała o zmęczeniu – patrzyła jak zahipnotyzowana w rzeźbione wejście, starając się zachować resztki zdrowego rozsądku.

– Powinniśmy wejść do środka, tam przeczekać burzę – usłyszała w słuchawce zniekształcony głos Chrisa.

– Proszę bardzo, droga wolna – zasugerował James, ewidentnie demonstrując, że nie ma ochoty pchać się tam pierwszy. Tymczasem zamieć przybierała na sile, śnieg ze zwiewanymi ze szczytu drobinami lodu wściekle atakował kombinezony, utrudniał orientację w terenie i niemalże spychał powiązanych ze sobą członków wyprawy na krawędź urwiska. Katarzyna odwróciła się i zobaczyła, jak przez nawałnicę przebija się drobna postać speleolożki.

– Panie przodem, prawda? – zapytała zaskakująco wesołym głosem Sara, jakby apokaliptyczne warunki nie robiły na niej najmniejszego wrażenia.

– Tylko ostrożnie – poprosił Chris. Michał, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, siedział cicho i nie wtrącał się w komendy wydawane przez kierownika ekspedycji. Wyciągnął rękę do Sary i pomógł jej przejść. Kobieta podeszła następnie do Chrisa i Jamesa, którzy stali tuż przed Katarzyną.

– Dobra, Michał, wchodzimy, sprawdzamy i jak potwierdzimy, że jest okej, po nas wejdzie reszta. Na razie musicie jeszcze parę minut wytrzymać. Co my tu mamy...? – zapytała, osłaniając gogle ręką przed śniegiem, aby cokolwiek zobaczyć.

Przez parę chwil wyteżala wzrok, próbując dostrzec jakieś szczegóły i raz po raz odchylając się w lewo lub w prawo, chociaż szalejąca zamieć bardzo jej to utrudniała.

– O kurwa – wyszeptała wreszcie, jednak czuły mikrofon wyłapał i to. Dopiero z tej odległości udało jej się dostrzec zarys wejścia do jaskini. Wysoki na prawie trzy metry, szeroki na dwa otwór przypominał rozwarte usta starca. Nasypy śnieżne przed wejściem tworzyły wzgórki, które z łatwością można było pomylić z brwiami oraz nosem. Sara przełknęła ślinę, przeklinając w duchu wybujałą wyobraźnię. Spojrzała w górę, starając się ocenić, czy podczas próby przejścia nic nie zleci jej na głowę, ale nie zobaczyła żadnego zagrożenia, chociaż właściwiej byłoby powiedzieć, że nie zobaczyła kompletnie niczego. Niemniej zdecydowała się zaryzykować i ostrożnie ruszyła przed siebie.

– Uważaj. – Poczła dotyk na lewym ręku. Odwróciła się i zobaczyła zatroskane oczy Chrisa.

Kiwnęła głową i ruszyła w drogę. Czuła, że mężczyzna idzie tuż za nią, co niewątpliwie dodawało jej otuchy, chociaż wiedziała, że nie do końca jest to najbezpieczniej-

sze rozwiązanie. Przebiła się systematycznie przez gęsty śnieg, stopniowo zbliżając się do wejścia. Przez nawałnicę raz po raz ukazywał się długi, ciemny tunel na wprost niej, znikający gdzieś w niezgłębionym mroku góry. Brnęła jednak niezłomnie do przodu, mozolnie walcząc z wiatrem. Wreszcie z odległości kilku metrów dostrzegła, że śnieżny nasyp wchodzi do środka na co najmniej kilka metrów, ale dalej powinno być sucho i względnie bezpiecznie. Poczła zdecydowany przypływ sił.

– Chyba da się wejść! – krzyknęła. – Idę pierwsza!

Machnęła ręką pozostałym, zachęcając ich, aby ruszyli w jej ślady. Absolutnie nikogo nie trzeba było szczególnie zachęcać – członkowie wyprawy byli tak zmarznięci, przemoczeni i zmęczeni, że najpewniej co poniektórzy zaczęli już rozważać opcje wykopania jam w śniegu, jeżeli jaskinia okazałaby się zbyt ciasna. Musieli jednak poczekać, aż zwiadowcy wykonają swoje zadanie.

Sara podeszła bezpośrednio do wejścia. Zbliżyła się do zaskakująco równej i gładkiej skalnej ściany. Ukucnęła, ściągnęła z ramion plecak i wygrzebała z niego dużą, ciężką latarkę – wcześniej odradzano jej zabieranie takiego sprzętu, jednak doświadczenie kazało jej posłuchać instynktu. Miała przy sobie jeszcze pięć dodatkowych źródeł światła, lecz w tym momencie nie były one przydatne. Przetawiała latarkę czołową, zamontowaną na kasku, na daleki i mocny snop światła – przede wszystkim musiała się upewnić, że pokrywa śnieżna nie skrywa żadnej zapadni czy szczeliny, w którą ktoś mógłby wpaść. Wstała powoli, przecinając mrok dwoma mocnymi, białymi wiązkami światła. Tunel był zaskakująco równy, jakby wyciosany w skale – przeszło jej przez myśl, że wygląda na wydrążony celowo. Nie wiedzieć czemu zaniepokoiło ją to – niezbyt często w naturze trafia się na tak długie i symetryczne przejścia. Kto jak kto, ale ona doskonale wiedziała, że zawsze jest gdzieś jakieś załamanie, coś skądś wystaje, jakieś głązy pokrywają korytarz w mniejszym lub większym stopniu – ten tunel natomiast wyglądał jak rękaw wiodący do samolotu, z tą tylko różnicą, że nie schodził w dół, tylko prowadził wędrowca zupełnie poziomo.

Skupiła się na zabezpieczeniu przejścia. Sprawdziła, czy lina przywiązana do uprząży jest na miejscu, odwróciła głowę do Chrisa i pokazała ręką, że idzie dalej w głąb. Mężczyzna uniósł kciuk i skrócił linę po to, żeby ewentualny upadek Sary był jak najkrótszy. Po chwili jednak powiedział:

– Poczekaj.

Słyszając to, Sara zamarła w bezruchu. Łażenie po jaskiniach i górach nauczyło ją szybko i bezbłędnie reagować na tego typu komendy. Odwróciła się i zobaczyła, jak James wskazuje pęknięcia i skalne ucha różnej wielkości, mniej więcej na wysokości piersi Chrisa, jeszcze przed tym gładkim i równym fragmentem, który odkryła Sara. Wykonał parę skomplikowanych gestów, jednak Chris szybko zrozumiał, o co chodzi. Uniósł dłoń w kierunku Sary:

– Chwila, zrobię szybko stanowisko wokół tego zęba, będę mógł cię bezpiecznie asekurować.

Dziewczyna kiwnęła głową. Nie czekając na jej reakcję, Chris sięgnął do uprząży, z której ściągnął dwie długie taśmy. Strzepnął z nich śnieg, a następnie przerzucił przez wystające ucha skalne i połączył je skomplikowanym węzłem. Do węzła wcze-

pił zakręcany karabinek, włożył weń Reverso i przełożył przez nie linę, którą byli związani. Teraz mógł ją asekurować za pomocą przyrządu, nie masą własnego ciała. Przyjrzał się krytycznie swojemu dziełu i gdy upewnił się, że wszystko jest idealnie, powiedział:

– Dobra, możesz iść.

Sara kiwnęła głową i ruszyła dalej. Szła spokojnie, ostrożnie stawiając kroki. Pomimo zabezpieczenia, co do którego była pewna, że ją utrzyma, mogła spaść w jakąś nieznaną grotę czy szczelinę, która nagle mogłaby się pod nią otworzyć, na co wcale nie miała ochoty. W najlepszym wypadku po prostu by się obijała, w najgorszym mogłoby to się skończyć złamaniem nogi lub nawet karku. Wiedziała, jak krótko jest ściągana lina, znała też doświadczenie Chrisa – dzięki temu wszystkiemu czuła się zdecydowanie bezpieczniej i pewniej. Krok za krokiem, rozglądając się wokół, skanowała wzrokiem nieznaną. Nagle, zupełnie nie dostrzegając tego wcześniej, mniej więcej metr przed sobą zobaczyła dwa wgłębienia w śniegu. Wyglądały jak ślady... stóp? Zmarszczyła brwi, nie bardzo wiedząc, jak powinna to rozumieć. Odwróciła się, aby sprawdzić, czy ślady znajdują się także za nią i jakimś cudem po prostu ich nie zauważyła. Nie było ich tam jednak. Spojrzała na nie ponownie, zastanawiając się, skąd mogły się tam wziąć.

– Chris, przejdź na inny kanał – poprosiła, od razu sięgając po krótkofalówkę i przestawiając kanał na trzeci oraz pokazując mu dłoń z trzema uniesionymi palcami.

Po paru sekundach rozległ się trzask.

– Co jest? – zapytał Chris.

– Nie wiem, o co chodzi, ale wydaje mi się, że widzę... – zaczęła, jednak przerwał jej kolejny trzask i doskonale znany głos:

– Co to ma być? Mieliśmy się komunikować publicznie – oburzył się Michał, przerywając im rozmowę.

Sara nabrała głęboko powietrza. To nie było ani miejsce, ani czas na kłótnię. Poza tym jakim cudem odgadł, na jakiej częstotliwości się komunikują? Nie miało to teraz znaczenia. Sara wiedziała, że musi grać twardo.

– Michał, czyli miałam powiedzieć na oficjalnym kanale, że widzę przed sobą coś, co wygląda jak ślady człowieka, i zapytać się, czy może ktoś widział tubylca?

Zgodnie z jej przypuszczeniami odpowiedziała jej cisza. Michał walczył z myślami, zastanawiając się, czy powinien teraz, w końcu, powiedzieć coś na temat wyników skanu, jakie do niego wcześniej dotarły. Oglądając je przed ekspedycją, nastawiał się na przygodę życia, na odkrycie nieznanego i przejście do historii. Bez wątpienia dość intratne, o czym ani przez chwilę nie zapominał. Lecz tu, na wysokości kilku tysięcy metrów, w obliczu śladów potwierdzających istnienie tajemniczych stworzeń, poczuł się dziwnie mały i niepewny. Klepnął się po kieszeni kurtki, aby upewnić się, że ukryty tam pistolet znajduje się na swoim miejscu.

– Sara, jesteś pewna, że to ślady człowieka? – zapytał Chris, wykazując się większym zaangażowaniem i troską.

– Nie. Nie widzę też żadnych innych śladów, są tylko te dwa, chociaż wyglądają jak ślady stóp – wyjaśniła, rozglądając się wokół. – Może coś spadło, ale niczego nie

ma, nie wiem... – Była teraz jakieś dziesięć metrów od Chrisa, ale odwróciła się i uniosła ręce w geście bezradności.

– Wątpię, żeby to były ślady człowieka. Nikt samotnie nie przeżyłby na tej wysokości. Idź dalej – zablefował Michał.

Znawca się odezwał, pomyślała Sara, ale nic nie powiedziała. Zamiast tego zwróciła się do Chrisa:

– Co myślisz?

– Idź. Trzymam cię – zapewnił.

Spodziewała się tego. No cóż, pomyślała. Raz kozie śmierć. Odetchnęła głęboko i ruszyła. Ostrożnie minęła ślady, cały czas uważnie się im przyglądając. Obeszła je, zostawiając kilkadziesiąt centymetrów za sobą, i w momencie, w którym śnieg zaczął się pod nią zapadać, uświadomiła sobie pewną paskudną rzecz – to mogły być ślady humanoidalnej istoty, która nie poruszała się jak człowiek, lecz wykonywała długie skoki. To tłumaczyłoby, dlaczego znajdowały się one jedynie na środku śnieżnego języka.

Nie pomyślała jednak, że tajemnicza istota chciała przeskoczyć pułapkę, w którą właśnie spadała.

Profesor Piskorczyk, stojąca tuż przy Jamesie i obserwująca wszystko z bezpiecznej perspektywy, zamarła. Usłyszała krzyk Sary i zobaczyła, jak lina napina się na całej długości. Chris był jednak na to przygotowany – sprawnie zablokował ją w przyrządzie asekuracyjnym, nie pozwalając, aby Sara spadła w nieznaną. A przynajmniej aby nie spadła zbyt głęboko.

Z powodu burzy nie dało się usłyszeć stłumionego łupnięcia, jakie towarzyszyło spotkaniu dziewczyny ze skalną ścianą. Mimo że instynktownie rozstawiła szeroko ramiona i nogi, obila sobie bok, lecz na szczęście nic poważnego się nie stało. Zleciała niespełna dwa metry.

– Sara, jesteś cała? – usłyszała trzask w słuchawce.

– Tak, tak. Chyba nic sobie nie zrobiłam – wysapała, ciężko dysząc do mikrofonu. Ze strachem patrzyła w otwierającą się pod nią czeluść. – Musisz mnie trochę podciągnąć. Nie mam punktu zaczepienia – powiedziała, patrząc ku górze. – Ostrożnie, bo lina szoruje o krawędź, a nie wiem, jak bardzo jest ona ostra.

Dziewczyna sięgnęła po czekany i spróbowała wbić je w odpowiednie miejsca, których niestety było jak na lekarstwo.

– Okej, poczekaj chwilę – powiedział Chris.

W momencie, w którym Chris prosił Jamesa o pomoc, Sara miała okazję przyjrzeć się rozpadlinie, w którą wpadła. Gdy uniosła głowę, zobaczyła wyraźnie, że ma ona szerokość korytarza skalnego, niemalże idealnie sięgając od jednej ściany do drugiej. Wydawała się symetryczna na całej swej długości, otwór miał bowiem jakieś dwa, może dwa metry z kawałkiem. Wyglądał jak wycięty w podłodze kwadrat. To była dziwna formacja, z którą dziewczyna wcześniej się nie spotkała. Może nawet odrobinię zbyt dziwna. Spojrzała jeszcze w dół, świecąc daleko latarką czołową. I wtedy poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

– Uważaj, ciągniemy – usłyszała w słuchawce.

– Okej, tylko ostrożnie. Nie wiem, jak wygląda krawędź – powtórzyła. Znaczną część ciężaru ciała oparła na wbitych w ścianę rakach i czekanie. Przynajmniej tyle mogła zrobić.

Nie usłyszała odpowiedzi. Poczwała natomiast, że powoli zaczyna się wznosić. Spojrzała ponownie w dół. Światło padło na ostre zęby skalne wystające z podłoża, które znajdowało się dobrych kilka metrów poniżej. Jeżeli udałoby się jej jakimś cudem przeżyć upadek, bez wątplenia nadziałyby się na któryś z tych kolców, jeżeli nie na kilka naraz. Po raz kolejny wydało się jej to zdecydowanie zbyt nienaturalne i podejrzane, jak na formację, którą stworzyła natura. Nie, nie, to musiało być dzieło człowieka. Tylko czyje i po co?

Z powodu tych myśli przez chwilę poczuła się jak Lara Croft. I przez taką samą chwilę wyobrażenie to wydało się jej tyleż zabawne, co przerażające. Bynajmniej nie grała w filmie.

Po kilku sekundach dotarła do krawędzi pułapki – bo tak ją nazwała w myślach. Zaczepiła czekany, zwinnie podciągnęła się do góry i wyskoczyła na śnieg. Jej ruch i powstały na linie luz był tak niespodziewany, że Chris przewrócił się na Jamesa.

– Ej, spokojnie! – powiedział ten drugi. Jednak w jego głosie słyhać było rozbawienie. – Jesteś cała, na pewno nic ci nie jest? – zapytał, pomagając jedną ręką Chrisowi się podnieść. Drugą cały czas trzymał zaciśniętą na linie.

– Tak, ale to... – zaczęła, jednak zamilkła, szukając odpowiednich słów, pomimo tego, że cały czas rozmawiali na prywatnym kanale. – To jakaś pułapka. Serio, nie patrz tak na mnie. Chodź i sam zobacz.

Chris zmarszczył brwi pod goglami, ale zaczął majstrować przy przyrządzie asekuracyjnym. Przekazał go następnie Jamesowi, samemu blokując wcześniej linę w węźle flagowym, dzięki czemu Sara była w pełni zabezpieczona przed ponownym ześlizgnięciem się do pułapki. Następnie ruszył w kierunku dziewczyny.

W międzyczasie Katarzyna ostrożnie wkroczyła do jaskini, nie czekając na zaproszenie. Zauważyła, że części członków ekipy też znudziło się ślęczenie na mrozie i również ruszyli powoli, z Michałem na czele, w ich stronę, chociaż nikt ich do środka nie zaprosił, nikt nie potwierdził, że jest bezpiecznie.

– Co się stało? – zapytała Jamesa, podchodząc tak blisko, że nie musiała używać mikrofonu.

– Sara spadła, ale wyciągnęliśmy ją. Coś bredziła o jakiejś pułapce. Nie wiem. Chris poszedł sprawdzić – wyjaśnił, nie spuszczać przyjaciela z oczu.

Profesor Piskorzyc zamyśliła się, nie bardzo wiedząc, jak ma to rozumieć. Kiwnęła tylko głową i ostrożnie, trzymając się liny, ruszyła śladem Sary i Chrisa. Przyglądała się jaskini, która dla niej nie wyróżniała się niczym szczególnym.

– Poczekaaj, nie idź jeszcze – usłyszała głos Jamesa za sobą, ale nie odpowiedziała mu. Zamiast tego w uspokajającym geście uniosła dłoń, aby pokazać, że nie zamierza robić niczego głupiego. Chciała po prostu podejść parę kroków i poświecić w głąb korytarza, rozejrzeć się, a nie stać beczynnym. Przystawiła latarkę czołową na skupiony strumień światła o maksymalnej mocy i zdjęła gogle, aby lepiej widzieć.

Z początku wszystko wyglądało normalnie – skalne ściany były stosunkowo gład-

kie i pionowe, ale nie znała się na jaskiniach na tyle, aby uznać to za normę czy wręcz przeciwnie – anomalię. Z popękanego gdzieniegdzie sklepienia zwisały niewielkie so-
ple. Korytarz, ciągnący się na wprost jeszcze kilkadziesiąt metrów, nagle zniknął, za-
kręcając w lewo. Spokojnie przyglądała się czekającemu ich przejściu, gdy nagle po-
czuła, jak przechodzi ją dreszcz, nie związany jednak z panującą w jaskini temperatu-
rą – przez chwilę bowiem wydawało się jej, że zobaczyła przemykający w oddali cień.

Zmrużyła oczy, starając się dostrzec jak najwięcej szczegółów, jednak rzekomy
ruch już się nie powtórzył. Jej mózg bardzo szybko to sobie wyjaśnił – cień po prostu
rzuciła Sara albo Chris, tyle. Nie ma się czego bać, upomniała się w myślach. Jednak
w tej samej sekundzie zupełnie irracjonalnie po raz kolejny przypominała sobie roz-
mowę z Leną, w której tak ironicznie komentowała wierzenia Bhutańczyków i ich za-
bobony na temat bogów, rzekomo zamieszkujących szczyt Gangkhar. Przełknęła ślinę
przez dziwnie zaciśnięte, zmarznięte gardło.

– Dobra, James, będziemy potrzebowali więcej sprzętu – zarządził Chris, przecho-
dząc na oficjalny kanał komunikacji. – Mamy drabinę?

– Tak, jeszcze dwie powinny być – odpowiedział James.

– Możemy wejść do środka? – zapytał Michał, zaglądając do jaskini.

– Tak, tylko nie podchodźcie tu zbyt blisko. Musimy dokładnie zbadać korytarz,
żeby uniknąć innych niespodzianek. I absolutnie nikt nie może się rozwiązywać, ja-
sne? – zakomunikował Chris.

James odwrócił się i zobaczył, jak grupa siedmiu osób wchodzi do jaskini. Ludzie
od razu stawali przy ścianie, która zbawiennie osłaniała ich od wiatru i szalejącej na
zewnątrz zamieci. W ich postawach ewidentnie widać było ulgę. Całość pochodu za-
mknął Barry, z którym Chris cały czas nie potrafił się dogadać.

– Dobra. Spróbuję połączyć się z bazą i powiedzieć, że dotarliśmy – powiedział
Michał.

Katarzyna Piskorczyk miała wrażenie, że po raz pierwszy, odkąd go poznała, jego
głos nie emanował tak bezczelną pewnością siebie, a co więcej, przebijało przez niego
zdenerwowanie. I nie była to ekscytacja.

– Dobra, skończone – zakomunikował jakiś czas później Chris, krytycznie przy-
glądając się swojemu dziełu. Przy użyciu sprzętu wspinaczkowego i paru krótkich li-
nek udało mu się zamontować płachtę biwakową w poprzek wejścia do jaskini, tym
samym skutecznie odcinając ich od nawałnicy. Zabrał ją ze sobą tylko dlatego, że
uwielbiał być przygotowany na wszelkie ewentualności, nawet kosztem kilku ponad-
planowych kilogramów w plecaku. Wiedział też, że taka dodatkowa warstwa izolacji
może w pewnych sytuacjach zdecydować o życiu i śmierci.

– Nieźle – powiedziała Katarzyna, podchodząc do niego i z nieskrywanym podzi-
wem patrząc na prowizoryczne drzwi. Od razu odczuła ulgę związaną z brakiem wia-
tru.

Chris pokiwał głową i spojrzał na siedzących pod ścianą ludzi. Zgromadzili się
wokół kuchenek gazowych – na jednej gotowano właśnie wodę, aby przygotować po-

siłek z liofilizowanej żywności, wodą z drugiego naczynia z kolei zalewano kawę, na którą kilka osób patrzyło niemalże z szaleństwem w oczach. Wokół wisiało kilka specjalnych latarek, oświetlających najbliższe otoczenie. Następnie przeniósł wzrok na Jamesa i Sarę. Dziewczyna złowiła wzrokiem jego spojrzenie i domyślając się intencji, uniosła kciuk.

– Skończyli? – zapytała Katarzyna.

– Na to wygląda. Idę zobaczyć, jak im poszło – powiedział Chris i ruszył w kierunku Sary. Katarzyna poszła za nim. Czuli się w jakiś sposób odpowiedzialni za bezpieczeństwo grupy, ale nie potrafiła właściwie powiedzieć dlaczego. Może po prostu wolała przebywać blisko alpinistów, przy których sama czuła się bezpiecznie. Poza tym miała też doświadczenie w tego typu wyprawach, więc nie odczuwała aż takiego zmęczenia, nie musiała odpoczywać równie często jak pozostali. Nie wspominając o tym, że bardzo chciała dojść do miejsca, w którym korytarz zakręcał.

– Wygląda nieźle – skwitował Chris, podchodząc do drabiny leżącej w poprzek szczeliny, w którą wcześniej wpadła Sara.

– Jeszcze założymy poręczówkę, dla większego bezpieczeństwa – stwierdził James, pokazując ręką miejsca, o które zamierzał zaczepić linę.

– Okej. Kiedy możemy iść dalej?

– Powinniśmy chwilę odpocząć, uporządkować sprzęt. Przeczekać nawałnicę, żeby wciągnąć pozostałe rzeczy – stwierdziła Sara. – Poza tym, chłopaki, powiem wam, że nie podoba mi się to, co jest tam na dole, serio – powiedziała, jednocześnie pochylając się nad szczeliną. Spojrzała na Katarzynę i przeniosła pytający wzrok na Chrisa. Ten jednak pokiwał spokojnie głową. Sądził, że pani antropolog można zaufać.

Sara ostrożnie wychyliła się za krawędź i poświeciła parę metrów w dół. Teraz każdy mógł dostrzec ostre skalne kolce wystające z dna jaskini.

– No... faktycznie dziwne. Chociaż wiesz, nie chcę się mądrzyć, bo to nie do końca moja działka, ale te stalagmity to chyba występują w jaskiniach dość powszechnie, nie? – zapytał Chris.

– Tak, jasne, ale tutaj – zaczęła Sara, słusznie wietrząc ironię – nie ma stalaktytów, które przeważnie towarzyszą stalagmitom, to raz. Dwa, że te cholery na dole mają ostre czubki, a stalagmity są zawsze zaokrąglone, bo woda, która je tworzy, jednocześnie je stępia. Wyglądają jak olbrzymie dildosy – żebyś mógł lepiej zrozumieć, o co chodzi.

Chris pokręcił głową z udawanym zmieszaniem, ale nie zamierzał ukrywać szerokiego uśmiechu, jaki zagościł na jego twarzy.

– Czyli że ktoś je naostrzył, zasypał śniegiem i zrobił pułapkę? – zapytał ironicznie. – I co, na końcu korytarza znajdziemy skrzynię ze złotem?

– Tego nie powiedziałam – stwierdziła zupełnie poważnie Sara. – Może jak to ty byś tam prawie wpadł, nie miałbyś teraz ochoty do żartów. Mówię tylko, że to wygląda nietypowo. Dlatego powinniśmy uważać, bo nie wiadomo, na ile jeszcze nietypowych rzeczy możemy trafić. I komuś może się coś stać.

– Dobra – zgodził się, ciężko wzdychając. – Idę pogadać z Michałem, powiem mu,

na czym stoimy. Myślę, że do tej dziury możemy zepchnąć leżący wokół śnieg, żeby niepotrzebnie nie stresować towarzystwa – zaproponował. – James, założysz wreszcie tę poręczówkę?

– Jasne. Idź, poradzimy sobie – odpowiedział James, zabierając się do pracy. Wyjął z plecaka składaną łopatę i zaczął zgarniać śnieg z korytarza. Sara zapytała, czy ma drugą, żeby mogła pomóc.

– Poczekaj, przepraszam, mogłabyś... – zaczęła niepewnie Katarzyna, wtrącając się do rozmowy.

Dziewczyna posłała jej zdziwione spojrzenie.

– Mogłabyś mnie złapać? – zapytała profesor, mocno przełykając ślinę.

– Co? Dokąd chcesz iść? – Sara nie zamierzała ukrywać zaskoczenia. James przestał machać łopatą i patrzył na obie kobiety.

– Tylko przejść przez drabinę. Dojść do zakrętu, zerknąć, co jest dalej. Proszę cię, aż mnie nosi. Tam nie ma śniegu, ale po tym, co się stało, wolę, żeby ktoś mnie jednak asekurował, wiesz.

Sara chwilę mierzyła Katarzynę wzrokiem, próbując odgadnąć jej prawdziwe intencje.

– Dobra – odpowiedziała wreszcie. Spodobał się jej hart ducha starszej od niej kobiety, jej zadziorność. Chęć przeżywania przygód, eksplorowania nieznanego. Sama pieczołowicie kultywowała w sobie te cechy, za wszelką cenę walcząc o to, aby ich nie zatracić. Kiwnęła głową i zabrała się do zakładania asekuracji.

Kilka chwil później profesor już przechodziła po drabinie. Bezpieczniej byłoby iść na czworaka, lecz wybrała inną – szybszą opcję – przeszła po niej normalnie. Nie było to tak trudne, jak mogłoby się wydawać, a dodatkowa asekuracja wzmacniała poczucie bezpieczeństwa. Katarzyna starała się nie patrzeć na zasypywane przez Jamesa kolce na dnie rozpadliny, nie zastanawiać, czy lina jest odpowiedniej długości, czy na pewno wytrzyma i czy Sara zareaguje odpowiednio szybko. Przejście po drabinie leżącej na podłodze nie stanowiło przecież problemu, więc przejście po drabinie wiszącej nad rozpadliną było niczym więcej, jak wyzwaniem dla wyobraźni.

Chwilę później stanęła na kamiennym, nieośnieżonym podłożu. Uśmiechnęła się, odwróciła i uniosła w górę kciuk. Sara odpowiedziała jej tym samym.

Patrząc w głąb korytarza kończącego się zakrętem, profesor wyregulowała strumień światła na czołówce na maksymalną moc, dodatkowo włączyła też latarkę trzymaną w ręku. To nie miejsce, w którym oszczędza się światło. Następnie czujnie ruszyła przed siebie, uważnie stawiając każdy krok i co chwila zastanawiając się, czy to aby na pewno był koniec pułapek. Pobieżnie przyglądała się sklepieniu i ścianom szerokiego korytarza. Cały czas w głowie rezonowało jej wspomnienie cienia, który widziała. Bała się, że coś za chwilę na nią wyskoczy – co prawda sama nie wiedziała, co to mogłoby być, niemniej irracjonalny strach powodował bolesne skurcze żołądka i zaciśnięcie gardła. Nie raz już schodziłaś w takie miejsca, mówiła do siebie w myślach, próbując dodać sobie trochę kurazu. Przypomnij sobie piramidy, wariatko. Stare grobowce w Iranie, podziemne miasta na Sycylii. Nie bój się, tu niczego nie ma – powtarzała jak mantrę.

Do zakrętu zostało jej mniej niż pięć metrów. Nagle zmarszczyła brwi i skierowała snop światła na jedną ze ścian. Wydawało się jej, że coś tam dostrzegła, że zobaczyła na niej regularną rzeźbę, powstałą na pewno nie w wyniku naturalnej erozji. Podeszła bliżej, cały czas zachowując ostrożność, praktycznie na bezdechu. Niemożliwe, pomyślała, patrząc na symetryczne linie przecinające pionową strukturę i czując, że serce zaczyna jej bić jak oszałałe. Niemożliwe.

Jej oczom ukazały się piktogramy, pokrywające skalną ścianę tuż za zakrętem. Zafascynowana znaleziskiem zapomniała o ostrożności, podeszła do nich bliżej, zupełnie nie zważając na to, co działo się wokół niej. Wystarczyło pół sekundy, aby przestała myśleć o zagrożeniach. Jej umysł był już pochłonięty czymś zupełnie innym.

Prymitywny obrazek namalowany węglem lub jakąś jego mieszanką przedstawiał kilku ludzi na szczycie urwiska. Pierwszy, stojący na jego krawędzi, spoglądał w dół, podczas gdy pozostali rozglądali się wokół, jakby go osłaniali. W rękach trzymali włócznie, chociaż trudno było to sprecyzować – równie dobrze mogli dzierżyć kostury lub inne narzędzia. W połowie urwiska znajdowała się kolejna postać, narysowana tak, jakby schodziła po jego ścianie. Miała uniesione nad głowę ręce, jakby krzyczała lub starała się kogoś wystraszyć. Wiodąc snopem światła w dół, po linii urwiska, profesor dotarła do ostatniego obrazka. Lina skończyła się, a kilka centymetrów pod nią namalowana była dziwna, trudna do zinterpretowania postać. Wyglądała jak kobieta z wielkim brzuchem i dużymi piersiami, jednak zamiast jednej głowy miała ich kilka. Z jej rąk wychodziły nieregularne linie, przypominające wijące się węże lub pioruny. Profesor przełknęła ślinę, nie rozumiejąc, co dokładnie rysunek może przedstawiać. Nigdy, zarówno podczas swoich wypraw, jak i w setkach książek, które przeczytała, nie widziała tego typu postaci. Tysiące myśli przelatywało jej przez głowę – jak to możliwe, kiedy to powstało, co to jest, jakim cudem ludzie kiedyś tu weszli, co jest dalej... Na chwilę zatrzymała się, słowo „dalej” było kotwicą, która z powrotem przykuła ją do rzeczywistości. Ściągnęła strumień światła ze ściany i poświeciła w głąb korytarza.

Nagle poczuła dreszcz przerażenia. Aż drgnęła, przykładając dłoń do ust. Miała wrażenie, że stanęło jej serce i w pierwszej sekundzie chciała uciec, ale już w drugiej, błyskawicznie oceniając sytuację, uznała, że jest bezpieczna.

Snop światła oświetlał leżące w korytarzu zwłoki. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że należały do dorosłego mężczyzny. Ubrany był jak alpinista i leżał skulony tuż pod ścianą. Jego kurtka była poplamiona zamrznietą krwią – bez wątpienia wykrwawił się przez szeroko rozcięte gardło. Katarzyna Piskorczyk ostrożnie podeszła bliżej, szybko oceniła, że zwłoki nie mogły znajdować się tu od lat – wręcz przeciwnie, wyglądały tak, jakby leżały tu zaledwie od paru dni, chociaż wiedziała, że w przypadku zamrznietego ciała czas zgonu jest niebywale trudny do oszacowania. Nie mogła zrozumieć, skąd wziął się tu człowiek, jak tu się dostał, co znaczą te piktogramy... Zaczęła łączyć fakty, kojarzyć początkowo niemożliwe do zinterpretowania i powiązania wydarzenia. Nagle dostrzegła pewne rozwiązanie zagadki i poczuła zalewającą ją falę wściekłości. Patrząc na zwłoki, nacisnęła guzik aktywujący radio.

– Michał, tu Katarzyna Piskorczyk. Bądź tak miły i przyjdź do mnie – powiedziała

stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Po paru sekundach rozległ się trzask i z głośnika popłynął głos Michała.

– Poczekaj, teraz nie mogę. Gdzie jesteś?

– Teraz. Masz tu, kurwa, w tej chwili podejść. Jestem za zakrętem korytarza.

Mówiąc to, wychyliła się tak, żeby było ją dobrze widać. Zobaczyła sylwetkę stojącego kilkadziesiąt metrów dalej Michała i z jego postury wyczytała, że on już wie, że ona wie.

Michał wpatrywał się w profesor, zaciskając ze złości zęby. Dlaczego ta głupia baba tam polazła? Kto jej na to pozwolił, czemu nikt jej nie upilnował? – zadawał sobie w myślach pytania, jednocześnie na nie odpowiadając. Kto miał jej upilnować, jak nie ty? No tak, spieszyłem to – uświadomił sobie, widząc, że profesor dotarła tak daleko, że odkryła piktogramy, z powodu których została tu ściągnięta. Ruszył powoli w jej stronę. Spokojnie, aby nie zdradzać zdenerwowania. Po paru sekundach dotarł do Sary, wczepił się w linę i ruszył przełożoną nad szczeliną drabiną. Dziewczyna posłała mu podejrzliwe spojrzenie, nie do końca rozumiejąc jego wymianę zdań z Katarzyną Piskorczyk.

Po kilkunastu sekundach przeszedł na drugą stronę, wyprostował się i, zbierając się w sobie, pewnym krokiem ruszył w kierunku profesor.

Nagle gwałtownie się zatrzymał. Zobaczył olbrzymi, ciemny kształt wyłaniający się zza Katarzyny. Poczul, jak serce podchodzi mu do gardła, jakby coś go zamroziło, odebrało mu głos i władzę we wszystkich kończynach – nie mógł uciekać, nie mógł ostrzec kobiety, nie mógł wykonać żadnego gestu. Mógł tylko stać i patrzeć, czekać na to, co się wydarzy.

Nie czekał zbyt długo. Widząc zatrzymującego się nagle Michała i rysujące się na jego twarzy przerażenie, Katarzyna poczuła wszechogarniający ją lęk. Doskonale pamiętała tę zabawę z dzieciństwa, gdy jedno dziecko zastygało nagle i patrząc na drugie, udawało, że widzi za nim potwora. Różnica polegała na tym, że to tutaj wcale nie było udawane.

Kobieta nie zdążyła się odwrócić, gdy poczuła silne szarpnięcie – jakaś wielka, porośnięta białym futrem łapa objęła ją wpół i zaczęła ciągnąć w głąb ciemnego korytarza. Profesor krzyknęła, próbowała się oswobodzić, jednak wobec siły tego stworzenia nie miała najmniejszych szans. Starła się nie poddać panice, wiedziała, że musi działać szybko, nim będzie za późno.

Nie rozumiała jednak, że już było za późno.

Naraz lina, do której cały czas była przywiązana, napięła się i mocno nią szarpnęła. Profesor wykorzystwała to, odepchnęła się od bestii i rzuciła do ucieczki... lecz natychmiast ponownie poczuła szarpnięcie do tyłu i to coś znowu, tyle że jeszcze mocniej niż poprzednio, przycisnęło ją do siebie. Po chwili z mroku wyłoniła się druga futrzasta łapa. Katarzyna zobaczyła, jak światło czołówki odbija się od grubych, ostrych pazurów. Ułamek sekundy później ujrzała przeciętą linę, jakby lewitującą i opadającą w zwolnionym tempie na ziemię.

Potem było słycać tylko ciężkie sapanie monstrum. Dopiero po paru chwilach poczuła piźmowy, ostry smród, boleśnie uświadamiając sobie, co się z nią dzieje i że to

wcale nie jest sen.

Coś ciągnęło Katarzynę gdzieś w dół, wlekło w niezbadane głębiny jaskini. Ledwie przytomna zegnała się z życiem, myśląc, że jednak Lena mogła mieć rację. To miejsce faktycznie nie było przeznaczone dla człowieka. Niestety dowiedziała się o tym zdecydowanie za późno.

A potem była już tylko ciemność, pomimo latarki, chybotliwym światłem omiatającej korytarze, w których ludzka stopa nie stanęła przez długie tysiąclecia. ■

ROZDZIAŁ 7

Warszawa, sierpień 2020

– Grupa z godziny dwunastej, za dziesięć minut zapraszamy na linię startu.

Lena poczuła delikatny ucisk w żołądku. Pomimo zgiełku, jaki panował w miasteczku biegowym, komunikat wygłoszony przez głównego organizatora wyścigu był doskonale słyszalny. Przez całe ciało dziewczyny przepływało coraz więcej adrenaliny, pompowanej wprost do mięśni, które lada chwila miały jej bardzo potrzebować.

Po wczorajszym kacu nie pozostało nawet wspomnienie. Lena przeskakiwała teraz rytmicznie z nogi na nogę, podtrzymując temperaturę ciała po rozgrzewce, którą zakończyła kilka minut wcześniej. Czowała, jak dredy opadają jej na ramiona, co sprawiało jej przyjemność. Były to pojedyncze pasma, gdyż całość została związana grubą gumką, tworząc ciężki, ale praktyczny kok.

Naraz zatrzymała się, ukucnęła i poprawiła sznurówki. Wstała. Zerknęła w dół krytycznie. Po sekundzie schyliła się znowu, rozwiązała supły i zawiązała jeszcze raz. But musiał być zabezpieczony na sto procent, w innym wypadku mógłby spaść ze stopy podczas pokonywania jakiejś błotnej przeszkody. Jednej lub kilku, w zależności od tego, co organizatorzy przygotowali tym razem, bo to, że jakieś tego typu atrakcje czekają na biegaczy, było pewne jak amen w pacierzu.

Wyprostowała się i rozejrzała wokół. Kolorowe namioty, drążki do podciągania się, ciężkie gumowe opony do przrzucania, mnóstwo stoisk z odżywkami, nawadniaczami, kamerami sportowymi. Między nimi piękne hostessy rozdające karnety ze zniżkami do nowo wybudowanych siłowni, mnóstwo smukłych chłopaków, którzy w tych siłowniach niemalże się wychowywali. Uśmiechnięci, aczkolwiek nerwowo podnieceni uczestnicy biegu przechadzali się wokół, czekając na start swojej grupy. W powietrzu unosił się zapach kurzu, rozgrzanych słońcem ciał i potu. Definicja szczęścia dla wielu ludzi.

Twarz Leny rozświetlił uśmiech. Było ciepło, ale nie za gorąco, czuła się dobrze przygotowana i za chwilę miała ruszyć na dziesięciokilometrowy miejski bieg z przeszkodami. Na wspomnienie poprzedniej edycji, na myśl o tym, jak bardzo wtedy upała się w błocie i co chwilę miała ochotę zrezygnować, aż zacisnęła zęby, a jej zielone oczy rozbłysły. Uśmiechnęła się zadziornie.

– Jak tam, gotowa? Niezdrowo podniecona? – usłyszała dochodzący zza pleców głos Kryśki. Odwróciła się.

– O, już myślałam, że zrezygnowałaś.

– Lepiej nic nie mów. Tylko ja mogę w dniu biegu zapomnieć butów z domu.

Lena uśmiechnęła się, zadowolona, że Kryśka jednak zdążyła wrócić swoją rozklekotaną toyotą do domu po rzeczy.

– Dobra, rozgrzewaj się, bo za chwilę ruszamy.

– Tak, tak, wiem – odpowiedziała przyjaciółka, już machając rękami. – A ty jak się czujesz?

– Spoko.

– Ale wiesz, że to ściema?

– Co ściema? – zmarszczyła brwi.

– No te... dys... tan... se – wysapała Kryśka, rozpoczynając pajacyki. Dynamiczna rozgrzewka nigdy nie była jej mocną stroną – zawsze męczyła się tak, że miała wrażenie, iż cała energia przeznaczona na bieg została właśnie spożytkowana. – Wiesz, piszą o dziesięciu kilometrach, ale tak naprawdę może być i dwanaście... albo dziewięć... i pół. Więc takie mierzenie nijak ma się do rzeczywistości. Kumpel kiedyś biegł z zegarkiem z GPS-em i wyszły różnice – powiedziała szybko, zatrzymując się.

– Na forach też o tym piszą.

– Może. Ja tam bardziej lubię patrzeć na czas.

Na to Kryśka nie miała już argumentu.

– Grupa z godziny dwunastej, zapraszamy na start!

Dziewczyny uniosły głowy, spoglądając na główną scenę, ustawioną tuż obok linii wyznaczającej początek biegu. Wymieniły porozumiewawcze, odrobinę nerwowe spojrzenia i uśmiechnęły się do siebie.

– Dawaj – powiedziała Lena, spokojnie kierując się na linię startu. Chciała zachować jak najwięcej energii, chociaż miała wrażenie, że mogłaby dobiec do Gdańska i z powrotem. Kryśka wydawała się bardziej wystraszona niż podniecona, ale Lena wiedziała, że dziewczyna bez problemu da sobie radę. Musi tylko znaleźć swoje tempo.

Ustawiły się z tyłu grupy, która liczyła około pięćdziesięciu osób. Poprzednia ruszyła dwadzieścia minut wcześniej, kolejna miała wystartować dwadzieścia minut po nich. Te przerwy pozwalały utrzymać odpowiednie tempo biegu. Mimo to zdarzało się, że zawodnicy z późniejszych grup wyprzedzali tych z grup wcześniejszych, co dość brutalnie wpływało na morale tych ostatnich.

Tymczasem na scenę wyskoczył dobrze zbudowany chłopak i szczupła, wysportowana dziewczyna, oboje w kolorowych strojach. Z szerokimi uśmiechami zaczęli prowadzić rozgrzewkę, demonstrując pompki, pajacyki, wymachy, przysiady i inne ćwiczenia, po których Kryśka miała już naprawdę dość – marzyła teraz tylko o tym, aby oprzeć się o barierkę, wyzionąć ducha i mieć święty spokój.

Dobrze wiedziała, że jeśli przetrzyma tych pierwszych parę minut, to później już będzie lepiej. Serce przyzwyczai się do wzmożonego wysiłku, mięśnie zaczną dostawać więcej tlenu i będą pracować coraz wydajniej. Jeśli przetrzyma.

– Oddychaj – usłyszała. Spojrzała w bok i zobaczyła rozpromienioną twarz Leny.

Skinęła głową. Trudno pamiętać o oddychaniu w momencie, w którym walczyliśmy o życie, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

Teraz na scenę wkroczyli bębniarze, lokując się bezpośrednio za dwójką instruktorów. Zaczęli wybijać bojowy rytm, motywujący zawodników do wzmożonego wysiłku, i już było wiadomo, że zaraz wszyscy ruszą. Parę osób za linią startu zapaliło świece dymne, tworząc pierwszą przeszkodę. Dziewczyny wiedziały, że nie ma już odwrotu.

Widząc to wszystko, czując przyjemne, podniecające drżenie mięśni, Lena uśmiechnęła się drapieźnie.

– Trzy... dwa... jeden... Start! – Ostatniemu słowu towarzyszył wystrzał z pistoletu i konfetti, które poszybowało w niebo. Dziewczyny rozpoczęły bieg spokojnym, zrównoważonym truchtem. Adrenalina robiła swoje, zmęczenie rozgrzewką odeszło w niepamięć. Pierwszych parę przeszkód nie stanowiło większego problemu – musiały się wspinać po rozwieszonych między drzewami siatce, pokonać rozrzucone opony, przejść przez kanał wypełniony po brzegi wodą, jednak ze wszystkim tym poradziły sobie na spokojnie. Trzeba było mierzyć siły na zamiary.

– Znajdź tempo – wysapała Lena.

Ty też się męczysz, pomyślała Kryśka, odrobinę rada z faktu, że jej przyjaciółka jednak jest zwykłym człowiekiem.

– Tak. Wiem. Szu. Kam.

Ludzie mijali je, one mijaly ludzi. Górki, krzaki, przeszkody, wąskie ścieżki między drzewami, zwalone pnie, ześlizgi – na trasie nie brakowało niemal niczego. Od palącego słońca po przyjemny chłód rzeki. Lena uwielbiała ten rodzaj zmęczenia, to skupienie, które powodowało, że wszystkie jej problemy zostawały gdzieś daleko w tyle, tę świadomość, że może wypocić z siebie wszystkie troski. Nawet niemal przestała myśleć o matce.

Całe normalne życie – praca, studio, zdjęcia, dom, przyszłość i przeszłość – wszystko to odsuwała na bok. Skupiała się tylko na kolejnym kroku, na następnej przeszkodzie, na równym oddechu. Wsłuchiwała się w swoje ciało i bardzo podobało się jej to, co słyszała. Kilka tygodni konkretnych przygotowań, bieganie w terenie, siłownia, basen – cała ta praca i cały wylany pot nagle nabrały nowego znaczenia. Oto cel pojawił się przed nią i rzucił jej wyzwanie. A ona podjęła je z podniesioną głową.

Dobiegły do kolejnej przeszkody. Skorzystały z paru sekund odpoczynku, stojąc w kolejce do liny, na którą trzeba było się wdrapać.

– Jak tam? – zapytała Lena i pochyliła się, opierając ręce o kolana.

– Na razie spoko. Jeszcze żyję – wysapała Kryśka. – Jezu, nie ma szans – dodała, zerkając na grubą, jutową linę.

– Musisz mocno się złapać i wchodzić wysoko nogami. Przecież ćwiczyliśmy to. Wychodzisz z nóg.

– Wiem, ale co innego robić na sucho, a co innego po kilku kilometrach... – Kryśka zaczęła narzekać, ale niespodziewanie przerwał jej obcy głos.

– O, siemka.

Lena nabrała głęboko powietrza i przewróciła oczami, błyskawicznie kojarząc, do kogo ów głos należy. Odwróciła się. Niestety, obawy się potwierdziły.

– O, hej. Nie wiedziałam, że też biegasz – powiedziała, widząc przed sobą Łukasza.

– Kumpel mnie namówił – odpowiedział, wskazując stojącego tuż obok niego chłopaka. Lena przyjrzała się dobrze zbudowanemu, wysokiemu brunetowi. Czemu nie trafiłam na ciebie – pomyślała, delikatnie unosząc kąciki warg w subtelnym uśmiechu. Chłopak odwzajemnił jej spojrzenie, chociaż w jego wzroku było coś, co dziewczynie zupełnie się nie spodobało. Patrzył na nią jak na zdobycz.

– Kryśka, to jest Łukasz – powiedziała Lena, przedstawiając sobie nieznanym.

– Cześć – powiedział Łukasz, wskazując jednocześnie ręką kolegę – to Mati.

Mati również uniósł dłoń w powitalnym geście.

– Idziecie? – zapytał nagle jeden z zawodników, ewidentnie zamierzając podejść do przeszkody poza kolejnością.

– Tak, tak, już – odpowiedziała Lena, spoglądając wymownie na Kryškę. Ta w mig ją zrozumiała.

Lena uśmiechnęła się uprzejmie i przeszła obok Łukasza i jego kumpla. Obaj tylko nieznacznie się odsunęli, zmuszając ją do otarcia się o nich. Prostacy. Łokciem i barkiem utorowała sobie drogę, niezbyt brutalnie, jednak wystarczająco zdecydowanie, aby prawidłowo odczytali jej intencje. Zdążyła zauważyć znaczące uśmiechy, które między sobą wymienili.

Lena była szczupła, lekka, a do tego bardzo silna, toteż bez problemu wspięła się po linie, niemalże jakby chciała pokazać wszystkim, jak należy to robić. Ze szczytu przeszkody zlustrowała pozostawione na dole towarzystwo, upewniając się, że panowie nie przeoczyli jej demonstracji siły. Jednak ich miny bezsprzecznie wskazywały na to, że nie skupili się na jej ramionach, tylko na doskonale wyeksponowanych pośladkach. No tak – pomyślała i zaczęła podejrzewać, że mogą być trochę upierdliwi. A niech sobie patrzą, mają na co – ta druga myśl sprawiła jej jakąś lubieżną satysfakcję.

Zeszła na dół, przytrzymując linę dla Kryški. Przyjaciółce poszło już gorzej, udało się jej wspiąć zaledwie do jednej trzeciej, gdy musiała odpuścić. Zeskoczyła na dół i zabrała się do wykonywania karnych krokodylków, czując na sobie poganiające spojrzenie Leny, która starała się jakoś motywować przyjaciółkę, kątem oka obserwując Łukasza i jego kolegę. Mati pokonał przeszkodę bez większego problemu, ale Łukasz podzielił los Kryški. Poradził sobie nawet gorzej niż ona, bo w ogóle nie udało mu się wspiąć, co wywołało wredny uśmiech na twarzy Leny, która nie zamierzała dusić w sobie złości.

– Ojej, coś nie poszło? Za dużo stejków? – zapytała ironicznie, specjalnie akcentując ostatni wyraz.

– Za mało raczej. Ale spoko, nie martw się – odpowiedział chłopak, purpurowy z wysiłku, posyłając jej jednocześnie harde spojrzenie.

– Uwierz mi, jesteś ostatnią osobą, o którą się martwię – skwitowała bez uśmiechu i odwróciła głowę w stronę przyjaciółki.

– Okej – wysapała Kryška, podnosząc się z ziemi. Sędzia uniósł kciuk, pokazując, że kara została zaliczona.

– Lecimy – powiedziała Lena, szybko ruszając.

– Lena! – dziewczyna niemal natychmiast usłyszała za sobą głos przyjaciółki.

Niechętnie zwolniła, pozwalając, by Kryška ją dogoniła, ale nie zatrzymała się.

– Co ci się stało, czemu tak wystrześliłaś? – zapytała Kryška, ledwo łapiąc oddech. Na jej twarzy pojawił się wyraz dezorientacji.

– Sorry, chciałam ich po prostu zgubić.

Dziewczyna spojrzała na Lenę, ale nic nie odpowiedziała. Kiwnęła tylko głową, nabierając głęboko powietrza.

Pobiegły dalej. Przedzierały się przez wąskie ścieżki gęsto porośnięte krzakami, co chwila albo przeciskając się pod konarami, albo przeskakując nad jakąś kłodą, którą uprzejmy organizator raczył ustawić na trasie. Tu słońce już tak nie paliło, temperatura w cieniu drzew była zdecydowanie niższa. Gdzieś w oddali słychać było śpiewające ptaki, poza tym jedynymi odgłosami były uderzenia podeszew butów o ziemię i ich miarowe oddechy. Absolutny, totalny reset mózgu.

– Leć, muszę poprawić buta – powiedziała Lena do Kryśki, zatrzymując się nagle i schylając.

– Poczekam.

– Nie, nie trać tempa, dobrze ci idzie. Dogonię cię.

Lena zaczęła, aż przyjaciółka zniknie za drzewami, i wstała. Z butem wszystko było w porządku, po prostu miała ochotę pobyć chwilę sama. Przez jakiś czas biegła w absolutnej ciszy – w okolicy nie było widać żadnego zawodnika. Tylko rozwieszzone co jakiś czas taśmy z logo wyścigu potwierdzały, że jest na dobrej trasie. W takim momencie łatwo było dać ponieść się wyobraźni, która jak na złość, zamiast pomagać, zaczynała podrzucać coraz to trudniejsze pytania, wybijając biegnącą Lenę z rytmu: Dwie dziewczyny same w środku lasu. Czy to bezpieczne? Mądre? Czy potrafiłabyś się obronić? A masz gaz pieprzowy? A jak ktoś cię zaatakuje, to co zrobisz? Zdasz się na ten kij? Jak daleko są inni? Czy usłyszą twoje wołanie o pomoc? I tak dalej, i coraz trudniej. Lena starała się odsunąć od siebie te myśli, zacisnąć zęby i biec dalej, jednak nie mogła zignorować szybszego bicia serca i tego, że mimowolnie zaczęła się oglądać za siebie.

I kiedy po raz kolejny odwróciła się na jednym z zakrętów, poczuła, jak jej żołądek zamienia się w małą, niewyobrażalnie twardą kulkę.

W oddali, między gęstymi drzewami, zobaczyła Łukasza wraz ze swoim kolegą. Biegli jak na złamanie karku, jakby goniły ich całe piekielne zastępy. Lena w pierwszej chwili pomyślała, że mężczyźni ścigają je, że niestety prawidłowo odczytała ich zachowanie i że teraz spróbują dopaść je, rzucić na ściółkę i w wiadomy sposób wykorzystać. Już zamierzała rzucić się pędem do ucieczki, gdy nagle dostrzegła za chłopakami coś, co zaniepokoiło ją jeszcze bardziej.

Goniło ich jakieś wielkie zwierzę. Widząc tę olbrzymią górę mięśni pędzącą prosto w jej stronę, Lena poczuła, jak przechodzi ją zimny dreszcz. Jakby nagle cofnęła się w czasie do epoki kamienia łupanego, jakby stała naga i bezbronna na wprost bestii wyłaniającej się z mrocznej puszczy. Nigdy nie przypuszczała, że w ten sposób może myśleć o łosiu, który dotychczas kojarzył jej się wyłącznie z lekcjami na temat ochrony przyrody.

– Uciekaj! – krzychał Łukasz, pędząc przed siebie z szaleństwem w oczach. Jego kolega odwrócił się na chwilę i to był błąd – nie zauważył wystającego z ziemi korzenia, o który zahaczył stopą, a gwałtownie skręcając, wyrzucił głowę w drzewo. Krzyknął i bezwładnie upadł. Było pewne, że za parę sekund łos go dopadnie.

– Łukasz! – zawołała Lena, unosząc rękę i wskazując chłopakowi jego rannego kumpla. Ten odwrócił się i zatrzymał.

– Kurwa mać – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Uciekaj! – ponownie krzyknął

do Leny. – Spadaj stąd, już!

Dziewczyna w pierwszej chwili miała ochotę go posłuchać i zwać gdzie pieprz rośnie, jednak coś podszeptywało jej, żeby zostać. Stała więc jak wryta i czekała, co się wydarzy, wstydliwie łapiąc się na tym, że czuje narastającą ciekawość. Zwierzę już po chwili było przy rannym człowieku. Mati próbował zasłaniać się rękoma, ale łos uniósł się wysoko na tylnych nogach i zaatakował przednimi racicami. Ponad pół-tonowe bydło tratowało, deptało i masakrowało bezbronno chłopaka z furją, jaką trudno sobie wyobrazić.

Lena zakryła usta dłonią, absolutnie nie mogąc uwierzyć w to, czego była świadkiem. Jednocześnie złapała się na tym, że widok ją zafascynował. Przez chwilę nawet żałowała, że nie ma ze sobą aparatu.

Chłopak krzyczał, desperacko próbował się bronić, lecz nadaremnie – w pewnym momencie łos trafił go racicą prosto w twarz i krzyk urwał się w połowie. Lena znów usłyszała pełen przerażenia głos Łukasza:

– Spierdalaj, mówiłem! Już!

W jego oczach było coś, czego dziewczyna wcześniej nie dostrzegła. Nagle z zarozumiałego palanta, za jakiego go cały czas miała, zmienił się w zimnego, stanowczego faceta.

Łukasz wiedział, że życie jego przyjaciela wisi na włosku i nie może zwlekać ani chwili dłużej.

Lena zobaczyła scenę jak z filmu: oto Łukasz wyciągnął przed siebie zza pleców pistolet, odbezpieczył go i bez wahania oddał strzał w kierunku zwierzęcia. Łos drgnął, jakby coś ukąsiło go w bok, ale dalej trzymał się na nogach. Skierował tylko łeb w stronę Łukasza, wyraźnie obierając go za cel kolejnego ataku.

Jednak ten nie zmierzał czekać. Trzymając broń w wyprostowanych rękach, oddał kilka strzałów, trafiając zwierzę ponownie w bok i w łeb. Łos wydał z siebie przeciągły, żałosny ryk, po czym zwałił się jak długi na ściółkę.

Łukasz podbiegł do rannego kolegi. Ukucnął przy nim, starając się zachować spokój. Mati miał zamknięte oczy, a z licznych ran na jego ciele płynęła krew. Łukasz zobaczył biel kości – efekt kilku otwartych złamań. Mati miał też połamany nos i rozciętą głowę. Piękny będziesz, o ile się z tego wyłizesz – pomyślał Łukasz ponuro.

– Mati, hej, stary, żyjesz? – potrząsał nim.

Po chwili udało się mu ocucić kumpla.

– Jezu... – wyjącał Mati. – Zamień broń... leć... – wypowiedział z niemałym trudem.

Łukasz szybko zrozumiał, o co mu chodzi, i sięgnął za plecy rannego. Wyciągnął stamtąd pistolet, a swój włożył w dłoń Matiego.

– Leć... – powtórzył Mati. – Jakoś się...

– Pozbierasz, wiem – dokończył Łukasz, podnosząc głowę i spoglądając w stronę, z której przybiegli. – Okej, zaraz ktoś ci pomoże. Trzymaj się.

Mati tylko kiwnął głową, doskonale rozumiejąc, co Łukasz musi zrobić.

Chłopak wstał i odwrócił się w stronę, gdzie wcześniej stała Lena, ale zobaczył tylko pusty las. Gdzieniedzie powiewały na wietrze tasiemki znaczące trasę biegu.

Jakby nigdy nic, jakby przed chwilą nie doświadczył jednej z najdziwniejszych rzeczy w swoim życiu.

Zaklął w duchu, wiedząc, jak bardzo ten niespodziewany atak skomplikuje jego zadanie i narazi na szwank całą operację, na co absolutnie nie mógł sobie pozwolić. Następnie wbiegł między drzewa, natychmiast znikając w lesie z dala od trasy biegu.



ROZDZIAŁ 8

Bhutan, sierpień 2020

– Bloody hell! – wykrzyczał James, podbiegając do Sary i pomagając jej wstać. Wcześniej widział, jak coś wciąga profesor w głąb jaskini i jak lina nagle pęka, przez co Sara się przewróciła. Michał stał jak sparaliżowany i dopiero po dłuższej chwili wyciągnął spod kurtki pistolet i zaczął mierzyć w stronę skalnego korytarza.

– Michał! – krzyczała Sara. Jednak on zdawał się jej nie słyszeć. Zaczął powoli cofać się w ich kierunku, cały czas mając na oku ciemny tunel.

Tymczasem do akcji wkroczył Chris. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, dosłownie przebiegł po umieszczonej nad rozpadliną drabinie. Błyskawicznie dopadł do Michała, minął go, zamierzając rzucić się w pogoń za bestią, która porwała Katarzynę, jednak wtedy uświadomił sobie, że jest na linii strzału Michała. Zatrzymał się więc równie gwałtownie, jak ruszył, targany sprzecznymi emocjami. Życie nauczyło go podejmowania trudnych decyzji w krytycznych momentach, odwrócił się więc i powoli podszedł do mężczyzny. Położył mu rękę na ramieniu, a Michał odwrócił gwałtownie głowę w jego kierunku. Z jego szarych oczu biło przerażenie.

– Spokojnie, kolego – powiedział Chris najłagodniej, jak tylko potrafił. – Co tu się stało?

Michał, cały czas trzęsąc się ze strachu, wskazał bronią wejście do dalszej części jaskini.

– Tam... ten... nie wiem. Coś ją porwało. Nie sądziłem, że on naprawdę istnieje, nie wierzyłem – zaczął powoli, jednak w miarę jak mówił, nabierał coraz większego tempa. – Nie wierzyłem. Myślałem, że to głupie wymysły, nie wiedziałem...

– W co nie wierzyłeś? – zapytał spokojnie Chris, czując jednak, jak po plecach przechodzą mu ciarki.

– W to, że... że on istnieje. Ten potwór. Przecież to niemożliwe.

Alpinista zmarszczył brwi.

– Jaki potwór? O czym ty mówisz? Dobra, nieważne – uciął temat, dochodząc do wniosku, że Michała po prostu ponosi wyobraźnia. Sam nie do końca wiedział, co mogło porwać profesor – czy to jakaś mocno przerośnięta pantera śnieżna, niedźwiedź czy Bóg wie co, chociaż był przekonany, że Piskorczyk wpadła w taką samą dziurę jak Sara, z tą tylko różnicą, że ostra krawędź przecięła linę. Reszta to pewnie przywidzenie – zmęczenie, brak tlenu, halucynacje. Absolutnie normalne na tej wysokości.

Wiedział, że muszą ruszyć natychmiast, jeśli chcą pomóc Katarzynie.

– Musimy ją szybko odnaleźć – zarządził, nie czekając na odpowiedź Michała. – Potem będzie czas na tłumaczenie, skąd wiedziałeś, że coś tu jest, dlaczego masz broń i o co tu tak naprawdę chodzi.

Powiedziawszy ostatnie zdanie, wymownie spojrzął na Michała. Ten, patrząc na broń znajdującą się w jego własnej ręce, jakby nagle oprzytomniał. Kiwnął głową, odzyskując panowanie nad sobą. Chris tymczasem zwrócił się w stronę Jamesa i zawołał:

– Weź szpej i dawaj tutaj. Liny, pętle, kości, wszystko. Nie wiemy, jak daleko będzie trzeba zjechać, ale rusz się. Ona może być poważnie ranna.

James kiwnął głową i ruszył biegiem po plecaki. W tym czasie Sara już wypięła się ze stanowiska asekuracyjnego, wzięła swój plecak i przymierzała się do przejścia po drabinie, tak jak wcześniej zrobił to Chris, bez asekuracji.

– Poczekaj, spokojnie – poprosił alpinista, widząc, co dziewczyna zamierza zrobić. – Najpierw rzuć mi plecak. Jak cię przeważą, to będzie pozamiatane – zauważył.

Złapał rzucony plecak, cofając się od impetu uderzenia. Zaskoczyła go siła, z jaką drobna dziewczyna cisnęła takim ciężarem. Następnie Sara sprawnie przedostała się na drugą stronę. Spojrzał na nią z uznaniem dla siły drzemiącej w tak drobnym, здаwałoby się, ciele.

Michał w tym czasie już w pełni odzyskał nad sobą kontrolę. Wyjął krótkofalówkę i połączył się z Barrym i Olem, mówiąc:

– Panowie, kod czerwony. Biercie sprzęt i chodźcie tutaj. Barry, przekaż pozostałym, że schodzimy. Niech zabezpieczą wejście do jaskini i nasze zejście. Thomas, przekaż status doktorowi.

Wzmoczony ruch na końcu korytarza był znakiem, że ekipa zrozumiała wytyczne.

Chris posłał Michałowi pytające spojrzenie, jednak nie doczekał się wyjaśnień. Mężczyzna obserwował spokojnie wejście w dalsze, mroczne i tajemnicze czeluści jaskini.

Katarzyna musiała na chwilę stracić przytomność. Czy to w wyniku przypadkowego uderzenia głową w skałę, czy czegoś innego, nie wiedziała. Ocknęła się, czując, że nie panuje w pełni nad własnym ciałem, a każdy jej ruch coś blokuje. Zobaczyła kosmyk włosów, który niesfornie wysunął się spod czapki i dyndał teraz bezwładnie w stronę jej lewego ramienia, co, jak przez mgłę, wydało się jej dość osobliwe.

Do jej budzących się zmysłów dotarł smród. Ohydny, niemal niemożliwy do zniesienia piżmowy zapach stęchlizny, gnijącego mięsa i wilgoci. Poczowała, jak zbiera się jej na wymioty, bolesny skurcz targnął jej żołądkiem. Niosące ją stworzenie poprawiło chwyt, mocniej zaciskając owłosione łapsko wokół jej tułowia. I nagle do Katarzyny dotarło, co się z nią dzieje i gdzie jest – chociaż zupełnie nie potrafiła tego zrozumieć ani wyjaśnić. Poczowała odbierający oddech strach i przyspieszone bicie serca. Próbowwała szybko przeanalizować sytuację i nagle przypomniał się jej piktogram.

Ludzie na górze, potwór idący po ścianie. Ze zgrozą zrozumiała, że to właśnie on ją niósł, że obraz nie był wytworem wyobraźni niedorozwiniętego artysty, tylko dokumentem obrazującym faktyczny stan rzeczy.

Niemożliwe.

A jednak działa się. I to z nią w roli głównej.

Komin, którym się poruszali, był stosunkowo szeroki, chociaż Katarzyna nie mogła się zbyt dokładnie rozejrzeć. Latarka czołowa na jej głowie cały czas świeciła, chaotycznie i bezwładnie rzucając światło na tę zapomnianą część świata. Widziała niemalże gładkie skalne ściany. Żadnych stopni, żadnych szczelin, niczego, po czym

można wyjść na górę. Jako doświadczony wspinacz starała się czytać skałę, szukać chwytów czy szczelin, których mogłaby użyć – ale z przerażeniem stwierdziła, że ta skała niczego nie oferowała. Zrezygnowana zrozumiała, że nawet jeżeli udałoby się jej uwolnić, pokonanie takiej formacji byłoby zbyt dużym wyzwaniem. Rozglądając się wokół, Katarzyna nie zauważyła, że podchodzą do dna komina. W pewnym momencie potwór po prostu wyciągnął nogę przed siebie i stanął na podłożu jaskini, zupełnie przecząc tym istnieniu grawitacji i jakimkolwiek prawom fizyki. Błądnik kobiety przez chwilę był zbyt skonsternowany, aby określić właściwe położenie, ale po paru sekundach wszystko wróciło do normy. Ruszyli w głąb wąskiego, ciemnego korytarza. Było coraz zimniej, raz po raz było słychać dobiegające zewsząd kapanie wody.

Długi czas kluczyli labiryntem naprzemiennie wąskich, niskich, następnie szerokich, potem zaskakująco ciasnych korytarzy, którymi dziwne stworzenie co chwila skręcało to w prawo, to w lewo, aż wreszcie dotarli do niewielkiego pomieszczenia.

W pierwszej chwili Katarzyna pomyślała, że to ślepy zaułek. Przyszło jej również do głowy, że to może jakaś spiżarnia, a zarazem miejsce jej niechybnej śmierci – chociaż rozglądając się, nie dostrzegła na ziemi żadnych kości czy czegoś, co mogłoby potwierdzać jej teorię. Pomieszczenie było puste, ciemne i lodowato zimne, jednak potwór śmiało ruszył do przodu. Szedł tuż przy ścianie, jakby coś omijał. Dopiero po paru sekundach profesor spostrzegła, że pośrodku znajdują się dwa wyrzeźbione w skale fotele. Wcześniej światło rozchodziło się w tak dziwny sposób, że gdy patrzyła od wejścia, sala wydawała się pusta.

Odwrócone przodem do siebie siedziska wyglądały jak trony. Zimne, odpychające. Na jednym z nich siedziała skalna postać. Sam tron był większy od normalnego, poza tym z jego oparcia wychodziły jakby oplatające go korzenie, rozchodzące się niczym bluszcz. Natomiast na siedzisku znajdowała się dość wiernie wyrzeźbiona figura kobiety z długimi, ciężkimi pnączami na głowie. Przypominały dredy z powplatanymi w nie patykami, kośćmi i innymi ozdobami. Były długie, opadały aż do pasa. Skalna figura wykonana była w o wiele większej skali niż rzeczywista, mogła mieć nawet trzy metry wysokości, ale proporcje sylwetki zostały zachowane.

Twarz kobiety była piękna i surowa, a uchwycone na niej przez rzeźbiarza skupienie było tak realistyczne, że wydawało się, iż śpi lub na czymś mocno się koncentruje. Ręce spoczywały na podłokietnikach – prawa dłoń została skierowana w dół, lewa natomiast była otwarta ku górze. Katarzyna spostrzegła, że wyrzeźbiona kobieta miała jeszcze na szyi jakiś dziwny, spleciony z włosów i kości naszyjnik, który zdawał się wchodzić w rzeźbę – chociaż nie był jej częścią. Poza tym była zupełnie naga.

Widząc to wszystko, profesor poczuła jednocześnie olbrzymi, obezwładniający strach oraz... fascynację. Nie wiedziała, kto przed nią siedzi, jakie prastare i dziwne bóstwo przedstawia ta rzeźba, kto ją zrobił i dlaczego ukrył tak głęboko w czeluści olbrzymiej góry. W jednej chwili potwór, który ją tu przytargał, a nawet fakt, że poruszał się swobodnie po ścianach, jakby kroczył po ziemi, wydał się jej dziecinadą. Był niczym w porównaniu z figurą znajdującą się przed nią.

Naraz, jakby sobie przypominając o jej istnieniu, potwór złapał Katarzynę za rękę

i brutalnie rzucił na drugi fotel. Kobieta krzyknęła, a jej głos powędrował labiryntem korytarzy, wywołując głucho echo. Próbowała się w ten fotel wcisnąć, schować, chociaż wiedziała, że to niemożliwe. Była przerażona, drżała na całym ciele. Czuła się niewiarygodnie mała i przeraźliwie samotna. Chciała przestać istnieć albo obudzić się z kosmaru, nie rozumiała tego całego przedstawienia, w którym przyszło jej brać udział.

Światło czołówki omiotło skalne ściany. Katarzyna nie dostrzegła wyjścia, broni czy czegokolwiek, co mogłoby jej pomóc. Zobaczyła jednak, że ściany zdobią prymitywne piktogramy i petroglify, z pozoru dziecinne płataniny prostych, krzywych i masy przeróżnych wzorów. Wystarczyła jej chwila, żeby stwierdzić, że nie są to obrazy, z którymi miała okazję wcześniej się zetknąć, chociaż ich elementy pojawiały się w kulturach i rejonach, które badała. Nie dane jej było dłużej się nad tym zastanowić, gdyż usłyszała nagle ciche warknięcie. Drżąc ze strachu i zimna, uniosła delikatnie głowę. Czołówka oświetliła pochylające się nad nią odrażające stworzenie. Właściwie dopiero teraz mogła się mu przyjrzeć i chociaż nie było to zbyt przyjemne, zdecydowanie wolała to niż wpatrywanie się w budzący lęk posąg i otaczające go tajemnicze inskrypcje.

Ciało potwora pokrywało białe futro. Był olbrzymi – wyglądał jak niedźwiedź lub wielka mała – z długimi, umięśnionymi łapami, zakończonymi brudnymi, obsydianowymi szponami. Miał pysk przywodzący na myśl orangutana i głęboko osadzone, zupełnie białe oczy. Wyglądał jak zjawa, jak jakiś mroczny Behemot, strzegący swojej kamiennej pani... I w momencie, w którym Katarzyna po raz kolejny zamarzyła o tym, żeby się przenieść w inne miejsce, żeby się obudzić z tego ponurego snu, zrobić cokolwiek, byleby tylko ten koszmar się skończył, potwór przystąpił do działania.

Zrobił pewny krok do przodu, błyskawicznym ruchem wyciągnął przed siebie prawą łapę i gwałtownie wbił pazury prosto w klatkę piersiową kobiety. Bez żadnego problemu przebił kurtkę, pozostałe ubrania, skórę i dotknął kości żeber. Profesor nie zdążyła się nawet poruszyć ani krzyknąć – jedynie rozchyliła usta. Na jej twarzy malował się wyraz niezrozumienia i jakiejś pretensji. Tymczasem potwór zaglądał jej głęboko w oczy, jakby delektując się tą chwilą.

Katarzyna Piskorczyk zdawała sobie sprawę z tego, że umiera. Wiedziała, że nikt nie przyjdzie jej z pomocą, rozumiała, że to koniec. Ale nie zamierzała odwrócić wzroku. Patrzyła na oprawcę przez załzawione oczy, czując rozchodzący się ból i chłód, jakby wlewający się do jej klatki piersiowej. Po ułamkach sekund, które dla Piskorczyk były wiecznością, potwór wyszarpnął kobiecie serce. Dokrwiony i dotleniony mózg zapewnił Katarzynie jeszcze chwilę świadomości – prawdziwej jazdy bez trzymanki na diabelskiej kolejce pędzącej wprost to Hadesu, lecz ostatnią rzeczą, jaką ujrzała, była roześmiana, pochylająca się nad nią twarz córki.

Potem była już tylko ciemność i błoga, kojąca cisza. Nie zobaczyła, jak bestia kładzie jej serce na dłoni kamiennej kobiety. Organ był śmiesznie mały, niczym kurzy żołądek na dłoni dorosłego mężczyzny. Oczy posągu otworzyły się powoli, uwalniając przytłumione, zielone światło i wędrującą ku górze delikatną mgiełkę. Wyglądały, jakby się tliły, jak gdyby drzemała w nich jakaś przedwieczna magia. Po chwili posąg

kobiety zacisnął w dłoni wyrwane serce, a po kamiennej ręce ściekła krew.

Następnie kamienna istota z trudem oderwała dłoń od fotela. Posypały się kamyczki i drobiny skalne. Kobieta podniosła serce do ust, najpierw delikatnie się weń wgryzła, a potem pochłonęła je w całości. Parę kropel krwi spłynęło jej po brodzie, oczy rozświetlił jeszcze jaśniejszy, fluorescencyjny blask.

Z trudem zmarszczyła brwi, na czymś się koncentrując, jakby próbowała sobie coś przypomnieć albo zrozumieć. I nagle jej twarz wykrzywił grymas złości, a oczy zwięzły się, wyrażając wyższość i pogardę dla wszystkiego, co istnieje. Nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli, szepcząc dziwne, niezrozumiałe słowa:

– Da'ha kia meetha...

Oczy stojącego przy niej potwora zalśniły dziwnym, czerwonym blaskiem, a jego futro zafalowało od potężnego podmuchu wiatru.

– Gadaj, co tu się dzieje! – krzyknął Chris, przyciskając Michała do ściany. Twarz alpinisty wykrzywiła wściekłość. Z jego oczu biło szaleństwo i żądza mordu. Parę chwil wcześniej trafił na ludzkie zwłoki, których przecież nie miało prawa tu być. Niemalże stracił przez to panowanie nad sobą. Musiał wiedzieć więcej, zanim zejdzie niżej.

Michał jednak patrzył na niego z pogardą, za nic mając jego złość i groźby. Jego arogancka pewność siebie wróciła. Spojrzał jedynie w prawo, gdzie stał gotowy do ataku Barry, i kiwnął nieznacznie głową. Mężczyźnie to zupełnie wystarczyło. Szybko zdjął z ramion plecak. Nie wiadomo skąd w jego rękach nagle znalazł się mały karabinek maszynowy. Zrobił kilka żwawych kroków w przód, przeładował broń, co rozniosło się głośnym echem po jaskini, i przystawił Chrisowi lufę do skroni.

– Puść go – powiedział nieznoszącym sprzeciwu głosem. James już chciał rzucić się w ich stronę, jednak Sara powstrzymała go, przytrzymując jego ramię. Miała nadzieję, że to tylko demonstracja siły, że Chrisowi tak naprawdę nic nie grozi. O ile zachowa zimną krew.

Nie myliła się. Alpinista zacisnął zęby, posłał napastnikowi spojrzenie pełne dość oczywistej obietnicy. Barry jednak pozostał niewzruszony i tylko leniwie przeniósł wzrok na ręce, które cały czas przytrzymywały jego szefa.

Puszczając Michała, Chris zauważył, że ten posłał mu złośliwy uśmiech. To też mężczyzna postanowił sobie zapamiętać. Jeszcze się policzymy, obiecał mu w duchu. Cierpliwość była jego mocną stroną.

– Dziękuję – powiedział Michał, strzepując niewidzialny pył z kurtki. – No, w takich warunkach znacznie lepiej się rozmawia, nieprawdaż? – zapytał retorycznie. – Ale dobrze, rozumiem, że należą się wam pewne wyjaśnienia – dodał, obojętnie zerkać na leżącego nieopodal trupa. – Zwłoki, które tu znalazłeś, należą do członka pierwszej wyprawy. My jesteśmy drugą, ponownie wysłaną przez doktora Rittnera, nie tylko z zamiarem odnalezienia pierwszej, lecz przede wszystkim z założeniem, że uda się dokończyć rozpoczętą przez...

– Zamknij się, cicho – powiedział Chris, unosząc w górę rękę. James i Sara spoj-

rzeli na niego podejrzliwie, jednak zgodnie z zaleceniem milczeli. Michał nie dokończył zdania, zbyt zaskoczony tak zuchwałym rozkazem.

Tymczasem Chris nasłuchiwał, patrząc w stronę, w którą tajemnicze stworzenie porwał profesor Piskorczyk. Tych kilka sekund ciszy mu wystarczyło. Nagle jego oczy rozszerzyły się ze strachu i krzyknął:

– Kucnijcie! – po czym sam rzucił się na ziemię, mocno przywierając do ściany. James, Sara i Michał zdążyli zrobić to samo, jednak Barry – nie do końca rozumiejąc, dlaczego miałby robić to, co inni – pozostał wyprostowany. Jedynie mocniej stając na nogach, uniósł broń do strzału i wycelował w mrok korytarza.

Jednak to absolutnie nie wystarczyło. Uderzył go szeroki strumień lodowatego powietrza, odrzucając o dobre dwa metry do tyłu. Bolesnie łupnął plecami o ścianę i upadł na ziemię, wypuszczając z rąk karabin. Huraganowy wiatr utrzymywał się do brych kilka sekund, jakby ktoś umieścił w wąskim, skalnym korytarzu silnik odrzutowy i włączył go na maksymalną moc. Jednak poza Barrym nikt nie ucierpiał.

Podmuch porwał z głównego korytarza połączenie namiotu służące za prowizoryczne wejście i wyfrunął w świat. Nastąpiła chwila złowieszczej, absolutnej i przejmującej ciszy.

– Kurwa, co to było? – zapytał James, z trudem się podnosząc.

– Już po wszystkim? Nic ci nie jest? – Sara pochyliła się z troską nad kolegą.

Mężczyzna skinął głową

– Wszystko w porządku.

Tymczasem Chris, korzystając z nieuwagi Barry’ego, podniósł bezpieczną broń i wycelował nią w obu mężczyzn, którzy przed chwilą mieli nad nim przewagę.

– Dobra, może teraz... – zaczął mówić, upewniając się, że członkowie jego ekipy są cali. Musiał za wszelką cenę dowiedzieć się, co tu naprawdę zaszło. I zupełnie nie obchodziły go ani groźby Barry’ego, ani status Michała. Chciał mówić dalej, ale widząc przerażenie malujące się na twarzy Michała, zamilkł.

Ten arogancko pewny siebie facet stał teraz sparaliżowany strachem i patrzył w czeluść jaskini. Szybko oddychał, mamrotał do siebie coś niezrozumiałego, trząsł się jak osika. Było to tak dziwne, że poruszyło absolutnie wszystkich. Michał zupełnie nie zauważył, że to Chris trzymał go teraz na muszce lub, co gorsza – zauważył, ale zdecydował się to zignorować. Pozostali, wliczając w to Barry’ego, wymienili zdziwione spojrzenia, chociaż ten cały czas czujnie przyglądał się Chrisowi.

Milczenie przerwała Sara, która podeszła do Michała i położyła mu delikatnie dłoń na ramieniu.

– Michał, uspokój się, jesteśmy tu – zaczęła spokojnym, kojącym głosem, chociaż czuła, że ze zdenerwowania eksploduje jej zaraz serce.

Mężczyzna, jakby nagle wyrwany z transu, spojrzął na nią pełnym szaleństwa wzrokiem. Złapał ją za ramiona, ale nie było w tym agresji.

– Jednak... Jezu, obudziła się. Obudziła – szeptął. Naraz w jego oczach pojawiła się odrobina świadomości, ścisnął ją jeszcze mocniej. – Musimy uciekać! Szybko, zanim wyjdzie, musimy...

W tym momencie z dołu jaskini rozbrzmiał długi, przeciągły ryk. Jak ryk lwa, ty-

grysa i tylko zapomniani bogowie wiedzą czyj jeszcze. Przenikał ciała i ścisnął serca, odbierając wolę walki, przyprawiając o szaleństwo, siejąc grozę i gwarantując okrutną, bezlitosną śmierć.

– Za późno – wyszeptał Michał z rezygnacją, puszczając Sarę.

Wszyscy spojrzeli w stronę czeluści. Chrisem targwały sprzeczne emocje. Tam była Katarzyna. Na zewnątrz zaś – prawdopodobnie ocalenie. Sara poczuła, jak przechodzą ją dreszcze – nie wiedziała, czy były wywołane zimnem czy strachem, czy jednym i drugim. Miała wrażenie, że coś się czai w ciemności. Coś niewyobrażalnie złego, coś, co nie bez powodu ukryte było głęboko w skale. Poczuła się jak małe dziecko, które boi się wyjść z sypialni, przerażone wyobrażeniem czyhającego w mroku potwora.

I w tym właśnie momencie potwór zdecydował się zrobić krok w stronę światła.

Wyłonił się powoli, niczym niedźwiedź opuszczający swoją gawrę, nie do końca wierząc, że ktoś mógł być na tyle głupi, żeby zakłócić jego spokój. Spokojnie wysunął się zza skalnego załomu i jakby od niechcenia przekrzywił głowę, przyglądając się intruzom. Biała bestia, ta sama, która wcześniej porwała profesor Piskorczyk, stała teraz kilka metrów od reszty ekipy. Ludzie wpatrywali się w nią sparaliżowani strachem, bojąc się poruszyć, aby nie sprowokować jej do ataku. Czerwone ślepia potwora emanowały dziwnym blaskiem, czy to odbijając światło czołówek, czy same z siebie – nie wiadomo. Stali w bezruchu, z jednej strony świadomi nadchodzącej zagłady, z drugiej natomiast jakby łudząc się, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Dopiero gdy bestia wysunęła się na tyle, że zobaczyć można było w świetle jej zakrwawioną łapę, coś w nich drgnęło.

I wtedy wszystko nabrało tempa.

– Jezu... – wyszeptał stojący najbliżej James, a sekundę później rzucił się do ucieczki. Biały potwór zareagował instynktownie. Jednym susem doskoczył do mężczyzny i olbrzymim, potężnym uderzeniem w plecy powalił go na ziemię. Twarz Jamesa wykrzywił wyraz skrajnego zaskoczenia, plunął krwią, po czym uderzył brodą w skałę i stracił przytomność. Dzięki temu nie czuł już, jak praktycznie w tej samej chwili coś gruchocze mu kręgosłup i wbija pazury głęboko między łopatki, sięgając szponami niemalże do samego serca.

W wąskiej jaskini rozległy się pełne przerażenia krzyki.

– Nie! – wydarł się Chris. Automatycznie, zupełnie nie zastanawiając się nad tym, co robi, zaczął naciskać spust, jednak... zupełnie nic się nie działo. Nawet nie było słyhać kliknięcia, po prostu spust jakby się zaciął i nie chciał współpracować. Mężczyzna spojrzął z niedowierzaniem na broń, nie rozumiejąc, jak życie może być aż tak niesprawiedliwe.

– Idioto, musisz odbezpieczyć! Daj mi to, szybko! – krzyknął Barry, podbiegając do niego. Wprawnym ruchem przesunął dźwignię bezpiecznika i otworzył ogień.

Rozbłyśki wystrzałów wypełniły wąską jaskinię, a huki niosły się echem we wszystkie strony. Hałas był tak wielki, że Sara i Chris myśleli, iż popękają im bębni – odruchowo schylili się, zakrywając uszy dłońmi. Michał natomiast zdawał się zupełnie nie myśleć – wtuliwszy się plecami w ścianę, z jakąś chorą fascynacją obserwo-

wał, jak potwór mordował Jamesa. Nie wierzył w to, co widział. Miał wrażenie, że ogląda jakiś horror, nic więcej.

– Sara! – krzyknął Chris. Widział, jak stworzenie wije się, starając się uniknąć pocisków, co w tak wąskiej przestrzeni było praktycznie niemożliwe. Na białym futrze pojawiło się kilka czerwonych plam, trafiony w pierś i ramię potwór ryknął wściekle i zaczął się wycofywać, posyłając swojemu oprawcy pełne furii spojrzenie.

To była szansa, której nie mogli przegapić.

– Zabij to, zabij! – krzyczał Chris do Barry’ego, którego nie trzeba było do niczego namawiać. Mężczyzna z wściekłością w oczach, zaciskając zęby, prowadził ogień systematycznie, spychając napastnika z powrotem w mrok korytarza. Na odchodne dostał on jeszcze kilka pocisków w plecy, aż w końcu Barry mógł zdjąć palec ze spustu i z ulgą stwierdzić, że potwór wrócił do piekła, skąd niewątpliwie przyszedł. W tym czasie Sara podbiegła do Chrisa. Razem ruszyli w stronę drabiny.

– A co z nim? Nie możemy go zostawić – zapytała Sara, zatrzymując się nagle i patrząc na Michała.

– Niech sobie radzi sam. Wszystkich nie uratujemy – powiedział twardo Chris, oceniając, że do wszystkiego doprowadziło zachowanie tego faceta i że to jest po prostu jego wina. Mimo że gdzieś w środku przeczuwał, że mężczyzna był tylko pionkiem, a za wszystkim tak naprawdę stał doktor Rittner, na chwilę obecną skrupuły odsunął na bok.

Gdy przerażeni ludzie myśleli, że zagrożenie minęło, nagle wydarzyło się coś niespodziewanego. Potwór, zamiast zniknąć w mrocznych czeluściach jaskini, wrócił. Stał teraz ledwie widoczny w słabym świetle latarek. Jego najeżony grzbiet i pełne wściekłości spojrzenie, wykrzywione grymasem nienawiści, przywodziły na myśl istoty z najgłębszych otchłani samego piekła. Barry trzymał go na muszce, ale wiedział, że musi oszczędzać amunicję. Wolał czekać.

– Barry, strze... – zaczął Chris, ale zerkając na niego, urwał w pół słowa. Spozstrzegł, że oczy mężczyzny zrobiły się nagle puste, jakby dopiero co wyrwano go z głębokiego snu. Powoli, jakby od niechcenia zaczął unosić broń.

Następnie przyłożył sobie lufę pod brodę i pociągnął za spust.

Fragmenty czaszki i mózgu znalazły się na ścianie nad jego głową. Bezwładne zwłoki osunęły się na ziemię.

Sara krzyknęła, czując, jak jej ciałem wstrząsają dreszcze. Chris zasłonił usta, zupełnie nie pojmując, co właściwie się wydarzyło, i niczego nie rozumiejąc, wiedząc jednak, że jest coraz bliższy postradania zmysłów. I wtedy przeniósł przerażony wzrok na białe monstrum.

Coś pojawiło się tuż za nim. Olbrzymi, długi cień. Humanoidalna postać wysunęła się powoli z mroku, chociaż zdawało się, że ciemność ciągnie się wraz z nią, że otacza ją, otula. Ukazały mu się jej długie, chude ręce zakończone szczupłymi palcami. Chris unióśł brwi, uświadamiając sobie, co widzi – to była szczupła, zupełnie naga kobieta. Poziom abstrakcji już dawno przekroczył wszelkie dopuszczalne granice. Mężczyzna pomyślał, że lada chwila najzwyczajniej zwariuje i umrze, co chyba przyjąłby w tej chwili z pewną ulgą.

Istota wyglądała na jakieś trzydzieści lat. Jej ciało było nienaturalnie wielkie – jakby ktoś powiększył człowieka tak, że zamiast metra siedemdziesięciu miał ponad trzy, zachowując przy tym wszystkie proporcje. Kobieta schyliła się, aby zmieścić się w skalnym przejściu. Z jej głowy zwisały ciężkie, poplątane, ciemne włosy, z powplatanymi w nie jakimiś gałęziami i dziwnymi koralikami, przypominające grube strąki dredów. Gdzieniedzie w tej burzy włosów dało się zauważyć niewielkie czaszki, chociaż trudno było oderwać wzrok od jej seledynowych oczu, którymi uważnie obserwowała przybyszów. Mężczyzna odniósł wrażenie, że nad tymi oczami unosi się delikatna, fosforyzująca mgiełka.

Kobieta dotknęła delikatnie potwora, nieznacznie poruszając przy tym wargami. Dopiero teraz Chris spostrzegł, że na szyi miała jeszcze jakiś dziwny naszyjnik, wyglądający jak płatanina włosów, gałęzi oraz kości. Gdy położyła dłoń na białym futrze, naszyjnik zaśnił subtelnym, czerwonym światłem. Naraz rany zadane bestii przez Barry'ego zaczęły się zasklepieć, pociski wysunęły się z włochatego cielska i z cichym brzękiem spadły na skalne podłoże. Potwór zawarczał, wyraźnie zadowolony, pochylając łeb i gotując się do kolejnego ataku, podczas gdy kobieta przeniosła swoje spojrzenie na zszokowanych i przerażonych ludzi.

Głupcy/pył/niegodne/niewarte – pomyślała w języku, który nigdy nie będzie znany żadnemu człowiekowi. Jednocześnie wykrzywiła wargi w grymasie wściekłości i kiwnęła głową w stronę ludzi. Bestia zrozumiała komunikat i ruszyła gwałtownie przed siebie, szeroko rozczapierzając pazury i wydając krótki, gardłowy ryk.

Pierwszą ofiarą stał się Michał, ukryty za załomem skalnym i zupełnie nieświadomy tego, co go czeka. Potwór przyskoczył właśnie do niego, gwałtownie wbił mu swoje długie na kilka centymetrów szpony pod żebra i uniósł jego ciało do góry. Zanim zatopił kły w szyi, Michał jakby na sekundę się przebudził – uświadomiwszy sobie, co się z nim dzieje, chciał krzyknąć, ale nie mógł, bo w jego płucach nie było już powietrza. Ciałem mężczyzny targnęły konwulsje, jakby za wszelką cenę chciał uwolnić się i uciec przed pewną śmiercią. Nie miał jednak najmniejszych szans.

Chris i Sara skorzystali z paru sekund przewagi, chociaż może to widok bestialsko mordowanego człowieka był bodźcem, którego teraz tak bardzo potrzebowali. Alpinista podbiegł do Jamesa, chcąc pomóc mu wstać.

– Zostaw go! – krzyknęła Sara.

Chris posłał jej pełne bólu spojrzenie.

– Zostaw, nie pomożesz mu. On już nie żyje – powiedziała, starając się zachować spokój, wiedziała jednak, że ta krótka wymiana zdań może kosztować ich życie. Na szczęście Chris szybko wziął się w garść. Zerwali się do biegu, opuszczając tę część jaskini.

– Uciekajcie! – krzyknęła Sara do osób, które zostały po drugiej stronie rozpadliny. Część z nich podeszła już do drabiny z zamiarem zorientowania się, co się dzieje. Olo stał wyprostowany, dzierząc w rękach identyczny karabin jak ten, który miał Barry.

Za nim było jeszcze dwóch innych uzbrojonych mężczyzn.

– Uciekajcie! – powtórzyła i nagle wszyscy ruszyli. Jak jeden mąż zaczęli wycofy-

wać się do wyjścia z jaskini, krzycząc i potykając się o siebie. Ci, którzy byli uzbrojeni, otworzyli ogień. Wąska jaskinia wypełniła się ogłuszającym hukiem wystrzałów. Sara zwolniła kroku. Musiała iść ostrożnie, żeby nie spaść z drabiny na wystające z dna szczeliny kolce. Nagle zrozumiała, co mogło tak gwałtownie wpłynąć na reakcję pozostałej części ekipy. Odwróciła się, by zobaczyć, jak daleko za nią jest Chris.

Poczuła nagle, że coś łapie ją w pól i powala na ziemię. Już niemal czuła, jak pazury wbijają się w jej smukłe ciało, jak ciepła krew rozchodzi się pod kilkoma warstwami termicznego ubrania. Spojrzała z przerażeniem na obejmujące ją ręce i zdziwiona stwierdziła, że to wcale nie były umazane krwią łapska potwora. Obejmowały ją ludzkie ręce.

To Chris przygniótł Sarę własnym ciałem, łapiąc ją w pól i turlając się z nią w stronę ściany. Mężczyzna uderzył mocno plecami w skałę, przyciskając do siebie dziewczynę. Jedną ręką zakrył jej usta, i zrobił to w samą porę, bo gdy ta zobaczyła przemokniętą tuż przed swoją twarzą przerażające stworzenie, jej naturalną reakcją był okrzyk przerażenia. Chris zareagował instynktownie, zaryzykował, licząc na łut szczęścia – i udało mu się, potwór zachował się zgodnie z jego przypuszczeniami – widząc rzucających się do ucieczki ludzi, ruszył w ich kierunku. Tymczasem Chris z Sarą zniknęli mu z oczu, przynajmniej na tych kilka cennych sekund, które teraz decydowały o życiu i śmierci.

Bestia jednym susem przeskoczyła rozpadlinę, lądując kilka metrów za nią, kolejnym susem dopadła najbliższego człowieka. Nic sobie nie robiła z pocisków, które niewątpliwie ją trafiały. Zachowywała się niczym mitologiczny wilkołak, odporny na oręż, któremu rany zadać mogło jedynie czyste srebro. A żaden z pocisków nie był ze srebra. Wpadła między ludzi i rozpoczęła taniec śmierci.

Sara kręciła głową, jakby chciała coś powiedzieć. Chris uniósł dłoń, dziewczyna odwróciła się w jego stronę i wyszeptała:

– Zejdźmy tam – wskazała rozpadlinę. Wisiała obok niej lina, wcześniej zerwana przez doktor Piskorczyk.

Szybko podczołgali się do szerokiej szczeliny w skale. Sara jako pierwsza przeturłała się do jej krawędzi – bez wahania wsunęła w nią nogi, stopniowo opuszczając się, aż zawisała na rękach. Dopiero wtedy złapała linę, którą wcześniej była przewiązana Katarzyna, sprawdzając, czy na pewno ją utrzyma. Szarpnęła, ale ta ani drgnęła. Chris skinął głową. Jego wzrok zdawał się mówić: „szybciej, szybciej!”.

Dziewczyna spojrzała w dół, wypuściła powietrze i rozpoczęła opuszczanie się na linie. Starła się nie myśleć o ostrych kolecach, czekających na nią na samym dnie rozpadliny. Po paru chwilach szczęśliwie dotarła do dna, przy końcu schodząc trochę wolniej, aby przypadkowo nie nadziać się na żadną skalną iglicę. James jednak nie dał rady zasypać ich całkowicie, toteż niektóre wystawały spod śniegu, wyglądając niczym szczyty górskie przebijające się przez chmury. I dobrze, bo łatwiej było je teraz omijać.

Parę chwil później znalazł się przy niej Chris. Skulili się blisko siebie, starając się być niemal niewidocznymi – nie oddychać, nie wytwarzać ciepła, nie istnieć. Mężczyzna delikatnie zasypał ich śniegiem, aby bardziej udało im się zakamuflować. Starali

się nie słyszeć dochodzących z góry odgłosów rzezi.

Po kilkudziesięciu sekundach, które zdawały się trwać całe milenia, nastąpiła niczym niezmacona cisza. Wymienili przerażone spojrzenia, bojąc się głębiej odetchnąć czy chociażby spojrzeć na górę. Nie słyszeli nic, do ich uszu nie dotarło żadne skrzywienie śniegu czy uderzenie bosą stopą o zimny kamień – po prostu w pewnym momencie nakrył ich cień kobiety, i gdy już byli pewni, że oto nastał ich koniec, cień przemieścił się dalej. Sara nie miała pojęcia, jakim cudem ich nie zauważyła, ale był to dowód na to, że opatrność – mimo wszystko – nadal nad nimi czuwa.

W panice patrzyli, jak zwisająca wcześniej lina znika, jakby kobieta zaczęła o nią nogą i nieświadomie pociągnęła za sobą. Znaleźli się w pułapce.

Sara chciała zakląć, ale zagryzła usta, marszcząc czoło.

Tymczasem kobieta zbliżyła się do wyjścia z jaskini. Burza nadal szalała w najlepsze, ograniczając widoczność praktycznie do zera. Naga postać jednak wydawała się tego zupełnie nie zauważać. Zamiast tego skupiła wzrok, jakby patrzyła dalej, niż sięga ludzkie oko. Ledwo widoczny grymas pogardy prześlizgnął się po jej twarzy. Ruszyła przed siebie z rozpostartymi ramionami, nie zważając na żywioł, który był dla niej niczym leniwy, ciepły podmuch wiatru w porównaniu do tornada, którym niebawem ona miała się stać. ■

ROZDZIAŁ 9

Warszawa, sierpień 2020

– Masakra – skwitowała Lena, pociągając konkretny łyk piwa. Patrzyła przy tym na dachy przeciwnych bloków. Jednak nie dostrzegała anten ani kominów. Zamiast tego oczami wyobraźni widziała krążącego po nich łosia i uciekających przed nim chłopaków.

Kryśka przyglądała się koleżance, zastanawiając się, jak jeszcze mogłaby ją pocieszyć, co mogłaby powiedzieć, żeby jej pomóc. Dobrze byłoby zacząć od próby zrozumienia przyjaciółki, ale nawet tego nie była w stanie zrobić.

– Na pewno nie chcesz iść na policję? – spytała.

– Ale po co? Przecież już ci mówiłam – Lena zaczęła ponownie wyjaśniać swoje motywy, coraz bardziej zirytowana, że musi w kółko powtarzać to samo. Niemniej wiedziała, że Kryśka jest jedyną osobą, która może jej wysłuchać. Tylko Kryśce może powiedzieć, co tam zaszło, i tylko ona, teoretycznie, nie uzna ją za wariatkę.

Teoretycznie.

– Gość strzelał z pistoletu, na bank chwilę potem zjawiała się policja. Przecież tam było pełno ludzi. Zresztą, sama czytałaś o tym, że przerwano bieg, a uczestnicy byli przesłuchiwani, tylko policja na razie nie chce powiedzieć, o co chodzi.

– No tak, wiem... – zaczęła niepewnie przyjaciółka, ale urwała w połowie zdania. Znowu chciała zaproponować, aby Lena udała się na policję w charakterze świadka, ale widziała, że dziewczyna musi sama dojrzeć do tej decyzji. Tam musiało się wydarzyć coś jeszcze, coś, co bardzo nią wstrząsnęło. Może kiedyś się zwierzy. Chwilowo próbuje uspokoić zszargane nerwy za pomocą piwa.

Po ataku łosia Lena popędziła ścieżką, aby jak najszybciej dogonić Kryśkę. Złapała przyjaciółkę za rękę, szybko skręciły z trasy biegowej i przebiły się przez chaszczki w kierunku namiotów startowych. Powiedziała Kryśce tylko, że kończą bieg i wyjaśni jej wszystko w aucie. Widząc oszalały wzrok Leny, Kryśka nie oponowała.

Ignorując ciekawskie spojrzenia, szybko dotarły do samochodu. Lena miała wrażenie, że mogłaby pobiec aż do domu, ale wiedziała, że musi zachować spokój, aby nie rzucić się w oczy zbyt wielu osobom. Uciekała nie tylko dlatego, że wystraszyła się ataku łosia. Biegła, bo chciała również jak najszybciej oddalić się od Łukasza. Świadomość tego, że kilka dni temu spotkała się z nim i już wtedy mógł mieć przy sobie broń, zmroziła ją.

Kilkanaście minut później dziewczyny przekroczyły próg mieszkania. Lena po drodze opowiadała o morderczym łosiu, potworze z lasu, który zdeptał „tego biednego chłopaka” na śmierć. Kryśka rytmicznie kiwała głową, skupiając się na jeździe i zastanawiając się, czy aby na pewno powinna jechać do domu, a nie skręcić do najbliższego szpitala psychiatrycznego.

W windzie milczały, gdyż Lenie wyczerpał się zasób słów, którymi mogłaby w kółko opowiadać to samo. Kryśce w końcu to wszystko zaczęło wydawać się możliwe, bo Lena spoważniała i widać było, że coś ją trawi od środka. Cały czas uważnie

obserwowała przyjaciółkę.

Po powrocie do domu Lena od razu podeszła do lodówki i wyciągnęła z niej zimne piwo, mając nadzieję, że alkohol uspokoi zszargane nerwy. Następnie wyszła z butelką na balkon i ciężko zapadła się w swój podwieszany fotel. Potrzebowała powietrza i samotności, a wysokość, na jakiej znajdował się balkon, dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Kryśka szybko do niej dołączyła. I tak siedziały tam do tej pory.

– Skąd on właściwie miał broń? – zapytała Kryśka, chociaż i to pytanie pojawiło się wcześniej.

– Mówiłam ci, wyciągnął ją zza pleców. Nie mam pojęcia, skąd ją wziął, gdzie kupił, kto mu załatwił. Patrz, nie wpadłam na to, żeby podejść i zapytać – dodała sarkastycznie.

– Ej, przestań na mnie warczeć! – przyjaciółce wyraźnie kończyła się cierpliwość.

Lena sposepniała, próbując stłumić w sobie gniew. Wiedziała, że w pewnym momencie i tak wybuchnie, pytanie tylko, czy wyrzuci z siebie ten ogień, czy spali ją on od środka. Wybrała pierwszą opcję.

– Kryśka, do jasnej cholery, w kółko pytasz o to samo i nie chcesz mi uwierzyć! A sama wiesz, że przerwali bieg i że przyjechała policja. Widziałaś wiadomości. Nic ci nie świta? Serio myślisz, że wszystko sobie wymyśliłam?! Ja wiem, że z moją kreatywnością nie ma dramatu, ale błagam cię. Nie traktuj mnie jak dziecka!

– Lena, przestań się na mnie drzeć! Zastanów się, jak ty byś się zachowała, gdybym to ja wybiegła z lasu, i to, kurwa, w samym środku Warszawy, i zaczęłabym ci opowiadać historię o łosiu tratującym chłopaka, ale spoko, bo było tych chłopaków dwóch, i ten drugi szybko wyciągnął zza pleców pistolet, co jest zajebiście normalne, bo przecież każdy ma pistolet i każdy zabiera go na bieg survivalowy, no i on zastrzelił tego łosia, a co było dalej, to nie wiem, bo uciekłam. No nie dziw się, że podchodzę do tego z dystansem!

Lena patrzyła na Kryskę, a przez jej zielone oczy przelewały się fale wściekłości. Dyszała ciężko jak po długim biegu. Kryśka natomiast miała wrażenie, że gdyby przyłożyła rękę do włosów Leny, to by ją kopnął prąd.

– Z dystansem? – zapytała Lena nienaturalnie cicho, wymownie unosząc równo wydepilowane brwi. – Nie wierzysz w żadne moje słowo i nazywasz to dystansem?

Kryśka potarła dłonią czoło i głośno westchnęła.

– Jesteś uparta jak osioł. Nic, kurwa, nie rozumiesz. Nic...

Przerwała w pół słowa, gdyż nagle w mieszkaniu rozległ się dzwonek domofonu. Dziewczyny wymieniły zaskoczone spojrzenia, błyskawicznie zakopując topór wojenny i stając po tej samej stronie barykady, solidarnie, ramię w ramię wobec nowego potencjalnego zagrożenia, gdyż w takim dniu jak ten dzwonek domofonu zawsze brzmi złowieszczo, i zawsze jest niemile widziany. Zwiastuje policję, straż, może nawet samego łosia-mordercę, który okazuje się wyjątkowo taktowny, skoro postanowił wcześniej zadzwonić.

– Kto to? – zapytała Lena.

– Skąd ja mogę wiedzieć. Miałaś się z kimś spotkać?

– No co ty, przecież powinniśmy być na biegu. Może to listonosz?

– W sobotę?

– Kurde, no nie wiem. Jezu, a jak to policja? – Żrenice Leny rozszerzyły się z przerażenia, wyobraźnia podrzuciła jej scenę, w której zakuwają ją w kajdanki i zsyłają do najcięższego z więzień, najlepiej od razu na ciężkie roboty na Syberię albo w inne paskudne miejsce. Poczula irracjonalny strach, bo przecież niczego złego nie zrobiła. Nie? – usłyszała głos w swojej głowie. A brak udzielenia pomocy nie jest przypadkiem przestępstwem?

– Idź zobacz – powiedziała do Kryśki, czując, jak ogarnia ją coraz większa panika.

Kryśka wstała i weszła z balkonu do mieszkania. Starła się zachować zimną krew, chociaż nastrój Leny coraz bardziej się jej udzielał. Też zaczynała sobie wyobrażać jakieś niestworzone historie, ale zebrała się w sobie i ostrożnie zbliżyła się do domofonu. Nim wcisnęła guzik, odwróciła się i posłała idącej już za nią Lenie wymowne spojrzenie. Dziewczyna tylko kiwnęła głową na zachętę, ale sama nie wyszła na korytarz.

– Słucham – powiedziała do słuchawki.

Po drugiej stronie rozległ się głos mężczyzny, trudny do zidentyfikowania przez zniekształcenia.

– To ja, wpuście mnie.

Tego się nie spodziewała.

Lena, która postanowiła jednak przekroczyć próg salonu, właśnie do niej podeszła. Dziewczyny wymieniły zaskoczone spojrzenia i obie wzruszyły ramionami, zupełnie nie rozumiejąc, kto mógł do nich przyjść.

– Jaki „ja”? – zapytała.

Po parosekundowej ciszy rozległa się odpowiedź:

– Łukasz. Wpuście mnie, nie mogę tak tu stać.

– Co? Łukasz? – Lena zaczęła się rozglądać z przerażeniem po mieszkaniu, jakby szukała jakiejś wymalowanej na ścianach wskazówki mówiącej, jak powinna się zachować w takiej sytuacji. Albo jak gdyby chłopak w magiczny sposób przeniósł się już do środka.

– Dzwonź na policję! – rzuciła Kryśka, cały czas czujnie stojąc przy domofonie. Lena, wcześniej niechętna tego typu rozwiązaniu, teraz zrozumiała, że musi jednak poszukać pomocy u stróżów prawa. Kiwnęła parę razy głową, najpierw niepewnie, potem jednak coraz bardziej zdecydowanie, jakby utwierdzając się w przekonaniu, że podejmuje słuszną decyzję.

– Tak, tak, masz rację. Dzwonię. Nie wpuszczaj go – rozkazała, chaotycznie rozglądając się w poszukiwaniu telefonu. – Jezu, przecież on miał broń, pozabija nas. Nie otwieraj mu! – podkreśliła jeszcze teatralnym szeptem, jakby w obawie, że znajdujący się kilkadziesiąt metrów niżej chłopak może usłyszeć jej słowa.

– Znalazłaś telefon? – upewniła się Kryśka, co chwila nerwowo zerkając na domofon. Lena nerwowo szukała komórki po całym mieszkaniu, aż w końcu ta wpadła jej w ręce. Jednak zamiast od razu wybrać numer policji, lub chociażby alarmowy, zatrzymała się i czekała, jakby łudząc się, że sytuacja sama się rozwiąże. A może już się rozwiązała?

– Nie dzwoni już? Może sobie poszedł? – spytała.

Kryśka wzruszyła ramionami i przełknęła głośno ślinę, chociaż miała wrażenie, że jej gardło jest suche jak wiór.

– Nie wiem, no skąd mogę wiedzieć, błagam cię. Nie dzwoni już ze dwie minuty. Może ktoś go przegonił, może policja...

Przerwała, gdyż nagle rozległo się pukanie. Obie dziewczyny dosłownie podskoczyły w miejscu.

– Lena? Jesteś tam? Otwórz, musimy pogadać – usłyszały dobiegający zza drzwi głos Łukasza.

Obie dziewczyny zmroził strach. Poczuly, jak przez ich ciała przechodzi zimny dreszcz – zagrożenie znajdowało się za cienką warstwą drewna i blachy, gotowe wdrzeć się i zaatakować. Wiedziały, że policja nie zdąży dojechać na czas i że muszą mu stawić czoła same. Tylko... dlaczego jeszcze nie zaatakował, skoro miał broń? A może właśnie przystawiał lufę do drzwi niczym Leon Zawodowiec, zgadując, gdzie mogą znajdować się ich głowy?

Wymieniły spojrzenia, jak gdyby jednocześnie zadawały sobie w duchu to samo pytanie. Lena, zbierając gdzieś tam w środku resztki odwagi, ostrożnie podeszła do drzwi i zapytała:

– Czego chcesz? Dzwoniłyśmy po policję, za chwilę tu będą – powiedziała, starając się, aby jej głos brzmiał stanowczo. Kryśka uniosła w górę kciuk, kiwając głową. Przez parę sekund Łukasz milczał.

– Nie dzwoniłyście – odezwał się nagle zaskakująco pewnym siebie i spokojnym głosem. – Lena, wpuść mnie, proszę, to wszystko ci wyjaśnię.

– Co on ma ci wyjaśniać? – zapytała szeptem Kryśka.

Lena zamarła. Trudno było jej uwierzyć, że chłopak przyszedł w innym celu niż tylko w takim, żeby się jej pozbyć, bo widziała coś, czego widzieć nie powinna.

– Tu chodzi o twoją mamę. Wiem, co się z nią stało – słowa przeniknęły przez drzwi, podstępnie uderzając w nią z siłą pędzącego pociągu. Oczy dziewczyny niemalże wyskoczyły z orbit.

Nie myśląc o tym, co robi, Lena szybko przesunęła rygiel w zamku i otworzyła drzwi na oścież. Kryśka chyba coś powiedziała, ale było za późno na jakąkolwiek reakcję. Lena już coś zaczynała mówić podniesionym głosem, ale Łukasz nie czekał na zaproszenie – wparował do środka i zatrzasnął za sobą drzwi, odpychając silnym ramieniem dziewczynę, która sekundy wcześniej próbowała przejąć inicjatywę. Miał taki wyraz twarzy, że Lena natychmiast przypomniała sobie o pistolecie, przez co jej bojowy nastrój nieco stracił na mocy. Obie dziewczyny niepewnie cofnęły się o krok, nie wiedząc do końca, czego mogą się spodziewać po Łukaszu. Dopiero teraz Lena uświadomiła sobie, jak strasznie schrząbiła, jak bardzo naraziła nie tylko siebie, ale i Kryśkę. Właściwie wiedziała to już w momencie otwierania drzwi, ale skutecznie to zignorowała. Chłopak natomiast popatrzył na nie pełnym skupienia wzrokiem, słusznie odczytując ich obawy.

– Nie bójcie się. Nic wam nie zrobię – zapewnił, powoli wypuszczając powietrze i demonstrując uniesione dłonie. Spojrzał Lenie prosto w oczy, szukając w nich cho-

ciaż odrobiny zrozumienia, nawet malutkiej chęci zrozumienia tego, co za chwilę będzie musiał jej powiedzieć, aczkolwiek wiedział, jak trudne czeka go zadanie. – Musimy porozmawiać.

– Jesteś z policji? – zapytała Lena prosto z mostu, powoli odzyskując panowanie nad sobą. Gdy już stanęła na wprost zagrożenia, gdy już patrzyła mu prosto w oczy – jakby przestała się tak bardzo bać. W końcu to był Łukasz, znała go, okej, spotkała go kilka razy w życiu, ale chyba jej nie zastrzeli, prawda? Podobno największy strach odczuwamy zawsze przed tym, czego nie znamy, przypomniała sobie.

– Nie – powiedział tylko.

– To skąd? Wojsko? – Skrzyżowała ręce na piersiach, zmarszczyła brwi i uniosła wojowniczo podbródek, co niewątpliwie dodało jej uroku. Przy okazji kilka drewnianych koralików na dredach obito się jeden o drugi.

Łukasz oblizwał spierzchnięte wargi, zerkając na Kryškę. Ta wbijała w niego równie skupione, co wrogie spojrzenie, gotowa stanąć w obronie przyjaciółki, gdyby tylko zaszła taka potrzeba. Dziewczyny ewidentnie przypomniwały sobie, na czym są terenie, kto winien ustanawiać zasady i zadawać pytania.

– Nie, też nie.

– To skąd, kurwa, jesteś!? Mów jak człowiek i powiedz, co się stało z moją mamą!

– Spokojnie, poczekaj, to nie takie... – zaczął, ale Lena mu przerwała.

– Spokojnie? Człowieku, wiesz, przez co ja ostatnio przeszłam? Nie chrzań mi o byciu spokojną, tylko mów, zanim stracę cierpliwość i zadzwonię po policję.

Chłopak ponownie oblizwał spierzchnięte wargi, szukając odpowiednich słów.

– Jestem... Reprezentuję prywatną firmę. Dużą. Olbrzymią, w sumie to chyba jedną z największych na świecie, chociaż powiązania spółki są dość skomplikowane. Udziały sięgają... Dobra, okej. Zostałem tu wysłany po to, żeby cię obserwować i w razie potrzeby ochraniać. To, co widziałas na biegu, to była właśnie taka potrzeba. Mati był moim współpracownikiem. Wykonywaliśmy swoje zadanie. Po prostu.

Lena z Kryšką po raz kolejny wymieniły skonsternowane spojrzenia, już zupełnie spychając strach na drugi plan. Ochraniać? Ją? Firma? Nagle Lena przeniosła zdecydowany wzrok na chłopaka.

– Co z moją mamą?

– Straciliśmy z nią kontakt przed paroma dniami – odpowiedział szybko, patrząc twardo w jej oczy, jakby czuł się winnym, chociaż doskonale wiedział, że absolutnie nie był za to odpowiedzialny. – Pracuję dla doktora Rittnera. Tak, tego samego, który sfinansował całą wyprawę. Reszcie również została przydzielona ochrona, ja dostałem ciebie.

– Dlaczego macie ochraniać rodziny członków wyprawy? – zapytała Kryška, ale Łukasz ją zignorował.

– Co? A... reszta ludzi? Z nimi jest kontakt? Przecież nie szła tam sama – powiedziała równocześnie Lena. Poczowała, jak jej gardło zaciska się, częściowo ze strachu, a częściowo z żalu i jeszcze z powodu narastającej złości. Zupełnie nie rozumiała, co tu się działo. Poczowała w żołądku bolesny skurcz, ale zacisnęła zęby i nie dała tego po sobie poznać.

– Z innymi też nie mamy kontaktu. Nie wiemy, co jest tego przyczyną. Wysłaliśmy kolejną ekipę, żeby się zorientować w sytuacji. Wiemy tylko tyle, że twoja mama i parę innych osób dotarło do zejścia. Potwierdzenie znalezienia groty było jednym z ostatnich komunikatów, jakie odebraliśmy.

Lena patrzyła nań już nie wystraszonym, ale wściekłym, pełnym furii wzrokiem.

– Jaką kolejną ekipę? Jakiego zejścia? Człowieku, o czym ty mówisz?

Mimo złości zadała to pytanie cicho, niemalże szeptem, dodatkowo pochylając głowę i świdrując go wzrokiem na wylot. Kilka dredów spadło jej na twarz i kołysało się bezwładnie, nadając jej wygląd dzikuski z puszczy, gotowej w każdej chwili się na niego rzucić. Łukasz uśmiechnął się delikatnie, jakby przepraszająco, chociaż zmarszczone czoło wyrażało konsternację. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że dziewczyna naprawdę jest w stanie to zrobić. Ten jego uśmiech przelał czarę i Kryśka już definitywnie utwierdziła się w przekonaniu, że go nienawidzi.

– Mówiłem, że to będzie dość skomplikowane.

I gdy już Lena zamierzała mu odpowiedzieć, poczuła coś ciepłego i metalicznego na górnej wardze. Zaskoczona dotknęła dłonią nosa i kiedy odsunęła ją od twarzy, zobaczyła, że palce ma umazane krwią. Zerknęła pytającym wzrokiem na Kryskę i w tym momencie świat zawirował. Przyjaciółka coś do niej krzyknęła, Łukasz wyciągnął w jej stronę rękę. Przedpokój zrobił beczkę, przekręcając się wokół własnej osi, po czym wchłonęła go wielka, czarna dziura.

Druga wchłonęła Lenę. ■

ROZDZIAŁ 10

Bhutan, sierpień 2020

Istota schodziła z Gangkhar Puensum. Po opuszczeniu strefy szalejącej burzy widoczność poprawiła się na tyle, że swobodnie mogła obserwować otaczający ją teren. Podziwiała odległe szczyty, patrzyła z zamyśleniem na przeorane lodowcami doliny pełne moren, głazów i miejsc niedostępnych dla człowieka. Nie tak to wyglądało ostatnim razem, pomyślała. Wciągnęła w nozdrza powietrze, które dla zwykłego śmiertelnika mogło być ucieleśnieniem górskiej świeżości – dla niej natomiast było przesycone smrodem spalin, chemikaliów i setką innych, nieznanych jej wcześniej zapachów. Spojrzała na Bestię i z wyrazu jej pyska wywnioskowała, że ta czuła dokładnie to samo. Potwór rozglądał się czujnie, gotów w każdej chwili rzucić się na wszystko, co chociażby potencjalnie mogło zagrozić życiu jego pani. Istota rozejrzała się ponownie, starając się wyczuć kierunki, a tym samym – określić swoje położenie. Schyliła się, wzięła w rękę trochę zimnego piachu, następnie roztarła go w dłoniach i podniosła do nosa. Najpierw delikatnie powąchała, niczym sommelier, starając się wyłapać ulotną nutę wina, a po chwili zachłannie wciągnęła w nozdrza jego zapach. Jej oczy zaśniły zielonym, fanatycznym blaskiem.

Po paru sekundach zorientowała się już, gdzie jest. Wiedziała też, dokąd musi się udać.

I wiedziała również, że wcale nie musi się śpieszyć.

– Poszły sobie? – wyszeptała Sara, ostrożnie wychylając głowę zza opiekuńczego ramienia Chrisa. Posłał jej pełne skupienia, zatroskane spojrzenie.

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą, jednak jakby przepraszającym tonem. – Chyba tak, nie jestem pewien. Ale już od jakichś... dwudziestu minut jest cicho.

Dziewczyna zaryzykowała i powoli, cały czas czując ogromne napięcie, usiadła, wspierając się na rękach. Starła się przy tym nie wydawać żadnego odgłosu, chociaż nawet szelest kurtki zdawał się rozchodzić głośnym echem po całej jaskini.

Odczekała kilkanaście sekund, wpatrując się w krawędź jamy tak intensywnie, że aż zaczęły ją szczypać oczy. Nie śmiała nawet mrugnąć. Wymieniła spojrzenie z Chrisem, ale w jego wzroku zobaczyła tylko odbicie własnego wahania. Następnie spokojnie wstała. Oczami wyobraźni cały czas widziała pojawiającą się na górze głowę bestii albo tej dziwnej kobiety, lecz żadna z nich się nie pokazała. Może faktycznie odeszły, pomyślała i zdecydowała kurczowo trzymać się tej pozytywnej myśli.

– Pomóż mi – poprosiła. Chris podszedł bliżej, uważnie stawiając stopy – tak, aby przypadkiem nie nadziać się na wystające spod śniegu kolce.

– Poczekaj, może ja pierwszy – zaproponował.

– Ale... – zaczęła, lecz mężczyzna przerwał jej uniesieniem dłoni.

– Tylko wyjrzę, czy już sobie poszły.

Sara posłała mu krytyczne spojrzenie – była od niego lżejsza, więc łatwiej byłoby jej podciągnąć się na górę, zwłaszcza gdyby wspięła się z pomocą Chrisa, ale nie zamierzała się teraz o to kłócić.

– Tylko uważaj – powiedziała – jak się osuniesz, to spadniesz prosto na te...

– Wiem – powiedział tonem, który kończył problematyczną kwestię.

Dziewczyna w milczeniu skinęła głową. Jej szeroko otwarte oczy i zaciśnięte usta wyrażały więcej niż słowa.

Chris rozejrzał się w poszukiwaniu oparcia dla nóg. Niestety, jama, w jakiej się znaleźli, wyciosana była w kamieniu, nie oferując praktycznie niczego, na czym można by oprzeć tak masywne buty wyprawowe, jakie Chris miał na stopach. Na wystających z dna jamy kolcach też trudno było polegać: za duże ryzyko przebicia buta lub – co było bardziej prawdopodobne – utraty równowagi i nadziania się na nie. Tak czy inaczej, obie opcje były równie mało atrakcyjne. Została mu Sara.

Popatrzył na nią, absolutnie nie wątpiąc, że dałaby radę go utrzymać – niemniej wydało mu się to trochę niestosowne.

– Dobra, to ja cię podsadzę – powiedział po paru sekundach namysłu.

Kilka chwil później dziewczyna ostrożnie złapała za górną krawędź jamy. Pomimo grubych, śnieżnych rękawic pewnie się chwyciła, podciągnęła i wyjrzała za nią. Szeroko otwartymi oczami skanowała przestrzeń przed sobą, rozglądając się powoli, aby gwałtownym ruchem nie zwrócić na siebie uwagi, podczas gdy Chris na wyciągniętych w górę rękach podpierał jej stopy. Balansował ciałem, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, i modlił się, aby dziewczyna nie poleciała na plecy – wtedy absolutnie nic nie mógłby zrobić.

Sara odwróciła głowę i zerknęła na Chrisa.

– Chyba ich nie ma. Wychodzę – powiedziawszy to, podciągnęła się i zniknęła za krawędzią, nim mężczyzna zdążył zareagować. Zaklął cicho, ale po chwili wypuścił powietrze z wyraźną ulgą.

Tymczasem Sara, pochylona nisko, cały czas czujnie się rozglądała. Bała się, że coś przeoczy, że może jednak gdzieś w mroku jaskini coś się czai. Widziała jednak więcej, niż oczekiwała – światło latarek członków wyprawy, zarówno czołówek, jak i tych ręcznych, przecinało grotę, oświetlając groteskowy i mroczny obraz masakry, jaka miała tu miejsce zaledwie kilkadziesiąt minut wcześniej. Sara patrzyła na widok jak z horroru – porozrywane ciała, połamane kończyny, ludzkie wnętrzości powoli zamarzające na zimnym podłożu jaskini. Czerwień krwi tak doskonale kontrastująca z bielą śniegu. Twarze z zastygłym wyrazem niewypowiedzianego przerażenia, wykrzywione bólem, zdziwione. Niedowierzające, wytrzeszczone oczy. Dziewczyna przenosiła wzrok z jednej osoby na drugą, starając się jednocześnie powstrzymać odruch wymiotny i zachować zdolność racjonalnego myślenia, chociaż czuła się tak, jakby pędziła w rozklekotanym wagoniku kolejki górskiej, którego nie sposób było zatrzymać.

Nie myśl o nich, ciesz się, że przeżyłaś. I zrób wszystko, żeby utrzymać ten stan jak najdłużej – powtarzała w myślach jak mantrę, starając się wysiąść z tego przekle-

tego wagonika, próbując za wszelką cenę pozostać przy zdrowych zmysłach.

Powoli się wyprostowała. Zdecydowała, że najpierw upewni się, czy jest bezpiecznie, a dopiero potem pomoże Chrisowi się wydostać. I w tym samym momencie uświadomiła sobie, że jednak musi postąpić inaczej – jeżeli bestia gdzieś się czai, to ją zabije, i Chrisa spotka okrutna śmierć głodowa albo z wyziębienia. Rozejrzała się zatem w poszukiwaniu liny, którą wcześniej była przywiązana Katarzyna Piskorzcyk. Stanowisko, na którym była osadzona, cały czas znajdowało się na swoim miejscu, rozgrywająca się tu walka je ominęła, Sara uznała więc, że Chris może się bezpiecznie po niej wydostać.

Obchodząc plamy krwi, fragmenty rozrzuconego sprzętu i części ludzkich ciał, dziewczyna pokonała kilka metrów, schyliła się i chwyciła leżącą linę. Następnie wyprostowała się i zaczęła ciągnąć ją do siebie. Gdzieś dalej leżał na niej martwy człowiek, jednak ostatecznie udało się jej przeciągnąć ją pod zwłokami. Gdy wreszcie koniec liny znalazł się w jej rękach, zaczęła na niej wiązać węzły, które miały pomóc Chrisowi w podejściu. Kilkadziesiąt sekund później pochyliła się nad rozpadliną. Ujrzała wystraszone spojrzenie mężczyzny.

– Poszły sobie? – zapytał cicho.

– Chyba tak. Nikogo nie widać – odpowiedziała, ponownie nerwowo się rozglądając.

– Czy ktoś... – zamilkł w połowie wypowiedzi. Surowe, smutne oblicze Sary wystarczyło mu za odpowiedź.

– Rzucam ci linę. Jest w dobrym stanie, ale jeszcze poczekaj, wepnę się i cię złapię. Tak na wszelki wypadek.

– Okej.

Sara oddaliła się, a w tym czasie Chris przygotował sobie pętlę i karabinek, którego zamierzał użyć do wczepienia się w jeden z węzłów, jaki przygotowała Sara. Co prawda nijak się to miało do elementarnych zasad wspinaczki i podchodzenia na linie, niemniej chwilowo miał poważniejsze zmartwienia. Na przykład jak nie spaść i nie nadziać się na metrowy kolec.

Minęła dłuższa chwila, zanim poczuł dwa krótkie szarpnięcia liną. Odpowiedział tym samym i bez zbędnej zwłoki ruszył w górę. Starał się to robić szybko, pewnie i nie zastanawiając się nad ryzykiem – jak zawsze podczas wypraw czy pokonywania jakiejś ściany, koncentracja na tym, co może pójść nie tak, na niebezpieczeństwie, była niemalże stuprocentową gwarancją niepowodzenia. Z kolei odrzucenie tych myśli i skupienie się na wykonywaniu przemyślanych, pewnych ruchów znacznie zwiększało szanse na sukces. Dlatego też po paru sekundach już trzymał ręką krawędź rozpadliny, a po kilku kolejnych – stał pewnie na nogach w bezpiecznej odległości od pułapki. I spoglądał na to, co wcześniej zobaczyła Sara. Wymienili spojrzenia, ale żadne nie mogło znaleźć odpowiednich do wypowiedzenia słów.

Kilka godzin później

Młody Bhutańczyk leniwie dreptał wzdłuż drogi, ciągnąc za sobą ewidentnie za

długi jak na swój wzrost drąg. Właściwie ten badył nie był mu specjalnie potrzebny, ale jego dziadek chodził z takim, jego ojciec również, więc jemu chodzić bez kija nie wypadało. Już od dziecka musiał się uczyć tego, jakie cechy powinien posiadać mężczyzna, co mu przystoi, a co nie – jak wiedział, lekceważenie tego mogło mieć określone konsekwencje, których wolał nie poznawać. Ciągnął więc swój drąg, zamiast się nim podpierać, bo to już zdążyło mu się znudzić.

Dzień chylił się ku końcowi. Za kilkadziesiąt minut miał nastać wieczór. Zza chmur przebijały się jeszcze ostatnie promienie pomarańczowego słońca, a chłód coraz mocniej dawał się we znaki. Chłopiec, otuliwszy się szczelniej płaszczem z owczej skóry, uniósł wzrok, by ocenić, czy stado zbyt się nie rozbiegło. Wyglądało jednak na to, że wszystkie sztuki trzymają się blisko siebie. Oczywiście nie była to zasługa ani chłopca, ani jego kija – tylko dwóch starych, wysłużonych kundli, które pomimo braku certyfikatu potwierdzającego przynależność chociażby w jednej ósmej do jakiegokolwiek rasy pasterskiej, doskonale sobie radziły. Owce dzwoniły dzwoneczkami i głośno beczały, jakby zawzięcie dyskutowały na jakiś ważny temat, psy natomiast pilnowały, aby rozentuzjasmowane stado zbyt się nie rozbiegło. Wszystko wydawało się być w porządku. Chłopiec pomyślał, że przy odrobinie szczęścia może nawet uda mu się wrócić do domu na kolację.

I gdy ta sielanka – chociaż dla dziesięciolatka była to bardzo ciężka praca – trwała w najlepsze, nagle wszystkie zwierzęta się zatrzymały. Stały jak na rozkaz, niektóre nawet przysiadły, jakby zmuszone do tego przez jakąś niewidzialną siłę. Chłopiec w pierwszej chwili wystraszył się, myśląc, że na drodze przed nimi pojawił się jakiś drapieżnik, lecz szybko odrzucił tę myśl – przecież wtedy zwierzyna rozbiegłaby się na wszystkie strony, nie tylko utrudniając ewentualną pogoń, ale i późniejsze skompletowanie stada. A może zwierzęta nie rozbiegłyby się, może stałyby sparaliżowane strachem tak jak on teraz, przeszło mu przez myśl. Tak naprawdę nie wiedział, czego spodziewać się w podobnej sytuacji, nie spotkał nigdy żadnego drapieżnika, słyszał tylko opowieści o nich.

Zanim jednak zdążył rozważyć inne scenariusze, zwierzęta zaczęły odwracać się w jego stronę. Jedno po drugim, po kolei, aż w końcu wszystkie patrzyły prosto na wystraszonego i samotnego chłopca. Poczł, jak uderzenia jego młodego serca nabierają szalonego tempa. Z zaciśniętego gardła mimowolnie wydobył się cichutki jęk, a usta wykrzywiły się w grymasie przerażenia.

Zwierzęta przechodziły jakąś metamorfozę. Oczy wszystkich owiec nabrały teraz rubinowego blasku, który świecił niczym dziesiątki kryształów odbijających światło zachodzącego słońca. Ślepią psów również były inne niż zwykle. Chłopak z trudem przełknął ślinę, gdy zobaczył, jak grzbiet stojącego bliżej kundla zaczyna się jeżyć, a pies pochyla głowę, bez wątpienia gotując się do ataku. Zdawało mu się, że to wszystko mu się śni, że drzemie na jawie znużony długim marszem, jednak to wcale nie był sen.

– S... spokój, spokojnie, Gaden, s-s-s-pokój – starał się zachować dzielnie, lecz przez jego głos przebijał lęk.

Poczł, jak po udzie spływa mu ciepła strużka moczu. Pies powoli wysunął przed-

nią łapę do przodu, cały czas wlepiając wściekle i czujne zarazem spojrzenie w doskonale sobie znanego człowieka. Myśli dzieciaka wariowały – co się stało, dlaczego zwierzęta patrzą na niego z taką nienawiścią, co takiego im uczynił? Z jednej strony żałował, że nie ma z nim nikogo, z drugiej natomiast cieszył się, że nie ma tu świadków jego przerażenia i tchórzostwa. Nie wiedział, które uczucie dominuje, nie miał pojęcia, co jest gorsze.

Oba kundle – najeżone, wściekle – postąpiły kilka kolejnych kroków do przodu. Chłopak cały czas się im uważnie przyglądał, nie spuszczał ich z oczu, tak jak one nie spuszczały oczu z niego. Pamiętał, jak ojciec mówił, że w takiej sytuacji nie wolno uciekać, bo pies wyczuje strach i rzuci się w pogoń. Niestety instynkt był silniejszy – złapawszy mocno kij, chłopak odwrócił się, by rzucić do ucieczki, pędząc ile sił w małych nogach.

Ledwie się jednak odwrócił, a zderzył się z postacią, która niepostrzeżenie pojawiła się tuż za nim. Głową uderzył w jej twarde kolano i upadając, wyrznął boleśnie plecami o ziemię. Podniósł natychmiast zaskoczony wzrok, pełen nadziei, że oto niebiosa zesłały mu ratunek, dorosłego, który wybawi go z opresji i bez wątpienia ocali jego krótkie, mizerne życie. I absolutnie już nie przejmował się tym, że wybawiciel był świadkiem jego tchórzostwa albo że zauważy zmoczone spodnie.

Niestety opatrność przygotowała mu coś zupełnie innego. Po paru sekundach konsternacji chłopak uświadomił sobie, na co właściwie patrzy – oto stała przed nim przedziwna istota, wyglądająca jak kobieta, jednak różniąca się od tych, które widział do tej pory. Nienaturalnie duża, wręcz karykaturalnie wysoka, szczupła, z dziwnymi ozdobami na szyi. Do tego była zupełnie naga. Rozdziawił usta absolutnie zaskoczony, zupełnie zapominając o tym, co stało się z jego stadem.

Nagle kobieta pochyliła głowę wielkości klatki piersiowej dorosłego mężczyzny nad leżącym chłopakiem, otaczając go swoimi długimi, ciemnymi włosami, w które wplecionych było mnóstwo dziwnych patyków, kości i małych czaszek. Chłopak z przerażeniem patrzył, jak jej oczy rozświetlają się dziwnym zielonym blaskiem, zaczynają płonąć, a wraz z nimi w ogniu staje cały jego świat. Chciał uciekać, obudzić się, zrobić cokolwiek – ale nie mógł. Ciało odmówiło mu posłuszeństwa, zafascynowany i przerażony zarazem umysł nie wysyłał odpowiednich sygnałów do podległych mu kończyn. W tym czasie kobieta zaciągnęła się kilkakrotnie zapachem chłopca, niczym pies łapiący ledwie wyczuwalny trop. Przymknęła powieki. Jej twarz wykrzywił grymas niechęci. Nie wiecieć czemu chłopak poczuł się przez to jak najgorszy śmieć. Gdyby tylko mógł, uciekłby w góry i zaszył się w nich do końca życia. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego, pomimo zagrożenia, odczuwał wstyd, ta krótka refleksja trwała jednak krócej niż mrugnięcie okiem, szybko ustępując miejsca obojętnemu przerażeniu. Koraliki we włosach kobiety zaklekotały, gdy ta po paru sekundach uniosła głowę, odwracając wzrok od napotkanego na swojej drodze człowieka.

Następnie wstała i po prostu ruszyła dalej. I gdy już chłopiec myślał, że oto jednak stał się cud, że wszystko mu się przyśniło i lada chwila najzwyczajniej w świecie obudzi się przy dogasającym ognisku – dopadły go jego psy, spełniające niewypowiedziane życzenie swojej nowej pani. Krzyki chłopca trwały równie krótko, co wspomnienie

jego marnego życia.

Powoli zapadał zmrok. Istota z jaskini, przeszedłszy bezdrożami kilkanaście kilometrów, zbliżała się do granicy Bhutanu. Poruszała się wzdłuż polnej drogi, tej samej, na której spotkała chłopca z jego stadem. Wcześniej droga wiła się serpentynami pomiędzy mniejszymi lub większymi pagórkami, zręcznie omijając większość z nich. Teraz jednak kobieta napotkała wzniesienie, na którym zdecydowała się zatrzymać. Jej oczom ukazały się światła niewielkiej wsi znajdującej się kilkaset metrów dalej, otoczonej malowniczymi, leniwie wznoszącymi się wzgórzami.

Charakterystyczne, prostokątne domostwa świeciły z rzadka oczodołami okien, gdyż prąd w tym miejscu wciąż był luksusem. Bestia obok kobiety oparła się łapami o ziemię, łapczywie wciągając zapachy niesione przez noc. Jej białe futro leniwie falowało, niczym łany zboża głaskane wiatrem. Następnie uniosła brodę i warknęła coś do swojej pani.

– Phia'ma... – odpowiedziała kobieta cicho, delikatnie przeczesując szczupłymi palcami szorstki kark potwora.

Bestia zastrzygła z zadowoleniem uszami i po chwili skierowała spojrzenie na oddalone domostwa. Oblizła się i poczuła skurcze mięśni przed zbliżającą się walką. Ktoś daleko trzasnął drzwiami, paru ludzi rozmawiało na zewnątrz – i pomimo dzielącej ich odległości kobieta i Bestia doskonale ich słyszały.

Istota wiedziała, że nie musi wchodzić do ludzkich skupisk. Była świadoma tego, że ma znacznie ważniejsze zadanie do wykonania, że musi się śpieszyć, zanim ludzie dowiedzą się o jej istnieniu. Zanim sobie o nim przypomną. A dowiedzą się i przypomną sobie prędko, była o tym przekonana. Z drugiej jednak strony była równie pewna, że nikt ani nic nie jest w stanie jej zagrozić.

Wtedy, gdy już osiągnie pełnię swoich sił.

Zdecydowała jednak, że może poświęcić nieco czasu na wizytę w wiosce.

Niech się zacznie.

Zbyt długo spała.

Wpatrując się w zabudowania, pochyliła się nieco i nabrała głęboko powietrza, podnosząc jednocześnie dłonie do twarzy, jakby chciała ogrzać je oddechem. Rozchyliła usta w niemym szepcie i spomiędzy palców wydostały się delikatne strużki fioletowego dymu. Już miała rozchylić dłonie, lecz zamiast tego... osunęła się na ziemię. Bestia szybko rzuciła się na pomoc swojej pani, w ostatniej chwili chwytając ją w muskularne ramiona i amortyzując upadek. Poruszała się niewiarygodnie szybko, ale nawet podczas skoku zdążyła rozejrzeć się w poszukiwaniu potencjalnego niebezpieczeństwa, człowieka, który mógł zaatakować.

Nie dostrzegła jednak ani nie wyczuła młodego mnicha ukrytego za odległym wzniesieniem. Mężczyzna odsunął lornetkę od oczu i powoli, uważając, żeby nie wywołać kamiennej lawiny, zsunął się metr poniżej linii pagórka. Następnie ukucnął, wyciągnął stary telefon komórkowy i wybrał numer – jedyny zapisany na karcie pamięci. Ktoś po drugiej stronie odebrał jeszcze przed pierwszym sygnałem.

– Miałeś rację – powiedział mnich.
– Jesteś pewien? – szybko zapytał surowy, poważny głos.
– Tak. Ale jest słaba. Bardzo słaba – odpowiedział, nie wahając się nawet przez sekundę.

Przez głowę przeleciała mu wprawdzie myśl na temat teoretycznej pomyłki – ale szybko ją od siebie odsunął, zastanawiając się, z czym właściwie mógłby pomylić to, co zobaczył. Jedynie z halucynacjami wywołanymi chorobą lub narkotykami, innego sensownego rozwiązania nie widział.

– Dalsze rozkazy?

Rozmówca po drugiej stronie zastanawiał się przez chwilę, co mnichowi wydawało się wiecznością. Rozglądał się przez ten czas czujnie, bojąc się, że może któryś z potworów jednak go wyczuł i zakradł się do niego niepostrzeżenie. Na szczęście nie dostrzegł żadnego zagrożenia. Niemniej czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

– Trzymaj się z dala. Śledź ją, melduj co pół godziny lub za każdym razem, gdy wydarzy się coś... podejrzanego.

Mnich zmarszczył brwi, zupełnie nie rozumiejąc polecenia. Jak to miał meldować w razie czegoś podejrzanego? A co normalnego mogły robić mityczna bestia i prastare bóstwo, o których legendy okazały się mieć w sobie więcej niż tylko ziarno prawdy? Sposępniał, powoli wypuścił powietrze, ale do słuchawki odpowiedział tylko:

– Oczywiście. Zrozumiałem.

Już miał się rozłączyć, gdy jeszcze usłyszał słowa:

– I bracie... uważaj na siebie.

Nie bardzo wiedząc, jak powinien zachować się w takiej sytuacji, odpowiedział cicho:

– Będę. Dziękuję, Pierwszy Bracie.

Rozłączył się. Ostatnie zdanie zupełnie go zaskoczyło. W klasztorze panowała surowa dyscyplina, spoufalanie się było natychmiast wykrywane i w odpowiedni sposób karane. Sprawa, która trzymała Zakon w ryzach i która tysiące lat wcześniej była powodem jego powstania, wymagała absolutnej lojalności i najwyższego posłuszeństwa. Nie było nawet mowy o chociażby najmniejszych odruchach sympatii dla współtowarzyszy niedoli, bano się bowiem, że mogłoby to odwrócić uwagę braci od ich podstawowego i jedyne zadania. Między innymi dlatego właśnie wszyscy nazywali siebie braćmi. Jedyne wyjątek stanowił ten, który koordynował pracę pozostałych, szkolił ich i nauczał, zwany Pierwszym Bratem.

Pierwszy Brat po zakończeniu rozmowy zamyślił się, patrząc na stary, wysłużony aparat, pamiętający jeszcze początki telefonii komórkowej. Długo mu już służył, był wytrzymały, w przeciwieństwie do tych nowoczesnych, które zostały zaprojektowane w taki sposób, aby konsument musiał po kilku latach sięgnąć po nowy model, co napędzało koła zębate kapitalizmu i odводziło ludzi od tego, co naprawdę istotne. Lecz to, co najważniejsze, już niebawem o sobie przypomni. Brutalnie, gwałtownie i bez ostrzeżenia, z siłą tajfunu, kamiennej lawiny czy wybuchu wulkanu, bezlitośnie niszc-

cząc wszystko, co stanie na jego drodze. Ciężko westchnął. Odsuwając od siebie ponure myśli, odłożył telefon na drewniane biurko, zastanawiając się, co teraz powinni uczynić. Poglądził się po długiej, gęstej brodzie.

Od wieków dbali o to, aby mityczna bogini – występująca w ich kronikach jako Matka – pozostała w ukryciu i zamknięciu, wymazana z kart historii. Przekazywali sobie tajemną wiedzę o niej z pokolenia na pokolenie, szkolili się, trenowali, poświęcali całe życie dla sprawy... jednak los chciał inaczej, a Pierwszy Brat za żadne skarby nie mógł pojąć dlaczego. Rozumiał natomiast, że oto jest świadkiem narodzin zupełnie nowej ery i jeżeli nie podejmie wystarczająco szybkich i słusznych decyzji, możliwe, że będzie także świadkiem schyłku panowania człowieka na Ziemi.

Niemniej nie potrafił się tym martwić – wszak zamartwianie się było w Zakonie zakazane. Podeszedł do okna, spojrzął na posępne górskie szczyty i zaczął snuć plany.

Ghankhar Puensum, parę godzin wcześniej

– Co teraz? – zapytała Sara.

Chris spojrzął na nią niepewnym wzrokiem.

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą. Westchnął ciężko, rozglądając się po pobojuwisku. Chociaż trafniejszym na nie określeniem byłoby miejsce rzezi. Dopiero gdy się nieco uspokoił, opadły emocje i upewnili się, że bestii ani tej dziwnej kobiety nigdzie nie ma (choć żadne z nich nie zamierzało dokładnie tego sprawdzić, zagłębiając się w korytarz, z którego te potwory się wyłoniły), pozwolili sobie na opuszczenie gardy. I kiedy adrenalina przestała tak agresywnie krążyć w ich żyłach, poczuli unoszący się w powietrzu gęsty, metaliczny, ohydny fetor. Zapach krwi i ludzkich wnętrzności. Zapach strachu pomieszany z dziwnym, lepkiem odorem śmierci. Przez tę woń, ale i emocje, które próbowały znaleźć ujście, oboje ledwo powstrzymywali odruch wymiotny.

– Powinniśmy kogoś o tym zawiadomić – zauważyła dziewczyna.

– Doktora?

– A masz kogoś lepszego na myśli? Nie wiem, policję? Pojęcia nie mam, jaki tu jest urzędowy język, nie wspominając o tym, że Internetu raczej tu nie złapiemy.

Chris podrapał się po głowie.

– Zatem doktor.

– Tak. I co dalej? Schodzimy?

Mężczyzna spojrzął na wyjście z jaskini. Zerwany tarp powiewał niczym żagiel zatopionego okrętu, odsłaniając górskie szczyty skąpane w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Jednak Chris nie potrafił docenić piękna tego widoku. Podeszedł i prowizorycznie przymocował płachtę na powrót.

– Nie, teraz już za późno. Niedługo zapadnie zmrok, to zbyt niebezpieczne – odwrócił się i spojrzawszy prosto w oczy Sary, powiedział to, czego dziewczyna najbardziej nie chciała usłyszeć. – Powinniśmy zostać tu na noc. Właściwie to nie mamy wyboru.

Zakłęła i opuściła wzrok.

– Dobra. A co robimy z... nimi? – zapytała, kiwając głową w stronę leżących ciał.
– Chyba nie powinniśmy ich ruszać, wiesz... dla dobra śledztwa.
– Śledztwa? Naprawdę myślisz, że ktokolwiek tu wejdzie, żeby, nie wiem, zebrać odciski palców? Pazurów? Proszę cię.

Chris nie odpowiedział, czując, że Sara ma rację. Ta odczekała chwilę i mówiła dalej:

– Może chociaż spróbujemy ich położyć jakoś... – wskazała ręką na ciała i nagle głos jej się załamał, łzy napłynęły do oczu, niespodziewanie i z taką siłą, że nie potrafiła ich powstrzymać – no nie wiem, położyć... jakoś koło siebie, w całości... żeby chociaż... Jezu...

Chris bez słowa pochylił się i przytulił ją, pozwalając jej skryć się w ramionach. Dziewczyna zaniósła się płaczem, ale on też czuł, że jest bliski łez. Niejednego w życiu doświadczył, jednak to, co tu zobaczył, przekraczało granice jego wyobraźni.

– Jakoś spróbuję zabezpieczyć wejście i zebrać potrzebne rzeczy. Trochę tu... ogarnę – powiedział po chwili, gdy dziewczyna nieco się uspokoiła.

– Przepraszam, już... – zaczęła, ale Chris jej przerwał.

– Przestań. Nie ma o czym mówić.

Spojrzała mu głęboko w oczy i przez chwilę myślała, że może faktycznie wszystko będzie dobrze. Że uda im się wyjść z tego cało, że przeżyli i tylko to jest ważne. Powinna być wdzięczna opatrności za to, że nadal jest w jednym kawałku. Dosłownie.

– Pomogę ci.

– Nie musisz, zostań tu.

– Razem będzie szybciej. Poza tym wolę coś zrobić, niż siedzieć i na to patrzeć.

– Dobrze, ale Saro... po prostu nie myśl o tym. Nie myśl o tym, co robimy.

Dziewczyna kiwnęła niepewnie głową. Chris wstał i wyciągnął do niej rękę. Zabrali się do pracy.

Zwłoki ułożyli pod jedną ze ścian, na plecach, jedno obok drugich. Największy problem polegał na dopasowaniu do ciał pourywanymi częściami, chociaż nie było ich aż tak wiele – niemniej każda zdawała się ważyć tonę. Następnie przysypali ciała śniegiem, pozostawiając odkryte tylko twarze. Wielokrotnie musieli przerywać pracę, aby uspokoić szalejący żołądek i wziąć kilka głębszych oddechów.

Podczas „porządków” starali się zebrać przydatne rzeczy oraz dokumenty, które mogłyby pomóc w przyszłej identyfikacji ofiar. Wszystko schowali do jednego plecaka, który powiesili w widocznym miejscu.

Następnie złożyli sprzęt w jedno miejsce, rozbili namiot i zaczęli planować dalsze kroki. Zrobiło się spokojniej, na zewnątrz wiatr ucichł. Emocje jakby zamarzły z powodu spadającej temperatury i oboje poczuli głód, który uderzył w nich z olbrzymią siłą. Chris jeszcze krzątał się, porządkując to, co zebrali, podczas gdy Sara przyrządziła posiłek, czyli wstawiła wodę i wyjęła torebki z liofilizowaną żywnością.

– Nie mam pojęcia, skąd ludzie Michała mieli broń. I to aż tyle, zobacz – powiedział Chris, wymownie patrząc na karabinek maszynowy. Dwie identyczne sztuki leżały na płachcie, obok kilka magazynków. Znaleźli jeszcze dwa pistolety.

Sara przyglądała się temu całemu arsenałowi, od czasu do czasu sprawdzając, czy

woda wreszcie się zagotowała.

– Musieli wiedzieć, co tu się może stać. Innej opcji nie widzę. Ale dobrze, że teraz mamy się czym bronić.

Chris nie skomentował głośno, że poprzednim właścicielom broń na niewiele się zdała, chociaż był pewien, że Sara też jest tego świadoma. Po prostu pewnych rzeczy nie trzeba było mówić na głos.

– Może to by tłumaczyło obecność tamtych zwłok – dodała jeszcze, kiwając głową w stronę korytarza, z którego wyszła bestia.

– Myślisz, że to była poprzednia ekipa? – zapytał. – Jeżeli tak, to dlaczego nam nie powiedzieli? Nie ostrzegli nas? Skurwiele, wiedzieli, w co nas pakują, i ukryli to przed nami.

– A czy wtedy zgodziłbyś się przylecieć?

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko sposepniał i spuścił głowę. Sara tymczasem podała mu torebkę z parującym kleikiem.

– Dzięki – burknął i usiadł blisko niej. Zaczęli jeść.

Nie musieli się martwić o źródło światła, ubrania ani sprzęt – znaleźli ponad dwadzieścia latarek, kilka lin o łącznej długości ponad trzystu metrów i zapasy przeróżnego rodzaju – było to zresztą wszystko, co Chris kazał zapakować członkom wyprawy, plus liczne bonusy, o których mężczyzna nie miał pojęcia. A teraz rzeczy potrzebne dla kilkunastu osób dostały się zaledwie dwóm. Mieli w czym wybierać. Musieli jednak dobrze przemyśleć, co zabiorą, bo nie wszystko zdołaliby udźwignąć.

Jedli w ciszy, którą w końcu przerwała Sara:

– Dzwonimy?

– Jeszcze chwilę.

– Na co właściwie czekamy? – zapytała.

– Nie wiem, coś mi tu nie pasuje. Chcę poukładać myśli – przyznał Chris zgodnie z prawdą.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego doktor Rittner naraził ich na tak olbrzymie niebezpieczeństwo, i w dodatku w żaden sposób ich wcześniej nie ostrzegł. Myślał o tym intensywnie od jakiegoś czasu, ale nie przyszła mu do głowy żadna sensowna odpowiedź. Nie wyobrażał sobie, że ktoś mógłby wiedzieć o istnieniu tych... stworzeń i wysyłać ludzi prosto w ich paszcze.

– Dobra, masz rację. Po prostu do niego zadzwonię – powiedział, odstawiając jedzenie. – Chociaż pewnie już się domyśla, że coś jest nie tak, bo Michał nie składał mu raportu od paru godzin.

– Myślisz?

– Pewnie. Nie widziałas, jak Michał co chwilę oddalał się, żeby zadzwonić? I raczej nie do swojej kobiety.

Sara przyznała mu rację. Chris wziął telefon satelitarny, wstał i ruszył w stronę wyjścia z jaskini. Odsunął płachtę służącą za prowizoryczne drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Burza znowu zaczynała nabierać na sile. Mężczyzna dostał w twarz zmrożonym śniegiem, wiatrem i zimnem z taką mocą, że aż mu odebrało oddech. Szybko cofnął

się i opuścił płachtę. Musiał zadzwonić z wnętrza jaskini, ale wątpił, żeby udało mu się złapać zasięg. Jego przypuszczenia szybko się potwierdziły. Chodził to w jedną, to w drugą stronę. Machał wyciągniętą w górę ręką z telefonem, ale bez rezultatu.

– Nic z tego. Na zewnątrz szaleje taka zamieć, że jak się nie uspokoi, to zostaniemy tu do wiosny – próbował zażartować.

Sara skwitowała to niepewnym uśmiechem.

– Spróbujemy rano.

Mężczyzna usiadł ciężko obok niej.

– Prześpij się, ja... posiedzę. Jakby coś.

Powiedział to, patrząc na nią z troską w oczach. Starał się maskować strach, nie pokazywać, jak bardzo się boi. I miał nadzieję, że Sara nie zauważy jego wątpliwości co do sensu trzymania warty – nawet jeżeli któreś z nich wypatrzy bestię wyłaniającą się z tunelu, to co mogą wtedy zrobić? Wybiec na zewnątrz, w burzę i zamieć, wprost na spotkanie pewnej śmierci? Chociaż to mogłoby być lepsze niż dać się wypatroszyć żywcem, pomyślał.

– I tak nie usnę – powiedziała Sara, wygrzebując się z namiotu.

– To co będziesz robić? – zapytał.

– Kawę.

Oddaliła się kilka metrów, żeby zebrać czysty śnieg do roztopienia.

– Ej, a myślisz, że... Katarzyna mogła przeżyć? – zapytała, odwracając się w jego stronę.

Chris milczał przez chwilę, zastanawiając się nad tym, jakie słowa w tej sytuacji będą najodpowiedniejsze. W końcu odpowiedział po prostu:

– Nie. Myślę, że nie.

Dziewczyna skinęła smutno głową i wróciła do poprzedniego zajęcia. ■

ROZDZIAŁ 11

Warszawa, sierpień 2020

Lena ledwie otworzyła oczy, natychmiast je przymknęła i wyciągnęła przed siebie rękę, osłaniając się przed wiatrem. Zakłęła głośno, ale wiało tak mocno, że nie słyszała nawet własnych myśli. Stała bokiem do nawałnicy i spróbowała rozchylić powieki, żeby zorientować się w sytuacji.

Okazało się, że stoi na kamiennym polu znajdującym się na jakimś wzniesieniu. Wokół niej szalała zamieć, ograniczając widoczność prawie do zera. Wiatr był tak silny, że porywał ze sobą nie tylko liście i piach, ale też niewielkie gałęzie i patyki. Była noc, a Lena, pomimo braku jakiegokolwiek źródła światła, zdawała się widzieć wszystko wokół siebie, i to w promieniu kilku metrów. Zupełnie jakby sama emanowała blaskiem.

Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje, jak się tu znalazła ani gdzie jest. Czowała się jak drobina pyłu w bezmiarze kosmosu. Bezwładna, bezbronna i samotna. Poczwała, jak jej gardło zaciska się ze strachu, tak samo jak serce, coraz szybciej pompujące krew. Panicznie, jakby chciało wyskoczyć z bezpiecznej piersi i pobiec daleko w ciemność w poszukiwaniu schronienia. Podświadomie napięła mięśnie, gotowa odeprzeć czyjś ewentualny niespodziewany atak.

Naraz coś – jakaś siła, może instynkt – kazało jej zrobić krok do przodu. Dziewczyna ruszyła posłusznie, po części bezwolnie, po części zdeterminowana, aby dotrzeć gdziekolwiek, gdzie mogłaby dowiedzieć się, co właściwie się z nią stało.

Kroczyła pochylona, siłując się z żywiołem. Minęła kilka krzewów i całkiem sporych głązów, aż zatrzymała się nagle, koncentrując zdziwiony wzrok na drzewkach i kamieniach. Zobaczyła, że wiatr jakby je wymywa, rozciąga, zabierając fragmenty cząsteczek, z których są zbudowane, rozwlekając je w czasie i przestrzeni. Spojrzała na własne dłonie i zauważyła ten sam efekt.

Wiatr połknął jej pełen grozy krzyk.

Nagle nawałnica jakby się otworzyła, formując długi tunel centralnie na wprost dziewczyny. Lena uniosła załzawione oczy i otworzyła usta w niemym geście absolutnego, skrajnego strachu. Strachu, który paraliżuje całe ciało, który odbiera trzeźwość myślenia i pozwala tylko stać i biernie obserwować, zostawiając w świadomości jedynie trochę miejsca na modlitwę.

Kilkanaście metrów przed sobą Lena zobaczyła przedziwną istotę – olbrzymią kobietę, nagą, ustrojoną tylko w dziwny naszyjnik ze sznurków, linek i kości zwierząt. Stała bokiem do Leny. Miała gęste, ciężkie włosy, zwieńczone koroną z patyków, która w pierwszej chwili skojarzyła się Lenie z koroną cierniową Chrystusa. Wokół jej lewej dłoni orbitowały niewielkie kamyczki, pozostawiające za sobą delikatne smugi pomarańczowego i niebieskiego światła, przypominające warkocze komet. Kobieta pochylała się nad... martwymi ludźmi ułożonymi wokół kamiennej studni. Coś mówiła, ale Lena nie była w stanie usłyszeć jej słów. Dopiero teraz zauważyła zabudowania znajdujące się tuż za kobietą i białą bestię stojącą obok niej.

Nagle kobieta przekreśliła głowę w stronę Leny. Jej twarz z początku wyrażała zaskoczenie, szybko jednak zastąpił je grymas wściekłości. Oczy rozszerzyły się, a usta rozchyliły i obnażając ostre kły, wypowiedziały zupełnie niezrozumiale dla dziewczyny słowa:

– Khia ‘rtanen. Fartala.

Światło się załamało, nawałnica błyskawicznie wypełniła świeżo powstały tunel i uderzyła w Lenę z ogromną siłą. Dziewczyna próbowała jeszcze unieść ręce, chciała krzyknąć, cofnąć się, zrobić cokolwiek. Nie zdążyła.

Cały jej świat ponownie pogrążył się w ciemności.

Warszawa, sierpień 2020

– Jezu, Lena, żyjesz?

Dziewczyna poderwała się gwałtownie z podłogi, odpychając Kryskę i Łukasza. Stała w rozkroku z rozłożonymi szeroko rękami, gotowa rzucić się do ucieczki, ale szybko zorientowała się, że jest we własnym mieszkaniu. Skonsternowana zmarszczyła brwi i rozejrzała się dla upewnienia, gdzie tak naprawdę się znajduje, bo wcale nie była co do tego w stu procentach przekonana. Może to tylko kolejna wizja, może umysł znowu płatał jej figle? Spojrzała na swoje ręce, zupełnie ignorując pytania Kryski i Łukasza.

Przekonała się, że jej ciało było w porządku, nic się nie rozmazywało. Nie wiał też żaden wiatr. Dopiero teraz przeniosła wzrok na Kryskę.

– Lena, to ja, spokojnie – powiedziała przyjaciółka, delikatnie robiąc krok w jej stronę. Wyciągnęła przed siebie rękę w uspokajającym geście. Lena pozwoliła się dotknąć, chociaż Kryśce przypominała dzikiego, nieufnego drapieżnika.

– Spokojnie.

– Jak... co się stało?

– Nie wiem – odparła Kryśka z troską w głosie. – Zemdlałaś, kiedy Łukasz wszedł do środka.

Dopiero teraz Lena przypominała sobie o chłopaku. O wyścigu, o ataku łosia. O pistolecie. Napięła mięśnie, drgnęła, zrobiła krok do tyłu, odsuwając się od potencjalnego niebezpieczeństwa. Chłopak jakby to wyczuł, uniósł dłonie w pokojowym geście, demonstrując swoje dobre zamiary.

– Spokojnie, nic ci nie grozi. Przynajmniej nic z mojej strony – zadeklarował, wymownie patrząc na obie dziewczyny. Lena jednak nadal spoglądała na niego podejrzliwie, bojąc się, że lada chwila wyciągnie zza pleców pistolet. Nic takiego się jednak nie stało. Łukasz po prostu stał bez ruchu i patrzył beznamiętnie jak figura szachowa, która po postawieniu na polu czeka na ruch przeciwnika.

– Długo... – Lena wreszcie zaryzykowała i zerknęła z ukosa na Kryskę.

– Nie. Króciutko, może parę sekund. Upadłaś, zdążyłam do ciebie dolecieć, a ty już wstawiałaś.

Lena zmarszczyła brwi, wbijając skonsternowane spojrzenie w podłogę. Nie rozumiała, przecież błędziła po tym kamiennym polu co najmniej kilkanaście minut.

– Zdarzało ci się to wcześniej? – zapytała Kryśka.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Miałaś nam chyba coś wyjaśnić – powiedziała nagle, przenosząc wzrok na Łukasza. Nie tylko ciekawa była rewelacji, jakie dla niej miał, ale przede wszystkim chciała zmienić temat. Potrzebowała paru sekund na zebranie myśli.

Chłopak niechętnie zaczął coś tłumaczyć, ale Lena bardziej widziała to, niż słyszała. Jak przez mgłę dostrzegła, że Kryśka wchodzi z nim w dyskusję, ewidentnie wypoiminając mu coś lub wytykając kłamstwa.

W głowie Leny cały czas kłębiły się obrazy z miejsca, które przed chwilą widziała. Powinna przyjąć do wiadomości, że po prostu zemdląca i przyśnił się jej koszmar. Ale co miał znaczyć? I dlaczego zdarzyło się to właśnie teraz? Trwał tak krótko, a jednocześnie był tak pełny treści. Dziewczyna miała wrażenie, że bola ją mięśnie, zmęczone walką z nawalnicą, chociaż racjonalny umysł szybko podpowiedział, że mogły to być zakwasy powstałe po porannym maratonie.

Naraz odzyskała ostrość wzroku i znowu była tu i teraz, w swoim mieszkaniu. Zobaczyła, że Kryśka patrzy prosto na nią i porusza ustami, ewidentnie coś mówiąc. Lena poczuła się tak, jakby oglądała niemy film. Zamrugęła kilka razy, Kryśka machnęła rękami, aż w końcu do uszu Leny znowu zaczęły docierać dźwięki, chaotycznie orbitując wokół jak trafiony kometa sputnik.

– ...esz? Lena? Hej, jesteś?

– Tak, tak. Sorry, wyłączyłam się na chwilę – próbowała tłumaczyć, odzyskując świadomość. Ciekawe, na jak długo, zastanowiła się.

Kryśka popatrzyła na nią przez chwilę, zerknęła też pytająco na Łukasza, chociaż bez wątpienia jeszcze przed chwilą kłócili się ze sobą zażarcie.

– Nie wiem, jakim cudem, ale coś cię dobrze przeorało. Chodź, usiądziemy. Zrobię ci coś do picia – zaproponowała.

Lena bezwiednie za nią podreptała. Łukasz stał jeszcze chwilę w przedpokoju, po czym ruszył za nimi.

Kilka minut później Lena siedziała już z kubkiem gorącej kawy. Wcześniej Kryśka wmusiła w nią dwie duże szklanki wody. Nawet poczęstowały Łukasza. W końcu trzymanie go bez płynów przy takiej pogodzie zakrawałoby na barbarzyństwo.

– Jak się czujesz? – zapytała Kryśka, siadając na kanapie obok Leny. Łukasz usadowił się na fotelu. Przez omdlenie dziewczyny atmosfera jakoś się rozluźniła. Zniknął wcześniejszy strach i uprzedzenia. Widać było, że każde z tej trójki pierwszy raz znalazło się w tak trudnej i dziwnej sytuacji i nie bardzo wiedziało, jak ma się zachować. Nikt też nie kwapił się do przejęcia inicjatywy.

– Lepiej. Już chyba całkiem dobrze, dzięki – odparła Lena, podnosząc do ust kubek z gorącym napojem.

– To dobrze. Możesz opowiedzieć wszystko jeszcze raz? – Kryśka zerknęła na Łukasza.

Chłopak niechętnie kiwnął głową i pochylił się w fotelu. Oparł łokcie na kolanach i zaczął ponownie tłumaczyć to, co wcześniej próbował powiedzieć Kryśce, a czego Lena nie słyszała.

– Jak mówiłem, za zorganizowaniem wyprawy stoi doktor Rittner. Pracuję dla niego. Tak, to od niego twoja mama dostała pozwolenie na wejście, dobrze pamiętasz. W liście od doktora nie mogło być informacji o zaginięciu poprzedniej ekipy. Chociaż to tylko domysły, z tym zaginięciem. Może po prostu urwał się z nimi kontakt przez wysokość albo warunki pogodowe? Nie wiem, tak tylko kombinuję – mówiąc to, bardzo uważnie dobierał słowa. Rozglądał się też po całym mieszkaniu, konsekwentnie unikając wzroku dziewczyn. – No, i po utracie kontaktu z pierwszą grupą doktor zlecił szybkie zwerbowanie grupy drugiej, a że ma nieograniczone fundusze, nie było to dużym problemem i jak same wiecie, szybko udało się znaleźć najlepszych. Chris Patter-son, Sara...

– Dlaczego od razu ich nie zwerbował? – wtrąciła Lena.

Chłopak spojrział na nią, odrobinę zbity z pantałyku.

– Nie wiem. Musisz o to zapytać doktora.

– No a ty, co myślisz? – zapytała Kryśka.

Łukasz przełknął ślinę, nie bardzo chciał dzielić się swoimi domysłami.

– To, co ja myślę, nie ma znaczenia. Doktor wszystkim zarządza, a reszta wykonuje jego polecenia.

– Bez myślenia? – kąśliwie zapytała Kryśka, unosząc brwi i wykrzywiając wargi w złośliwym uśmiechu.

Widać było, jak szczęki chłopaka zaciskają się, uwydatniając kości policzkowe. Walczył ze sobą jeszcze dosłownie kilka sekund, ale dość szybko zrezygnował z polityczki, prowadzącej donikąd. Skierował spojrzenie na Lenę:

– Myślę, że pierwsza ekipa miała być zwiadem. Oczyścić drogę dla tej drugiej, w skład której wchodzić mieli najlepsi. Nie można ich było rzucić na pierwszą linię frontu.

– Dość dobra koncepcja – Kryśka delektowała się swoją wygraną.

– Jakiego frontu? – zapytała Lena.

– No tak się mówi. I serio, więcej nie wiem. To już były tajne informacje. Udało mi się tylko dowiedzieć, że odkryto wejście do miejsca, które nigdy wcześniej nie zostało zbadane. Przy samym szczycie góry, jakaś jaskinia czy grotta. Tak słyszałem. Coś w tym stylu, nie znam się na tym. Plotki.

– Zejście do jaskini na szczycie góry? – dopytywała znowu niezadowolona z odpowiedzi Kryśka.

– Tak. Ale w sumie, to czemu nie? – odbił piłeczkę Łukasz, posyłając jej nerwowe spojrzenie.

– Nie wiem, ale wydaje mi się to dziwne. Chyba jaskinie są pod ziemią, prawda?

– Dobra, ale co dalej? – przerwała im Lena.

– Właściwie to już wszystko, co wiem. No może jeszcze tyle, że ostatnie zdjęcia satelitarne potwierdzają, że grupa dostała się do środka. Wszyscy tam weszli. Wiemy też, że podczas wspinaczki nie było żadnych wypadków. Twoja mama też wchodziła do jaskini. I to jako jedna z pierwszych.

– Widziałeś ją? – wypowiedziała ciche pytanie.

– Tak.

Lena wstała i podeszła do okna. Zerknęła pobieżnie na okoliczne bloki, jednak zamiast żelbetonowych konstrukcji tym razem widziała łańcuchy górskich szczytów. Kryśka i Łukasz śledzili ją w milczeniu, bacznie obserwując. Aż do momentu, kiedy się odwróciła, oparła o parapet i krzyżując ręce na piersiach, zapytała:

– Kiedy to było?

– Jak wchodzili? Trzy, może cztery dni temu.

– I nie wysłaliście ekipy, żeby to sprawdzić?

Łukasz zmarszczył brwi.

– Co? Nie wiem, może. To nie moja działka. Poza tym zrozumi, to drugi koniec świata. Nie jest łatwo tam się dostać, no i to nie jest jakaś tam misja ratunkowa na, nie wiem, autostradzie. Tam na serio trzeba wiedzieć, co się robi. Zebrać odpowiednich ludzi, dostać pozwolenia i tak dalej.

– Skąd to wiesz? Przecież się na tym nie znasz – znowu wypomniała mu Kryśka. Ewidentnie nie zamierzała odpuścić, gnębiąc Łukasza przy każdej możliwej okazji.

Łukasz nic nie odpowiedział, spojrzał tylko na nią, jakby ostrzegał, że nie zamierza tolerować jej docinków w nieskończoność.

– Mówię, że nie wiem, czy kogoś wysłali. Pewnie tak.

Lena pokręciła głową. Miała jeszcze mnóstwo pytań, ale zdawała sobie sprawę z tego, że Łukasz może nie znać nie nie odpowiedzi. No, może poza jednym:

– Dlaczego mnie śledziłeś?

Odpowiedź padła szybko, płynnie.

– Takie dostałem zadanie. Mieliśmy chronić rodziny członków wyprawy.

Łukasz wyglądał przy tym bardzo wiarygodnie.

– Po co? Baliście się, że wypełnie skądś coś, co zrobi rajd po świecie i wymorduje ludzi dlatego, że ich krewni weszli do jakiejś starej jaskini? – usłyszał znajomy mu dociekliwy głos.

– Nie wiem – chłopak powoli cedził słowa, ze złością patrząc na Kryśkę. Lena miała wrażenie, że zaraz rzucą się sobie do gardeł. – Ja tylko wykonuję rozkazy. Dostałem przydział na Lenę. I tyle.

– A ta randka? – zapytała Kryśka.

– Do dupy z randką. Pewnie wszystko było ustawione. – Lena machnęła ręką i odwróciła się do okna. Łukasz popatrzył na nią, ale niczego nie zdążył odpowiedzieć. Nawet gdyby coś dodał, Lena i tak już nie zwróciłaby na to uwagi. Wyłączyła się zupełnie.

Kryśka z Łukaszem o czymś jeszcze dyskutowali, lecz dziewczyna już ich nie słuchała. Wyszła na balkon, wkroczyła w strefę niemiłosiernie palącego słońca, jednak przyjęła to z zadowoleniem i dziwną nadzieją. Życie toczyło się swoim rytmem. Oparła się rękami o balustradę i patrzyła w dół. Kilkadziesiąt metrów poniżej przemieszczały się chaotycznie małe sylwetki – samotni spacerowicze, pary, właściciele z psami, ludzie obładowani siatkami z zakupami. Beztroska mieszała się z codziennym, nużącym obowiązkiem, życie biegło zwykłym nurtem i nikt nie przejmował się losem kilkorga ludzi walczących o życie tysiące kilometrów dalej. Ba, niewiele osób przejmowało się losem przechodnia drepnącego drugą stroną ulicy.

Taka pogoda sprzyjała ruszeniu tyłka sprzed komputera, zresztą, to była ulubiona pora roku Leny. Miała tylko jakieś okropne przeczucie, że zaczyna się właśnie najgorsze lato w jej życiu, choćby nie wiem jak bardzo próbowała to zmienić.

W pewnym momencie jej uwagę przykuła postać, której dziwne zachowanie odbiegało od normy panującej wokół. Ktoś, najprawdopodobniej właściciel, szarpał się z psem na smyczy. Czworonóg, z góry wyglądający na owczarka niemieckiego, trzymał smycz w pysku i ciągnął ją w swoją stronę. Nawet z tak dużej odległości Lena mogła ocenić, że nie jest to niewinna zabawa. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że pies nie wyglądał na szczeniaka – raczej na dorosłego, w pełni rozwiniętego osobnika. Może był po prostu zbyt uparty, żeby się słuchać swojego pana?

Z drugiej strony przecież nie raz widziała źle wychowanego psa, więc co w tym dziwnego? Niemniej scena ta z jakiegoś powodu wydała się jej dość osobliwa. Zdawało się, że właściciel nie bardzo wiedział, jak się zachować – rozglądał się, prawdopodobnie z konsternacją, ewidentnie szukając pomocy.

I wtedy uwagę Leny przykuła analogiczna sytuacja rozgrywająca się kilkadziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie placu. Tam również pies szarpał za smycz – tym razem odrobinę mniejszy, ale z tej wysokości nie mogła określić rasy – i tam też nawiązała się krótka walka między człowiekiem a zwierzęciem. Nie wiedziała, skąd wzięła się niepokoju, jaki poczuła – niby nic niezwykłego się nie działo, a jednak coś dziwnego wisiało w powietrzu. Coś ciężkiego i złego. I, jak się okazało, to coś z każdą chwilą było coraz bliżej.

W pewnym momencie usłyszała krzyk. Uniosła wzrok i zobaczyła, jak w bloku naprzeciwko kobieta wybiega na balkon, w ostatniej chwili zatrzymując się przy drzwiach. Sekundę później w szybę od strony mieszkania uderzył olbrzymi pies – prawdopodobnie jakiś kaukaz lub nowofundland, w każdym razie w drzwi balkonowe wyróżnęło wielkie, kudłate bydło, które Lena już wcześniej kilka razy widziała na osiedlu. Drzwi tłumiły dźwięki, ale nawet mimo to dziewczyna słyszała głośnie, basowe szczeknięcia. I wiedziała, że pies działa w trybie bojowym, to nie było szczekanie mające odstraszać intruza, nie, było ono obietnicą krwi i cierpienia. Pies szczekał i drapał pazurami w szybę i drzwi, za wszelką cenę próbując wydostać się na zewnątrz. Tymczasem uwięziona na balkonie kobieta cofnęła się o krok, aby jak najdalej odsunąć się od zwierzęcia. Niestety, to był błąd – drzwi balkonowe nie miały klamki na zewnątrz. Pies jakby sobie o tym właśnie przypomniał, zatrzymał się, odsunął i cierpliwie poczekał, aż uchylą się na tyle, aby mógł łapą otworzyć je na oścież. Parę sekund później był już na balkonie.

Włamywaczka? – gorączkowo zastanawiała się Lena. Ale jakim cudem przeszłaby na... które? Siódme? Ósme piętro? I przecież pies przegoniłby ją od samego wejścia, nie pozwoliłby jej dostać się aż na balkon – zastanawiała się, gdy nagle okolicę przesyłał rozdzierający krzyk. Nowofundland dopadł kobietę na balkonie – ta krzyczała, próbując się bronić – pies bardzo szybko jednak ją przewrócił i Lena niczego więcej nie widziała z powodu balustrady. Za to słyszała aż nadto.

Kobieta krzyczała na psa, wołała go po imieniu, ganiła, nakazywała mu się uspokoić, przestać, w końcu prosiła i błagała. Ostatecznie jej krzyki przerodziły się w nie-

artykułowane dźwięki walczącego o życie człowieka.

W dźwięki, który szybko ustały.

Lena przyłożyła dłoń do ust. Nie mogła uwierzyć w to, czego była świadkiem. Jak powinna zareagować? Dzwonić na policję? Pogotowie? Jakies pogotowie weterynaryjne? Nie zdążyła tego dobrze przemyśleć, gdy z dołu zaczęły dobiegać do niej inne krzyki. Spojrzała na plac między blokami.

Owczarek, który wcześniej szarpał za smycz, teraz atakował swojego pana. Mężczyzna zasłonił się ręką, ale pies go przewrócił i próbował rzucić mu się do gardła. Nagle ktoś podbiegł i uderzył psa grubym kijem, ratując tym samym człowieka. Ściągnął na siebie jednak gniew czworonoga. Owczarek najpierw ugiął się pod ciężkim ciosem, ale zrobił unik przed kolejnym razem i rzucił się na nową ofiarę.

Kilkadziesiąt metrów dalej jakaś matka uciekała, osłaniając rękami swoje dzieci. Jedna z pociech zostawiła zabawkę na chodniku, ale matka nie pozwoliła po nią wrócić.

Szybko rozpętało się piekło. Lena przerażonym wzrokiem przeskakiwała z jednej sceny walki na drugą – jakby nagle wszystkie zwierzęta oszalały. Ludzie krzyczeli, biegali, bronili się – jednak głównie uciekali. Zerwane ze smyczy psy atakowały grupami bezbronne ofiary. W parę sekund domowe pupile zmieniły się w okrutne bestie, za którymi ciągnęły się teraz nie tylko kolorowe smycze, tak starannie wybierane niegdyś przez ich właścicieli, ale i smugi krwi.

– Jezu, co się dzieje? – Kryśka nagle pojawiła się obok przyjaciółki. Dołączył do nich też Łukasz. Lena nic nie odpowiedziała, spojrzała tylko na dół.

– Boże... – wyszeptał Łukasz. – Spójrzcie – wskazał dłonią blok naprzeciwko, gdzie jakiś mężczyzna walczył na balkonie z dwoma psami. Po trwającej zaledwie kilka sekund szarpaninie jeden z psów skoczył na opartego o barierkę człowieka i wypchnął go poza balkon. Mężczyzna głośno uderzył o betonowy chodnik, na którym natychmiast wykwitła kałuża krwi. Kryśka zasłoniła usta dłonią i patrzyła na te sceny szeroko rozwartymi oczami. Cała trójka nie wiedziała, co się dzieje, nie miała pojęcia, jak zareagować.

Przez niektóre okna można było zobaczyć rozgrywające się w mieszkaniach sceny walki – ludzie uciekali, rzucali w swoje zwierzęta, czym mogli, zasłaniaли się, krzyczeli. Walczyli z psami, kotami – wszystkim tym, co wcześniej sprowadzili do własnych domów, aby obdarzyć opieką i miłością.

Jednak nie wszyscy mieli w domu zwierzęta – dlatego też w innych oknach pojawiały się postacie, przeważnie trzymające w rękach telefony, przez które żywiołowo rozmawiały z policją albo nagrywały to, co działo się wokół.

Naraz rozległ się krzyk dobiegający z góry – Lena wychyliła głowę i szybko ją schowała, w ostatniej chwili unikając zderzenia ze spadającą kobietą. Cofnęła się tak gwałtownie, że aż potknęła się o próg balkonu i wyrznęła plecami o podłogę w salonie.

Kryśka błyskawicznie do niej doskoczyła i pomogła jej wstać. Dziewczyny, kolejny raz tego dnia, wymieniły zdezorientowane spojrzenia.

– Co się dzieje? – zapytała cicho Lena. Nawet nie zauważyła, że potłukła sobie ło-

kieć.

Obie milczały.

Do pokoju wszedł Łukasz. W dłoni trzymał pistolet. Lena poczuła znany jej już dreszcz strachu przebiegający po ciele, tym razem jednak z domieszką wstydu. Było jej głupio, że wcześniej mu zaufała. Chłopak jednak nie celował w nią, trzymał broń przy ciele, gotów do walki. Rozglądał się po mieszkaniu, jakby tylko czekając, aż z któregoś kąta wyskoczy jakieś zwierzę.

– Mówiłeś, że nie masz... – zaczęła, ale szybko jej przerwał.

– Na pewno zamknęłaś drzwi? Na oba zamki? I nie masz żadnego psa czy kota? – zanim skończył, był już przy drzwiach i sam je sprawdzał. Wyjrzał też przez judasza, aby się upewnić, że nic im nie grozi. – Muszę zadzwonić – stwierdził.

– Co? Gdzie? – próbowała dowiedzieć się Lena, odzyskawszy nieco rezonu. Musiała przyznać, że z powodu jego aroganckiego zachowania odrobinę ją przytknęło.

Tymczasem Łukasz wypowiedział kilka krótkich słów do telefonu, a ktoś po drugiej stronie odpowiedział mu równie zwięźle. Następnie chłopak rozłączył się i schował telefon do kieszeni spodni. Spojrzał Lenie głęboko w oczy i powiedział z bardzo poważną miną:

– Zabieram was stąd. W bezpieczne miejsce. ■

ROZDZIAŁ 12

Bhutan, sierpień 2020

Mnich powoli wychylił się zza głazu. Rozejrzył się czujnie, ale nie dostrzegł żadnego ruchu. Powietrze stało w miejscu, cała natura wstrzymała oddech, jakby oburzona i obrażona tym, czego była świadkiem. Powoli świtało, dzięki czemu miał całkiem niezłą widoczność. Kilka godzin wcześniej, w nocy, próbował wypatrzeć, co działo się w wiosce – jednak, mimo że niebo rozświetlały płomienie trawiące domostwa, nie zobaczył zbyt wiele.

Natomiast słyszał aż nadto.

Były to krzyki zdeorientowanych, przerażonych ludzi. Walczących z koszmarami, które wypełzły z mroku, zaatakowały bez żadnego ostrzeżenia i mordowały, nie pozostawiając najmniejszej szansy na obronę. Nawoływania matek szukających swoich dzieci, głośne lamenty, błagania o litość – jak jednak błagać o litość coś, co nie miało prawa istnieć? Jak przekonać diabła, żeby darował ci życie, nie oferując absolutnie nic w zamian?

Słyszając to wszystko, mnich kulił się ze strachu i modlił się, prosząc o przebaczenie za swoje tchórzostwo. Wiedział jednak, że podjęcie walki byłoby nie tylko samobójstwem, ale przede wszystkim – głupotą. Naraziłoby na szwank całą operację. Zakon straciłby Matkę z oczu i nie wiedziałby, gdzie jest i co robi. Na to nie mógł pozwolić. Stawka była znacznie wyższa niż jego poczucie winy. Znacznie wyższa niż życie tych kilkudziesięciu osób.

Przeczekał więc rzeź, schroniwszy się za wielkim głazem. Teraz wyszedł z kryjówki i, upewniając się, że nie ma w pobliżu bezpośredniego niebezpieczeństwa, ruszył w kierunku pogorzeliska.

Parę minut później wszedł pomiędzy zabudowania. Stąpał powoli, czujnie rozglądając się wokół, gotów błyskawicznie zareagować na najmniejsze zagrożenie. Cały czas dzierżył w ręku gruby drewniany kij, tradycyjny klasztorny oręż. Walkę za jego pomocą mnisi trenowali od pokoleń, wytrwale i brutalnie okładając się specjalnie wyselekcjonowanymi i wzmacnianymi drągami. W sprawnych rękach broń ta mogła być równie niebezpieczna co miecz lub topór – co prawda nie można było za jej pomocą uciąć przeciwnikowi kończyny, ale połamanie mu kości czy przetrącenie karku nie stanowiło problemu.

Wydawało się, że w wiosce nie ostała się żywa dusza. Zajrzał do pierwszego z domostw, szczęśliwie ocalałego z pożaru. Zastanowił się, co mogło go wywołać, wątpił, aby Matka miała aż taką moc. Zdecydowanie bardziej prawdopodobnym było to, że ktoś, uciekając, w popłochu przewrócił maślaną lampkę, jakich jeszcze używano na tej głębokiej, biednej prowincji. Mnich zlustrował wnętrze domu, ale kamienne ściany i drewniane meble milczały na temat wydarzeń, jakich były świadkami.

Ruszył cicho dalej. Nikogo nie wołał, nie szukał pozostałych przy życiu. Wołał, żeby nikt nie wiedział, że w ogóle tędy przechodził. Musiał być jak cień, jak podmuch wiatru.

Okrzyżył budynek i stanął na kawałku uklepanej ziemi, który niewątpliwie był centralnym miejscem wsi. Pośrodku znajdowała się kamienna studnia, wokół której leżały teraz ciała. Mnich zatrzymał się i ze smutkiem patrzył na zwłoki mężczyzn, kobiet, starców i dzieci. Poczuł, że coś w jego wnętrzu krzyczy, nie tyle ze strachu, co przede wszystkim na myśl o bólu, jakiego musieli doświadczyć ci pomordowani ludzie. Wszyscy mieli rozszarpane klatki piersiowe, wyłamane żebra, wydarte wnętrzności. Na ich twarzach zastygły przedśmiertne grymasy bólu i przerażenia. Wyglądało to tak, jakby zostali siłą przyprowadzeni na miejsce rzezi, gdzie rytualnie ich wymordowano.

Z tą różnicą, że podczas takiej ceremonii bóstwo nie zstępowało na ziemię, żeby osobiście posmakować krwi ofiar. Tym razem jednak było inaczej. Bóstwo wzięło sprawy we własne ręce.

Nagle mnich usłyszał za plecami delikatny odgłos uderzających o siebie kamyczków. Odwrócił się błyskawicznie, szeroko rozstawiając zgięte w kolanach nogi i wyciągając przed siebie kij w pozycji obronnej. Przez ten ułamek sekundy jego umysł podsunął mu wizję gotującej się do ataku Bestii lub nawet samej Matki, dlatego też, gdy zobaczył typowego wioskowego kundla, odetchnął z ulgą.

Jednak nim opuścił gardę i przyjął zwykłą postawę – zawahał się. Zmarszczył brwi, przyglądając się zwierzęciu, które odwzajemniało ciekawość i również wpatrywało się w mnicha. Z pozoru wyglądało normalnie – ot zwykły, obdarty i wychudzony wiejski burek. Lecz po chwili zastanowienia mnich stwierdził, że jednak coś z nim jest nie tak. Nie potrafił sprecyzować co, ale pies wyglądał... dziwnie. Inaczej. Niepokojąco i złowrogo – i roztaczał wokół siebie jakąś magiczną aurę. Stał i patrzył. Nie merdał ogonem, nie atakował, po prostu wlepił w mnicha swoje ślepie i gapił się. Ten przypominał sobie wtedy jedno ze szkoleń, jakie mieli w klasztorze – dzięki niemu zadziałał instynktownie, na granicy odruchu i świadomości. Odwrócił się w ostatniej chwili, zataczając kijem długi łuk i szczęśliwie trafiając drugiego psa, atakującego go z boku. Przypadkowo, ale może również instynktownie, wymierzył prosto w czaszkę. Cios był tak silny, że zwierzę natychmiast padło bez ruchu tuż pod nogi mnicha.

Mało brakowało, a na własnej skórze poczułby bolesną lekcję przypominającą, że wroga zawsze należy szanować.

Dopiero teraz dopadł go strach. Skierował więc szybko wzrok na pierwszego psa, który już się do niego zbliżał. Nie biegł, nie pędził – tylko spokojnie szedł, arogancko pewny siebie, zuchwale demonstrując, kto tu jest panem i władcą, kto jest silniejszy i z pewnością tę walkę wygra. Mnich rzucił okiem za siebie, upewniając się, że jakiegoś kolejnego zwierzę nie zamierza zaatakować go z tyłu, następnie pochylił głowę i przyjął pozycję obronną. Wysunął lewą stopę, zasłonił się kijem, żeby szybko sparować natarcie i jeszcze szybciej wyprowadzić kontratak. Dokładnie tak, jak go uczono.

Nie uczono go jednak walki ze zwierzętami. Zwłaszcza z takimi, które są tak nie-naturalnie inteligentne.

Wiedział, że musi się skupić, po prostu pozwolić robić mięśniom to, do czego zostały wyćwiczone podczas setek godzin katorżniczego treningu w ciemnych, zimnych salach. Martwy nie będzie w stanie kontynuować podróży.

Pies zatrzymał się kilka metrów od mężczyzny. Mnich dopiero teraz dostrzegł, jak mocno zwierzę ma przekrwione oczy, przypominające ślepiea jakiejś piekielnej bestii. Przełknął ślinę i wyteżył wszystkie zmysły. Bydlę obnażyło kły i zawarczało, pochylając jednocześnie nisko łeb. Po paru sekundach zamieniło się w krwiożerczą, prymitywną bestię – kupę futra, mięśni, kłów i pazurów, gotową w każdej chwili zaatakować. I rzeczywiście, nie kazała ona zbyt długo na siebie czekać.

Pies ruszył ostro przed siebie, jakby ktoś smagnął go biczem. Kilkoma dużymi susami doskoczył do mnicha i rzucił się na niego – ten jednak wykonał odrobinę spóźniony, aczkolwiek skuteczny unik i sprzedał przeciwnikowi cios prosto w bok. Celował co prawda w łeb, ale pies był zbyt szybki. Na szczęście kundel, skowycząc, wyrznął jak długi na piach. Mnich wykorzystał te parę sekund, aby odskoczyć i ponownie ustawić się przodem do przeciwnika, który zdążył już stanąć na nogach.

Zmierzyli się wzrokiem, ku narastającej konsternacji człowieka. Zaczynał powoli tracić poczucie rzeczywistości – pies począł go teraz okrążać, zupełnie jak bokser w ringu. Nie zachowywał się jak zwykły burek. Mnich wątpił, żeby psy tak dokładnie planowały swoje ataki, chociaż musiał przyznać, że niewiele na ich temat wiedział. Zrobili parę kroków w lewo, parę kroków w prawo – wzajemnie szukali luk w obronie przeciwnika i słabych punktów, które można by wykorzystać. Wydawało się, że pies niewiele sobie robi ze zranionego boku, chociaż może to cios nie był tak silny, jak wydawało się mężczyźnie. Mnich zrozumiał, że musi przejąć inicjatywę. Chociaż wątpił w to, że mu się uda, chciał sprawdzić, czy zdoła po prostu przegonić intruza. Wiedział, że im dłużej będzie się biernie bronił, tym większe prawdopodobieństwo, że atakujący zada w końcu celny cios.

Dyskretnie zmienił ustawienie stóp i po chwili dynamicznym susem skoczył w stronę zwierzęcia. Zamachnął się potężnie kijem, lecz trafił tylko powietrze – pies uniknął uderzenia, zwinnie odskakując i zarazem błyskawicznie wychodząc z kontratakami. Jednak i na to mnich był przygotowany. Zgrabnie zakreślił młynka kijem i pozwolił przeciwnikowi podejść niebezpiecznie blisko. Szczęki psa kłapnęły zaledwie kilkanaście centymetrów od jego twarzy. Jednocześnie zrobił szybki krok do tyłu, wykorzystał siłę odśrodkową i potężnie walnął psa w łeb.

Zwierzę padło bez życia, nie zdążywszy nawet zaskamleć. Mnich zamarł i stojąc na ugiętych nogach, ostrożnie rozglądał się wokół, w poszukiwaniu nowego zagrożenia. Czy coś jeszcze zamierzało go zaatakować? To były tylko dwa psy, może gdzieś dalej czai się reszta stada? A może to byli jedynie maruderzy ciągnący się za całą sforą?

Różne myśli chodziły mu teraz po głowie, wiedział jednak, że nie może tak stać i dywagować. Szybko podbiegł w okolice studni, starając się odnaleźć trop. ■

ROZDZIAŁ 13

Ghankhar Puensum, sierpień 2020

- Udało ci się usnąć? – zapytał Chris, rozsuwając poły namiotu.
- W końcu tak, ale tylko na parę minut. Wciąż się budziłam.
- Wiem, ja też.

Kilka godzin wcześniej siedzieli i nasłuchiwali, rozglądając się z przerażeniem i podskakując z powodu każdego najmniejszego odgłosu. W końcu jednak emocje opadły i zmęczone organizmy upomniały się o swoje. Byli wytrzymalsi i bardziej zahartowani niż większość ludzi, to fakt, niemniej nie byli nieśmiertelnymi herosami – musieli odpoczywać. A walka i spotkanie przedziwnej kobiety i bestii wyssały z nich większość energii. Chcąc nie chcąc, organizmy zadecydowały za nich. Wiedzieli też, że czeka ich ciężka przeprawa, więc nie walczyli zbyt długo z opadającymi powiekami.

Lecz po zaledwie kilku godzinach niespokojnego, przerywanego snu Chris zdecydował, że pora wyruszać w drogę. Wstał, rozejrzał się po jaskini, ale nic się nie zmieniło. Nie było nowych śladów stóp, pazurów czy kłębow sierści, w powietrzu nie unosił się zapach piżma. Panowały jedynie chłód i cisza przerywana zawodzeniem wiatru. Bestia ewidentnie oddaliła się. Mężczyzna przez chwilę nawet rozważał pomysł samotnego zejścia i sprawdzenia, co się stało z profesorem Piskorczyk, jednak szybko go zarzucił. Szukając śladu Katarzyny, trafił na tak głęboki szyb, że po zrzuconiu światła chemicznego nawet nie widział, gdzie upadło. Wtedy podjął decyzję. Zbyt wiele było do stracenia, zbyt wiele do zrobienia, a kobietę niemalże ze stuprocentową pewnością należało uznać za zmarłą.

Powoli zaczął się pakować i przygotowywać do drogi. Robił to cicho, pozwalając odpocząć Sarze, która jeszcze nie obudziła się na dobre. Ale już po kilkunastu minutach krzątający zauważył ruch w namiocie, co zdecydowanie go ucieszyło.

Sara i Chris zjedli śniadanie i wypili kawę, niewiele przy tym rozmawiając. Myśłami byli już poza jaskinią. Niezależnie od siebie planowali zejście, zastanawiali się, jaka będzie najszybsza i zarazem najbezpieczniejsza droga. W końcu Chris wstał i zajął się znowu pakowaniem swojego plecaka.

- Jaki masz pomysł? – zapytała Sara.

Kiwnął głową, jakby tylko czekał na to pytanie.

– Bierzemy po plecaku, ale jeszcze w jednym albo dwóch zabierzemy trochę dodatkowego sprzętu. Będzie ciężiej przez jakiś czas, ale powinno nam się udać sprawnie zjechać. – Podszedł do niej i pokazał mapę topograficzną góry. Nakreślił palcem trasę, którą chciałby się poruszać.

Prawie pionowa ściana nie oferowała zbyt wielu skalnych półek, na których można by spokojnie odpocząć czy rozbić namiot, jednak strategia mężczyzny była inna.

– Zjedziemy o tędy, potem tutaj. Może ze trzy, cztery stanowiska. Ile będzie ich w sumie, nie wiem, trudno to teraz stwierdzić. Plan jest taki: zakładamy stanowisko, jedna osoba zjeżdża i zakłada stanowisko pośrednie, potem ściąga sprzęt i na końcu

zjeżdża ten, kto został na górze. Może uda się jakoś ograniczyć zużycie szpeju, ale tego mamy pod dostatkiem – powiedział, patrząc na liczne karabinki wspinaczkowe, pętle, kotwy lodowe, spity, kości i inne gadzety niezbędne do tego typu operacji. – Weźmiemy też ze dwie albo trzy zapasowe liny.

Sara pokiwała powoli głową, bez wahania akceptując pomysł bardziej doświadczonego alpinisty.

– Chcesz zjechać na sam dół? Bez jakiegoś noclegu po drodze?

– Nie wiem, zobaczymy, jak się uwiniemy. Na pewno nie chcę zjeżdżać po nocy, w nieznanym terenie i nie wiedząc, jak może zmienić się pogoda. Równie dobrze mogliśmy się od razu rzucić w przepaść i oszczędzić sobie przykrych niespodzianek – odpowiedział, mimo wszystko uśmiechając się do niej. Odwzajemniła uśmiech, przez co w świecie Chrisa pojawił się nikły promyczek nadziei, że wszystko to ma sens.

– No to ruszajmy.

Piętnaście minut później stali u wylotu jaskini. Ubrani w ciepłe kurtki, z czapkami nasuniętymi nisko na czoło, zdeterminowani. Na czapki nałożyli kaski, a gogle skutecznie chroniły przed promieniami odbijającymi się od śniegu. Po burzy nie zostało nawet wspomnienie, pogoda była przepiękna – co prawda mróz utrudniał oddychanie, ale bezchmurne, lazurowe niebo przyjemnie koło duszę i choć na chwilę pozwalało zapomnieć o koszmarze, który pozostawiali za sobą.

Dźwignęli ciężkie plecaki i ruszyli.

Drogę w dół pokonali zaskakująco dla nich samych sprawnie. Nie spotkały ich żadne niespodziewane przygody – udawało się założyć względnie bezpieczne stanowiska zjazdowe, dobrze radzili sobie z opuszczaniem dodatkowych plecaków z zaopatrzeniem. Musieli spędzić jeszcze jedną noc na górze, chociaż Sara upierała się, że udałoby się im zjechać – Chris jednak przekonał ją, że powinni zostać na ścianie. W końcu dziewczyna ustąpiła i spędzili noc w jamie śnieżnej.

Powoli odsuwali od siebie cały ten horror, który przeżyli, zostawiali go wysoko, na niedostępnym Gangkhar Puensum.

Zupełnie jednak nie byli przygotowani na to, co dopiero miało się stać.

Parę godzin po świcie dotarli w miejsce, w którym kilka dni wcześniej rozbili swój pierwszy obóz. Szli teraz bez obciążenia, zostawiając niepotrzebny sprzęt pod skałą, przezornie ukrywając go w łatwym do zapamiętania miejscu. Sara niezbyt się przejmowała tym, czy ktoś go odnajdzie, jednak Chris, z niewiadomych dla niej przyczyn, nie chciał narażać doktora Rittnera na dodatkowe koszty – tak przynajmniej brzmiała wersja oficjalna, podczas gdy tak naprawdę zamierzał zyskać nieco na czasie, żeby zastanowić się, co powinni robić dalej.

To, że rozmyślał o tym przez ostatnie dwa dni, zupełnie niczego nie dało ani do niczego konstruktywnego nie doprowadziło.

Minęli miejsce niedawnego obozowiska i wychodząc za skalny wyłom, nagle ujrzeli przed sobą jakąś postać. Ubrany w szary, tradycyjny mnisi habit mężczyzna przyglądał się im spod kaptura, również zaskoczony, chociaż nie tak bardzo, jak oni.

Chris i Sara wymienili spojrzenia, nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć, jednak nie zatrzymali się. Chris wzruszył ramionami, kiwnął głową z szacunkiem i minął

mnicha. Ten przepuścił ich, bardzo uważnie odprowadzając wzrokiem. Chris i Sara nie przypominali sobie, żeby słyszeli o istnieniu jakiegoś klasztoru w pobliżu, ale też żadne z nich niespecjalnie się na tym skupiało, bo przecież mnich mógł podążać do jakiegoś świętego miejsca modlitwy czy pokuty, które wcale nie musiało być oznaczone wielką czerwoną kropką na mapach Google. Chris pozostawał czujny i tylko czekał, aż mnich wyciągnie rękę po jałmużnę, Sara natomiast, widząc w tym miejscu człowieka, poczuła przypływ nadziei.

– Poczekajcie – usłyszeli nagle. Sara zwolniła i odwróciła głowę, ze zdumieniem patrząc na obcego, który wypowiedział to słowo czystą, dźwięczną angielszczyzną. – Poczekajcie – powtórzył mnich spokojnie.

Zatrzymali się i oboje popatrzyli w jego stronę. Ten natomiast, zamiast mówić dalej, przyglądał się im jeszcze dokładniej, jakby szacował wartość towaru na straganie. Nie przeoczył nawet kilku zaschniętych plamek krwi na spodniach Chrisa i na kurtce Sary. Następnie wymownie spojrzął na szczyt Gangkhar Puensum.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać – powiedział spokojnym, kojącym głosem, zwracając skupiony wzrok w ich stronę.

Czuli, że jego spojrzenie przenika ich na wylot, jakby stali przed nauczycielem, który wie, że coś przeszkobali. Sara i Chris posłali sobie zdumione spojrzenia. Z jakiegoś powodu Chrisa opuściła niepewność – nieoczekiwanie w towarzystwie mnicha poczuł się dobrze, mógł nawet zaryzykować stwierdzenie, że bezpiecznie, co było bardzo miłą odmianą w ich sytuacji. Zerknął podejrzliwie na Sarę, ale ona przyglądała się mnichowi spokojnym, niemalże maślanym wzrokiem. Ten zaś patrzył na nią spojrzeniem ojca, który z radością wita córkę wracającą z dalekiej podróży.

Cóż, pomyślał gorzko Chris, też wolałbym ją.

Nagle zadzwonił telefon satelitarny. Sara i mnich spojrzeli na Chrisa, ten natomiast zamrugał kilkukrotnie, jakby nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje. I dopiero po paru sekundach uświadomił sobie, że to w jego plecaku dzwoni aparat, który należał do Michała. Szybko zrzucił plecak z ramion i sięgnął po telefon.

– Poczekaj, Chris, proszę – powiedział mnich.

Poczucie bezpieczeństwa bezpowrotnie przysnęło. Chrisa zmroziło, poczuł dreszcz przechodzący przez całe ciało. Skąd ten człowiek znał jego imię? Szybko przypomniał sobie, w której przegrodzie plecaka schował karabinek maszynowy, nie mógł niestety skojarzyć, gdzie włożył pistolet. Mnich musiał dostrzec strach w jego oczach, bo odezwał się spokojnym głosem:

– Nie bój się. Ciebie też znam, Saro – powiedział, spoglądając na dziewczynę. Ta stała jak sparaliżowana, bojąc się chociażby głębiej odetchnąć, ale gdyby mogła, rzuciłaby się pędem w dół zbocza. Poziom stresu, jakiego doświadczyli przez ostatnie parę dni, był tak duży, że teraz wystarczyła byle iskra, aby ogień zapłonął z całą mocą. – Nie bójcie się, nic wam nie zrobię. Znam cel waszej wyprawy. Wiem, po co tu przybyliście.

Mnich wyciągnął ręce z szerokich rękawów i uniósł je pojednawczo, demonstrując, że nie ma broni. Telefon tymczasem uparcie dzwonił, sygnał wwiercał się głęboko w mózgi. Współczesny świat za wszelką cenę chciał o sobie przypomnieć w tej

głuszy i irytująco domagał się uwagi, jak natrętny, rozpieszczony bachor. Chris wreszcie wydobyl aparat z plecaka.

Mnich powoli pokręcił głową.

– Lepiej nie.

Nie brzmiało to jak groźba, bardziej jak... ostrzeżenie? Chris zmarszczył czoło, bijąc się z myślami.

– Niech doktor myśli, że wszystko zakończyło się na górze. Inaczej znowu was wykorzystają, nie mówiąc, do czego tak naprawdę. Tymczasem to właśnie wy, jak nikt inny, zasłużyliście na wyjaśnienia.

Sara spojrziała na partnera i po chwili namysłu położyła dłoń na telefonie. W jej spojrzeniu dało się wyczytać: Dobra, zróbmy, jak mówi. Zobaczymy. Nie chciała odrzucać połączenia, to by potwierdzało, że przeżyli.

– Skąd... jak... – zaczął pytać Chris, a huragan sprzecznych myśli przelatywał mu po głowie. Mnich subtelnie mu przerwał:

– Nie tutaj. Wszystko w swoim czasie. Doktor również się o wszystkim dowie, nie martwcie się o to. Jednak teraz powinniśmy się jak najszybciej oddalić z tego miejsca. Zdjęcia satelitarne stąd trafiają na bieżąco na jego biurko.

Sara i Chris już całkowicie zgłupieli, chociaż ona zaczynała traktować wszystko z niezdrowym dystansem, czując się tak, jakby była w ukrytej kamerze. Skąd mnich, który w stereotypowym myśleniu Europejczyka powinien siedzieć samotnie w jakiejś kamiennej celi, ewentualnie w klasztorze gdzieś wysoko w górskich ostępach, palić kadzidła i jeść suchy ryż, mógł cokolwiek wiedzieć o satelitach, GPS-ach, tajnych wyprawach i wielkich korporacjach?

Tymczasem okazało się, że wie nie tylko to, ale i znacznie więcej. Zaintrygowani, bez oporu zgodzili się za nim podążyć. Byli już bardzo zmęczeni i niewątpliwie cała ta sytuacja ich przerosła.

Ruszyli w drogę parę minut przed tym, jak miejsce ich spotkania znalazło się w zasięgu krążących kilka tysięcy metrów nad nimi satelitów.

Po kilku godzinach wędrówki dotarli do starego klasztoru znajdującego się w dystrykcie Bumthang, skąd rozpościerał się widok na Gangkhar Puensum. Sara tylko raz zerknęła na górę, ale szybko odwróciła wzrok.

Majestatyczny klasztor, wzniesiony wieki temu przy użyciu kamienia i drewna, świetnie komponował się z otoczeniem. Białe ściany i czerwone, płaskie dachy zwieńczone kwadratową nadbudówką – były jak obietnica ciepła i schronienia w tym nieprzyjaznym miejscu. Chris i Sara mogli skorzystać ze skromnych wygod – przebrali się, wykąпали w ciepłej wodzie, zjedli skromny, aczkolwiek sycący posiłek.

Jakiś czas później, gdy odświeżyli się i odpoczęli, mnich, który poprosił, aby zwracali się do niego imieniem „Pierwszy Brat”, zaprosił ich do swojego gabinetu.

Pomimo zmęczenia wiedzieli, że powinni się teraz z nim spotkać i wyjaśnić pewne kwestie.

– Jak myślisz, o co tu chodzi? – zagaił Chris, patrząc na Sarę. Dziewczyna pach-

niała świeżo, przebrana w czyste rzeczy. Włosy miała związane w praktyczny koński ogon, a oczy odzyskały nieco poprzedniego blasku. Chris również się odświeżył, ogolił i przebrał, co jego ciało i dusza przyjęły z niewypowiedzianą ulgą. Dzięki kąpieli zmyli z siebie cały ten bród, nie tylko fizyczny.

– Nie mam pojęcia – przyznała zgodnie z prawdą. Wiele myśli kłębiło się jej pod czaszką, jednak na żadnej nie potrafiła się skupić. – Chodźmy się przekonać.

Powiedziawszy to, otworzyła drewniane drzwi, przez które wkroczyli do sporego pokoju. Pierwszy Brat już tam na nich czekał. Chris szybko się rozejrzał. Zobaczył duże biurko z laptopem, regały pełne książek i wielką, bardzo dokładną mapę najbliższego terenu wiszącą na ścianie. Naprzeciwko biurka znajdował się niski drewniany stolik, wokół którego rozrzucone były poduszki.

Pierwszy Brat stał przodem do okna w tym samym szarym habicie co wcześniej, jednak tym razem ręce trzymał za plecami i wpatrywał się w coś daleko przed sobą. Dopiero teraz mogli zaobserwować, że jest niemal całkiem łysy – na jego głowie dostrzec można było tylko niewielką kępkę włosów na potylicy, przechodzącą w długie, cienki warkocz, sięgający do połowy pleców.

Słyszac odgłos zamykanych drzwi, Pierwszy Brat odwrócił się powoli i przyjrzał uważnie swoim gościom. Uśmiechnął się serdecznie i wskazał im poduszki znajdujące się wokół niskiego stolika. Sam też usiadł na jednej z nich.

– Co za brednie – powiedział kilkadziesiąt minut później Chris, wymownie patrząc na Sarę. Miał ochotę wziąć ją pod rękę, a drugą złapać swoje rzeczy i wynieść się stąd w cholerę, nie tracąc czasu na słuchanie opowieści wyssanych z palca.

Tymczasem Pierwszy Brat tylko na niego patrzył, schowawszy dłonie w szerokich rękawach habitu. Jego twarz wyrażała idealny spokój, mądrość, a do tego pewnego rodzaju politowanie, co tylko jeszcze bardziej denerwowało Chrisa.

– Dlaczego tak twierdzisz? – zapytał. Jego biegłość w angielskim wciąż zadziwiała.

– Bo to brednie – odpowiedział mężczyzna, powołując się na najstarszy i najprostszy argument świata. – Bo tak. – Lustrował jeszcze przez chwilę mnicha wzrokiem, po czym dodał: – Słyszysz w ogóle, jak to brzmi?

Pierwszy Brat spojrzał na drewnianą, równą podłogę.

– Słyszę – odparł po chwili ciszy, która subtelnie zaakcentowała jego odpowiedź. Podniósł wzrok i popatrzył na Chrisa.

– No więc, co tu więcej tłumaczyć? – Ten zerknął ponownie na Sarę, ewidentnie szukając sojusznika. – Próbujesz mi, przepraszam, nam wmówić, że obudziliśmy jakiegoś starego boga, który teraz się wkurzy i rozwali połowę planety.

– Nie. Nie rozwali połowy planety, tylko... może zechcieć przywrócić równowagę.

– Czyli wyróżnie połowę ludzkości, na jedno wchodzi.

Pierwszy Brat tylko delikatnie uniósł brwi. Sara przysłuchiwała się rozmowie w milczeniu.

– Ach, no i oczywiście ten twój bóg, czy bogini, jak tam chcesz, chodzi sobie w towarzystwie jakiegoś yeti i potrafi posługiwać się czym? Magią? A zwierzęta jej

słuchają, pogoda, drzewa, kamienie pewnie też, no tak, spoko. Jasne.

– Przecież sam to widziałeś.

Temu akurat Chris nie mógł zaprzeczyć. Wątpił, że zdoła choć na jeden dzień zapomnieć o bestii wyłaniającej się z ciemnych czeluści jaskini i podążającej tuż za nią przedziwnej istocie, jakby żywcem wyjętej z koszmaru.

– Widziałem jakiegoś... wielkiego niedźwiedzia. Pewnie mutację. I inną, też zmutowaną istotę. Przeżyła całe życie w jaskini, więc zmutowała. Nic więcej. Może gdzieś pod ziemią jest cały zamknięty ekosystem, w którym jest więcej takich stworzeń?

– Niedźwiedzia, oczywiście. I mimo wszystko nie wierzysz w to, co powiedziałem? – zapytał Pierwszy Brat.

– Nie.

– Mimo że wytłumaczyłem ci, co tak naprawdę widziałeś i czego doświadczyłeś na własnej skórze?

– Tak.

– Lecz... – Pierwszy Brat wstał, powoli podszedł do okna i stojąc tyłem do swoich gości, dokończył – ...lecz, gdybyśmy spisali tę historię, a nie przekazywali jej w sekrecie z ust do ust, to pewnie dużo by to zmieniło, prawda?

Chris zmarszczył brwi.

– Nie. To nadal byłyby brednie.

– Tak uważasz? To pozwolę sobie zasugerować ci pewną teorię. Pomyśl sobie, że te wszystkie wydarzenia spisałibyśmy w grubej księdze w klasztornych piwnicach, z biegiem czasu wydrukowalibyśmy ją, a potem jeszcze przetłumaczyli na wszystkie języki świata. Oczywiście równoległe głosząc prawdę, wysyłając w tym celu braci w najdalsze zakątki planety. – Pierwszy Brat odwrócił się teraz w ich stronę. – I czynilibyśmy tak przez dwa tysiące lat, budując w międzyczasie świątynie i miejsca kultu. A do tego wszystkiego walczylibyśmy, ma się rozumieć, z innowiercami. Jestem pewien, że wtedy bez problemu uwierzyłbyś, zresztą nie ty jeden, ale i miliardy ludzi żyjących na Ziemi na przestrzeni wieków, że wszystko to, co spisano, jest prawdą.

Ostatnie zdanie wypowiedział, patrząc Chrisowi prosto w oczy. Następnie spokojnie, acz wystarczająco wymownie przeniósł wzrok na łańcuszek z krzyżykiem wiszący mu na szyi.

Mężczyzna nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Jeżeli wierzą w coś miliardy, to musi to być prawda. Ale jeżeli miliardy nie mają o tym pojęcia, a jedynie wybrani... wtedy jest to brednią, bełkotem jakiegoś łysego mnicha z zapomnianej świątyni na końcu świata.

– Jak możesz... – wykrztusił w końcu Chris, cały czas miotając się w poszukiwaniu odpowiedniego argumentu. Poczuł, jak wzbiera w nim złość. Mimowolnie jego ręka powędrowała do krzyżyka, który nosił. – Przecież tych dwóch spraw nie można porównywać, co ty w ogóle wygadujesz. Istnieją... dowody.

– Bardziej wiarygodne niż te, których sam byłeś świadkiem?

Chris błędził wzrokiem wokół siebie, szukając czegoś na potwierdzenie swoich racji, chociaż w głębi duszy już wiedział, że przegrał. I to z kretesem. Tymczasem

Pierwszy Brat zbliżył się do niego i powiedział spokojnie:

– Jeżeli twój Bóg jest równie prawdziwy jak istota, która wyrwała serce twojej przyjaciółce, wymordowała twoich towarzyszy, a teraz spokojnie chodzi po tej samej ziemi, po której chodzimy ty i ja, to... powiem ci, przyjacielu, będziemy teraz bardzo potrzebowali jego pomocy. ■

ROZDZIAŁ 14

Warszawa, sierpień 2020

– Musisz mi zaufać! – nalegał Łukasz.

– Daj mi choć jeden powód! Jeden! – odkrzyknęła buńczucznie Lena, machając rękami tak, jakby potrzęsała jakimś niewidzialnym, krnąbrnym bachorem. Wbijała przy tym w chłopaka wściekły wzrok. – Śledzisz mnie, przychodzisz tu z bronią w rękę i teraz mówisz, że mam ci ufać? Dlaczego? Nie widzisz, co się dzieje?

– Właśnie dlatego! Lena, posłuchaj mnie, przecież ci wyjaśniłem! Nie mamy czasu, opowiem ci wszystko po drodze.

Lena dyszała tak ciężko, że wściekłość niemalże z niej parowała. Targana sprzecznymi emocjami nie miała pojęcia, jak powinna się zachować.

Wtedy z pomocą przyszedł dobiegający gdzieś z zewnątrz krzyk, po którym nastąpił wystrzał z broni palnej. Dziewczyna podskoczyła przestraszona. Była coraz bardziej skonsternowana i coraz bardziej świadoma upływu czasu. Co mam robić, co mam robić? – pytanie to rezonowało jej w głowie, jednak pozostało bez tak bardzo wyczekiwanej odpowiedzi.

Przyniosła ją natomiast Kryśka. Kładąc spokojnie rękę na ramieniu przyjaciółki, powiedziała chicho:

– Lencia, chyba nie mamy wyboru. Zobacz, co się dzieje. – Pomimo pozornego spokoju w głosie, w oczach Kryśki kielkował strach.

– No ale właśnie, co się dzieje? – odpowiedziała jej pytaniem, posyłając gromy ze swoich zielonych oczu. – Zwierzętom odbiło, a my tam mamy wychodzić?

– Wolisz siedzieć w domu i czekać nie wiadomo na co? – wtrącił się Łukasz.

– Nie. Wolę siedzieć w domu i czekać na policję – odwarknęła.

Mierzyli się wzrokiem i Kryśka już wiedziała, że nie będzie lekko. Jak zawsze, gdy Lenie włączał się tryb bojowy. Wtedy choćby ją przypalać żywym ogniem, to i tak będzie obstawała przy swoim, gotowa bronić swojego zdania jak niepodległości.

Łukasz odczekał parę sekund, aż wreszcie stwierdził, że nie może zwlekać dłużej.

– Policja nie przyjedzie – powiedział zaskakująco spokojnie. – Nie wierzysz mi, twoja sprawa. Ale ja wiem swoje. Jeżeli już teraz jest, jak jest – wskazał ręką bliżej nieokreśloną przestrzeń na zewnątrz – to na posterunki ściągają właśnie wszystkich funkcjonariuszy, a i tak ich pewnie nie wystarczy... Później będzie już tylko gorzej. – Zaśmiał się histerycznie, odrobinę bardziej upiornie, niż zamierzał. Przybrał wyraz twarzy agenta Smitha przesłuchującego Morfeusza. Słyszac własne słowa, poczuł, jak przechodzi go zimny dreszcz. – Dobra. Nie wiem jak wy, ale ja stąd spierdalam. Nie będę was ciągnął na siłę.

Tyle że właściwie musiał. Jego obowiązkiem było zapewnienie Lenie bezpieczeństwa, choćby siłą. I nawet odstawienie jej do głównej siedziby doktora Rittnera, jeżeli sytuacja go do tego zmusi, a na to się ewidentnie zanosi. Odślonił już swoje karty. Pozostało mu czekać, żeby zobaczyć, jakie karty wyłoży Lena.

Ta spojrzała na Kryśkę, ale już nie wrogo, raczej szukając w przyjaciółce oparcia.

Kryśka spostrzegła w jej oczach przeblysłk lęku, głęboko ukrytego za zasłoną wściekłości. Niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

– Możemy spakować trochę rzeczy? – zapytała Lena, nie patrząc na Łukasza. Zaciśnawszy zęby, wbiła wściekły wzrok w podłogę, pokonana we własnym domu, upokorzona, chociaż rozumiała, że Łukasz może właśnie ratuje jej skórę. Chłopak natomiast poczuł, jak kamień spada mu z serca.

– Tak, tylko szybko. Spakujcie się do małego plecaka, żadnych walizek czy takich tam. Zapewnimy wam najpotrzebniejsze rzeczy.

– Daleko jedziemy?

Łukasz wahał się chwilę, ale w końcu, oblizawszy wargi, odpowiedział po prostu:

– Daleko.

Lena nie pytała o nic więcej. Wyminęła go i natychmiast poszła do swojej sypialni. Musiała czymś zająć ręce, aby spokojnie pomyśleć, choć przez chwilę.

Gdy tylko została sama, zaczęła mechanicznie wyciągać ubrania z szuflad. Szybko jednak wątpliwości zalały jej skołowany umysł. W co ja się wpakowałam? Co się dzieje, dlaczego zwierzęta zrobiły się takie agresywne? Co się stało z moją mamą? Czemu ten gość tyle wie i skąd się właściwie wziął? To przyjaciel? Czy można mu ufać? Czy jestem w niebezpieczeństwie? Jezu, dobrze, że jest ze mną Kryśka... A co z państwem Miszczuk z końca korytarza? Przecież oni mają owczarka! Dziesiątki różnych pytań bombardowały mózg Leny, chaotycznie odbijając się od siebie, przygotowując dziewczynę o porządny ból głowy i niemalże gorączkę. Musiała na chwilę usiąść na łóżku, bo zaczęło jej się kręcić w głowie. Bezwiednie upuściła na podłogę koszulkę, którą zamierzała spakować, i ujęła głowę w dłonie, oparłszy łokcie o kolana. Chciała choć na chwilę sprawić, by pokój przestał wirować.

Siedziała tak parę sekund. Kilka oddechów wystarczyło, by poczuła się odrobinę lepiej. W drzwiach pojawił się Łukasz. Miał skupioną, poważną minę, chociaż z jego oczu biło coś na kształt współczucia. A może strachu? Troski? Nie potrafiła tego dokładnie odczytać, ale miała wrażenie, że chłopak rozumie, przez co ona przechodzi. Lub przynajmniej próbuje. W tej samej chwili stwierdziła jednak, że jej to właściwie nie obchodzi.

Łukasz powiódł wzrokiem po pokoju, patrząc na plecak, na Lenę i na porozrzucane chaotycznie rzeczy.

– Jesteś gotowa? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Leżący obok niej pusty plecak mówił sam za siebie.

– Za siedem minut mamy transport. Musimy być wtedy na dole – obwieścił i zniknął za drzwiami.

No tak, oczywiście – mamy transport, czemu nie. Szczerze wątpiła, żeby Łukasz miał na myśli taksówkę. Wypuściła mocno powietrze i zabrała się do pakowania. Starła się nie myśleć o mamie, chwilowo miała własne problemy i zagubiona kilka tysięcy kilometrów dalej rodzicielka na niewiele mogłaby się tu zdać.

Niedługo później ostrożnie otwierali drzwi na korytarz. Łukasz wychylił się pierwszy i rozejrzał na boki. W rękę trzymał pistolet. Kryśka również szła uzbrojona, ale w ciężki, kuchenny nóż.

– Okej, możemy iść – powiedział cicho, rzucając dziewczynom skupione spojrzenie.

Podszedł do windy i przywołał ją.

– Windą? – zapytała Kryśka. – Myślałam, że trzeba się ewakuować schodami – dodała, mocniej ściskając rękę noża.

– Może tak, ale budynek nie płonie, nie wali się, to raczej nie odetną prądu. Tak będzie szybciej.

Krótki dzwonek obwieścił przybycie windy. Była pusta, chociaż przez chwilę Lena miała wizję, że jak tylko drzwi się otworzą, to rzuci się na nią stado wściekłych psów. Szybko wsiedli do środka, Łukasz wcisnął guzik parteru i w milczeniu zjeżdżali w dół.

Lena spojrzała na ich odbicie w lustrze, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Czowała się tak, jakby nie parę godzin, ale całe tygodnie wcześniej biegła przez las, a atak łośia był już tylko mglistym wspomnieniem. Tyle wydarzyło się w ciągu dzisiejszego dnia, tak wiele rzeczy diametralnie się zmieniło. Na ramionach dziewczyny spoczywał czarny plecak, spakowany na szybko. Zapasowa bielizna i ubrania, jakieś kosmetyki, tampony, płyn do odkażania rąk. Portfel z gotówką, tymi paruset złotymi, które odkładała, nie przypuszczając, że przydadzą się w takiej właśnie chwili. Telefon, ładowarka. Szczoteczka do zębów, dłuta do pielęgnacji dredów. Zdjęcie mamy oprawione w drewnianą ramkę, przenośny dysk z dokumentami i setkami zdjęć, laptop. Jedna z jej lustrzanek, niewielki i lekki Nikon z jednym tylko obiektywem, którego wybór okazał się szalenie trudny. Przynajmniej wzięła trzy karty pamięci, dwa zapasowe akumulatory i niewielką ładowarkę, bo wiedziała, że więcej się nie zmieści. Miała też myśliwski nóż, który zabierała ze sobą pod namiot, menażkę i czołówkę – wszystko nagle wydało się jej równie niezbędne, co absolutnie niepotrzebne. Ponadto miała wrażenie, że zapomniała czegoś naprawdę ważnego, że jakąś część siebie samej zostawiła w mieszkaniu na górze. Całkiem sporą część.

Po Kryśce nie widać było zdenerwowania, chociaż Lena domyślała się, co się działo w głowie przyjaciółki. Stojąc obok z wypchanym plecakiem, dziewczyna podejrzliwie przyglądała się Łukaszowi, koncentrując na nim wzrok niczym wilk przyglądający się rannemu, lecz ciągle niebezpiecznemu jeleniowi. Nie raz dały ze sobą koty, ale tym razem Lena dziękowała Bogu, że Kryśka jest obok niej.

Do parteru zostały trzy piętra.

– Dobra, słuchajcie – powiedział chłopak. – Trzymamy się razem. Jak wyjdziemy, lecimy prosto do samochodów.

– Jakich samochodów?

– Mają być już pod blokiem. Dwa jeepy. Zobaczycie.

– Okej – zgodziły się.

Lena poczuła twardą gulę w gardle. Z premedytacją pozostawiła myśliwski nóż w plecaku, nie wyobrażając sobie, że mogłaby go użyć przeciwko jakiemukolwiek zwierzęciu, chociaż teraz zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno było to dobre posunięcie. W końcu kochała zwierzęta, ale... własne życie i zdrowie chyba trochę bardziej.

Tymczasem winda zatrzymała się, dowożąc swoich pasażerów do pierwszego poziomu piekła. Łukasz odbezpieczył broń. Zanim drzwi się otworzyły, sekundy przeciągały się niemilosiernie, a stres sięgnął zenitu.

Drzwi wreszcie rozsunęły się przy absurdalnie głośnym akompaniamencie dzwonka i do środka wlało się naturalne światło z holu. Łukasz odruchowo przykucnął, trzymając pistolet w wyciągniętych dłoniach.

Hol był jednak zupełnie pusty. Nie było w nim ludzi, zwierząt, śladów walki, krwi – niczego. Wszystko wyglądało tak samo szaro i nudno jak zawsze. Cała trójka wymieniła szybkie, skonsternowane spojrzenia.

– Dobra, lecimy – zarządził chłopak, ruszając przodem. Sytuacja mogła się zmienić w każdej chwili, nie mieli czasu do stracenia.

Po paru sekundach dotarli do drzwi wejściowych i znaleźli się na zewnątrz. Uderzyło ich gorące, sierpniowe powietrze.

– Tam – powiedział, wskazując zaparkowane nieopodal dwa białe jeepy. Nie wiedzieć czemu Lena spodziewała się czarnych samochodów z przyciemnianymi szybami, przy których dodatkowo staliby ochroniarze w garniturach. Poczula się odrobinę rozczarowana.

Jednakże te dwa auta w dziwny sposób urealniły całą sytuację. Nie były to durne dziecinne podchody, tylko faktyczna ewakuacja, a ona, w wyniku jakiegoś kosmicznego zbiegu okoliczności, ma bilety na ostatni prom.

Ludzie jakby się gdzieś pochowali, zauważyła. Przecież zawsze ktoś tu się kręcił, zwłaszcza w tak piękny dzień. Poza tym, skoro oni uciekali, to dlaczego inni nie? I wtedy, odwróciwszy się w poszukiwaniu oznak tego chaosu, który obserwowała z góry, dostrzegła sporą plamę krwi przy wejściu do klatki. Zwolniła, dokładniej się jej przyglądając, zaintrygowana, ale i coraz bardziej wystraszona.

Kryśka i Łukasz wysforowali w tym czasie do przodu, pozostawiając dziewczynę za sobą. Lena zauważyła, że plama była nieregularna, jakby ktoś starał się ją wytrzeć szmatą jak rozlaną farbę – finalnie przeciągając ją aż za róg budynku. Na ścianie widniał też odcisk ręki, tak absurdalnie nierealny, że aż trudny do zaakceptowania. Niemniej wiedziała, że krew jest prawdziwa, że ta plama to faktycznie krew, a nie farba czy sok z buraków, czy cokolwiek innego, co desperacko próbowała podzucić jej obrażnia.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, czym spowodowany jest ten ciężki, metaliczny zapach wiszący w powietrzu. Odległe szczekanie nabrało innego, złowieszczego wydźwięku. Lena z rosnącym przerażeniem zrozumiała, że wkroczyła na krwawą arenę, którą jakiś czas temu obserwowała z bezpiecznej perspektywy balkonu, niczym Rzymianin, podziwiający krwawe starcia na piaszczystej arenie Koloseum. Pomimo panującego upału poczuła, jak zimny dreszcz przeszywa jej ciało, oto właśnie stawała się gladiatorem. I tak samo jak zawodników przed wiekami, jej również nikt nie pytał o zgodę.

– Lena! – usłyszała wołanie Kryśki. Oboje z Łukaszem dotarli już prawie do jeepów. Kryśka krzycząc, pokazywała coś palcem, wyciągając rękę w jej stronę. Lena zareagowała instynktownie – schowała głowę w ramiona i przykucnęła, aby uniknąć

ewentualnego ataku. Nie do końca jej się to udało – poczuła, jak coś ciężkiego uderza w nią, zahacza o ramię z taką siłą, że niemal pozbawia ją tchu. W ostatniej chwili uchyliła głowę, a wykorzystując impet ataku agresora, instynktownie przerzuciła go przez prawy bark.

Wówczas dopiero zobaczyła, że zaatakował ją olbrzymi pies. Bydlę wyrznięto pyskiem w zimny, szorstki chodnik, szybko jednak stanęło z powrotem na czterech łapach. Lena doskonale знаła tego długowłosego owczarka, opiekowała się nim czasem pod nieobecność państwa Miszczuków.

– Zara, spokój! Siad! – starała się brzmieć władczo i stłamsić w zarodku paraliżujący lęk, który próbował nią zawładnąć. Wiedziała, że teraz nie może sobie pozwolić na strach. Unosząc w stronę psa lewą rękę, poczuła przeszywający ból, aż syknęła. Spojrzała na zakrwawione ramię. Rana nie była może zbyt wielka, ale dość głęboka i nieregularna – widocznie owczarek zahaczył o nie kłami. – Stój! Siad! – próbowała dalej Lena, odwracając wzrok od ramienia, żeby nie zrobiło jej się słabo na widok własnej krwi.

Tymczasem pies szykował się do ponownego ataku. Opuścił łeb i uniósł zad, przygotowując się do skoku, ale zamiast tego powietrze przeszła seria z karabinu maszynowego. Lena aż krzyknęła i zasłoniła rękami głowę, bojąc się, że któryś z pocisków może przypadkiem w nią trafić. Odwróciła się w stronę jeepów i zobaczyła szczupłego mężczyznę trzymającego w rękach karabin. Była zbyt zdenerwowana, aby mu podziękować. Po prostu odwróciła głowę z powrotem w stronę Zary, a właściwie w stronę tego, co z niej zostało. Pies leżał martwy na chodniku, a wokół niego szybko rosła kałuża krwi.

– Boże... – wyszeptała Lena, robiąc kilka niepewnych kroków w kierunku znajomego zwierzęcia, ze zgrozą patrząc na zakrwawiony pysk. Targały ją skrajne emocje – od radości z faktu, że uszła z życiem, po żal z powodu zastrzelenia psa. Nie rozumiała, ale też uparcie nie chciała zrozumieć, co się stało, zbyt wiele rzeczy działo się naraz. Poczuła, że świat znowu zaczyna wirować jej przed oczami. Mimo wszystko cieszyła się, że to suka, a nie ona, leży martwa na chodniku.

– Lena! Lena, musimy uciekać, spieszymy!

Wiedziała, że Łukasz biegnie w jej stronę, lecz nie dbała o to. Patrzyła na znajomego czworonoga i próbowała zrozumieć, dlaczego ją zaatakował. Przecież zawsze była dla niego dobra, karmiła go, wychodziła z nim, pod nieobecność właścicieli dbała jak o swoje zwierzę. A ten w podziękowaniu rzucił się na nią, i to bez ostrzeżenia i bez najmniejszego powodu.

Nie potrafiła się jednak na niego wściec. Widziała, jak zwierzęta się zmieniają, ale czuła jednocześnie, że nie robią tego z własnej woli. Tak jak pitbulle nie rodzą się mordercami dzieci, tak samo było w tym przypadku – była pewna, że stoi za tym ktoś lub coś, na co już wściec się mogła.

Zacisnęła zęby, naprężyła ciało i przełknęła ciężką kulę, która wyrosła jej w gardle. Pomyślała, że jeszcze chwila, a prawdopodobnie oswoiłaby się z sytuacją na tyle, aby wyciągnąć z plecaka swoją lustrzanekę i strzelić kilka fotek. Jednak na to było jeszcze za wcześnie.

Poczuła, jak Łukasz łapie ją za ramię.

– Tak, wiem. – Odwróciła głowę w jego stronę. – Wiem.

– Chodź. Nic ci nie jest? – Pobieźnie obejrzał dziewczynę od stóp do głowy. Próbował prowadzić ją za łokieć, ale po jednym, odrobinę chyba zbyt gwałtownym szarpnięciu Lena się wyrwała. Po chwili byli już w bezpiecznym aucie.

Dziewczyny usiadły na tylnej kanapie, Łukasz zaś z przodu i od razu wydał rozkaz kierowcy. Oba samochody ruszyły gwałtownie. Trzymały się bardzo blisko siebie. Łukasz sprawdził magazynek karabinu maszynowego, który był przymocowany do jego siedzenia.

– Lena? – zaczęła Kryśka, przyglądając się przyjaciółce, która patrzyła nieobecny wzrokiem przez okno.

– Tak, tak, przepraszam – odpowiedziała jej w końcu, ze sztucznym uśmiechem na twarzy. Kryśka doskonale wiedziała, że Lena znajdowała się teraz myślami setki kilometrów stąd. – Jestem, jestem, nic mi nie jest.

– Lena, skarbie. Ty krwawisz – powiedziała spokojnie Kryśka, chociaż w środku wszystko jej się zagotowało.

Lena patrzyła przez chwilę na Kryskę nierozumiejącym wzrokiem. Lecz w pewnym momencie jej twarz wykrzywił grymas bólu. Spojrzała na ranę na ramieniu. Co zabawne, w pierwszej chwili pomyślała, że miała szczęście, bo Zara nie zahaczyła o żaden tatuaż. Potem posłała Kryśce zdezorientowane spojrzenie wilgotnych oczu.

– Co się dzieje? – ledwie słyszalny szept wydostał się z sinych ust Leny. Uczucie wściekłości, determinacji w odnalezieniu odpowiedzialnych za to wszystko ustąpiło całemu oceanowi żalu i bólu, jaki niespodziewanie załął dziewczynę. Coś w niej bukowało, budziło się, aby po chwili umrzeć – targaly nią sprzeczne emocje, lecz wiedziała, że potrzebuje czasu, aby odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Że sztorm minie. Albo i nie. Tak czy inaczej, ona nauczy się utrzymywać na jego powierzchni. Tego jednego była pewna.

Kryśka bardzo chciała jej pomóc, pocieszyć, chociaż sama balansowała na krawędzi załamania. Czowała, że zaczyna jej spadać poziom adrenaliny, że wszystkie systemy są przeciążone, że tego wszystkiego wokół jest po prostu za dużo, aby można to było udźwignąć.

– Łukasz, masz tam apteczkę? – zapytała łamiącym się głosem.

– Tak, tak, już daję – powiedział i zaczął grzebać w schowku. Po chwili podał do tyłu czerwony pojemnik. Kryśka wzięła go, otworzyła i zaczęła przekopywać zawartość.

– Nie wiem, kochanie, co się dzieje. Ale wszystko będzie dobrze, zobaczysz – obiecała. – Pokaż no tę rękę.

Lena odwróciła się do niej plecami. Rana nie była zbyt głęboka, ale nieregularna i dość mocno krwawiła. Podczas przemywania wodą utlenioną dziewczyna syknęła.

– Skąd wiesz, że będzie dobrze? – powiedziała po chwili, hardo patrząc w oczy Kryśki.

– Nie wiem. Ale tak się przecież mówi, nie? – padła odpowiedź, trochę żartem, a trochę serio.

Kiedy Kryśka skończyła bandażować ranę, wyprostowała się demonstracyjnie, jakby meldując wykonanie zadania. Opatrunek wyglądał całkiem nieźle. Pewnie takim błaznowaniem Kryśka próbowała trochę rozładować atmosferę, odegnąć myśli o tym, co się działo wokół. Może to była jej reakcja na stres.

Wyszło średnio, bo Lena odwróciła wzrok, skupiając się na drodze i na tłumieniu bólu, który znowu pojawił się nie wiadomo skąd i nie miał absolutnie nic wspólnego z rozciętą na ramieniu skórą. Serce waliło jej jak oszalałe i miała wrażenie, że kończy się jej tlen.

Jechali szybko, zdecydowanie ignorując wszelkie możliwe przepisy ruchu drogowego. W krótkim czasie dotarli do obwodnicy Warszawy. Nie raz widzieli po drodze ludzi zbitych w miejscu w niewielkie grupki, przyglądających się komuś lub czemuś leżącemu na ziemi. Minęli też kilka truchtających poboczem osób, z których jednak żadna nie była ubrana na sportowo. Na chodnikach i ulicach widoczna była krew. Wiele dużych plam krwi, niepasujących zupełnie do tego ciepłego, sierpniowego dnia. Słyszeli wycie syren i raz po raz dobiegające gdzieś zza mijanego rogu krzyki walczącego ze zwierzęciem człowieka. Mieli wrażenie, że wcale nie wyjechali z osiedla, tylko krążą wokół niego, albo że ta przeklęta zaraza wywołująca chaos przemieszcza się równoległe do nich. Jechali w milczeniu, z przejęciem i napięciem obserwując sceny rozgrywające się za oknami samochodu. Łukasz kurczowo zaciskał dłonie na trzymanej broni.

Wyjechali na obwodnicę. Kierowca krzyknął i Lena zobaczyła, jak sfera psów podbiega do jadących i stojących na przeciwnym pasie samochodów. Jedne wpadały pod koła pojazdów, ale inne dopadały ludzi, którzy zatrzymali się i wysiedli, aby zobaczyć, co się dzieje.

Lena krzyknęła, żeby się zatrzymali, żeby pomogli. Usłyszała, że muszą jechać dalej, że to jest dla nich niebezpieczne. Potem prosiła o to jeszcze wiele razy, aż kierowca i Łukasz przestali jej odpowiadać.

Dziewczyna chyba płakała, chociaż nie była pewna, czy wilgoć na twarzy to pot czy łzy. I niezbyt ją to obchodziło.

W końcu opadła ciężko na siedzenie i zapadła się w nim. Mokra koszulka podwinęła jej się na plecach. Syknęła z bólu, czując, jak opatrunek ociera się o świeżą ranę. Ciężko dyszała, nogi zaczęły jej drżeć, jakby w rytm niesłyszalnej muzyki. Zerknęła na Kryśkę, która nerwowo obgryzała paznokcie, cały czas szeroko otwartymi z przerażenia oczami obserwując gehennę, jaka rozgrywała się na zewnątrz. Już nie próbowała uspokajać Leny, teraz skupiła się na własnym strachu, walczyła z głosami w swojej głowie. Dopiero po paru sekundach Lena zauważyła, że trzyma przyjaciółkę za rękę. Nie miała pojęcia, od jak długiego czasu.

Skąd ta nagła zmiana, czemu wszystkie zwierzęta zaatakowały jednocześnie? Nie pozwoliły nawet się przygotować, wszystko wydarzyło się z subtelnością niespodziewanej pięści łamiącej nos. Nie знаła się na tym, ale to chyba wykluczało jakiś wirus lub ptasią grypę czy wściekliznę. Zdawało się jej, że w przypadku chorób atakowane były zwierzęta tego samego gatunku, jeżeli natomiast byłyby to wirusy, to czemu nie atakuje ludzi? Czemu media nic na ten temat nie mówiły, czemu wcześniej milczały?

W głowie Leny kołatały się setki myśli, przeróżne koncepcje i pytania, na które nie mogła znać odpowiedzi. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że jako jedna z niewielu osób na planecie będzie mogła je poznać.

– Tak, jedziemy. Wyjechaliśmy z Warszawy. Wiem. Wiem, wiem. Nie, jesteśmy bezpieczni. Tak, dobrze – Łukasz rozmawiał przez telefon komórkowy, z pozornym tylko spokojem patrząc w okno. – Co? – nagle się ożywił. – Dobrze, okej. Jedziemy.

Skończył rozmowę i powiedział do kierowcy:

– Nie zatrzymuj się. Wiesz, gdzie jechać.

– Coś się dzieje? – zapytał kierowca.

– Tak. W Łodzi też niespokojnie. Właściwie... wszędzie jest niespokojnie.

– Rozumiem – odparł mężczyzna, wrzucił kierunkowskaz, sygnalizując swój manewr drugiemu pojazdowi, i wyraźnie przyśpieszył. ■

ROZDZIAŁ 15

Bhutan, sierpień 2020

– Musimy uciekać.

W pierwszej chwili Sara nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje, kto do niej mówi i jaki sens mają słowa, które słyszy.

– Szybko, wstawaj. Nie ma czasu.

Dziwna, trochę łamana angielszczyzna, głos jakby znajomy... ale nadal nic konkretnego. Czego ten ktoś od niej chce?

– Szybko!

Podniosła buńczucznie głowę, gotowa niemalże rzucić się na tego upartego i natarczywego ktosia. Nie zobaczyła jednak nic, bo zmrużyła oczy przed oślepiającym blaskiem latarki, który pojawił się nie wiadomo skąd. Czuła się tak, jakby dostała szperaczem ze śmigłowca.

– Sara, do ciężkiej cholery, rusz się! – Ten głos już był jej bliższy, cieplejszy. Chris. Tak, ten głos należał do Chrisa. Dziewczyna powoli zaczynała kojarzyć fakty, chociaż jej zmęczony umysł odmawiał kontaktu z rzeczywistością, uparcie trzymając świadomość w błogiej pierzynie wyczerpania.

– Jezu, czego chcesz? Gdzie się pali? Dajcie mi spokój. Co się dzieje?

Mówiła nieskładnie, wyrwana z głębokiego snu. Uniosła się na łokciach, po chwili zmusiła się, żeby usiąść. Przetarła oczy drobnymi, ale zaskakująco silnymi dłońmi, pokręciła głową, tak żeby rozruszać kark. Ewidentnie nigdzie się nie śpieszyła. Ktoś skierował światło latarki w podłogę.

– Co? No mówże – syknęła.

– Musimy wiać. – Chris patrzył na nią kamiennym wzrokiem. Czekał, gotów podjąć kroki, z których dziewczyna nie byłaby zadowolona, i wolał tego uniknąć. Zresztą, widząc jej wyraz twarzy, miał ochotę machnąć ręką i ulotnić się samemu.

Przez głowę przeleciało mu pytanie, gdzie byłby bezpieczniejszy – na zewnątrz, gdzie z jakiegoś powodu wszystko się pomieszało, czy w środku, z Sarą, którą miał wątpliwą przyjemność obudzić.

– Rozumiesz mnie?

Dziewczyna powoli łąpała kontakt ze światem, jej spojrzenie nabierało wyrazu. Mętność niebieskich oczu ulatniała się niczym poranna leśna mgła.

– Tak. Ale nie.

Chris spojrzął na nią, po chwili przenosząc skonsternowany wzrok na mnicha, który zniknął właśnie za drzwiami. Świetnie, zostawił mnie z tym wszystkim samego – pomyślał.

– Słyszę, ale nie rozumiem – doprecyzowała.

Nagle na zewnątrz rozległ się huk. Nienaturalnie głośny, abstrakcyjny wręcz, jakby wybuchła bomba.

Wtedy przypomniała sobie, że miała dziwny sen, chyba koszmar, chociaż nie była pewna. Śniło się jej, że była na urodzinach w domu starców, w którym obecnie prze-

bywali jej chorzy rodzice. Nagle pojawił się klaun, karykaturalnie wielki, z długą, połyskującą w świetle słońca igłą, którą... którą chyba przebijał balony. I to był właśnie ten huk, tak jej się przynajmniej wydawało. Próbowwała się skupić, wyteńczyć pamięć aż do granic możliwości, gdyż wydawało się jej, że w tym śnie było jeszcze coś bardzo ważnego. Wspomnienie tego czegoś było ulotne, rozmywało się, czaiło gdzieś na granicy snu i świadomości. Chris zobaczył, jak Sara mocno marszczy czoło, jak ewidentnie na czymś się koncentruje.

Ta ręka klauna, pomyślała dziewczyna. To nie była ręka, ale łapa. A właściwie biała łapa. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że klaun miał... białe futro, a jego twarz była... nie mogła sobie przypomnieć. Pamiętała czerwony nos. Chociaż nie, było coś jeszcze. Wspomnienia powoli, nieśmiało wychodziły na scenę.

Nagle klaun zniknął, a w jego miejsce pojawiła się biała bestia z jaskini. To ona przebijała balony, wlepiając swoje ślepie prosto w Sarę.

Poczuła, jak cała drży na wspomnienie zarówno sennego, jak i tego prawdziwego koszmaru. To skutecznie ją obudziło.

– Ja też nie rozumiem, ale dzieje się coś dziwnego. Musimy uciekać, ten mnich powiedział, że mają jakąś kryjówkę, nie wiem gdzie. Chodźmy.

– Ale co jest? Atak terrorystyczny?

– Nie wiem. Podobno tu nie jest bezpiecznie. Wrzucaj rzeczy do plecaka, ubieraj się i spadamy. Widzimy się za dwie minuty. Okej? Rozumiesz mnie?

Mężczyzna chwycił Sarę delikatnie za ramiona i zmusił ją, aby spojrzała mu w oczy. Z ulgą stwierdził, że wyglądają już normalnie. Udało mu się ją obudzić, przy okazji nie odgryzła mu głowy, chociaż było blisko. Chyba mógł to uznać za sukces.

– Tak. Rozumiem. Dobra, puść mnie, bo tak się nie spakuję.

Uśmiechnął się, chociaż wcale nie było mu do śmiechu. Cieszył się jednak, że dziewczyna oprzytomniała i nie będzie musiał jej ciągnąć na siłę. Następnie wyszedł i skierował się do swojego pokoju, który znajdował się tuż za ścianą.

Cztery minuty później przyszła tam też Sara. Była już ubrana i widać było, że twarz ochlapała zimną wodą, bo nabrała trochę kolorów. Z ramienia zwisał jej plecak, wypchany po brzegi osobistymi rzeczami i najpotrzebniejszym sprzętem. Nawet zdążyła założyć buty, co Chris zauważył z lekkim wstydem, bo dziewczyna ogarnęła się szybciej od niego.

– Co ze szpejem? – rzuciła rzeczowo.

– Zabranym. Ten mnich, Pierwszy Brat, powiedział, że wszystko już znieśli.

– A powiedział, co mamy robić? I co się właściwie dzieje?

– Nie – odpowiedział, cały czas się pakując. Stał teraz odwrócony do niej plecami.

– Coś bredził, że jej potęga rośnie, że nie mamy czasu, że wszystko dzieje się szybciej, niż przewidywali. Że musimy się śpieszyć.

Sara uniosła brwi, nic nie rozumiejąc. Jej milczenie było dość wymowne, toteż Chris odwrócił się i powiedział:

– Wiem, ja też nic z tego nie kumam. Słuchaj, on chce się ewakuować, ale jak dla mnie, to bierzemy nasze graty i spadamy przy najbliższej okazji. Najchętniej do jakiejś ambasady albo prosto na lotnisko, nie wiem.

– Do ambasady? Czyjej?

– Nie wiem, rzucam tylko pomysł! Masz lepszy? To chętnie go wysłucham.

Gdzieś za murami klasztoru rozległ się długi, stłumiony krzyk. Sara podeszła do okna, do tej pory szczelnie zamkniętego. Odsunęła zasłonę i rozchyliła okiennice.

Uderzyło ją gorące powietrze, zbyt jednak gorące jak na tak chłodne i wysoko położone miejsce. Okazało się szybko, że nie nagrzało go słońce – a płomienie trawiące pobliskie zabudowania. Dziewczyna aż się zachłysnęła, widząc ten ogrom zniszczenia.

W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła w dole. Ludzie na zewnątrz biegali z wiadrami, z widłami i pałkami, niektórzy trzymali kurczowo w ramiach swoje dzieci. Krzyczeli, machali rękami, kłócili się, czyje domostwo należy ugasić jako pierwsze, któremu sąsiadowi trzeba pomóc już, a który może jeszcze chwilę poczekać. Pomiędzy ludźmi biegały zwierzęta: psy, kozy, kilka krów, jakiś drób, wszystkiego po trochu, jednak zdecydowanie najwięcej było bezpańskich psów i kóz, które zapewne jakiś rezolutny pasterz wypuścił z płonącej zagrody, żeby nie upiekły się na żywym ogniu.

Coś jednak z nimi było nie tak. Zwierzęta zamiast uciec od płomieni gdzieś daleko na łąki lub górskie zbocza, biegały pomiędzy ludźmi, objijając się o nich, nacierając na nich, przewracając ich i... gryząc? Dziewczyna skupiła wzrok na mężczyźnie leżącym w wąskim zaułku ukrytym przed wzrokiem walczących z ogniem ludzi, tuż obok wejścia na niewielki plac, który w dni handlowe mógł pełnić funkcję bazaru. Próbował on odgonić od siebie kilka psów, które wszystkie naraz go atakowały, chociaż właściwiej byłoby powiedzieć – rozszarpały.

Sara wychyliła się z okna i krzyknęła, aby ktoś mu pomógł, podbiegł do niego, bo przecież zagryzą go na śmierć. Ale nikt nie zwrócił uwagi na jej krzyk, wszyscy byli zbyt zajęci desperacką walką o swój dobytek. Poza tym i tak niewiele osób pewnie by ją zrozumiało. Dziewczyna patrzyła, jak mężczyzna w zaułku machnął jeszcze kilka razy rękoma, chyba coś krzyknął, ale w końcu zwiotczał i przestał się bronić. Widząc to, kilka psów odwróciło się i odbiegło od niego, dwa jednak zostały, żeby jeszcze parę razy szarpnąć ciałem nieszczęśnika.

Nagle Sara poczuła dotyk na ramieniu. Odwróciła się, podskakując jak oparzona, i zobaczyła, że stoi za nią Pierwszy Brat.

– Nie możemy mu już pomóc – powiedział spokojnym, mentorskim tonem. – Ale są inni, którym możemy. Dlatego musimy się stąd zabierać. Teraz.

Dziewczyna kiwnęła głową.

Po chwili Sara, Chris i mieszkańcy klasztoru znaleźli się na ulicy. Szybko zeszli z głównego traktu, zagłębiając się w wąskie uliczki. Trzymali się blisko siebie. Pierwszy Brat szedł z przodu, razem z kilkoma innymi mnichami. Kolejnych kilku podążało za Sarą i Chrisem. Żadne z tej dwójki nie miało pojęcia, dokąd idzie. Grupa kluczyła w nieznanym im kierunku, a widząc chaos panujący wkoło, Chrisowi odechciało się ucieczki w pojedynkę.

Wokół nich rozgrywały się sceny, które Sara wcześniej widziała z okna. Z tą tylko różnicą, że teraz mieli miejsca „w pierwszym rzędzie”, modląc się, aby przypadkiem

nie znaleźć się na scenie w pierwszoplanowych rolach.

– Tam za rogiem mamy garaże i auta – powiedział Pierwszy Brat, ostrożnie podążając za prowadzącą ich grupą mnichów.

Cały czas czujnie rozglądał się wokół.

– Uważajcie na zwierzęta, nie można im ufać.

Chris jednym uchem tę wiadomość wpuścił, drugim wypuścił. Brednie, powtarzał w myślach, wierutne bzdury wyssane z palca. Ktoś po prostu podłożył ogień albo samo się zapaliło przez te maślane lampy, a ci sieją panikę, zamiast po prostu...

Potok myśli przerwało mu nagłe i mocne uderzenie w plecy. Mężczyzna poczuł się tak, jakby oberwał taranem na wysokości lewej nerki, wielką, ciężką kłodą, na dodatek wzmocnioną kutym żelazem. Ból błyskawicznie rozszedł się po ciele i wycisnął całe powietrze z piersi. Twarz Chrisa wykrzywił grymas zaskoczenia. Cios był tak silny i niespodziewany, że nie zdążył nawet pisnąć.

Ktoś idący z tyłu krzyknął coś krótko, niezrozumiale, co zabrzmiało jak rozkaz. Było jak smagnięcie biczem. Sara i Pierwszy Brat odwrócili się, a jeden z mnichów w ostatniej chwili złapał i przytrzymał Chrisa, żeby nie upadł na twardą ziemię. Ten zaś odwrócił się i zobaczył, co właściwie go zaatakowało.

Okazało się, że była to koza. Miał dużo szczęścia, że nie wbiła mu w ciało rogów, tylko ubodła go łbem. Dwóch mnichów błyskawicznie zaczęło okładać zwierzę kijami, a ono wiło się, odskakiwało i próbowało unikać ciosów, chociaż sporo z nich dosięgło celu. Sara patrzyła na to jak zaczarowana, nie do końca rozumiejąc, co się właściwie wydarzyło ani jak powinna się zachować. Wreszcie krzyknęła:

– Nie, zostawcie, zabijecie ją!

Chciała podbiec bliżej, ale Pierwszy Brat przytrzymał ją za rękę i pociągnął w swoją stronę. Na szczęście, bo nagle pojawiła się tam kolejna koza. Szarżując z pełnym impetem, wbiła się w rogami w udo jednego z mnichów. Nie miał on tyle szczęścia co Chris. Poczuł, jak coś rozdziera jego skórę, jak jeden długi róg wbija się w niego, rozszarpując mięśnie i ścięgna. Mężczyzna krzyknął przeciągle, unosząc głowę ku niebu.

Wtedy do akcji wkroczył Pierwszy Brat. Szybkimi susami doskoczył do zwierzęcia i pochyliwszy się, wyprowadził serię szybkich, mocnych uderzeń pięściami. Chlusnęła krew, jakby zamiast pięści mnich używał noży. Zwykłe uderzenia nie mogą wywołać aż takiego spustoszenia – pomyślała Sara. Dopiero po paru sekundach dostrzegła, jak od kastetów na palcach Pierwszego Brata odbija się światło. Z narastającą konsternacją zauważyła, że były zwieńczone długimi kolcami, z których teraz skapywała krew martwego zwierzęcia. Widząc to wszystko, aż krzyknęła.

Chris odzyskał oddech, ale to, co zobaczył, zaparło mu go ponownie. ■

ROZDZIAŁ 16

Warszawa, sierpień 2020

Sześć godzin później byli ledwie paręset metrów za linią drogi krajowej numer pięćdziesiąt. Poruszali się w żółwym tempie. Na jednym z rozjazdów zrezygnowali z obwodnicy na rzecz bocznych, mniej uczęszczanych dróg, gdyż trasa była zupełnie nieprzejezdna – liczne wypadki zakorkowały ją na amen, do tego wszędzie panowały chaos i dezorganizacja. Liczyli na to, że uda im się nie tyle nadgonić stracony czas, co przynajmniej dojechać na miejsce przed zmrokiem. Niestety, boczne drogi były zapechane tak samo, jak obwodnica.

– Słabo – powiedział kierowca. Sunęli teraz powoli przez niewielką miścinę, której nazwy nikt nawet nie starał się zapamiętać. – Co robimy? – zagadnął po chwili, zerkając na Łukasza. Ten uparcie milczał. Zamiast odpowiedzieć, popatrzył na dziewczyny siedzące z tyłu. Miał nadzieję, że kilka godzin w aucie i emocje związane z ucieczką sprawią, że obie zasną, jednak nic z tego. Owszem, były mocno przymulone, jednak twardo tkwiły na posterunku. Lena wpatrywała się spod przymkniętych powiek w mijane domy, Kryśka czujnie przyglądała się drugiej stronie ulicy. Odcięły się, zatoneły we własnych myślach i lękach, ale pozostawały czujne.

– Chcecie zrobić postój? – zapytał Łukasz i, nim zastanowił się nad debilizmem swojego pytania, było już za późno.

Lena błyskawicznie odżyła.

– No, chętnie – powiedziała nadspodziewanie spokojnie i poprawiła się na siedzeniu. – Chociaż na chwilę. Muszę... wiesz.

Wiedział. Kryśka również przytaknęła:

– Staniemy na chwilę? Rozprostujemy kości, gdzieś na uboczu.

– No nie wiem, widzicie przecież, co się dzieje – kierowca jako jedyny zdawał się zachowywać trzeźwość umysłu i rozumieć powagę sytuacji znacznie lepiej niż pozostali. Miał ewidentnie niezadowoloną minę, chociaż wiedział, że to do Łukasza należy ostatnie zdanie. Ten zastanawiał się chwilę, w końcu jednak odpowiedział.

– Dobra, zjedź tu na przystanek – stwierdził, wyciągając rękę przed siebie i pokazując białą, obdrapaną wiatę PKS-u. – Najpierw pogadam z Danielem i zorientuję się, jak to wszystko wygląda.

Łukasz mógł skorzystać z łączności nie tylko komórkowej, ale i z krótkofalówek, w które były wyposażone oba pojazdy. Jednak tak samo jak dziewczyny chciał choć trochę rozprostować nogi. I zamienić z Danielem parę słów bez świadków. Wyszedł z samochodu. Reszta została w środku.

Lena zauważyła, że niebo zaczęło przybierać fioletowo-bordowe odcienie, co zwiastowało rychły koniec tego równie gorącego, co potwornego dnia, a i noc wcale nie zapowiadała się spokojniej. Po kilku minutach chłopak wrócił do samochodu. W tym czasie minęło ich kilkanaście aut osobowych. Ta liczba była podejrzanie duża, jak na tak małą miścinę i późną porę.

– I? – pytanie padło, zanim jeszcze zdążył zamknąć za sobą drzwi.

– Robimy tak. Przejedziemy jeszcze kawałek, znajdziemy jakieś ustronne miejsce, kawałek lasu czy coś, i tam zrobimy dłuższą przerwę.

– Bez sensu – zaoponowała Lena, strzelając w Łukasza swoją brutalną szczerością. Chłopak posłał jej zaskoczone spojrzenie. – No bez sensu. Dlaczego nie możemy się zatrzymać gdzieś po drodze, zjeść czegoś jak ludzie i dopiero ruszyć dalej?

Łukasz właściwie nie potrafił jej udzielić racjonalnej odpowiedzi. Może faktycznie postój nie byłby takim złym rozwiązaniem?

Zamiast odpowiedzieć, spojrział na kierowcę, który na pytanie Leny lekko uniośł kąćki ust. Zmieszany Łukasz przełknął ślinę.

– Bo... yhm...

Dziewczyna bezlitośnie wykorzystała jego zmieszanie.

– O, tam jest jakiś zajazd, zobacz – wskazała ręką znak reklamujący zajazd, który miał się znajdować dwa kilometry dalej.

– W sumie... – odpowiedział, nie mogąc znaleźć żadnego argumentu. – Chyba się trochę uspokoiło – dodał jeszcze.

W głębi duszy wiedział, że popełnia błąd, ale nie potrafił jej odmówić. No i może będzie czas na rozeznanie się w sytuacji, zaplanowanie lepszej trasy – oszukiwał sam siebie.

– Dobra, zjedź tu – zarządził w końcu, po krótkiej bitwie stoczonej z własnymi myślami. Sięgnął po słuchawkę radia i obwieścił zmianę planów.

Lena uśmiechnęła się zwycięsko, kiwając Kryśce głową. Przyjaciółka odwzajemniła gest, chociaż w wyrazie jej twarzy było coś smutnego, coś tak bardzo smutnego, że Lena szybko zapomniała o radości z wygranej. Sposepniała, patrząc na nią uważnie. Ta wreszcie uśmiechnęła się nieco szerzej, ale Lena doskonale wiedziała, że Kryśka tak też czasem reaguje na stres. Ścisnęła ją za rękę, okazując wsparcie, i odpuściła temat. Wiedziała, że jeszcze będzie niejedna okazja, aby porozmawiać o wszystkim, co przeżyły tego dnia.

Kilka minut później zaparkowali przy zajeździe. Zbliżała się dwudziesta druga, toteż było sporo wolnych miejsc. Okazało się, że przydrożna knajpa oferowała nie tylko wątpliwej jakości, aczkolwiek ciepłe i pożywne jedzenie, ale jeszcze dysponowała ośmioma pokojami gościnnymi. Łukasz, widząc podekscytowanie w oczach dziewczyn, powiedział tylko:

– Nie, nie. Wystarczy, jak tu zjemy i chwilę odpoczniemy.

Nie skomentowały. W środku mniej więcej jedna trzecia stolików była zajęta. Siedziało przy nich kilka rodzin z dziećmi i kilka par bez pociech, natomiast przy wysokim barze wartowało paru pochylonych nad szklankami mężczyzn z minami posepny-mi niczym miasteczko, w którym się znaleźli. Barmanka, o dziwo, nie polerowała szklanek, stała natomiast, opierając swoje ciężkie biodro o bar, i wbijała cielece spojrzenie w telewizor. Przy tym raz po raz ostentacyjnie strzelała balonem z gumy, którą głośno ciamkała, bo nie można było tego nazwać żuciem.

Chyba na każdym możliwym kanale nadawane były teraz podobne informacje. Takie same relacje z całej Polski, od gór po samo morze, od granicy wschodniej do zachodniej. Krótkie, chaotyczne przekazy podnieconych, wystraszonych, spoconych

i zmęczonych reporterów i reporterek, wywiady z ludźmi o rozszerzonych źrenicach, wymachujących rękoma i tłumaczących, skąd to albo tamto zwierzę wybiegło, wyszło, przyleciało lub przypęzło, kogo pogryzło, podrapało albo podziobało, i jak cholernie trudno było to coś ubić, o ile w ogóle się udawało, bo jednak trzeba było uciekać, a teraz to nic nie wiadomo i...

...chciał ja swojego Burka do łańcucha przywiązać, ale go już tam, proszę ja ciebie, nie było, a moja klacz to wywaliła kopytami dechy i związała gdzie pieprz rośnie, no przeca ja prawdę mówię, jak Boga Kocham...

...a te ptaki, o, panie, te ptaki to latały jak wściekłe, jakby on cały był ziarnem jakimś posypany, przyklejony czy co tam się z tym robi, no i gołębie, tak, tak, zwykle gołębie go obsiadły i widziałem, na własne oczy, przecież mówię, widziałem, jak mu oczy jeden wydziobuje, facet wrzeszczy i próbuje się bronić, przepraszam, nie wiem, czy tak na antenie można mówić, no ale ten facet wrzeszczy i my mu próbujemy pomóc, ale gołębie i wrony, one razem, tak, tak, od razu na nas, i nawet jak jakiś dzieciak z petardą przyleciał, to dopiero kilka odfrunęło, resztę my kamieniami, żwirem, ale z faceta to niewiele zostało, chociaż próbowaliśmy...

...tak, witam, dobry wieczór, ja cały czas w domu przecież byłem i chciałem go tylko nakarmić, bo to zwykła pora karmienia, słucham, nie, nie codziennie, węże to rzadko, raz na parę tygodni nawet niektóre, no ale uchylilem terrarium i on mnie wtedy zaatakował, nie wiem, to się nigdy wcześniej nie zdarzyło, przecież tyle lat już go hoduję, no ale jak wystrzelił, to się wystraszyłem, normalne, w końcu każdy by się pewnie wystraszył, i jak wróciłem, to się okazało, że jego w terrarium nie ma, a co najgorsze, to pozostałych też nie, tak, on nie był sam, to znaczy w terrarium sam, ale w pokoju były jeszcze dwa węże i cztery ptaszniki, nie mam pojęcia, jak to się stało, ale wygląda tak, jakby on im otworzył, ale to przecież niemożliwe, bo one są zabezpieczone, nie, nie znaleziono ich. Czy jadowite? No trochę tak, ale trochę tylko...

Obraz przeskakiwał z miejsca na miejsce, pokazując różne tła i różne historie, ale opowiadane przez ludzi o tak samo wystraszonych i zdezorientowanych twarzach.

Lena patrzyła na wiszący nad barem telewizor LCD jak zahipnotyzowana, a w jej głowie cały czas rezonowały trzy rzeczy: mama, martwy owczarek sąsiadów i przerażająca istota ze snu, którą zaledwie kilka godzin wcześniej widziała. Nie miała pojęcia, skąd się to wzięło, ale przeczuwała, że te trzy tematy mają jakiś wspólny mianownik. Ktoś ją złapał za rękę, a ona biernie pozwoliła się prowadzić.

– Lena! – syknęła Kryśka, pochylając się w stronę przyjaciółki. – Co chcesz?

Dziewczyna potrząsnęła głową i rozejrzała się z konsternacją. Spojrzała na Kryskę i parę sekund jej zajęło, zanim pojęła, że przyjaciółka wpatruje się w nią z wyczekiwaniem i pretensją w oczach. Że siedzi za stołem bez ruchu i trzyma w rękach kartę dań. Zresztą, Łukasz, kierowca i inni z obsługi również się w nią wpatrywali. Tak samo jak kelnerka, która stała z obrażoną miną i tłustymi rękoma notowała coś w żółtym, poplamionym notatniku. Widać było, że nie dość, że już nie chciało jej się pracować, to jeszcze była zła, że musi obsługiwać takie wytatuowane i z dredami coś, jak Lena.

Dziewczyna odchrząknęła i poprawiła się na krześle. Zerknęła do menu.

- To ja chcę, ten, no. Herbatę. Albo nie, kawę.
- A do jedzenia?
- Tak, tak. Może... o, pierogi ze szpinakiem. Są?
- Są.
- To poproszę.

Kelnerka, ewidentnie niezadowolona, oddaliła się, nie potwierdzając zamówienia.

Niewiele rozmawiali. Dopiero gdy wchodzili do knajpy, Lena zauważyła, że w zespole Łukasza była kobieta. Niska i krępa, wchodząca w skład załogi drugiego jeepa, nie sprawiała zbyt pozytywnego wrażenia. Lena przyglądała się jej, zastanawiając się, skąd taki wybór zajęcia, ale szybko uciekła wzrokiem, gdy tylko tamta na nią spojrzała. Siedzieli z posepnymi minami, zmęczeni, rozglądając się dyskretnie wokół lub wpatrując się w świecące ekrany swoich smartfonów. Bez najmniejszych wątpliwości zwierzętom odbiła szajba nie tylko w Polsce, nie tylko w Europie, ale na całym świecie. Jednak żadna gadająca głowa jeszcze nie potrafiła wyjaśnić dlaczego.

Po jakimś czasie kelnerka zaczęła znosić jedzenie. Łukasz, który zamówił strogonowa, teraz krytycznie przyglądał się kawałkowi wołowiny wyłowionemu z talerza. W wiadomościach pokazywali przecież ludzi tratowanych przez bydło, ginących od ciosów potężnych byczych rogów – a teraz trzymał kawałek takiego bydłęcia na widelcu i wyglądał on zupełnie inaczej niż kiedykolwiek dotychczas. Teraz był fragmentem prawdziwego ciała, mięśni, dzięki którym poruszało się to olbrzymie zwierzę, a nie czymś, co po prostu brało się z półki w sklepie. Chyba nigdy wcześniej nie myślał o tym w ten sposób.

Zjedli, wymieniając zaledwie pojedyncze uwagi na temat jakości dań lub próbując rzucić jakimś żartem dla rozładowania atmosfery. Trochę wyszło, trochę nie, lecz najważniejsze, że złapali chwilę oddechu, napełnili żołądki i byli gotowi do dalszej podróży.

– Kontaktowałeś się z Danielem? – zapytał jeden z milczących dotychczas ochroniarzy. Na oko mógł mieć około czterdziestu lat, był przysadzisty, jego twarz pokrywała gęsta, ciemna broda. Śmierdział najemnikiem na kilometr.

Łukasz mruknął coś w odpowiedzi, przełykając kęs.

– To co robimy?

– Jedziemy dalej. Na Łódź. Bokiem.

Wymieniali między sobą krótkie, rzeczowe komunikaty. Rozkazy, należałoby rzec. Ci ludzie byli przyzwyczajeni do takiego sposobu przekazywania informacji: im krócej, tym konkretniej, im konkretniej, tym szybciej można było zabrać się do wykonania zadania.

Bez słowa ludzie z drugiego jeepa wstali od stołu i wyszli. Łukasz również się podniósł, dając tym samym do zrozumienia, że kolacja dobiegła końca. Dziewczyny spojrzały po sobie, a Lena sięgnęła do plecaka po portfel. Chłopak pokiwał głową.

– Nie trzeba.

Nie oponowała. W końcu, jak na to spojrzeć z odpowiedniej strony – porwali ją, okej, prawdopodobnie uratowali też jej życie, ale porwali. To niech chociaż karmią, pomyślała.

Parę minut później wyszli z knajpy. W czasie gdy jedli, świat we władanie wzięła noc, której ciemności rozpraszały tylko rzadkie latarnie. Na niebie nie było widać ani księżycy, ani gwiazd, wszystko zdawała się spowijać tajemnicza, gęsta mgła. Lena czuła się jak bohaterka filmu, miała dziwne przeczucie, że za krzakami czy w ciemnych oknach stoją ludzie z ekipy filmowej i dokładnie przyglądają się każdemu jej krokowi. Poczula z tego powodu przechodzący po całym ciele nieprzyjemny dreszcz i jakąś dziwną presję.

Już dochodzili do samochodów, gdy nieoczekiwanie usłyszeli dobiegający z oddali krzyk. Nie był to jednak okrzyk wesołego czy pijanego człowieka, nie była to matka, nawołująca swoje pociechy do domu. Było to wołanie o pomoc, paniczny wrzask w obliczu zagrożenia życia. Lena, pomimo ciepła wieczoru, poczuła, jak po jej plecach przechodzi kolejny dreszcz.

Jakieś to wszystko było dziwne, nierealne. Przecież kiedy uciekali z Warszawy, wiedzieli, że w innych miejscach również jest niebezpiecznie. Lecz pomimo tego siedzieli w knajpie jak gdyby nigdy nic, jedli, pili, jakby wstrzymując na chwilę grę. Jednak ta gra nie na długo pozwalała się zapauzować.

Wiedzieli już, że zwierzętom odbiło również tutaj i trzeba było być skończonym głupcem, aby liczyć na to, że gdzie indziej będzie spokojnie. Wszystko było wypisane na twarzach ludzi z baru, w ich pytających, smutnych spojrzeniach. Znajdowali się przecież daleko od centrum miasta, z każdym kilometrem pojawiała się więcej lasów, pastwisk i wsi. A tym samym – coraz więcej zwierzyny.

Łukasz szybko sięgnął po pistolet. Pozostali członkowie eskorty, których Lena w myślach nazywała najemnikami, zrobili to samo. Kobieta, którą ukradkiem wcześniej obserwowała, położyła rękę na ramieniu dziewczyny, wyraźnie biorąc ją pod swoją opiekę.

– Do samochodów – rozkazał Łukasz, patrząc w dal, na drogę, którą mieli ruszyć.

Rola szefa zupełnie do niego nie pasowała. Odstawał wiekiem od pozostałych, jednak wydawało się, że im to nie przeszkadza. Lojalnie wykonali rozkaz, zbliżając się do Leny i lepiej ją osłaniając. W tym czasie w oddali znowu rozległo się wołanie o pomoc. I to nie jednego człowieka, teraz już dało się rozróżnić dwa głosy. Lena bardzo chciała, żeby to była zwykła kłótnia, lecz w głębi duszy dokładnie zdawała sobie sprawę z tego, że wcale tak nie jest, i wiedziała też, że ci ludzie potrzebują pomocy.

– Nie, poczekaj! – Lena próbowała oponować, chciała poprosić Łukasza, żeby ruszyli z pomocą. Niestety nie dano jej dość do słowa. Ochraniająca ją kobieta mocniej zacisnęła rękę na jej ramieniu i zdecydowanym, szybkim krokiem poprowadziła do jepa. W międzyczasie jej kolega podbiegł do auta i otworzył drzwi, gotów je zatrzasnąć, jak tylko Lena znajdzie się w środku.

– Puść mnie, przestań mnie pchać, do cholery! – krzyknęła wreszcie, gdy w ostatniej chwili udało jej się schylić i nie uderzyć w głowę przy wsadaniu do auta. – Co wy robicie, przecież tam ktoś krzyczał. Łukasz!

Chłopak pojawił się z przodu na siedzeniu pasażera. Od razu sięgnął po karabin, przeładował go i odbezpieczył.

– Siadaj i się uspokój! – wydarł się stanowczym, zdecydowanym głosem. Tonem,

który zupełnie do niego nie pasował, ale w jakiś dziwny sposób wzbudzał respekt i wymuszał posłuszeństwo. Prawdopodobnie także z powodu tego, że trzymał w rękach karabin. Dziewczyna zacisnęła zęby i zmarszczyła czoło, ewidentnie szykując się do riposty, jednak Łukasz był szybszy, hamując jej atak twardym spojrzeniem.

– Lena, posłuchaj mnie – powiedział po paru krótkich sekundach, siląc się na spokój.– Mam za zadanie dostarczyć cię w całości do swojego szefa i to zamierzam zrobić. Nic więcej, jasne? Wiem, że tam ktoś krzyczał. Nie on pierwszy, nie ostatni. Miłajłiśmy po drodze dziesiątki takich osób, pewnie miniemy jeszcze setki, ale ja zrobię wszystko, żebyś to nie ty musiała krzyczeć, rozumiesz? Dlatego bardzo cię proszę, nie utrudniaj mi tego. – Zamilkł, jakby zastanawiając się nad kolejnymi słowami. W końcu jednak niczego więcej już nie powiedział.

Lena nie zamierzała zaakceptować takiego stanu rzeczy – niemniej wiedziała, że na chwilę obecną niewiele może zdziałać i gdzieś głęboko w środku poczuła coś dziwnego. Jakby subtelną, ledwo wyczuwalną nutkę satysfakcji związanej z tym, że ktoś się tak o nią troszczy. Spojrzała na siedzącą obok Kryskę. Ta wpatrywała się w przyjaciółkę rozszerzonymi ze strachu ciemnymi oczami, chociaż widać było, że ze wszystkich sił stara się nie okazywać lęku. Lena bała się tak samo jak ona, jednak obecność Kryski dodawała jej otuchy, była wsparciem, którego teraz tak bardzo potrzebowała. Niezależnie od tego, co się wydarzy, wiedziała, że Kryśka zawsze będzie stała murem za nią i jej decyzjami. Tak samo było w drugą stronę, chociaż Lena dobrze rozumiała, że w tym wypadku to ona jest zdecydowanie ważniejsza. Zerknęła jeszcze w stronę Łukasza, ale ten zdążył się już odwrócić.

– No chyba sobie jaja robicie – powiedział niespełna minutę później. Zdążyli przejechać zaledwie kilkaset metrów i trafili na ciągnik blokujący całą drogę. Z prawej strony było wprawdzie wąskie pobocze, ale zastawione przez auto osobowe, tyłem stojące w rowie. Na drodze pełno było potłuczonego szkła.

– Kurwa – elokwentnie skomentował kierowca. – Co robimy?

Łukasz zerknął w tylne lusterko, rozejrzał się na boki, jednak nie znalazł odpowiedzi na pytanie. Z tyłu czaił się drugi jeep, uniemożliwiający szybką ewakuację. Chłopak nie wiedział, dlaczego ta myśl przeszła mu przez głowę, czemu nagle pojawiły się w niej obrazy ucieczki, i bardzo mu się to nie spodobało. Chociaż jak na to spojrzeć z odpowiedniej perspektywy, przez ostatnie godziny zajmował się dokładnie tym – ewakuacją i ciągłym uciekaniem.

– Wyjdę zobaczyć. Zamelduj Danielowi, gdzie jesteśmy.

– Zrozumiałem.

Otworzył drzwi i już prawie postawił stopę na ulicy, gdy nagle usłyszał głos kierowcy:

– Uważaj.

Chłopak odwrócił się w jego stronę i zobaczył, jak ten ze skupionym wyrazem twarzy wskazuje na ciągnik. Łukasz podążył wzrokiem w ślad za tym spojrzeniem, powoli, niechętnie, jakby obawiając się, że ujrzy zjawę unoszącą się nad unieruchomionym pojazdem, może nawet wilkołaka kucającego na dachu kabiny i szczerzącego wielkie, żółte kły. Odwrócił się powoli, z narastającymi obawami. W pierwszej chwili

nie dostrzegł niczego szczególnego. Ot, zwykły ciągnik, jakieś auto, jezdnia, pusty chodnik. Tak, był wypadek, ale to się przecież zdarza.

I dopiero po paru sekundach uważnego przyglądania się spostrzegł, że drzwi są otwarte, a właściwie ledwie uchylone, przez co łatwo było to przeoczyć na pierwszy rzut oka, i że z kabiny zwisa swobodnie ludzka noga. Właśnie to chciał mu pokazać kierowca. Łukasz spojrział na niego, kiwając nieznacznie głową i nie chcąc zdradzać pasażerom tego, co zobaczył. Wsiadł.

– Skontaktuj się z Danielem – polecił raz jeszcze, ale kierowca już sięgał do radia.

Przezornie zamknął drzwi, odbezpieczył karabin i zwrócił się w stronę ciągnika. Przypomniawszy sobie, że to z tej okolicy dobiegały ich krzyki, teraz już wiedział dlaczego. I zupełnie go to nie ruszało, tak wtedy, jak i teraz. Nie miał zamiaru pomagać ludziom, nie był aniołem zesłanym z niebios, żeby ratować biednych i ciemężonych wieśniaków. Miał misję do wykonania i tylko to miało znaczenie. A ten pieprzony ciągnik aktualnie mu ją mocno utrudniał. Przez niego musiał teraz wyjść i rozeznaczyć się w sytuacji, co właściwie robił, i nie zamierzał zrobić niczego więcej. Powtarzał te myśli jak mantrę, miały mu dodać odwagi, która zadziwiająco szybko go opuszczała. Odszedł kawałek od swojego jeeпа i odwracając się w stronę drugiego auta, uniósł rękę i wykonał nią kilka szybkich gestów, doskonale zrozumiałych dla pozostałej części zespołu. Drzwi samochodu natychmiast się otworzyły i sprawnie wyskoczyły z niego dwie osoby – kobieta powolnym, cichym krokiem odeszła na lewą stronę, mężczyzna skierował się na prawo. Mieli skupione, ponure twarze, trzymana blisko ciała broń była gotowa do strzału.

Zrobiło się zaskakująco chłodno, okolica stała się upiornie cicha i aż podejrzenie pusta. Osłaniany przez ochroniarzy Łukasz skierował się na wprost, powoli podchodząc do ciągnika. Przyjrzał się znajdującym się po obu stronach jezdni domostwom – po prawej spostrzegł szeroko otwartą bramę, zapraszającą na piaszczyste, dość zadbane podwórze. W jego głębi skrywała się w półmroku stara drewniana stodoła, jakby żywcem przeniesiona z dziewiętnastego wieku, poza tym wokół stały tam różne maszyny i zalegały sterty starego drewna, ale po jakimkolwiek gospodarzu nie było nawet śladu. Okna prostokątnego, szarego domu były czarne i puste niczym noc, chociaż Łukasz oczyma wyobraźni widział postaci w nich stojące i wpatrujące się w niego równie pustymi oczami. Po raz kolejny tego wieczoru niedobrze się poczuł, nie fizycznie, ale gdzieś głęboko w środku. Jakoś tak niepewnie, chociaż zapytany nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Trochę tak, jakby padł ofiarą okrutnego żartu, o którym wiedzieli wszyscy oprócz niego. Z tym tylko, że żart nie miał śmieszyć, a straszyć. I to straszyć tak bardzo, że można było od tego strachu umrzeć.

Zrobił kilka kolejnych, dość niepewnych kroków w stronę ciągnika, uważając, żeby nie stanąć na potłuczonym szkle.

– Co on robi? – ciche pytanie Kryśki przerwało pełną napięcia ciszę w pierwszym jeepie. Kierowca je zignorował, czujnym okiem wpatrując się w swojego dowódcę i otoczenie po jego lewej stronie, czyli w sektor, który był poza zasięgiem wzroku Łukasza. W rękę trzymał odbezpieczony pistolet, gotów w każdej chwili pośpieszyć Łukaszowi z odsieczą, wiedząc jednak, że to pasażerki są priorytetem w tej misji i to ich

życie ma chronić za wszelką cenę.

– Nie wiem – odpowiedziała Kryśce Lena, równie uważnie śledząc kroki Łukasza. Jednak w pewnym momencie poczuła się dziwnie. Jakby jakaś mała lampka w jej głowie zaczęła pulsować słabym czerwonym światłem.

Miała wrażenie, że jest obserwowana, ale nie potrafiłaby powiedzieć jak ani przez kogo. Po prostu czuła na sobie czyjś wzrok, tyle że... nie ludzki. Ani zwierzęcy. To spojrzenie zdawało się dosięgać jej spoza czasu, spoza wymiarów znanych człowiekowi. Dziewczyna doświadczyła upiornego uczucia, że przypatruje się jej sam Bóg lub jakaś inna, olbrzymia istota zawieszona wysoko w bezmiarze kosmosu, większa niż planeta, galaktyka, starsza niż czas. Że pochyla się nad Ziemią i przypatruje się akurat jej, nic nieznaczącemu pyłkowi szarganemu przez wiatr.

Ta świadomość i próba zrozumienia tej istoty niemalże ją zmiażdżyły. Naraz poczuła bolesny skurcz w żołądku i ostre ukłucie w skroniach, jakby ktoś włożył jej głowę w imadło. Otworzyła usta w bezgłośnym krzyku, mimowolnie przykładając ręce do głowy. Zaciśnęła oczy i wykrzywiła twarz w grymasie bólu, czego Kryśka i kierowca w ogóle nie zauważyli, wpatrzeni w Łukasza. Miała wrażenie, że otwiera się pod nią szeroka szczelina, która zasysa ją z okrutną siłą, niczym kosmos zasysający przerażonego, samotnego astronautę.

Po chwili z mroku zaczęły wyłaniać się obrazy. Spadając w dół, widziała miejsca, gdzie rozgrywały się makabryczne sceny, gdzie ludzie walczyli i tę walkę przegrywali. Sceny rzezi przelatowały jej przed oczami, jakby z lupą przyglądała się średnio-wiecznemu obrazowi.

Widziała młodą kobietę, którą zagryzała wataha psów. Była cała we krwi, walczyła, ale nie miała żadnych szans, nie wobec tak licznej przewagi, nie wobec tylu pazurów i kłów atakujących jednocześnie. Leżała na ziemi gdzieś pośrodku zapomnianego przez Boga pola, a nieopodal spoczywało ciało martwego, rozszarpanego dziecka. Kobieta krzyczała, wiała się, próbowała uderzać rękami i kopać, ale jej obrona była daremna. Zwierzęta poczuły krew i nie zamierzały odpuścić, kłusząc i wyszarpując zębami fragmenty ciała razem ze strzępami ubrania.

Lena leciała dalej.

Widziała skulonego za kontenerem mężczyznę w garniturze, desperacko zasłaniającego się czymś, co pewnie kilka minut wcześniej było jego stylową i drogą aktówką. Teraz służyła mu za słabej jakości tarczę, którą próbowało przebić kilkadziesiąt wronich dziobów, atakując na zmianę. W zakrwawionych rękach trzymających aktówkę nie zostało mężczyźnie już zbyt wiele siły. Ptaki dziobały go też po nogach, przeciskały się bokiem, atakując ramiona. Setki drobnych, ostrych ukłuć, uparcie przebijających się przez nikłą linię obrony – wynik tej nierównej bitwy był z góry przesądzony. Mężczyzna chyba krzyczał, ale krakanie wron i łopot ich skrzydeł wszystko zagłuszały.

Zobaczyła, jak młody, siedzący za biurkiem chłopak wije się w konwulsjach. Z jego ust toczy się piana, dłonie zaciskają się gwałtownie i nieregularnie, odmierzając w powietrzu rytm dla jadu, który płynął w jego żyłach. Wbijał przerażone i jakies takie smutne spojrzenie gdzieś daleko przed siebie, podczas gdy po jego twarzy spły-

wały łyzy. Całość sceny spowijało piękne, ciepłe światło zachodzącego słońca. Jego promienie padały również na kilka pajaków, które umykały właśnie przez otwarte okno. Siedzący na biurku, nie dalej niż pół metra od człowieka kot spokojnie oblizywał swoją łapkę i czyścił nią głowę. Nim scena się rozmyła, Lenie zdawało się, że kocur uniósł głowę i spojrzął w jej stronę.

Widziała też olbrzymiego goryla, szarpiącego za kraty swojej klatki. Wściekłe zwierzę zaparło się nogami i ciągnęło szczeble ze wszystkich sił, wydając z gardła przerażający, przyprawiający o gęsią skórkę ryk. Na dalszym planie Lena dostrzegła martwe bez wątpienia ciało człowieka ze zmasakrowaną czaszką, leżące na brzuchu. Nieopodal zaś zobaczyła wielki, poplamiony krwią i ludzką tkanką kamień. Patrzyła na to, jak do klatki podchodzi słoń. Goryl początkowo przygląda mu się podejrzliwie, chociaż w tym spojrzeniu jest zaskakująco dużo spokoju i szybko nawiązuje się między nimi jakaś nić porozumienia. Słoń przyniósł w trąbie długi metalowy pręt, wyglądający jak jakiś fragment ogrodzenia. Wsunął go między kraty, z którymi mocował się goryl. Ten złapał drąg ze swojej strony i naparł nań z całej siły. Zwierzęta zrobiły dzwignię, która błyskawicznie rozchyliła pręty na tyle, żeby goryl mógł się wydostać. Zwinnie zeskoczył na środek deptaka, po którym jeszcze kilkanaście minut wcześniej przechadzały się rodziny z dziećmi. Zaryczał triumfalnie, uderzając silnymi łapami w olbrzymią pierś, odwrócił się i pobiegł w stronę, z której słychać było ludzkie krzyki. Lena zobaczyła też, jak słoń powoli odwraca głowę i patrzy w jej stronę. Czują na sobie jego wzrok i wiedziała, że on to wie.

Gdyby Kryśka w tym momencie odwróciła się w stronę przyjaciółki, zobaczyłaby Lenę z białkami wywróconymi do góry i śliną ciekącą z ledwo rozchylonych ust, podczas gdy jej ciałem wstrząsały delikatne skurcze.

Tymczasem Lena patrzyła na wilka, który przerwał posiłek, uniósł zakrwawiony pysk i spojrzął gdzieś daleko przed siebie. Bardziej jakby coś wyczuł, niż zobaczył. Następnie przełknął i zawył przeciągle, co brzmiało bardziej jak bitewny okrzyk zagrzewający do boju niż nocne, tęskne nawoływanie do księżyca.

W kolejnym przeblysku widziała ptaki, gwałtownie zmieniające kierunek swojego lotu, pikujące w dół, w kierunku zabudowań jakiegoś niewielkiego miasteczka czy wsi.

W pewnym momencie obraz odrobinę się ustabilizował. Lena zobaczyła młodego chłopaka z karabinem maszynowym, idącego powoli ciemną szosą. Wyglądał, jakby się skradał, bo czujnie rozglądał się dookoła. Był sam, chociaż zdawało się, że gdzieś za nim przemieszczają się jeszcze inni, tak samo jak on uzbrojeni ludzie. Obserwowała całą scenę z góry i chociaż wszystko widziała jak przez mgłę, spostrzegła, że od tyłu, do nieświadomego niczego chłopaka skrada się kilka psów. Zobaczyła też jakies mniejsze stworzenia – koty, łasice czy coś podobnego, zwinnie przemieszczające się między pojazdami blokującymi drogę. Wreszcie ujrzała, jak na podwórzu, obok którego przechodził chłopak, za rogiem domu przycisnęło się kilka krów i dwa, może trzy konie. Jakby czekały na odpowiedni moment do ataku, na sygnał do rozpoczęcia szarży. Lena oglądała to z rosnącym przerażeniem, widząc, jak nieznajomy idzie wprost w zastawioną na niego pułapkę, zupełnie nieświadomy tego, w co się pakuje.

I wtedy zdała sobie sprawę, na co de facto patrzy.

Przecież to był Łukasz. Widziała jeszcze dwie osoby z jego zespołu, widziała też jeepa, w którym właśnie siedziała, i drugi samochód. Gdy to zrozumiała, poczuła się jeszcze bardziej nierealnie, niematerialnie, jakby powoli pękała cienka nić łącząca ją z rzeczywistością, jakby dryfowała gdzieś w bezmiarze kosmosu. Patrzyła na to, zupełnie nie rozumiejąc, jak to możliwe, i chociaż była świadoma tego, co widziała, to nie mogła w żaden sposób zareagować. Jak przy paraliżu sennym, gdy człowiek wie, że nie śpi, ale sparaliżowany strachem nie może się ruszyć.

Nagle jednak coś się zmieniło. Lena ponownie poczuła przejmujący ból, ostry jak ukłucie nożem, niemalże rozsadzający jej czaszkę. Zmarszczyła brwi i zacisnęła dłoń tak mocno, że aż zaczęły jej drżeć mięśnie.

Lena nie widziała już ani swojej przyjaciółki, ani kierowcy, nie widziała nawet Łukasza i samochodu, w którym siedziała. Zamiast tego zobaczyła przerażającą istotę, wyrwaną prosto z najgłębszych czeluści piekła, ciemną, smukłą i złowrogą. Patrzyła prosto na Matkę, a ona podjęła wyzwanie i wbiła w dziewczynę przenikające wszystko spojrzenie swoich seledynowych oczu. W pierwszej chwili dostrzec można było w nim konsternację, jednak ta szybko przemieniła się w gniew i coś na kształt... znieśmачenia? Lena nie potrafiła tego opisać, ale czuła się jak robak spacerujący po sterylnie wyszorowanej kuchennej podłodze, którego właściciel mieszkania absolutnie sobie nie życzy i zamierza go zniszczyć tak szybko, jak tylko to możliwe. Nagle Matka przewróciła oczami, a jej usta zaczęły się poruszać w rytm wypowiedzanych słów, których Lena nie miała prawa słyszeć. Poczuła jednak, jak jakaś siła ją wypycha, wyrzuca z powrotem w górę szczeliny, w którą wcześniej spadła lub która ją wessała – sama nie potrafiła tego zdefiniować. Poruszała się błyskawicznie, ledwo mogąc skupić wzrok na czymkolwiek. Naraz jednak wszystko zawirowało, a Lena na ułamek sekundy, zanim wypadła ze szczeliny, doznała jeszcze jednego przebłysku, zobaczyła kolejny obraz.

Jakimś cudem zmieniła położenie. Nie leciała już do góry, jakby była wypychana, lecz jak poprzednio – spadała. Podczas lotu widziała dziesiątki zwierząt pędzących w stronę dwóch aut i atakujących je zarazem z ziemi i powietrza. Wyglądały niczym żywa, niemożliwa do powstrzymania lawina. Lena pikowała w sam jej środek, celując w dach jeepa i w samą siebie, bo jakaś część jej świadomości podpowiadała, że siedzi w aucie, na które spada, o które ma się lada chwila roztrzaskać i zginąć tyleż marnie, co spektakularnie.

Zobaczyła jeszcze ogień wydostający się z luf karabinów, słyszała krzyki zaskoczonych ludzi i w ostatniej chwili wyciągnęła przed siebie ręce, aby zamortyzować uderzenie.

– Jezu, Lena! – usłyszała głos Kryśki i własny, przerażony krzyk. Nie widziała przyjaciółki, bo zasłaniała oczy rękami. Rozchyliła je niepewnie. Szybko dotarło do niej, co się dzieje, rzeczywistość uderzyła w nią z siłą pociągu towarowego, wypełniając jej głowę setkami informacji, które musiała zinterpretować w absurdalnie krótkim czasie. Jej zielone oczy rozszerzyły się, nabrała powietrza i krzyknęła:

– Uważajcie, to pułapka! Łukasz!

Wtedy jednak z narastającym przerażeniem zrozumiała, że Łukasz już wie.

Zaledwie kilka sekund przed okrzykiem Leny odwrócił się w stronę podwórka z otwartą bramą i zobaczył, jak wybiega z niego cała gromada zwierząt. W pierwszej sekundzie nie wiedział, czy śmiać się, czy uciekać – jako forpoczta małego stadka szybko przebiegały nóżkami kury i kilka gęsi, lecz tuż za nimi biegły już wiejskie psy, a następnie świny, krowy i konie. Zwierzęta przyśpieszały w milczeniu, wbijając w chłopaka swoje wściekle, żądne krwi ślepia. Ten nie zastanawiał się zbyt długo. Uniósł broń i zaczął strzelać do stada, łudząc się, że to je spowolni. Odruchowo zaczął się też wycofywać w stronę ciągnika blokującego drogę.

Usłyszawszy strzały, osłaniający Łukasza najemnicy spojrzeli w jego kierunku. Mężczyzna z drugiego jeepa ruszył szybkim truchtem w stronę otwartej bramy i po chwili przykucnął, widząc, jak wylewa się z niej stado wiejskich zwierząt. Miał parę sekund na przyjęcie takiej pozycji, aby zoptymalizować ogień, jednocześnie nie trafiając swojego szefa.

Szybko jednak okazało się, że popełnił duży błąd. Nie docenił przeciwnika, z którym nigdy nie miał okazji się zmierzyć, a gdy się już zorientował, było za późno. Po kilku oddanych strzałach w błyskach ognia spostrzegł, jak z góry spada na niego chmura wszelkiej maści ptactwa, od wróbli, przez sroki i wrony, na sokołach skończywszy.

Desperacko skierował broń do góry i chciał coś krzyknąć, ale pierwszy z ptaków wbił mu się prosto w usta. Pozostałe runęły na niego z mocą tornada, powalając go nie tyle masą, co siłą uderzenia.

Siedzący w samochodzie mieli wrażenie, że ktoś obsypał ich auta żwirem, a na zewnątrz rozpełtała się burza z gradobiciem. Uderzenia tysięcy dziobów i pazurów odbijały się od karoserii, rysując ją, wgniatając blachę i obrywając mniej stabilne jej elementy.

Krakanie i skrzeczenie mieszało się z ludzkimi krzykami pełnymi bólu i przerażenia. Lenie wydawało się, że wśród nich słyszy również rozpaczliwy krzyk kobiety z drugiego jeepa, ale nie wiedziała, co było prawdą, a co podpowiadał jej strach. W pewnym momencie zobaczyła, jak boczna szyba zaczyna coraz bardziej drzeć. Rozejrzała się w panice, szukając sposobu na wyjście z opresji. Pamiętała nauki mamy, żeby w kryzysowych sytuacjach skupić się na oddechu, nie dać się panice, myśleć praktycznie. Skup się, skup się, skup. I chociaż na wspomnienie mamy coś zakłuło ją w środku, to poskutkowało. Dziewczyna sięgnęła pod siedzenie i wydobyła spod niego swój sfatygowany plecak, który błyskawicznie przyłożyła do szyby. Kryśka, drąc się w niebogłosy, zrobiła to samo ze swoim, co pozwoliło chociaż odrobinę zamortyzować uderzenia.

Kierowca z przodu nie miał szans niczym się zasłonić, wokół niego było za dużo szyb. Zamiast tego rozglądał się, próbując skupić się na tej, która jako pierwsza nie wytrzyma. Wymachiwał przy tym pistoletem i mimo że sytuacja była beznadziejna, jego oczy wyrażały spokój i determinację. Nagle przednia szyba zaczęła pękać. Pokryła się siatką drobnych, nieregularnych rys, a w centralnym miejscu pojawiła się dziura, w której błyskawicznie pokazał się czubek ptasiego dzioba. Mężczyzna odru-

chowo cofnął się i uniósł pistolet, ale zamiast strzału we wnętrzu auta rozległ się krzyk Leny:

– Nie, bo szybciej ją przebija! Nie strzelaj!

Kierowca odwrócił głowę w stronę dziewczyny, posyłając jej szybkie, zaskoczone spojrzenie.

Już miał odpowiedzieć, lecz nagle sytuacja się zmieniła. Ni stąd, ni zowąd ptaki wzbiły się w powietrze i odfrunęły równie szybko i niespodziewanie, jak się pojawiły. Zaskoczeni Lena, Kryśka i kierowca zamarli w ciszy, z niedowierzaniem przyglądając się opadającym piórom. Kilkaset mocnych uderzeń skrzydłami w powietrze i słychać już było jedynie, poza cichym buczeniem silnika, ciężkie oddechy zdezorientowanych pasażerów.

– Jezu, co to było... – zapytała cicho Kryśka, mocno wypuszczając powietrze. Jakby przez ostatnie kilkadziesiąt sekund w ogóle nie oddychała.

Lena spojrzała na nią i uśmiechnęła się histerycznie, nerwowo, przez co przypominała szaleńca, którego coś niesamowicie rozbawiło. Kryśce jednak wcale do śmiechu nie było, kierowcy też nie. Ten ostatni potarł ręką spocone czoło i szybko przejechał dłonią po twarzy, starając się jak najszybciej dobrać do siebie. Lena już otwierała usta, aby coś powiedzieć, ale nagle uśmiech zniknął, a oczy wypełnił lęk.

– Gdzie jest Łukasz? – zapytała i zaczęła rozglądać się ze zgrozą. Chłopaka faktycznie nigdzie nie było widać, dziewczyna jednak łudziła się, że nie wydarzyło się najgorsze, że może jakimś cudem udało mu się umknąć, może zamknął się w kabinie ciągnika, może ukrył się pod nim.

Jej rozmyślenia przerwał rozsadzający bębenki huk wystrzałów. Spojrzała na kierowcę, a potem przed siebie i zobaczyła pięknego karego konia pędzącego w stronę auta. Jego grzywa i ogon powiewały majestatycznie na wietrze, a olbrzymie, szeroko otwarte ślepia świeciły najczystszy, najszlachetniejszy szaleństwem. Dziewczyny zaczęły krzyczeć. Kierowcy chyba nie zachwyciło piękno zwierzęcia, na które zwróciła uwagę Lena, bo zamiast patrzeć – desperacko strzelał, uchyliwszy szybę. I mimo że z takiej odległości nie mógł przecież chybić, koń jakimś cudem biegł dalej.

Nagle na maskę ich auta wskoczył pies i zaczął wściekle ujadać, drapiąc jednocześnie szybę pazurami i ściągając na siebie całą uwagę trójki pasażerów. Z pyska toczył gęstą, ciężką pianę, którą ochlapał wszystko wokół. Mężczyzna wzdrygnął się i ponownie krzyknął, ale też odruchowo wziął nowy cel na muszkę i powalił psa jednym celnym strzałem. Kolejna kula też przebiła szybę. Martwe truchło opadło bezwładnie na maskę, po czym zsunęło się z niej na brudną ziemię. Pies nie wiedział nawet, co ani kiedy go zabiło, ale swoje zadanie wykonał. Odwrócił uwagę.

Ten krótki moment wystarczył koniowi – dobiegł bez przeszkód do auta, odwrócił się błyskawicznie i uderzył kopytami w boczną szybę. Ta pękła jak bańka mydlana, zasypując wnętrze auta setką drobnych, ostrych odłamków szkła. Dziewczyny wciąż krzyczały, zupełnie dając się porwać panice. Kierowca również krzyknął i zasłonił twarz lewą ręką, prawą wyciągając wyprostowaną przed siebie i oddając kilka szybkich strzałów w kierunku miejsca, gdzie jeszcze przed paroma sekundami znajdował się koń.

...A przynajmniej taki był jego zamiar, chociaż mógłby przysiąc, że słyszał wystrzały – niestety zamiast nich rozległy się ciche, głuche stuknięcia świadczące o czymś zupełnie innym. Magazynek był pusty. Kierowca zaklął i w panice sięgnął do kieszeni po nowy, wiedząc, jak mało ma czasu.

Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że ma go jeszcze mniej, niż sądził. Zdążył jedynie wyciągnąć magazynek z kieszeni, a przez wybitą szybę do środka auta wpadł rudy, szczeciniasty kot. Zwierzę przeskoczyło zwinnie nad potłuczonym szkłem i rzuciło się prosto na twarz zdezorientowanego mężczyzny. Futrzak poruszał się z niebywałą szybkością, sycząc, młóćąc w powietrzu ostrymi jak brzytwa pazurami i gryząc mężczyznę gdzie popadnie. Kierowca próbował zasłonić się ręką, jakoś odpędzić napastnika, a jednocześnie wymienić magazynek, co nie było łatwym zadaniem. Kocur poruszał się tak, jakby był w kilku miejscach naraz, wił się, wczepiał pazurami i drapał, zadając dziesiątki płytkich, ale dotkliwie piekących ran. Cały czas uparcie celował w twarz. Jego pazury raz po raz mijały oczy ofiary zaledwie o milimetry, pozostawiając cienkie bruzdy na nosie, czole i policzkach.

Nim Lena zorientowała się, co się właściwie dzieje, do środka auta wskoczył pies, jakby mało było nieproszonego towarzystwa. Jakiś wilczuropolodny, pewnie typowa wiejska hybryda spłodzona gdzieś za stodołą lub w jakiejś pseudohodowli na samym końcu wsi. Pies dostał się do środka przez wybitą szybę, wskoczył lekko, jakby nie stanowiło to dla niego najmniejszego problemu, a przecież w jeepie okna znajdowały się na wysokości dobrze ponad półtora metra, co Lena zarejestrowała, dziwiąc się, że myśli o rzeczy, która powinna teraz obchodzić ją najmniej. Kryśka natomiast zobaczyła, jak koń, który wcześniej wybił szybę, położył się teraz przy jeepie, umożliwiając kolejnemu już psu wdrapanie się do samochodu. Otworzyła szeroko swoje ciemne oczy ze strachu i dezorientacji, próbując zrozumieć, na co właściwie patrzy.

– Jezu, one współpracują – wyszeptwała, ledwo poruszając ustami. – Jak w cyrku! Lena!

Nikt jej jednak nie słyszał. Kierowca był zajęty walką o życie, teraz już nie tylko z kotem, ale i z psem, który doskoczył do niego i wgryzł się w jego udo. Krzyknął przeciągle, głośno. W tym krzyku zawierał się nie tylko ból, ale też wola walki i obietnica cierpienia, które zamierzał zafundować swoim oprawcom. Kot wykorzystał sytuację i przeorał facetowi twarz pazurami, rozcinając mu usta. Wszędzie było coraz więcej krwi, szamoczący się mężczyzna i atakujące go zwierzęta dosłownie tryskali krwią na tapicerkę. W pewnym momencie Lena zobaczyła, że kierowca wypuścił pistolet – nie wiedziała tylko, gdzie upadła broń. Wiedziała jednak, co powinna zrobić, chociaż – mimo wszystkiego, co przeszła – absolutnie nie miała na to ochoty.

Ale nie miała też wyjścia.

Pochyliła się między fotelami i zobaczyła pistolet. Musiała odepchnąć psa, ale ten był zbyt zaabsorbowany atakowaniem – chociaż lepiej byłoby powiedzieć – dobijaniem mężczyzny. Lena wykorzystała tych kilka cennych sekund, zanurkowała na przednie siedzenie pasażera i szybko cofnęła się, już z bronią w ręku. Dosłownie sekundy przed tym, jak na fotel pasażera wskoczył kolejny pies i Kryśka zaczęła krzyczeć.

– Jezu, Lena! Uważaj!

Przyjaciółka w kółko wołała to Jezusa, to Lenę, to Boga, zasypywała zwierzęta stekiem wyzwisk i przekleństwami. Zamilkła dopiero, gdy Lena kilkakrotnie pociągnęła za spust, zabijając wszystkie trzy zwierzęta. Siedziała z otwartymi ustami, katonicznie kiwając się na tylnym siedzeniu, jednocześnie przerażona i obrzydzone, jakby czekała, aż krew i wnętrzności kogoś z zabitych psów spłyną z jej twarzy. Bała się poruszyć, tak samo zresztą jak Lena, która zastrzeliła pierwszego psa, gdy ten już sięgał łbem między siedzenia. Uratowała im życie, chociaż jeszcze tego nie rozumiała. Czuła ciepło bijące z broni, ciepło uchodzące ze zwierząt i czuła też, że wydarzenia zaczynają gwałtownie przyspieszać, a czas na reakcję się kurczy. Potrząsnęła energicznie głową, pozwalając, aby dredy smagnęły ją po twarzy. Trochę pomogło.

– Kryśka! Krycha! – krzyknęła, próbując sprowadzić przyjaciółkę na ziemię. – Krycha, spierdalamy!

– Dokąd? – spytała otumaniona dziewczyna, patrząc na Lenę mętym wzrokiem, ale powoli odzyskiwała ostrość widzenia. Zaczynała kojarzyć. Pierwsze, co zrobiła, to wytarła krew z twarzy, ostatkiem sił powstrzymując przy tym odruch wymiotny.

Lena rozglądała się w panice. Jej dredy zataczały ciężkie koła, podczas gdy dziewczyna rozglądała się, próbując znaleźć dla siebie i przyjaciółki jakieś bezpieczne miejsce, w którym mogłyby się schować i przeczekać nawałnicę, bo o ucieczce w ciemną noc nie mogło być mowy. Co rusz słychać było krzyki i okolicę rozświetlały błyski wystrzałów.

Rozświetlały.

Reflektory!

– Krycha, drugie auto. Bierz plecak.

– Co?

– Kryśka, do jasnej cholery, ruszże dupsko!

Nie czekając na jej reakcję, Lena otworzyła swoje drzwi. Kryśka odprowadziła ją wzrokiem, nie bardzo rozumiejąc, skąd taka nagła zmiana w Lenie. Przecież jeszcze przed chwilą to ona ją pocieszała, zajmowała się nią. Wychodziło na to, że gdy sprawy przybierały prawdziwie zły obrót, Lena zakasywała rękawy, zaciskała szczękę i unosiła gardę naprawdę wysoko, każąc sobie słono płacić za każdą kroplę swojej krwi.

– Drugie auto. Idziemy do niego, tylko cicho. Rozumiesz?

Zielone oczy nie zniosłyby sprzeciwu, toteż Kryśka pokornie kiwnęła głową, złapawszy wcześniej swoją torbę. Trzymała ją teraz blisko ciała, w prawym ręku dzierżąc wyciągnięty przed siebie kuchenny nóż. Przesunęła się w stronę przyjaciółki, uważając, aby przypadkowo nie dotknąć martwego psa.

Lena wysiadła z auta. Bała się jak jeszcze nigdy w życiu, serce niemalże wyskakiwało jej z piersi, ale jakimś tajemniczym sposobem potrafiła zachować zimną krew. Miała wrażenie, że wyczuwa obecność zwierząt. Że wie, gdzie się znajdują, w którą stronę patrzą i co czują, potrafiła więc intuicyjnie wybierać bezpieczne miejsca. Dzięki temu mogły się przemieścić do drugiego auta. Nie wiedziała tylko, czy to była jej intuicja, czy zwykła nadinterpretacja, która doprowadzi je do niechybnej zguby.

– Cicho.

Zabrzmiało to jak rozkaz, jednak Kryśce nie trzeba było niczego tłumaczyć. Była biała ze strachu, a zaciśnięte, niemalże sine usta znacznie utrudniały jej mówienie. Lena wysiadła i ukucnęła przy aucie. Rozejrzała się, ale nie dostrzegła ani zwierząt, ani ludzi. Wiedziała, że mają mało czasu. Ruszyła szybko, pochylając się tak nisko, jak to tylko było możliwe. Dotarła na tył auta, ponownie się rozejrzała i błyskawicznie rzuciła się przed siebie. Na czworakach, niczym małpa, chowając wcześniej pistolet za pasek. Po kilkunastu sekundach dotarła do drugiego auta, od razu opierając się o koło tak, żeby zejść z linii reflektorów. Rozejrzała się wokół, wstała, zajrzała do środka i ponownie natychmiast kucnęła. Pusto. Machnęła ręką na Kryskę, która tylko czekała na znak – widząc go, dziewczyna szybko ruszyła śladem Leny.

– Nikogo nie ma w środku – powiedziała Lena.

– A kluczyki są?

– Skąd mam wiedzieć. Pewnie są.

Wzruszyła ramionami, cały czas lustrując wzrokiem otoczenie. W każdej chwili mogły się pojawić zwierzęta.

– Dawaj, tylko cicho.

Lena wsiadła na miejsce kierowcy. Kluczyki szczęśliwie tkwiły w stacyjce, jakby czekając na nią. Kryśka szybko obeszła auto z tyłu i po chwili cicho otworzyła drzwi pasażera. Gdy zajęła miejsce, Lena zobaczyła, że jest jeszcze bledsza, a jej oczy zdradzały, że zaczyna popadać w obłąd.

– Co jest? – zapytała cicho, czując, jak po plecach przechodzi jej dreszcz.

Kryśka próbowała odpowiedzieć, ale gdy tylko otwierała usta, podbródek zaczął drżeć jej tak mocno, że nie była w stanie wydusić z siebie nawet jednego słowa. W końcu jednak nabrała mocno powietrza i powiedziała tylko:

– Jedźmy stąd.

Lena nie zamierzała drążyć tematu. Może kiedyś do tego wróć, może kiedyś Kryśka jej powie, co zobaczyła za autem i co nią tak bardzo wstrząsnęło. Teraz musiały się stąd wynosić. Bez zbędnych ceregieli wrzuciła jedynekę i wcisnęła gaz do oporu. Spod kół posypał się żwir, a Lena poczuła, jak hałas przykuwa uwagę zwierząt, które nie oddaliły się zbyt, a jedynie pochowały, uznając zadanie za wykonane. Nie zamierzała zostawać tu, aby przekonać się, jakie mają zamiary. ■

ROZDZIAŁ 17

Gdzieś w południowej Azji, wrzesień 2020

Istota nabierała sił. Czowała się coraz potężniejsza, jednak pamiętając, jakimi naprawdę siłami dysponuje i jaka jest pełnia jej mocy, wiedziała, że jeszcze długa droga przed nią. Niemniej energia, jaką się jej udało dotychczas zgromadzić, była absolutnie wystarczająca, aby dać tym nędznym karykaturom nauczkę. Matka kroczyła pewnie przed siebie, stawiając długie, szybkie kroki. Tuż przy niej szedł jej wierny druh, jej przyboczna Bestia.

Prastare stworzenie miało strzec grobowca, uniemożliwiając zarówno wejście do niego, jak i wyjście. Lecz na przestrzeni niezliczonych wieków uśpiona i uwięziona Matka wybudziła część swojego umysłu i sukcesywnie, konsekwentnie przejmowała nad Bestią kontrolę. W końcu miała mnóstwo czasu i nic lepszego do roboty, a była więcej niż pewna, że kiedyś nastąpi dzień, w którym zostanie uwolniona. I wiedziała, że będzie wtedy zbyt słaba, aby stawić czoła potężnemu strażnikowi, więc po prostu przeciągnęła go na swoją stronę.

I teraz to zaprocentowało. Potwór patrzył na swoją panią oczami pełnymi bezgranicznej miłości i oddania, gotów bez najmniejszego wahania poświęcić życie, by ją chronić. Matka przeczuwała, że będzie miał do tego niejedną okazję.

Tymczasem jej stado systematycznie rosło. Przed nią, przy niej i za nią szło już kilkadziesiąt psów. Bezpośrednio po bokach kroczyły ciężkie, potężne woły, nad głową, wysoko w powietrzu krążyło ptactwo. Matka była jeszcze zbyt słaba, aby przejąć kontrolę nad płazami i owadami, jednak wiedziała, że to tylko kwestia czasu.

Pozostawiała po sobie martwe ciała i płonące wsie. Dawno już przekroczyła granice ludzkich siedlisk, od tygodni przemierzając bezdroża. Jednak tak jak wszystko, one również miały swój początek i koniec. Matka zbliżała się więc do krańca lasu, widząc w oddali kolejne wsie i miasta. Przed sobą co prawda miała jeszcze kilkaset metrów gęstych drzew, jednak widziała wszystko oczami swojego stada, czuła odór człowieka wytrawnymi nozdrzami swoich towarzyszy. Chłonęła otaczającą ją rzeczywistość tak bardzo, jak tylko mogła. I nagle zwolniła, a potem stanęła pośrodku niewielkiej polany. Poczowała bardzo silną energię dochodzącą gdzieś z bliska, poczuła siłę i dzikość, uosobienie natury w najczystszy, najszlachetniejszy wydaniu. Matka uśmiechnęła się delikatnie, gdyż wiedziała, co za chwilę ujrzy.

Daleko przed nią z gęstwiny wyszedł powoli tygrys azjatycki. Wydał z siebie cichy, gardłowy pomruk, uważnie przyglądając się niewidzianej wcześniej istocie. Ta zatrzymała się, podziwiając jedno z piękniejszych zwierząt, jakie udało się jej kiedykolwiek stworzyć. Dziki kot mierzył prawie dwa i pół metra długości, przy wadze ponad trzystu pięćdziesięciu kilogramów. Przy tych gabarytach miał też niewyobrażalnie ostry słuch, węch i wzrok, ponadto potrafił bezszelestnie podkraść się do swojej ofiary. Idealna maszyna do zabijania. Co udowodniał, od czasu do czasu z powodzeniem atakując ludzi.

Matka pewnie podeszła do zwierzęcia i delikatnie pogładziła jego miękkie futro.

Kot zmrużył powieki, położył po sobie uszy. Najchętniej uwaliby się teraz na bok, jednak oboje wiedzieli, że nie czas na pieszczoty. Istota wyszeptała kilka słów tygrysowi na ucho, następnie pocałowała go w czoło i wyprostowała się, słysząc, jak coś jeszcze przedziera się przez las.

Zgodnie z jej przypuszczeniami nadciągały kolejne tygrysy. Z natury swej samotnicy, teraz, wbrew swojemu instynktowi, połączyły siły i zamierzały działać w stadzie. Samce, samice, młode. Do rosnącej grupy dołączały kolejne koty. Nagle jeden wyraźny dźwięk przyćmił pozostałe.

Dźwięk, którego nie dało się pomylić z niczym innym. Charakterystyczne, niskie trąbienie zwiastowało nadejście największego ssaka, jaki obecnie chodził po powierzchni Ziemi. Miażdżąc ściółkę, łamiąc patyki i krzaki, na polanę wybiegły trzy słonie, dumnie obwieszczając wszystkim swoje przybycie. Zadudniły jeszcze raz trąbami, demonstrując swoją siłę, ze słuszną pogardą patrząc na pozostałe zwierzęta. Tygrysy położyły uszy po sobie, kilka zasyczało wściekle, obnażając kły i marszcząc nosy. Parę ptaków się spłoszyło, niektóre psy zaszczekały. Matka skarciła sforę krótkim, ostrym słowem:

– Khia!

Zwierzęta natychmiast się uspokoiły. Nie tylko te spłoszone, ale również słonie przestały arogancko machać trąbami, aczkolwiek Matka dostrzegła w ich oczach zdecydowanie więcej inteligencji niż u pozostałych.

Po chwili do Matki spokojnie podszedł największy ze słoni. Położyła mu dłoń na łbie, głaszcząc między oczami, a zwierzę otuliło ją trąbą. Istota zaniósła się czystym, serdecznym śmiechem. Ogarnęła ją dziewczęca, nieskrępowana radość z życia, rozkosz obcowania z przyrodą i ze zwierzętami, przebywania na nieskalanym łonie natury.

Radość jednak trwała krótko. Matka nagle przypomniała sobie, dlaczego została obudzona. Przypomniała sobie ludzi schodzących do jej grobowca, ich ubrania, sprzęty, ich zapach. Destrukcję, jaką ze sobą nieśli, niszczycielską siłę, jaką posiadali. Byli słabi, ale jednocześnie bardzo silni... jednak do czasu. Teraz wszystko miało się zmienić. Właściwie nie tyle zmienić, co wrócić do pierwotnego, ustalonego eony wcześniej ładu. Jeden gatunek nie może dominować na całej planecie, nie może narzucać wszystkim swojej bezmyślnej, destrukcyjnej woli. Nie w ten sposób. Matka poczuła zalewającą ją falę wściekłości, poczuła, jak wewnątrz ogień zaczyna w niej buzować z taką siłą, że ledwo powstrzymała się od obrócenia lasu w perzynę.

Niemniej wciąż jeszcze nie mogła tego uczynić. Była zbyt słaba. I przede wszystkim nie chciała, gdyż naturę kochała ponad wszystko. I zamierzała płonący w niej ogień wykorzystać do wytrzebiecia chwastu, którym jest ludzkość.

Jednym susem wskoczyła na kark słonia. Wplecione w jej włosy koraliki zaklekotały, a Matka uniosła wojowniczo podbródek, chłonąc niesiony z wiatrem zapach. Pomimo ogromnej odległości dzielącej ją od oceanu czuła, że podąża we właściwym kierunku. Czekala ją długa droga do granicy wody, potem jeszcze trudniejsza i mozolniejsza przeprawa, ale wiedziała, że nie ma wyjścia. Musiała kroczyć zgodnie ze ścieżką swojego przeznaczenia.

Nie musiała wydawać żadnego rozkazu, aby stado ruszyło dalej, wiedzione przekazywaną telepatycznie wolą swojego stwórcy. Zwierzęta szły razem, odrzucając bariery stworzone przez instynkty, zjednoczone jedną, wspólną sprawą. Łączyły się tak samo, jak ich bracia i siostry na całym świecie. ■

POT

„Hali, Hali, dom się pali!”
– przysłowka dziecięca

The caws crush bones!, the claws crush bones (...).
„Sit Stay Roll Over”
Jinjer

ROZDZIAŁ 18

Kilka miesięcy później

Wysoki, chudy mężczyzna siedział po turecku na wypłowie kocu i pochylał się nad swoim Dziennikiem. Nad swoistą kroniką apokalipsy, która miała przetrwać długie lata, do czasu, gdy następne pokolenia będą mogły wyściubić nos spod kamienia i znowu skosztować smaku słońca. Owa kronika była niczym innym jak posklejnymi taśmą i sznurkami zwykłymi zeszytami, dodatkowo wzmocnionymi tekturą. Tak, pisał w zeszytach. Nie do końca z potrzeby, bardziej z wyboru, gdyż nie był pewien tego, jak długo będą działały komputery.

Skryba odłożył długopis i sięgnął po kubek z zimną herbatą. Jak zawsze pił ostrożnie, uważając, by nawet kropla nie spadła na bezcenny artefakt.

Po chwili rozprostował plecy, zmęczone i zdrętwiałe po wielogodzinnym pochylaniu się nad zeszytem. Strzelił palcami, rozruszał je odrobinę. Następnie spojrzął krytycznie na swoje dzieło, niemniej z ponurym zadowoleniem stwierdził, że szło mu całkiem nieźle – na przestrzeni miesiący udało się zapełnić już cztery takie stukartkowe zeszyty, a jeszcze kilka niezapisanych czekało na swoją kolej. Oczywiście mógł napisać więcej. Ale tu nie liczyła się ilość, a jakość, powtarzał sobie w myślach. Nie tworzył na komputerze, gdzie mógłby bez problemu wykasować nieudane zdanie, edytować je w nieskończoność i nanosić dowolną ilość poprawek. Nie, tu wszystko musiało być doskonałe od momentu przytknięcia długopisu do kartki, aż do momentu jego oderwania. Nie było miejsca na pomyłkę, wszak pracował na otwartym sercu.

Uniósł wzrok, rozglądając się po swojej jaskini. Ciasne, nisko zawieszone sklepienie z początku działało klaustrofobicznie, jednak Skryba szybko się dostosował – ciasna dziura w skale, naturalna niecka niespodziewanie podarowana mu przez naturę, była doskonałym miejscem na przechowywanie i tworzenie Dziennika. Lekkie poczucie strachu było niewielką ceną za jego bezpieczeństwo. Zwilżył językiem wargi, zastanowił się nad tym, co dalej.

Skrybę od zawsze fascynowały informacje. Doniesienia prasowe, reportaże, relacje naocznych świadków – czy to z ataku terrorystycznego, czy konferencji – sam przedmiot nie miał kluczowego znaczenia. Liczyło się spojrzenie na to samo wydarzenie z różnych punktów widzenia. Z perspektyw wielu oczu, które jednak zawsze miały wspólny mianownik, dzięki czemu pozwalały dostrzec pewnie niezauważalne dla pozostałych szczegóły. Całość prezentowała się wówczas zupełnie inaczej, niż na pierwszy rzut oka można by było sądzić. Przez to zamiłowanie do szczegółu, przy jednoczesnej zdolności ogarniania szerokiego spektrum, Skryba szybko zaczynał orientować się, że coś jest na rzeczy. I to wiele miesięcy przed tym, nim rządy decydowały się przyznawać to publicznie.

Skończył pracę na dzisiaj i już miał się położyć, lecz postanowił, że zanim to zrobi, odbędzie jeszcze sentymentalną podróż i cofnie się do początkowych zapisków. Po części aby oczyścić umysł, po części też po to, aby choć trochę przypomnieć sobie, jak to było... kiedyś.

Pierwsze kilkadziesiąt stron Dziennika było pokryte wycinkami z gazet, wydrukowanymi materiałami z portali internetowych, komentarzami z forów czy ścieżkami, po których można było w sieci odnaleźć konkretne relacje czy filmiki.

Skryba delikatnie pogładził zabezpieczone folią zdjęcia, nostalgicznie muskając je samymi opuszkami palców. Rozpoczął sentymentalny rajd po nagłówkach.

Tragiczny wypadek na konkursie jeździeckim

(...) i wtedy Albert, dwunastoletni oldenburg, doskonale wyszkolony i wytrenowany w skokach przez przeszkody, koń z wieloletnim doświadczeniem zawodniczym, zamiast nabiec i wziąć przeszkodę, gwałtownie skręcił i zatrzymał się, zrzucając z siebie jeźdźca. Taka sytuacja już niejednokrotnie wcześniej miała miejsce, oczywiście czasem takie wypadki się zdarzały, ale nie w przypadku tego konkretnego konia. Niestety koń zahamował tak niefortunnie, że jeździec trafił plecami prosto w jedną z kolumn tworzących przeszkodę i upadł na głowę. Aktualnie jego stan jest stabilny, ale wymaga hospitalizacji. Po kilkutygodniowej rehabilitacji powinniśmy ujrzeć go z powrotem (...).

Przeniósł wzrok na drugą stronę, na której znajdowało się zdjęcie martwego człowieka. Było stosunkowo słabej jakości, bo zostało wydrukowane z nielegalnych, internetowych źródeł. Fotografia przedstawiała leżące w lesie ciało dorosłego mężczyzny, który został zagryziony przez trzy olbrzymie rottweilery. Widać było, że psy nie tylko go zagryzły, lecz również rozpoczęły konsumpcję – mięśnie ud, okolice brzucha i fragmenty rąk były pożarte, ubranie natomiast doszczętnie poszarpane i porozrywane. Najlepsi przyjaciele człowieka, pomyślał Skryba, podczas gdy przez jego plecy przeszedł dreszcz. Pamiętał, jak nim wstrząsnęło to zdjęcie, gdy zobaczył je po raz pierwszy, teraz natomiast nie robiło już na nim najmniejszego wrażenia. Miał wątpliwą przyjemność oglądać na żywo nie tylko takie, ale również znacznie gorsze obrazy.

Samo zdjęcie nie było opatrzone zbyt wymownym opisem, jednak po komentarzach pod spodem można było dojść do tego, co się wydarzyło:

Luki_997

Więc poszukałem trochę i wykopałem info, że to gdzieś w Stanach. Gość się ponoć zgubił w lesie. Znaleźli przy nim rozładowaną komórkę, nie mógł wezwać pomocy ani nic... no nie pykło mu, wiadomka xD. A tak serio to masakra, pewnie błędził przez parę dni, aż znalazł ogrodzenie, przez które jakoś udało mu się przejść. Rozwalił sobie nogę, chociaż mieli wątpliwości, czy to w wyniku skoku, czy ataku piesków. Ja tam myślę, że rzuciły się na niego, bo wkroczył na teren prywatny. Do tego momentu wszystko wydaje się jasne, ale dlaczego go później zeżarły?

Stefano

Może je zaczepiał?

Luki_997

Tak, jasne. Jakbyś tyle łąził po lesie, miałbyś jeszcze siłę, żeby drażnić obce psy? I to takie bydlaki?

Stefano

A bo ja wiem. Pewnie jakbym był głodny, to tak J

Luki_997

No właśnie, może one były głodzone, dlatego tak się zachowały. Albo miały wściekliznę, w końcu działka była w lesie.

Stefano

Może być. Gdzieś doczytałem, że znaleźli ciało, bo jeden z psów zaniósł pod dom odgryzioną nogę z butem, więc właściciel trochę spanikował :D

Luki_997

Tak, też widziałem. Wyobrażam sobie jego minę, he, he.

Stefano

A wiesz, co się stało z psami?

Luki_997

Jak to co? Zastrzelili je. Policja później zaraportowała, że rzuciły się na jednego funkcjonariusza, gdy podchodził z klatką, ale dla mnie to ściema. Pewnie je zastrzelili, bo nie chciało się im pieprzyć z całą biurokracją związaną z uśpieniem.

Skryba przejrzał jeszcze kilka zdjęć, pobieżnie także kilkanaście artykułów. Wcześniej podkreślał czerwonym markerem daty, zapisywał miejsca. Z miesiąca na miesiąc ataków było coraz więcej, dziwne zachowania zwierząt nasilały się. Subtelnie, jakby konspiracyjnie, niemniej dla wytrawnego obserwatora były wystarczająco widoczne, aby ich nie przeoczyć.

Nie każde wydarzenie udało się zarejestrować czy opisać, czego Skryba był doskonale świadom. Dlatego też wiedział, że do tego, co się dzieje, należało dodać jeszcze kilkadziesiąt procent wypadków, których nikt nie zgłosił. Ta wiedza, ten ogrom odpowiedzialności spoczywającej na jego barkach sprawił, że praktycznie przestał sypiać, każdorazowo wieczorem wyobrażając sobie, co by się stało, gdyby ataki jeszcze bardziej się nasiliły, jeśli ich skala by się zwiększyła.

Po części kierowany strachem, po części ciekawością, wkrótce postanowił rozszerzyć swoje badania na pozostałe państwa – zwłaszcza po wiadomościach, które z nich napływały. Jak się okazało, Polska nie była jedynym miejscem, w którym zwierzęta zaczęły napadać na ludzi. Jeszcze zanim nastąpiła kulminacja i przetoczyła się pierwsza fala agresji, zwierzęta i tak atakowały, a tych ataków było coraz więcej. Jakby sprawdzały przeciwnika, szukając jego słabych punktów. Godziny poświęcone na analizy zamieniały się w dni, które następnie ewoluowały w tygodnie. Skryba uzależnił się od informacji, praktycznie przestał wychodzić z domu, pozwalając paranoi stopniowo przejmować kontrolę nad jego życiem.

Cała planeta zmieniała się nie do poznania. Odwróciły się role, diametralnie zmieniły się zasady gry. Jak w popularnym powiedzeniu – łowca stał się zwierzyną. Bóg, Allah, Budda i wszelcy przedstawiciele pomniejszych panteonów solidarnie odwrócili się od swoich wyznawców, pozostawiając ich na pastwę losu niczym niepotrzebne, popsute zabawki. Pozostali głusi na prośby, modlitwy, nawet na krwawe ofiary. Ludzie tłumaczyli sobie te zmiany na wszelakie sposoby, doszukiwali się przeróżnych przyczyn – o ile, oczywiście, byli w stanie poświęcić kilka sekund na głębszą refleksję, zamiast na przetrwanie. Nawet jeżeli im się udawało znaleźć parę chwil względnego spokoju, wspólny mianownik pozostawał zawsze ten sam – życie absolutnie wszystkich zostało brutalnie wywrócone do góry nogami i nikt nie potrafił powiedzieć dlaczego.

Sytuacja eskalowała lawinowo, rozpędzając się niczym kula śnieżna. Z początku zwierzęta zaczęły się dziwnie zachowywać – ot, ukochany pies nie pozwalał założyć sobie smyczy. Kot nie dawał się pogłaskać, zrećnie unikając ręki swojego właściciela i tym samym potwierdzając popularną tezę mówiącą, że ten domowy pupil jest jak ciecz. Koń nie pozwalał wsiąść sobie na grzbiet, nie dawał się czesać, zrzucał jeźdźców częściej niż zwykle, ci zaś łamali kości częściej niż zwykle, ginęli ze skręconym karkiem lub z powodu przebicia żebrzem serca. Trzymane w klatkach ptaki albo przestawały śpiewać, albo wręcz przeciwnie – i tak źle, i tak niedobrze – jednym lub drugim wywołując konsternację właścicieli. Zwierzęta w zoo, w sklepach zoologicznych czy hodowane w domowych terrariach wodziły wzrokiem za ludźmi, niczym działka strażnicze. Często również obserwowano leśną zwierzynę, która stała na linii drzew, czujna, skupiona, jakby szykując się do szarży na człowieka. Kolejki do weterynarzy wydłużały się, internetowe wyszukiwarki w kółko pokazywały te same strony na temat tresury, błędów w tresurze czy depresji zwierząt, forumowicze wymieniali się doświadczeniami i radami, często wysznanymi z palca. Niby nie działało się nic specjalnego – w końcu zwierzętom czasem odbijało, ale ostatnio odbijało im coraz częściej i coraz bardziej.

Coś ewidentnie wisiało w powietrzu. Zwierzęta mają swój rozum, a co za tym idzie – wahania nastroju, więc od czasu do czasu mogły mieć gorszy dzień, tłumaczyli sobie niektórzy ludzie. Inni w tym czasie pakowali plecaki, ładowali broń, szykowali deski do zabicia okien i układali na piwnicznych półkach puszki z żywnością.

Aż w pewnym momencie na forach i na blogach zaczęły się pojawiać informacje o atakach, coraz brutalniejszych, coraz częstszych. Gdzieś pies zagryzł właściciela, inny pogryzł dziecko, z którym wychowywał się od szczeniaka. Koty zaatakowały babulinę, która dokarmiała je od kilkunastu lat, dbając o bezdomne stworzenia. Delfin w oceanarium wyskoczył z wody i z impetem uderzył swojego tresera, łamiąc mu trzy żebra. Konie albo kopały, albo gryzły jeźdźców. Albo robiły jedno i drugie. Ptaki stadami pikowały na przechodniów, wprowadzając chaos i zamęt tak duży, że niejedna osoba wylądowała przez to pod kołami rozpędzonego auta, a niejeden samochód rozbił się o latarnię lub drzewo. Zwierzęta mniej lub bardziej, ale buntowały się przeciwko hegemonii człowieka i przypominały sobie, do czego służyły im kły, pazury, dzioby, kopyta i mięśnie, z których przede wszystkim się składały. Korzystały z nich co-

raz częściej i, co gorsza, coraz sprytniej.

Jednak jak prawie zawsze, tak i tym razem trud i czas poświęcony na analizę wydarzeń w pewnym momencie zaczęły się zwracać. Analityczny umysł Skryby podsunął mu wnioski, zmusił do przyjrzenia się częstotliwości ataków oraz miejscom, w których one występowały. Ich natężeniu, agresywności. Przeanalizował, jak rozłożone były w czasie, ponanosił na mapy, starając się znaleźć jakiś wzór, schemat – cokolwiek, co mogłoby mu wskazać... drogę. Sam tak naprawdę nie wiedział, czego szukał, lecz był pewien, że podąża prawidłowym tropem.

I pewnego dnia Skryba spostrzegł, że w jednym z miejsc na świecie ataki wybuchły z niespotykaną wcześniej intensywnością. Pamiętał, jak szybko biło mu wtedy serce, i tę suchość w ustach towarzyszącą świadomości, że oto on, zwykły, szary człowiek, mieszkający w zwykłym, szarym mieście pośrodku zwykłego, szarego państwa znalazł epicentrum epidemii szaleństwa, która zdawała się ogarniać zwierzęta.

Niestety, nim zdecydował się podzielić swoimi obserwacjami z innymi, po pierwsze było zdecydowanie za późno, po drugie natomiast – nikt już nie miał czasu go wysłuchać. Nastąpiła kulminacja. Dzień Zero, jak zwykł go nazywać. Wtedy dziwne zachowania i ataki eskalowały wszędzie, absolutnie bez wyjątku, rozlewając się po świecie niczym zaraza. ■

ROZDZIAŁ 19

Tatry, lato 2021

Lena dostała otwartą dłońią w tył głowy, ledwie przekroczyła próg i zamknęła za sobą ciężkie drzwi. Odskoczyła odrobinę nieporadnie, posyłając swojemu oprawcy gniewne spojrzenie.

– Miałaś uważać – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Uważałam przecież!

Rozmasowała obolałą potylicę i patrzyła nań z pretensją.

– Gównu uważałaś. Widziałem. Nawet raz nie spojrzełaś na niebo. Tylko przed siebie, trochę na boki, może z raz do tyłu. I ty to nazywasz uważaniem?

Mężczyzna, starszy od niej o dobre dziesięć lat, skończył reprimendę i czekał na reakcję. Lecz Lena uparcie milczała, a z jej zielonych oczu strzelały iskierki, które jeżeli tylko by mogły, przepaliłyby go na wylot. Chociaż w głębi duszy wiedziała, że miał rację. Po chwili opuściła głowę i zerknęła na trzymany w ręku aparat. Ta sama lustrzanka, z którą wyszła z domu wiele miesięcy temu. Teraz mocno sfatygowana, obita, podrapana. Nosząca na sobie nie tyle ślady użytkowania, co ciężkiej eksploatacji i walki o przeżycie. Ta myśl jakoś dziwnie ją pokrzepiła. Obie dały radę.

– Przecież już jest lepiej, sam wiesz. Uspokoily się...

Jak zwykle, najpierw się odezwała, dopiero potem pomyślała. Mężczyzna zacisnął szczękę, uniósł dłoń, ale nie uderzył. Zamiast tego pokręcił z rezygnacją ogoloną na лыso głową.

– Ładna jesteś, ale głupia jak but. W kółko to samo. Już się uspokoiły, już jest bezpiecznie, możemy wracać... – zaczął ją przedrzeźniać, ale nie trzeba było długo czekać na wybuch: – Nie! Nie możemy, zrozum wreszcie! Ile razy ci tłumaczyłem, że nie możesz chodzić samopas? Naprawdę to takie trudne do zrozumienia? A może jednak masz ochotę jeszcze się przejść, o, w sumie to zapraszam na nocleg pod gołym niebem.

Powiedziawszy ostatnie zdanie, przepchnął się brutalnie obok niej, rozchylił stalowe drzwi i wskazał na rozciągającą się przed nimi gęsto porośniętą dolinę. Dziewczyna spojrzała na soczyście zielony las. Pomimo spokoju, w który starała się wierzyć, niechętnie tam wychodziła, a na myśl o samotnej nocy w głuszy aż przeszedł ją dreszcz.

Nie zaszczyciła go komentarzem, po prostu posłała mu spojrzenie, które mówiło samo za siebie. Następnie odwróciła się i pokonana ruszyła w głąb zimnej, wilgotnej jaskini. Odprowadził ją wzrokiem, ale już nie komentował jej zachowania. Nie było sensu jeszcze bardziej zaogniać i tak gorącej sytuacji. Jeżeli chcieli przeżyć, musieli o siebie dbać. Plus był taki, że Daniel doskonale wiedział, iż opieka i troska to nie to samo, co bierne godzenie się na wszystko, czego tylko ciekawa i nieostrożna dusza zapragnie. Zwłaszcza jej dusza.

Upewniwszy się, że jest sam, powoli, ze smutkiem wypuścił powietrze. Przyjrzał się dolinie.

Łąka aż zapraszała, by rozłożyć koc i rozkoszować się przyjemnym, wieczornym ciepłem. W tle majestatycznie wznosiły się tatrańskie szczyty – niegdyś obiecujące śmiałkom niezapomniane wrażenia, teraz z pogardą patrzące na człowieka, który nie ośmieliłby się nawet spróbować ich zdobyć. Taka wyprawa wiązałaby się przecież z opuszczeniem bezpiecznych skalnych ścian, z nocowaniem na łonie natury, co oznaczałoby zupełne, absolutne wystawienie się na niebezpieczeństwo. Jak na widelcu. Przełknął ślinę na tę myśl, wyobrażając sobie, ile zagrożeń mogłoby czekać na nich w leśnych i górskich ostępach. Jeszcze niejedne śniegi stopnieją, nim człowiek zdecyduje się na tak odważny krok, pomyślał.

Upewniwszy się, że nic niepożądanego nie zbliża się do ich kryjówki, zamknął ciężkie, stalowe drzwi. Następnie wsunął rygle głęboko w skalne szczeliny, praktycznie uniemożliwiając komukolwiek i czemukolwiek sforsowanie barykady. Krytycznie przyjrzał się zamkom, zanim odwrócił się od wejścia i ruszył w głąb schronienia.

– Zbój, możesz wracać, Lena jest bezpieczna. Odbiór – powiedział do krótkofalówki, którą wyciągał zza paska bojówek.

Urządzenie zatrzeszczało, Zbój potwierdził i się odmeldował.

Na zakręcie korytarza Daniel jeszcze raz zerknął za siebie, aby upewnić się, czy wszystko na pewno jest na swoim miejscu. To już było nawykiem, cholernie męczącym, ale takim, który mógł pewnego dnia uratować im wszystkim życie. Kiwnął głową wartownikowi, który zachował się profesjonalnie, udając, że niczego nie widział.

– O, hej. – Kiedy tylko Kryśka zobaczyła Lenę wchodzącą do pomieszczenia, w jej oczach zalśniły wesołe iskierki.

– Hej.

Dziewczyna podeszła i usiadła na swojej wojskowej pryczy. Kryśka zmierzyła ją wzrokiem.

– Co jest?

– Nic – rzuciła.

Zabrała się do zdejmowania butów. Jeszcze kilka miesięcy temu to byłoby nie do pomyślenia – buty miała praktycznie cały czas na nogach, w każdej chwili gotowa do ucieczki. Teraz zdjęcie ich było luksusem, który tylko potęgował poczucie bezpieczeństwa, jakie dawała górską kryjówka. Skończywszy, położyła się na plecach i wbiła wściekły wzrok w sklepienie groty. Tymczasem Kryśka zmrużyła oczy, delikatnie przechyliła głowę, ale w taki sposób, aby Lena wiedziała, że się jej przygląda.

– Znowu się czepiał? – zapytała niechętnie po paru sekundach ciszy.

Głośne westchnięcie potwierdziło jej przypuszczenia. Lena uparcie wpatrywała się w sufit. Kryśka nadal uparcie patrzyła na Lenę.

– Lencia, wiesz przecież, on chce dla nas dobrze... – spróbowała, ale widząc spojrzenie Leny, szybko zamknęła usta.

– Nic nie rozumiesz – warknęła Lena, jednak natychmiast przypomniała sobie, jak Daniel namawiał ją do wyjścia i spędzenia nocy w lesie. Może to była podpucha, może zatrzymałby ją przy próbie przekroczenia progu – mogła tylko spekulować. –

Ach, dobra, nieważne. Potrzebuję chwili... Muszę poukładać myśli, rozumiesz. Sorry.

Zeskoczyła z pryczy, szybko założyła buty i wyszła z pomieszczenia.

Przemierzała ciasne korytarze jaskini. Przeciągnięty pod sufitem kabel co kilka metrów znikał w zabudowanym metalową siatką kloszu z palącą się w środku żarówką. Pomimo tego – względnie stałego źródła światła – każdy mieszkaniec bazy zawsze nosił przy sobie zapasową latarkę. Niespodziewane przerwy w dostawie prądu zdarzały się nad wyraz często.

Po chwili Lena dotarła do pomieszczenia pełniącego funkcję jednej z kilku spiżarni. Z racji chłodu, który zapewniały grube skały, żywność można było tu przechowywać długo i bezpiecznie. Oczywiście w pierwszych dniach ten wszechobecny chłód oraz wilgoć stanowiły pewien problem, niemniej życie i tym razem szybko pokazało, że człowiek jest w stanie przyzwyczać się do naprawde wielu rzeczy. Wystarczyło odpowiednio wysoko ponieść stawkę.

Lena podeszła do półek – niektóre przewiercone były do skały, inne w niej zaklinowane, powiązane linami, pozbijane wystającymi z nich gwoździami, ale grunt, że względnie stabilne – sięgnęła po puszkę z konserwą turystyczną i ruszyła w kierunku stołówki. Już na samą myśl o jej otwarciu i zapachu, który zaraz uderzy ją w nozdrza, poczuła, jak zbiera się jej na wymioty. Zaciśnęła jednak zęby. Musiała jeść, żeby mieć siłę. Żeby uciekać. Żeby walczyć. Przez ostatnie miesiące nauczyła się, a właściwie wreszcie zrozumiała, jak ważne jest jedzenie. Jak wiele energii dostarcza, jak ta energia przekłada się na wydolność organizmu. Jak bezpośrednio rzutuje na to, jak daleko jesteśmy w stanie pobiec, jak długo jesteśmy w stanie maszerować lub jak wiele możemy udźwignąć. Jesteśmy tym, co jemy, więc jeżeli pakujemy w siebie gówna, stajemy się... tak, dokładnie tym samym. Po prostu. To było tak jasne, a jednocześnie skomplikowane i boleśnie trudne do wyegzekwowania.

Sięgając po otwieracz, zastanowiła się nad tym, gdzie teraz może być Michał, chociaż wiedziała, że już nigdy go nie zobaczy. Wydawało jej się, że od ich ostatniej rozmowy, od czasu, w którym zobaczyła film z zoo, minęły stulecia. Próbowwała się domyślać, jak jej zachowanie odebrała Kryśka, co robi Daniel. Myślała też o mamie, jak zawsze, każdego dnia od paru miesięcy. Chociaż jej wspomnienie nie bolało aż tak bardzo jak kiedyś. Pomyślała też o paru innych osobach, które wcześniej spotkała na swojej drodze. O przyjaciółach, o tych, którzy poświęcili swoje życie, aby ją ratować. Kiedyś tak wielu ludzi wydawało się jej ważnych, wokół kłębiło się tylu pseudoprzyjaciół, ale wszystkie te relacje zostały szybko zweryfikowane. Pomyślała o tych, którzy dotarli tu przed nią, a których już tu nie było. Nie chciała przypominać sobie ich imion ani przywoływać ich twarzy – to zbyt mocno bolało, chociaż pamiętała dokładnie każdą osobę, widziała ich wszystkich, jakby stali przed nią w zwartym szeregu. Wielu z nich sfotografowała, ze zgrozą uświadamiając sobie, że często były to ostatnie zdjęcia, jakie im zrobiono. Jedyne ślady po ich zaciętości, desperackiej walce o przeżycie. Odcinając się od wspomnień, nasłuchując odgłosów dobiegających z czołści jaskini, po paru chwilach dotarła do stołówki, otworzyła konserwę i zaczęła jeść.

Lecz nie było jej dane zaznać spokoju zbyt długo. Usłyszała dobiegające z głębi kroki, szybko zmierzające w jej stronę. W jaskiniach trudno było o dyskrecję. Uważ-

nie wpatrywała się w wejście, zastanawiając się, kogo licha niesie.

– Tu jesteś.

Daniel zajrzał do stołówki i uważnie przyjrzał się dziewczynie. Jego szare, ciemne zazwyczaj oczy świeciły dziwnym blaskiem, jakby niedawna sprzeczka w ogóle nie miała miejsca.

– Nie uwierzysz, ale złapaliśmy trop. Wiemy, dokąd się udaje.

Powiedziawszy to, zniknął równie szybko, jak się pojawił. Lena zatrzymała widelec w połowie drogi do ust i poczuła, jak zupełnie przechodzi jej ochota na jedzenie. Nawet nie wiedziała, kiedy wstała i wybiegła za Danielem, zostawiając napoczętą konserwę na stole. Wiadomość o tym, że wpadli na trop tajemniczej istoty po raz pierwszy od wielu długich tygodni, napełniła ją nową, świeżą energią. Dziewczyna pędziła, jakby dostała wiatru w żagle, w głowie snując plany ekscytującej pogoni i ewentualnego spotkania, na które tak długo czekała, o którym śniła, marzyła, które cały czas miała w tyle głowy. Spotkania, które było jedną z rzeczy trzymających ją przy życiu.

Spotkania oraz, rzecz jasna, zemsty.

Na przestrzeni miesięcy dobrze poznała korytarze jaskini, jednak zawsze istniało ryzyko, że za rogiem zwyczajnie na kogoś wpadnie – tak też było tym razem. Niespodziewanie zderzyła się z Kryską i to z takim impetem, że obie dziewczyny się przewróciły. Kryśka poleciała na plecy, wyrzucając w górę karton medykamentów, które akurat szła uzupełnić. Fiolki, bandaże, pudełeczka – wszystko udekorowało korytarz niczym konfetti spadające z nieba.

– Jezu! – krzyknęła dziewczyna. – Co się dzieje? Weszły?

Wypowiadając ostatnie zdanie, skoczyła na równe nogi, potem przykucnęła i szybkim ruchem sięgnęła do kabury udowej, w której tkwił pistolet. Rozszalałe oczy zerkały na korytarz za Leną, szukając ewentualnego pościgu. Jej strach był tak naturalny, że aż udzielił się Lenie, która najpierw się odwróciła, a dopiero potem przypomniała sobie, skąd ten pośpiech i dlaczego biegła. Zerknęła na przyjaciółkę z przepaszającym uśmiechem.

– Nie, nie, spokojnie – powiedziała, wstając. Rozmasowała lewy bark, którym boleśnie uderzyła w skalną ścianę. – Nic z tych rzeczy. Sorry, muszę lecieć!

Przecisnęła się obok Kryski, posyłając jej jeszcze na odchodne kolejny przepaszający uśmiech. Wiedziała, że przyjaciółka będzie jej to wypominać, ale chwilowo była tak podekscytowana wiadomością, że nie mogła zostać i jej pomóc. Dziewczyna coś jej jeszcze odpowiedziała, ale ostatecznie machnęła tylko z pretensją ręką, gdyż nie pozostało jej nic innego, jak tylko ukucnąć i zabrać się za zbieranie porzucanych leków. Dla pewności jeszcze popatrzyła w głąb korytarza, ale nie dostrzegła tam żadnego ruchu. Wreszcie uśmiechnęła się do siebie, zadowolona, że zobaczyła Lenę taką jak dawniej – roztrzepaną, wesołą i pełną energii. Jej zielone oczy emanowały blaskiem, jakiego nie widziała od wielu, wielu tygodni.

Tymczasem Lena biegła dalej. Minęła jeszcze kilka skrzyżowań, przezornie przed każdym zwalniając, aby nie było powtórki z rozrywki, aż w końcu dotarła do pomieszczenia, w którym znalazła Daniela. Mężczyzna odwrócił się do niej i kiwnął gło-

wą, wskazując miejsce, na którym mogłaby usiąść. Sam stał z wielkimi słuchawkami na głowie. Kabel łączył się ze skomplikowaną wojskową aparaturą, której dokładnego przeznaczenia nie znała – wiedziała tylko, że służyła nie tylko do komunikacji. Potwierdzał to między innymi szczupły mężczyzna siedzący przy komputerze i dodatkowym monitorze, na którym wyświetlała się mapa okolicy, skanowana regularnym promieniem radaru.

– Macie ją? – zapytała podekscytowana. Jej oczy emanowały teraz jasnym, niemalże seledynowym blaskiem, zarezerwowanym na specjalne okazje.

Daniel tylko uniósł dłoń, prosząc ją o zachowanie ciszy. Jednocześnie przycisnął słuchawki mocniej do uszu.

Lena niecierpliwie rozglądała się po pomieszczeniu. Wytarła spocone dłonie o krótkie spodenki, lecz miała wrażenie, że po sekundzie były znowu mokre.

Pomimo chłodu panującego w całej prawie jaskini, w tym pomieszczeniu było całkiem ciepło – słaba wentylacja, mnóstwo nagrzewających się komputerów i innych, tajemniczych maszyn robiło swoje. Poza nią, technikami i Danielem przebywały tu jeszcze dwie osoby – młoda, dziewiętnastoletnia techniczka radiowa imieniem Zośka i starszy mężczyzna z oddziału Daniela, Paweł, aktualnie pochylający się nad mapą... – Lena zmarszczyła brwi, nie do końca rozumiejąc – ...Australii?

Nagle Zośka uniosła wzrok. Jej niebieskie oczy spotkały się przez chwilę z zieloną oczu Leny i dziewczyna uśmiechnęła się promieniście, dopiero teraz zauważając przybycie koleżanki. Jednak szybko zreflektowała się, skupiając uwagę na Danielu.

– Mamy kontakt.

– Świetnie, dziękuję. Łącz.

Lena przypatrywała się wszystkiemu z bezpiecznego miejsca, łapiąc oddech po szaleńczym biegu. Podczas gdy Daniel rozpoczął rozmowę, dziewczyny ponownie spotkały się wzrokiem.

Nie wiedzieć czemu, Lena nagle przypomniała sobie, przez co musiała przejść Zośka. Spoważniała, patrząc na śliczną, gładką twarz młodej dziewczyny. Zdawało się, że koszmar, jakiego doświadczyła, jeszcze nie odcisnął na niej swojego piętna, ale Lena wiedziała, że prędzej czy później się pokaże. Tak jak u wszystkich. W pewnym momencie po prostu wyjdzie na zewnątrz niczym niechciany, paskudny tatuaż i Zośka nosić go będzie do końca życia czy tego chce, czy nie.

Tatrzański Park Narodowy, kilka miesięcy wcześniej

Zośka Bulas biegła co tchu. Oddychała szybko, płytko, rozszerzonymi z przerażenia oczami rejestrując otaczającą ją rzeczywistość. Jej silne, umięśnione nogi rytmicznie przemierzały ścieżki, bezlitośnie tratowały pomniejszych gałęzie i krzaki, które miały nieszczęście znaleźć się na jej drodze. Starła się zachować zimną krew, skupiała się na oddechu i na tym, żeby tylko nie wpaść na żadne drzewo, żeby przeskoczyć każdy pień i nie skręcić sobie koski. Wszystko to naraz było niewyobrażalnie trudne do pogodzenia.

Pędziła wszakże na złamanie karku, jakby goniły ją całe zastępy piekielne. Co nie

do końca było prawdą, gdyż ścigało ją tylko jedno stworzenie. Na nieszczęście dla Zośki był nim niedźwiedź brunatny. Strach i adrenalina wywołana ucieczką przed zwierzęciem nie pozwalały się ot tak opanować. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, horyzont zwęził się do ciasnego tunelu, na końcu którego Zośka rozpaczliwie starała się dostrzec swoje wybawienie.

Wiedziała, że jeżeli szybko czegoś nie wymyśli, niedźwiedź dopadnie ją i zabije w bardzo, bardzo nieprzyjemny sposób. Niemalże czuła jego cuchnący oddech na karku, słyszała miarowe posapywanie, gdy zadziwiająco cicho, acz konsekwentnie zmniejszał dystans. To było jego królestwo, jego ziemia. Tu on był panem i władcą, co zresztą właśnie udowodniał.

Nagle Zośka gwałtownie skręciła w lewo. Instynktownie starała się kluczyć, pamiętając, że niedźwiedzie potrafią szybko biegać na prostych odcinkach, lecz nie są specjalnie zwrotne – zawsze kojarzyły się jej z rozpędzonymi buldożerami, i to skojarzenie mogło teraz uratować jej życie. Nie mając czasu na zastanowienie, popędziła w dół zbocza, sadząc długie kroki, bardziej de facto skacząc, niż biegnąc. I nim uświadomiła sobie swój błąd, było już za późno.

Dlatego, że skręciła, wybiegła na Wielką Polanę w Dolinie Małej Łąki. A tam – żadnego miejsca, w którym mogłaby się schować, głazu, na który mogłaby spróbować się wdrapać, ławki z daszkiem chociażby, no po prostu nic. Pustka. Piękna, zielona pustka, gdzieniegdzie tylko przecięta blizną suchej ziemi.

– Nie... – wyszeptała tylko, rozpaczliwie rozglądając się po okolicy i cały czas biegnąc jak na złamanie karku, choć taki koniec w porównaniu ze śmiercią zadaną kłami i pazurami niedźwiedzia być może nie byłby najgorszy. Odbiegła parę metrów od linii drzew i zaryzykowała spojrzenie do tyłu. W pierwszej sekundzie nie dostrzegła ciemnobrązowej góry futra, naiwnie łudząc się, że niedźwiedź dał za wygraną i odpuścił sobie męczącą pogoń.

Zwolniła, po kilkunastu sekundach zupełnie się zatrzymując. Szybko złapała kilka głębszych oddechów, opierając ręce o drżące uda. I właśnie w tym momencie, gdy pozwoliła sobie na odświeżający powiew nadziei i szczęścia, gdy już myślała, że po raz kolejny udało się jej ujść z życiem, usłyszała chrzęst łamanych gałęzi. Ze zgrozą zobaczyła, jak niedźwiedź przebija się przez gąszcz niskich krzaków kilka metrów od miejsca, w którym skręciła, taranując i łamiąc wszystko, co znajdowało się na jego drodze. Ukucnęła, choć sama nie wiedziała, na co liczyła. Lecz najwyraźniej manewr zadziałał i udało się odrobinę zmylić przeciwnika – niedźwiedź zatrzymał się i zaczął rozglądać po polanie.

Niestety już po paru sekundach nie tylko dostrzegł, lecz przede wszystkim wyczuł dziewczynę. Stanął na tylnych łapach, prezentując się w pełnej krasie. Zaryczał przeciągle, marszcząc wargi i odsłaniając żółte, długie kły. Zośkę zmroziło. Patrzyła na te prawie czterysta kilogramów mięśni i futra, dziką emanację siły natury w najlepszym, najczystszej wydaniu. Bezlitosna, skołtuniona zapowiedź śmierci zaskakująco cicho opadła na przednie łapy i ruszyła w dalszą pogoń. Dziewczyna odwróciła się i rzuciła przed siebie tak szybko, że natychmiast potknęła się, jakimś cudem jednak udało się jej odepchnąć od ziemi rękami. Wiedziała, że nie ma absolutnie żadnych szans – nie-

mniej postanowiła utrudnić oprawcy zadanie, zamiast po prostu położyć się na trawie niczym gotowe danie na talerzu.

Przebiegła jeszcze około stu metrów, gdy usłyszała pierwszy strzał. Jej serce drgnęło, nie ze strachu, lecz z radości. Przez ostatnie kilka tygodni ludzie powoli przyzwyczajali się do faktu, że strzały z broni palnej niekoniecznie są wymierzone w nich. Zośka zaczęła się rozglądać na boki, z nadzieją szukając swojego wybawiciela. I po chwili faktycznie spostrzegła, jak w oddali, w odległości mniej więcej trzystu metrów, po jej prawej stronie, niedaleko linii drzew stoi quad, nad którym pochyła się jakiś mężczyzna. Oparłszy karabin o pojazd, strzelił jeszcze kilka razy do zwierzęcia. Zośka skręciła i zaczęła biec w jego stronę łukiem, aby zejść z linii strzału, odsłaniając tym samym niedźwiedzia.

Usłyszała ryk bestii, zaskakująco głośny. Przeszedł ją dreszcz. Niedźwiedź był bliżej, niż myślała, ale nie mogła odwrócić się, żeby sprawdzić, czy został trafiony. Nie teraz, nie gdy była tak blisko ratunku. Biegła, modląc się, aby nie dosięgnęła jej kula.

Była już bardzo blisko quada i niespodziewanego wybawcy, już go dobrze widziała – mężczyznę ze strzelbą myśliwską, w stroju maskującym, z czapką naciągniętą nisko na czoło. Regularnie strzelał, oddając już... ile? – zastanowiła się Zośka – pięć, sześć strzałów? Wyglądał na obytego z bronią, więc powinien był trafić. Co w takim razie się działo?

Myśl nagle się urwała, gdy dziewczyna potknęła się o niewielką dziurę – na szczęście jej stopa jedynie się w nią osunęła, nie wpadła cała, i tylko dzięki temu Zośka nie skręciła sobie kostki. Wyrznęła natomiast jak długa z takim impetem, że aż kilka razy się przeturlała. Świat wokół niej zawirował. Trawa, niebo, trawa, niebo, drzewa... niedźwiedź.

Cholera.

Przynajmniej próbowałam, pomyślała.

Poczuła pizmowy smród zwierzęcia, zapach mokrego futra, ziemi i dzikiego lasu. Zobaczyła, jak podbiega do niej, sadząc długie, ciężkie susy. A żebym ci w gardle stała, pomyślała, zasłaniając się rękoma i zamykając oczy.

Ale niedźwiedź po prostu przebiegł obok, mniej niż metr od Zośki. Dziewczyna skuliła się, szykując się na śmierć i niemalże czując kły wbijające się w jej bark, ale nic takiego się nie stało – zamiast tego niedźwiedź popędził dalej, niosąc śmierć znacznie godniejszemu przeciwnikowi – mężczyźnie ze strzelbą. Ten, widząc, co się święci, zaczął się wycofywać tyłem, starając się zwiększyć dystans i nadrobić jeszcze kilka sekund na oddanie strzałów. Przerażonymi oczami wpatrywał się w niedźwiedzia, do którego wystrzelił tyle razy, ale który biegł dalej. Nie rozumiał, dlaczego niedźwiedź nadal żyje, bez wątplenia przecież go trafił. Może kaliber broni był nieodpowiedni, może za bardzo panikował, może... – nagle jego desperackie dywagacje zostały brutalnie przerwane. Poczuł, jak coś wbija mu się w plecy, jakaś niewyobrażalnie brutalna siła rozpała go od tyłu, wyciska dech z piersi. Obezwładniający ból rozszedł mu się po całym ciele, sparaliżował górne kończyny, w nieskoordynowanym geście prostując mu ręce. Bezwładnie upuszczona strzelba opadła na ziemię. Mężczyzna tylko stęknął, zbyt zaskoczony, aby wydać z siebie krzyk. Został brutalnie podnie-

siony z ziemi, wzniesiony ponad metr do góry i następnie rzucony na ściółkę niczym szmaciana lalka.

Zanim zdążył zrozumieć, co się wydarzyło, dopadł go niedźwiedź.

Zośka stłumiła jedynie krzyk, zakrywając usta dłońmi. Nie zdążyła ostrzec mężczyzny przed jeleniem szarżującym z lasu. Gdy zobaczyła, jak olbrzymi byk nadziewa go na rogi i unosi w górę, a następnie rzuca na ziemię, jakby nic nie ważył, miała ochotę po prostu zamknąć oczy i umrzeć. Tymczasem teraz do nieszczęśnika doskoczył niedźwiedź i zaczął go drapać, gryźć i rozrywać na kawałki. Zośka patrzyła i nie rozumiała, dlaczego niedźwiedź pożera mężczyznę, podczas gdy obok spokojnie stoi jeleni i uważnie się temu przygląda.

Musiała jednak skorzystać z okazji. Szybko podczołgała się do quada – tu nie było czasu na skradanie się, była pewna, że zwierzęta ją czują i pamiętają o jej obecności – ale chwilowo nie była zagrożeniem, nie miała dokąd uciec, więc mogła po prostu poczekać na swoją kolej. Najwyraźniej jednak zapomniały o quadzie. Lub nie wiedziały, do czego może jej posłużyć.

Zośka wychyliła się zza maszyny, zerkając na stacyjkę. Klucze były na swoim miejscu. Dobra, pomyślała. Teraz, albo nigdy. Wskoczyła na siedzisko, złapała za manetki. Włączyła zapłon, cały czas patrząc na zwierzęta. Silnik odpalił od razu, Zośka zwolniła sprzęgło i przekręciła gaz do oporu, ruszając z kopyta – tak samo jak jeleni, który rzucił się pędem w stronę odjeżdżającego pojazdu. W tym samym czasie niedźwiedź odwrócił umazany krwią pysk, przełykając zwisający mu z niego kawał mięsni. Jego ciemne oczy przepełnił gniew. Następnie wściekle zaryczał i również rzucił się w pogoń.

Dziewczyna krzyknęła i nisko pochylona zabalansowała ciałem, skręcając w lewo, w stronę polany – nie chciała uciekać głębiej w las, ale chwilowo to była jej jedyna alternatywa. Spod kół wystrzeliły ziemia i trawa, obsypując zbliżającego się jelenia. Zwierzę musiało zamachać łbem, żeby je strząsnąć, i chyba tylko dzięki temu dziewczynie udało się odjechać – z powodu tej zasłony z ziemi jeleni najpierw chybił rogami, a potem potknąwszy się, wyrznął jak długi zaledwie kilkadziesiąt centymetrów obok niej.

Zośka oddalała się tak szybko, na ile tylko pozwalała moc maszyny. Jeszcze nie mogła się rozkleić, adrenalina wciąż zbyt mocno buzowała w jej żyłach, a skołatany mózg szybko analizował potencjalne kryjówki, do których mogła się udać. Czowała się jak zwierzyna uciekająca w panice przed silniejszymi, bezwzględными myśliwymi, przed bestiami zabijającymi tylko dla samej przyjemności zabijania.

I dokładnie tym właśnie była.

Zupełnie tak samo, jak reszta ludzkości. ■

ROZDZIAŁ 20

Dziennik Skryby
Zeszyt Pierwszy, strona 75

Kolejna katastrofa samolotu, setki ofiar śmiertelnych. Gruby, krzykliwy nagłówek nie pozostawiał najmniejszych złudzeń. Poniżej zdjęcia roztrzaskanego, spalonego wraku. Lot numer LO417 na linii Belin – Madryt. Skryba analizował transkrypcję z czarnej skrzynki, którą udało mu się wygrzebać gdzieś w bezkresnych zasobach Internetu, oraz opis wydarzenia, próbując sobie wyobrazić, jak to mogło wyglądać naprawdę.

Pierwszy pilot, Richard Marks, odezwał się do swojego kolegi:

– Pete, widzisz to?

Zapytany spojrział w stronę, którą wskazywał starszy kumpel. Latali razem od ponad pięciu lat, niejedno już przeżyli i Pete trafnie wyczuł w tonie jego głosu, że to nie był głupi żart. Zresztą kokpit Airbusa A380 lecącego na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nad poziomem morza to niekoniecznie najlepsze miejsce na robienie sobie jaj. Tym bardziej, że wylecieli znad zalesionego terenu, kierując się nad coraz bardziej zurbanizowany. Kilkanaście kilometrów od nich były granice Paryża.

Pete przymrużył oczy.

– No chmura. Obłok?

– Nie wiem, wygląda dziwnie.

– Zgłaszamy?

– A co mamy zgłaszać?

Mężczyźni wymienili się krótkimi spojrzeniami, szybko wracając wzrokiem do tajemniczej chmury daleko przed nimi. Coś było nie tak. To nie wyglądało jak zwykła chmura, było ciemniejsze niż otoczenie i dziwnie nieregularne. Wyglądało jak płynna masa, jakby zmieniało kształt. I zbliżało się w ich stronę. Nagle oczy Richarda rozszerzyły się z przerażenia.

– Ptaki, ptaki! – krzyknął, szybko łapiąc za stery maszyny.

Drugi pilot odruchowo zrobił to samo.

– Wyłączyłem autopilota – zakomunikował, klikając paroma przełącznikami. – Jak to ptaki? Na dziesięciu tysiącach? Przecież to niemożliwe.

– Schodzimy na dziesięć-zero-siedem... – powiedział Richard, zupełnie ignorując pytanie. Później będzie czas na dywagacje, komisje, analizy, raporty i całe to biurokratyczne gównno, pomyślał. Włączył radio i przekazał to samo do kontroli lotów. Nie skończył jednak zdania, gdy obok kokpitu przeleciał pierwszy ptak.

Ułamek sekundy później przefrunął następny i jeszcze kolejny. Na tej wysokości i przy tej prędkości małe, lekkie zwierzęta zamieniały się w śmiertcionośne pociski, i właśnie rozpoczął się ostrzał. Richard spróbował dostrzec jakiś szczegół, cokolwiek, co pozwalałoby zidentyfikować gatunek – i wyglądało na to, że to były najzwyklejsze na świecie gołębie. Ptaki uderzały w kokpit, odbijały się od obłego dziobu maszyny,

ginęły przy spotkaniu z małutkimi, pancernymi szybami. Lecz ofensywa kokpitu nie stanowiła problemu – prawdziwy strach, jaki ogarnął pilotów, był związany z silnikami.

– Bird strike, powtarzam, bird strike! – Richard znowu przekazał informację do kontroli lotów i niemalże w tym samym momencie sekcja w kokpicie, ta sama, która pokazywała stan silników, zaczęła się żarzyć na czerwono. Włączył się też irytujący, wwiercający się głęboko w mózg dźwięk alarmu.

– Trafiły trzeci silnik. Spada moc. Padł. Lecimy na trzech – powiedział sucho Pete.

– Schodzimy niżej, musimy je wyminąć. – Richard starał się zachować spokój, wiedząc, jak wiele może ich kosztować błędna decyzja.

– Dwójka padła. Lecimy na pozostałych dwóch.

Piloci poczuli, jak ich gardła zaciskają się ze strachu. To niemożliwe, myślał Pete. Ptaki nie latają na tej wysokości. A już na pewno nie gołębie. Przecież to, kurwa, niemożliwe – powtarzał sobie jak mantrę, prawdopodobnie łudząc się, że w jakiś sposób może mu to pomóc, chociaż ni cholery nie miał pojęcia jak.

– Jedynka padła – powiedział mechanicznie.

Richard sięgnął do przełącznika z zamiarem wyłączenia ostatniego silnika, chociaż sam nie widział w tym zbyt dużego sensu. Przy odrobinie szczęścia łopaty wirnika zatrzymają się, ptak, który miałby w nie wlecieć, po prostu się przez nie przedostanie i utknie w dalszej części silnika, co pozwoliłoby go później uruchomić. Może. Prawdopodobieństwo tego byłoby takie samo, jak trafianie szóstki w totka przez okrągły miesiąc, dzień po dniu.

– Teraz czwórka. Lecimy bez silników – powiedział Pete, patrząc na kolegę. – Jezu.

Samolot szybował jeszcze kilka długich minut, nieubłaganie tracąc wysokość. Piloci starali się zachować zimną krew, nie krzyčeć jak większość pasażerów i załogi. Starali się umrzeć godnie.

Samolot rozbił się na przedmieściach Paryża. Zginęła nie tylko cała załoga wraz z pasażerami, ale również ponad trzysta osób znajdujących się na trasie ważącego kilkaset ton rozpędzonego pług, który bezlitośnie zmiotł z ziemi wszystko, co stało na jego drodze.

Stado ptaków, poświęcając niespełna sto sztuk, zabiło prawie tysiąc osób. Całkiem nieźle.

Skryba przełknął ślinę, z namaszczeniem zamykając Dziennik. Zastanawiał się, jak zawsze, gdy przeglądał swoje zapiski, co czuli ci ludzie w swoich ostatnich chwilach. Część z nich miała ten przywilej, że mogła zginąć zupełnie nieświadomie, bez strachu. Myślał o osobach, którym śmierć zwała się na głowę w najbardziej bezwzględny i nagły sposób, jaki można sobie wyobrazić. Mężczyzna nie potrafił sobie wyobrazić przerażenia pasażerów, tej skrajnie silnej potrzeby ucieczki, desperackiej szamotaniny w walce o jeszcze jeden oddech, o jeszcze jeden wschód słońca. A co myśleli piloci? Czy życie faktycznie przelatowało im wtedy przed oczami? Czy człowiek, wiedząc, że umiera, może czuć się spełniony, czy może raczej przepełniony po-

czuciem niesprawiedliwości z racji braku możliwości dokończenia setek spraw, które wydawały się tak ekstremalnie ważne... a tak naprawdę nie znaczyły zupełnie nic? Tak, pomyślał Skryba, na przestrzeni ostatnich miesięcy życie zrewidowało i napisało na nowo definicje tego, co ważne. Zweryfikowało też wiele innych, zapomnianych wcześniej terminów.

O czym sam nie raz miał okazję się przekonać. ■

ROZDZIAŁ 21

Australia, lato 2021

Chris wyskoczył z pierwszego jeepa i uważnie rozejrzał się po okolicy. W rękach trzymał karabin maszynowy z doczepionym celownikiem optycznym, w kaburze udowej spokojnie spoczywał pistolet. Bandana osłaniająca jego twarz od kurzu była w kolorze piachu, tak samo zresztą jak całe jego ubranie, czapka, buty i reszta wyposażenia. Nawet wojskowe jeepy, którymi przyjechali, były w kolorach maskujących, chociaż mężczyzna uparcie twierdził, że to absolutnie niczego nie zmienia. Według niego efekt byłby ten sam, nawet gdyby poruszali się różową furgonetką z lodami, lecz przy jej wyborze nie traciliby czasu na dostosowywanie sprzętu i kombinowanie. Uważał, że zwierzęta i tak są świadome ich obecności. Już nieraz dały radę udowodnić siłę swoich abstrakcyjnie wyostrzonych zmysłów.

– Czysto? – usłyszał w słuchawce włożonej do lewego ucha. Do mikrofonu znajdującego się tuż przy ustach przekazał w odpowiedzi:

– Tak. Niczego nie widać – powiedziawszy to, ze znużeniem skanował wzrokiem bezkresne połacie pomarańczowego piachu, głazów i wysuszonych na wiór krzewów.

– Zrozumiałam.

Sara wyszła z szoferki i po chwili pojawiła się obok Chrisa. Miała na sobie krótkie spodenki, na stopach dobrej jakości buty trekkingowe i grube skarpety niwelujące obtarcia. Górę przykrywała lekka biała bluzka na ramiączkach. Zarzuciła na nią kamizelkę taktyczną, w której znajdowały się między innymi nóż, pistolet, trzy zapasowe magazynki do broni długiej i trzy do krótkiej, granat i jeszcze kilka przedmiotów. W rękach natomiast dzierżyła karabin snajperski.

Przez ostatnie kilka dni przemierzali pustkowia, praktycznie nie trafiając na ślady ludzkiej bytności. Mogli, oczywiście, wybrać lepszą i szybszą trasę prowadzącą do jaskini, lecz wiedzeni doświadczeniem pamiętali, że to właśnie w pobliżu takich ludzkich siedlisk gromadziło się najwięcej zwierząt. Zupełnie odwrotnie niż jeszcze rok temu, kiedy wolno żyjące stworzenia raczej stroniły od człowieka, zamieszkując górskie i leśne odstepy. Teraz gromadziły się tam, gdzie miały pokarm.

– Dobra, chyba możemy tu się rozbić – powiedział do Sary.

Dziewczyna rozejrzała się, szukając jakiegoś choć odrobinę lepszego miejsca niż środek drogi, chociaż, gdyby ktoś ją o to zapytał – pewnie nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego nie mogliby po prostu rozbić obozowiska na środku drogi, którą i tak nikt nie jeździ.

– Może tam? – powiedziała, wskazując kilkumetrowe drzewo, które wyglądało na zaskakująco zdrowe i żywe w porównaniu do otaczającego go pustynnego świata.

Chris coś mruknął w odpowiedzi i ruszył piechotą w jego kierunku. Miał do przejścia kilkaset metrów.

– Nie jedziesz? – zapytała Sara.

– Chcę rozprostować gnaty.

Dziewczyna uniosła brwi:

– No w sumie...

Ruszyła tuż za nim. Widząc to, Chris odrobinę zwolnił, z jednej strony niechętnie, bo miał ochotę pobyć choć chwilę sam ze sobą, z drugiej nawet rad z tego, że będą mogli zamienić kilka słów na osobności. Przez pierwszych kilkadziesiąt metrów szli w milczeniu, leniwie rozglądając się wokół. Teren był nieprzyjazny, ale miał jedną olbrzymią zaletę – wszelkie zagrożenia łatwiej można było wypatrzyć, nawet z dużej odległości. Przynajmniej teoretycznie, gdyż w praktyce niektóre zwierzęta doskonale opanowały technikę skradania się w takim otwartym terenie.

– Jak tam? Klimat ci służy? – zagadnął wreszcie, odpływając myślami od rozgrywającej się wokół walki, ciągłego uciekania, męczących ataków. Może dobrze zrobi mu beztroska rozmowa z kobietą, tak jak to się działo jeszcze długie miesiące temu. A może lata? Powoli zaczynał tracić rachubę czasu, dni zlewały się w jedno, tygodnie znikały, nie różniąc się od siebie niczym szczególnym.

– Myślisz, że nam się uda? – odbiła pytanie prosto z mostu.

Czar przysł, Chris został brutalnie sprowadzony do stanu tu i teraz, bez najmniejszej możliwości odsapnięcia i zrealizowania tak trywialnego planu, jakim była rozmowa o niczym. Sara wpatrywała się daleko przed siebie, w horyzont, na którym niewyraźnie majaczyły górskie szczyty.

Mlasnął zniesmaczony i odrobinę zrezygnowany.

– Nie wiem – odpowiedział trochę bardziej szorstko, niż zamierzał, i zamilkł. Dziewczyna przez chwilę się nie odzywała, Chris po kolejnych kilku sekundach milczenia rzucił na nią okiem – szła skupiona, trochę jakby zgarbiona, przygnieciona ciężarem wydarzeń z ostatnich miesięcy. Wbijała twarde spojrzenie w ziemię tuż przed czubkami butów, bynajmniej nie po to, aby wypatrywać kamieni, o które mogłaby się potknąć. Czy naprawdę wcześniej tego nie zauważył?

Pomimo zmęczenia przez głowę mężczyzny przeleciała myśl, że Sara wygląda pięknie – jej spocona skóra lśniła w słońcu, karabin snajperski, buty trekkingowe i cały wojskowy sprzęt dodawał jej zadziorności. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach spalonego słońcem ciała. Uśmiechnął się pod nosem i stwierdził, że nie podda się tak łatwo.

– Wyglądasz jak Lara Croft.

Sara uniosła głowę, a przez jej skryte w cieniu czapki niebieskie oczy przeleciały figlarne iskierki.

– To komplement – dodał dla pewności Chris, szerzej się uśmiechając.

– Domyśliłam się, dzięki. Wiesz, w sumie odkąd dostałam broń, to faktycznie. W końcu łączę po jaskiniach i poluję na jakieś prastare bóstwo, więc chyba by się zgadzało...

Uśmiechnęła się do niego serdecznie, a Chris poczuł w piersi przyjemny skurcz.

– Tylko ona miała fajniejsze usta. Ale... – powiedziała, uważnie mu się przyglądając. – W sumie jakbyś się czasem ogolił, to nie przypominałbyś tak bardzo Mad Maxa – stwierdziła ewidentnie ucieszona porównaniem.

Mężczyzna się zaśmiał, chociaż wcale nie czuł się jak Mad Max.

– O, teraz to nie ogolę się już nigdy! I przy okazji pasuję, bo chyba Mad Maxa krę-

cili właśnie w Australii, nie?

– A tego nie wiem, nie mam pojęcia.

Chris zerknął za siebie.

– A ten to kto będzie? – powiedział, kiwając głową w stronę sunącego za nimi je-
epa.

– Mniszek? Nasz Pierwszy Brat? – zapytała retorycznie Sara. – Bo ja wiem... ja-
koś z nikim się nie kojarzy. Jakieś Szaolin, to tak, ale nazwisk nie znam. – Gruby kij,
który mnich nosił przy sobie i z którym nigdy się nie rozstawał, dobrze uzasadniał to
porównanie.

– Bruce – powiedział Chris, robiąc gest każdemu kojarzący się z legendą kung-fu.

– Nie no, bez jaj.

– No serio.

– Nieeee... – zaproponowała dziewczyna, rozmasowując ręką spalony słońcem i obo-
lały po długiej podróży kark.

– Chyba może po prostu zostać mnichem – odparł już poważniej Chris.

Sara spojrzała na niego i uśmiechnęła się, delikatnie unosząc brwi. Oboje doskona-
le wiedzieli, że nadszedł kres ich małej, króciutkiej zabawy.

– A wracając do twojego pytania, to... tak. Myślę, że nam się uda – kontynuował
mężczyzna po przejściu kolejnych metrów w ciszy. Sara milczała, jakby czekając na
ciąg dalszy.

Wreszcie po kilkudziesięciu sekundach zniecierpliwiona i znudzona rzuciła Chri-
sowi pełne politowania spojrzenie.

– Uda nam się, bo... no zobacz, jesteśmy... zgranym zespołem. Ile dotąd przeżyli-
śmy – podjął wątek, uginając się pod spojrzeniem niebieskich oczu. – Ile razy prawie
zginęliśmy, ile razy już prawie nas miały? Ilu ludzi uratowaliśmy, ile... ile kilome-
trów przeszliśmy, przejechaliśmy. Zobacz, już nieraz mieliśmy się poddać, zostawić
to wszystko. Ale tkwimy w tym zbyt głęboko, żeby teraz odpuścić. No way.

Poza tym pewnie nie mamy już do czego wracać – pomyślał, ale zostawił refleksję
dla siebie.

Sam nie wierzył, że to powiedział. Motywacyjny bełkot, łechtanie ego nie tylko
Sary, ale i własnego – nigdy by się tego po sobie nie spodziewał. W tle brakowało tyl-
ko powiewającej flagi i myśliwców przecinających błękitne niebo... lecz słowa jakoś
same układały się w zdania.

To, co zawsze wydawało mu się tandetne, teraz było dziwnie na swoim miejscu.
I było nie tylko prawdziwe i szczere, lecz przede wszystkim – potrzebne.

Sara chyba to wyczuła. Spojrzała na Chrisa niepewnie, spodziewając się jakiegoś
głupiego dowcipu czy kontynuowania wywodu, lecz zamiast tego mężczyzna kroczył
przy niej z poważną, skupioną miną, odrobinę zawstydzony tymi kilkoma zdaniem-
i, które przed chwilą wygłosił. Chyba mówił szczerze, pomyślała. Dziwnie, ale z głębi
serca. I z nieśmiałym uśmiechem musiała przyznać, że jakkolwiek patetycznie to nie
brzmiało, facet miał rację.

Odwalili kawał dobrej roboty, docierając tak daleko. Ale żadne z nich nie miało
pojęcia, jak długa i ciężka droga ich jeszcze czeka i czy zwyczajnie będą mieli na to

wystarczająco dużo siły. Filmowi bohaterowie zawsze dają radę, ale oni nie grali w filmie. Mieli brudne, zmęczone ciała, byli zagubieni na obcym kontynencie, a ich morale gniło gdzieś pod podeszwami ich butów.

W międzyczasie Pierwszy Brat podjechał jeepem pod drzewo, za nim podążył kolejny pojazd. Mnich, ostrożnie przyjrawszy się gałęziom w poszukiwaniu ewentualnego zagrożenia, po chwili wysiadł z auta i zaczął rozstawiać siatkę przy pomocy dwóch kompanów, którzy zaparkowali obok drugiego jeepa. Cienka płatanina drutu co prawda nie zatrzymałaby szarży koni, krów, kangurów czy czego tam jeszcze, co mogło biegać po tych ziemiach, ale mniejsze zwierzęta owszem. I takie głównie było jej przeznaczenie. Jeepy zostały tak zmodyfikowane, że można było łatwo do nich przytroczyć siatkę, tworząc zarazem mocne punkty oparcia i stabilne ściany.

Widząc to, Sara pogрузzyła się we wspomnieniach. Zastanawiała się, ile razy już rozstawiali to prowizoryczne, zarazem zaskakująco skuteczne ogrodzenie. Myślała o tym, w którym momencie jej życie stało się niekończącą się walką o przetrwanie, zresztą nie tylko jej, ale i wszystkich pozostałych. Walką, którą tak wielu przegrało. Czy były jakieś symptomy, jakieś znaki, które przeoczyli? Czy można było tego uniknąć? Te pytania rezonowały w głowie dziewczyny co jakiś czas, ale musiała przed samą sobą przyznać, że ostatnio coraz rzadziej. Człowiek przyzwyczaja się do trudu i codziennego znoju, nieważne jak dziwne by były.

W pewnym momencie dochodzi się do wniosku, że ważne jest tylko przetrwanie. Nic więcej. Zamyśliła się, nieświadomie dotykając brzydkiej, poszarpanej blizny po lewej stronie twarzy. Blizny, której nie było jeszcze pół roku wcześniej.

Rozpocząła się nad lewą skronią i sięgała niemalże ust. Składały się na nią dwa długie ślady i jeden krótszy. Dało się zauważyć jeszcze poboczne rysy, jednak to te trzy główne przykuwały największą uwagę. Z całego ataku pamiętała tylko to, że wszystko wydarzyło się szybko, absurdalnie szybko, niczym uderzenie pioruna. Bezlistosne, odbierające dech z piersi i powodujące mimowolne, nieświadome napięcie mięśni.

Indonezja, kilka miesięcy wcześniej

W krzakach niczego nie było. Tak przynajmniej sądziła. Idący przed nią ludzie również tak myśleli, chociaż wszyscy poruszali się ostrożnie i rozglądali się wokół, szukając zagrożenia. Wiedzieli o ryzyku związanym z wejściem w las, lecz musieli je zignorować. Przez pierwszych kilkaset metrów było spokojnie. Starali się zachowywać jak najciszej, iść w zwartej grupie. Monotonia krajobrazu usypiała, zieleń przewodziła na myśl czasy, w których człowiek mógł swobodnie udać się do lasu, aby odpocząć lub rozkoszować się pięknem przyrody.

Lecz czasy się zmieniły, i szybko sobie o tym znowu przypomnieli. W pewnym momencie wyskoczyła na nich pantera, jeszcze w locie biorąc zamach silną, zaopatrzoną w grube i ostre pazury łapą. Czekala na nich. Polowała. Ona, jak i kilka innych zwierząt – nie tylko panter – zasadziło się na ludzi, przygotowało pułapkę. Sara ledwo zdążyła dostrzec, co na nią leci, gdy łapa opadła na jej twarz. Dziewczyna przekreśliła

głowę i zajrzała w oczy czarnej śmierci pokrytej piękną, połyskującą w świetle zachodzącego słońca sierścią.

Następnie słychać było strzały, krzyki i ciężkie posapywania ścierających się w bitwie istot. Warczenie zwierząt, piski trafionych pociskami bestii. Wrzaski rozszarpowanych ludzi. Głuche uderzenia kijem o miękkie ciała, odgłosy przecinających powietrze maczet. Wreszcie szelest liści i trzask łamanych gałęzi, gdy atakujące zwierzęta zdecydowały się wycofać. Sara leżała wtedy we krwi, czując, jak po twarzy spływa jej ciepła i lepka ciecz. Ból przyszedł dopiero kilka chwil później, gdy przerażenie łaskawie, acz niechętnie, ustąpiło mu miejsca.

Na przestrzeni ostatnich miesięcy byli w drodze. Podążali tropem istoty, zwanej przez Pierwszego Brata Matką, szerokim na wiele kilometrów pasmem pożogi i zniszczenia, które za sobą zostawiała. Spalone wsie, zdewastowane, wyludnione miasta. Ludzie, którym udało się wystarczająco szybko zareagować, uciekali, aby w znakomitej większości zginąć nieco później. Piątka tropicieli – Sara, Chris oraz trzech mnichów – trzymała się na uboczu, pozostawała w jej cieniu, podczas gdy zwierzęta słuchające Matce robiły swoje. A robiły naprawdę dużo. Na świecie zapanował chaos, lecz zgodnie z przypuszczeniami Pierwszego Brata – najciemniej było pod latarnią.

Po kilku dniach odpoczynku w Bhutanie i względnego spokoju sytuacja zaczęła się szybko komplikować. Serwisy informacyjne pękały w szwach od napływających zewsząd informacji o tajemniczych atakach zwierząt na ludzi na niespotykaną wcześniej skalę. Media zalewały zdjęcia, filmy, relacje świadków.

Na przestrzeni zaledwie paru tygodni sytuacja eskalowała tak bardzo, że niektóre kraje zdecydowały się na wprowadzenie godziny policyjnej i stanu wyjątkowego, zakazując obywatelom opuszczania domów po zapadnięciu zmroku. Powołano sztaby kryzysowe, rządy naradzały się, parlamentarzyści obrzucali się wzajemnie błotem, spychając winę jedni na drugich. Zawierano i zrywano sojusze. Państwa, które z początku wyśmiewały takie rozwiązania, uważając je za zbędnie szerzenie paniki wśród obywateli, wkrótce same musiały zastosować nadzwyczajne środki bezpieczeństwa.

Wszędzie było tak samo.

Fauna całej planety przestała być posłuszna. I stała się skrajnie agresywna.

Zwierzęta atakowały ludzi w domach, na ulicach, paraliżowały ruch samochodowy i lotniczy. Nagle okazywało się, że jest ich znacznie więcej, aniżeli pierwotnie przypuszczano, o ile ktoś w ogóle zadawał sobie trud i się nad tym zastanawiał. Całe stada przeznaczonego na rzeź bydła uciekały z zagród i po dotarciu do miast paraliżowały w nich ruch, trutowały ludzi, niszczyły wszystko, co tylko się dało.

Niektórzy walczyli, ale nie wszyscy przecież mieli dostęp do broni palnej. Można było zabić prowizoryczną bronią psa, kota, czasem świniaka, ale z krową czy koniem już było znacznie gorzej. Ludzie szybko przypomnieli sobie, że w starciu z rozjuszonym bykiem trzeba mieć naprawdę solidną broń – nóż kuchenny niekoniecznie był dobrym wyborem i raczej można go użyć do utoczenia krwi sobie, a nie ważącemu nierzadko blisko tonę rogatemu bydłociu. Pozostawała ucieczka, zabarykadowanie się

gdzieś, wejście wysoko w góry, znalezienie kryjówki pod ziemią, przeczekać. Ale zwierzęta były cierpliwe.

I też czekały.

A że było ich tak wiele, to mogły i czekać, i nękać ludzi jednocześnie.

W krajach określających się mianem Pierwszego Świata zdecydowana większość obywateli przyjmowała bierne formy oporu. Po prostu siedziała oburzona w domu, wyzerając szybko znikające zapasy i czekając, aż sprawą zajmą się odpowiednie do tego służby, jak policja, żandarmeria czy różne hyclopodobne organizacje. Z perspektywy kanapy obywatele konsekwentnie wyrażali swoje niezadowolenie w sieci, narzekając i przypominając swoje prawa oraz obowiązki, jakie ma wobec nich państwo. Ze świętym oburzeniem komentowali zdjęcia, filmy i wiadomości, dzieląc się nawzajem swoimi fachowymi uwagami na każdy praktycznie temat.

Służby natomiast nie były przygotowane na takie masowe interwencje, i zaczęło ich też szybko brakować.

W pierwszych miesiącach, w Czasie Samotności, jak to określał Skryba, zginęły miliony, chociaż niemożliwe było podanie dokładnych liczb. Ludzie padali nie zawsze z łap i kłów rozwścieczonej zwierzyny, chociaż takich przypadków było z pewnością najwięcej. Często umierali w swych domostwach, odcięci od pożywienia, zbyt wystraszeni, aby wyjść, lub zbyt wycieńczeni i niezdolni do walki, gdy się już na takową ucieczkę zdecydowali. Ginęli również z rąk innych ludzi. Panujące wokół chaos i anarchia – podczas gdy policja nie wiedziała, w co powinna najpierw włożyć ręce – sprzyjały powstawaniu band rabusiów plądrujących całe dzielnice handlowe, co nierzadko kończyło się wymianą ognia z przedstawicielami prawa lub między bandami i ściąganiem na siebie uwagi czujnej zwierzyny.

Lecz to wszystko szybko przestawało mieć znaczenie. Opętani konsumpcjonizmem ludzie często byli zbyt krótkowzroczni, aby zrozumieć, że najpodlejsza puszka mielonki będzie niedługo znacznie więcej warta niż najnowszy model iPhone'a, i z dziką lubością wyznali się w imię plastikowych bożków.

Paraliż ruchu miał skutki sięgające znacznie dalej, niż z początku się wydawało. Brak dostępu do ciągłych dostaw paliwa uniemożliwiał nie tylko dalekie podróże. Zagłodzeni ludzie nie mieli jak dotrzeć do sklepów, a nawet jeżeli im się to udało – te szybko zaczęły świecić pustkami. Stanął w miejscu nie tylko przemysł spożywczy, lecz przemysł i produkcja w ogóle – brak było możliwości transportu materiałów, brak pracowników – wszystko zaczęło się sypać niczym przysłowiowy domek z kart. Szybko wyszło na jaw, że cały ten twardy, nieśmiertelny do tej pory system, na którym opierała się światowa gospodarka, był dziurawy jak ser szwajcarski i niezwykle wrażliwy. Wystarczyło zaledwie kilka tygodni, aby go brutalnie obnażyć.

Nie poddano się jednak zupełnie. Ludzie nie wszędzie biernie czekali na śmierć. Spora część z nich pamiętała o tym, że zwierzęta były słabe. Jeden kot czy pies nie stanowił żadnej przeszkody dla jadącego nawet z niewielką prędkością auta. Lecz one były tego świadome i czmychały, czekając na swoją kolej lub wysyłając na jezdnię większego pobratymca. Gdy na drodze pojawiał się łoś, krowa, jeleni czy koń, sytuacja zmieniała się już o sto osiemdziesiąt stopni. Ludzie próbowali walczyć, ale odnosili

wówczas liczne rany. I tu pojawiał się problem medykamentów, bo poza jedzeniem brakowało również leków – zostało tylko to, co w hurtowniach farmaceutycznych, w aptekach, szpitalach czy innych tego rodzaju miejscach. Nie produkowano niczego więcej. Wielu przewlekłe chorych zmarło z powodu przerwy w dostawie niezbędnych do przeżycia leków.

Wystarczyło parę miesięcy, aby natura wyselekcjonowała i odrzuciła najsłabsze osobniki, pozostawiając przy życiu tylko te najsilniejsze.

Co jednak nie znaczyło, że zostali ci najmądrzejsi czy nawet najbogatsi. Bo kły, pazury i rogi nie kierowały się żadną selekcją poza tą naturalną. Miałeś pecha i znalazłeś się w nieodpowiednim miejscu i czasie – przeważnie przyplącałeś to życiem. Dla rozwścieczonego byka nie miało znaczenia, czy wbija swoje rogi w maklera giełdowego, gwiazdę popu czy zdeklarowanego weganina mieszkającego w napędzanym energią słoneczną minivanie. Każdy człowiek był tak samo zły. Odpowiedzialność zbiorowa w najczystszej, najwredniejszej postaci.

Przywódca mnichów wielokrotnie opowiadał i tłumaczył Sarze i Chrisowi, z czym mają do czynienia, z konsekwencją i spokojem doświadczonego pedagoga wygłaszał tę samą historię, chociaż ci nie bardzo chcieli już jej słuchać. To znaczy słuchali, ale nie wierzyli w opowieści o obudzonych bóstwach, prastarych artefaktach i magii. Często jednak było tak, że nie mieli za wiele do roboty podczas długich, nużących wieczorów przy ognisku, więc rozmowy były dość monotematyczne.

– Czyli istniejecie... ile już właściwie? – zapytał któregoś wieczoru Chris, ze znużeniem dłubiąc patykiem w ognisku. Biwakowali w niewielkiej niecce, otoczeni z jednej strony górką, z drugiej lasem. Znajdowali się gdzieś na terenie Indii.

Pierwszy Brat zastanowił się, spoglądając w gęstniejący mrok. Zwykł tak robić, odpływając gdzieś myślami, jakby złożenie pełnego zdania było dla niego nie lada wyzwaniem. Myślał tak długo, aż Chris zaczął wątpić, czy ten w ogóle usłyszał jego pytanie, w końcu jednak mnich odwrócił głowę i odpowiedział:

– Od zawsze.

Sara spojrzała na Chrisa, zatrzymując rękę z widelcem, na który nadziany był kawałek ryby. Jeden kącik jej otwartych ust powędrował w górę. Pozostałych dwóch mnichów siedziało i leniwie jadło kolację. Zdawać by się mogło, że rozmowa w ogóle ich nie interesowała.

– Zakon istnieje od zarania dziejów – kontynuował Pierwszy Brat, wiedząc, że reszta tylko na to czeka. – Już od powstania pierwszych ludzkich osad, właściwie nawet wcześniej, od kiedy ludzkość praktykowała koczowniczy tryb życia. Na Ziemi był to czas, gdy Matka żyła między swoimi stworzeniami, doglądała ich, pielęgnowała. Karciała, jeżeli zaszła taka potrzeba. Zamiast zniszczeń, jakie widzimy od wielu tygodni, jeżeli tylko chciała, pozostawiała w ślad po sobie świeżą trawę, kwiaty i zdrowe, silne drzewa, które osiągały dojrzałość po zaledwie kilku godzinach od wykiełkowania. Wokół jej głowy latały śpiewające ptaki, nierzadko siadając na jej bluszczowej koronie.

Chris chrząknął. Czemu nie mam przy sobie piwa, zastanowił się.

– Nie musisz mi wierzyć, ale bądź uprzejmy wysłuchać mnie do końca. Może potraktuj tę historię jak baśń, nie jak opis faktycznych wydarzeń.

– Czyli jak to, czym faktycznie jest.

Sara spojrzała na Chrisa nieprzychylnym wzrokiem. Rozumiała jego stanowisko, ba, nawet się z nim zgadzała – ale miała w sobie na tyle szacunku i ogłady, że nie zamierzała manifestować swojego zdania przy każdej możliwej okazji. Poza tym opowieści wygłaszane przy ognisku i w akompaniamencie trzaskających polan zawsze smakują najlepiej.

– Gdy człowiek opuścił jaskinie i zaczęły powstawać pierwsze miasta, oddawano Matce cześć. Wielbiono ją niczym boginię, którą bez wątplenia jest. Musicie zrozumieć, że nawet teraz posiada moce, których zrozumienie wykracza poza nasze pojęcie. Potrafi robić rzeczy, które byłoby nam trudno nawet opisać. Wtedy było tak samo. To akurat się nie zmieniło i myślę, że nigdy się nie zmieni.

– Co w takim razie się zmieniło? Dlaczego przestała być, nie wiem, dobra? – wtrąciła Sara. Złoty blask odbijał się w oczach zebranych wokół ogniska osób.

– My się zmieniliśmy – odpowiedział mnich, a wymówił te słowa z taką siłą i smutkiem, że Sara niemalże poczuła zimny podmuch wiatru, od którego jej kark i ręce pokryły się gęsią skórką.

Jeden z mnichów uniósł wzrok i spojrzął na Pierwszego Brata z dozą żalu w oczach, jak człowiek, który wiele stracił, ale starał się tę stratę przekuć w siłę.

– Z początku tego nie zauważaliśmy. Ekspansja zdawała się być czymś... normalnym, naturalną kolejną rzeczą. Tak myśleliśmy. Oczywiście, mówiąc my, mam na myśli ludzkość, nie Zakon. Rozmnażaliśmy się, zajmowaliśmy coraz więcej terenów, dominowaliśmy inne, słabsze gatunki. Czyli w praktyce wszystkie, jakie spotykaliśmy. Tak, z naszej perspektywy wszystko zdawało się iść w dobrym kierunku. Byliśmy jednak tak zaślepieni reprodukcją i gromadzeniem pozornie tylko ważnych i potrzebnych dóbr, że zapomnieliśmy o Matce. Zepchnęliśmy ją na bok, zbyt pyszni, by cały czas uważać jej obecność za coś niezbędnego, systematycznie na przestrzeni wieków umniejszając jej znaczenie i wykorzystując to, co nam ofiarowała. Ale ona nie zapominała o nas. Przyczaiła się z boku, obserwując każdy nasz krok, czekając na odpowiedni moment.

Przerwał na chwilę, upił herbaty z trzymanego oburącz stalowego kubka.

– Matka zawsze dbała o zachowanie równowagi w przyrodzie. Nie faworyzowała żadnego gatunku, nie ingerowała w prawa, które sama ustanowiła. Jednak w pewnym momencie zdała sobie sprawę z tego, że jej zasady nie są doskonałe. Że ze stworzonej przez nią ścieżki można zboczyć, że jeden gatunek mógł się okazać silniejszym od pozostałych. Swoją siłę zdawał się wykorzystywać nie w taki sposób, jak powinien, więc Matka musiała interweniować. Ład należało zachować, inaczej stworzona przez nią równowaga była poważnie zagrożona.

Pierwszy Brat zamilkł i wziął parę oddechów, gdyż to, co zamierzał powiedzieć, było szczególnie trudne.

– Teraz jeszcze jest słaba. To, że zwierzęta się buntują przeciwko hegemonii czło-

wieka, jest wciąż niczym w porównaniu z mocami, które Matka niebawem z pewnością osiągnie.

Chris i Sara wymienili spojrzenia – mężczyzna coraz bardziej sceptyczny, ewidentnie zdruzony fantastycznymi opowieściami, kobieta natomiast zdawała się być coraz bardziej strapiona.

– Matka zaczęła wyrównywać balans. Ludzi robiło się niebezpiecznie wielu, zaczęli rozprzestrzeniać się niczym szarańcza. Mitologiczne czy biblijne plagi wcale nie są wyssanymi z palca historiami. Wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi, powodzie, tsunami – to wszystko były środki, które obrała celem regulacji populacji człowieka. Jednak ludzie, niezrażeni i nieświadomi zagrożenia, z jakim przyszło im się zmierzyć, rozmnażali się dalej, zajmowali coraz to nowe terytoria, stawali się coraz lepsi, przynajmniej we własnym mniemaniu. Nie baczylili na konsekwencje, nie czytali znaków. Czarna śmierć w Europie, która wybiła prawie połowę populacji kontynentu, również była jej dziełem. Wpływ Matki, nawet pomimo izolacji, był wtedy bardzo silny.

– Zabijała własne dzieci? – spytała Sara.

– Karciała je. Tak jak ty byś zrobiła, mając dziesiątkę dzieci i widząc, że jedno z nich zabiera jedzenie drugiemu czy bije pozostałe, stając się dla nich realnym zagrożeniem. Myślę, że wtedy również twardo byś zareagowała.

– To niemoralne.

– Mówisz to, mając na myśli to jedno karczone przez ciebie dziecko, czy dziewięcioro pozostałych, bitych i terroryzowanych przez nie?

– To nie jest rozwiązanie. Takie zachowanie do niczego przecież nie prowadzi. Agresja rodzi agresję. Bijąc jedno dziecko, pokazuję pozostałym, że to jedyny sposób na radzenie sobie z kłopotem – brnęła dalej Sara.

– Matka musiała myśleć globalnie, nie mogła się skupić na dobru tylko jednego gatunku. Widziała cierpienie pozostałych – karczowane puszcze, zmienianie koryt rzek, bydło prowadzone na ubój, ku uciechu innych, wyimaginowanych bogów. Widziała bezmyślnie mordowane wieloryby, czuła ich strach i ból. I to wszystko z powodu ludzkiej pychy, niczego więcej. Demonstracja wyimaginowanej wyższości, bo czymże jest demonstrowanie siły na kimś słabszym i bezbronnym?

– Nie mogła sobie z nami poradzić w inny sposób? Przecież jest taka wszechmocna i magiczna – wtrącił ironicznie Chris.

– Nie mogła być wszędzie równocześnie. Jest od nas dużo większa, silniejsza, szybsza, o czym się przekonałeś na własne oczy, ale co uparcie wypierasz ze swojego umysłu. Tak, władza magią lub jak kto woli, posiada zdolności, których nie rozumiemy. Potrafi... wpływać na otoczenie. Kreować je podług swojego uznania. Jednak nawet ona nie potrafi błyskawicznie przenosić się z miejsca na miejsce, nie może cofać czasu, być w wielu miejscach naraz. A przynajmniej nikt nigdy tego nie potwierdził, chociaż istniejący już wtedy Zakon przyglądał się jej ze szczególną uwagą. Na przestrzeni wieków zaobserwowaliśmy pewne schematy w jej zachowaniu, które pozwalały przewidywać kolejne jej kroki. Staraliśmy się monitorować i prognozować jej zachowanie. Przez to zrozumieliśmy, że tylko wówczas, gdy równowaga jest zachowana, Matka odzyskuje spokój. A gdy go odzyskuje, staje się... powiedzmy, że słaba.

Nie tak, jak mogłoby się wydawać, ale tylko w takim momencie jest szansa na uwięzienie jej.

– Poczekaj, dlaczego chcieliście ją uwięzić? – spytała Sara, wrzucając kilka patyków do ogniska.

– Bo mimo wszystko my również jesteśmy ludźmi. Nie wiem, jak to nazwać, lojalnością? Głupotą? Staliśmy przed realnym zagrożeniem wymarcia naszego gatunku, dlatego w pewnym momencie Zakon podjął decyzję, że ludzkość nie będzie mogła się dalej rozwijać, jeżeli Matka nie zostanie w jakiś sposób wyeliminowana. My staliśmy się matką, ona natomiast krnąbrnym dzieckiem. Nie chcieliśmy jej zabijać, gdyż jej unicestwienie mogło mieć katastrofalne skutki dla całej planety, a stawka była zbyt duża, aby chociaż próbować takiego rozwiązania. Zamiast tego sami wywołaliśmy kilka wojen, które w pewnym stopniu uregulowały liczebność populacji człowieka. W niewielkim, ale wystarczającym, aby Matka odzyskała swój spokój, przez co stała się mniej czujna.

Brat zamilkł, ponownie przyglądając się płomieniom. Po paru chwilach spojrzał w ciemność lasu, jakby ukrywając zawstydzone spojrzenie i krępujące wspomnienia wydarzeń, których nie mógł być świadkiem.

– W pojmaniu Matki brało udział prawie tysiąc braci. Znakomita większość z nich oddała życie sprawie, jednak ostatecznie udało się ją ujarzmić.

– Jak? – Chris nie mógł nie zapytać. Teraz nawet pozostali dwaj bracia patrzyli na Pierwszego Brata pełnym wyczekiwania wzrokiem, głodni opowieści, którą przecież doskonale znali.

– Tego dokładnie nie wiem. Ta wiedza nie została nam przekazana. Bracia, którzy przeżyli, niewiele później umierali męczeni straszliwymi wizjami, wykańczani przez okropne, nieznanie wcześniej choroby. Otwierali sobie żyły lub skakali z klifów, targani wyrzutami sumienia. Matka broniła się zażarcie, używając całego swojego arsenału, ale oni robili podobnie. Wszelkie scenariusze były skrupulatnie zaplanowane, a sama operacja i pościg trwały wiele dni. Niemniej ostatecznie się udało. Matka została uwięziona.

– Na górze?

Pierwszy Brat kiwnął głową.

– Tak, lecz zanim to nastąpiło, zabraliśmy jej atrybuty. Artefakty, które pozwalały jej kontrolować planetę.

– Chyba nie do końca, bo przecież zwierzęta kontroluje.

– I tak, i nie. Matka posiada naturalną zdolność wpływania na faunę, tego nie potrafiliśmy jej odebrać. Ta moc rośnie z czasem, dlatego też na początku po oswojeniu jej wpływ na zwierzęta był stosunkowo niewielki, później jednak stawał się coraz większy. Chociaż sądząc po tym, jak szybko sprawa eskalowała, musiało się też wydarzyć coś innego. Coś przeoczyliśmy, ale nie wiem co... – Pierwszy Brat zamyślił się, mówiąc coraz ciszej i ewidentnie do siebie, ale Chris sprowadził go z powrotem na ziemię:

– A pozostałe? Te artefakty, co jej dają?

Mnich spojrzał na niego, ale widać było, że potrzebował kilku sekund, aby odzy-

skać ostrość wzroku i przypomnieć sobie, gdzie jest.

– Władzę.

Po tym słowie zapadła cisza.

– Władzę? Władzę nad czym?

– Nad wszystkim – odparł Pierwszy Brat. W jego głosie było tyle smutku, strachu i rezygnacji, że Chris postanowił nie drążyć tematu. Nie wiedział, czy mnich faktycznie wierzy w to, co mówi, ale musiał przyznać, że na planecie ostatnio działy się dziwne rzeczy. Jeżeli Matka faktycznie wyrwała się z niewoli po tylu latach, to zdecydowanie może mieć powody do niezadowolenia.

A teraz byli tutaj. Zaledwie kilkaset kilometrów od miejsca, w którym Zakon przed wieloma wiekami ukrył jeden z artefaktów Matki. Sara zadrżała na tę myśl, chociaż jej umysł zdawał się tego nie pojmować – cały czas sytuacja balansowała gdzieś na granicy fikcji, była nierealna, ale przecież nie można kłócić się z faktami. Dziewczyna czuła się bardziej tak, jakby czytała książkę lub oglądała film przygodowy, aniżeli rzeczywiście brała udział w rozgrywających się wokół wydarzeniach. ■

ROZDZIAŁ 22

Dziennik Skryby
Zeszyt Drugi, strona 91

Pieczęłowicie, wręcz z nostalgią przerzucając kartki drugiego zeszytu, Skryba w pewnym momencie zamarł. Jego wysuszona, rachityczna dłoń zawisała w powietrzu, w absolutnym bezruchu, niczym mysz w chwili wyczucia węża tuż nad swoim wątlącym karkiem. Skryba przełknął ślinę.

Tekst, również własnoręcznie przez niego przepisany, mówił o jednym z pierwszych przypadków, gdy ktoś odważył się publicznie wyrazić tak odważną opinię na temat tego, co się dzieje. Patrzył na wywiad z pewną dziewczyną, przeprowadzony kilka tygodni po Dniu Zero. Jej śmiała teza nie została zbyt dobrze przyjęta i spotkała się z olbrzymią falą krytyki, lecz szybko ci wszyscy, którzy z początku drwili, niechętnie musieli jednak przyznać tej – jak ją nazywano – wariatce rację. Przed Skrybą spoczywała transkrypcja i opis telewizyjnego wywiadu.

– Serdecznie witam w naszym studiu. Proszę, rozgość się.

Prezenter, ubrany w niebieski garnitur smukły czterdziestolatek z szerokim uśmiechem jakby przyklejonym na stałe do twarzy, uprzejmym gestem wskazał gościowi kanapę. Sam zasiadł na szarym fotelu, rozpinając wcześniej marynarkę.

– Bardzo dziękuję, że zgodziłaś się przyjąć nasze zaproszenie. Jestem naprawdę zaszczyczony, że możemy gościć cię w naszym studiu.

Dziewczyna kiwnęła głową delikatnie, zwiewnie. Szczupła brunetka o odrobinę pociągłej twarzy i wysokim czole, obdarzona wielkimi, zielonymi oczami zasiadła na kanapie, blisko rozmówcy. Sprawiała wrażenie pewnej siebie, zupełnie jakby nie zwracała uwagi na to, że program ogląda kilka milionów ludzi. Jednak nie była to arogancja.

– Nie miałaś problemów z trafieniem do studia?

– Nie, jechałam może z pół godziny, dziękuję.

– I nic cię nie zaniepokoiło po drodze?

W odpowiedzi dziewczyna uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały dziwnie smutne.

– Powiedz mi proszę, Słowiku, skąd tak nagle zainteresowanie twoją osobą?

Dziewczyna uniosła brwi, demonstracyjnie zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Tomek, ja cię bardzo proszę, jak mamy tu rozmawiać o poważnych rzeczach, to szanujmy się nawzajem, co?

Gromkie brawa przetoczyły się przez salę, wliczając w to oklaski odrobinę zbitego z pantalątku prezentera. Dziewczyna natomiast triumfalnie rozsiadła się na kanapie i rozłożyła szeroko ramiona na jej skórzanych oparciach.

– Tak, masz rację, przepraszam – podjął na nowo mężczyzna. – Dobrze, więc może szybkie przypomnienie dla tych, którzy dopiero zaczęli nas oglądać. Dzisiaj w studiu mam zaszczyc gościć Słowika, vlogerkę i aktywistkę, która stała się sławna

dzięki swoim nadzwyczaj odważnym teoriom. W ciągu zaledwie kilku dni jej popularność w mediach społecznościowych podskoczyła o kilka tysięcy procent, a wyświetlenia jej ostatniego filmu przekroczyły próg stu milionów...

– Kilkadziesiąt.

– Przepraszam?

– Kilkadziesiąt tysięcy procent, nie kilka.

– Tak, dziękuję za sprostowanie. Jednak czy mogłabyś powiedzieć zebranim tu i przed telewizorami osobom, co za tym wszystkim stoi?

Dziewczyna chwilę się zastanowiła, delikatnie przygryzając usta. W tym czasie Tomek wpatrywał się w nią z oczekiwaniem i widać było, że nie zamierza szybko odpuścić.

– Ja, ekhm, no... po prostu mówię, co uważam. Jak widzę pewne rzeczy. I jakie mam zdanie na temat tego, co się aktualnie dzieje na całym świecie. Vloga prowadzę już od paru lat, więc miałam już sporą ilość osób, które mnie śledziły. Wrzuciłam film w odpowiednim momencie, to wszystko.

– Tak, wstrzelenie się w moment było niemalże idealne. Ale dobrze, właśnie, odniosę się do meritum. Czy naprawdę wierzysz w to, że dzieje się coś niezwykłego? Mogłabyś powiedzieć coś więcej na ten temat?

Dziewczynie nagle jakby odebrało głos. Kilka razy szybko zamrugła.

– Przepraszam cię, ale czy ty tak serio z tym, czy w to wierzę? A powiedz mi, jak można w to nie wierzyć? To tak, jakbyś nagle przestał wierzyć w... no nie wiem, powietrze. Albo w drzewa. Te rzeczy przecież istnieją niezależnie od tego, czy w nie wierzysz, czy nie.

– Wiesz, według niektórych osób Ziemia jest płaska, a my zapewne jesteśmy reptilianami. Ludzie wierzą lub nie w masę przeróżnych rzeczy.

Na sali rozległ się śmiech, kilka osób nawet zaklaskało.

– No pewnie jesteśmy. Ale nie możesz powiedzieć, że sam nie widzisz wokół siebie niczego niezwykłego.

– Dobrze, mogę przyznać, zresztą jak chyba wszyscy tutaj, że... dzieją się pewne rzeczy, które nie miały miejsca wcześniej. Co może czyni je niezwykłymi, tak, to chyba podchodziłoby pod taką definicję.

– No pewnie tak.

– Ale jesteś co do tego sceptyczna. Ty masz swoją teorię, prawda?

Dziewczyna usiadła inaczej, pochyliła się w stronę prowadzącego. Łokcie oparła na kolanach, tak żeby było jej łatwiej gestykulować dłońmi.

– Oczywiście, że mam. Słuchaj, ja wiem, że ludzie patrzą na mnie jak na wariatkę. Jak na jakąś samozwańczą wieszczkę, druida, co to mieszka w środku lasu i nie goli sobie nóg ani pach, je same korzonki i tak dalej. W sumie to większość się zgadza, a tym domem w lesie tobym nie pogardziła. Ale do rzeczy. Zobacz, wszyscy wiemy, w i e m y, że zwierzęta się zachowują skrajnie inaczej. Przecież ta fala niezwykłego zachowania – powiedziała, robiąc w powietrzu cudzysłów palcami – jak ty to nazywasz, przetoczyła się przez całą planetę. Nie przez jedno państwo, region czy miasto. Przez całą planetę. Naszą – Ziemię. Teraz, w czasach, w których żyjemy, na naszych

oczach. Dotknęła niemalże wszystkich. I chcesz mi powiedzieć, że co to jest, jakaś zmiana wywołana chemicznie? Jakiś wirus, zmutowany patogen czy co tam jeszcze? Że może człowiek za tym stoi, bo co, coś się wymknęło z amerykańskiego laboratorium?

– Nie, no że człowiek, to raczej bym nie uwierzył, chyba że taki ktoś bardzo by nie lubił swojego gatunku, a jak dobrze wiemy z lekcji historii, nie raz taki delikwent się rodził. Czy przypadkowo? To już prędzej. Czy z amerykańskiego, to nie wiem, ale nie wyciągamy pochopnych wniosków. Powiedz mi, jeżeli jawnie odrzucasz tego typu możliwości, to co według ciebie za tym wszystkim stoi?

Dziewczyna wzięła łyk wody, zostawiając sobie szklanekę w rękach. Wpatrywała się w nią przez chwilę, jakby na taflę mogła ujrzeć odpowiedź na zadane jej pytanie.

– Szczerze? Nie wiem. Ale wierzę, że jesteśmy świadkami zemsty.

Teraz prowadzący upił łyk wody, teatralnie odczekując odpowiednio długą chwilę, aby odpowiedź dziewczyny miała czas na zagnieżdzenie się w głowach odbiorców. Następnie zapytał:

– Zemsty? Kogo na kim? Zwierząt na ludziach?

– Tak, dokładnie. Może nawet nie zwierząt, ale, jakby bardziej... planety. Ogółu, wiesz. O, natury. Zobacz, co się dzieje. Co zrobiliśmy ze swoim podwórkiem. Zmieniamy klimat, i proszę cię, nie poruszajmy nawet tego tematu. Kto temu przeczy, dla mnie jest ostatnim ignorantem i idiotą. I nie ma sensu wchodzić z nim w polemikę, bo najpierw sprowadzi cię do swojego poziomu, a potem pokona doświadczeniem.

Ponowny śmiech na sali.

– A to akurat dobre, nie słyszałem tego jeszcze.

– Dzięki, nie moje, gdzieś tam przeczytałam. No, ale widzisz chyba, co się dzieje na planecie. Jest coraz więcej ekstremalnych zjawisk pogodowych, jak dyplomatycznie nazywają je mądre głowy w telewizji. Potężne tsunami, susze, dotkliwsze i dłuższe z roku na rok, pożary trawiące całe państwa. Samo się tak zrobiło? Od zawsze tak było? Nie.

– Cóż, niektórzy twierdzą, że właśnie tak. Że Ziemia wpadła teraz w taki cykl, a to, co zachodzi, jest normalne, tylko nie było nas tutaj w momencie, gdy to się działo ostatnimi razami. Ten cykl jest dość długi, z tego, co się orientuję.

– Wybacz mi, ale ja tego nie kupuję.

– Z tego, co wiem, twojej wersji również wiele osób nie kupuje.

– Nie muszą, oczywiście. Co do tych cykli, o których wspomniałeś. To, że po Ziemi przetoczyło się kilka fal masowego wymierania, jest faktem, chociaż głośno o tym się nie mówi. Może teraz jest kolejna taka fala? To byłaby szósta. I wierzę, że mocno się do tej fali przyczyniliśmy.

– Masowe wymieranie?

– Tak. Zdarzało się, że w wyniku różnych czynników Ziemia traciła lwią część swojej populacji. Można by je podzielić na dwa rodzaje, powiedzmy. Wewnętrzne, jak na przykład regresje morskie czy masowe zmiany klimatyczne, czego teraz poniekąd doświadczamy, lub zewnętrzne – jak na przykład uderzenie asteroidy, które było bezpośrednią przyczyną ostatniego wymierania sześćdziesiąt sześć milionów lat temu.

– Kawał czasu.

– Zależy, o jakiej skali mówimy.

– No dobrze, czyli według ciebie doświadczamy teraz masowego wymierania? Muszę przyznać, że między tym, co mówisz, a zachowaniem zwierząt nie widzę zbyt-niego związku.

– Związek między tymi rzeczami jest możliwy, ale jeszcze go nie znamy. Wydaje mi się, że, jak by to powiedzieć... że jesteśmy po części odpowiedzialni za to, co się dzieje. Może nawet nie po części, ale to po prostu nasza wina.

Prowadzący czekał, najprawdopodobniej czując, że to jeszcze nie koniec wypowiedzi. Nie mylił się.

– Myślę, że postawiliśmy naturę pod ścianą, zapędziliśmy ją w kozi róg. A ta, zamiast potulnie dawać się dalej terroryzować, bierze odwet. Pokazuje pazurki. Bo nic innego jej nie pozostaje.

– Czyli gnębiliśmy ją tak długo, aż doprowadziliśmy do kresu wytrzymałości? Wydaje mi się, że trochę generalizujesz i przepraszam za określenie, ale bardzo dużo w twojej wypowiedzi dramaturgii.

Dziewczyna wbiła wzrok w prowadzącego, ewidentnie czując, że ten zamierza z niej drwić.

– Dramaturgii? A powiedz mi, kiedy ostatni raz jadłeś świeże mięso? Chociaż w twoim przypadku to pewnie nie jest problem.

Prowadzący nie skomentował przytyku, odpowiedział natomiast na pytanie.

– Tak, ostatnio z mięsem jest różnie. Jego ceny wywindowały, ale to nawet nie jest główny problem. Raczej to, że mięso bardzo szybko się kończy.

– Oczywiście wiesz dlaczego, prawda?

– Muszę przyznać, że nie do końca. Do tej pory myślałem, że dlatego, że ludzie rzucili się na półki sklepowe, wykupując zapasy.

– To też, ale nie jest to jedyny powód. Mięsa nie ma, bo zaczęło gnić w zastraszającym tempie.

Prowadzący spojrział podejrzliwie na dziewczynę, przenosząc po chwili wzrok na widownię. Kilka osób patrzyło z trwogą w oczach, jednak było też sporo takich, które kiwały z uznaniem głową, ewidentnie dzieląc zdanie Słowika.

– Zaczęło gnić w zastraszającym tempie?

Prowadzący powtórzył to zdanie, oczami wyobraźni widząc jutrzejsze nagłówki gazet.

– Tak – powiedziała dziewczyna. Miała opanowany, spokojny głos, ale w jej wypowiedzi było coś złowieszczonego. – Posłuchaj. Zwierzęta atakują nas na każdym froncie. Są sprytnie, współpracują ze sobą. Jest ich znacznie więcej niż ludzi, na każdego z nas przypadają tysiące stworzeń. Łatwo je zabić? Czasem tak. Kiedy są w pojedynkę. I to jak masz broń, a spróbuj gołymi rękoma zabić owczarka niemieckiego, albo nawet krowę. Nie mamy nawet tylu kul do karabinów ani bomb. Do tego ich mięso po paru godzinach od zabicia nie nadaje się do spożycia, bo pomimo całego chemicznego zaplecza, jakie posiadamy, nie potrafimy zatrzymać procesu tego nagłego gnicia. I wszystko to zważyło się na nas tak nagle, że ledwo utrzymaliśmy się na nogach już

po pierwszym uderzeniu. Tysiące, miliony ludzi zginęły na całym świecie, zanim dotarło do nas, co się właściwie dzieje.

– Czyli?

– Przeżyliśmy. Natura ma nas dość.

Tym razem prowadzący nie rzucił żadnej błyskotliwej riposty.

Skryba skończył czytać. Obok tkwiło zdjęcie Słowika, ślicznej młodej dziewczyny z niesamowitym błyskiem w oku. Gdzieś, nie pamiętał gdzie, zobaczył informację, że kilka dni po programie jej ciało zostało znalezione w jej własnym mieszkaniu. Ktoś poderżnął jej gardło, zadając wcześniej kilkanaście ran ostrym narzędziem. Napad miał tło rabunkowe, bo z jej mieszkania zniknęło całe jedzenie. Natomiast wszystkie wartościowe przedmioty były tam, gdzie zostawiła je właścicielka.

Gdyby nie chwilowy status celebrytki, nikt nie kłopotałby się z napisaniem wzmianki do gazety. Podobne morderstwa były na porządku dziennym. ■

ROZDZIAŁ 23

Tatry, lato 2021

– Australia? – powtórzyła z niedowierzaniem Lena. Jej głos emanował ekscytacją, mimo tego, że wyprawa na drugi koniec świata była czymś absolutnie niemożliwym do zrealizowania. Tymczasem to przecież tylko kilkanaście godzin w samolocie. Co w tym było tak szczególnego?

To znaczy, tak było jeszcze kilka miesięcy temu, pomyślała z tęsknotą dziewczyna. Teraz taka wycieczka bardziej przypominała pionierską wyprawę w nieznaną, trwającą długie tygodnie, pełną niebezpieczeństw, brudu i cierpienia. Do tego należało dorzucić ciągły strach i niemalże pewną śmierć dla części załogi, gdyż bez ofiar na pewno by się nie obyło. Nie działały przecież lotniska, a niewielu potrafiło sterować statkiem, jachtem, katamaranem czy jakkolwiek inną pływającą lub latającą jednostką, zdolną dostać się na ten samotny kontynent.

Oczywiście, nie było też tak, że nagle wszystko stanęło – wręcz przeciwnie – paliwa, środków transportu, części zamiennych i podzespołów było pod dostatkiem. Tylko wszystko to znajdowało się w różnych miejscach i brakowało przeszkolonego personelu. I z każdym dniem było go coraz mniej. Oczywiście instrukcje obsługi pojazdów były cały czas osiągalne – tylko w mniej dostępnych miejscach, jak na przykład wielkie miasta, które coraz częściej stawały się twierdzami zwierząt.

– Australia – potwierdził Daniel, patrząc na Lenę twardym wzrokiem.

– To dupa. Przecież nigdy się tam nie dostaniemy – stwierdziła z pewnością w głosie. I niestety, w jej słowach było całkiem sporo prawdy, o czym Daniel wiedział. Niemniej wiedział również, że pomimo tego nie może odpuścić.

– A wolisz tu siedzieć i co? Czekać Bóg wie na co?

– Nie, ale nie mam pojęcia, dlaczego ani jak mielibyśmy wyruszać na drugi koniec świata, przecież ci mówię. No sam wiesz, nie udawaj. Ledwo jesteśmy w stanie wrócić cało ze zwiadu, nie wspominając o rajdach do miast.

Daniel sponsepniał. Jego szare oczy spowiła mgła, na ściągniętym czole pojawiły się zmarszczki. Spędzając ostatnie miesiące w górskich ostępach, wielokrotnie musieli zapuszczać się na tereny zurbanizowane w celu uzupełniania zapasów jedzenia i innych towarów. Wiedział, co tam się dzieje.

Nie wiedzieć dlaczego przypomniało mu się ich pierwsze spotkanie. Wtedy wyjechał po nich, bo od kilku godzin nie dawali znaku życia. W środku nocy, gdzieś między Warszawą a Łodzią, odnalazł dwa zniszczone auta i ciała najemników, którzy zginęli, chroniąc dziewczynę. Pamiętał, jak zaledwie kilka godzin wcześniej rozmawiał z Łukaszem, przypominał sobie też gorycz porażki i niesprawiedliwości, jaką czuł, gdy przyglądał się jego zmasakrowanej, zakrwawionej twarzy i rozszarpanej szyi. Pamiętał oczy wpatrujące się w nocne niebo i w gwiazdy, w te zimne i obojętne, drobne, świecące punkciki, mające za nic cierpienie i umieranie małych, nic nieznaczących istot ludzkich na Ziemi. W powietrzu unosił się zapach krwi i wnątrznosci, nie tylko ludzi, lecz również zwierząt, których ciała leżały wokół samochodów, na drodze,

w podwórkach i dalej, między domami. Ciała krów, byków, koni, psów, ptactwa. Wyglądało to jak sen rzeźnika, lecz pomimo olbrzymich strat, jakie poniosły zwierzęta, to ludzie przegrali tę potyczkę. Przyplacili ją życiem. Daniel nie potrafił i nie chciał tego zapachu rozróżniać. Fetor był fetorem, po śmierci wszyscy cuchnęli tak samo. Dziewczyny znalazł kilka kilometrów dalej.

Pamiętał też, że od tamtego dnia nie rozstawał się z Leną na dłużej niż dwanaście godzin, skrupulatnie wypełniając zadanie, które zostało mu powierzone. Doskonale wiedział, dlaczego była tak ważna dla doktora. Zastanowił się chwilę, po czym zapytał:

– Nie miałaś ostatnio żadnych... – przerwał, szukając odpowiedniego słowa. Nie lubił rozmawiać o wizjach dziewczyny, o jej rzekomej zdolności prekognicji. Nie wierzył w to, pomimo całej rewolucji, jaka się dotychczas wydarzyła. Lena nie potrafiła tego zrozumieć, ale szanowała jego zdanie, sama nie do końca rozumiejąc rzeczy, które widywała. Może po prostu umysł plątał jej figle, może przywoływał obrazy, dzięki którym łatwiej było się pogodzić ze śmiercią mamy? Na przestrzeni miesięcy wiele o tym myślała, nie dochodząc jednak do żadnych konstruktywnych wniosków.

– Wizji? – zapytała cicho, uciekając wzrokiem. – Nie, od paru miesięcy nie. Wcześniej miałam tylko te trzy, o których wam mówiłam – skłamała, patrząc mu twardo w oczy.

– Tak – pokiwał głową. – W drugiej to coś wchodziło do oceanu? Morza?

– Do jakiejś wody. Nie wiem dokładnie, przecież ci tłumaczyłam chyba ze dwadzieścia razy, że tam nie było znacznika, jak na mapach Google – dodała z wymuszonym uśmiechem, odrobinę bardziej agresywnie, niż zamierzała. – Ale to chyba był ocean. Nie wiem czemu, ale tak mi się wydaje.

– To by sporo tłumaczyło.

Lena zmarszczyła brwi. Takiej reakcji Daniela nie widziała nigdy wcześniej.

– No tak, zobacz, wszystko zaczęło się na górze, w Bhutanie. Potem były Indie, Bangladesz, prosto do zatoki i oceanu. Może dlatego twoje... wizje się urwały. Bo zesza pod wodę.

Lena przypomniała sobie ostatnią, która miała miejsce kilka miesięcy temu. Pomimo upływu czasu pamiętała ją bardzo dokładnie, jakby wydarzyła się zaledwie przed paroma godzinami. Wrażenie było takie, jakby oglądała film, w którym grała główną rolę.

Cały świat był zamglony i ciemny, jakby smagany wiatrem i burzą, szarpany przez bezlitosny sztorm. Dziewczyna stała na niewielkim wzniesieniu i obserwowała olbrzymie stado zwierząt zbliżające się do linii wody. Na przodzie znajdowała się ta sama istota, którą Lena widziała już wcześniej – wysoka, ciemnowłosa kobieta. Wzrostem dorównywała słoniowi, na którym niemalże władczo jechała. Wyglądała, jakby dosiadła tłustej świni z trąbą i wielkimi, oklapniętymi uszami. W pewnym momencie kobieta zwinnie zeskoczyła, odwróciła się do swojego stada, wypowiedziała kilka niesłyszalnych słów i spokojnie weszła do wody. Pomimo szalejącej burzy Lena miała wrażenie, że widzi w wodzie jakiś ruch. Może to były delfiny, może rekiny – tego nie potrafiła powiedzieć. Na pewno było tam kilka naprawdę olbrzymich sztuk, jak wielo-

ryby. Wyglądało to tak, jakby istota opuściła jedno stado i została przyjęta przez drugie.

– Może to ma sens – przyznała, odzyskując ostrość wzroku. – Może zeszła pod wodę, przez co, nie wiem, jakbym straciła zasięg? Wiesz, o co mi chodzi.

Daniel pokiwał powoli głową.

– A teraz odzyskałaś, bo ta istota wyszła z oceanu gdzieś na wybrzeżach Australii.

– Ale jeszcze nie miałam żadnej wizji.

– Myślę, że to się wkrótce zmieni – usłyszeli nowy głos. Zgodnie odwrócili się w stronę wejścia do pomieszczenia.

W progu stał doktor Rittner. Średniego wzrostu mężczyzna, praktycznie już u schyłku życia. Podpierał się drewnianą laską, z którą nigdy się nie rozstawał. Jasny garnitur, którego zwykł używać, musiał odłożyć na bok na rzecz praktyczniejszych i przede wszystkim wytrzymałych spodni wojskowych, koszuli i kamizelki – jednak za żadne skarby nie założyłby bojówek, wobec czego stał przed nimi w wyprasowanych w kant bawełnianych spodniach i dopasowanej kamizelce, opinającej białą koszulę z krótkim rękawem. Doktor był jednym z tych ludzi, którzy zawsze prezentowali się stylowo i dostojnie, roztaczając wokół siebie niewymuszoną atmosferę szacunku, godności i pewnego rodzaju ulotnej elegancji, której większość ludzi mogła im tylko pozazdrościć. Zamiast wyglądać jak obszarpany, desperacko walczący o życie człowiek, Rittner sprawiał wrażenie, jakby wybrał się na safari i dopiero co wysiadł ze swojego klimatyzowanego jeepa, zaglądając do jaskini celem zaspokojenia głodu lub odwiedzenia starych przyjaciół. Lena uśmiechnęła się na jego widok.

– Wasze przypuszczenia mogą być słuszne – kontynuował, wchodząc powoli do środka i od razu jakby biorąc pomieszczenie w swoje panowanie. – Ale nie zamierzamy czekać bezczynnie, nie po tak długim czasie. Już się nasiedziałem, nawet pomimo mojego wieku... – Na koniec uśmiechnął się, jakby zadowolony z faktu, że jak na swoje lata ma jeszcze wystarczająco dużo sił.

– Ruszamy do Australii? – zapytała z niedowierzaniem dziewczyna.

Doktor przyjrzał się jej szczupłej twarzy, wytrzymał świdrujące spojrzenie zielonych oczu. Prześlizgnął wzrokiem po dredach, niezależnie od trudów ostatnich miesięcy cały czas dobrze utrzymanych. Aktualnie były związane, tworząc ciężki kok. Pokiwał głową.

– Niezwłocznie.

Lena zmarszczyła brwi, z jednej strony zadowolona, z drugiej przerażona perspektywą takiej wyprawy. Chciała coś powiedzieć, chciała zaproponować, zapytać, jak to ma się odbyć, ale doktor ją uprzedził.

– Nie martw się transportem, poradzimy sobie. Mamy sprzęt, ludzi, wszelkie niezbędne środki. Przecież wiesz. Posiadam nielimitowane zasoby, dziecino – zapewnił ją z uśmiechem. Niewywyższającym się, lecz ciepłym uśmiechem człowieka pewnego siebie i spokojnego o swoją przyszłość. I absolutnie bez znaczenia było to, że wokół wszystko stało w ogniu. Z jednej strony trudno jej było w to uwierzyć, z drugiej natomiast zawdzięczała życie wspomnianym zasobom doktora, co było najlepszym potwierdzeniem jego słów. Wiedziała, że nie były to czcze przechwałki dwudziestolatka,

który chce zaimponować dziewczynie w wiadomym celu.

– Pieniądze chyba już nie są teraz tyle warte, co rok temu – zauważyła trafnie.

– Dziecko, pieniądze nie są jedyną walutą obowiązującą na tym świecie. Większą wartość ma czasem lojalność lub zwykła ludzka wdzięczność.

Lub strach, pomyślał Daniel, ale zachował tę myśl dla siebie. Zerknął przy tym na człowieka, który pojawił się nagle za doktorem. Peta, wielki, zwalisty najemnik, stał za swoim panem niczym cień, chociaż bardziej przypominał obsydianowego gargulca. I był równie urodziwy.

– Idź teraz, odpocznij. Oczyść umysł, niedługo nasza przyjaciółka może ci się znowu objawić. Nie kłopotz się wyprawą.

Mimo że chętnie by jeszcze podyskutowała, dziewczyna zrozumiała aluzję. Podziękowała, kiwnęła głową doktorowi i Danielowi, a następnie skierowała się do wyjścia, witając się po drodze z Petą. Ten skinął nieznacznie głową. Lena wiedziała, że nie musi posyłać żadnych specjalnych znaków Zośce siedzącej przy aparaturze. Dziewczyna powtórzy jej wszystko, czego się dowie.

– Musimy porozmawiać – powiedział doktor, gdy tylko Lena wyszła z pomieszczenia. Odezwał się zmienionym, twardym głosem, przez który jednak przebijało zmęczenie. – Monitorujcie dalej, zapisujcie wszelkie informacje. Za chwilę wracam.

Przeszli do kanciapy, w której zwykł spać Daniel. Trudno było znaleźć lepsze określenie na tę niewielką kłitkę wykutą w skalnej ścianie, w której jedynymi sprzętami były łóżko, krzesło i odwrócona skrzynia, na której leżała teraz książka. Na suficie dyndała naga żarówka, zalewająca wszystko delikatnym, żółtym światłem, a za drzwi robił zawieszony na sznurze wojskowy koc. Było tu znacznie zimniej niż w pomieszczeniu technicznym.

– Nie wiem, jak ty to widzisz – zaczął Daniel.

– Normalnie, już nie róbcie z tego takiego dramatu.

– Jak to nie róbcie? Doktorze, przecież to jest drugi koniec świata. Nie mówimy o Włoszech, Hiszpanii, nawet nie o Afryce. Chodzi o Australię.

Pomimo przejścia z doktorem na ty Daniel, zresztą tak samo jak wszyscy inni, nie potrafił się przestawić i mówić do przełożonego inaczej niż dziwną mieszanką języka formalnego z nieformalnym. Ritter wielokrotnie próbował go nakłonić do mówienia mu po imieniu, ale w końcu dał za wygraną.

– W Zakopanem stoją zatankowane i gotowe do lotu śmigłowce. Trzy, z czego dwa transportowe i jeden bojowy. Obstawione przez trzydziestu ludzi, zabezpieczone, załadowane potrzebnym sprzętem. Przed wejściem do jaskini czekają trzy opancerzone Hummery, jak się domyślasz, gotowe do waszej szybkiej ewakuacji. Mówię ci, że sobie poradzimy. Zaufaj mi. Mamy zaplanowaną trasę, śmigłowcami dolecimy maksymalnie daleko, a może nawet do samej Australii, a szczerze myślę, że tak to właśnie będzie wyglądało. Zależy, jak się rozwinie sytuacja, ale mamy opracowane różne warianty, różne alternatywy, plany awaryjne i plany awaryjne planów awaryjnych. Poradzimy sobie. Tak jak do tej pory sobie radziliśmy.

Daniel przyjrzał się doktorowi, nie rozumiejąc, jak zgromadził takie dobra, podczas gdy oni, siedząc w Tatrach, ledwo wiąźali koniec z końcem. Błysk w jego oku

zdradzał, że trzyma w rękawie niejednego asa.

– Twoim zadaniem było zabezpieczenie Leny, z czego wywiązałeś się doskonale. Znalazłeś dobre, trudno dostępne, przede wszystkim dla innych ludzi, miejsce, utrzymałeś je, zaadaptowałeś. Nauczyłeś dziewczynę radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Tak, wiem, że wychodziła poza teren bazy i że robiła sobie, że tak powiem, spacer. I wiem też, że zawsze za nią podążał twój strażnik, a za nim z kolei mój, o czym ty już nie wiedziałeś. Bez wątpienia lepiej jej to zrobiło, niżeli miałyby siedzieć w złotej klatce, z której nie wyniosłaby żadnej nauki.

Daniel przełknął ślinę, zły na swojego przełożonego. Może nawet nie tyle zły, co zawiedziony – nie znał jego planów, nie wiedział, że są monitorowani. Myślał, że miał jakąś autonomię, że mógł podejmować decyzje i odgrywać ważną rolę w planie doktora, tymczasem okazało się, że wszystko było już z góry ustalone, a on był tylko zwykłym, nic niewartym pionkiem. Możliwym do wymiany przy najbliższej okazji, bo pewnie doktor miał podobnych pionków całą szufladę.

Widząc wyraz twarzy swojego podwładnego, Rittner kontynuował:

– Dobrze... – Zamilkł na chwilę, jakby szukając odpowiednich słów. – Powtarzam, dobrze wykonałeś swoje zdanie. Lena ma najwyższy priorytet, dlatego do jej ochrony przydzieliłem najlepszego człowieka. Ale musiałem też podjąć dodatkowe środki bezpieczeństwa, jestem pewien, że to rozumiesz, znasz mnie zresztą. Nie ma to nic wspólnego z brakiem zaufania do ciebie czy do twoich kompetencji. Jest wywołane tylko i wyłącznie troską o dziewczynę. Nie zapominaj dlaczego i nie próbuj sobie wmawiać, że jest inaczej.

Zastanowił się przez chwilę, po czym zapytał:

– Czy... czy ona miała ostatnio jakieś wizje?

– Nie, nic.

– Szkoda. Wielka szkoda. Szczerze liczyłem na to, że odizolowanie jej, odcięcie od miasta i większego skupiska ludzi przyniesie oczekiwany skutek. Że wizje przybiorą dzięki temu na sile i częstotliwości.

Daniel kiwnął głową, przełknąwszy ciężką gulę zalegającą mu w gardle. Zaskoczyło go, że informacje przekazane przez przełożonego dotarły do niego z taką siłą, poruszyły sznurki, które od dawna zdawały się być odcięte. Zwalił to na karb wielomiesięcznej walki o jutro, stresu i ciągłego zachowywania najwyższego stanu gotowości bojowej.

– Niestety. Odnośnie do reszty to... tak, oczywiście. Rozumiem. Ile mamy czasu na spakowanie?

Doktor uśmiechnął się, widząc, że może udało mu się w jakiś sposób przemówić do Daniela, chociaż przeczuwał, że mężczyzna zmienił temat, aby móc odejść i zająć się swoimi sprawami.

– Wyrobicie się w trzy godziny?

Daniel skinął głową i wyszedł wydać stosowne polecenia, zadowolony z faktu, że może czymś zająć nie tylko ręce, ale i przede wszystkim głowę. Doktor odprowadził go uważnym spojrzeniem. ■

ROZDZIAŁ 24

Australia, lato 2021

Matka zeskoczyła z urwiska. Wylądowała miękko, od razu kucając i dotykając dłońmi spękanej ziemi. Zaplecione we włosy koraliki zaklekotały przy tym radośnie. Następnie wyprostowała się powoli i nabrała w płuca gorącego australijskiego powietrza. Delektowała się ciepłem, które rozeszło się po jej ciele.

Jakże przyjemnie było wyjść z tej śmierdzącej, zatęchłej jaskini w Bhutanie i znowu oddychać świeżym powietrzem. Względnie świeżym, gdyż nawet w tak dzikim miejscu powietrze śmierdziało jej smogiem.

Po chwili pojawiła się przy niej Bestia, która zeszła po skalnej ścianie, jakby poruszała się po normalnej, płaskiej powierzchni. Matka pogłaskała stworzenie po wielkim jak pień dębu karku, co Bestia skwitowała cichym mruknięciem. Następnie rozejrzała się wokół. Daleko, daleko przed nią piętrzyły się skalne ściany masywu Gór Błękitnych, chociaż były zaledwie cienką linią, majaczącą gdzieś na granicy horyzontu. Czekala ją jeszcze długa droga, aczkolwiek była prawie u celu swej wędrówki. Przy najmniej tego etapu.

Nie miała na co czekać. Ruszyła przed siebie, stawiając długie, pewne kroki. W końcu była u siebie, gdziekolwiek się znajdowała, i nie zamierzała o tym zapomnieć, niezależnie od tego, jak wrogo będzie traktowana. Zbyt długo odpoczywała, zbyt długo tkwiła w izolacji, żeby teraz na coś czekać.

W międzyczasie jej nowe stado przeniosło się kilka metrów w dół, aby ponownie otoczyć opieką swoją stworzycielkę. Jedne zwierzęta musiały zbiec okreśną drogą, inne sfrunęły, niektóre pomagały sobie wzajemnie. Tu było inaczej niż w Bhutanie i Indiach, gdzie rozpoczęła swoją wędrówkę. Teraz towarzyszyły jej kangury, olbrzymie, ciężkie jaszczury, psy dingo. Przedstawiciele przeróżnych gatunków, setki stworzeń współgrających jak jeden organizm w doskonałej, spójnej harmonii, skąpanych w blasku zachodzącego słońca, odbijającego się od łusek, piór i sierści.

Lecz nie każdemu ta wielobarwna harmonia się podobała.

Zanim padły pierwsze strzały, Bestia zastrzygła uszami i obnażyła kły, opuszczając łeb, co dla Matki było wystarczającym ostrzeżeniem. Wydała krótki, przypominający syknięcie rozkaz i jej stado rozlało się po okolicy niczym fala przyprływu, chociaż nie wszystkie zwierzęta zdążyły czmychnąć na czas.

Zaatakowali znienacka. Pierwsze pociski bezlitośnie wyszarpywały strzępy ciał zaskoczonych stworzeń, a Matka nie mogła sobie teraz pozwolić na ich leczenie. Grymas wściekłości wykrzywił jej twarz, upodabniając ją do maski demona, najstraszliwszego diabła z ostatnich kręgów piekielnych. Jej naszyjnik z włosów i kości rozjarzył się jasnym, karmazynowym światłem, tak samo jak oczy otaczających ją stworzeń.

Chętnie podjęła wyzwanie.

Marszcząc nos, obnażyła zaciśnięte zęby i ruszyła do ataku. Szybko wyprzedziła zwierzęta, które rzuciły się naprzód jako pierwsze, doskonale rozumiejąc niewypowiedziany rozkaz swojej pani. Jej stopy miarowo uderzały w spękana ziemię, unosząc

w górę suchy pył, gdy Matka nabierała coraz większego tempa. Kipiała od przepelniającej ją energii i w przeciwieństwie do intencji, jakimi się od zawsze kierowała, nie zamierzała teraz tworzyć. Teraz zamierzała zabijać.

Nastał czas kłów i pazurów.

Czas krwi, potu i łez.

Ludzie od zawsze lubowali się w uśmiercaniu.

Dostaną więc to, czego tak bardzo pragną.

Proszę bardzo.

Krzyknęła wściekle, pochylając głowę i jeszcze bardziej przyśpieszając. Wokół świsnęły pociski, a ona sadziła długie, potężne susy i zaledwie po kilkudziesięciu sekundach znalazła się tuż przed samochodami opancerzonymi, z których prowadzony był zaciekły ostrzał. Dotarła do nich pierwsza, samotna – zwierzęta nie nadały za swoją olbrzymią panią, z wyjątkiem ptactwa oraz jej przybocznej Bestii – najwierniejszego i najpotężniejszego sojusznika.

Matka doskoczyła do najbliższego jeepa, ukucnęła, złapała rękami spód samochodu i prostując nogi, rzuciła nim w tył. Auto przeleciało parę metrów w powietrzu, robiąc efektowne fikołki, po czym zmiażdżyło kolejnego jeepa. Przerazone krzyki załogi szybko umilkły, zamieniając się w jęki bólu i zaskoczenia. Następnie wskoczyła między samochody, które nie zdążyły się wycofać na tyle, aby prowadzić ogień na bliskim dystansie, jednocześnie nie trafiając siebie nawzajem, i zaczęła je atakować. Pancerne szyby pękały pod naporem uderzeń, jakby były zrobione ze zwykłego szkła, wzmacniana blacha ustępowała pod jej uderzeniami. Matka słyszała piski umierających stworzeń, co tylko potęgowało jej wściekłość i dodawało jej energii. Naszyjnik aż wibrował. W pewnym momencie złapała za kamizelkę taktyczną kierowcę jednego z aut i wyciągnąwszy go na zewnątrz, wyrzuciła za siebie. W amoku nie czuła trafiających ją pocisków.

Tymczasem Bestia dopadła następnego jeepa. Potężnym uderzeniem wielkiego łapska wbiła pazury w boczne drzwi, zacisnęła je i wyszarpnęła je z zawiasów z taką siłą, jakby zrobione były z kartonu, a nie z prawie centymetrowej grubości blachy. Ze środka dobiegły krzyki przerażonej załogi, rozległy się strzały z broni krótkiej – ale Bestii już tam nie było.

Jeden z siedzących w środku żołnierzy przez kilka trwających wieczność uderzeń serca przyglądał się bitwie przez otwór po wyrwanych drzwiach. Wszystko docierało do niego jak przez mgłę, co chwila było widać gdzieś jakieś zwierzę – to kangura, to dzikiego konia.

– Nie strzelajcie – powiedział do swoich towarzyszy, łudząc się, że może uda się im pozostać niezauważonymi. Może z powodu braku drzwi zwierzęta i te przekłete potwory uznają, że samochód został już zniszczony i nie ma tu czego szukać.

Gdy jednak pierwszy dingo zbliżył się do otworu, a mężczyźni zaczęli panicznie strzelać, jego złudzenia się rozwiały. Również otworzył ogień, lecz nie na wiele się zdało. Zwierzęta próbowały wdrzeć się do środka niczym niepowstrzymana powódź. Magazynki szybko się kończyły, nie było kiedy ich wymieniać. Któryś wyciągnął nóż, ale na niewiele się przydał. Żołnierze odpędzali od siebie jedno stworzenie, ale

w jego miejsce natychmiast pojawiały się dwa lub nawet trzy inne, wściekłe, żądne krwi zwierzęta, które gryzły, drapały, kąsały i dziobały, odsyłając ludzi na tamten świat w niewyobrażalnie brutalnej agonii.

Załoga ostatniego samochodu zamknęła szczelnie wszystkie włązy, wystawiając tylko lufy karabinów przez niewielkie otwory strzelnicze.

– Jezus Maria, miej nas w opiece – wyszeptał Jaymes, dwudziestodwulatek, który został wcielony do wojska zaledwie tydzień przed początkiem końca świata. Był kierowcą, dostał doskonale miejsce w pierwszym rzędzie. Na jego oczach jeden z jeepów został dosłownie zalany falą zwierząt, które wdzierały się do środka każdym możliwym otworem. Widział też dziwnego, białego goryla, który poruszał się na tylnych łopach jak człowiek. Przebiegał od samochodu do samochodu, uszkodzając go lub otwierając pancierz, jakby ten był zrobiony z tektury. Chłopak, nie bardzo rozumiejąc, na co patrzy, przełknął ślinę, zerkając następnie na opuszczoną na szybę kratę, która skutecznie broniła ich przed falą atakujących ptaków. Za wszelką cenę chciały się one dostać do środka, ale krata była dla nich przeszkodą nie do pokonania. Młodzieniec jednak wątpił, żeby trwało to wiecznie. Co parę sekund jakieś większe zwierzę odbijało się od pancerza Hummera, wywołując w środku głucho łupnięcia. Stworzenia krążyły wokół pojazdu niczym wilki wokół rannego, konającego łosia. Jaymes zwątpił, aby jeszcze kiedykolwiek udało mu się zobaczyć wschód słońca, ale przyjął to zaskakująco dobrze.

– Zabierz nas stąd, spieprzamy! – krzyczał ktoś z tyłu, w panice zmieniając magazynek.

– Echo Charlie, tu Zespół Czwarty, chyba... znaleźliśmy ją, powtarzam, znaleźliśmy ją. Dostajemy łomot, wycofujemy się, powtarzam, wycofujemy się – dowódca próbował się porozumieć z bazą. Nagły trzask spowodował, że mężczyzna aż odetchnął z ulgą.

– Echo Charlie, tu baza, przyjąłem, wycofajcie się. Wysyłamy śmigłowce, żeby was osłaniały. Kierunek pięć-dwa-zero.

– Przyjąłem, potwierdzam, bez odbi... – nie skończył, gdyż dziwny grymas bólu wykrzywił jego twarz. Jaymes zobaczył, jak jego przełożony nagle drży spazmatycznie, jakby przez jego ciało przechodziły skurcze orgazmu, jeden po drugim, raz za razem.

W pierwszej sekundzie nie rozumiał, co się stało, przecież żadne zwierzę nie dostało się do środka. Może jakieś zwarcie w instalacji – przeszło mu przez myśl i w tym momencie poczuł, jak fala niewyobrażalnego ciepła i bólu rozlewa się po jego karku. Miał wrażenie, jakby ktoś naciął go rozżarzoną sztyletem i do powstałej rany wlał wrzątek. Czuł, jakby jego ciało oblano kwasem – w środku i na zewnątrz jednocześnie. Chłopak stęknął i osunął się na bok fotela. Poczuł, jak jego gardło zaciska się, jak mimowolnie napinają się jego wszystkie mięśnie. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, była wlewająca przez otwory strzelnicze coraz śmielsza fala jasnych, małych skorpionów, pajaków i węży.

Matka pochyliła się nad ostatnim z aut. Zwierzęta słyszące jej wewnętrzny głos wycofały się, a ostatnie dwa dingo wyciągnęły z pojazdu przerażonego mężczyznę.

Broczył krwią z wielu ran, rozglądając się oszalałymi z przerażenia oczami wokół siebie. Gdy zobaczył nienaturalnie wysoką, nagą kobietę pochylającą się nad nim z wyciągniętą ręką, nawet nie poczuł, jak jego spodnie robią się mokre od moczu. Zamknął natomiast oczy, modląc się o szybką śmierć.

Kilkadziesiąt sekund później Matka opuściła jego pustą czaszkę na ziemię. Oblizwała krew z warg i dłoni, smakując wspomnienia i wiedzę człowieka. Zacisnęła zęby, gotując się na to, co ma się stać. Nie będzie tak łatwo, jak się spodziewałam, pomyślała z żalem, ale i z pewną ponurą satysfakcją. W końcu trafił się godny przeciwnik, jej stworzenia ewoluowały, stając się zaskakująco silne. Wszystko przez to, że za długo pozostawała w zamknięciu. To może utrudnić jej działanie, niemniej przecież nie wiedzieli, w jakim celu tu się znalazła – wyczytała to z mózgu zamordowanego człowieka. Zobaczyła też znacznie więcej.

Widziała całe garnizony żołnierzy, broniące największych skupisk ludzi, pełnych wysokich wież z kolorowego kamienia i szkła, otoczonych piekącym drutem. Widziała dziwne dzidy, które potrafiły razić na odległość, wyrzucając wybuchające kule, statki powietrzne niczym olbrzymie ważki, jakie zamieszkiwały planetę miliony lat temu. Widziała też pojazdy przypominające pancerniki, przewożące w swoich brzuchach ludzi i plujące z odwłoków trującą siarką.

Jednak wiedziała, że to wszystko zostało stworzone dzięki ofiarowanym przez nią materiałom. Była też pewna, że na nic zdadzą się plujące ogniem patyki i wybuchające kule, gdy odzyska swoje atrybuty. Wtedy pokaże swoją prawdziwą siłę, zademonstruje, czym naprawdę są wściekłość i zniszczenie, czyli wszystko to, co ludzie tak bardzo sobie upodobali.

Uśmiechnęła się ponuro, z pewnym niesmakiem stwierdzając, że wcale nie ewoluowali aż tak bardzo, jak im się wydaje.

Australia, parę dni później

Sara stała na krawędzi urwiska i przyglądała się przez lornetkę oddalającemu się stadu. Rozciągało się na szerokość kilkuset metrów i ciągnęło w dal na odległość, która wykraczała poza zasięg wzroku dziewczyny. Odjęła lornetkę od oczu i przyjrzała się zwierzętom, chcąc ogarnąć wzrokiem szersze terytorium dla lepszego porównania. Potrzebowała jakiegoś punktu odniesienia. Jednak szybko stwierdziła, że nie miało to sensu. Było ich zwyczajnie zbyt dużo.

Masa zwierząt wyglądała bardziej jak fala powodziowa, która leniwie, nieubłagalnie, acz konsekwentnie wdzierała się coraz głębiej w łąd. Jak jęzor lawy spływający ze zbocza wulkanu, powolny, ale jakże śmiertelnie niebezpieczny. Gdyby nie pył unoszący się za zwierzętami i ptaki – setki, tysiące, a może i dziesiątki tysięcy ptaków kłębiących się chaotycznie nad tymi, które latać nie potrafiły – gdyby nie to wszystko, Sara bez wątplenia stwierdziłaby, że to jakieś zjawisko naturalne, a nie zwierzęta. Jakaś lawina błotna, pożar trawy, cokolwiek, ale przecież nie zwierzęta, gdyż zwyczajnie taka liczba przedstawicieli fauny zgromadzona w jednym miejscu przekraczała jej wyobrażenia.

Żywa masa sunęła jednak dalej, zupełnie nie przejmując się zdaniem małego człowieka z lornetką, stojącego kilkaset metrów na południe od niej. Na jej czele kroczyła olbrzymia kobieta, Matka, która z satysfakcją wyczuwała strach ludzi poukrywanych po okolicy, z trwogą obserwujących tę masę kroczących stworzeń. Ludzie wiedzieli już, czym są zwierzęta, rozumieli, czym grozi spotkanie ze sforą psów czy samotnym niedźwiedziem, doświadczali takiego samego lęku, jak ich przodkowie wiele setek lat wcześniej. Matka czuła ich przerażenie, czuła, jak ich małe, plugawe serca kurczą się ze strachu. I czuła się przez to bardzo, bardzo dobrze.

– Co widzisz? – usłyszała Sara. Odjęła lornetkę od oczu i bez słowa podała ją Chrisowi.

Ten przez chwilę patrzył na to, czemu wcześniej przyglądała się dziewczyna. Następnie oddał jej lornetkę.

– W cholere ich.

Sara uśmiechnęła się z politowaniem. Nigdy jeszcze nie czuła się tak mała, tak nieważna jak teraz. Może jedynym wyjątkiem był moment, gdy spotkali Matkę twarzą w twarz w jaskini Gangkhar Puensum, do którego to wydarzenia równie często wracała, co wracać nie chciała.

– Rośnie w siłę – powiedział podchodzący do nich Pierwszy Brat. Opierając się na kij, spojrzął zamyślnym wzrokiem w dal, wyobrażając sobie, jak trudne zadanie postawił przed nim los. Czy da radę mu sprostać? Z dnia na dzień bardziej wątpił, czuł, jak coraz szybciej opuszczają go siły. I co najgorsze, w tak krytycznym momencie.

– Co teraz? – Chris zerknął w jego stronę. Chciał wiedzieć, jaki konkretny plan usłyszy, bo dotychczas mnich pozostawał tajemniczy lub mówił im rzeczy, w które dość trudno było uwierzyć. Dotarli jednak wspólnie na drugi koniec świata, należały im się zatem jakieś wyjaśnienia.

Pierwszy Brat chyba wyczuł to z tonu głosu Chrisa. Sara stała z boku, biernie przysłuchując się wymianie zdań, ze wzrokiem wbitym w odpływającą rzekę zwierząt. Był z nimi jeszcze jeden mnich, kolejny natomiast pilnował stojących kilkadziesiąt metrów dalej aut.

– Musimy ją wyprzedzić. To nasza jedyna szansa. Zyskać przewagę i dotrzeć do miejsca kultu przed nią – odpowiedział, bijąc się z myślami. Mnich, który im towarzyszył, z zaskoczeniem spojrzął na Pierwszego Brata. Ten jednak uśmiechnął się pojednawczo, zastanawiając się zarazem, czy jego człowiek zrozumiał, że zdradzenie informacji na temat cudownego artefaktu nie oznacza podania jego lokalizacji.

– O tym już wspominałeś, a powiesz nam, gdzie to miejsce się znajduje? Dokładnie. Wtedy możemy, wiesz, wspólnymi siłami wybrać jakąś trasę. Nie boisz się chyba, że zostawimy cię i ukradniemy ten twój cudowny przedmiot, który prawdopodobnie i tak nie istnieje?

Chris nie mógł się powstrzymać przed tym, by zakończyć zdanie ironicznie, po prostu nie wytrzymał. I wcale nie próbował się opanowywać, czego był doskonale świadomy i co dawało mu głupią, łobuzerską satysfakcję. Jedną z niewielu rzeczy, które go jeszcze jakoś cieszyły.

Jednak Pierwszy Brat także tym razem pozostał obojętny na jego zaczepki.

– Artefakt jest w górach. Właściwie to w ich wnętrzu, głęboko w kompleksie jaskiń Jenolan. Zakon ukrył go tam przed wieloma wiekami w miejscu, które następnie zostało zapieczętowane i zapomniane. Odcięte od reszty świata. I takim powinno pozostać. Im mniej osób o tym wie, tym lepiej. Dla wszystkich.

Chris odetchnął głęboko, czując, jak gorące powietrze aż parzy go w nozdrza. Australijskie słońce dawało się im coraz bardziej we znaki, jakby niebiosa chciały dorzucić swoich kilka groszy do toczącej się na ziemi potyczki. Mężczyzna ostentacyjnie westchnął.

– Dobrze więc. Jaskinie Jenolan, to już coś. Sara, kojarzysz je pewnie?

Dziewczyna uniosła brwi.

– Tak, oczywiście. Znam ten kompleks, to znaczy, na tyle, na ile można go znać. Swoją drogą, ściągnęli mnie stamtąd, żebym poleciała na Ganghar.

Pierwszy Brat i Chris spojrzeli na nią uważnie, nie do końca rozumiejąc.

– Kompleks jest olbrzymi – zaczęła tłumaczyć. – To jeden z największych systemów na świecie. Poznaliśmy już wiele odnóg, ale jeszcze cała masa czeka na odkrycie. Z jaskiniami czasem jest tak, że za jakimś gładem może znajdować się wąziutkie, takie maleńkie przejście, przez które człowiek ledwo da radę się przeczołgać, ale prowadzi ono do kolejnego systemu, który jest tak wielki i skomplikowany, jak nowojorskie metro. Pierwszy, wiesz, gdzie dokładnie jest ukryty ten artefakt?

Mnich milczał, wymownie patrząc na Sarę.

– Super. To albo nam powiesz, albo będziemy łązić po tych jaskiniach do usranej śmierci, chociaż i to pewnie by nie wystarczyło.

Westchnęła ciężko, odwracając się od mnicha. Spoglądała w dal, na gorący i suchy australijski krajobraz. Zatęskniła za domem.

– Wejście zostało zaplombowane – usłyszała w końcu.

– A masz klucz? – wtrącił Chris.

– Powiedzmy, że mam.

– Jak to powiedzmy? No albo masz, albo nie masz, to chyba proste. – Chris zaczął znowu się nakręcać, jednak po chwili powiedział, jakby do siebie: – Zresztą, jakie to ma znaczenie.

Ruszył w stronę aut. Mnich przez chwilę wiódł za nim wzrokiem, jednak jego spojrzenie szybko przeskoczyło na Sarę. Dziewczyna patrzyła na niego podejrzliwie.

– Mam. Zaufaj mi. Jak znajdziemy się wystarczająco blisko, to znajdę i otworzę przejście.

Sara nadal patrzyła na niego bez słowa. Wreszcie spuściła wzrok i ruszyła za Christem.

Pierwszy Brat wypuścił powoli powietrze, łapiąc spojrzeniem pozostałych dwóch mnichów. Jeden coś przyczepiał na dachu auta, drugi stał na czatach, co i rusz zerkał ukradkiem na przywódcę. Dobrze, że miał ich ze sobą.

Następnie wzrokiem odprowadził odchodzących Sarę i Chrisa, którzy już zrównali krok i o czymś cicho rozmawiali.

Mnich wielokrotnie zastanawiał się, dlaczego właściwie ciągnął ich za sobą, dlaczego ich drogi nie rozeszły się i każde nie poszło w swoją stronę. Jedyne, co mu wte-

dy przychodziło do głowy, to to, że jedno z nich może jeszcze odegrać w tym wszystkim znaczącą rolę, której nie sposób było przewidzieć. Czuł jednak, że warto o nich dbać i trzymać przy sobie.

Jeszcze wtedy nie miał pojęcia, jak blisko był prawdy. ■

ROZDZIAŁ 25

Dziennik Skryby
Zeszyt Trzeci, strona 57

Zapiski z przesłuchania Hugo Martinez, pilota śmigłowca ratowniczego, służącego w Straży Ochrony Wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Z czerwca lub początku lipca tego roku.

Odręcznie spisana notatka Skryby pozwalała łatwiej zlokalizować wiadomość w czasie i przestrzeni. Chudzielec zaczął czytać tekst, szybko dając się porwać słowom. Niemalże czuł gorąco tamtego dnia.

– Dobrze, może powie pan jeszcze raz. Co dokładnie pan widział?

Mężczyzna westchnął, z niesmakiem rozglądając się po pomieszczeniu. Właściwie nie tylko z niesmakiem, ale też z pewnego rodzaju... strachem? Agent FBI nie był pewien, intuicja jednak podpowiadała mu, że to nie spotkanie jest powodem, który mógłby wywołać w pilocie uczucie lęku.

– Otrzymaliśmy wezwanie od prywatnej jednostki.

– Jachtu?

– Tak. Wezwanie pomocy, ale inne niż dotychczas. Nigdy czegoś takiego nie słyszałem. Kapitan jednostki twierdził, że zostali zaatakowani.

– Na pełnym morzu to nie jest taką znowu rzadkością. Kto ich zaatakował?

Pilot chwilę milczał, w końcu jednak spojrział niepewnym wzrokiem prosto w oczy przesłuchującego go funkcjonariusza.

– Wieloryby.

Przesłuchujący go agent jakby nie do końca zrozumiał odpowiedź. Zareagował beznamiętnie.

– Czyli że co, płetwal przepływał obok, oblał ich wodą i załoga uznała to za atak? Nie mogli po prostu odpłynąć? Z tego, co się orientuję, mieli – przerwał, spoglądając w akta – dość mocną łódź.

– Nie wiem, dlaczego nie mogli. Może popsuł im się silnik, nie było wiatru, więc mogli tylko dryfować? Widziałem z góry, jak... no, ten. Widziałem wieloryby.

– Kilka? Ile? – zapytał spokojnie agent.

Był przyzwyczajony do rozmów z zestresowanymi osobami, do przesłuchiwanie ludzi, którzy dopuszczali się przemocy lub byli świadkami straszliwych scen. Wiedział, kiedy powinien naciskać, a kiedy tylko subtelnie pociągać za sznureczki.

– Co najmniej dwa, trzeci krążył kilkadziesiąt metrów dalej.

– Wie pan, jaki to był gatunek?

Strażnik spojrział na niego.

– Nie, nie znam się aż tak. To nie były kaszaloty, o, tyle wiem. Więcej niestety nie. Zresztą, jakie to ma znaczenie?

– Jakies może mieć. Dobrze, proszę mówić dalej. Widział pan te wieloryby, i co

one robiły? Krążyły wokół łodzi? Nawiązał pan z nią kontakt?

– Tak, już wcześniej i nie rozłączaliśmy się. Coś wspominali o uszkodzonym silniku. Teraz mi się przypomniało, przepraszam.

– Proszę mówić dalej – powiedziawszy to, agent zanotował coś w swoim zeszycie. Mężczyzna przełknął głośno ślinę. Wyszło mu w gardle i mimo że sam niczego złego nie zrobił, już się żegnał z rodziną i wolnością.

– No więc leciałem do nich i zgodnie z procedurą najpierw zrobiłem niewielkie koło wokół jednostki. Wiedziałem, że nie tonie, na pokładzie nikt nie był ranny, więc mogłem... poza tym chciałem się lepiej rozeznac w sytuacji, wie pan. Zobaczyłem wtedy jak... te... wieloryby nadpływają z dwóch różnych stron. Tego nie da się pomylić z niczym innym, wielkie, ciemne plamy tuż pod lustrem wody. Płynęły od lewej i prawej burty. Z lewej dwa, od prawej jeden. Wiem, że takie zwykłe uderzenie w burtę nie powinno wyrzucić tak dużej jednostki, dlatego myślę, że specjalnie tak się ustawiły...

Agent przerwał:

– Zrobiły to specjalnie? Ustawiły się tak celowo, aby przewrócić łódź?

Przesłuchiwany mężczyzna musiał wyczuć sarkazm w jego głosie, gdyż odpowiedział szybko:

– Nie wiem. Mówię tylko, co widziałem i co mi się wydawało. To znaczy dlaczego robiły to, co robiły. Nie znam się na wielorybach, mówiłem już – powiedziawszy to, rozłożył ręce w przeproszającym geście.

Agent FBI milczał przez chwilę, uważnie przyglądając się ratownikowi. Mierzyli się wzrokiem, aż pilot powiedział:

– W końcu dwa napały na burtę, a jeden od spodu na miecz. Pchały w przeciwne strony, więc łódź musiała się poddać.

– Dobrze, zanotowałem. Co było dalej?

– Ludzie wypadli za burtę, łódź była odwrócona i nie dało się na nią wejść.

– I wtedy ich pan zabrał?

Powolne kiwanie głową. Mężczyzna spuścił wzrok.

– Nie.

Agent milczał chwilę, starając się wyczuć moment, w którym powinien się odezwać. Miał wrażenie, że jego rozmówca skurczył się, jakby chciał zniknąć.

– Co było dalej? – zapytał, gdy w końcu uznał to za stosowne. Pytanie zapadło cicho, spokojnie. Wypowiedział je niczym przyjaciel, który obejmuje nas ramieniem i któremu bez problemu możemy zaufać.

Przesłuchiwany mężczyzna milczał przez chwilę, w głowie odtwarzając wydarzenia, których był świadkiem. Nie chciał o tym myśleć, nie chciał tego pamiętać.

Ze swojego śmigłowca widział wszystko bardzo dokładnie. Duże, ciemne plamy oddaliły się, a z głębin wypłynęły mniejsze, zwinniejsze. Szybko zbliżyły się do przewróconego jachtu. Widział ludzi wypływających spod przewróconego kadłuba, rozglądających się w panice, machających do niego. Potem widział już tylko wodę, tak szybko zabarwiającą się na jasną czerwień, i słyszał krzyki przerażonych i cierpiących ludzi. Mężczyzn, kobiet. I dzieci. O tak, wszystkich jednakowo. Nikt nie miał szans,

a on nie pomógł, nie zdążył uratować nawet jednego człowieka. Wisiał wysoko, haniebnie bezradny i sparaliżowany widokiem, który miał wątpliwą przyjemność oglądać. W końcu uniósł wzrok i wyszeptał tylko jedno słowo, odpowiadając na pytanie agenta:

– Rekiny. ■

ROZDZIAŁ 26

Tatry, lato 2021

– Czemu Australia, przecież to...

– Wiem – Lena bezceremonialnie przerwała Kryśce. – Drugi koniec świata. Tak, jeszcze pamiętam coś tam ze szkoły.

Kryśka wyprostowała się czujnie. Popatrzyła na Lenę przenikliwym wzrokiem, starając się dostrzec to, co skrywało się pod tą ciemną, pokrytą dredami czupryną. Po chwili oczy Kryśki odrobinę się zwęziły, a w kącikach jej ust zakiełkował nieśmiały uśmiech.

– Co, myślicie, że tam jest ta istota z twoich snów? Ta wiedźma czy coś?

Lena aż się zagotowała, jakby ktoś przekręcił pstryczek w jej głowie. Gwałtownie uniosła wzrok, posyłając Kryśce harde, wyzywające spojrzenie. Jakby miała pretensje, chociaż sama nie potrafiła powiedzieć ani dlaczego, ani o co. Może chodziło o to, że myśli wypowiedziane na głos czasami okazują się brzmieć zupełnie inaczej niż słyszane wcześniej w naszych głowach? Zmuszając nas przy okazji do niewygodnej konfrontacji.

Odpowiedziała dopiero po chwili, zaglądając w głąb siebie i starając się stłumić źródło tej chwilowej agresji.

– Tak, chyba tak.

Wzięła dwa długie oddechy, powoli wypuszczając powietrze. Kryśka dyplomatycznie milczała, czekając na reakcję.

– Tak mówią – dodała jeszcze Lena.

– Kto?

– Nie wiem – odpowiedziała Lena zgodnie z prawdą. Poczula, jak robi się jej duszno, jak krew zaczyna pulsować w skroniach. – Daniel i doktor powoływali się na informacje odebrane przez radio. Ponoć mają też zdjęcia satelitarne. Pewnie jacyś ludzie doktora. Przecież on ma ich wszędzie.

– Zdjęcia? – ożywiła się Kryśka. – Zdjęcia czego?

Lena oblizła spierzchnięte wargi i spojrzała na nią.

– Jakiegoś wielkiego stada.

Kryśka popatrzyła uważnie na przyjaciółkę. Po chwili zamruła szybko, błędząc wzrokiem po pomieszczeniu w poszukiwaniu odpowiedzi na niezadane pytanie. Czy jej przyjaciółka traci zdolność racjonalnego myślenia? Dziewczyna pamiętała, że Lena kiedyś miała kilka dziwnych wizji, lecz dla Kryśki było to niczym więcej niż tylko serią sennych koszmarów, które zmaltretowany umysł wykreował, by radzić sobie w trudnej sytuacji. Może to miało związek ze stratą mamy, jak podejrzewała. Jednak od jakiegoś czasu była pewna, że to się skończyło. Wychodzi jednak na to, że była w błędzie.

– Olbrzymiego stada zwierząt. Mam na myśli naprawdę olbrzymie... takie, no, liczące kilkanaście tysięcy sztuk. Tysięcy – powtórzyła Lena, pochylając się nieco na swojej prowizorycznej prycy. Mówiła coraz ciszej, niczym nastolatka zdradzająca

sekret rówieśnicze.

- Jakich zwierząt? – dążyła Kryśka, bezwiednie dostosowując głos do tonu Leny.
- Wszystkich.

Lena wypowiedziała to jedno, jedyne słowo w taki sposób, że Kryśka poczuła, jak jej serce zaczyna bić w szalonym tempie. Otworzyła usta, szukając odpowiednich słów, jednak te zręcznie jej umykały. Z jednej strony chciałyby zanegować to, co usłyszała – bo jakże to, olbrzymie stado przeróżnych zwierząt, podążające w nieznanym kierunku i celu? Chciałyby podważyć słowa Leny, bo przecież to niemożliwe, żeby przedstawiciele różnych gatunków nie atakowali się wzajemnie, jednak wiedziała, że na nic by się to zdało. Przez ostatnie miesiące zbyt wiele razy widziała, jak zwierzęta jednoczą się przeciwko ludziom. Ich pierwotne instynkty ewoluowały na nieznaną człowiekowi poziomą, zwierzyzna – nawet ta dzika, z samego serca puszczy – nie tylko tolerowała wzajemnie swoją obecność, ale też ze sobą współpracowała.

Kiedyś, zdawałoby się, w innej galaktyce i w zapomnianych czasach, takie cuda ludzie widzieli tylko w cyrkach, gdzie zwierzęta były poddawane wielomiesięcznym torturom, nazywanym tresurą. Tymczasem natura pokazała swoją siłę – udowodniła, że zwierzęta są w stanie zrobić znacznie więcej, niżeli nam się wydawało. Że koń potrafi służyć za podnózek dla psów, które chcą się dostać do wybitego przez ptaki okna. Że kruki mogą dziobać głowę i ręce człowieka, podczas gdy koty drapią i gryzą jego nogi.

Ludzie zaskakująco szybko spadli o kilka ogniw w łańcuchu pokarmowym, niemniej ciągle uparcie negowali rzeczywistość.

Dlatego też Kryśka wiedziała, że w słowach przyjaciółki może się ukrywać całkiem sporo prawdy. Nie wierzyła w dziwną, mroczną istotę ze snów Leny, niemniej nie mogła zaprzeczyć dziwnemu zachowaniu zwierząt. Poza tym, nikt nie był w stanie stwierdzić, co stoi za tą nagłą zmianą, dlatego rozpoczęła się ta niespodziewana apokalipsa rodem z „Planety Mała”, tylko w wersji jeszcze bardziej pokręconej. Może więc w tym faktycznie coś było.

- Jadę z tobą – zakomunikowała po krótkiej przerwie.
- Nie, zostajesz tutaj. Po co masz się tam pakować, powaliło cię?

Lena nie widziała najmniejszego sensu, aby zabierać przyjaciółkę ze sobą.

– Lencia, ale ja nie pytam cię o zdanie. Jadę i już. Nie będę tu siedziała sama, jak ty będziesz ganiała po Australii.

– To bez sensu, niepotrzebnie się narażasz. Tu jest przecież bezpiecznie.

– No właśnie. To po co ty tam lecisz?

Lena przez chwilę trawiła pytanie.

– Doktor twierdzi, że moje wizje mogą mieć z tym wszystkim coś wspólnego.

– Z tym, że zwierzęta się zbuntowały przeciwko hegemonii człowieka, jak lubi to określać?

Lena tylko kiwnęła głową. Wiedziała, że nie powinna tego mówić, ale nie mogła też dłużej dusić tych informacji w środku. Doktor prosił ją o dyskrecję, co mu zresztą solennie obiecywała, niemniej ciężar stawał się zbyt duży, aby uniosła go sama. Dlatego też przełknęła ślinę i powiedziała:

– Ponoć... ta wyprawa, na którą pojechała moja mama... to oni coś chyba obudzili w jaskini. I to coś, ta moja istota ze snów, ona jest chyba... nie wiem, jak to powiedzieć... – Lena plątała się, kluczyła, szukając odpowiednich słów, jakby wstyd jej było przyznać, że w to ogóle mówi. W pewnym momencie zaśmiała się histerycznie. – No, ta istota jest chyba jakaś magiczna. Wiem, nie patrz tak na mnie, przecież nie ja to wymyśliłam, ja tylko powtarzam. Zresztą, nie powinnam ci tego mówić.

– Jasne, ale ty to wszystko pięknie łyknęłaś. Co, jakaś szamanka? – zapytała ironicznie Kryśka. – Nie, poczekaj, jak oni się nazywali... wiem! Droid. Nie, druid! To jakiś druid. Teraz się obudził i wszystkie zwierzęta się go słuchają. Proste.

– Wal się – odfuknęła urażona Lena, czując gromadzące się nad głową czarne chmury poczucia winy.

Kryśka spojrzała na przyjaciółkę z politowaniem w oczach.

– No błagam cię, Lena, posłuchaj siebie. Co, ekipa obudziła śpiącego druida, który teraz sobie chodzi po świecie, zbiera zwierzęta do kupy i spuszcza ludziom sążny łomot. No super, serio, genialne. Sama bym tego lepiej nie wymyśliła.

Lena coraz bardziej żałowała, że w ogóle rozpoczęła rozmowę na ten temat.

– Te twoje wizje to ewidentnie wpływ tej całej gadaniny, wierz mi – usłyszała jeszcze od Kryśki.

– Tak? No pewnie masz rację, jasne – odpowiedziała ironicznie. – Problem, kochanie, polega na tym, że pierwszą wizję miałam, jeszcze zanim wiedziałyśmy, o co chodzi. Pamiętasz, jak zemdlałam w mieszkaniu? No, ale pewnie przeczuwałam, co mi powiedzą, dlatego już zaczęłam się nakręcać. I mdleć na zawołanie. I mieć wizje, w których nie mogłam widzieć tego, o czym oni wiedzieli.

Lena miała twarde, wściekły głos. Jej oczy zaczęły żarzyć się dziwnym zielonym blaskiem, jakby miała się rzucić Kryśce do gardła, jednak przyjaciółka nie ustępowała. Odwzajemniła harde spojrzenie i dziewczyny pochyliły się w swoją stronę niczym wojownicy tuż przed wzięciem się za łby. Równie szybko uspokoiły się. Kryśka wyprostowała się i zerknęła na swoje paznokcie. Lena ledwie zdążyła mrugnąć skonsternowana, gdy ta się odezwała:

– Jadę z tobą.

– Nie.

Kryśka wstała.

– Pierdol się. Nie możesz mi tego zabronić. I tak ktoś musi pilnować tego twojego chudego, wydziaranego dupska.

Powiedziawszy to, demonstracyjnie wyszła z ciasnego pomieszczenia.

Lena siedziała przez chwilę w ciszy, pozwalając, aby emocje z niej opadły. Zaczepiła kilka głębokich oddechów. W końcu sięgnęła pod pryczę i wyciągnęła sfatygowany plecak. Rozsunęła główną kieszeń, poszukała czegoś i po chwili wyjęła zdjęcie swojej mamy. Zamyślona, potarła jej twarz kciukiem, czując, jak w gardle rośnie jej coraz większa i twardsza gęsia skórka. Mimo że minęły miesiące, gęsia skórka jakby cały czas tylko czekała, żeby się pojawić, zawsze w gotowości.

Jednak Lenie udało się ją przełknąć. W sumie to już jakiś czas temu zauważyła, że przychodzi jej to coraz łatwiej. Myśli na temat mamy, pretensje do siebie o wszystkie

niewypowiedziane słowa i o każde, którego nie powinna była wypowiadać, o banalne kłótnie wybuchające z powodu absurdalnie nieważnych tematów – to wszystko bolało coraz mniej. Nie wiedziała, czy czas leczy rany, czy po prostu przyzwyczajają człowieka do cierpienia. Może robi i jedno, i drugie. A może nie ma pomiędzy tym i tamtym żadnej różnicy.

Parę minut później przed obliczem Leny pojawił się Daniel, zupełnie tak jak wiele miesięcy temu pojawił się Łukasz. Tym razem jednak była gotowa do drogi. Wycho-
dząc, przebiegła jeszcze wzrokiem po swojej grocie. Skalne rysy, wystające fragmen-
ty ścian – wszystkie te naturalne formacje wryły się głęboko w jej pamięć. Spędziła
wiele nocy, wpatrując się w nie i rozmyślając na temat swojej matki, na temat prze-
dziwnej istoty ze snów, szалу, jaki opanował zwierzęta, i w jego konsekwencji arma-
gedonu, jaki ogarnął całą planetę.

Wiedziała, że nie zapomni tych ścian, ale wiedziała również, że nie będzie za nimi
tęskniła. I była absolutnie pewna, że już nigdy tu nie wróci. ■

ROZDZIAŁ 27

**Dziennik Skryby
Zeszyt Pierwszy**

Skryba sięgnął po kolejny zeszyt. Powrócił do tego pierwszego, w którym znajdowały się notatki jeszcze z czasów, gdy system – czymkolwiek był – działał normalnie. Gdy dorośli chodzili do pracy, dzieci do szkoły, gdy znużeni staruszkowie siedzieli beczynnienie w oknach i odprowadzali wzrokiem przechodzące chodnikiem życie. Gdy było normalnie. Nie zawsze kolorowo i często monotennie, ale normalnie.

Pierwszy zeszyt zawierał zapiski z czasów, co do których nie wiadomo było, czy kiedykolwiek powrócą. I zważywszy na to, jak sprawy miały się obecnie, Skryba szczerze w to wątpił.

Przez jakiś czas leniwie przerzucał kartki. Kiedyś zapisywał informacje o odstępie czasowym między poważniejszymi atakami. Czyli takimi, w których ginął człowiek – ich tematem był tygrys w zoo przetrącający kark mężczyźnie, który za wszelką cenę chciał sobie zrobić selfie z olbrzymim, drapieżnym kotem, słoń miażdżący auto, owczarek zagryzający niewinnego chłopca i tak dalej. To się zdarzało od zawsze, jednak częstotliwość ewidentnie rosła.

Skrybie udawało się wyszukiwać tego typu informacje z całego świata, po jakimś czasie był więc w stanie stwierdzić, gdzie występowały częściej niż w pozostałych rejonach. I takim sposobem namierzył Bhutan. Miał wrażenie, że tam było epicentrum, że tam ataki zdarzały się częściej i były bardziej krwawe niż gdzie indziej. Nie miał jednak pojęcia dlaczego.

Gdy tak wędrował wzrokiem po kartkach zeszytu, myśląc o tym samym, co zawsze, nagle zamarł. Jego wzrok zatrzymał się na osiemdziesiątej szóstej stronie, na tej, której długo nie chciał zapisywać. Przeklętej, wstydlivej, niewygodnej. Na stronie, która miała być jego spowiedzią, czymś w rodzaju katharsis, jednak jeszcze nie potrafił tak na nią patrzeć, cały czas bowiem były to dla niego po prostu zapiski tchórze. Paskudna historia, którą opowiada się dzieciom ku przestrodze, licząc na to, że wyciągną z niej odpowiednie wnioski i same nie będą postępować tak, jak jej bohater.

Stałem na balkonie w bloku stojącym przy ulicy, której nazwy nie znam, w mieście, którego nazwy nie pamiętam. Gdzieś na północy Polski, tyle wiem. Byłem na ósmym, dziewiątym piętrze. Blok był opuszczony, wiele mieszkań stało otworem i straszło pustymi, splądrowanymi przestrzeniami, w których kiedyś mieszkali zwykli, normalni ludzie. Jedli, kochali się, spali, oglądali telewizję, czytali książki, bawili się. Po prostu żyli. Byli przeciętni, ujmująco nudni. Zwyczajni. Tacy jak ja. Zapewne czasami tacy jak ty.

Tacy jak ci biegnący na dole.

Jak kobieta, która pędziła przed siebie, trzymając kurczowo w rękach jakieś zawiątko, co było widać nawet z tej wysokości.

Jak mężczyzna, który biegnąc za nią, raz po raz się odwracał i strzelał do ścigają-

cych ich psów, ale strzelał cicho, bo najpewniej miał broń z tłumikiem.

Jak chłopak, który biegł przodem przed (najpewniej) swoją matką, sprawdzający, czy za rogiem jest bezpiecznie, czy można uciekać w tę akurat stronę, czy uda się wyrzucić jeszcze kilka minut życia.

Pędzili ile sił, uciekali.

Za pierwszym rogiem było pusto, ale za kolejnym chłopak zderzył się z jeleniem. Tak po prostu, wpadli na siebie bez najmniejszego ostrzeżenia, bez jakiegokolwiek znaku, który pozwoliłby uniknąć tragedii. Wielki byk wziął go na rogi, nim ten zdążył krzyknąć.

Kobieta krzyknęła za niego, zatrzymując się na ledwie ułamek sekundy.

W tym czasie mężczyzna podbiegł do (najpewniej) swojej żony i – ochraniając ją ramieniem – odciągnął w drugą stronę, cały czas strzelając do psów. Strzelił też kilkakrotnie do jelenia, ale najwyraźniej chybił, bo zwierzę nie przestało tratować i atakować nieprzytomnego lub już martwego chłopaka. I, uwierzcie mi, jeleni naprawdę przykładał się do tego, co robił.

Ścigające ich psy rozdzieliły się. Jeden podbiegł do chłopaka, drugi ruszył w stronę kobiety i mężczyzny – niestety ten większy, z góry wyglądający jak jakiś wodołaz albo bernardyn. Rasa jednak nie miała znaczenia, liczyło się tylko to, że było to wielkie, włochate bydlę, a mężczyźnie właśnie skończyła się amunicja.

Wyjął nóż, ale ten na niewiele się zdał. Pies wiedział, gdzie atakować, wiedział, jak atakować, szybko rzucając się na rękę, a potem prosto do gardła.

Błyskawicznie było po wszystkim.

Zwierzęta zrobiły, co miały do zrobienia. Psy rozwlekły jeszcze ciała po ulicy i po kilkunastu minutach rozeszły się każdy w swoją stronę. Zostało tylko krwawe świadectwo tego, co zrobiły.

Przyglądałem się całej scenie przez lunetę swojego karabinu snajperskiego.

Widziałbym lepiej, gdyby ręce nie trzęsły mi się tak bardzo i gdybym mógł powstrzymać spazmy. ■

ROZDZIAŁ 28

Australia, lato 2021

Matka wychyliła się z za załomu skalnego i powoli weszła na asfaltową drogę. Wokół było spokojnie i cicho, jakby skały i porastająca strome zbocza roślinność przyglądały się jej w skupieniu, z uwagą czekając na rozwój sytuacji. Kobieta powiodła wzrokiem po drodze, która wiała się przez olbrzymią naturalną grotę, tylko w niewielkim stopniu zmodyfikowaną przez człowieka. W jej wnętrzu znajdowało się jedno z ogólnodostępnych wejść do kompleksu Jenolan – najstarszego otwartego systemu jaskiń na świecie, datowanego na ponad trzysta czterdzieści milionów lat. Lokalne plemię aborygeńskie Gundengarra nadało mu nazwę Binoomea, co w lokalnym języku znaczy ciemne miejsca. Aborygeni nie zapuszczali się do wnętrza jaskiń, unikając nawet przebywania w ich okolicach. Być może podświadomie czując, że miejsca te nie są przeznaczone człowiekowi. Dopiero w 1838 roku James Whalam przypadkowo natknął się na jedno z licznych wejść do kompleksu, co pociągnęło za sobą zainteresowanie speleologów i ekspedycji badawczych.

Było to całe stulecia po tym, gdy jaskinie odkryli inni ludzie, ale zdecydowali się o tym nikomu nie mówić. I milenia po czasie, kiedy ona sama przechadzała się po jej korytarzach.

Matka czuła w powietrzu ludzki strach, niemalże chłoneła feromony, które na stałe osiadły na kamieniach i skałach. Energia, którą tu pozostawiła, zdawała się emanować cały czas. Słabiej, lecz nadal odczuwalnie. Ludzie nazywają teraz takie miejsca nawiedzonymi, mówią, że „coś tu wisi w powietrzu”. Wiedziała, że było też wielu takich, którym podobało się schodzenie pod ziemię. Czuła, że nie robili tego z racji szukania naturalnego schronienia, ale żeby wykazać się odwagą i z potrzeby przeżycia przygody. Niemalże widziała wspomnienia z tym związane, sceny przewijały się przez jej głowę niczym w kalejdoskopie – sama nie byłaby w stanie sobie tego wyobrazić, ale korzystała ze wspomnień osób, które zamordowała lub skarciła, jak wolała to określać. Chociaż nie zastanawiała się nad tym zbyt długo, tak samo jak człowiek nie zastanawia się nad losem komara zgniecionej dłonią.

Zrobiła kilka kroków, wychodząc na środek drogi. Nie bała się, ale stąpała ostrożnie. Wykorzystywała zmysły otaczających ją stworzeń, żeby zorientować się, czy gdzieś nie pochowali się dybiący na nią ludzie z plującymi ogniem patykami. Lecz ci byli zajęci walką o własne życie. W odróżnieniu od panujących przez ostatnie stulecia zwyczajów, nie myśleli teraz o masowym odbieraniu cudzego.

Przyjrzała się krytycznie otaczającym ją skałom, zlustrowała cienie między drzewami. Wydawało się, że jest pusto, chociaż miała przeczucie, że coś się zbliża. Chyba to samo czuła Bestia, bo stanęła teraz w pełni wyprostowana, wypięła pierś i kilka razy zaciągnęła się mocno chłodnym, porannym powietrzem. Następnie wykrzywiła pysk w grymasie dezaprobaty.

– Khianen’ te – wyszeptła Matka, kładąc dłoń na olbrzymim, szczeniastym karaku stworzenia. Bestia zamruczała cicho, co Matka przyjęła z delikatnym uśmiechem.

Jednak uśmiech zniknął z jej ust równie szybko, jak się pojawił. Oczy rozszerzyły się, źrenice przykryły niemalże całe tęczówki. Nieświadomie rozchyliła usta, chłonąc przerażenie bijące od jej stworzeń, a konkretnie od ptaków patrolujących niebo wysoko nad górskimi szczytami. Widziała, jak rozpierzchają się po niebie w panice, jak pikują między drzewa i szukają schronienia w wąskich skalnych szczelinach.

Ale przede wszystkim widziała sunące po niebie cuchnące stalowe bestie, agresywnie siekające powietrze ostrzami, które w niezrozumiały dla Matki sposób je unosiły.

– Bur’kha! Gier’de! – krzyknęła i rzuciła się biegiem w stronę groty. Stado ruszyło pędem za nią.

Po zaledwie kilkunastu sekundach Matka dobiegła do wlotu jaskini. Jej oczom ukazała się przepastna grotka, usiana na spodzie różnej wielkości głazami. Wejście było oświetlone odbłaskowymi taśmami, znikającymi za wielką, niemalże idealnie kwadratową skałą, do której była przybita stalowa tablica z jakimiś znakami. Matka zatrzymała się i popędzała swoje stado, machała ręką, aby jak najszybciej schroniło się w skalnych ustępach. Wiedziała, że nic nie będzie w stanie ich przebić i że tam stworzenia będą bezpieczne.

Parę sekund później pierwszy śmigłowiec wyłonił się zza wzgórza. Matka miała wrażenie, że nawiązała kontakt wzrokowy z pilotem, wydawało się jej, że poza strachem, jaki odczuwa człowiek, odbiera coś jeszcze – dziwną, ponurą, bijącą od niego satysfakcję. Może nawet coś na kształt radości.

Pilot śmigłowca bojowego typu Tiger nacisnął spust działka umieszczonego pod dziobem. Zrobił to z pewną obawą, ale też niezłomną pewnością siebie tak charakterystyczną dla człowieka, który dysponuje potężnym arsenałem, samemu pozostając bezpiecznie zamkniętym w pancernej puszczy. Pociski wystrzeliły z lufy i po zaledwie ułamku sekundy już gryzły ziemię i asfalt tuż obok istoty. Ta skuliła się, zasłoniła ręką przed skalnymi odpryskami, lecz pozostała na miejscu, rzucając po chwili harde spojrzenie w stronę śmigłowca. Kilka pocisków trafiło biegnące stworzenia z taką siłą, że umierały, jeszcze zanim sobie uświadomiły, że coś w ogóle je dosięgło.

Matka zawarczała, obnażając zęby. Skuliła się, wykrzywiła usta w grymasie wściekłości, gdy krew z zabitego dingo dosłownie prysnęła jej prosto w twarz. Syknęła cicho coś niezrozumiałego i zacisnęła pięści w bezradnej złości. Jej oczy oraz nazyjnik zajaśniały rubinowym światłem.

Nagle ptaki, które parę minut wcześniej pochowały się gdzie tylko mogły, zerwały się do lotu i napały na śmigłowiec ze wszystkich stron. W zaledwie kilkanaście sekund obsiadły Tigera niczym pchły, wściekle dziobiąc, skrzecząc i ograniczając widoczność. Spanikowany pilot w pierwszej chwili chciał odlecieć, jednak szybko oprzytomniał i uświadomił sobie, że przecież nie przedziobią wzmocnionej blachy. Zaczął walczyć, próbując pozbyć się intruzów. Kołysał maszyną to w lewo, to w prawo, samemu czując się przez to jak na łodzi. Znaczną część ptactwa poszatkowały śmigła, co w pewnym stopniu tylko pogorszyło sytuację. Szyby otaczające kokpit spływały bowiem krwią zmasakrowanych ptaków i przyklejonymi doń piórami. Pilot próbował użyć wycieraczek, te jednak szybko się zablokowały.

Matka uśmiechnęła się, widząc, jak stalowa bestia miota się w bezradności. Nagle jednak sposepniała, gdyż zza ogona pierwszego śmigłowca wysunęły się trzy kolejne. Stado ptaków rozdzieliło się, próbując zaatakować także je, ale na niewiele to się zdało – piloci otworzyli wściekły ogień z działek pokładowych, robiąc wyrwy w zbitych grupach ptaków. Matka zauważyła, że pomiędzy drzewami przedzierają się dodatkowo dziesiątki ludzi z patykami plującymi ogniem – oni również strzelali, lecz część z nich skierowała swoją broń w jej kierunku. I nie czekali z otwarciem ognia.

Wokół Matki zaroilo się od pocisków, których spora część trafiła ją, jeszcze zanim zdążyła zareagować i odbić kilka kroków w stronę zbawiennego schronienia. Wiele zwierząt rzuciło się, aby osłonić ją własnym ciałem – jednak szybko padały martwe, wykonawszy swoje ostatnie zadanie. Matka krzyknęła wściekle, czując nie tylko swój ból, ale też cierpienie mordowanych stworzeń.

Zacisnęła zęby, pochylając odrobinę głowę. Wydała mentalny rozkaz ataku zwierzętom, które wcześniej miały się rozproszyć i pochować. Żołnierze, skupiwszy całą swoją uwagę na dziwnej istocie, nie patrzyli pod nogi, nie widzieli pełzających węży, wspinających się po drzewach pajaków i skorpionów. Nie dostrzegali czających się w cieniu jaszczurów i psów. Aż do momentu, gdy zbocze góry jakby ożyło. Kły, pazury i dzioby rzuciły się na ludzi, szukając słabych miejsc w ich pancerzach, rozszarpując mięśnie, wgryzając się w ciała i wstrzykując truciznę. W chaotycznej walce nie jeden żołnierz trafił w swojego kolegę, nierzadko także specjalnie, aby ukrócić jego męki.

Krzyki zaskoczonych mężczyzn świadczyły o tym, że fortel Matki się powiódł. Ogień skierowany w jej stronę nieco osłabł, niemniej pociski cały czas świszczały wokół. Skuliwszy się, pobiegła wreszcie za najbliższy głaz. Tam ukucnęła i oparła się plecami o zimny kamień. Krwawiła z wielu ran, czuła promieniujący po całym ciele ból, czuła życie uchodzące z otaczających ją stworzeń. Zacisnęła zęby, zamknęła oczy i pograżyła się w głębokiej koncentracji. Dotknęła prawą ręką ziemi, następnie delikatnie uniosła dłoń i poczuła przepływającą pomiędzy nią a ziemią energię.

Postronny obserwator zobaczyłby zapewne, jak prawie niewidoczna mgiełka pod jej dłonią krąży, aby po chwili zniknąć w ciele. Zupełnie jak wir spływającej wody w wannie. Matka poczuła, jak wypełnia ją nowa energia, jak przez jej ciało przechodzą delikatne dreszcze i wyładowania. Kilka pocisków wysunęło się z jej ciała i upadło na ziemię, a rany po nich zasklepiły się niemalże tak samo szybko, jak się pojawiły.

Żądna krwi Bestia, która z rozkazu swojej pani czekała we wnętrzu groty, aż chodziła w kółko, nie mogąc opanować energii, jaka rozsadała ją od środka. Cały czas warczała, kark i grzbiet miała nastroszony, nie mogąc doczekać się walki. To samo czuła Matka, jednak wiedziała, że nie może teraz tak po prostu rzucić się na wroga, którego siły były niestety przeważające.

Wściekła, poniżona i pokonana wstała i ruszyła do wejścia do kompleksu jaskiń. Zawołała Bestię i niektóre z pozostałych przy życiu zwierząt. Nagle jednak do jej uszu dotarł świst, którego podczas tej bitwy nie słyszała.

Odwróciła się w stronę wejścia i zobaczyła, jak w akompaniamencie rozdzierają-

cego wybuchu i odgłosu pękającej skały powstaje kula ognia, która pochłaniała życie dookoła. Całą grootę błyskawicznie zasypały odłamki kamieni, małe głązy zamienione w setki pocisków różnej wielkości. Matka w ostatniej chwili uniknęła uderzenia głazem, który leciał prosto ku jej głowie. Krzyknęła, widząc, jak umierają jej dzieci. Tego już było za wiele. Wiedziała, co powinna zrobić, chociaż czyniła to niechętnie – wydała im rozkaz ucieczki i zaprzestania walki.

Jeszcze będzie na to czas, upomniała się w myślach. W tym celu musiała się jednak zagłębić między ponure, wilgotne korytarze kompleksu jaskiń.

Musiała uciec.

Trzeba było oddać bitwę, aby wygrać całą wojnę.

Ruszyła, przez pierwszych kilkanaście metrów pozostawiając za sobą ślady pazurów, rzeźbiących w skalnym korytarzu długie bruzdy.

Jakiś czas później wsunęła się powoli do olbrzymiej jaskini. Przez kilka ostatnich godzin kroczyła wijącymi się korytarzami, wspinała się, czołgała, a gdy tylko mogła, podbiegała. Przedzierała się przez trudno dostępne miejsca, schodząc stopniowo coraz niżej pod powierzchnię ziemi. Cały czas czuła obecność Bestii, podążającej jej śladem, jak i dziesiątek innych stworzeń zamieszkujących to nieprzystępne środowisko. Ludzie nie tylko szybko stracili ją z oczu, ale w ogóle zgubili jej trop. Jaskinie zostały przez nich zbadane niemalże w całości, jednak pozostało jeszcze sporo takich miejsc, do których człowiek nie zdołał dotrzeć. Były one sprytnie ukryte przez istotę, która właśnie tymi ścieżkami teraz się poruszała.

Krocząc, tonęła w myślach.

Matka już przed wieloma wiekami zrozumiała, że istoty, które stworzyła, zrobiły się zbyt pyszne i zbyt aroganckie. Próbowала je poskromić, przywrócić stary, zapomniany ład i uniknąć, zdawałoby się, nieuniknionego.

Niestety ludzkość stała się pasożytem, który uparcie rósł w siłę, Matka musiała więc podjąć inne kroki. Spodziewała się ataku na swoją osobę, przeczuwała, że człowiek może spróbować się jej pozbyć. Wiedziała, że mnisi, których tak dobrze poznała przez stulecia, boją się ją zabić. Sama zresztą nie obawiała się śmierci, gdyż wiedziała, że jej po prostu zabić się nie da. Nawet jeżeli jej ciało zostałoby zniszczone, uwolniona energia znalazłby nowego nosiciela i na przestrzeni lat ewoluowałaby, kształtując nowe ciało wedle własnego uznania. Działo się tak już wiele razy.

Podziemna grota, do której wreszcie dotarła, była jednym z wielu miejsc, w których Matka nabierała mocy. Zapadała w nich w bezpieczny sen trwający niekiedy całe wieki. Tak było jeszcze w czasach na długo przed stworzeniem człowieka, w czasach, o których ludzie zwykli sobie opowiadać legendy przy blasku nocnego ogniska, strasząc dzieci potworami czającymi się w mroku. Nie sądziła jednak, że ludzie zdołają odnaleźć te tajemne miejsca, ale była rada, gdy zrozumiała, że w jednym z nich, o ironio, uważając je za niedostępne, ukryto należący do niej artefakt. To tak, jakby złodziej schował skradziony przedmiot w salonie jego właściciela.

Wyprostowała się po długiej, nużącej podróży, podczas której czołgała się raz

w górę, raz w dół długim, wąskim i zdradliwym tunelem.

Grota miała około trzydziestu metrów średnicy. Otaczające ją ściany były regularne, jakby zostały wyciosane. Każdy, kto tylko tu zajrzał, w pierwszej chwili zastanawiał się, jak to możliwe, że natura stworzyła tak równą formację w tak nieprzystępnym miejscu, choć zaledwie kilku śmiertelników mogło się nad tym problemem pochylić. Nie było tu stalaktytów ani stalagmitów, nie było nacieków wodnych – poza małym, cichym strumieniem, leniwie płynącym pod ścianą i tworzącym jakby naturalny pierścień otaczający to magiczne miejsce. Na środku groty natomiast wznosił się postument. Matka podeszła do niego i zobaczyła stojącą nań metalową skrzynię przepasaną łańcuchem, którego ogniwa miały grubość palca dorosłego mężczyzny. Był on w czterech miejscach przybity do postumentu, na którym stała skrzynia. Matka doskonale wiedziała, co jest w środku. Uśmiechnęła się na samą myśl o tym, co ją czeka, zadowolona, że pozostała jej do pokonania tylko taka śmieszna bariera. Pomimo trudu, jakiego dotychczas doświadczyła, odczuwała też pewnego rodzaju żal, że ludzie nie zabezpieczyli jej świętego przedmiotu lepiej. Może sama droga do niego była zabezpieczeniem? Nie miało to jednak większego znaczenia. Takimi dysponowali wówczas środkami, teraz może podeszliby do tematu inaczej, pomyślała, przypominając sobie niespodzianki, jakie napotkała podczas podróży.

Odwróciwszy się, zobaczyła, jak do pomieszczenia przeciska się Bestia. Było jej znacznie trudniej niż Matce, jednak potwór w końcu wygramolił się z ciasnego tunelu, wyraźnie niezadowolony z przeprawy, jaką mu zafundowano. Pomimo ciemności panującej w środku, obie istoty wszystko doskonale widziały. Bestia bez słowa rozkazu podeszła do skrzyni i złapała za łańcuchy.

Jej mięśnie naprężyły się pod grubym, brudnym futrem, a ciało zadrżało z wysiłku. Potwór zaryczał przejmująco, używając całej swojej siły – aż po paru sekundach słabe ogniwa puściły, pękając z trzaskiem. Parę z nich odpadło i odbiło się z głuchym łoskotem od ściany groty, a krzyk potwora poniósł się daleko w przestrzeń, by zgubić się gdzieś w skomplikowanym kompleksie tuneli. Bestia usunęła się z szacunkiem, pochylając łeb, gdy Matka zrobiła krok w stronę skrzyni.

Przyjrzała się jej uważnie. Zrobiona była ze stali, z mosiężnymi okuciami na rogach i krawędziach. Pośrodku skrzyni tkwił stalowy zamek z wąskim otworem na klucz, którego Matka oczywiście nie posiadała. Wzięła więc skrzynię w ręce i próbowała otworzyć wieko siłą. Skrzynia tylko zaskrzypiała w proteście, ale bolce w środku nie zamierzały ustąpić. Matka czuła emanującą ze środka moc przedmiotu, wyczuwała, jak ten pragnie połączyć się z nią tak bardzo, jak ona z nim. I narastała w niej frustracja.

Bestia zamruczała cicho, podchodząc niepewnie do swojej pani, jednak widząc, jak jest wściekła, zdecydowała się trzymać na uboczu. Wołała uniknąć przypadkowego ciosu.

Matka zastanowiła się przez chwilę, szukając rozwiązania. Jej siła tu nie wystarczała. W pewnym momencie zmrużyła oczy i uśmiechnęła się tryumfalnie. Przekazała Bestii skrzynię, jednocześnie rozkazując, żeby ją otworzyła, tak jak wcześniej otwierała pancerne samochody – czyli wbijając pazury do środka. Dodatkowo ona sama

stanęła za Bestią i położyła swoje długie, smukłe dłonie na potylicy pupila. Przy-
mknęła oczy i wyszeptła parę słów, a z jej palców wystrzeliły delikatne iskierki, wy-
glądające niczym małe błyskawice. Całe pomieszczenie rozświetliło delikatne, mig-
oczące niebieskie światło, które pomimo początkowej niepozorności z każdą sekundą
nabierało mocy. Wyładowania wychodzące z palców znikwały w głowie białego potwo-
ra. Bestia natychmiast poczuła, jak przepełnia ją niewyobrażalna wręcz siła, jakby
mogła przenosić góry. Oczy potwora rozjarzyły się czerwonym blaskiem, następnie
zaryczał i biorąc potężny zamach, wbił prawą łapę w skrzynię.

Metal ugiął się i pękł pod tak mocnym naciskiem ostrych szponów, niczym pod
prasą hydrauliczną. Bestia zacisnęła łapę w pięść, aby w kolejnym ruchu brutalnie po-
ciągnąć ją i wyrwać wieko skrzyni z zawiasów. Udało się. Metal musiał ustąpić. Gdy
to się stało, Matka zdjęła dłonie z karku potwora, który, czując nagły odpływ energii
i doświadczając olbrzymiego spadku mocy, aż osunął się na kolana i upadł wyczerpa-
ny na bok. Ciężko dysząc, przyglądał się temu, co robi Matka.

Ta natomiast przyjrzała się skrzyni. Ponownie nie doceniła ludzi – wszystkie jej
ścianki miały ponad dziesięć centymetrów grubości, co czyniło ją naprawdę trudną
przeszkodą do sforsowania. Jednak nie to było najważniejsze. Skupiła się na jej wną-
trzu.

Na niegdyś niewątpliwie pięknym, jedwabnym materiale spoczywał jeden z jej ar-
tefaktów, mistycznych, tak bardzo upragnionych przedmiotów mocy. Kobieta
uśmiechnęła się, sięgając po płataninę suchych patyków, układających się w kształt
koła. Gdyby rzucić je w ściółkę, nie wyróżniałyby się absolutnie niczym, ale Matka
doskonale wiedziała, z czym ma do czynienia. Jej oczy rozświetlił jasny blask, jaki
czasem daje się zauważyć w oczach dziecka otrzymującego wymarzony prezent. Z na-
maszczeniem wzięła suchy wianek i delektując się chwilą, nałożyła go na głowę.

Gałęzie ożyły. Suche i łamliwe nagle stały się pełne witalności i świeże –
w mgnieniu oka obrosły twardą korą i wypuściły pędy i liście, które szybko się otwie-
rały i rozrastały, jakby w przyspieszonym tempie. Połączyły się z włosami Matki
i z wplecionym w nie gałęziami, docierając również do naszyjnika z kości, z którym
spłotły się jak idealnie pasujące do siebie części skomplikowanej maszyny. Matka sta-
nęła wyprostowana, w delikatnym rozkroku i z uniesionymi rękoma, pozwalając, aby
korona robiła swoje, i śmiejąc się przy tym z radości. Tymczasem gałęzie zaczęły ją
otaczać coraz szczelniej, zakrywając ramiona i opuszczając kilka pędów w dół. Ufor-
mowały bluszczowy biustonosz wokół jej piersi, skrywając sutki i schodząc dalej bo-
kami, aż do linii bioder. Tam, cały czas szybko rosnąc, spłotły barierę chroniącą łono
Matki. Następnie zeszyły jeszcze niżej, tworząc nieregularne obręcze na jej udach,
a także wokół kolan i piszczeli. Stopy pozostały gołe. Grube pędy otoczyły również
rękę Matki, ochraniając przedramiona i łokcie, niczym potężne karwasze. Na plecach
utworzyły niewielki wachlarz, jak u jaszczurki, doskonale chroniący kark.

Matka wciągnęła głęboko zimne, zatechłe powietrze, teraz dziwnie odświeżone
przez tajemniczą roślinność, która pojawiła się tak głęboko pod ziemią.

Poza tym, że tworzyła pancierz, Bluszczowa Korona dawała jej znacznie więcej.
Matka delektowała się przez chwilę uczuciem spełnienia. Udało się jej dopiąć swego.

Tak, jej morale zdecydowanie poszybowało w górę.

Ale to nie oznaczało końca. Przecież do odnalezienia pozostał jeszcze jeden artefakt, ten najpotężniejszy. Czekala ją równie daleka wyprawa jak po ten pierwszy, lecz gdy wreszcie posiadzie komplet... już absolutnie nikt ani nic nie stanie jej na przeszkodzie. Ludzkość będzie mogła odłożyć swoje plujące ogniem patyki, opuścić stalowe robaki i odrzucić swoich fałszywych bogów po to, aby ponownie ugiąć kark przed tym jedynym, słusznym bóstwem. Tak, nauczka i kara będą srogie, ale tak być musi. Inaczej nie przyniosą żadnego efektu.

Matka podeszła do tunelu, którym się tu wczołgała. Bestia, podnosząc się z zimnej posadzki, zamruczała z niezadowoleniem, świadoma trudu, jaki ją czeka. Lecz wtedy Matka spokojnie wyciągnęła przed siebie rękę i położyła dłoń na skalnej ścianie. Zaczęła mruczeć coś pod nosem, jakieś stare, zapomniane i niezrozumiałe dla ludzi słowa, koncentrując się przy tym i aktywując moc artefaktu. W pewnym momencie na skale pojawiło się szybko powiększające się pęknięcie, od nasady niemalże po sklepienie. Pojawiło się nagle, jakby od uderzenia pioruna, i równie błyskawicznie skała rozstała się z głośnym hukiem, niczym morze przed Mojżeszem, tworząc długi i wygodny do marszu tunel. Matka i Bestia mogły nim swobodnie się przemieszczać, z dumnie uniesionymi głowami.

Nie kryjąc zadowolenia, Matka śmiało wkroczyła do środka.

Bestia ruszyła niepewnie w ślad za swoją panią. ■

ROZDZIAŁ 29

Wyspa Bożego Narodzenia, lipiec 2021

Śmigłowce leciały w równym szyku, trzymając się pułapu około czterystu metrów nad poziomem morza. Nie było sensu lecieć wyżej ani po co schodzić niżej – to, co miało ich usłyszeć, na pewno usłyszało, co miało zobaczyć, na pewno zobaczyło. W szyku leciały dwa transportowe Blackhawki i jeden bojowy Eurocopter, przewożące w sumie grupę prawie trzydziestu osób. Były załadowane sprzętem, amunicją, bronią i żywnością. Dostosowane do panujących warunków, oba transportowe śmigłowce miały po bokach zamontowane nie tylko karabiny maszynowe, ale też specjalnie zmodyfikowane miotacze płomieni. Broń niewyobrażalnie skuteczną w starciu z wszelkim ptactwem, które już niejednokrotnie próbowało się do śmigłowców dobrać. Przeciwpancerne pociski na Eurocopterze zamieniono na pociski zapalające i burzące, o nieco mniejszej sile, ale znacznie większym polu rażenia. Zresztą, ta siła względem zwierzyny była absolutnie wystarczająca – posyłanie na śmierć całych stad było dzięki nim zadaniem nad wyraz łatwym i dla niektórych nawet przyjemnym. Z tego też powodu działonowy śmigłowca bojowego, Paweł Borzyna, rozglądał się wokół pełnym podniecenia wzrokiem, co chwila oblizując usta. Zaczynało mu się nudzić. Już dawno niczego nie usmażył.

Paweł należał do tego rodzaju ludzi, którym dynamicznie zmieniająca się sytuacja bardzo się podobała. Bo w sumie co miałoby mu się nie podobać? Latał teraz po świecie, strzelał z broni każdego rodzaju, bezkarnie zabijał wszystko, co żyło... No dobrze, prawie wszystko, bo nie strzelał przecież do ludzi. Przynajmniej oficjalnie. To, że czasem kogoś tam się trafiło przypadkiem lub rykoszetem, to już inna bajka. I komu się poskarżą, na policję przecież nie pójdą.

Nie wiedział, dlaczego lecą do Australii, wiedział natomiast, że dzięki swoim kwalifikacjom, i w dużej mierze pewnie też temperamentowi, został wybrany do drużyny osłaniającej samego doktora Rittnera. Niewielu pracowników – jak sami się nazywali – miało w ogóle przyjemność go poznać, jeszcze mniej mogło z nim rozmawiać dłużej niż parę minut, a to właśnie jemu, Pawłowi, została powierzona misja ochrony doktora. Mężczyzna był z siebie dumny i nawet czasem żałował, że nie przeżył z jego rodziny nikt, z kim mógłby tę dumę dzielić... chociaż miał wokół wystarczająco dużo kumpli, którym chętnie imponował.

Tym czujniej się rozglądał, gotów błyskawicznie wyeliminować każde zagrożenie. W powietrzu był królem, cały czas dumnie tkwił na szczycie łańcucha pokarmowego, a ze swoim starym kolegą – Bojarem – tworzyli zespół praktycznie nie do pokonania. Było tak jeszcze przed okresem Planety Małp, jak lubili nazywać bunt zwierząt przeciwko człowiekowi.

Na przestrzeni miesięcy udało im się poznać strategię zwierzyny, sposoby, jakimi ptaki próbują uszkodzić wirniki maszyn, wpłynąć na ich nośność lub sterowność. Tam, gdzie było to możliwe, do sprzętu dospawano nowe części, poprzykręcano grube, druciane siatki czy stalowe płyty służące za osłony. Już nie trzeba było się martwić

wykrywalnością na radarze, prędkość i waga nie były kluczowe. Teraz śmigłowce, tak jak pojazdy lądowe (co było znacznie prostsze), dopancerzano tak, jak tylko było to możliwe. Bezpieczeństwo było na pierwszym miejscu, siła rażenia – na drugim.

– Będziemy musieli zatankować – rozległ się trzask w słuchawkach zamontowanych bezpośrednio w hełmach.

– Jak daleko jeszcze? – zapytał doktor, przykładając mikrofon do ust.

– Prawie dwa tysiące do celu. Ale siadamy wcześniej.

– Gdzie lądujemy?

– Tam. Przed nami Wyspa Bożego Narodzenia.

Doktor pokiwał głową, mimo że piloci nie mogli tego zobaczyć. Powierzał im nawigację i bezpieczeństwo misji, wiedząc, że zaufanie to jeden z ważniejszych darów, jakim przełożony może obdarować swojego podwładnego. Oczywiście w sprzyjających okolicznościach i z określoną dozą kontroli. Wychylił się nieco i popatrzył przed siebie. W oddali majaczył zielony placek, wyspa – kawałek względnie płaskiej ziemi, zewsząd otoczony morzem. Zerknął na siedzącą naprzeciwko niego Lenę. Dziewczyna wpatrywała się ciekawym wzrokiem w okno, chłonąc widoki, które od wielu godzin niespecjalnie się zmieniały. Obok niej leżała Kryśka, która spała, oparłszy głowę o nogi przyjaciółki. Zastanowił się, dlaczego wizje przestały nękać dziewczynę. Przecież zapewnia jej komfortowe warunki, nie jest zbyt inwazyjny, stara się, aby wszystko wyglądało naturalnie. Próbował przecież tylu różnych opcji. Cóż, pozostawało mu mieć nadzieję, że im bliżej istoty, którą ścigają, tym większa będzie szansa na to, że Lena czegoś doświadczy.

Rittner jako pierwszy pojął, że może być ona użyta jako swego rodzaju sonar. Jak jego własny kanarek, który będzie ostrzegał go o niebezpieczeństwie. Dobrze przewidział, że warto mieć pod ręką najbliższych tych osób, które mogły mieć bezpośredni kontakt z istotą. Warto było ponieść te znikome koszty, gdyż zysk z tego był niewypowiedzianie ogromny.

Rozmyślając tak, wbijał poważny, przenikliwy wzrok w niczego nieświadomą Lenę.

Daniel był w drugim śmigłowcu, więc nie mógł widzieć ani skrytykować spojrzenia Rittnera. Zdecydował się lecieć oddzielnie, pod pretekstem wsparcia bojowego i lepszego osłaniania śmigłowca z tak cennym ładunkiem. Lena tymczasem wyłapała wzrok doktora. Uśmiechnęła się subtelnie.

– Lądujemy? – zapytała cicho, prawie nie rozchylając warg.

W jej głosie słychać było znużenie kilkudniową podróżą. W powietrzu spędzali kilka długich godzin dziennie, aż wreszcie nastawał czas, w którym dawali odpocząć maszynom i mogli się sami też jako tako ogarnąć. Przeważnie spali na mniejszych lub większych lotniskach, cały czas utrzymując najwyższy stopień gotowości w razie potrzeby nagłej ewakuacji. Kilka razy zdarzył się fałszywy alarm, raz faktycznie musieli poderwać maszyny w środku nocy.

Taka ciągła presja była wycieńczająca, nawet jeżeli żyli w napięciu przez ostatnie miesiące i mogli się do tego przyzwyczaić. Ludzki organizm jest w stanie znieść bardzo dużo, ale przecież wszystko miało swoje granice.

Kilkanaście minut później śmigłowce miękko usiadły na pasie startowym niewielkiego lotniska. Na razie tylko Blackhawki. Eurocopter utrzymywał się w powietrzu, by osłaniać ewentualny odwrót. Ze śmigłowców wysypało się kilkunastu uzbrojonych ludzi, osobistych najemników Rittnera, ze zwałistym, potężnym Petą na czele. Rozdzielili się na dwie grupy – pierwsza przyklękła przy śmigłowcach, czujnie rozglądając się wokół. Druga, licząca ośmiu ludzi, ruszyła truchtem w stronę hangarów i budynków administracyjnych. Kierował nią Daniel. Peta został przy śmigłowcu, w którym cały czas tkwił Rittner.

– Daniel, tu Łobuz Jeden – głos Bojara trzasnął nagle w słuchawce.

– Mówiłem ci, żebyś zmienił ten kretyński kryptonim.

Odpowiedział mu zachrypnięty rechot.

– Sprawdziliśmy ogrodzenie, brama jest otwarta. Są też ze dwa wyłomy od północy. Nie widzimy stąd niczego mniejszego.

– Zrozumiałem – powiedziawszy to, Daniel zaczął się czujniej rozglądać, nakazując gestami swoim ludziom nieco zwolnić tempo. Wiadomości nie były dobre, zwierzęta mogły być cały czas gdzieś w środku, chociaż szczerze w to wątpił. Zerknął na zegarek, a po chwili uniósł wzrok w niebo. Eurocopter wznosił się kilkadziesiąt metrów nad nimi niczym majestatyczny, ponury anioł zemsty. Wydawało mu się, że do zmierzchu pozostało jakieś dwie, może trzy godziny. Wystarczająco dużo czasu, żeby zabezpieczyć miejsce i spędzić tu noc. Jeżeli obejdzie się bez przygód.

– Widziałeś ludzi?

– Nikogo.

Mężczyzna odruchowo kiwnął głową.

– Pilnuj nas.

– Jak zawsze.

Daniel dał znak swoim ludziom i ruszyli dalej w stronę budynków. Po chwili rozdzielili się na trzy zespoły. Jeden skierował się do hangarów, dwa do budynków administracyjnych. Nie musiał powtarzać, że mają być w stałym kontakcie.

Przed samymi budynkami zwolnili, przechodząc teraz do szybkiego, cichego marszu. Cichego dla człowieka, oczywiście. Daniel doskonale wiedział, że dla niektórych gatunków zwierząt ich skradanie się brzmiało równie cicho, co przejazd dywizji pancерnej po żelaznym moście, jednak pewnych rzeczy nie da się przeskoczyć. Nie mieli czasu na podchody.

Drzwi do pierwszego, parterowego budynku okazały się otwarte. Do hangaru również, co potwierdził ostatni znikający w nich żołnierz. Daniel wziął głęboki wdech i włączył latarkę zamontowaną pod lufą karabinu. Było jeszcze jasno, ale kto wie, co za licho może się czaić w zakamarkach budynku. Odruchowo przycisnął łokieć do boku, sprawdzając, czy czuje nim rękojeść maczety, z którą nigdy się nie rozstawał. Wszystko było na swoim miejscu. Spotkał się jeszcze wzrokiem ze swoim kolegą, kiwnęli porozumiewawczo głowami i zajrzeli do środka.

Ukazał im się wąski korytarz, z którego można było wejść do kilku pomieszczeń. Drzwi do większości z nich stały otworem, z jednego wystawało przewrócone krzesło. Daniel spostrzegł również leżące na podłodze papiery, pogniecione, poplamione

czymś dziwnym i ciemnym. Tak samo wybrudzona była podłoga i kawałek ściany. Nie musiał się długo nad tym zastanawiać, doskonale wiedział, jak wygląda zaschnięta krew. Opuścił lewą rękę i odpiął zatrzask przytrzymujący pistolet w kaburze. Następnie mocniej zacisnął dłonie na kolbie karabinu, kładąc palec wskazujący na spust. Starał się wyregulować oddech, chociaż serce waliło mu jak oszałałe. Do tego po prostu nie można było się przyzwyczaić.

Kiwnął głową dwóm kolegom, dając im znak, że wchodzi do środka.

Lena śledziła z napięciem każdy ich krok. Trzymała ręce na małym karabinku maszynowym, a Kryśka dzierżyła w dłoniach pistolet. Dziewczyny patrzyły nie tylko na zespół Daniela, ale rozglądały się też wokół, nie wyłączając nieba. Wiedziały, że jeden ptak mógł na nich wszystkich ściągnąć całe stado, chociaż na razie nic takiego nie miało miejsca. Wszyscy zdawali się wstrzymać oddechy, mimo że takie rutynowe sprawdzanie budynków robili już dziesiątki razy. Za każdym razem coś jednak mogło pójść nie tak, zawsze mogli wpaść w zasadzkę, ktoś mógł stracić życie.

W tym czasie Daniel zagłębił się w zdemolowany korytarz. Kroczył ostrożnie, raz po raz zerkając na potłuczone szkło, starając się nie robić niepotrzebnego hałasu, chociaż cały czas z tyłu głowy rezonowała mu myśl, że przecież przylecieli śmigłowcami i na pewno obudzili wszystko, co tylko się dało. Niemniej ostrożności nigdy nie za wiele. Dotarł do pierwszych dwóch pomieszczeń, znajdujących się po obu stronach korytarza. W tym po lewej, które wyglądało jak coś na kształt pomieszczenia socjalnego z jadalnią, zastał poprzewracane stoły i krzesła. Otwarte drzwiczki metalowych szafek na jedzenie i rozbita chłodnia świadczyły o tym, że szabrownicy poszukujący jedzenia zajrzeli także tutaj. Daniel uniósł wzrok i zobaczył wybite szyby w oknach ze szkłem sterczącym z ramy niczym ostre, skalne szczyty. Tylko że zamiast szronu na tych była zakrzepnięta, wyschnięta krew. Mlasnęła z obrzydzeniem i skierował się do pomieszczenia znajdującego się naprzeciwko.

Tym razem trafił na biuro: trzy biurka, jedno przewrócone na bok i osłaniające coś, co bez wątplenia było legowiskiem, od jakiegoś czasu jednak opustoszałym. Prawdopodobnie należało do człowieka, o czym mogły świadczyć dziwne, niezrozumiałe dla Daniela napisy i rysunki wyrzyte na blacie. Podszedł ostrożnie bliżej, ukucnął. Wyciągnąwszy rękę, dotknął wypłowiałego koca, trącił lufą karabinu płaską, złotą od potu poduszkę. Zastanowił się przez chwilę. Nie tyle nad tym, co się stało z rezydentem tego luksusowego miejsca, ile w jaki sposób zginął. Puste puszkę po jedzeniu świadczyły o tym, że dawno tu nikogo nie było.

Po paru sekundach wstał, odwrócił się i nagle poczuł, jak drżą mu uda, a przez kręgosłup przebiega zimny, paskudny dreszcz. Już wiedział, co się stało z rezydentem.

Trup wisiał za ostatnim biurkiem, w głębi pomieszczenia. Na suchym szkielecie pozostały tylko ubrania, przez które gdzieniegdzie w świetle zachodzącego słońca połyskiwała kość. Zwierzęta i robactwo nie próżnowały.

Sprawdzanie pomieszczeń zakończyło się po kilku minutach.

– Okej, czysto – powiedział.

– Świetnie. Podejdz na słowo, proszę – usłyszał znajomy głos w słuchawce. Ruszył w kierunku śmigłowca, w którym został doktor. Zanim to zrobił, wydał jeszcze

odpowiednie rozkazy swoim ludziom, między innymi takie, żeby uprzętnęli szkielety, których znaleźli jeszcze kilka. Na Danielu nie zrobiły szczególnego wrażenia, na jego ekipie również. Po paru miesiącach takich widoków można się było przyzwyczaić. Dodatkowo, co zauważył któregoś dnia jego kolega, to wiele ułatwiało: Tak jest nawet lepiej, tak myślę. Nie widać twarzy, nie widać ciała, nic nie cuchnie. Obgryzione kości nie dają się zidentyfikować, co nie? Czasem się znajdzie pierścionek na palcu albo łańcuszek na szyi, ale spoko. To jeszcze ujdzie. Tu przynajmniej nic nie śmierdzi.

Rozpoczęła się wtedy dyskusja, ale Daniel jej nie słuchał. Znalezienie białego szkieletu nie było niczym przyjemnym, ale znalezienie szkieletu, na którym jeszcze wisiały kawałki ciała oraz którego kości nosiły ślady pazurów i kłów, było nieporównywalnie gorsze. Zwłaszcza gdy ten szkielet miał na palcu pierścionek, który sami wcześniej kupiliśmy, i gdy tkwił w aucie, którego nie zdążyliśmy nawet spłacić.

Te ponure myśli wracały do Daniela, krążyły wokół niczym natrętne owady, co jakiś czas wchodząc niebezpiecznie blisko w orbitę jego świadomości. Wiedział, że tak będzie aż do dnia, w którym podzieli los swojej ukochanej. I coraz częściej wyglądał tego dnia z utęsknieniem.

Tymczasem dotarł do Rittnera i zdał mu raport na temat stanu obiektu. Wszystkiemu czujnie przysłuchiwał się Peta, drwiącym wzrokiem patrząc na Daniela.

Kilkanaście minut później skończyli adaptowanie budynku do swoich potrzeb. Ze znalezionych materiałów zrobili prowizoryczne blokady na powybijane okna i wąskie korytarzyki, którymi mogły się precyzyjnie zwierzęta. Poprzesuwali meble, robiąc miejsce na samopompujące karimaty i śpiwory.

– Znaleźliście coś w hangarach? – zapytał doktor, zanim odszedł do swojego pokoju. Jak zawsze odpoczywał w samotności, chyba że wyjątkowo warunki naprawdę to uniemożliwiały. Przeważnie i tak znajdowało się jakieś małe dodatkowe pomieszczenie, w którym mógł przebywać całkiem sam. Nikt nie śmiał w to wnikać.

– Tak, jest trochę paliwa w podziemnych zbiornikach, widocznie tutejsi nie wpadli na to, żeby tam szukać. Tak, tam to zanieście – Daniel rozmawiał z Rittnerem, jednocześnie koordynując całą akcję.

Nawet udało im się wszystko zorganizować jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Był zadowolony, ludzie nie wyglądali na przemęczonych, a miejsce wydawało się bezpieczne. Przynajmniej z daleka będzie widać, jeżeli coś spróbuje ich podejść. Na dachu obowiązkowo zostawi dwóch obserwatorów, piloci jak zawsze będą spali w gotowości, plecaki będą popakowane, broń pod ręką. Wszystko zaplanowane tak, żeby po ogłoszeniu alarmu wstać i wybiec. Jeśli będzie taka możliwość, zabrać ze sobą karimaty i śpiwory. Założenie jest takie, aby po maksymalnie dwóch minutach być w powietrzu i po ewentualnym ataku wrócić na ziemię po resztę gratów.

Rutyna.

Omawiali i ćwiczyli to dziesiątki razy, co pozwoliło każdemu zoptymalizować różne rzeczy, szczegóły, które, pozornie nieistotne, składały się na ostateczny rezultat.

– Daniel?

Mężczyzna zamrugnął, patrząc na doktora. Odpłynął myślami, nie wiedział, że ten

cały czas do niego mówi.

– Tak, paliwo, jakieś zapasowe części, ale nic więcej.

– Ocaleni?

Milczące potwierdzenie obaw.

– Trupy?

– Tak samo jak wszędzie. Obgryzione do kości szkielety kilku osób.

Rittner pokiwał posępnie głową.

– Będę u siebie.

Powiedziawszy to, ruszył w stronę pomieszczenia kontrolnego, w którym zamierzał spędzić noc.

Będę u siebie, powtórzył w myślach Daniel. No tak, stary dziad wszędzie jest „u siebie”. Pieprzony snob.

– Hej – usłyszał nagle głos dobiegający z tyłu. Szybko go rozpoznał.

Lena akurat wracała ze swoim plecakiem ze śmigłowca. Cały czas nosiła ten sam czarny plecak Nike, z którym wyszła ze swojego mieszkania wiele miesięcy temu. Teraz był poobdzierany i miał kilka lat, ale dziewczyna nie zamierzała się z nim rozstać. Wiązało się z nim zbyt dużo wspomnień. Pozwalał utrzymać wątłą więź ze starym życiem.

– Hej. Jak tam?

– Spoko – odpowiedziała z uśmiechem. Danielowi od razu zrobiło się lżej na sercu. Dziewczyna miała w sobie coś takiego, że przy niej człowiek czuł się lepiej, zapomniał o trawiących go problemach. Pomimo końca świata nie tylko potrafiła zachować spokój ducha, ale też emanować nim wokół siebie. – Jakoś leci. Wiesz, o której ruszamy?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Na pewno rano, ale jeszcze nie ustaliliśmy dokładnej godziny. Wyśpij się, odpocznij. Jutro możemy dolecieć na miejsce.

Ostatnie słowa wymówił już z pełną powagą. Nikt nie wiedział, czego mogą się spodziewać, ale on przygotowywał się na najgorsze. A przed wejściem do jaskini lwa dobrze jest być w pełni sił.

Lena uśmiechnęła się, minęła Daniela i ruszyła dalej korytarzem. Przechodząc, spojrzała na uchwyty, w którym wcześniej tkwiła gaśnica. Obok było miejsce na apteczkę. Kolor farby w tych miejscach był wyraźnie inny, wyblakły, jakby te przedmioty wisiały długo nieużywane. W końcu jednak przyszedł na nie czas, okazały się potrzebne.

Przypomniało jej to jeden z wypadów po zapasy. Jeden z wielu, jakie miała okazję przeżyć, za każdym razem zastanawiając się, czy to może ten ostatni.

Było to jakieś cztery czy pięć miesięcy od momentu zamieszkania w jaskini, nie pamiętała dokładnie kiedy. Dni mieszały się ze sobą, nie pozostawiając po sobie niczego, po czym można by je rozpoznawać.

Pamiętała, jak...

...zatrzymali auta pod supermarketem, ze trzydzieści kilometrów od Zakopanego.

Daniel uważnie rozejrzał się po okolicy.

– Wychodzimy.

Powiedziawszy to, otworzył drzwi od strony pasażera i wysiadł jako pierwszy. Następnie przymknął drzwi, ale nie do końca, aby w razie czego można było szybciej wskoczyć z powrotem do środka. Kierowca miał czekać z włączonym silnikiem, dodatkowo wiedział, że jak grupa zniknie w budynku, to ma wykręcić auto i stanąć przodem w kierunku drogi, żeby przyspieszyć ewakuację. Daniel trzymał przed sobą odbezpieczony karabin szturmowy, a na udzie miał kaburę z załadowanym pistoletem. Było mu gorąco, pocił się – zresztą, tak samo jak wszyscy inni, ale nikt nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Poza ich dwoma jeepami na parkingu stało jeszcze kilka zniszczonych aut, ale nie widzieli przy nich żywej duszy.

Było już po południu, słońce przyjemnie grzało, a od strony gór wiał lekki, orzeźwiający wiatr. Lena, której udało się namówić Daniela na wspólne wyjście z jaskiniowej celi, razem z Kryską wysiadła z pierwszego auta. Wątpiła, aby w środku znaleźli jeszcze coś godnego uwagi, ale warto było spróbować. Poza tym dobrze było się ruszyć z miejsca. W międzyczasie z drugiego jeepa również wysiedli pasażerowie, dwóch mężczyzn i kobieta. Wszyscy mieli broń i puste plecaki.

Było cicho. Rozlegało się jedynie miarowe buczenie silników oraz daleki szum drzew. Od wielu miesięcy nie słychać było ptaków, szczekania psów czy innych dźwięków, jakie wydawał z siebie las. To dobrze, pomyślała dziewczyna. Czasy się zmieniły. Teraz, gdy widziało się ptaka, to się go nie podziwiała, tylko zamierało się w bezruchu, brało nogi za pas albo unosiło karabin do strzału. Szczekanie powodowało, że człowieka przechodził dreszcz, a poziom adrenaliny niebezpiecznie skakał. Nawet małe kotki przestały być rozkosznymi, gapowatymi kulkami sierści.

– Okej, idziemy, ale trzymacie się blisko mnie, jasne? – zarządził Daniel, podchodząc do Leny i Kryski. Dziewczyny zgodnie pokiwały głowami, absolutnie świadome tego, jakie konsekwencje może mieć oddalenie się od grupy. Nie było to ich pierwsze wyjście, często zdarzało się, że grupa nie wracała w komplecie. A właściwie praktycznie zawsze – aż do momentu, kiedy dopracowali system i zaczęli robić szybkie, małe rajdy po zapasy, angażując w to niewielką liczbę osób i aut. Zawsze to w jakiś sposób ograniczało hałas.

– Dobra.

Twarz mężczyzny wyrażała skupienie. Odwróciwszy się, ruszył w stronę wejścia. Drzwi do supermarketu stały otworem, wybite szyby zapraszały szabrowników do środka. Jedna część drzwi została zastawiona połączonymi ze sobą wózkami, jednak można było między nimi dość swobodnie przejść. Na zniszczonych, pordzewiałych koszach wisiały strzępy czegoś, co pewnie kiedyś było skórą i futrem. Daniel wolał się nie zastanawiać, do kogo lub czego należały. Powoli odwrócił wzrok.

Włączył latarkę i omiół hol snopem światła. W środku panował półmrok, ale wolał zawczasu wygonić wszystkie podejrzane cienie. Nie chciał niepotrzebnie ryzykować. Jego oczom ukazał się rząd stanowisk kasowych – wybebeszone kasy świeciły pustkami, podwieszane nad nimi szuflady na papierosy jakby czekały z otwartymi paszczami na nowe ofiary. Za nimi ukazały się rzędy półek, które w znakomitej większości były jednak puste. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Odwrócił się, zobaczył,

że reszta grupy już jest w środku. Ekipa z drugiego auta ruszyła w odleglejszą część sklepu, szybko znikając między półkami. Daniel został z Leną i Kryską.

– Co bierzemy? – zapytała ta druga.

– Co tylko się nada – odpowiedziała zamiast niego Lena, ruszając pewnie między regały.

Te jednak nie były tak puste, jak się wcześniej wydawało Danielowi. Zalegały na nich porozrywane pudełka, pootwierane puszk i zniszczone produkty. Lena zatrzymała wzrok na rozerwanej torebce po makaronie. Na podłodze leżało jeszcze kilka wysuszonych nitek, ale resztę ktoś wybierał. Wyobraziła sobie ten chaos, tę walkę o jedzenie, nawet o nędzne resztki z brudnej podłogi. Ludzie o tym nie myśleli, nie byli świadomi tego, że jedzenia w sklepach starczy na zaledwie kilka dni, że to ciągły system dostaw towaru zapewniał równo poukładany asortyment na białych półkach. Gdy transport zaczął szwankować, półki szybko wyczyszczono. Na skutki nie trzeba było zbyt długo czekać.

W tym czasie Daniel ruszył ostrożnie dalej, ale szybko dał znak dziewczynom, żeby się zatrzymały. Wychodząc zza zakrętu, zobaczył kilka przewróconych regałów – opierały się o siebie jak pijacy wracający z całonocnej libacji. Ktoś między nimi urządził sobie legowisko, do którego Daniel teraz zmierzał.

Leże było puste, ale pozostawione ślady – walające się po podłodze kartony, puszki i opakowania po jedzeniu świadczyły o tym, że to miejsce służyło komuś za dom. Daniel ostrożnie się rozejrzał. Zgodnie z oczekiwaniami nie zobaczył żadnego lokatora i wyglądało na to, że już od jakiegoś czasu nikt tu nie zaglądał. Dostrzegł w pewnym miejscu krwawy odcisk dłoni, a obok niego napis, wymalowany prawdopodobnie tą samą dłonią i tą samą krwią. Czerwone, nieregularne litery układały się w przekaz: „Dostaliśmy to, na co zasłużyliśmy”. Mężczyzna przełknął ślinę, wysunął głowę i wstał.

– Czysto. Niczego ciekawego tam nie ma.

– Ciekawe, co tu się stało – powiedziała cicho Kryśka do Leny.

Ta posłała jej niepewny uśmiech, chociaż z jej zielonych oczu biła groza. Kryśka odwróciła się i ruszyła za Danielem.

Lena została odrobinę z tyłu. Biła się z myślami, wyobrażała sobie człowieka – kobietę, mężczyznę, może dziecko? – schowanego w tym supermarkecie, budującego prowizoryczne schronienie z rozwalonych regałów. Siedzącego samotnie w ciszy i mroku, wsłuchującego się w każde stuknięcie, śledzącego mrok szeroko otwartymi oczami. Wyobraziła sobie jego strach i bezradność, skrajne zmęczenie wywołane ciągłym ukrywaniem się, zaschnięty pot oblepiający jego wymizerniałe i brudne ciało. Co się z nim stało? Uciekł, został porwany? Zamordowany? Może przyłączył się do większej grupy?

Wiedziała, że nigdy się tego nie dowie.

Wiedziała też, że powinna być wdzięczna za to, że jej nie spotkał taki sam los. Ale nie potrafiła. Zamiast tego była wściekła na istotę ze swoich snów, tę samą, która prawdopodobnie zamordowała jej mamę i przyczyniła się do śmierci milionów ludzi na całym świecie. Poczwała, jak przepelnia ją wściekłość, jak zalewa ją fala gorzkości

i ślepej, fanatycznej nienawiści. Nie wiedziała dlaczego, ale w pewnym stopniu czuła się odpowiedzialna za to wszystko. Może gdyby podążała za swoimi wizjami, gdyby tyko je rozumiała...

– Lena – usłyszała szept. Uniosła wzrok i zobaczyła Kryškę. Stała kilkanaście metrów dalej i machała w jej stronę. – Chodź, nie stój tam sama, do jasnej cholery. Nie mamy czasu.

Lena odetchnęła głęboko i ruszyła.

W międzyczasie Daniel podszedł do drewnianych drzwi. Miał nadzieję, że zaprowadzą go na zaplecze, gdzie znajdzie jakieś lekarstwa, może sklepową apteczkę czy cokolwiek innego, co mogło im się przydać. O ile zostali bardzo dobrze zaopatrzeni w żywność i wodę, to środki medyczne kończyły się w zastraszającym tempie. Tak samo jak używki. Nikt o tym nie mówił głośno, ale w nowym świecie szybko przejęły one funkcję waluty.

Nacisnął klamkę i z konsternacją stwierdził, że drzwi są zamknięte. Poczuł, jak przechodzi go dreszcz, jakby odkrył zapomniany skarb templariuszy lub prastary grobowiec, a nie zwyczajne, zamknięte drzwi prowadzące na nudne, duszne zaplecze. Zaplecze, na którym jednak mógł znaleźć masę różnego towaru. Rozejrzał się wokół, jakby licząc na to, że gdzieś obok znajdzie klucz. Przy drzwiach stał kosz z logo chip-sów ziemniaczanych, sąsiadujący z regałami na prasę – jednak oba były puste i wyglądały jak podpierające ścianę metalowe szkielety.

– Zamknięte – powiedział zdziwionym głosem. Kryška wykrzywiła usta w czymś, co miało wyglądać jak grymas zaskoczenia, Lena uniosła brwi. Podeszła do klamki i nacisnęła ją, jakby nie wierzyła jego słowom.

– Ano, zamknięte.

– Musimy znaleźć klu...

Stwierdzenie Krzyški przerwał głośny chrzęst pękającego drewna. Daniel, cofnąwszy się o krok, wziął rozpęd i kopnął w drzwi tuż obok zamka. Posypały się drzazgi, a otwarte drzwi odbiły się od ściany w środku pomieszczenia. Daniel natychmiast przykucnął z bronią w gotowości, spodziewając się ataku.

Jednak nic się na niego nie rzuciło. Uderzył ich tylko smród stęchlizny, gdy ze środka buchnęło ciężkie, jakby piwniczne powietrze. Daniel omiół powolnym snopem światła wnętrze pomieszczenia. Zobaczył kilka regałów z towarem – jakąś chemią gospodarczą, niedaleko za nimi stało kilka zgrzewek z napojami, reszta wyglądała jak śmieci i rupiecie. Jednak w pewnym momencie światło odbiło się od pary oczu. Mężczyzna poczuł, jak przechodzi go dreszcz, i automatycznie uniósł broń wyżej, celując dokładniej.

– Nie, poczekaj – powiedziała cicho Lena, kładąc rękę na jego ramieniu.

Daniel nawet na nią nie spojrział, tylko wbił wzrok przed siebie, spodziewając się najgorszego.

– Nie bój się – Lena odezwała się głośniej. Osoba z wnętrza pomieszczenia, bo bez wątplenia był to człowiek, uparcie milczała. Chowiała się za niewielką chłodnią, lecz po chwili wyprostowała się, nieśmiało i podejrzliwie.

– Czego chcecie? – zapytała cicho. Kobieta w świetle latarki wyglądała na około

trzydzieści pięć, może czterdzieści lat. Długie, postrzępione i nastroszone włosy okalały jej brudną twarz. Ubranie również nie prezentowało się najlepiej, ale wyglądało na względnie czyste. Przynajmniej nie było podarte ani poplamione krwią.

– Spokojnie, nie zrobimy ci krzywdy – powiedziała Lena, unosząc ręce, aby pokazać, że są puste. – Opuść broń – rzuciła cicho do Daniela. Ten wstał z kucek, ale uparcie trzymał karabin przed sobą. Tylko lufa powędrowała nieco w dół.

– Pokaż ręce – rzucił oschle.

Zdezorientowana kobieta spojrzała na Lenę i zerknęła pobieżnie również na Kryśkę, która pojawiła się za nimi. Miała strapiony, zmęczony wzrok. Wyglądała jak człowiek, który stracił wszystko, wliczając w to także dalszą wolę walki. Lecz na przekór temu zaczęła się powoli prostować, a Daniel w tym samym czasie dyskretnie unosił lufę karabinu, jakby zobaczył coś, czego nie zauważyła Lena.

– Rzuć to! – krzyknął nagle, przyjmując pozycję strzelecką.

– Wynoście się – powiedziała kobieta, wyciągając w górę rękę. Trzymała w niej pistolet, prawdopodobnie odbezpieczony. W jej drugiej dłoni błyszczał długi nóż, wyglądający na kuchenny. Zdawać by się mogło, że rozkazy Daniela nie zrobiły na niej wrażenia. – Won.

– Rzuć broń, to nikomu nic się nie stanie! – zawołał Daniel. Zauważył, że Lena przesuwa się powoli w kierunku kobiety, jakby chciała zasłonić ją własnym ciałem.

– Nie. To ty rzuć broń, albo jej sobie nie rzucaj, ale won mi stąd. To moje miejsce, nic wam do niego.

Jezu, pomyślała Lena. To zapyziałe, zapomniane zaplecze sklepu kobieta nazywa domem? Swoim miejscem? Tak nisko się stoczyliśmy? Uderzyło ją nie tylko to, że zdecydowała się ona tu zamieszkać, ale jak niewiele czasu trzeba było, aby do takiej sytuacji doprowadzić. Zalewie parę miesięcy. Dość intensywnych miesięcy, to należało przyznać. Jednak ten krótki, krwawy epizod, pełen strachu i zmęczenia spowodował, że cofnęliśmy się w czasie o dziesięciolecia, jak nie całe wieki, pomyślała.

– Spokojnie. Nie szukamy... – Daniel zaczął, ale nagle się zmytygował, ledwie zauważalnie zerkając przez lewe ramię.

Następnie opuścił broń i uniósł lewą dłoń.

– Dobrze. Już sobie idziemy. Widzisz? Już się wynosimy, tak jak sobie życzysz.

Kobieta zamarła, ewidentnie zbita z pantafelku. Przez jej twarz przeszedł cień niezrozumienia, gdyż zupełnie nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Zachowanie mężczyzny zaskoczyło ją, ale nie zamierzała tracić czujności.

– Tylko bez numerów.

Daniel powoli zaczął się wycofywać. Doskonale wiedział, że może być spokojny, bo daleko za jego plecami stoi Bartek, jeden z najlepszych strzelców, jakich znał. Gdyby pieniądze miały jeszcze jakąś wartość, Daniel postawiłby każde na to, że Bartek trzyma teraz głowę kobiety na muszce swojego karabinu.

– Bez nerwów. Po prostu sobie pójdziemy tam, skąd...

Nie skończył, bo nagle do dialogu włączyła się Lena.

– Możemy pohandlować.

Miała spokojny, wręcz beztroski głos. Jakby sytuacja w ogóle jej nie obeszła.

– Wymienić się. Na pewno czegoś potrzebujesz.

Kobieta zastanowiła się, uważnie taksując dziewczynę wzrokiem. Nie wiedziała, czy to pułapka, czy szczere pytanie.

– Nie twoja sprawa. Mam wszystko, czego mi potrzeba – rzuciła oschle, twardo obstając przy swojej agresywnej pozycji. Kolejne zdanie wypowiedziała już jednak zupełnie innym tonem. – Czego chcecie?

Lena już wiedziała, że coś z tego będzie. I że może uda się uniknąć zbędnego rozlewu krwi.

– Szukamy leków.

– Jakich?

– A jakie pani ma?

– Dziecko, ja naprawdę nie mam ochoty na takie zabawy. To nie jest pieprzona apteka, tylko zapomniany przez Boga supermarket. Mów, bo mi się kończy cierpliwość.

– Dobrze, przepraszam. – Lena zniosła ciężkie spojrzenie Daniela. – Potrzebujemy... środków przeciwbólowych. Opatrunków, plastrów, jeżeli są. Nie wiem, co pani jeszcze ma, więc ciężko mi...

– A co za to dostanę?

Kobieta stała niewzruszona niczym indiański totem. Wpadające do magazynu niki światło spowijało ściany i regały w złowrogim półmroku. Nie trzeba było wiele wyobraźni, żeby zobaczyć tańczące po nich cienie, jednak jak do tej pory wszystkim udawało się utrzymać nerwy na wodzy.

– Mamy jedzenie – odezwał się po chwili Daniel. – Możemy wymienić jedzenie na leki.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę, podczas gdy jej pierś unosiła się w rytm ciężkiego oddechu. Zapadła cisza, maćona tylko miarowym uderzaniem deszczu o blaszany dach sklepu. Cisza trwała kilkanaście długich, ciągnących się sekund, aż zaczęła ich krępować, chociaż Daniel i Lena czuli, że powinni dać kobiecie czas na odpowiedź.

– Chcę... – przełknęła wreszcie ślinę, jakby to, co zamierzała powiedzieć, było wyjątkowo trudne. – Chcę się z wami zabrać. Proszę. Zginę tu.

Powiedziawszy to, opuściła ręce z bronią i głowę, niczym skazaniec udający się na szafot, i zaczęła cicho płakać. Była wykończona. Gdyby nie szafa, o którą się oparła bokiem, prawdopodobnie przewróciłaby się na zimną podłogę.

Lena pamiętała jeszcze, jak znów ruszyła w jej stronę. I dotyk jej wysuszonego, brudnego ciała oraz cichy, pełen bólu szloch kobiety.

Naraz otrząsnęła się ze wspomnień. Znowu znalazła się tam, gdzie być powinna – na niewielkiej wysepce, której nazwy nawet nie знаła, kilka godzin lotu od Australii. Pomimo ciepła, jakie tu panowało, dziewczyna poczuła przejmujący chłód przechodzący przez jej ciało. Wspomnienia mglistych Tatr, woń mokrego lasu, to wszystko byłoby znacznie piękniejsze, gdyby nie zapach strachu, który im wtedy towarzyszył. ■

ROZDZIAŁ 30

Dziennik Skryby
Zeszyt Trzeci, strony 27-30
pismo odręczne

Transkrypcja i opis nagrania z kamer, prawdopodobnie wojskowych. Były rozmieszczone w jakimś namiocie, nie wyglądało to na stałą, murowaną bazę, jak budynek czy jakaś piwnica. Pewnie tych kamer było jeszcze kilka sztuk (na obrazie z jednej z nich widać jeszcze co najmniej cztery). Odnaleziono jeszcze jedną, pozostałych trzech nie. Dobrze, że nagrywały również dźwięk. Brak daty, ale sądząc po treści, należy przypuszczać, że to 4-6 tygodni od Dnia Zero. Czy Czasu Samotności, jeszcze nie wiem, jak to nazwać. W kadr wchodzi jakaś postać, żołnierz, staje tyłem do kamery. Druga osoba siedzi za biurkiem.

– Jak to, kurwa, nie mogliście sobie poradzić? – zapytał pierwszy żołnierz. Wysoki, dobrze zbudowany. Chyba jakiś dowódca.

Drugi zastanawiał się nad odpowiedzią. Ten pierwszy obszedł biurko i stanął przed nim.

– Przecież to tylko pieprzone zwierzęta! – znów pierwszy.

– Wiem, do jasnej cholery, wiem! Ale nie masz pojęcia, ile ich tam było. – Drugi żołnierz, niższy od pierwszego, zaczyna gestykulować. Macha rękami. Wstaje, stoi tyłem, nie widać twarzy. Po chwili przechodzi na bok.

Pierwszy:

– Nie tym tonem, szeregowy.

Drugi:

– Tak jest, panie plutonowy.

Chwilę milczą, mierzą się wzrokiem.

– Dlaczego, do jasnej cholery, się wycofaliście? Nie mogliście sobie poradzić z paroma krowami? Przecież ze wsi jesteście, znacie się.

Drugi przez chwilę milczy, twardo patrzy na plutonowego.

– Nie tylko z krowami, panie plutonowy. Tam było wszystko. Psy, koty, konie, kury, ptaki, pająki...

– No i co?

– Panie plutonowy?

– No i co, jak można, do ciężkiej kurwy, stracić ponad połowę plutonu w walce z trzodą chlewną i robakami?! Co wy, kurwa, próbowaliście je do klatek pozaganiać? Mielicie strzelać, od czego macie karabiny!

– No i strzelaliśmy. Ale one...

Żołnierz nagle przerywa. Plutonowy nic nie mówi, patrzy ze złością. Żołnierz przeciera ręką czoło, w końcu mówi:

– Słuchaj, Darek, one były wszędzie. I pierdoli mnie hierarchia, nie patrz tak na mnie. Jak chcesz, to możesz mnie wsadzić do więzienia, może tam będzie bezpiecznie, chociaż wątpię (tu słychać jakby chichot). Nie byłeś tam, nie widziałeś. Pamięć

tasz, jak raportowali z Łodzi, z Warszawy, z Gdańska? W Berlinie to samo, w Paryżu też. Stany identycznie, wszędzie to samo gównno. A co dopiero Japonia, Tajlandia, cała Azja, tam to dopiero się działo. Śmialiśmy się tak samo, jak ty śmiejesz się ze mnie, chociaż już nie tak głośno, bo chyba zaczynasz rozumieć, co się dzieje. Że to przecież tylko zwierzęta, że co one mogą. Ale one nas otoczyły. Jakby... jakby nie wiem, kurwa, zaplanowały ten atak. Rozumiesz? Zaplanowały i skoordynowały natarcie. Nie wiem, ale zobaczysz sobie nagrania z... Jezu, z bitwy. Stoczyliśmy bitwę ze zwierzętami. Słyszysz w ogóle, jak to brzmi? Paranoja jakaś.

Widoczny w kadrze plutonowy nic nie mówi. Szeregowy wyjmuje papierosa i zapala bez pytania.

– Stoczyliśmy bitwę i przegraliśmy. Pamiętam... widziałem, jak te bestie rozrywają chłopaków. Łatwiej, znacznie łatwiej jest trafić człowieka niż takiego rzucającego się na ciebie psa. Albo kota. Tam były jeszcze dziki, wiesz, jaką one mają skurwysyńsko twardą skórę? Strzelaliśmy, ale nie ubiliśmy wszystkiego, nagle ptaki na nas zleciały z góry, zaczęły nas dziobać. Niczego nie było widać. Wyszło, że zwierzęta były też za nami i po obu flankach. Otoczyły nas, rozumiesz? Obok mnie jakiś kot rzucił się na Górala, nie wiem nawet, skąd się wziął, ale wskoczył mu prosto na twarz, zaczął go drapać, gryźć, no, wściekła kula futra, mówię ci. Góral przewrócił się, wypuścił karabin, chciał go zrzucić jakoś z twarzy, ale wtedy rzuciły się na niego jeszcze dwa psy. Jeden wgryzł mu się prosto w jaja, wyobrażasz to sobie? Kot wydrapuje ci oczy, pies wyżera ci jaja, a ty nie wiesz, za co masz się złapać. Wtedy... chyba Piter, nie wiem, ale wydaje mi się, że to był on, więc wtedy zaczął strzelać do tego psa. Zabił go, ale pociski trafiły też Górala, przejechał mu serią po nodze. Nawet nie wiem, czy on to czuł, widziałem tylko, jak w wyprostowanym ręku ściska kota, a ten go cały czas napierdala, gryzie, drapie, chociaż z pyska leci mu krew i oczy mu wyszły na wierzch (tu unosi ręce i coś pokazuje, ale nie widać co). Nie wiem, czy ta krew była jego, czy Górala, chyba obu, bo twarz Górala wyglądała, jakby ktoś go pochlastał żyłkami. No i jak on go trzymał w górze, a pies... rozszarpywał jego gardło... wtedy coś mnie uderzyło w bok, zobaczyłem, że ubodła mnie krowa. Nawet nie wiedziałem, że one mogą tak szybko biegać. Tak sobie myślisz pewnie, że to śmieszne, ale one ważą dobrze ponad pół tony. Kurwa, jak ci takie rozpędzone pół tony wjedzie w dupsko, to nie będziesz się śmia...

Przerywa, w tle słychać jakieś odgłosy, krzyki. Chyba strzelanie, trudno stwierdzić. Plutonowy sięga do kabury, wyjmuje pistolet i po chwili znika z pola widzenia kamery. Drugi żołnierz w tym czasie się rozgląda, chyba szuka miejsca, żeby się schować. Też wychodzi poza kadr. Po paru sekundach hałas narasta, słychać syrenę, jakieś krzyki i strzały z broni palnej. Dużo strzałów i więcej krzyków.

Przez sto dwadzieścia siedem sekund niczego nie widać, to znaczy nic się nie dzieje. Tylko słychać. W kadrze biurko z laptopem, jakieś zielone skrzynie, papiery, w tle mapa. Następnie jakiś hałas, coś wpada na szafkę/stojak (?), na którym była zamontowana kamera. Ta upada, w kadrze widać teraz tylko fragment podłogi i ścianę namiotu. Uchylają się poły namiotu, widać, jak kilka metrów dalej przebiega koń, w przeciwną stronę pędzi kilka mniejszych zwierząt. Psy albo wilki. Po paru sekundach

w kadrze pojawia się olbrzymia futrzasta łapa z długimi, czarnymi pazurami. Chyba niedźwiedź. Słysząc odgłos wążania, powarkiwanie, potem niedźwiedź wychodzi poza kadr. Słysząc jakieś uderzenia, jakby przewracała się metalowa szafa. Krzyki człowieka, głośne ryki zwierzęcia.

Nie chcę opisywać tego, co było słychać później.

Kamera działała jeszcze cztery godziny, aż do momentu wyczerpania się baterii. ■

Australia, lato 2021

Matka ostrożnie wyjrzała zza skalnego załomu. Do wyjścia z jaskini miała około pięćdziesięciu metrów względnie prostego i równego korytarza – regularnej, dostosowanej pod turystów trasy. Od jakiegoś czasu nie musiała formować już skał wedle swojego życzenia, poruszając się przygotowaną przez ludzi drogą. Wołała utworzyć własne przejście w odpowiednim momencie.

Wtedy, jak wiadomo, zemsta smakuje najlepiej.

Wciągnęła nosem chłodne powietrze, tak przyjemnie różniące się od tego zatęchłego i podziemnego, którym musiała oddychać przez ostatnie godziny. Uśmiechnęła się, wyczuwając obecność ludzi. Położyła dłoń na skale i przymknęła oczy. Po paru sekundach rozchyliła delikatnie usta, a jej wólpóprzymknięte powieki drgały – zupełnie jakby była w ekstazie. Bestia przyglądała się z zaciekawieniem swojej pani, niepewna, czy powinna jej pomóc, czy raczej nie przeszkadzać, zdając sobie sprawę z tego, że i jedno, i drugie może mieć przykre konsekwencje.

Tymczasem na zewnątrz drzewa delikatnie się zakołysały, pieszczone muśnięciem niewidzialnego wiatru. Liście zagrały swoją prastarą melodię. Niektórzy żołnierze unieśli głowy, wyczuwając dziwny niepokój. Ktoś zrobił znak krzyża, inny złapał za amulet zawieszony na szyi. Część poczuła dziwną, delikatną falę energii przechodzącą przez ich ciała, subtelne spięcie mięśni i jakby ukłucie w żołądku.

A za tym wszystkim stała Matka. Chłonęła ze skały wiedzę na temat najbliższego otoczenia, wyczuwała ludzi stojących na ziemi, opartych ciężarem swoich ciał o skały, czuła też ciężkie pojazdy, ugniatające swoją masą ściółkę i łamiące gałęzie. Dokładnie wiedziała, o które drzewo oparty jest człowiek, przez korę czuła zimną stal wybuchającego patyka, który dzierzył on w swoich małych, spoconych rękach. Widziała ptaki siedzące na gałęziach, wyczuwała obecność pajaków, skorpionów i węży, bezszelestnie pełzających w kierunku żołnierzy.

Widziała też to, co działo się w skalnych korytarzach jaskini, gdzie na jej rozkaz poukrywały się zwierzęta. Te, którym udało się przeżyć poprzednią bitwę i teraz lizały rany, czekały w gotowości, zdecydowane bez najmniejszego wahania skoczyć nawet w ogień, aby tylko przysłużyć się tym swojej ukochanej Matce.

Zeskanowała teren szybciej i dokładniej niż współczesna aparatura pomiarowa, tworząc w głowie doskonałą, trójwymiarową mapę, z rozlokowaniem wszystkich zagrożeń oraz tego, co mogło się jej przysłużyć.

Ludzi było zaledwie kilkudziesięciu. Szkoda, że tak niewielu, ale reszta albo już dostała nauczkę, albo ją wkrótce dostanie, pomyślała, ruszając powoli przed siebie. Nadszedł czas, aby wyjść z cienia. Jej usta rozchyliły się w niemym, ledwo słyszalnym szepcie.

Zamiast pójść dalej korytarzem, skrzyła spokojnie w lewo, wprost na skalną ścianę. Nie uderzyła w nią jednak, ponieważ skała jakby się przed nią rozwiła, lekko i zwiewnie, zupełnie niczym mgła przed znikającą w niej sarną. Matka wkroczyła

w nowo powstały tunel i śmiało już ruszyła przed siebie. Bestia przekrzywiła łeb i patrzyła ze zdumieniem, ale po chwili podążyła za swoją panią. Nagle jednak jakiś impuls, głośny i wyraźny niczym trzask z bicza, nakazał jej się zatrzymać, a potem – instrukcja była czytelna i klarowna – szybko zmienić kierunek i ruszyć korytarzem.

W tym czasie Matka dotarła do granicy jaskini. Wiedziała, co znajduje się przed nią, i że zaledwie kilka centymetrów litej, twardej skały dzieli ją od wroga.

Dość ukrywania się.

Kilku przyczajonych między drzewami żołnierzy uważnie obserwowało wlot do jaskini. Wycelowali w niego broń maszynową, karabiny snajperskie i granatniki. Niski, gruby człowiek czekał z ręką zawieszoną nad guzikiem odpalającym ładunki wybuchowe, którymi zaminowali wejście. Żołnierzom pot spływał po twarzach i plecach, ich ciała kurczyły się ze strachu. Kilka minut wcześniej sonary wykryły ruch w skalnych korytarzach, zwiastując powrót tej przedziwnej, przerażającej istoty. Czuli zarówno przerażenie, jak i ulgę – rozkaz bowiem był taki, że gdyby istota sama nie wyszła z jaskini, należało po nią do niej wejść, do czego nikt się specjalnie nie kwapił. Sonary wskazywały jednak na istnienie ruchu, więc nie trzeba było się pchać do środka... Jedna z czerwonych kropek na ekranie nagle zniknęła. Nie zatrzymała się, co aparatura również by wychwyciła, lecz po prostu jakby rozpułyła się w powietrzu. Operator przekazał informację swojemu przełożonemu, ten jednak zdecydował nie dzielić się tymi rewelacjami z podległymi mu żołnierzami – nie miało sensu wywołanie paniki. Po chwili druga z kropek zaczęła się zbliżać do wyjścia, stopniowo nabierając prędkości. Na radarze nagle pokazało się więcej kropek, z początku kilka, a za moment były ich już dziesiątki.

– Co to ma być?! Co się dzieje? – pytał dowódca, starając się zachować zimną krew, chociaż schowany głęboko za krzaczastymi brwiami mózg krzyczał wręcz: uciekaj!

– Nie wiem, nie powinno ich tu być, nie było ich wcześniej, nie rozumiem, to chyba jakiś błąd... – płatał się specjalista obsługujący aparaturę. W tym samym czasie gorączkowo regulował różne pokręta, przełączał guziki i dostrajał obraz. Te ruchy dla postronnego obserwatora mogły wyglądać chaotycznie, jednak jego palce łądowały dokładnie tam, gdzie trzeba. W głębi duszy wiedział, że to bezcelowe – wszystko bowiem sprawdził wcześniej, kilkakrotnie, nie tylko ze względu na rozkaz i bezpieczeństwo towarzyszy broni, ale przede wszystkim dlatego, że zwyczajnie, egoistycznie obawiał się o własny tyłek. Bał się tego, co może wyleźć z jaskini, potwora łąpiącego nań zza niedomkniętych drzwi szafy.

– Kontakt! – krzyknął nagle któryś z żołnierzy obserwujących wejście. Nim ktoś z dowództwa zdążył zareagować, rozległ się pierwszy strzał, w ułamku sekundy dołączyły do niego kolejne. Ludzie nie potrzebowali zachęty. Rozpoczęła się kanonada. Pociski przecinały powietrze, szatkowały gałęzie i liście, aż wreszcie rykoszetowały wewnątrz jaskini, odbijając się od jej ścian niczym stado rozjuszonych os.

Nikt nie wiedział, czy coś tam się faktycznie pojawiło, czy może komuś puściły nerwy – żołnierze dali się porwać fali paniki, uparcie ignorując wrzaski dowódców, desperacko nakazujących wstrzymanie ognia. Ktoś nawet wystrzelił z granatnika. Po-

cisk, zniknąwszy w jaskini, po ułamku sekundy wybuchł, wypływając ze środka kłęby ognia, dymu i lecące z ogromną prędkością skalne odłamki. Kilku żołnierzy krzyknęło tryumfalnie. Niemniej wszyscy byli absolutni pewni, że tych parę pocisków i jeden granat wystarczyły, aby zabić to coś, czego nie potrafili nawet nazwać.

I wtedy nastąpiła kolejna eksplozja. Kilkanaście metrów obok wejścia do jaskini w litej skale pojawił się wyłom. Wybuch wyrzucił skalne gązdy na odległość kilkunastu metrów, mniejszymi miotając jeszcze dalej – kilka zrykoszetowało od drzew, niektóre raniły żołnierzy. Dwóch z nich miało to szczęście, że zginęli od razu.

Wyłom ukazał wąski korytarz, którego nie wykryła żadna aparatura, gdyż zwyczajnie przed paroma sekundami go tam po prostu nie było. Z kłębow pyłu i kurzu wyłoniła się postać, na którą czekali – ta sama szczupła, karykaturalnie wysoka kobieta przyozdobiona dziwnymi gałęziami, teraz jednak jakby otoczona bluszczem. Pochyliła nisko głowę, patrząc na ludzi płonącymi wściekłością oczami. Następnie ukucnęła, podnosząc jednocześnie w górę prawą rękę, a lewą opierając na ziemi. Wokół uniesionej dłoni pojawiła się ledwo widoczna, zielona mgiełka.

Pokaz trwał zaledwie chwilę, w czasie której ludzie znieruchomieli jak sparaliżowani, nie pojmując, z czym mają do czynienia. Wiedzieli tylko, że muszą zabić to coś, co widzą, postępując w myśl zasady: jeżeli czegoś nie rozumiesz, należy to zgładzić.

– Ognia, strzelać, zabijcie to! – krzyknął któryś z dowódców, który jako jeden z pierwszych otrząsnął się z szoku. Wycelował swój karabin w potwora i nacisnął spust, podobnie jak kilkudziesięciu żołnierzy wokół niego.

Pociski przelatywały ze świstem obok istoty, kilka odbiło się od bluszczowego pancerza, jeden drasnął nawet jej ramię, nie czyniąc jej jednak absolutnie żadnej krzywdy. Matka nie zamierzała dawać mimo to wrogom zbyt dużego pola manewru. Wziąwszy potężny zamach, uderzyła prawą ręką w ziemię, głęboko wbijając w nią palce i otwierając usta w krzyku, który zagłuszył kanonadę.

W tej samej sekundzie las ożył.

Drzewa zaczęły falować, kładły się jak pod naporem huraganu, zrzucając z siebie setki liści i gałęzie, chociaż nie powiał nawet najłżejszy wiatr. Niektórzy żołnierze stracili grunt pod nogami, gdyż nagle rozstała się pod nimi ziemia. Kilka pojazdów zapadło się w powstałe rozpadliny, głębokie na kilkadziesiąt metrów. Jeden z czołgów zdążył jeszcze wystrzelić, posyłając pocisk w pobliskie drzewa, co skończyło się tragicznie dla stojących obok nich żołnierzy. Ludzie próbowali ratować się ucieczką, ale natychmiast przewracali się, wplątując się w gałęzie i korzenie, które pojawiały się nie wiadomo skąd.

Zapanował absolutny chaos.

Jakby tego było mało, nagle, jakby znikąd pojawiło się mrowie pająków, węży i skorpionów, które wściekle kąsały i gryzły przerażonych żołnierzy. Wyłaziły z ziemi, spadały z drzew, wypełzały spomiędzy konarów. Atakowały po kilka jednocześnie.

W tym czasie seledynowe oczy Matki lśniły zielono-fioletowym blaskiem, z wbitej w ziemię dłoni nadal unosiła się zwiewna, delikatna mgiełka. Jej usta wykrzywił grymas wściekłości, ale i pewnego rodzaju sadystycznej satysfakcji.

Jakiś przerażony żołnierz, wycofując się na plecach, próbował zastrzelić olbrzymiego pająka kroczącego w jego stronę. Był to niespotykane wielki okaz z rodziny *Palystes castaneus*, z odnóżami o długości dochodzącej do trzydziestu centymetrów. W panice mężczyzna uniósł karabin, cały czas cofając się, oby jak najdalej od tego przerażającego ohydztwa – lecz nagle broń wypadła mu z rąk, zaplątując się w krzaki. Zupełnie jakby ożyły i wyrwały mu karabin, jednocześnie oplatając mu nogi swoimi korzeniami. Żołnierz, wrzeszcząc ile sił w płucach, próbował oswobodzić się z coraz ściślej oplatających go gałęzi i korzeni. Wreszcie znieruchomiał i ze grozą patrzył na pająka, który szybko wspinał się po jego nogach.

Jednak mimo chaosu ludzie nie zamierzali poddać się bez walki. Ci, którzy tylko mogli, wycofywali się i przegrupowywali, na przekór walącym się na nich z każdej strony drzewom, mimo chmar małych, zabójczych robali wypełzających z każdej możliwej dziury. Z lasu dobiegały krzyki bólu i przerażenia, zlewając się w jedną przerażającą kakofonię śmierci. Strzały słyhać było coraz rzadziej, bynajmniej nie dlatego, że kończyła się amunicja – tej było pod dostatkiem, tak samo jak broni. Nie było jednak komu pociągać za spust. Matka spostrzegła, że we wschodniej i północnej części lasu utworzyły się ośrodki oporu – żołnierze zbili się w ciasniejsze grupy, osłaniając kolegów z miotaczami ognia – jedyną naprawdę skuteczną bronią przeciwko niekończącym się atakom stawonogów i gadów. Fala płomieni omiatała wyschniętą ziemię, ogień szybko się rozprzestrzenił, podpalając wszystko, czego tylko dotknął. Matka skinęła głową w stronę jednej z grup. Bestia ruszyła, aż wokół uniósł się kurz.

– Tyły! – krzyknął nagle któryś z żołnierzy z północnej grupy, podnosząc karabin do strzału. Nic więcej nie zdążył zrobić. Biała łapa zagłębiła się niespodziewanie w jego klatce piersiowej, tak jakby zagłębiała się w stogu siana. Mężczyzna poczuł jeszcze wilczy odór potwora, nim ten, rozwierając paszczę, wgrzył mu się w twarz. Potem nie czuł już nic.

Bestia odrzuciła zwłoki na bok, jakby należały do dziecka, a nie dorosłego mężczyzny w pełnym ekwipunku. Rozpostarła na całą szerokość ramiona, przyjmując kilka pocisków wystrzelonych z bliskiej odległości. Nie zrobiło to na niej większego wrażenia, ale pozwoliło stadu zwierząt podążających za Bestią dopaść grupy ludzi i wbić się w nią z pełnym impetem i mocą swoich kłów i pazurów.

Patrząc na atak zwierząt kierowanych przez Bestię oraz ludzi zbitych w kilka grup, Matka uśmiechnęła się tryumfalnie. Poczula, że korona z bluszczu delikatnie drży i jej energia przez pancerz spływa na ramię, a stamtąd prosto na ziemię. Pod grupą żołnierzy znajdujących się po wschodniej stronie ziemia się rozstała – dwóch z nich zapadło się w szczelinę, niczym nieostrożni himalajscy znikający nagle w zdradliwych pęknięciach pokrywy śnieżnej. Wszystko trwało krócej niż mrugnięcie okiem.

Mniej więcej tyle samo, ile potrzebował wystrzelony granat, aby dotrzeć do swojego celu.

Matka usłyszała syk pocisku oraz piski zgromadzonych wokół niej stworzeń, poczuła ich strach i wstyd z powodu tego, że nie były w stanie powstrzymać pocisku ani zasłonić swojej pani własnym ciałem.

Jeden z żołnierzy, szczupły i wysoki chłopak, który zaledwie parę miesięcy wcze-

śniej stracił dziewczynę, ojca i brata w wyniku ataków zwierząt, wykrzywił usta w grymasie pogardy i bólu. Nie był w stanie zdjąć palca ze spustu, sparaliżowany jadem wstrzykniętym w jego ciało. Zanim umarł, zobaczył jeszcze, jak przerażająca, karykaturalna istota znika w kuli ognia, którą jej posłał wraz z pozdrowieniami od wszystkich tych, którzy odeszli.

Gdy po paru sekundach wiatr rozwiął dym, w miejscu, gdzie wcześniej stała Matka, leżała tylko kupa ziemi i dużych, ciężkich kamieni. Po chwili jednak kamienie zaczęły się poruszać, a ziemia zapadać i wynurzyła się z niej Matka. Wał ziemi i kamieni wokół niej zniknął równie szybko, jak powstał. Spojrzała tryumfalnie na las, mierząc się spojrzeniem z pozostałymi przy życiu kilkoma żołnierzami. Ich twarze wykrzywiało skrajne przerażenie i niedowierzanie.

Matka wstała powoli, delectując się zwycięstwem. Nie musiała ponownie skanować ziemi. I bez tego wiedziała, że bitwa została wygrana. Ludzi została zaledwie garstka. Kilka stłamszonych, pokonanych istot. Ruszyła niespiesznie w ich stronę. Widząc to, jeden z żołnierzy przyłożył sobie pistolet do brody i pociągnął za spust. Inny próbował rzucić się do ucieczki, ale natychmiast korzenie, które wystrzeliły z ziemi, oplotły jego nogi.

Po kilkunastu sekundach Matka z delikatnym uśmiechem pochyliła się nad umierającym z przerażenia człowiekiem. ■

ROZDZIAŁ 32

Dziennik Skryby
Zeszyt Czwarty, strona 41

Skryba wziął do ręki czwarty zeszyt. Najnowszy, rozpoczęty przed zaledwie kilkoma tygodniami. Zawierał już tylko odręczne zapiski, gdyż na druk nie wszędzie można było sobie pozwolić. Już od jakiegoś czasu nie funkcjonowały niektóre większe elektrownie, używano więc agregatów prądotwórczych lub gromadzono się wokół miejsc, w których można było generować energię elektryczną z naturalnych zasobów.

A Skryba, mimo zadania, jakie sobie wyznaczył, paradoksalnie starał się takie miejsca omijać, gdyż wiedział, że właśnie wokół ludzkich skupisk gromadziła się również zwierzyna. Lwy przecież od zawsze zbierały się przy wodopoju, a krokodyle czaiły się w ciemnych wodach rzek na stada antylop.

Tak samo było teraz. Zwierzęta zbierały się w strategicznych miejscach i czekały na dogodny moment. Była ich masa, a ich cierpliwość wykraczała poza ludzką zdolność pojmowania. I gdy tylko właściwy moment nadchodził – atakowały. Z powietrza i ziemi, całymi grupami uderzały w nieostrożnych ludzi, którzy zdecydowali się wyjść poza swoje bezpieczne schronienia. I zaczynała się kolejna rzeź.

Ale nie wszyscy pozostawali bierni, jak i nie każdy był bezbronny. Ludzie nie zapomnieli o tym, że nie tylko broń palna służyła do zabijania. W powszechnie używanym arsenale coraz częściej pojawiały się noże, maczety, chałupniczo robione włócznie czy dzidy. Część ludzi szkoliła się w sztuce strzelania z łuku. Ręcznie wyrabiano też tarcze, pancerze, stalowe karwasze osłaniające przedramiona, naramienniki, płyty chroniące plecy, szyję. Ludzie starali się zabezpieczyć, jak tylko mogli, upodabniając się do postapokaliptycznych wojowników z kultowych filmów.

I gdy już się dostatecznie wyszejewali, ruszali w teren sprawdzać cudowne właściwości swoich unikalnych zbroi. I tam, w ogniu bitwy, szybko poddawane były one brutalnej weryfikacji.

Z reguły okazywało się, że konstruktor zapominał o jakimś strategicznym zapięciu albo jakieś miejsce było zbyt słabo osłonięte i idealnie mieścił się w nie na przykład szczur lub ptasi dziób. Lub zbyt luźno przymocowano płytę pancerza, którą dało się złapać całą szczęką i odciągnąć od reszty, otwierając prowizoryczną zbroję niczym puszkę tuńczyka, czemu towarzyszył paniczny wrzask jej właściciela.

Jednak byli też tacy, których zbroje były doskonale przemyślane.

Tak samo jak ich broń.

I świetnie odnajdywali się w nowej, ponurej dla większości rzeczywistości.

Ci urządzali krwawą łaźnię, gdziekolwiek się pojawili.

Pogrążony w refleksjach Skryba trafił wreszcie na napisaną odręcznie notatkę z pewnego spotkania, które miało miejsce gdzieś na europejskich bezdrożach.

Spotkanie z młodym mężczyzną, w wieku około trzydziestu lat, samotnie wędrującym z plecakiem. Mówił, że tak czuje się bezpiecznie. Spędziliśmy razem noc w ja-

kiejś opuszczonej szopie na skraju niewielkiej, zapomnianej przez Boga i ludzi wsi, wartując na zmianę przy ognisku. Noc minęła bezpiecznie. Poniżej spisane o poranku to, co udało mi się zapamiętać.

Usłyszałem ich na długo jeszcze, zanim ich zobaczyłem. Zszedłem z głównej drogi, podszedłem do drzewa i schowałem się w cieniu. Takie czasy, że lepiej z drogi zejść. W końcu nigdy nie wiadomo, kogo trakt przyniesie, czy przyjaciela, czy wroga, różnie to bywa. Wiesz, jak tak chodzę, to nie tylko słyszę, ale też na własne oczy widzę, że ludzie wcale nie zapomnieli, jak wyrządza się drugiemu człowiekowi krzywdę. Policji przecież już nie ma. Przynajmniej poza tymi pieprzonymi enklawami, otoczonymi wysokim murem, drutem kolczastym, strażnikami pod bronią i tak dalej. Niektórzy dobrze się urządzili, trzeba im to przyznać. Ale mówiąc szczerze, nigdy bym tam nie chciał zamieszkać. Spotkałem parę różnych osób i powiem ci, że za nic bym do takiej enklawy nie wrócił. Wszystko się rozsypało, a te barany w środku uparcie udają, że wszystko jest w porządku. To bez sensu. Te enklawy poupadają, mówię ci. Jak nie zwierzęta, to w końcu głodni ludzie się tam wbiją i zrobią z nimi porządek. Tak właśnie, tak będzie.

Szedłem i usłyszałem warkot silnika, z daleka już było wiadomo, że to nie był jeden pojazd, raczej kolumna albo coś dużo, dużo większego niż zwykłe auto. Tak czy inaczej, lepiej było zejść z drogi. No i zszedłem, stoję sobie tak w cieniu, rozglądam się wokół, bo przecież taki hałas mógł ściągnąć uwagę zwierząt. Ale te się jeszcze nie pojawiły. No i daleko, zza zakrętu, wyłania się pierwszy samochód. Wielka, opancerzona ciężarówka. I mówię serio, że opancerzona. Na przedniej szybie stalowe blachy z wyciętymi otworami, żeby kierowca widział, gdzie ma jechać. Dodatkowe blachy zamontowane też wokół maski, po bokach. Wszędzie jakieś kolce, krótkie, długie, jakieś linki stalowe, karabinki, kto wie, po co to wszystko. Ten pancierz nie był lśniący, był taki, jakby, o, jak to. Bury. Miał kolor zaschniętej krwi. I wiesz, co jeszcze miał? Ślady po kulach. Dużo śladów po kulach.

Zapytałem wtedy, jak myśli, skąd te ślady się wzięły.

Nie wiem, pewnie komuś podpadli, odpowiedział. Może atakowali jedną z tych enklaw, może wjechali na nie swoje terytorium, albo trafili na bandę takich samych popaprańców. Nie zamierzałem ich pytać, stałem tylko w cieniu i modliłem się, żeby mnie nie zauważyli. Pierwszy pojazd przejechał, nie udało mi się zobaczyć w nim nawet jednego człowieka. Wszystko było takie szczelne. Drugi wyglądał inaczej, to był jakiś jeep, też duży i też opancerzony. Potem przejechało jeszcze kilka różnych aut, były ze dwa busy, kilka osobowych. Pod koniec nawet ze trzy motocykle jechały, a o ekwipunku tych, którzy na nich siedzieli, bardzo chciałbym zapomnieć. Jakby jechali na zlot fanów Mad Maxa, z tą tylko różnicą, że tu wszystko było na serio. Prawo poza murami nielicznych miast nie istniało.

Potwierdzali to nieszczęśnicy przymocowani do ostatniego samochodu, zamykającego karawanę. Niektórzy ubrani, inni nadzy. Mężczyźni i kobiety, ranni, przywiązani z boku autobusu, jak ukrzyżowani. Bez możliwości wykonania najmniejszego ruchu, bez szans na ucieczkę. Jak trofea albo znaki ostrzegawcze.

Jedna z kobiet spojrzała na mnie, ale jakby mnie nie widziała. Miała puste oczy.

Żyła, ale chyba tylko... fizycznie. Psychicznie już dawno umarła i wcale się jej nie dziwię. W tym jej spojrzeniu było coś takiego, jakby, nie wiem, tęsknota. Ale też obojętność, pogodzenie się z losem. I nie było to błagalne, nie. Nie potrafię go nazwać, ale nie zapomnę już nigdy.

Siedziałem za tym drzewem jeszcze długie minuty po tym, jak warkot silników się oddalił. Potem ruszyłem w przeciwną stronę.

My też się rozeszliśmy. Nie spotkałem już nigdy tego człowieka, nawet nie wiem, jak miał na imię. Ale od tamtej pory już zawsze schodziłem z drogi, gdy słyszałem zbliżający się pojazd.

Skryba zamknął Dziennik i schował go do torby. Następnie zdjął znad niewielkiego ogniska czajnik i zalał kawę w stalowym kubku. Potem uniósł głowę i zapatrzył się w jak zawsze niespokojny Bałtyk. Bez tysięcy turystów zalegających na plażach, bez parawanów, bez krzyków dzieci, porzuconych puszek po piwie. Siedząc w opuszczonej latarni, miał dobry widok, a sam pozostawał niewidoczny. Zarówno dla zwierząt, jak i dla ludzi. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Kawa ostygła i wreszcie nadawała się do picia. Mężczyzna pociągnął kilka łyków, a następnie sięgnął do plecaka po konserwę mięsną. Co dziwne, mięso teraz psuło się w ekspresowym tempie, jednak to przetworzone przed Dniem Zero nadal nadawało się do spożycia. Często się nad tym zastanawiał, nie dochodząc jednak do absolutnie żadnego konstruktywnego wniosku.

Siedział więc w swoim tymczasowym gnieździe, wolno spożywając wieczorny posiłek i rozmyślając nad tym, co też przyniesie jutro. ■

ROZDZIAŁ 33

Australia, lato 2021

Od paru godzin lecieli nad terytorium Australii, przecinając przestrzeń powietrzną odpowiednio nad Australią Zachodnią, Południową i wreszcie docierając do Nowej Południowej Walii. Śmigłowce w pewnym momencie zeszły na pułap kilkunastu metrów nad ziemią, w takim szyku, aby zabezpieczyć jak największy obszar.

Helikopter z doktorem i dziewczynami leciał w środku, Daniel był w tym na prawym skrzydle, Eurocopter natomiast znajdował się po lewej stronie, nieco wysunięty do przodu, niczym szpica kopii rycerza. Nic nie zapowiadało kłopotów. Lena co jakiś czas unosiła aparat i robiła zdjęcie, nie tylko dokumentując wyprawę, lecz również odrywając myśli od zadania, jakie ich czekało.

Dla jednych było to zadanie, dla innych spotkanie, poprawiła się w myślach.

A unoszący się na horyzoncie dym z płonącego lasu był dowodem na to, że niedawno miało tu miejsce coś bardzo, bardzo nieprzyjemnego. Nie był to zwykły pożar drzewostanu – tego była pewna – zwłaszcza po tym, gdy zdjęcia satelitarne potwierdziły przejście tędy olbrzymiego stada zwierząt. Nikt jednak głośno nie zastanawiał się nad tym, gdzie nagle się ono podziało. Daniel sam długo się nad tym głowił, spekulował, że może schroniły się w tej wielkiej jaskini, jednak to by oznaczało, że jest tam grota wielkości stadionu, albo nawet kilku. Jak było – tego nie wiedział, ale czuł w kościach, że już niedługo się przekona, chociaż zupełnie nie miał na to ochoty. Zabawne, że życie teraz zmusiło ich wszystkich do wzajemnego szukania się po jaskiniach.

– Jakaś aktywność na radarach? – Daniel zapytał przez słuchawki.

– Nie, obecnie niczego nie wyłapujemy.

– Pilnujcie ich dokładnie.

– Jasne.

Nie musiał co chwila tego powtarzać, ale takie mechaniczne wykonywanie głęboko zakorzenionych, rutynowych działań dobrze robiło jego niespokojnej duszy. Zdecydowanie wolał to niż bierne czekanie i zastanawianie się, co się zaraz może wydarzyć. Będzie, co ma być, tego był nauczony i tego się trzymał. Poza tym mają przy sobie Lenę, oczko w głowie doktora, cudowne dziecko, które potrafiło... właściwie nawet nie tyle potrafiło, co przydarzały mu się wizje, w których rzekomo widziało jakąś magiczną istotę odpowiedzialną za cały ten burdel.

Daniel też ją widział, ale na satelitarnych zdjęciach. Ją lub cień czegoś wielkiego... Człowieka? A może to fotki przerobione przez jakiegoś sprytnego grafiko-hackera? W sumie, czemu nie? Wielokrotnie się nad tym zastanawiał, chociaż wydawało mu się to mało prawdopodobne. Nigdy zbyt nie wierzył w te śmieszne, wysrane z palca teorie spiskowe. Dla niego była to zwyczajna strata czasu, urojenia ludzi, którzy nie mieli pomysłu na własne życie.

Jego usta wykrzywił ironiczny uśmiech. Odrobinę paranoidalny, trochę przerażający dla postronnego obserwatora. Czy to początki obłądzenia? Szybko wrócił myślami na

pokład śmigłowca. Miesiące spędzone w tatrzańskiej głuszy widocznie odbiły się na jego psychice bardziej, niż sądził.

– Uzbrojenie?

– Wszystko sprawdzone. Kilukrotnie – piloci Eurocoptera odpowiedzieli bez zastanowienia. Brzmiali pewnie, jakby tylko czekali na to pytanie.

– Pociski zapalające załadowane?

Z drugiej strony dobiegło go ciężkie westchnienie.

– Tak. Pytałeś o to jeszcze na ziemi.

– Wiem, inaczej byście wylądowali w wyrzutnie zwinięte skarpety. Co ty myślisz, że ja was tydzień znam?

– Załadowane. Wal się.

– Bez odbioru.

Uśmiechnął się, tym razem mniej psychodelicznie niż jeszcze chwilę temu. Paru żołnierzy, którzy słyszeli tę wymianę zdań w swoich słuchawkach, również się zaśmiało. Dobrze było rozluźnić nieco atmosferę przed starciem, Daniel doskonale o tym wiedział. Następnie przejrzał swoje uzbrojenie, wypiął i ponownie wpiął magazynek w karabinku szturmowym, sprawdził dodatkowe trzy magazynki w ładownicach. Pistolet i zapasy naboju do niego były na miejscu, tak jak nóż po lewej stronie klatki piersiowej. Można by go wyciągnąć i się nim ogolić, jednak to byłoby już za wiele szczęścia. Poza tym w śmigłowcu nie paliło się czerwone światło, więc pewnie niewiele osób załapałoby odniesienie do klasyka, pomyślał gorzko.

Nastrój mu się zmienił o sto osiemdziesiąt stopni. Wspomnienie kultowego filmu pociągnęło za sobą lawinę obrazów – jak w kalejdoskopie widział fragmenty minionych wydarzeń i osoby, których już nie ma. Przed oczyma przeleciały mu roześmiane twarze członków rodziny, przyjaciół, kolegów po fachu. Zaledwie garstka z nich utrzymała się przy życiu, z większością utracił kontakt i nie sposób go było odzyskać.

A teraz leciał do miejsca, w którym być może spotka istotę za to wszystko odpowiedzialną. Poczul ścisk w żołądku i w gardle. Mimowolnie zacisnął szczęki, spoglądając na przesuwaną się pod nimi ziemię, jakby łudził się, że ją tam ujrzy i będzie mógł spaść na nią niczym boska pomsta, niczym grom z jasnego nieba. Dosłownie.

Dym zobaczyli wiele kilometrów przed doliną prowadzącą do jednego z wejść w system jaskiń. Unosił się wysoko, wprost w bezchmurne, obojętne niebo i niczym punkt orientacyjny dokładnie określał miejsce tragedii.

– Jezu – wyszeptała Sara, z narastającą trwogą obserwując pożar. – Spóźniliśmy się.

Mnich spojrzął za nią ze smutkiem, śledząc unoszącą się w niebo smużkę. Nie odpowiedział.

– Zobaczmy, jak blisko da się dojechać – rzucił posepnie Chris.

Uważnie przyjrzał się drodze, która szczęśliwie dla nich była przejezdna i pusta. Przypomniały mu się trudy innych wypraw. Na przykład do Azji. Jeżeli udawało się przejechać za jednym zamachem trzydzieści kilometrów, należało to uznać za nieby-

wały sukces. Na porządku dziennym było przepychanie bezpańskich aut tarasujących drogę, ściąganie powalonych drzew czy powolne pokonywanie wojskowych blokad. Improwizacja była sposobem na przetrwanie. Na bezdrożach Australii te problemy występowały znacznie rzadziej, dlatego mogli przemieszczać się szybciej. Nawet jeżeli jakaś droga była zablokowana, bez większego problemu można było pojechać poboczem. Wystarczyło mieć odpowiednie auto.

Przejechali jeszcze kilkanaście kilometrów. Po drodze nie spotkali żywej duszy – ani człowieka, ani zwierzęcia. Dotarli do pustej, martwej strefy, strawionej przez pożar. Przed oczami ukazały im się nagie, czarne zbocza i sterczące kikuty spalonych drzew.

– Wygląda na to, że możemy jechać dalej – zauważył Chris, zatrzymując auto. – To co robimy?

– Może zostawmy tu samochody i pójdźmy drogą albo... nie wiem, jakoś bokiem? Żeby się nie rzucać w oczy – zaproponowała Sara, uważnie spoglądając na towarzyszy. Milczący do tej pory mnich w końcu się odezwał, cały czas uważnie patrząc przed siebie. Zdawało się, że dostrzega coś, czego nie widzą pozostali.

– Nie. Pojedziemy samochodami.

– Będzie nas słychać z daleka – zaproponował Chris.

– Tak. Ale też będzie nam łatwiej się wycofać.

Patrzyli chwilę na siebie, aż Chris odwrócił głowę i zwolnił pedał sprzęgła. Ruszyli powoli i teraz wszyscy uważnie się rozglądali. Siedząca z przodu na miejscu pasażera Sara zaczęła skrupulatnie sprawdzać swoją broń, chociaż robiła to już wielokrotnie w ciągu ostatnich kilku godzin. Chris widział, że drugie auto podążyło w ślad za nimi, ale nie uspokoiło go to zbyt. Zaskoczyło go to, co powiedział mnich. Wcześniej parł do przodu niczym niezniszczalny walec pancerny, i nawet jeśli robił to ostrożnie, nigdy nie brał pod uwagę odwrotu. Zawsze sprawiał wrażenie człowieka, który będzie walczył do końca, święcie przekonany o słuszności sprawy, a teraz? Wyglądało na to, że zbliżają się do celu pogoni, a spotkanie może zakończyć się różnie, bo Pierwszy Brat zrobił się podejrzanie ostrożny.

Przez kilka kolejnych minut jechali w ponurym milczeniu. Na samochód opadał popiół z pożaru. Chris kilka razy uruchomił wycieraczkę. Rozmazane, białe ślady wyglądały koszmarnie, jakby zostawiły je upiory przelatujące na zewnątrz auta, w świetle, od którego oddzielała ich tylko cienka szyba. Mężczyzna czuł się tak, jakby schodzili na coraz niższe poziomy piekła, jakby wkroczyli do filmowego horroru i jakby lada chwila miała rzucić się na nich strzyga czy inna zmutowana bestia. Oczami wyobraźni widział cienie przemykające daleko między czarnymi, leniwie tłącymi się pniami drzew.

Nie miał pojęcia, jak bliskie prawdy są jego wyobrażenia.

– Czemu tego nie ugasiła? – zagaił, nie odrywając wzroku od drogi – Mówiłeś, że jest taka wszechmocna, kocha przyrodę, a to? – zapytał, kiwając głową w stronę wypalających się konarów.

– Nie wiem. Może chciała zatrzeć po sobie ślady. Z czasem zrozumieliśmy, że jest w stanie poświęcić naprawdę wiele, aby otrzymać to, czego potrzebuje. Kilka spalo-

nych drzew zdaje się nie być wygórowaną ceną za potęgę, którą odzyskała.

– Pożary są przecież potrzebne, żeby las mógł się odrodzić – rzuciła Sara.

Chris mruknął coś w odpowiedzi, ale ona już tego nie skomentowała, wpatrując się czujnym wzrokiem to przed siebie, to zerkając na boki. Nie czuła się tutaj dobrze. Miała wrażenie, że coś złego wisi w powietrzu.

Po kilkuset kolejnych metrach wjechali na łuk, który dużo dalej kończył się wejściem do jaskini.

Wtedy też zobaczyli pierwsze wraki – powywracane czołgi, leżące na bokach wozy pancerne, płonące jeepy. Na niektórych pojazdach widać było głębokie ślady po pazurach, z czym spotkali się już wcześniej – jednak za każdym razem robiło to na nich takie samo wrażenie. Wyobrazenie sobie stworzenia, które było w stanie przebić na wylot pancierz wojskowego pojazdu, wciąż wydawało im się nierzeczywiste, nawet abstrahując od tego wszystkiego, co mieli już okazję widzieć czy przeżyć. Dowody mieli jednak przed oczami.

Sara w pewnym momencie nieświadomie rozchyliła usta i przekrzywiła lekko głowę, zobaczyła bowiem coś, czego nie potrafiła pojąć. Jej wzrok spoczął na pojeździe pancernym wiszącym kilka metrów nad ziemią. Ciężki, toporny kolos opleciony był gałęziami i wszystko wyglądało tak, jakby wisiał tam przez całe dziesięciolecie – grube gałęzie i konary wystawały z jego wnętrza, rozkwitając soczystą zielenią, tak mocno kontrastującą z panującą wokół czernią, szarością i czerwienią z rzadka, jakby nieśmiało pobłyskujących płomieni. Dziewczyna patrzyła, a na ustach zastygło jej nieme pytanie. Drzewa oplatające pojazd nie płonęły. Wyglądało to tak, jakby ogień sam decydował, co chce zająć, znakomitą większość pozostawiając nietkniętą. Jakby żył własnym życiem.

– Jak... – powiedziała tylko, bardziej do siebie niż do towarzyszy. Wzrok mnicha powędrował za spojrzeniem Sary.

– Rośnie w siłę. Zatrzymaj auto.

Począł, aż Chris wykona polecenie, i jako pierwszy wysiadł z samochodu. Drugie auto zatrzymało się tuż za nimi. Mnisi szybko z niego wyskoczyli i podeszli do Pierwszego Brata. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia, pokiwali głowami, jeden z nich ręką wskazał wiszący wrak.

Pierwszy Brat był przekonany, że nic im nie grozi. Czuł, że Matki tu nie ma, chociaż jej niedawna obecność była doskonale wyczuwalna. Wyglądało na to, że coś między sobą ustalili, gdyż on został na miejscu, a dwójka mnichów ruszyła szybkim krokiem w stronę jaskini. Po paru chwilach Sara i Chris również wysiedli z auta.

Zrozumieli, że dojechali zbyt późno, że bitwa już skończona, może i na szczęście dla nich. Pozostał im tylko obraz tego przygnębiającego cmentarzyska pełnego zwłok żołnierzy, rozszarpanych, ponadziewanych na gałęzie drzew, zmiażdżonych czy oplecionych przez grube konary, zamkniętych niczym kochankowie w wiecznym uścisku, chociaż ich wykrzywione grozą twarze wyrażały skrajnie odmienne uczucia. Im dłużej się rozglądali po okolicy, tym więcej dostrzegali makabrycznych szczegółów. Szybko trzeba było odwracać wzrok, który nie był w stanie znieść tych widoków.

Ale nie wszystko dało się wzrokiem ominąć. Koszmarne obrazy same rzucały się

w oczy, wwiercały się agresywnie w świadomość, pozostawiając trwałe ślady w pamięci. Złamany karabin zaplątany w gałęzie, wiszący kilka metrów nad ziemią. Jeep, na który spadło kilkutonowe drzewo, zgniatając go niczym plastikową zabawkę. Krew spływająca po szybach wewnątrz auta i rozmazany ślad dłoni kogoś, kto próbował się z niego wydostać. Ludzka noga wystająca zza krzaków i reszta ciała znikająca gdzieś w ciemnościach, gdzie nikt nie ośmieliłby się zaglądać.

Sara zobaczyła żołnierza leżącego na wznak na środku drogi. Jego liczne rany wypełniał popiół, którego szarość mieszała się z czerwienią krwi. Usta miał rozchylone, na twarzy zastygłe zaskoczenie i przerażenie, a oczy patrzące daleko, w bezmiar kosmosu, z wyrazem niezrozumienia i bólu.

Lecz wokół spoczywały nie tylko ciała ludzi – miejscami leżały też zwierzęta – zastrzelone albo spalone, niemożliwe do zidentyfikowania stopy mięsa i kości. Smród, jaki unosił się w powietrzu, był nie do zniesienia. Chris przyłożył dłoń do twarzy i wyteżył wzrok, próbując upewnić się, czy dobrze widzi. Następnie podszedł powoli do jednego ze stosów spalonych ciał i delikatnie trącił czubkiem buta najbliższe truchło. Okazało się, że pod spalonymi zwierzętami były jeszcze dwa ludzkie ciała. Tyle dało się zobaczyć, ale pod tą całą masą mogło być ich znacznie więcej.

– Zostali spaleni żywcem.

Chris wyszeptał te słowa do siebie chyba głośniejszym, niż zamierzał. Odwrócił się z niesmakiem i poczuciem narastającej grozy, rozlewającej się po jego organizmie niczym paląca żołąć. Siłą woli opanował emocje.

– Może już nie żyli? – zapytała z nadzieją w głosie Sara. Jej oczy zaszkliły się, nie wiadomo, czy od gryzącego popiołu czy łez, które desperacko próbowała powstrzymać. A może od jednego i drugiego. Gdy mimowolnie wyobrażała sobie cierpienie tych ludzi, niemalże czuła gorące płomienie prześlizgujące się po jej ciele. W środku płonęła, a na zewnątrz miała gęsią skórę.

– Mam nadzieję, ale... wątpię, niestety.

Sara posłała mu pytające, niemalże oskarżycielskie spojrzenie. Chris już chciał zacząć jej tłumaczyć, że od takich obrażeń, od ran, jakie zadają zwierzęta, raczej nie umiera się natychmiast. No chyba że zwierzę trafi w newralgiczny punkt, w jakąś aortę, w serce albo na przykład urwie głowę.

A mężczyzna nie widział tu stworzeń, które potrafiłyby błyskawicznie zabić, chociaż w głębi siebie musiał przyznać, że właściwie to się na tym nie zna. Był jednak pewien, że nawet z przegryzionej tętnicy krew uchodzi kilkadziesiąt sekund, wnioski więc nasuwały się same.

– Może... pewnie już nie żyli. Tak, na pewno.

Powiedział to, chociaż wcale w to nie wierzył. Patrzył dziewczynie prosto w oczy, w duchu prosząc, aby nie drażyła tematu. Widział, że Sara jest w kiepskim stanie, i nie chciał go pogarszać.

Sara powoli wypuściła powietrze. Słowa Chrisa otrzeźwiły ją, stała teraz twardo, zapominając o strachu i starając się nie myśleć o cierpieniu ludzi, którzy tu zginęli. Wydarzyła się tu niewyobrażalna tragedia, dramat, który zmuszał żołnierzy do mordowania swoich własnych kolegów, aby oszczędzić im losu gorszego niż śmierć, jaki

gotował im przeciwnik. Teraz wzbierała w niej złość, zajmując miejsce słabości. Poczwała solidarność z tymi obcymi ludźmi, może nawet ze wszystkimi ludźmi na świecie – w końcu mieli wspólnego wroga. Strzepnęła popiół z ramienia i rozejrzała się, ale nie w poszukiwaniu zagrożenia. W poszukiwaniu celu.

– Chodźmy dalej – powiedziała i nie czekając na reakcję Chrisa, ruszyła przed siebie.

Mężczyzna nie miał pojęcia, skąd ta nagła zmiana w jej zachowaniu, jednak nie znajdując odpowiedzi, ruszył w ślad za nią.

Krajobraz aż do wejścia do jaskini pozostawał niezmiennie apokaliptyczny. Czujnie przeszli obok kilku zniszczonych pojazdów, jednak częściej natrafiali tu na truchła zwierząt. Ewidentnie zbliżali się do miejsca, w którym rozegrała się najbardziej zażarta walka. Dwaj mnisi wysforowali daleko przed nimi, kierując się wprost ku wejściu do kompleksu jaskiń. Poruszali się cicho i zwinnie niczym cienie.

– Spójrzcie tylko.

Mówiąc to, Pierwszy Brat wskazał na wyłom w skalnej ścianie. W tym miejscu skała wyglądała inaczej niż ta przy głównym wejściu do jaskini – nie była porośnięta mchem ani wilgotna, zamiast tego pokrywała ją sadza z ładunków wybuchowych, rysy i dziury od pocisków, jakby w środku ktoś zamknął wściekłego jaguara o stalowych pazurach.

– Nie było tego wcześniej – zaryzykował stwierdzenie. Potwierdzeniem jego teorii były mniejsze i większe głazy rozrzucone wokół nowo powstałego przejścia i nietrudno było się domyślić, co tu zaszło. Sara i Chris wpatrywali się czujnie to w mnicha, to w wejście, jakby miała z niego wypaść horda potworów.

Chris popatrzył na okoliczne wzgórza w poszukiwaniu czołgu lub działa, czegokolwiek, co mogłoby roznieść skalną ścianę kilkumetrowej grubości. Niczego takiego tam nie dostrzegł.

Choć wątpił, by to było możliwe, w głębi duszy liczył, że na wzgórzu ujrzy jakąś olbrzymią lufę, dzięki czemu wszystko da się łatwo wyjaśnić i stanie się o wiele prostsze.

Tymczasem Pierwszy Brat podszedł bliżej przejścia. Jak zawsze wspierał się na swoim kijku i ostrożnie stawiał nogi na chybotliwych, opartych jedne na drugich głazach, których krawędzie były ostre i zdradliwe. Jakby tylko czekały na najmniejszy błąd człowieka, aby się osunąć i przygnieść go całą swoją masą. Po chwili zajrzał do środka. Był przekonany, że zwierząt już tu nie ma, tak samo zresztą jak Matki, ale potrzeba upewnienia się co do tego wygrała.

Przyglądająca się mu Sara stwierdziła, że mnich wygląda jak detektyw badający miejsce zbrodni, szukający najmniejszych śladów, dowodów, jakiegokolwiek nitki, po której mógłby dojść do kłębka. Przez chwilę patrzyła na niego jak urzeczona, bo sama widziała tylko pobojowisko i nie miała pojęcia, jak w tym bałaganie odnaleźć ślady obecności kogokolwiek. Niestety pomimo tego, że szczerze kibicowała Pierwszemu Bratu, miała wrażenie, że w tym wypadku kłębek był już bardzo daleko.

– Spóźniliśmy się – powiedział po chwili Pierwszy Brat, posyłając smutne spojrzenie w głąb tunelu. Rozejrzał się wokół, lustrując wzrokiem otaczające ich, wypalone

zbocza.

W tej samej chwili zza załomu skalnego wyszedł jeden z mnichów. Jego sylwetka mówiła sama za siebie. Tam też niczego nie znaleźli. Wymienił z Pierwszym Bratem jakieś znaki rękoma, kiwnął głową i wrócił tam, skąd przyszedł.

– Od razu było widać – rzucił Chris.

– Możliwe. Ale wcześniej nie byłem pewien, teraz jednak jestem. Matka odnalazła drugi artefakt.

– Skąd wiesz?

Chris skierował spojrzenie na mnicha. Ten natomiast wskazał ręką na biegnący daleko w głąb skały tunel.

– On nie powstał naturalnie. Tak jak ten jeep sam się tam nie wrzucił, tamta dziura sama się nie zrobiła, a pojazd pancerny jest tu najwyżej od wczoraj, a nie od kilku lat – mówiąc to, wskazywał różne miejsca, między innymi to, w którym kilka godzin wcześniej musiał stać ciężki sprzęt, o czym świadczyły ślady gąsienic urywające się nagle na krawędzi zbocza. Pozostała dwójka tego wcześniej nie dostrzegła.

– Ma rację – powiedziała Sara, podchodząc bliżej wejścia do jaskini. Przyglądała się jej dokładnie, ze swobodą specjalisty, który poruszał się po swoim terytorium. Na tym akurat znała się całkiem nieźle. – Ściany są zbyt regularne, zbyt gładkie. O, tam dalej, widzicie?

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej niewielką, ale zaskakująco jasno świecącą latarkę. Ostatnie miesiące nauczyły ich, żeby oprócz broni nosić przy sobie także kilka innych rzeczy, od posiadania których w pewnym momencie mogło zależeć ich życie. Jedną nich było źródło światła.

– Jakby... – zaczęła, ale przerwała nagle.

Zrobiła kilka śmiałych kroków do przodu, zagłębiając się w tunelu, jak gdyby zupełnie zapomniała o strachu i niebezpieczeństwie. Świat kamieni i gładów pochłonał ją całkowicie.

– Jezu, zobaczcie. Jakby coś je wypaliło... odkształciło... sama nie wiem – mówiąc to, wyraźnie zafascynowana dotykała gładkiej ściany. Publiczność nie była jej potrzebna, mogła tak mówić sama do siebie i w zupełności jej to wystarczyło. Wodziła po ścianie ręką, zatracając się bez reszty, jakby nie dotykała zimnej skały, a najszlachetniejszego diamentu. Chris przyglądał się temu z podziwem połączonym z pewnego rodzaju niepokojem.

– Wiesz, jak to mogło powstać?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Jak mówiłam, wygląda to tak, jakby było wypalone, ściany są tak gładkie, o, zobacz. Chociaż miejscami wystają większe albo mniejsze wypukłości, co jest dziwne... Nie, to nie ma sensu. Laser przecież wypaliłby wszystko równo, a jeśli to nie był laser, to wszędzie byłyby takie nieregularności jak te tutaj... Nie. Nie rozumiem. Nie wiem.

Początkowa ekscytacja ustąpiła miejsca rosnącemu zmieszaniu. Tysiące myśli przelatywało jej przez głowę, mnóstwo różnych wariantów, możliwości i sposobów, jakimi można było coś takiego wytworzyć. Dopiero po chwili przesunęła snop światła w głąb tunelu i zobaczyła, jak jest długi. Przynajmniej tak się wydawało, bo już po

chwili zauważyła, że biegnie on zaledwie kilkanaście metrów dalej, po czym łączy się z kolejnym, przebiegającym poprzecznie. Ledwo powstrzymała odruch, który nakazywał jej iść i sprawdzić, dokąd prowadzi nowo odkryte przejście.

– A kojarzysz jakieś urządzenia, które mogą coś takiego zrobić? Znasz jakiś firmy, które pracują takimi laserami czy czymś takim? – dopytywał Chris. Nie dał się bez reszty pochłonać fascynacji tunelem, zamiast tego raz po raz zerkał za siebie w poszukiwaniu oznak ewentualnego zagrożenia. Niemniej okolica nadal była pusta i wymarła, jakby płonące w oddali drzewa i opadający na ziemię popiół przegoniły stąd całe życie.

– Najpierw wydawało mi się, że tak, ale teraz wcale nie jestem tego pewna. Pamiętam, że kiedyś czytałam artykuły na temat testowania jakiegoś lasera do wypalania przejść w wiecznej zmarzlinie, ale to co innego. Zobacz, bo gdyby to był laser, a nie wiem, czy istnieją aż tak potężne lasery, żeby przepalać skały, to chyba nie pozostawiałby bruzd, wiesz, tak na zdrową logikę, bo w końcu to laser, nie? Może raczej jakieś wiertło, co jest bardziej prawdopodobne, i tłumaczyłoby też ten miał leżący przed wejściem, jednak... tu ściana jest nieregularna, a tu gładka, jak wypalona laserem właśnie. To się wzajemnie wyklucza. Jakby trochę tego, trochę tego. Ale to przecież nie ma sensu...

– Artefakt jest potężniejszy, niż przypuszczałem – powiedział milczący dotychczas mnich.

Chris wywrócił oczami, szykując się na kolejną nużącą historyjkę. Sara jednak spojrzała na Pierwszego Brata z zaciekawieniem, czekając na ciąg dalszy. Mnich milczał, zdecydowała się więc pociągnąć go trochę za język:

– Mówiłeś, że może rozkazywać drzewom, ale to...

Pierwszy Brat podszedł do skalnej ściany i delikatnie pogładził ją dłonią.

– Mówiłem, że drugi artefakt pozwala jej kontrolować florę, ale należy to rozumieć jako... całość. Ziemię. Nie tylko drzewa i krzewy, ale również ziemię i wszystko, co na niej i w niej jest. Naturalne, oczywiście. Między innymi skały... a może i wodę? Podania nie tłumaczyły tego zbyt dokładnie, informacje opierały się na niedopowiedzeniach i tajemnicach. Zresztą tak musiało być, bo obawialiśmy się, że wpadną w niepowołane ręce.

Chris przestał słuchać, ale tym razem nie dlatego, że mnich go nudził. Mężczyźnie wydawało się, że usłyszał dźwięk osuwającego się kamienia, jakby pogłos niesiony przez zimne ściany tunelu. Wstrzymał oddech i wyteżył wzrok, patrząc w ciemną cześć. Sara i mnich zdawali się niczego nie słyszeć, nadal dyskutowali na temat mocy artefaktu i odzyskanej przez Matkę energii, która mogłaby zniszczyć całą planetę i pewnie połowę kosmosu, na temat możliwości kontrolowania zwierząt i tak dalej. Nagle dźwięk się powtórzył i Chris uniósł rękę.

– Zamknijcie się! Cicho! Słuchajcie.

Oboje natychmiast zareagowali na jego polecenie. W końcu od paru miesięcy żyli w świecie, w którym tego typu reakcje mogły ratować życie. Zamilkli i czekali na to, co chce im powiedzieć Chris.

– Coś tam jest – wyjaśnił.

Sara natychmiast uniosła karabin, robiąc jednocześnie krok w tył i przywierając do ściany jaskini. Z bronią czuła się lepiej, kiedy dzielił ją od celu większy dystans. Poczowała, jak całe jej ciało się napręża, jak podnosi się w jej organizmie poziom adrenaliny, przygotowując go do walki. Mnich w tym czasie odrobinę pochylił się na szeroko rozstawionych nogach i w gotowości do przyjęcia ataku powoli przemieszczał się na środek tunelu. Wyciągnął przed siebie kij, a gdyby komuś udało się podejść bliżej, był gotów do zasypania agresora gradem szybkich, krótkich ciosów – na obu dłoniach miał kastety z kilkucentymetrowymi kolcami, którymi miał okazję już nie raz siać spustoszenie w szeregach stworzeń żadnych jego krwi. Chris również uniosł swój karabin i wycelował w środek korytarza. Wszyscy wstrzymali oddech.

Nic się jednak nie wydarzyło, nic nie wybiegło z ciemnej czeluści. Sara zerknęła szybko na Chrisa, jednak ten nieprzerwanie i w skupieniu wpatrywał się w mrok. Przez parę sekund panowała pełna napięcia i wyczekiwania cisza, ciężka, ciągnąca się jak smoła. Mężczyzna wreszcie zaryzykował i powoli sięgnął do włącznika latarki umieszczonej pod lufą karabinku. Krótki pstryk i mrok tunelu przepędziła siła kilkuset lumenów, docierając dalej niż światło z latarki Sary.

Korytarz był pusty. Może po prostu coś się osunęło samo, łudził się Chris. Powoli odwrócił się w stronę Sary, jakby szukając w niej oparcia, potwierdzenia tego, że ona też coś słyszała. Ich spojrzenia spotkały się, Sara kiwnęła głową, jakby odpowiadając na jego niezadane pytanie. On zaś z odrobinę podbudowanym morale ruszył ostrożnie do przodu przez gruzowisko. Starał się stawiać nogi tak, aby nie wywołać niepotrzebnego hałasu, co, o dziwo, nawet mu się udawało. Tunel ciągnął się jeszcze przez kilkanaście metrów. Po pierwszych paru metrach poszarpanej skały dalej ściany były gładkie.

Nagle Chris znowu usłyszał dźwięk osuwającego się kamienia. Szybko skierował snop światła w stronę, z której dobiegał, dzięki czemu udało mu się dostrzec, jak niewielki głaz jakby w zwolnionym tempie osuwa się i uderza w kolejny. Potem coś się za kamieniem poruszyło. Chris już prawie docisnął spust karabinu do końca, powstrzymał się przed strzałem w ostatniej chwili.

Zobaczył ludzką rękę. Uniesioną dłoń i rękaw wojskowej koszuli. Teraz już wszyscy usłyszeli cichy jęk dobiegający z tamtego miejsca. Chris ruszył szybkim krokiem w jego stronę, a za nim Sara i mnich.

– Ostrożnie – dobiegło do niego z tyłu.

Ale on już był przy leżącym tam człowieku. Był to żołnierz, chociaż równie dobrze mógł być najemnikiem lub zwykłym cywilem ubranym jedynie w wojskową koszulę – w dzisiejszych czasach wielu zakładało ubrania maskujące, aby chronić się przed wzrokiem zwierzyny. Nieważne jednak, kim był, potrzebował pomocy i tylko to się liczyło. Od klatki piersiowej w dół był przygniety gładzami, poza tym leżał na boku w dość nienaturalnej pozycji. Chris nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się przeżyć ani jak im uda się uwolnić go spod tych niewyobrażalnie ciężkich odłamków skalnych.

– Spokojnie, pomożemy ci – powiedział i dopiero teraz przyjrzał się mężczyźnie.

Mógł mieć około czterdziestu lat, był średniego wzrostu i średniej budowy ciała.

Miał zmęczoną, brudną od piachu i krwi twarz, a jego oczy pełne były niewypowiedzianego cierpienia i przerażenia. Złapał Chrisa ręką za ramię i ścisnął z całych sił.

– Poczekaj, spokojnie – Chris starał się go uspokoić, ale na niewiele to się zdało. Mężczyzna uparcie próbował przyciągnąć twarz Chrisa do swojej, jakby chciał mu coś powiedzieć. Zdawało się, że będzie to ostatnia rzecz, jaką uczyni przed śmiercią. Jakby tylko to, co miał do przekazania, trzymało go przy życiu. Niechętnie i ostrożnie Chris pochylił się w jego stronę. Uniósł wcześniej dłoń w stronę Sary i mnicha, żeby się zatrzymali i, przede wszystkim, żeby byli cicho.

– ...eje... – urwane słowo doleciało do uszu Chrisa. Musiał pochylić się jeszcze odrobinę. Mężczyzna nabrał powietrza, jęcząc przy tym z bólu. Zakaszła, a z jego ust spłynęła strużka krwi.

Chris skrzywił się z niesmakiem, ale nie odsunął się.

– De... demo... ..wdziwy – wyszeptał żołnierz. Jeszcze mocniej zacisnął palce na ramieniu Chrisa, wpatrując się weń szeroko otwartymi, ciemnymi, chociaż zdawało się, że niewidzącymi oczami. Jego ciałem zaczęły targać konwulsje, z ust pociekła gęsta, ciemna krew.

– Kto? Kto jest prawdziwy, powiedz mi – dopytywał Chris, przytrzymując głowę mężczyzny, nie zważając już na odczuwany ból i obrzydzenie.

– Ona... – żołnierz próbował coś jeszcze powiedzieć, ale wydawało się, że nie tylko już fizycznie nie mógł mówić, ale też nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

Naraz jednak jego ciało się naprężyło. Spojrzał Chrisowi prosto w oczy.

– Uciekajcie.

To było jego ostatnie słowo. Wypowiedział je zaskakująco spokojnie, po czym jego ciało zwiotczało. Skonał, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w nieskończoną przestrzeń, jakby widział to, czego żaden żywy człowiek dostrzec nie może. Przez chwilę Chris pomyślał, że mu zazdrości. Wzdrygnął się.

– Co to było? – zapytała Sara, która w międzyczasie podeszła do niego. Nieustannie też obserwowała tunel za nim, aby osłonić ich w razie ewentualnego zagrożenia. – Co powiedział?

– Nic konkretnego. Bełkotał.

Chris bezceremonialnie wytarł rękę w pierś mężczyzny. To jednak nie wystarczyło i musiał wytrzeć ją jeszcze o własne spodnie. Zrobił to mechanicznie, cały czas mając w tyle głowy ostatnie słowa żołnierza. Nie dawały mu spokoju i zakładał, że z pewnością jeszcze długo rezonować będą w jego świadomości.

– Ale co mówił?

Mężczyzna spojrział ciężkim wzrokiem na Sarę.

– Bełkotał, przecież ci mówię. Coś gadał o demonach, że ona istnieje i żebyśmy uciekali.

Sara milczała przez chwilę, trawiając to, co usłyszała. Chris ewidentnie bagatelizował ostrzeżenie, jednak ona poczuła zimny dreszcz na karku.

– Skąd mógł się tu wziąć?

– To był żołnierz, przecież widać. Schował się pewnie w jaskini, przysypało go i o, wiele nie potrzeba.

Chris wskazał ręką wyjście z tunelu.

– To wiem przecież, ale pytam, czy powiedział ci konkretnie, skąd się tu wzięli żołnierze. Czy to była jakaś regularna armia, czy może partyzantka, która w pobliżu stacjonowała? Czy przybyli tu w konkretnym celu, o to przecież pytam. Może powiedział, gdzie mają swoją bazę?

– No nie zdążyłem zapytać, kolega zszedł mi na rękach. Wybacz.

Patrzyli sobie chwilę w oczy. Chris desperacko próbujący trzymać dystans, a Sara szukająca w jego spojrzeniu dojrzałości i choć odrobiny zrozumienia wobec śmierci, której przed chwilą byli świadkami.

Stojący nieco dalej mnich, słuchając ich rozmowy, wpatrywał się czujnie w mrok tunelu. W pewnym momencie wyteżył słuch i zmrużył oczy, bo był pewien, że coś w nim zobaczył. Mimowolnie napiął mięśnie i zacisnął pięści na kij. Po paru sekundach dostrzegł ślepią łypiącą nań z mroku. Wysunęły się z ciemności powoli, jakby od dłuższego czasu tylko czekały na odpowiedni moment, po czym równie wolno w niej zniknęły.

– Hej – powiedział spokojnie do pozostałej dwójki. – Wycofujemy się. Powoli. Natychmiast.

Nim zrozumieli sens jego słów, korytarz przeszył przeraźliwy ryk. Sara spojrzała w głąb tunelu, czując, jak przechodzą ją ciarki, niemalże automatycznie uniosła broń i przywarła do ściany. Stojący obok Chris zrobił to samo przy ścianie naprzeciwko niej. Oboje zamarli. Ich latarki skierowane były w czeluść. I nie trzeba było długo czekać, aby na końcu korytarza pojawiło się skrywające się tam życie.

Mierzący niewiele ponad metr ptak wysunął się zza wyłomu skalnego. Oczom ludzi ukazał się łeb z krótkim dziobem i długim, wyglądającym bardzo topornie rogiem – z daleka wydawało się, że połączonym z dziobem. Zamiast piór jego ciało pokrywało coś, co wyglądało jak czarne, włochate futro. Kazuar przekrzywił ciekawsko łeb, a następnie jego długa, niebieska szyja zafalowała. Nagle wydał z siebie dziwny gulgot i rzucił się pędem przed siebie, jakby ktoś wystrzelił go z procy.

Rozległy się strzały – cichy, przytłumiony szcęk karabinów, jednak żaden pocisk nie trafił w niewyobrażalnie szybkiego ptaka. Po paru sekundach biegu wybił się w górę i rzucił na mnicha, który, stojąc najbliżej, był doskonałym celem.

Lecz Pierwszy Brat, spodziewając się ataku, zrobił zręczny unik i kazuar przeciął powietrze tuż obok niego, wydając z siebie głośny skrzek zawodu. Mnich, wykorzystując powstałą przy uskoku energię, szybko się odwrócił i uderzył ptaka kijem w bok, nim ten jeszcze zdążył polecieć poza zasięg jego ramion. Ptak wydał z siebie pełen zaskoczenia i bólu skrzek, po czym potknął się i zwałił na ziemię, mocno obijając się o skały. Natychmiast spróbował się podnieść i wrócić do walki. Uniemożliwił mu to jednak Chris, który bez zbędnego wahania, z bliskiej odległości wpakował weń kilka pocisków.

Pierwszy Brat zdążył zauważyć, że na jednej z nóg ptaka znajdował się absurdalnie długi i wąski pazur, wyglądający tak nienaturalnie, że aż groteskowo. Mógł mieć piętnaście centymetrów długości i mimo że wszystko trwało zaledwie parę sekund, mnich zdążył sobie wyobrazić, jak ten pazur przebija jego ciało. Wizja ta nie napawa-

ła go zbytym optymizmem.

– Co to, do cholery, jest!?! – wrzasnął Chris, przyglądając się stworzeniu. – Jezu, co to za paskudztwo.

Splunął.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – przyznał szczerze Pierwszy Brat. – Nikomu nic się nie stało?

Sara i Chris potwierdzili, że są cali i zdrowi. Ale też byli w pełni świadomi, że zabawa dopiero się rozpoczynała, bo coś, co chwilę wcześniej wydało z siebie ryk, jeszcze nie zdecydowało się ujawnić. Przypomniawszy sobie o tym, Chris ponownie poświęcił latarką w głąb korytarza. Tym razem nie dostrzegł niczego, chociaż wiedział, że w mrocznych, niezbadanych czeluściach jaskini czają się istoty, z którymi nie chcieliby się spotkać. Zdawało mu się, że zobaczył jakiś szybko przemykający cień.

– Nie powiesz mi, że chcesz tam iść.

Sara przeniosła zniesmaczony, odrobinę wystraszony wzrok z martwego ptaka na mnicha. Pchanie się w te posępne, coraz bardziej odpychające korytarze wydawało się zupełnym szaleństwem.

– Wcześniej bym się przy tym upierał, teraz już nie jestem taki pewien. I ten atak nie ma z tym nic wspólnego.

– A co ma?

– Ten żołnierz i fakt, że Matki już tam nie ma. Zobacz, tunel ciągnie się do tego miejsca całkiem regularnie, dopiero tu wydarzyło się coś, co wyrzuciło te wszystkie gła...

– Idą! – krzyknął nagle Chris i w korytarzu rozległa się cicha i szybka seria z karabinu maszynowego. Mnich i Sara szybko odwrócili się w stronę, w którą strzelał Chris. I zobaczyli widok, jakiego najbardziej się obawiali, lecz nawet najgorsze senne koszmary nie potrafiłyby oddać go z taką dokładnością.

Z końca tunelu ruszyło w ich kierunku stado zwierząt. Niczym żywa lawina, niczym fale przyboju stworzenia biegły, depcząc się nawzajem, przeskakując przez siebie i pełzając. Chris strzelał, ale miał wrażenie, że jedno trafione zwierzę natychmiast zastępują dwa inne. Z przerażeniem zrozumiał, że równie dobrze mógłby spróbować zastrzelić lawinę. Poczul, jak żołądek zaciska mu się ze strachu, a przez ciało pod wpływem adrenaliny przebiegają szybkie skurcze.

– Wiejemy! – krzyknął. – Spieprzajcie, osłaniam was!

Mnich pociągnął Sarę za ramię w stronę wyjścia.

– Nie możemy go zostawić! – zawołała dziewczyna.

Pierwszy Brat zbliżył swą twarz do jej twarzy.

– Nikt nikogo nie zostawia, biegnij po jeepa! Ja z nim zostanę.

Odepchnąwszy Sarę, ruszył z powrotem w kierunku Chrisa.

– Uciekaj! – krzyknął Chris, wyrzucając kolejny pusty magazynek.

– Wycofaj się.

Głos mnicha był absurdalnie opanowany, jakby cieszył się on na myśl o bitwie, która miała nadejść. Nawałnica była już naprawdę blisko. Chris zaskoczony zerknął na Pierwszego Brata. Wydawało mu się, że oczy mnicha emanowały dziwnym, niepo-

kojącym blaskiem.

Sara ruszyła pędem przed siebie. Przebiegła kilkadziesiąt metrów i do wyjścia miała już tylko parę kroków, ale mimo to czuła piżmowy smród nacierającej fali. Wiedziała, że życie Chrisa i mnicha zależy teraz od niej, od tego, jak szybko uda się jej dobiec i odpalić auto. Nie miała pojęcia, gdzie podzieli się pozostali mnisi, miała nadzieję, że nie wpadli w takie jak oni tarapaty.

Tak bardzo skupiła się na zadaniu, że zupełnie nie zauważyła krokodyla przyczajonego przy wyjściu z tunelu. Spozrzegła go w momencie, gdy gad rozdziawił paszczę i rzucił się na dziewczynę. Krzyknęła. Ostre zęby kłapnęły w powietrzu, olbrzymia szczęką zacisnęła się na niczym, jednak towarzyszący temu odgłos świadczył o sile, z jaką gad zaatakował. Sara odskoczyła dosłownie w ostatniej chwili. Dziewczyna była pewna, że zdruzgotałby jej kości i że przy kolejnym ataku może nie mieć tyle szczęścia. Zwierzę było zbyt blisko, aby mocować się z karabinem snajperskim, szybko sięgnęła więc do kabury udowej, gdzie czekał załadowany i odbezpieczony pistolet.

Nim pociągnęła za spust, w jej głowie pojawiły się wątpliwości i coś na kształt poczucia winy. Tak zupełnie nie na miejscu i tak strasznie niepotrzebne uczucie akurat w tym momencie. Podobnie jak refleksja, że zwierzę samo z siebie nie jest złe, że tylko ktoś nim manipuluje.

Nie miało to jednak teraz żadnego znaczenia. Bez wahania już wystrzeliła dwa pociski prosto w łeb aligatora. Z takiej odległości nie miał najmniejszych szans. Dziewczyna wybiegła z jaskini i zobaczyła, że w jej stronę zacierają kolejne gady, złączając się spomiędzy pobliskich zboczy, wyłazając spod pni, spadając ze spalonych drzew. I nie były to tylko aligatory – biegły w jej stronę olbrzymie jaszczurki, rytmicznie machając przy tym ogonami, sunęły węże. Co najgorsze jednak, zobaczyła też szybko przemieszczające się, przypominające plamy ohydne, koszmarnie istoty. Pająki. Nie była to tak wielka fala zwierząt jak ta z jaskini, jednak błyskawiczny rzut oka pozwolił jej oszacować, że ma przed sobą co najmniej kilkadziesiąt przeróżnych stworzeń. Do samochodu było za daleko, amunicji za mało. Nie sądziła, że zginie w taki sposób, ale nie zamierzała się poddawać. Uczucie żalu wobec konieczności zabijania tych pięknych stworzeń gdzieś zniknęło, zastąpione pierwotną wolą walki.

Sara mocno stanęła na nogach, uniosła karabin snajperski i zaczęła strzelać w co większe zwierzęta. Szybko, celnie, oby tylko jak najdalej odwlec nieuniknione.

Nagle jednak usłyszała jakiś nowy dźwięk i zobaczyła nad sobą coś, czego zupełnie się nie spodziewała.

W tym samym czasie Pierwszy Brat chwycił kij pośrodku, wykonał kilka szybkich ruchów palcami, jakby grał na pianinie, i ten nagle pękł. Właściwie wyglądało to tak, jakby go skręcił. Chris, cały czas prowadząc ostrzał, rzucił okiem na mnicha i zobaczył, jak zamiast drąga w jego rękach pojawiły się teraz dwa proste miecze. Ostrza miały dobre pół metra długości, resztę stanowiła rękojeść o praktycznie takiej samej długości. Pierwszy Brat uniósł miecze i powiedział do Chrisa:

– Oślaniam cię. Idziesz pierwszy.

Zdumiony Chris kiwnął głową, podejrzliwie zerkając na miecze. Pierwszy Brat nie

demonstrował wcześniej, co ma w arsenale, a przecież była ku temu niejedna okazja. Zastanowił się, co facet ma jeszcze w zanadrzu, dlaczego nie wyjął tej broni od razu. Zostawił jednak te rozważania na później, teraz tylko szybko zmienił magazynek i zaczęła ostrożnie przesuwając się w kierunku wyjścia. Po paru metrach zamierzał zatrzymać się, odwrócić i ostrzelać przeciwnika, aby pomóc Pierwszemu Bratu.

W tym czasie do mnicha dotarła nawałnica. Mężczyzna rozpoczął swój taniec śmierci, miecze zawirowały z niesamowitą szybkością, bezlitośnie siejąc wokół zniszczenie, tworząc wirującą barierę nie do przebiccia. Pierwsze ze zwierząt szybko posmakowały ostrzy, jednak to nie powstrzymało reszty przed natarciem na znienawidzonego człowieka. Co chwilę na ziemię spadała jakaś ucięta łapa, fragment cielska czy nawet łeb, a wokół bryzgała krew, dekorując wszystko lśniąca, kleistą czerwienią. Zwierzęta syczały, warczały, wyły, ale w tej ogłuszającej kakofonii pojawiał się także dźwięk wyczekiwany przez człowieka walczącego o życie – pisk świadczący o bólu.

Lecz odniesione rany nie przeszkadzały zwierzętom atakować. W pewnym momencie jakiś dingo wyskoczył zza kazuara, odbił się od ściany i rzucił prosto na mnicha. I gdy już Chrisowi, który akurat odwrócił się, aby nieść pomoc Pierwszemu Bratu, wydawało się, że mnich nie zauważył psa, ten zrobił zręczny unik, obrócił się wokół własnej osi i praktycznie przeciął mieczem psa wzdłuż. Zrobił to tak płynnie, jakby nie walczył o życie swoje i pozostałych, ale jakby ćwiczył na sali treningowej.

Chris tymczasem nie przestawał strzelać, w pewnym momencie jednak z ponurą rezygnacją zauważył, że został mu tylko jeden magazynek. Miał jeszcze pistolet, ale nie sądził, że dzięki niemu przeważą szalę zwycięstwa na ich korzyść. Nie było tu generała, którego można zastrzelić jednym pociskiem, zmuszając wrogie wojsko do kapitulacji.

Lecz nagle, gdy wokół mnicha robiło się już bardzo niebezpiecznie, wydarzyło się coś, czego się nie spodziewali. Nawałnica jakby ustała, zwierzęta przestały nacierać wściekłą falą. Zatrzymały się, znieruchomiały, jakby pozwalając ludziom na złapanie oddechu.

Po paru sekundach zaczęły miarowo kroczyć przed siebie, co bardziej przypominało powoli pracy do przodu mur. Z tą różnicą, że ten mur składał się z kłów i pazurów. Zupełnie jakby ktoś je zaprogramował, jakby wytrawny treser szykował tę sztuczkę miesiącami. Mnich dobrze wiedział, jaki treser jest za to odpowiedzialny. Mężczyzna nie dał się zwieść, raz po raz siekąc swoimi krótkimi mieczami. Ale zwierzęta już nie podejmowała walki, jakby starała się unikać ciosów. Jakby wyciągnęła wnioski z całej sytuacji. Zdecydowanie zbyt szybko, pomyślał. Dziesiątki oczu śledziło każdy ruch przeciwnika, a mnich po raz pierwszy poczuł, że to wszystko może się źle skończyć. Powoli, żeby nie okazać strachu, zaczął się wycofywać. Zmuszony do odwrotu wolno stawiał krok za krokiem, podczas gdy przeciwnik podchodził coraz bliżej. Wiedział, że w każdej chwili może na niego runąć jak ściana, i wiedział też, że będzie mu niewyobrażalnie trudno ją powstrzymać. Tylko na to czekał.

– Dalej! Z jaskini! – krzyknął przez ramię do Chrisa. Mężczyzna raz po raz oddawał strzały do nacierających zwierząt, ale posłuchał mnicha. Wyglądało na to, że Pierwszy Brat wie, co mówi. Musiał mu zaufać, odwrócił się więc i przebiegł kolej-

nych kilka metrów w kierunku Sary, która jeszcze przed chwilą stała przy wyjściu z jaskini, a teraz... biegła w stronę Chrisa.

– Nie, nie tutaj, wracaj! – zdążył krzyknąć, gdy na zewnątrz rozpętało się piekło. Sara machała do Chrisa, coś krzyczała, ale nie dało się zrozumieć nawet jednego słowa. Wszystko zatonęło w dziesiątkach eksplozji, które targały ziemią przed wejściem do jaskini. Słychać było wybuchy i strzały z ciężkiej broni maszynowej. Sara dosłownie w ostatniej chwili zdążyła schronić się przed ścianą ognia, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Strzałom towarzyszyły piski przerażonych, umierających zwierząt.

Chris patrzył na to ze zgrozą, a Sara już biegła w jego stronę, minęła go, wreszcie stanęła, uniosła broń i zaczęła ostrzalać, bo zwierzęta z korytarza ruszyły do natarcia.

Za nią ściana ognia, przed nią ściana z kłów i pazurów.

Dziewczyna starała się strzelać tak, aby nie trafić w Pierwszego Brata, co było dość trudne, gdyż mnich poruszał się z niebywałą szybkością, atakując przeciwnika podczas wycofywania się. Krew chlustała na boki, gdy miecze przecinały powietrze i ciała zwierząt, z łatwością przebijając się przez najgrubszą nawet skórę, futro i pierze. Zwierzęta jednak nie dawały za wygraną. Gdy jedno padało martwe, jego miejsce natychmiast zajmowało kolejne. Parły naprzód, nie bacząc na ból i cierpienie, jakby w korytarzach były ich tysiące, miliony, płodzone przez górę albo pojawiające się z samych czeluści piekielnych. Ogarnięte furją, działały jak w amoku. Jakby wszystkie były wściekłe, wiedzione żądzą mordy.

Sara szybko pojęła, że znaleźli się pułapce. Zdawało się, że jedynym wyjściem było przebicie się siłą przez nacierające zwierzęta lub przetrzymanie ich ataku, bo przecież musi się kiedyś skończyć, prawda...? Pytanie rezonowało w jej głowie, zamiast jednak dodawać jej animuszu, osłabiało morale.

Nagle ogień na zewnątrz ustał. Sara zaryzykowała i odwróciła się, na chwilę przestając strzelać. Poza jaskinią faktycznie się uspokoiło i dziewczyna poczuła nikły promyczek nadziei. Pojawiała się szansa na ocalenie. Nie myślała o tym, że może za chwilę ktoś znowu zacznie strzelać, teraz najważniejsze było tylko to, aby wydostać się z tego przeklętego korytarza, a potem uciec daleko, jak najdalej stąd.

– Chris!

Mężczyzna odwrócił się i podążył wzrokiem w kierunku, który wskazywała Sara. Na zewnątrz kurz opadł i ucichł ogień. Cały teren pokryty był różnej wielkości dziurami po pociskach i martwą zwierzyną. Nad wszystkim unosił się dym. I w tle tego wszystkiego, kilkadziesiąt metrów od wejścia do jaskini pojawił się śmigłowiec, schodzący bokiem do lądowania. Ledwo jego koła dotknęły ziemi, otworzyły się drzwi, ukazując mężczyznę, który zaczął gwałtownie do nich machać, przywołując ich do siebie.

Nie było czasu na zastanawianie się. To była ich jedyna szansa.

– Biegnij! – krzyknął do Sary Chris. – Pierwszy, rusz się!

Zdawało się, że mnich nie usłyszał, chociaż zrobił kilka szybkich uników i dwa długie kroki do tyłu, zręcznie uchylając się przed wielkimi zębami. Czuł, jak opuszczają go siły.

Sara wybiegła z jaskini. Zobaczyła w powietrzu dwa kolejne śmigłowce, stalowe

archanioły, które zstąpiły z niebios, niosąc im wybawienie. Jeden był taki sam jak ten, który wylądował, wielki i toporny, drugi natomiast mniejszy, ale zdecydowanie lepiej uzbrojony. Był maszyną do zabijania, nie do transportowania ludzi.

Unoszący się w powietrzu pękaty śmigłowiec ustawił się bokiem do wejścia jaskini, a w uchylonych drzwiach za ciężkim karabinem maszynowym siedział strzelec. Sara tylko rzuciła nań okiem, kierując natychmiast spojrzenie na śmigłowiec stojący przed nią. Mężczyzna w drzwiach energicznie machał do niej ręką. Obok niego pojawił się inny facet z bronią. Zeskoczył na ziemię, ubezpieczając odwrót dziewczyny. Po paru sekundach szaleńczego biegu, przeskakując między truchłami zwierząt, Sara złapała go za rękę i zwinnie wskoczyła na pokład, najpierw wrzucając nań swój karabin snajperski. Z jednej strony dziewczyna czuła niewypowiedzianą ulgę, z drugiej olbrzymi niepokój o tych, którzy zostali. Nie wiedziała, które uczucie było silniejsze, chyba jednak to drugie.

– Ilu was jest? – usłyszała pytanie, przebijające się przez hałas wirników.

– Jeszcze dwóch! Nie, czterech!

Dla pewności uniosła cztery palce. Słyszący to mężczyzna przyłożył dłoń do słuchawki i powiedział coś do mikrofonu, wystającego z jego hełmu. Sara w tym czasie odwróciła się i spojrzała na wylot jaskini.

I dopiero teraz dostrzegła ciała dwóch mnichów niedaleko głównego wejścia. Wokół nich leżały dziesiątki martwych zwierząt – dzikich kotów, psów, kangurów, krokodyli, jakiegoś koali i kilkunastu mniejszych stworzeń. Leżał też jeden czy dwa pancerniki. Mnisi byli cali we krwi, ich ciała porozrywane były setkami pazurów i kłów, które rzuciły się na nich bez litości.

Dziewczyna poczuła, jak w gardle rośnie jej ciężka do przełknięcia gęła, jednak musiała ją zdusić w zarodku. Wiedziała, że tanio życia nie oddali. Miała tylko nadzieję, że mieli szybką śmierć. Odwróciła od nich wzrok i spojrzała na wylot tunelu, modląc się, żeby nie zobaczyć już więcej żadnych ciał.

– Jeszcze jest dwóch – powiedziała Sara głośno. Mężczyzna z helikoptera kiwnął głową ze zrozumieniem, bez zadawania zbędnych pytań.

Po paru sekundach w tunelu pojawił się Chris, biegnąc tyłem i strzelając bezładnie, jakby w panice. Zobaczyła, że nerwowo zerka na swój karabin. Nawet z tej odległości w jego ruchach dostrzec można było desperację. W pewnym momencie wypuścił tę broń i sięgnął po pistolet. Sarze znowu wydawało się, że strzela zbyt chaotycznie, że nie stara się celować tak, by nie trafić w mnicha. Przyszło jej do głowy, że to może oznaczać tylko jedno, ale szybko odrzuciła tę myśl. Sięgnęła po swój karabin, który teraz mógł zdziałać zdecydowanie więcej, niżeli w wąskim tunelu. Przy wyjściu pojawiło się jakieś zwierzę, które z daleka wyglądało jak wielka jaszczurka. Chris szybko je zastrzelił, lecz z mroku już wypełzały kolejne.

Dziewczyna uklękła na pokładzie śmigłowca, przyłożyła do oka lunetę i wycelowała karabin w tunel. Próbowwała ustabilizować oddech. Nie była wytrawnym strzelcem szkolonym przez zawodowców, lecz nadrabiała praktyką, która często okazuje się najlepszym nauczycielem. Powoli wypuściła powietrze, czując, jak jej serce spowalnia. Tej techniki nauczyła się już dawno temu – kontrolowanie poziomu stresu

było czynnikiem nieodzownym zarówno przy pokonywaniu pionowych ścian, jak i w zagłębianiu się coraz niżej w skalne szczeliny. Skupiła się. Starła się dostrzec mnicha, zobaczyć to jego wypłowiałe ubranie, z nadzieją, że wciąż jeszcze stoi na własnych nogach. Mimo chaosu w kłębowisku mniejszych i większych stworzeń spostrzegła, że mnich przyparty został do prawej ściany, a znajdujący się kilkanaście metrów przed jaskinią Chris teraz znalazł się na linii ognia. Zakłęła w duchu. Patrzyła, jak Pierwszy Brat walczy. Zwierzęta otaczały go coraz ciasniejszym kręgiem, chociaż ten pobierał wysoki haracz za swoją krew. Dziewczyna zagryzła wargi i bez dalszego wahania pociągnęła za spust.

Mnich zobaczył, jak zwierzęta nagle zaczynają eksplodować w fontannach krwi. Pociski snajperskie rozrywały i odrzucały atakujące go stworzenia w rytm ciężkich, potężnych uderzeń karabinu. W głowie mnicha pojawiła się głupia, naiwna myśl. Może się uda. Może jednak wyjdzie z tego cało. Nie jest mu pisana śmierć tu i teraz, łudził się, podczas gdy jego miecze i kastety niestrudzenie przecinały powietrze, chociaż ramionom coraz bardziej brakowało wcześniejszej szybkości i siły. Zaryzykował szybkie spojrzenie w stronę światła. Od wyjścia z tunelu dzieliło go nie tylko kilka dobrych metrów, ale też coraz więcej zwierząt, które nie bacząc na ponoszone straty, coraz bardziej go osaczały, niczym rzeka opływająca ciężki kamień. Musiał ruszyć, i to natychmiast, inaczej zaleje go ta żywa fala i nie będzie dla niego już żadnego ratunku.

Starł się odnaleźć wewnętrzny spokój, opanować rozszalałe serce.

Zebrał się w sobie, w szybkim wyroku zakreślił potężnego młynka, raniąc przy tym kilka stworzeń naraz. Pomimo naporu z tyłu zwierzęta zatrzymały się i próbowały cofnąć w naturalnym odruchu. Ten przestój trwał zaledwie kilka sekund, ale Pierwszemu Bratu to wystarczyło – odwróciwszy się, zrobił szybki unik i ruszył pędem przed siebie. Poczul, jak coś niewielkiego spada mu na ramię, ale udało mu się to zrzucić, i jednocześnie jak jakieś ostre pazury rozrywają mu udo. Słyszał kłapanięcia szczęk tuż przy swojej twarzy, przy nogach, ramionach.

Podczas tej krótkiej, zaledwie kilkunastometrowej ucieczki zwierzęta atakowały go, szarpały, gryzły, jakby przedzierał się przez pnącza dzikiej róży, każąc słono płacić za życie, które mnich chciał zachować za wszelką cenę. Mężczyzna kopał, odpychał i ciął mieczami tak czerwonymi od krwi, że już nie odbijały nawet grama światła.

I w pewnym momencie udało mu się. Tunel oddał go z powrotem światu. Mnich wypadł z takim impetem, że aż potknął się i wyrznął jak długi, ledwie amortyzując upadek obolałymi rękoma.

Sara widząc to, krzyknęła z radości i głębokiej, pierwotnej satysfakcji, ale nie przestawała strzelać. Walka się jeszcze nie skończyła.

– To już wszyscy? – usłyszała przy swoim uchu krzyk mężczyzny, który pomógł jej wejść do śmigłowca.

– Tak, tak! – odkrzyknęła, ale dla pewności uniosła jeszcze w górę kciuk. Mężczyzna kiwnął głową i powiedział coś do mikrofonu.

Chris zareagował błyskawicznie. Podbiegł do mnicha i odciągnął go od wejścia do tunelu, które po paru sekundach zostało dosłownie zasypane pociskami. Trzy śmi-

głowce strzelały teraz ze wszystkich swoich dział, czy to bocznych, czy to z obrotowego karabinu umieszczonego pod dziobem, uparcie koncentrując ogień na jednym, wąskim przesmyku.

– Odsuńcie się, odsuńcie! – krzyczał operator Eurocoptera, chociaż wiedział, że ludzie na dole nie mogli go słyszeć. Jego twarz wyrażała absolutny fanatyzm, czuł krew i żądzę mordy, którą teraz miał czym zaspokoić. Zaciskając zęby, trzymał spust tak mocno, że prawie wyrwał joystick z podłogi, a gdy tylko dostrzegł, że dwóch mężczyzn oddaliło się wystarczająco daleko, podniósł osłonę przycisku i wcisnął go, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

Chris i mnich usłyszeli głośny świst i nim zrozumieli, co się dzieje, odrzuciła ich potężna siła eksplozji. Pocisk wpadł w wejście do tunelu i eksplodował, wyrzucając jezor ognia, odłamki skalne i kawałki ciał. Fala uderzeniowa powaliła Chrisa i Pierwszego Brata na ziemię. Tunel został zawalony, dostrzec to można było dopiero chwili, gdy wirniki śmigłowców rozpedziły kurz.

Chrisowi dźwięczało w uszach, a jego czaszkę rozsadzał irytujący pisk. Splunął ziemią i kurzem. Przyłożył dłoń do czoła, chcąc sprawić, żeby świat przestał wirować, żeby chociaż zwolnił i pozwolił mu rozeznac się w sytuacji. Zobaczył, że jego dłoń jest cała we krwi. Poczul nagły skurcz w żołądku, strach, że jest śmiertelnie ranny, że się wykrwawia, że zostało mu zaledwie kilka minut życia... i wtedy jego wzrok padł na Pierwszego Brata. Mnich leżał na brzuchu, jego głowa spoczywała bezwładnie na prawym ramieniu. Jego szata była porozrywana i ciemna od krwi. Na plecach miał dziesiątki różnej długości nacięć i zadrapań, to samo na nogach i głowie. Jedno miejsce na lewym udzie było wyjątkowo mocno poszarpane. Skóra wisiała bezwładnie, brudna od piachu i krwi, która gromadziła się wokół mnicha w coraz większą kałużę.

– Pierwszy, hej, słyszysz mnie? – Chris podczołgał się do niego, chociaż w pierwszej chwili trudno mu było złapać azymut. Miał wrażenie, że jakiś rozwydrzony bachor potrząsa całym światem. – Hej.

Szturchnął go delikatnie, uderzył w policzek, jednak bez efektu. Mnich albo stracił przytomność, albo umarł, przeszło Chrisowi przez myśl. Poczul z tego powodu lęk, strach przed tym, że nagle mieliby zostać z tym sami, bez wsparcia, bez jego przedziwnych opowieści, bez sensu. Wydawało mu się, że stał się mały i pusty, jakby wydrążony w środku. Ta myśl przeszła przez niego niczym pocisk przeszywający ciało, znikając, zanim na dobre się pojawiła, niemniej pozostawiając po sobie trwałe ślad. Nagle Chris poczul czyjąś rękę na ramieniu.

– Wstawaj, zabierzemy go. Możesz chodzić?

Chris uniósł głowę i zobaczył mężczyznę w sfatygowanym, przetartym mundurze, z brudną i zmęczoną twarzą. Spojrzenie jego jasnych oczu wydawało się jednak ostre i jakby przenikało na wskroś, nie było w nim nawet śladu wyczerpania.

– Twoja koleżanka jest już w śmigłowcu. Musimy spadać, zaraz może się ich zlecieć więcej.

Jednak alpinista nie bardzo słyszał, co się do niego mówi, jakby słowa docierały zza grubej, ciężkiej kotary. Widział, że mężczyzna, który do niego podbiegł, coś wskazuje towarzyszom, że ktoś podbiega do Pierwszego Brata, że kładą go na nosze

i dźwigają w stronę śmigłowców. Obok stało jeszcze dwóch ludzi z bronią, czujnie rozglądających się dookoła. I gdy Chris również zaczął się rozglądać i odprowadzał wzrokiem mnicha, jego spojrzenie trafiło na Sarę. Dziewczyna siedziała w śmigłowcu i machała do niego ręką, zachęcając, aby do niej dołączył. Jej usta poruszały się, coś do niego niewątpliwie krzyczała, jednak Chris nie słyszał nawet jednego słowa. Lecz sam jej widok mu wystarczył. Dzięki temu jakoś zebrał się w sobie, wrócił na ziemię i odzyskał kontrolę nad swoim oszołomionym ciałem.

– Tak, tak, już. Mogę iść – powiedziałwszy to, wsparł się na ramieniu nieznanego mężczyzny.

Jak się okazało, był on znacznie wyższy, niż pierwotnie wydawało się Chrisowi. Szczupły, ale bardzo silny, pomógł mu wstać, praktycznie stawiając go od razu do pionu.

– Dziękuję – powiedział Chris.

– Spoko, to później. Teraz musimy stąd wiać – odpowiedział Daniel i chwyciwszy rannego pod ramię, zaczął szybko kierować się w stronę śmigłowców. Ludzie ruszyli za swoim dowódcą dopiero, gdy upewnili się, że nic mu nie grozi.

Kilkadziesiąt sekund później wszystkie trzy śmigłowce były już w powietrzu.

Znajdująca się wiele kilometrów dalej Matka poczuła nagłe ukłucie gdzieś w środku. Krótkie, lecz ostre niczym pchnięcie zatrutym sztyłem. Czuła je gdzieś pod pancerzem, który przecież niełatwo było przebić, ale wiedziała, że to nie z powodu rany, nikt do niej przecież nie strzelał. Nie, to było coś zupełnie innego.

Przez ułamek sekundy czuła ból dziesiątek swoich dzieci, poczuła ich strach i cierpienie. Czuła, jak giną, rozrywane przez pociski i palone ogniem miotaczy. Doznania były niezwykle intensywne. Nie poddała im się, krótko syknęła, napięła mięśnie i zdusiła ból w zarodku, stłamsiła go, zaciskając w swoim stalowym uścisku. Powolnym ruchem przyłożyła rękę do miejsca bólu. Nie zatrzymała się, szła dalej, zaciskając zęby z wściekłości. Patrzyła gdzieś daleko przed siebie na rzeczy, które tylko ona potrafiła dostrzec. Bestia doskonale rozumiała, że dzieje się coś złego, toteż możliwie niepostrzeżenie wycofała się na tył stada. ■

ŁZY

„Dawn of the Iconoclast”
Dead Can Dance

ROZDZIAŁ 34

Australia, lato 2021

– Żyje? Powiedz mi tylko, czy on żyje! – Sara krzyczała do mężczyzny siedzącego przed nią, tego karykaturalnie wysokiego, łysego faceta, który uratował im wszystkim życie. Daniel wpatrywał się w nią przenikliwym wzrokiem, jakby nie zwracając uwagi na jej histerię. Czekał, aż odrobinę się uspokoi, i gdy wreszcie to nastąpiło, odezwał się.

– Tak, żyje. Wylize się z tego – powiedział, dodatkowo unosząc w górę kciuk. Chyba wreszcie zrozumiała, pomyślał.

– A Pierwszy Brat? Co z nim? – dziewczyna nie dawała za wygraną. Musiała znać odpowiedź, musiała wiedzieć, czy z pola walki zabrali tylko ciało, czy mnicha jeszcze da się uratować.

Daniel tylko zmarszczył brwi, nie rozumiejąc pytania.

– Ten mnich. Ten, co leżał na ziemi. Żyje? – doprecyzowała, jednak ostatnie słowo wypowiedziała tak cicho, że Daniel ledwo je usłyszał, chociaż tak naprawdę nie musiał – wszystko zawarte było w zatroskanym, szklanym spojrzeniu blondynki. Mężczyzna kiwnął powoli głową.

– Tak. Przynajmniej żył, jak go zabieraliśmy. Ale... jego rany były bardzo poważne. Jak tylko wylądujemy, to się nim dokładnie zajmiemy, teraz leci z nim nasz medyk.

Sara kiwnęła głową i odwróciła się w stronę okna. Bała się, że zaraz zaleje ją fala emocji, że nie zdoła utrzymać się w ryzach, że pęknie, a jej łzy zaleją cały świat. Ale żyli, obaj. Przynajmniej na razie, jak powiedział ten facet. I ona nie pozwoli im umrzeć, o nie. Powoli wypuściła powietrze, czując, jak drży jej podbródek. Dobrze, że silniki śmigłowca pracują tak głośno, pomyślała.

Po jakimś czasie uspokoiła się. Teraz biernie przyglądała się miejscom, nad którymi przelatowali. Mijali zagajniki, czasem drogi, gdzieś tam pozostawione na pastwę losu auta, rdzewiejące w środku lasu czy pola. Patrzyła na to wszystko, ale nie widziała tak naprawdę niczego. W jej sercu i głowie dominował smutek i strach o najbliższe osoby, cały czas widziała oczami wyobraźni przerażoną twarz Chrisa, zacięte, twarde oblicze Pierwszego Brata, nie miała jednak siły reagować tak emocjonalnie jak wcześniej.

Na przestrzeni miesięcy mnich i Chris stali się dla niej ważniejsi niż kiedyś rodzina. Wszystko, co razem przeszli, zbliżyło ich, podobnie jak wojna zbliża żołnierzy dzielących ten sam ciasny i śmierdzący okop.

Nagle coś dziwnego przerwało jej rozmyślenia. Siedząca naprzeciwko niej smukła dziewczyna, z którą nie zamieniła ani słowa i nie miała pojęcia, kim jest, teraz... zrobiła jej zdjęcie?

Sara skierowała zatroskane, wymęczone spojrzenie prosto w obiektyw Leny. Ta, jakby tylko na to czekając, ponownie wcisnęła spust migawki. Następnie odsunęła aparat od twarzy, popatrzyła na zdjęcie, skorygowała ustawienia i bezceremonialnie

pstryknęła ponownie. Sara zmarszczyła brwi i przekrzywiła nieco głowę, nie wierząc w to, co widzi, nie rozumiejąc, jakim cudem ktoś może być na tyle bezczelny, by tak otwarcie wykorzystywać jej cierpienie. Nieświadomie rozchyliła usta. Lena kolejny raz uniosła aparat, jednak po paru chwilach odsunęła go od twarzy i spojrzała Sarze prosto w oczy. Ta chciała coś powiedzieć, zbesztać ją, zażądać usunięcia zdjęć, rzucić się na tę dziewczynę, wyrwać jej aparat i wyrzucić go przez okno, zrobić cokolwiek. Jednak nie zrobiła nic. Bo i jaki miałoby to sens? Niech sobie robi zdjęcia, których i tak nie będzie komu oglądać.

Lena patrzyła na siedzącą naprzeciwko blondynkę i próbowała zrozumieć, przez co ta przeszła. Wyglądała jak wojowniczka. Krótka bokserka odsłaniała ładnie wyrzeźbione, muskularne ramiona, teraz pełne zadrapań, tak samo zresztą jak nogi. Zerknęła na krótkie spodenki, na dobre, choć wyraźnie znoszone buty trekkingowe. Wszystko uzupełniał karabin snajperski, z którym dziewczyna ewidentnie nie rozstała się nawet na chwilę, chociaż największe wrażenie na Lenie zrobiła blizna na twarzy Sary. Długa, nieregularna lina, ciągnąca się przez lewy policzek.

Zawsze taka byłaś? Co robiłaś wcześniej? Byłaś przewodnikiem czy może rajdowcem? Bo za biurkiem raczej nie siedziałaś. Jak wiele z dawnej ciebie zostało w tej nowej? – zastanawiała się Lena.

Sara odwróciła głowę w stronę okna, eksponując bliznę w pełni, jakby trochę prowokując, a trochę pokazując, że niespecjalnie zamierza się przejmować dziwnym paparazzo. Okazało się, że blizn było kilka, nie tylko jedna. Lena odruchowo podniosła aparat, ale nie zrobiła zdjęcia. Nagle wydało się jej to niestosowne, poza tym czuła, że i tak dawno już przekroczyła granice prywatności dziewczyny. Odpuściła. Nie miało sensu robienie sobie z niej wroga, nie w sytuacji, gdy każdy sojusz był na wagę złota. Uśmiechnęła się pojednawczo i odłożyła aparat na kolana.

Jednak nie wyłączyła go, a obiektyw pozostał nadal skierowany na Sarę.

W drugim śmigłowcu Kryśka wcisnęła się w swoje siedzenie tak głęboko, jak tylko mogła. Na podłodze przed nią rozgrywała się prawdziwa walka o życie. Natalia, medyk z ekipy doktora Rittnera, uwijała się jak w ukropie, aby zatamować krew płynącą z licznych ran człowieka, którego jakby ktoś przepuścił przez maszynkę do mielenia mięsa. Wyglądało to tak, jakby niespecjalnie to przypuszczenie miało się z prawdą. Chris pomagał jej, jak mógł. Adrenalina i troska o przyjaciela nie pozwalały mu siedzieć beczynnym. Pilot starał się utrzymywać maszynę tak stabilnie, jak tylko to było możliwe.

Chris kilkakrotnie wymienił spojrzenia z Natalią.

– Robię, co mogę.

– Zrób więcej – powiedział stanowczo, nie spuszczać oka z Pierwszego Brata.

– Kolega Patterson dobrze mówi, nie możemy go stracić – odezwał się nagle starszy jegomość, lecący z przodu na siedzeniu pasażera. Chris spojrzał na niego zaskoczony, nie rozumiejąc, jakim cudem ktoś, kogo spotyka w samym sercu Australii, zna jego nazwisko. Wiedział co prawda, że w środowisku jest stosunkowo znany, ale czuł,

że tu nie chodzi o jego osiągnięcia w zakresie wspinaczki. Będzie to musiał wyjaśnić, jednak wszystko w swoim czasie. Teraz były ważniejsze sprawy na głowie.

Nie miał pojęcia, że właśnie ma do czynienia z człowiekiem, który wplątał go w to całe bagno.

Dwadzieścia minut później dwa transportowe śmigłowce podeszły do lądowania. Bojowy Eurocopter odleciał jeszcze kawałek na zwiad, zataczając szerokie koła nad ich potencjalną bazą.

Teren wydawał się opustoszały, zapomniany. W myślach Daniel dziękował swoim pilotom za tak wytrawne oko – to oni dostrzegli tę trudnodostępną budowlę otoczoną wysokim murem i z jedną tylko drogą dojazdową. Aż dziwne, że nikt do tej pory nie przywłaszczył jej sobie i nie przerobił na własne potrzeby. Szkoda byłoby zmarnować taki dar losu. Daniel jako pierwszy wyskoczył ze śmigłowca, uważnie rozglądając się po lądowisku, następnie podbiegł pochylony do głównego budynku. Był to wielki, czteropiętrowy hotel ze skrzydłami otaczającymi główny dziedziniec. Plac był tak duży, że wszystkie śmigłowce mogły się bez problemu na nim zmieścić. Przy samym wejściu stały trzy samochody, jednak wyglądały na od dawna nieużywane. Wyrastająca spod sflaczałych opon trawa tylko to potwierdzała. Kilkadziesiąt metrów dalej znajdował się jeszcze jeden, niewielki budynek, niewiadomego przeznaczenia. Pewnie było to jakieś pomieszczenie gospodarcze, może magazyn. Mężczyzna stał i przyglądał się, gdy podbiegł do niego jeden z członków ekipy.

– Co o tym myślisz? – zapytał go Daniel.

– Wygląda nieźle – odpowiedział najemnik.

– No, zaskakująco nieźle.

– Wszystkie okna są na miejscu, drzwi pozamykane. Może nawet w środku znajdziemy jakieś jedzenie. I zobacz, brama też cały czas zamknięta.

Daniel odwrócił się, spoglądając na wskazane miejsce. Faktycznie. Gdzieniegdzie przez pręty przebijały się nawet jakieś pnącza.

– Trochę mi to śmierdzi, nie wiem.

– A może po prostu trafiliśmy szóstkę w totka.

– Może – powiedział Daniel. – Dobra, wyciągamy sprzęt. Procedura taka jak zawsze. Po zabezpieczeniu bazy podziel ludzi, obejrzyjcie ogrodzenie i ten mały budynek. Potem sprawdzamy cały hotel, wszystko, pokój po pokoju. I nikt nie chodzi sam.

– Jasne.

Mężczyzna pobiegł w stronę śmigłowców, z których ludzie już zaczynali wyjmować skrzynie ze sprzętem. Dwóch innych najemników truchtało już w kierunku głównych drzwi.

– Może trafiliśmy – cicho powiedział Daniel, prosząc w duchu chociaż o kilka dni spokoju. Niczego więcej nie chciał.

Po chwili Daniel zbliżył się do budynku i zaczął coś tłumaczyć najemnikom, którzy dotarli tam przed nim. Następnie ruszyli wzdłuż ściany, szybko przechodząc na tyły hotelu. Nie warto było rozwalać głównych zamków, chociaż mieli do tego nie-

zbędny sprzęt, bo zabezpieczenia mogły się jeszcze przydać później. Dlatego, tak jak poprzednim razem, weszli przez okno. Szybko znaleźli odpowiednie miejsce, okno na parterze za rogiem budynku, niezbyt blisko głównego wejścia. Stłukli szybę i Daniel jako pierwszy powoli wszedł do środka, starając się nie stąpać po potłuczonym szkłe. Zadziałało przyzwyczajenie, bo przecież narobili trochę hałasu, ale jeżeli coś miałoby tu być, to usłyszałoby ich już w momencie, kiedy śmigłowce podchodziły do lądowania. Lecz żaden człowiek ani zwierzę nie wyszli im jednak na powitanie. Jeszcze.

Mężczyzna skulił się i rozejrzał po pomieszczeniu, celując z broni w jego zakamarki. Włamali się do jakiegoś gabinetu czy pomieszczenia biurowego. Między kilkoma biurkami z ciemnego drewna były szafki na dokumenty, a o ściany opierały się ciężkie, zamykane na klucz szafy, z których wiele stało otwartych. Jedno biurko było przesunięte, krzesło za nim przewrócone. Część papierów walała się po podłodze, dwa komputery również leżały na purpurowym dywanie. Wyglądało to tak, jakby ktoś w pośpiechu chciał je zabrać lub ukraść, ale nie odpiął linki zabezpieczającej. Z braku czasu zostawił sprzęt tam, gdzie mu upadł. Poza tym w pomieszczeniu nie było niczego, co zwracałoby uwagę.

Prowadziło do niego jedno wejście, do którego Daniel się skierował. Po chwili złapał za klamkę i ostrożnie otworzył drzwi. Uderzyło mu w nos zatęchłe powietrze, tak charakterystyczne dla budynku, który od wielu miesięcy nie był wietrzony. Zapach kurzu, pleśni i farby odchodzącej od wilgotnych ścian, ale też czegoś jeszcze – w powietrzu unosiła się jakaś dziwna, ulotna woń. Mężczyzna miał nadzieję, że nie trafią tu na kolejne wysuszone trupy, chociaż już dawno przestał odczuwać obrzydzenie czy strach związany z tego rodzaju znaleziskami. Człowiek może się przyzwyczać nawet do takiego widoku. Po prostu szkoda mu było czasu na sprzątanie. Marzył teraz tylko o gorącej kąpieli, zamknięciu się w jednym z pokoi i przespaniu w spokoju kilku godzin. Był to luksus, którego dawno nie dane mu było zaznać.

Wychylił się na pusty, cichy korytarz. Ściany nie były ubrudzone krwią, na podłodze nie leżały wysuszone ciała ludzi ani zwierząt. Rozejrzał się na boki, ale nie dostrzegł niczego niepokojącego. Wokół wszystko wyglądało tak, jakby po prostu był środek nocy, goście spali w swoich pokojach, a obsługa hotelu drzemała na wyznaczonych stanowiskach. Nic nie wskazywało na to, co było faktycznym powodem tej ciężkiej, przejmującej ciszy i atmosfery zapomnienia wiszącej w powietrzu, choć Daniel doskonale ten powód znał.

Już pewniej, ciągle jednak zachowując czujność, mężczyzna wyszedł na korytarz. Skierował się w stronę głównego holu. Na zewnątrz, po drugiej stronie ciężkich drzwi znoszono sprzęt i zajmowano się rannym. Musiał działać szybko, wiedział, że reszta ekipy na niego czeka. Hol również był pusty, jednak i tu widać było tu ślady pewnej zamierzchłej aktywności. Daniel podszedł do recepcji pewnym krokiem, nie widział powodu, by nadal się skradać. Na recepcji leżały porozrzucane dokumenty, szuflada z pieniędzmi była wyrwana, na wykładzinie zobaczył kilka nic niewartych monet. Zabawne, że ludzie rzucali się na plądrowanie kas i banków, zapominając, że pieniądze nie miały już tej samej wartości co kiedyś. Wszedł za ladę, rozejrzał się, zajrzał do kilku szuflad i półek i wreszcie znalazł to, czego szukał.

Chwilę później przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

– No wreszcie, już myśleliśmy, że się zgubiłeś, albo coś cię... – zaczęła mówić Kryśka, ale Daniel jej przerwał.

– Nie, hotel jest pusty. Przynajmniej taki się wydaje. Dawajcie, wnoście sprzęt. Kował, Długi, sprawdźcie parter.

Mężczyźni skinęli głowami.

– Nata, jak z nim?

Kobieta spojrzała na Daniela, przenosząc wzrok z Pierwszego Brata, który leżał na noszach tuż przed wejściem do hotelu. Chris i Sara uważnie mu się przyglądali, dyskutując o czymś po cichu. Mnich miał zamknięte oczy, ale nie spał. Koncentrował się na bólu i oddechu, jakby starał się w jakiś tylko sobie znany sposób zmusić swoje rany, żeby szybciej się goiły.

– Średnio – odpowiedziała wreszcie. Spojrzała wymownie na Daniela, który już dobrze znał to jej „średnio”. W dosłownym tłumaczeniu znaczyło to mniej więcej tyle, że facet miał dużo szczęścia, że w ogóle przeżył. Ale nie było wiadomo, jak długo to szczęście zdecyduje się przy nim pozostać.

– Zobacz, czy w środku uda ci się znaleźć jakieś przydatne rzeczy. To duży hotel, może mają gdzieś większą apteczkę.

Natalia odwróciła się do Chrisa i Sary.

– Idę znaleźć dla niego jakieś dobre miejsce, na razie go nie ruszajcie.

Pokiwali smutno głowami. Natalia zniknęła we wnętrzu hotelu. Ona również poruszała się z bronią i podręcznym oświetleniem. Daniel najpierw odprowadził ją wzrokiem, a później przyjrzał się zmęczonym twarzom swoich współtowarzyszy. Dotarło do niego, że wszyscy są na skraju wyczerpania. Już nie pamiętał, który to już raz znalazł się na krawędzi. Ani jakie to uczucie być wypoczętym.

Sięgnął po krótkofalówkę.

– Zbóju, wracaj. Zostaniemy tu na trochę.

Rozległ się cichy trzask i najemnik potwierdził przyjęcie rozkazu. Daniel ruszył w stronę śmigłowców, aby pomóc w rozładunku.

Dwie godziny później Natalia wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Na korytarzu czekali na nią doktor Rittner i Daniel.

– I co? – zapytał Rittner.

Kobieta ściągnęła jednorazowe rękawiczki, które w kilku miejscach były poplamione krwią.

– Będzie żył. To twarda sztuka. Ładnie go przeorały, ale raczej wyjdzie z tego.

– Doskonale, doskonale. Dziękuję.

– Będzie miał po tej walce sporo pamiątek.

– Tak... to nieistotne. Kiedy będę mógł z nim porozmawiać?

Stojący obok Daniel przysłuchiwał się rozmowie, ale sam nic nie mówił. Intrygowało go, dlaczego doktor tak bardzo chce gadać z tym mnichem, i skąd u niego to przecucie, że stoi za tym coś zdecydowanie poważniejszego niż zwykła troska.

– Teraz śpi i ma w takim stanie pozostać tak długo, jak to będzie możliwe. To znaczy, że ma spać, dopóki się sam nie obudzi, jasne? – Natalia spojrzała wymownie na Rittnera.

Fakt, on był tu szefem, ale ona doskonale знаła swoją rolę i karty przetargowe, którymi dysponowała.

– Może spać pięć godzin, może spać piętnaście. Będę monitorowała jego stan. Jak się obudzi, to będzie obudzony. Nie wcześniej.

– A gdzie są pozostali? Kobieta i mężczyzna?

– Nie wiem. Niech doktor zapyta na recepcji, pewnie pomogą.

Powiedziawszy to, Natalia uśmiechnęła się do Daniela, przeprosiła i ruszyła zająć się swoimi sprawami.

– Będę u siebie – oznajmił doktor i ruszył w stronę swojego pokoju. Daniel nie miał pojęcia, co tym razem oznaczało to stwierdzenie, ale w tej chwili niespecjalnie go to interesowało. Po kolei, pomyślał. Jeszcze muszę załatwić kilka spraw i idę pod prysznic, skąd nie wyjdę przez co najmniej dwie godziny. I ruszył korytarzem.

Ciche pukanie do drzwi wyrwało Sarę z głębokiego zamyślenia.

– Proszę – powiedziała dziewczyna.

Daniel uchylił drzwi, uśmiechnął się i wszedł do środka. Sara była ubrana w świeże, czyste ubranie. Wycierała właśnie mokre włosy wielkim hotelowym ręcznikiem, aż nienaturalnie białym i świeżym. Na łózkach leżały porozrzucane rzeczy, jakieś osobiste drobiazgi z plecaków, kieszeni spodni czy kamizelek taktycznych i wszelkich innych schowków, słowem wszystko, co ostatnio mieli wątpliwą przyjemność taszczyć przy sobie każdego dnia. Karabin stał oparty o ścianę, na szafce przy łóżku leżały pistolet i nóż. Każdy na wyciągnięcie ręki.

– Strasznie się cieszę, że udało się wam uruchomić agregat. Niesamowita sprawa – prąd, i ta ciepła woda pod prysznicem. Prawie się popłakałam ze szczęścia, serio.

– No. Chłopaki potwierdzili, że w magazynie jest jeszcze kilkadziesiąt litrów paliwa, więc nie musimy oszczędzać. I tak pewnie nie spędzimy tu aż tyle czasu, żeby to wszystko zużyć.

Dziewczyna spowolniła ruchy, ewidentnie bojąc się, że usłyszy coś, czego wcale nie chciała słyszeć. Daniel dostrzegł obawę w jej oczach.

– Nie, spokojnie. Kilka dni na pewno, nie martw się. Musimy zebrać siły, wasz kolega musi trochę dojść do siebie.

– Okej, to dobrze. Już się wystraszyłam, że za chwilę zechcecie ruszać dalej.

– Nie. Nie za chwilę.

Wymienili serdeczne uśmiechy, patrząc sobie prosto w oczy. Może odrobinę zbyt długo i zbyt intensywnie, pomyślała Sara. Ostatnimi czasy takie sytuacje należały do rzadkości.

– A twój przyjaciel?

– Chris? Kąpie się. Chyba już od pół godziny – zaśmiała się głośno. Miała piękny, zaraźliwy śmiech, pełen radości i świeżości. Danielowi zrobiło się ciepło na sercu.

– Potrzeba wam czegoś? – zapytał.

– A co kuchnia serwuje?

Sara ewidentnie miała dobry humor. Wiedziała, że nic poważnego mnichowi nie grozi, że to kwestia jedynie kilku dni, zanim ich bohater odzyska siły. Poza tym znaleźli bezpieczne miejsce, mogła się odświeżyć, wyczyścić ekwipunek, przeprać brudy, położyć się w czystej pościeli, wokół kręciło się pełno ludzi pod bronią, którzy dbali o bezpieczeństwo – czego chcieć więcej?

Daniel dał się porwać tej nieskrępowanej radości, dzięki niej zapominając, jak bardzo jest zmęczony.

– Muszę złapać szefa zmiany, niech przyśle pokojówkę. Ale obawiam się, że szykuje się jakaś pyszna papka z soczewicy i warzyw.

– Brzmi wybornie. Ostatni raz jadłam coś takiego, niech pomyślę... wczoraj.

– Tak, wiem coś o tym. Dobra, to nie przeszkadzam dłużej – i powiedziawszy to, zaczął się wycofywać. – Ach, jeszcze jedno. Jak już się uporządzicie i trochę ogarniecie, to chyba dobrze byłoby się spotkać i lepiej poznać.

– Oczywiście.

– Super. Jak będziecie gotowi, wyjdźcie do głównego holu, jakiś wartownik pokieruje was dalej.

Sara posłała mu jeszcze jeden uśmiech, po czym Daniel zniknął na korytarzu. Zamknąwszy drzwi, stał tam przez chwilę, ciesząc się z tej krótkiej, beztrudnej rozmowy. Czasem człowiek zaczyna doceniać pewne rzeczy dopiero wtedy, kiedy je utraci.

Gdy tylko Daniel wyszedł, uśmiech zniknął z twarzy Sary. Rozczesująca włosy ręka poruszała się coraz wolniej, podczas gdy szkliste, wilgotne oczy wpatrywały się w ścianę, na której dziewczyna widziała ciała zamordowanych mnichów.

– O, nawet pachniesz jak człowiek – stwierdziła Kryśka.

– Chciałabym powiedzieć to samo o tobie – odgryzła się Lena, podchodząc do łóżka.

– No przecież już idę, czego chcesz. Ktoś musiał ogarnąć ten burdel.

– Wiem, wiem – odparła Lena z uśmiechem. – Taki gorący prysznic jest naprawdę mega. Aż dziw, że spod niego wyszłam.

– Aż dziw, że mnie nie zaprosiłaś – rzuciła kokieteryjnie Kryśka, ale Lena szybko zbyła ją zdawkowym uśmiechem. Chociaż błysk w jej oku nie uszedł uwadze Kryśki.

– Ciekawe, skąd ci ludzie się tam wzięli – Lena zmieniła temat. – Ładnie dostali w kość, widziałaś, jakie tam było pobożowisko?

– Tak, to jedno, ale ciekawe, skąd Rittner miał pojęcie, dokąd lecieć. Jakby wiedział, że tam będą.

Lena zamyśliła się na chwilę, ale nic nie odpowiedziała. Siedziała teraz ubrana tylko w świeżą bieliznę, z niedbale zarzuconym na pokryte tatuażami ciało ręcznikiem, który więcej odkrywał, niż zakrywał. Z mokrych, luźno wiszących dredów skapywała woda. Zawsze lubiła, kiedy powietrze suszyło jej ciało. Wzięła aparat i zaczęła przeglądać zdjęcia, uznając rozmowę za skończoną.

– Coś masz z tym wspólnego? – zapytała Kryśka, już w drodze do łazienki. Oparła się o framugę drzwi, ręce skrzyżowała na piersiach. Odetchnęła głębiej, przyglądając się przyjaciółce siedzącej na łóżku. Lena zawsze była świetnie zbudowana, ale teraz, przez długie, trudne miesiące jej ciało nabrało jeszcze większej sprężystości, niektóre mięśnie uwydatniły się, w niektórych miejscach ubyło jej ciała, w innych przybyło. Słowem, Lena wyglądała bardzo apetycznie, ale Kryśka wątpiła, żeby cokolwiek udało się jej ugrać. Dziewczyna uniosła głowę w jej stronę, zmarszczyła czoło, nie bardzo rozumiejąc pytanie.

– No, w sensie, czy miałaś jakąś wizję, która wskazywała to miejsce. Wiesz.

– A, to. Nie. Nic takiego. Nie, nie przypominam sobie.

Kryśka mierzyła ją wzrokiem, jakby nie do końca wierząc w taką odpowiedź.

– Yhm.

– Ta dziewczyna... – zaczęła Lena, przyglądając się zdjęciu Sary.

– Co z nią?

– Piękna jest. Ciekawe, co jej się przytrafiło?

– Zapytaj, co ci szkodzi. Ten mnich... Skąd on tam się znalazł?

– Też go będziesz mogła o to zapytać. Daniel mówił, że powinien z tego wyjść.

– To dobrze. Kilka nowych osób nam się przyda, ileż można się kisić z tymi samymi ludźmi. W kółko te same teksty, te same żarty, te same gęby, żadnego ciacha, nuda, no dramat po prostu...

– Idźże pod ten prysznic, bo zaczynasz chrzanić trzy po trzy.

Kryśka uśmiechnęła się, pokazując Lenie środkowy palec. Następnie posłusznie zniknęła w łazience, zostawiając nieco uchylone drzwi. Na zewnątrz panował taki upał, że odrobina przeciągu była mile widziana.

Lena siedziała jeszcze przez chwilę na łóżku. Trzymała w rękach aparat, ale już nie oglądała zdjęć, pozwalając myślom szybować gdzieś daleko. Miała w głowie wiele pytań, wiele kwestii, które wymagały wyjaśnienia. I nie chodziło tylko o istotę z jej snów, tym razem to było coś bardziej przyziemnego. Musiała się dowiedzieć, dlaczego ci nowo poznani ludzie zaleźli się w jaskini. I dlaczego czuła, że miało to bezpośredni związek z jej wizjami.

Leżący kilka pomieszczeń dalej Pierwszy Brat delikatnie podniósł powieki. Przejmujący, rozchodzący się po całym ciele niewyobrażalny ból był jedyną rzeczą, która potwierdzała, że jeszcze żył, toteż mężczyzna przyjął go z pewnego rodzaju ulgą. Próbował ten ból przez siebie przepuścić, pozwolić mu przepłynąć. Ugiąć się niczym palma pod naporem wiatru, lecz nie dać się złamać. Zrobić to, czego uczono go w klasztorze. Próbował, ale... nie udawało mu się. Można stłumić ból po kilku ciosach, kopnięciu w głowę, złamaniu nogi, ale tu chodziło o zignorowanie bólu wywołanego niemalże rozerwaniem ciała na strzępy dziesiątkami ostrych kłów i pazurów.

A potem jeszcze wyrzuceniem w powietrze siłą wybuchu i bezwładnym upadkiem na kamienne podłoże, powodującym utratę przytomności.

Mnich obliznął spierzchnięte usta. Lot. Wcześniej była walka, korytarz, wycofywa-

nie się. Obrazy przelatwały przed jego oczami niczym w kalejdoskopie, nieskładnie, chaotycznie. Często w złej kolejności, chociaż mężczyzna próbował nadać temu wszystkiemu jakiś sens. Była nacierająca fala zwierząt, niemożliwy do zniesienia smród, odór brudnego futra, kału, piór, krwi. Dużo krwi, o tak, dużo. Jego miecze i kastety dumnie niosły wrogom śmierć.

Miał też świadomość tego, że wpadli w pułapkę przygotowaną przez Matkę, że ona o nich niewątpliwie wie, że o nich myśli, planuje coś i najwyraźniej nie przepada za towarzystwem depreczującym jej po piętach. To zabolalo mocno, bo nie była to rana zadana ciału, lecz cios, który dotarł gdzieś w głębi, nawet nie w serce, lecz w samą duszę.

Myślał też o tym, że w walce zginęło dwóch braci. Nie widział ich śmierci, jednak jakimś sposobem czuł, że nie ma ich pośród żywych. Czuł, że został sam.

Nie. Tych wszystkich myśli Pierwszemu Bratu nie udało się zagłuszyć.

Zacisnął zęby i spróbował usiąść. Szybko jednak powrócił do pozycji leżącej. Z bólu pokój aż zawirował, zrobiło mu się gorąco i tak duszno, że przez chwilę był absolutnie pewien tego, iż straci przytomność. Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Spokojnie, upomniał się w myślach. Spokojnie. Miał wrażenie, że coś sobie naciągnął, że w niektórych miejscach boli jakoś inaczej. Dopiero wtedy spojrzał na ręce, zszycie w kilku miejscach. Ktoś musiał się nim zaopiekować, ktoś musiał go przenieść do tego pomieszczenia. Właśnie, kto i jak? Gdzie był?

Dzięki tym rozmyśleniom udało mu się na chwilę zapomnieć o bólu. Rozglądał się ciekawie, acz nieco podejrzliwie. Widział hotelowe ściany, tandetne obrazy wiszące nad jego głową. Co się z nim stało? Co z Sarą i Chrisem, czy udało im się wydostać? Pamiętał jakieś strzały, wybuchy, ale czy ogień prowadzili przyjaciele, czy...

Jego rozważania przerwał głęboki, męski głos dobiegający gdzieś z prawej strony:

– Spokojnie, jesteś bezpieczny.

Odwrócił głowę i zobaczył starszego mężczyznę siedzącego na fotelu przysuniętym do otwartego balkonu. Mężczyzna założył nogę na nogę, w lewym ręku trzymał jakąś książkę, w prawej dłoni długopis. Obok na stoliku stała szklanka z jakimś napojem. Człowiek ten był ubrany w szare spodnie, koszulę i kamizelkę. Na siwej głowie brakowało tylko kapelusza. Mnich rozpoznał go w ułamku sekundy.

– Rittner – powiedział z pogardą.

– Ach tak, witam cię, Pierwszy. – Doktor zamknął książkę. – Pochlebia mi, że mnie znasz, naprawdę. Nie spodziewałem się tego, muszę przyznać.

– Co z resztą?

Mówienie przychodziło mnichowi z trudem, miał tak wyschnięte gardło, że ledwo przelękał ślinę. Rittner wyciągnął w jego stronę rękę ze szklanką, którą zabrał ze stolika.

– Wody?

Mnich tylko spojrzał na nią.

– Ach tak, przepraszam. – Rittner wstał i podszedł do łóżka. Pochylił się nad obolałym mężczyzną. Podłożył mu jedną dłoń pod głowę, delikatnie ją unosząc.

Pierwszy Brat poczuł, jak jego kark sztywnieje, jak rozcięta skóra naciąga się, zdu-

sił jednak ból głęboko w sobie, ale przez jego twarz przeszedł grymas niezadowolenia.

– Pij, pij, spokojnie – usłyszał. Woda smakowała niczym ambrozja, chociaż przełykanie nie należało do najprzyjemniejszych rzeczy. – Sara i Chris mają się dobrze, chociaż nie sądziłem, że jeszcze ujrzę ich żywych. To bardzo ciekawe, że spotkaliśmy się wszyscy tutaj... Właściwie powinienem był to przewidzieć.

Pierwszy Brat pił małymi łyčzkami, podejrzliwie zerkając na doktora.

– No, ale c6z mogę rzec, nie wszystko w końcu jest do przewidzenia, prawda? Teraz wypoczywaj, regeneruj się. Musimy porozmawiać, a do tego potrzebuję cię całego i zdrowego.

Mnich poczuł, jak gdzieś w środku jego ciała kiełkuje strach, jednak wyczerpanie wzięło górę. Zanim zmorzył go sen, przez myśl przeszło mu, że oto ma do czynienia z człowiekiem, który rozpiętał piekło, gdy tylko dowiedział się, co ukrywano pod wieczną zmarzliną Gangkhar Puensum. A teraz ten sam człowiek, który wziął się nie wiadomo skąd, ma go jak na widelcu.

Potem była już tylko ciemność, tym razem jednak zamiast przynieść ulgę, okazała się zimna i przerażająco pusta.

Rittner spokojnie przyglądał się uśpionemu mnichowi. Szybko doszedł do siebie, pomyślał. Twarda sztuka.

Zobaczmy, jak bardzo.

– Kiedy będzie można go zobaczyć? – zapytała Sara, mocząc świeży kawałek chleba w gulaszu warzywnym. Smakował pysznie. Dziewczyna nie pamiętała, kiedy ostatni raz jadła coś równie dobrego. Zamrożone pieczywo w hotelowych spizarniach po upieczeniu okazało się doskonałe, nawet zważywszy na obecne standardy. Jeszcze rok temu gość, który znalazłby takiej jakości pieczywo na swoim talerzu, pewnie wezwąłby kierownika restauracji, ale teraz... c6z. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, jak to mówią.

– Zobaczyć możesz nawet za chwilę, ale przez uchylone drzwi. Śpi, niech śpi i wypoczywa. Ma po czym – odpowiedziała Natalia.

Sara kiwnęła jej głową, dając w jasny sposób do zrozumienia, że nie będzie go teraz męczyła.

Przez pierwszych kilka chwil wspólnego biesiadowania odzywali się niewiele. Każdy cieszył się tym, że wreszcie jest czysty, względnie bezpieczny, że st6ł jest zastawiony jedzeniem. Oczywiście kilku wartowników tkwiło na swoich pozycjach, zabezpieczając teren, lecz nic nie zwiastowało nadejścia niebezpieczeństwa. Wyglądało na to, że wreszcie mieli chwilę dla siebie.

Jakby kiedykolwiek coś zapowiadało, że sytuacja może się zmienić w jednym momencie, pomyślał gorzko Chris, przyglądając się pozostałym. Przy stole siedziało kilkoro męczyzn i kobiet. Najemników można było rozpoznać od razu, mieli c6z bardzo specyficznego w twarzach, jakiś rodzaj pustki i tej permanentnej, znudzonej czujności w oczach. Nie wspominając o bliznach i broni, z którą naturalnie się nie rozstawiali,

ale to akurat obecnie dotyczyło każdego.

Najbardziej chyba wyróżniała się ta dziewczyna, która siedziała naprzeciw niego, ładna, na oko dwudziestoosmioletnia brunetka z dredami. Miała tatuaże na rękach, a na oparciu jej krzesła powieszona była lustrzanka, z którą najwyraźniej nigdy się nie rozstawała. Chris od razu zaczął się jej uważniej przyglądać.

– Dziękujemy raz jeszcze – powiedział, przenosząc wzrok na najstarszego w tym towarzystwie jegomościa. Szybko się zorientował, że to on cieszy się największym poważaniem grupy, toteż bez wątpienia był jej szefem. I cały czas gdzieś z tyłu głowy czaiła mu się uporczywa myśl, że go zna, kojarzy, nie potrafił jednak powiedzieć skąd. Głos i sposób mówienia wydawały mu się znajome. To by tłumaczyło fakt, że facet znał jego nazwisko.

Doktor Rittner niemalże teatralnie ledwie skinął głową, czego Chris nie zamierzał pozostawić bez komentarza, na szczęście jednak tylko w swojej głowie. Znajcie łaskę pana, pomyślał. Sara subtelnie uniosła brwi, a na jej ustach wykwitł delikatny uśmiezek, przez co Chris zrozumiał, że dziewczyna odebrała gest Rittnera w taki sam sposób jak on.

– Jak w ogóle się tam znaleźliście? – spytała bez ceregieli. Chyba można było uznać, że formalna, spokojna i nudna część spotkania już była za nimi i mogli teraz przejść do konkretów.

– Chyba moglibyśmy zapytać was o to samo – wtrącił się Daniel, słusznie przeczuwając, że Rittner nie zamierza zbyt szybko wyłożyć wszystkich kart na stół.

– My byliśmy pierwsi – odpowiedziała z uśmiechem.

Daniel także się uśmiechnął, czując coraz większą sympatię do blondynki. Dodatkowo miał wrażenie, że jest ona w pewnym stopniu odwzajemniona, na co bardzo mocno liczył.

– Dobrze, dobrze... – zaczął Rittner, ale nagle przerwał.

Kilkanaście sekund później, gdy już był pewien, że wszystkie głowy są skierowane w jego stronę, podjął wątek na nowo.

– Myślę, że możemy się przenieść w bardziej komfortowe miejsce. Zapraszam do mojego gabinetu, tam będziemy mogli porozmawiać spokojnie. Daniel, Lena, wy również.

Sara oblizwała usta i zerknęła na Chrisa. Przeklinała w myślach fakt, że nie ma z nimi Pierwszego Brata, który wydawał się jej najlepszą osobą do prowadzenia tego typu rozmowy. Nieformalnie był szefem ich grupy, czy im się to podobało, czy nie. Teraz jednak musieli sobie radzić bez niego i najgorsza była niepewność, jak długo miało to jeszcze trwać.

– Dziękujemy – odpowiedziała po kilku długich sekundach ciszy, w duchu obawiając się starszego mężczyzny, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Czowała jednak, że nie powinna mu ufać.

Rittner tymczasem pokiwał głową, pogrążony w myślach.

– Dobrze, dobrze, doskonale.

Następnie wstał i nie czekając na reakcję pozostałych, ruszył w kierunku korytarza. Daniel wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Leną i Sarą, unosząc w górę ra-

miona. Następnie również wstał.

– Cóż, chyba powinniśmy iść...

– Tak, chyba tak – powiedział Chris, również się podnosząc. – Powiedz mi, czy w tutejszych magazynach, oprócz tych wszystkich cudowności, znaleźliście może coś jeszcze?

Daniel szybko załapał, o co chodzi.

– Tak – stwierdził z nieskrywanym zadowoleniem. – Weźcie z baru jakieś szkło, ja skoczę po resztę.

– Nie wiem, czy pan doktor to pochwali – stwierdziła z ironią Sara.

– Nie zamierzam słuchać jego pierdolenia na trzeźwo – odparł śmiertelnie poważnie Daniel i zniknął za żałomem korytarza.

Pozostali przeszli kilka kroków, gdy Chris pochylił się w stronę Sary.

– Ej, ten facet nie wydaje ci się jakiś znajomy? – zapytał szeptem.

– Daniel? Nie, pierwszy raz go widzę. Czemu? – odparła równie cicho, konspiracyjnie.

Cały czas kierowali się za idącym daleko z przodu Rittnerem. Chris wskazał na niego kciukiem.

– Nie, ten.

Sara zastanowiła się chwilę, ale wzruszyła ramionami.

– Nie, nie kojarzę go.

Chris nie odpowiedział, ale wydawało mu się, że dostrzegł jakąś zmianę na twarzy dziewczyny. Jakby zaczęła się głębiej zastanawiać, przekopywać meandry swojej pamięci w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, czegokolwiek, co mogłaby połączyć z jego osobą. Faktycznie, po tym jak Chris zwrócił jej na to uwagę, doktor wydał się jej jakoś dziwnie znajomy. ■

ROZDZIAŁ 35

Australia, lato 2021

Tymczasem Matka przedzierała się przez lasy i przedmieścia południowo-zachodniej Australii. Im bardziej zbliżała się do granicy kontynentu, tym częściej trafiała na jakieś zabudowania. Obok niej kroczyła Bestia, która uparcie nie odstępowała swojej pani nawet na krok niczym wierny, stary pies. Szło z nią też niewielkie stado różnych stworzeń, liczące około pięćdziesięciu sztuk. Nad Matką krążyły ptaki, ale nie całe ich chmary jak wcześniej, tylko zaledwie kilka, rozproszonych, niezwracających na siebie uwagi ludzi.

Wszystko dlatego, że Matka chciała zachować ostrożność. W pewnym momencie zrozumiała, że ludzie jednak wyewoluowali, nauczyli się wytwarzać przydatne urządzenia. Jak chociażby to, które przykładało się do oczu i można było przez nie widzieć na duże odległości. Czy strzelające ogniem patyki, które tak zapamiętałe dźwigały na plecach, mniejsze lub większe, wszystkie jednakowo i szybko siejące śmierć. Albo stalowe pojazdy, w których się kryli, a które kąsały jej dzieci zapamiętałe i dotkliwie niczym olbrzymie skorpiony, jakie już bardzo dawno wyginęły. Mieli też dziwne, cuchnące ropą i stałą ważki, przeraźliwie głośne, plujące ogniem i siekące na kawałki wszystko, czego tylko dotknęły. Wymyślili także mechaniczne oczy i uszy, które umieszczali wysoko na niebie, dzięki czemu mogli zobaczyć i usłyszeć to, co się dzieje na ziemi.

Nie wiedziała, jak to wszystko działa, nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć, tak samo zresztą jak znakomita większość ludzi. Dla nich, podobnie jak dla niej, ważna była tylko skuteczność tych urządzeń. Miała o czym rozmyślać podczas swojej wędrówki.

Kiedyś, w zapomnianych już czasach, gdy człowiek nie potrafił wytwarzać tak skomplikowanych mechanizmów, gdy rzeki były tak czyste, że można było z nich pić, a nieba nie pokrywał dym z fabrycznych kominów, Matka przemieszczała się inaczej. Kroczyła dumnie, nierzadko otoczona swoimi stadami – prowadząc cały tabun stworzeń podległych jej woli nie ze strachu, tylko z powodu najczystszej, najgłębszej miłości, zahaczającej wręcz o fanatyzm, co często wszak trudno rozróżnić. Przeważnie jednak podróżowała samotnie, pozwalając swoim dzieciom robić to, do czego zostały stworzone.

Lecz te czasy dawno minęły. Nie bezpowrotnie, o nie, tego była pewna. Teraz jednak musiała przemieszczać się ostrożnie, nie dać się namierzyć tym wszystkim cudacznym wynalazkom współczesnego człowieka – bo to skazywałoby ją na ciągłą walkę, na co zwyczajnie nie miała teraz czasu. Nie bała się o swoje życie, nie wątpiła, że wygra każdą batalię. Teraz priorytetem było dotarcie do ostatniego artefaktu. Tego, który pozwoli jej w stu procentach odzyskać moc.

Na Ziemi było zaledwie parę osób, które znały jego lokalizację, o czym doskonale wiedziała.

Mnisi z prastarej organizacji, którzy podstępnie pojмали ją i uwięzili. Na ich wspo-

mnienie poczuła ogień buchający gdzieś ze środka serca, rozchodzący się po wnętrzu jej ciała niczym lawa. Widziała to, jakby wydarzyło się wczoraj, pamiętała ten straszny moment, w którym zrozumiała, że zastawiają na nią pułapkę. Musiała przed samą sobą przyznać, że nie spodziewała się tego. Uśpili jej czujność, a ona, zagubiona w swej pysze i zarozumiałości, opuściła gardę i dała się podejść niczym ufne, nieznające świata szczenię. Walczyła, jednak ostatecznie udało im się pozbawić ją jej artefaktów, dzięki czemu te nędzne kreatury mogły skrępować ją i uwięzić. Słono za to zapłacili, pomyślała, podczas gdy kącik jej ust powędrował ku górze w szyderczym uśmiechu. Oj tak. Bardzo lubiła te myśli, chociaż wstyd było jej się to tego przyznać.

Zdecydowanie wolała tworzyć, dawać życie – jego odbieranie krępowało ją. Było sprzeczne z jej naturą.

Ale tylko do pewnego stopnia. Zrozumiała bowiem, że jeden z gatunków zaczyna zagrażać pozostałym. Dlatego nie skupiała się na potrzebach i uczuciach jednostek, mając na uwadze dobro ogółu i ład panujący na całej Ziemi. Jeżeli gdzieś pojawiały się zbyt agresywne szkodniki czy chwasty, należało je wyplenić, zanim poczynią nieodwracalne szkody.

Matka miała dużo czasu na rozmyślenia, wiele długich setek lat spędziła w ciszy i ciemności, wsłuchując się w głos własnych myśli, gdy z oddali docierały do niej echa czasów i wydarzeń, które rozgrywały się za grubymi skałami. Pomijając walki pomiędzy ludźmi, co nie było dla niej specjalnym problemem, bo traktowała je z pewną pobłażliwością – wszak ludzie w ten sposób sami regulowali liczebność swojej populacji i zwalniali nieco tempo, w jakim zasiedlali Ziemię – przeszkadzało jej wiele innych rzeczy.

Na przykład to, że ludzie w swojej pysze zaczęli sobie podporządkowywać inne gatunki. Nie korzystając z ich pomocy, nie współpracując z nimi w atmosferze szacunku i zrozumienia. Zamiast tego uznali się za władców Ziemi, masowo hodując i mordując zwierzynę nie tylko po to, aby przeżyć, ale często dla samej przyjemności zabijania lub zniewalania. Nie zjadali wszystkiego, ale znakomitą część mięsa wyrzucali na śmietniki, co też było w pewien ponury sposób karykaturalne, gdyż w jednej części świata ludzie głodowali, a kilkaset kilometrów dalej mięso gniło na słońcu.

Ludzie wycinali w pień prastare lasy, wlewali chemikalia do rzek i oceanów, zanieczyszczali powietrze dymem z fabrycznych kominów. Deptali wszystko, co stworzyła, ślepo wierząc jakiejś urojonej iluzji, że wszystko im wolno. Skazywali na zagładę swoje dzieci i pluli na swoją przyszłość, nawet tego nie rozumiejąc.

Pogrążona w tych ponurych rozmyśleniach, Matka dotarła do granicy kontynentu. Nie spotkała po drodze ani jednego człowieka. Czowała co prawda obecność ludzi, ale najwidoczniej pierzchali przed nią niczym myszy przed starym, wygłodniałym kocu-rem. Ale nie zamierzała ich ścigać. Szkoda było czasu na rozdeptywanie każdego napotkanego karalucha.

Powoli zbliżała się do skraju plaży. Na horyzoncie majaczył bezkres oceanu, którego granica coraz bardziej zacierała się, ginąc w zapadającej ciemności. Wokół panowały cisza i spokój. Nie było żadnych plażowiczów, nastolatków na tych swoich śmierzdzących i trujących powietrze wynalazkach, tratujących każde najmniejsze stwo-

rzenie i tak arogancko demonstrujących brak szacunku dla czegokolwiek. Tak, w głowie widziała sceny przedstawiające różne takie zabawy na plażach – wielkie festiwale muzyczne, po których zostawały tony odpadów, palenie śmieci, ludzi zmieniających wybrzeże tylko po to, aby dostosować je do swoich potrzeb, tylko po to, aby zarabiać na tym pieniądze.

Z drugiej strony jednak widziała też ludzi jeżdżących po plaży konno, kąpiących się w ciepłych wodach mórz i oceanów, ratujących rekiny wyrzucone na brzeg. Widziała pary spacerujące przy zachodzącym słońcu, mężczyzn osłaniających ramionami swoje kobiety, ogrzewających je i chroniących od wiatru. Słyszała śmiech dzieci, widziała radość w ich oczach.

Obrazy były skrajnie od siebie różne i nie każdy z nich rozumiała. Sceny wyczytane z mózgow zamordowanych ludzi mówiły same za siebie. Jej oczy zalśniły delikatnym blaskiem, a serce zabiło nieco szybciej. Współczuła im? Zaczynała z niektórymi sympatyzować? W głowie pojawił się podszept, że może nie wszyscy są tacy do szpiku kości zepsuci.

Matka powoli wypuściła powietrze, odrobinę zła na siebie za to, że zaczęła tak łatwo się denerwować i tracić kontrolę nad swoimi emocjami. Przecież kiedyś taka nie była. Co więc się z nią stało? Szybko jednak się otrząsnęła i zdecydowała się obwinąć za to ludzi. Zmieniają ją, zmuszają do podejmowania brutalnych działań. W takim razie dostaną to, na co zasłużyli. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz – to również wyczytała z ukradzonego wspomnienia, i to już bardziej do niej przemawiało.

Tymczasem dotarła już do wody i wkroczyła w zimną toń Morza Tasmanskiego. Zerknęła jeszcze raz na stały ląd, kierując swój wzrok na południe. Wyczuwała tam obecność ludzi, grup ocalałych, pochowanych w jakichś betonowych budynkach, za metalowymi barykadami, stojących wysoko w oknach wieżowców i wypatrujących zagrożenia. W głowie widziała słowo Sydney i dziwne budynki przypominające muszle, ale nie rozumiała, co to wszystko znaczy. Wcześniej też wyczuwała takie skupiska, jednak poprzednie nie emanowały aż tak silną energią. Musiała stoczyć wewnętrzną walkę, aby nie ulec pokusie i nie zmienić trasy swojego marszu. Bestia zamruczała cicho, jakby wyczuwając rozterki swojej pani i zachęcając ją do podjęcia właściwej decyzji.

– Fia’nen, fia – wyszeptała kobieta, delikatnie głaszcząc ją po grzbiecie. Potwór mruknął, jednak nie poddał się pieścizotom. Zamiast tego wpatrywał się w nią wzrokiem pełnym miłości, ale też pewnego rodzaju determinacji. Przypominał, co jeszcze było do zrobienia.

Matka przejechała dłonią jeszcze kilkukrotnie po szczeciniastej sierści. Kiwnęła głową, zastanawiając się nad tym, co przygotował jej los.

Następnie zwróciła się w stronę stada. Przymknęła oczy, skoncentrowała się i wysłała zwierzętom informację. Nie rozkaz, ale przyzwolenie na oddalenie się, gdyż tam, gdzie zamierzała się udać, nie mogły jej towarzyszyć. Kilka zwierząt odwróciło się i potulnie odeszło, większość jednak stała i przyglądała się swojej królowej, czekając na dalszy rozwój wydarzeń. Nie przeszkadzało jej to, nie zamierzała też ich za to w żaden sposób karcnąć. Obdarzyła je wolną wolą i takie było ich prawo.

Matka weszła w wodę. Kroczyła pewnie, spokojnie. Gdyby zobaczył ją jakiś czło-

wiek, pomyślałby, że to samobójca wchodzący nocą do bezlitosnego i zimnego morza, z którego nie ma odwrotu. Bestia podążyła obok swojej pani, raz po raz zerkając na nią z narastającym niepokojem. Potwór doskonale radził sobie na lądzie, ale nie potrafił pływać. Do tej pory wspominał morską podróż na grzbietach olbrzymich stworzeń, szybkich, śliskich i wiecznie mokrych. Wyglądało na to, że teraz sytuacja miała się powtórzyć.

Jednak wydarzyło się coś zupełnie innego.

Gdy woda sięgała już ud Matki, ta przyłożyła do ust prawą dłoń. Wyszeptała kilka słów i z jej ust uniosła się delikatna, seledynowa mgiełka. Osiadła na dłoni, a Matka delikatnym ruchem odrzuciła ją przed siebie, wskazując drogę, którą miała podążyć. Dymek poleciał jeszcze kawałek i rozpląnął się w powietrzu.

Po chwili morze rozstało się przed nią niczym śnieg przed pędzącym pługiem. Kobieta ruszyła pewnie przed siebie. Powstały tunel miał ponad pięć metrów szerokości i sięgał daleko w głąb morskiej otchłani. Bestia rozejrzała się zdezorientowana, jednak nie zwolniła kroku, ufając, że nie spotka jej nic złego. Matka natomiast, bez cienia uśmiechu, śmiało kroczyła przed siebie. Woda po obu stronach utworzyła ściany, przez które jak przez szyby patrzyły na nią morskie zwierzęta. Drobnie skorupiaki pod jej stopami czym prędzej czmychały z drogi, szukając zbawiennej wilgoci, która nagle zniknęła.

Matka szła tak przez kilka minut, gdy usłyszała ciche warknięcie. Była już na znacznej głębokości, cienka linia nieba unosiła się teraz wysoko nad nią. Matka odwróciła się i zobaczyła, jak Bestia kiwa łbem, ewidentnie wskazując coś w górze. W pierwszej chwili nie zrozumiała, jednak szybko pojęła przekaz. Uśmiechnęła się serdecznie i skinęła głową z uznaniem dla inteligencji stworzenia. Następnie uniosła ręce, zamykając jednocześnie oczy. Jej włosy zafalowały delikatnie, jakby poruszone subtelnym muśnięciem wiatru. Kilka koralików zaklekotało subtelnie, uderzając jeden o drugi. Korona i bluszczowy pancerz zajaśniały, podczas gdy dziwny blask wyłonił się z dna morza i otoczył Matkę, pnąc się szybko do góry. Po chwili już osłaniała ją drobna mgiełka pełna wyładowań elektrycznych, które wciąż strzelały w otaczające ją krople wody, wyglądając jak mgła przy wodospadzie, do której ktoś podłączył prąd. Krótką chwilę trwało, nim Bestia zauważyła, jak wysoko nad nimi ściany wody zaczynają się zasklepiać. Potwór położył uszy po sobie, rozglądając się w panice, szukając drogi ucieczki, lecz zerknąwszy na swoją panią, spostrzegł, że ta stoi spokojnie z wyciągniętymi w górę rękami i szepcze jakieś niezrozumiałe słowa.

Matka deklamowała tylko sobie znane zaklęcia. Po parunastu sekundach ściany wody połączyły się, odcinając dopływ światła. Lecz pod wodą nie zapadła ciemność. Wręcz przeciwnie, w owalnej kopule, którą stworzyła Matka, było jasno, blask roztaczał się od niej samej. Mgiełka i wyładowania elektryczne zniknęły. Bestia cały czas zerkając nieufnie to na Matkę, to na łuk wody zawieszony wysoko nad jej głową. Nie czuła się tu zbyt dobrze.

Tymczasem Matka, uśmiechnąwszy się, ruszyła truchtem przed siebie. Z racji wzrostu przemieszczała się bardzo szybko, zwinnie przeskakując z głazu na głaz, niczym kozica pokonująca górskie zbocze. Kopuła przemieszczała się wraz z nią, jakby

olbrzymia bańka powietrza odpychała wodę i torowała przejście niczym pole statyczne. Wodne istoty gromadziły się wokół tej bariery, podążały za nią, czasami wypadały na zewnątrz, nie zdążywszy w porę odpłynąć.

Matka biegła spokojnie, oszczędzając siły, gdyż wiedziała, jak długa czeka ją droga. Rozkoszowała się prędkością, falującymi włosami, finezją własnych ruchów, napięciem mięśni i ścięgien. Czuła na sobie pełne miłości spojrzenia morskich stworzeń, co tylko motywowało ją i dodawało jej energii. W pewnym momencie jednak zwolniła, gdyż daleko z przodu zamajaczył dziwny kształt, który tu zupełnie nie pasował. Zatrzymała się zaintrygowana. Jej ciało nie zdradzało najmniejszych oznak zmęczenia, jakby przebiegła kilkanaście kroków, a nie kilkadziesiąt kilometrów.

Jej oczom ukazało się coś, czego nie powinno być na morskim dnie. Nie pasowało tu. Przeszkadzało.

Spoglądała na olbrzymi wrak statku, na cielsko stalowego kolosa, służącego do transportowania kontenerów z przeróżnej maści towarami. Kilka z nich leżało wokół jednostki, z której bez wątpienia spadły podczas zatonięcia. Wszystko było zaśniedziałe, pokryte wodnymi porostami, skorodowane. Wrak leżał tu od wielu, wielu lat. Był przekrzywiony na prawą burtę, jednak nie przewrócił się na bok, opierając swoje ciężkie cielsko o olbrzymią skałę. Matka podeszła do jednego z kontenerów, patrząc na niego z zaciekawieniem, ale i z pewną dozą ostrożności. Stalowa konstrukcja, pomimo wypadku, pozostała nienaruszona. Stuknęła kilka razy w ścianę kontenera. Po kopule rozeszły się głuuche uderzenia, a z samej ściany odpadło parę nitok szlamu, jednak nie wydarzyło się nic więcej. Zauważyła też element, który wyróżniał się na tle konstrukcji. Po chwili zastanowienia złapała go i pociągnęła z całych sił. Skorodowane zawiasy puściły bez najmniejszego oporu i drzwi stanęły otworem, przez co z kontenera wylała się wraz z wodą masa starych, zapleśniałych, kartonowych pudełek, które rozpadając się, uwolniły na dno morza stertę zniszczonych adidasów. Matka zwinie uskoczyła do tyłu, Bestia uczyniła to samo. Obie istoty stały teraz frontem do kontenera, gotowe do podjęcia walki. Bestia nastroszyła sierść, Matka pochyliła głowę, lecz nic więcej się nie stało. Nie wyglądało to na kolejną pułapkę ludzi.

Po chwili wyprostowała się i nieco zawstydzona podeszła do najbliższej leżącego buta. Szturchnęła go stopą. Był miękki, ze środka wylała się woda. Pochyliła się i wzięła go ostrożnie w ręce. Powąchała, ścisnęła, wygięła kilkukrotnie w różne strony. W jej wielkich dłoniach but rozmiaru 41 wyglądał jak dziecięcy bucik w dłoni mężczyzny. Z jednej strony pachniał pięknie – morskim dnem, glonami i solą. Z drugiej strony czuć było od niego ostry, gryzący odór czegoś nieznanego wcześniej Matce. Śmierdziało czymś dziwnym, nieprzyjemnym. Brudnym. Czymś, co wymyślili ludzie, podczas gdy ona przebywała w zamknięciu, i czego stworzyli tak dużo, że było teraz niemalże w każdym zakamarku planety, zaśmiecając ją, zatruwając jej powietrze, uśmiercając jej mieszkańców. Było tego tak dużo, że wdychali to razem z powietrzem.

Cisnęła butem do środka kontenera i podeszła do statku. Z wściekłością uderzyła w niego pięścią, przebijając stalowy korpus dziobu, a następnie złapała oburącz za skorodowaną stal i wygięła ją, aby zajrzeć do środka. Zobaczyła długi korytarz cią-

gnący się w obie strony, jakieś wiszące rury, walające się po podłodze śmieci. Wszędzie to samo – rdza, skorodowana stal, plastik i szkło. Zaciśnęła zęby ze złością, zgniatając metal tak mocno, że zaczęły puszczać nity trzymające kawałki blachy.

Następnie z wściekłością odskoczyła na kilkanaście metrów. Stała na niewielkim głazie, frontem do zatopionego okrętu. Jej oczy emanowały szaleństwem, a bluszczowy pancerz delikatnie żarzył się zielenią, podczas gdy z dna wokół Matki ponownie zaczęła się unosić się mgła. Uniosła dłonie i cicho zaczęła deklamować. Ziemia zadrżała.

– Ta fal’ral ta, sihma nefthe ren grian... – wypowiedane szeptem słowa niosły ze sobą niewyobrażalną moc. Prastarą, pierwotną siłę nieprzeznaczoną dla człowieka.

Bestia przyglądała się temu zaciekawiona i wystraszona zarazem, chociaż wiedziała, że nic jej nie grozi, a fanatyczny błysk w oczach Matki potwierdzał, że teraz nie byłoby roztropnie jej przeszkadzać.

– Ghija! – Matka zaakcentowała ostatnie słowo, wypowiadając je zdecydowanie najgłośniej i najostrzej ze wszystkich. Uniosła przy tym prawą rękę, a następnie, pochylając się, uderzyła otwartą dłonią w skałę, na której stała. Ta pękła i stworzyła szczelinę, która wystrzeliła z dużą prędkością w stronę okrętu, rozszerzając się w miarę zbliżania się do stalowego kolosa. Powiększała się nie tylko wszerz, ale również w głąb, połykając pierwsze kontenery. Po chwili szczelina otworzyła się pod wrakiem niczym paszcza mitycznego Krakena i pochłonęła go w swoją czeluść jednym, potężnym kłapnięciem skalnych szczęk, które szybko się po tym zamknęły.

Bestia widziała, jak potężny wrak powoli osuwa się w przepaść, zahaczając jeszcze fragmentem kadłuba o skały, jakby chciał uniknąć swojego przeznaczenia, jakby próbował zaczepić się o coś i nie spaść w otchłań. Jednak na nic się to nie zdało. Bezwładnie spadł w dół, w jądro planety, gdzie ślad po nim zaginął. Potwór poczuł jeszcze powiew gorącego powietrza bijącego ze szczeliny i wydawało mu się, że widział czerwoną poświatę lawy, odbitą na jej ścianach.

Zapanowała pełna magicznego napięcia cisza, macona tylko ciężkim, regularnym oddechem Matki. Kobieta klęczała jeszcze przez parę sekund, aż wreszcie podniosła się i przyjrzała morskemu dnu.

Wszystko wróciło na swoje miejsce. Gdy oddali się, woda wypełni pustą przestrzeń wolnym od skażenia życiem. Ryby zaczną pływać między skałami, a nie nad stalowym wrakiem, skorupiaki stworzą domy z muszel, nie ze sztucznych wytworów człowieka. Będzie tak, jak być powinno. Kiwnęła głową, jakby potwierdzając słuszność swoich myśli i ciesząc się z tego, co udało się jej uprzątnąć, chociaż wiedziała, że to tylko – nomen omen – kropla w morzu jej potrzeb. Że takich wraków są na Ziemi jeszcze tysiące.

Ona jednak była cierpliwa. I uparta.

Zeskoczyła ze skały i ruszyła pędem przed siebie. Jakby wstąpiły w nią nowe siły, jakby śpieszyła się na wydarzenie, którego za wszelką cenę nie chciała przegapić. Bestia ledwo dotrzymywała jej kroku. ■

ROZDZIAŁ 36

Australia, lato 2021

Lena spokojnie patrzyła na zdjęcie, zastanawiając się, jakie ustawienia powinna skorygować. Czy powinna zmienić czas naświetlenia, stopień otwarcia przysłony, czy może lepiej czułość filmu? Wahała się, próbując różnych rozwiązań.

W gabinecie panował półmrok, przez co znajdujący się w nim ludzie wyszliby na zdjęciach zbyt ciemni, a ona nie chciała długim czasem naświetlenia uzyskać efektu rozmycia, nie zamierzała też używać lampy błyskowej, aby nie zwracać na siebie uwagi. Zdecydowała się zmienić czułość filmu i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Ustawiła żadaną wartość i uniosła aparat do twarzy. Ze swojego miejsca miała całkiem dobry widok na rozmawiających, a przy okazji mogła trzymać się nieco na uboczu.

– I na serio przylecieliście aż z Europy helikopterami? – zapytał zaintrygowany tym faktem Chris.

Daniel, osoba wyznaczona przez doktora do udzielania odpowiedzi na tak trywialne pytania, skinął powoli głową, przeczuwając, że po raz kolejny – tylko trochę innymi słowami – będzie musiał mówić to samo. Na szczęście alkohol pozwalał lżej przejść przez takie trudne momenty.

– Dokładnie tak. Jasne, tankowaliśmy kilka razy po drodze, przecież nikt nie przeleciałby takiego dystansu na jednym baku. Mamy też kilka osób znających się na mechanice, więc odbyło się bez większych awarii, rozumiecie. Podróż była dokładnie zaplanowana.

– Tak... no to nieźle. No i można wam pozazdrościć. Ale zjawiliście się w samą porę, musimy to przyznać.

Chris uśmiechnął się, unosząc swoją szklanę z drinkiem i patrząc na doktora. Lena wykorzystwała moment i nacisnęła spust migawki. Prawie udało się jej złapać refleks światła na szkłe. Goście już się przyzwyczaili do tego, że ciągle śledzi ich obiektyw, toteż w stronę dziewczyny przestali kierować wrogie spojrzenia, groźby i obietnice zniszczenia aparatu. Nawet Sara zdawała się to ignorować.

W końcu od prawie godziny siedzieli w pomieszczeniu, które doktor Rittner był uprzejmy zaanektować na własny gabinet, zapraszając ich na salony z taką pompą, jakby był właścicielem nie tylko hotelu, ale i połowy kraju.

Większość przyjęła to z rozbawieniem, niektórzy dorzucili do tego nawet pewnego rodzaju sarkastyczną, wisielczą radość. Miło było poczuć się zaproszonym na wieczornego drinka, spotkać z obcymi ludźmi w zupełnie obcym miejscu i chociaż przez parę godzin poudawać, że wszystko jest po staremu. I choć wszyscy przeczuwali, że taki stan długo nie potrwa, nikt nie dawał tego po sobie poznać. Grali swoje role i każdemu to pasowało. Dwie butelki z winem były już puste, butelka z whisky jeszcze się jakoś trzymała, ale wiadomo było, że jej czas też się kończy.

– A jak sytuacja w Europie? – zagała Sara, odrobinę zbyt długo zatrzymując spojrzenie niebieskich oczu na Danielu. Mężczyzna mocno nabrał powietrza.

– Chyba wszędzie jest podobnie. Rządy praktycznie upadły, ludzie próbują się zor-

ganizować w jakieś grupy i po prostu przeżyć, wiecie. W większych miastach z jednej strony jest łatwiej, chociażby z racji infrastruktury, jaką zapewniają, i zapasów, jakie cały czas tam są. Ale z drugiej strony, takie skupiska przyciągają zwierzynę, więc różnie to bywa. My siedzieliśmy w górach, w takiej specjalnie przystosowanej do ukrycia się jaskini niedaleko Zakopanego. Podejrzewam, że sami mijaliście podobne miejsca. Populacja została mocno... przetrzebiona. Że tak powiem.

– Niedaleko Zakopanego? – zapytała ciekawie Sara. Nie kojarzyła tam kompleksu tak dużego, aby można go było zmodyfikować tak, żeby mógł pomieścić większą grupę ludzi przez wiele miesięcy. Przecież sama taka adaptacja zajęłaby mnóstwo czasu. Nie była co prawda ekspertem w kwestii tamtego regionu, lecz wrodzona ciekawość kazała jej dopytać.

Daniel, zamiast odpowiedzieć, zerknął jednak na Rittnera. Ten tylko nieznacznie pokręcił głową, ewidentnie prosząc w ten sposób o zachowanie lokalizacji w tajemnicy. Dla Daniela nie miało to absolutnie najmniejszego sensu. Nie wierzył, aby doktor rozważał możliwość porażki i zamierzał wrócić do jaskini. Przecież on i tak miał własną bazę.

– No a... wasza podróż? Dużo ludzi mijaliście? – zapytał Daniel, ignorując pytanie Sary. Miał nadzieję, że dziewczyna nie weźmie mu tego za złe.

Ta kiwnęła tylko głową, wpatrując się w głębię swojej lampki z winem. Nie chciała mówić o pasie zniszczenia, którym wędrowali. Sama nie potrafiła powiedzieć dlaczego, ale uważała z jakiegoś powodu, że cel ich wyprawy powinien pozostać tajemnicą. Zgadza się, ci ludzie uratowali im życie, ale nie wiadomo, jak właściwie się tu zjawili i czy można było im ufać. Może należało poczekać, aż pierwsi odkryją karty. Kurde, przecież nawet nie chcieli wyjawić, gdzie spędzili ostatnie miesiące – usłyszała racjonalny głos we własnej głowie.

– Raczej staraliśmy się unikać większych skupisk, omijaliśmy je. Sami pewnie rozumiecie. Była nas piątka, nie mieliśmy ze sobą całego arsenału i małej armii – powiedziała, pokazując ręką w bliżej nieokreślonym kierunku, celując jednak mniej więcej w stronę dziedzińca i stojących na nim śmigłowców. – Teraz lepiej nie rzucać się w oczy.

– No tak. Teraz to różnie bywa.

– Delikatnie mówiąc. Przez to wszystko nie tylko zwierzętom odbiło, ludziom trochę też. Raz spotkaliśmy mężczyznę... – zaczęła i szybko zrobiła dłuższą pauzę, jakby to wspomnienie było wyjątkowo bolesne. – Samotny facet, ubrany tylko w spodnie. Słaniał się na nogach, ledwo stawiał kroki, jakby się zaraz miał przewrócić. Całe ciało miał pocięte, ale nie były to ślady pazurów. To były cięcia od maczet, noży. Nie wiem, jak udało mu się przeżyć. Oczywiście zatrzymaliśmy się, próbowaliśmy go jakoś podleczyć, daliśmy mu wody, ale od razu było wiadomo, że nie miał szans. Skonał mi prawie na... – Sara przerwała, przełknęła ciężką gulę w gardle. Popiła winem. – Jeszcze zanim to nastąpiło, powiedział tylko, że razem z rodziną trafił na większą grupę ocalałych. Tamci mieli auta, dużo broni i jedzenia. Chcieli ich zabrać ze sobą, ale mężczyzna szybko wyczuł ich złe intencje, coś mu nie grało. Próbował odejść, ale wtedy wywiązała się walka. Zabrali jego żonę i córkę, a jego prawie

zakatowali na śmierć i porzucili. Szedł teraz w stronę, w którą odjechali.

Pozostali wymienili między sobą spojrzenia. Takich band było coraz więcej, szerzyły się jak zaraza i siały większe spustoszenie niż wściekle stada zwierząt.

– Smutne, ale prawdziwe – wtrącił doktor Rittner. – Ludzie bez odpowiedniego przywództwa i przykładu idącego z góry szybko się zatracają, dając się porwać atawistycznym instynktom, dlatego trzeba uważać. Brakuje im bata nad głową, tak, tak, to smutne, ale prawdziwe. Niewiele się w tym aspekcie zmieniło i pewnie długo się nie zmieni. W tych czasach trzeba bardzo uważać na siebie. Jakbyśmy się cofnęli do wieków średnich, niestety. Tyle utraciliśmy...

Daniel uniósł brwi, Sara i Chris kiwnęli powoli głowami. No pięknie, pomyślała dziewczyna. Trafił się mówca, który będzie gadał tak od rzeczy o niczym i prędzej umrzemy z nudów, niż dowiemy się, co tu się właściwie dzieje.

Kryśka, która zignorowała fakt niezaproszenia jej na to spotkanie, siedziała pogrążona we własnych myślach, z ciekawością jednak przyglądając się nowym osobom. Lena bawiła się aparatem, ale też czujnie śledziła przebieg rozmowy, do której jednak jeszcze nie zamierzała się wtrącać.

– Tak... – powiedziała dyplomatycznie Sara. – Okej, już dajmy temu spokój. Wszyscy wiemy, co się dzieje, wszyscy widzieliśmy to na własne oczy, prawda? Prawda. Tylko czy ktoś może wie, dlaczego tak się dzieje? I czemu właściwie lecieliście do tych jaskiń?

Doktor przyjrzał się Sarze uważnie, a po chwili uśmiechnął się z uznaniem. Błąd, ptaszyno.

– Skąd pomysł, że lecieliśmy do jaskiń? Usłyszeliśmy strzały, zesłiśmy z kursu, aby wam pomóc.

Cholera, pomyślała dziewczyna. Prawie się udało.

– To dokąd lecieliście?

– Kierowaliśmy się na wybrzeże. Chcieliśmy jeszcze zatankować gdzieś na samym skraju kontynentu, a następnie udać się do Nowej Zelandii lub Tasmanii. Słyszeliśmy, że jest tam całkiem bezpiecznie. A nawet jeżeli nie, to przecież liczba zwierząt jest tam mocno ograniczona.

Tak, a po drodze nie mijaliście przypadkiem ani jednej wyspy, na której liczba zwierząt jest jeszcze bardziej ograniczona, pomyślała gorzko Sara. I o tym samym pomyślał Chris, co dziewczyna zobaczyła w jego spojrzeniu, jakie zafundował Rittnerowi, sięgając jednocześnie po swojego drinka. Oby tylko nie przesadził ze szczerością, modliła się w duchu. Coraz mniej ufała tym nowym ludziom i nie chciała zostać z nimi sama, ale wątpiła też, żeby Chis był aż tak lekkomyślny.

– O, to świetnie. Słyszeliście o tym przez radio? – zadała jedyne pytanie, jakie przyszło jej na myśl.

– Tak, niektóre stare sprzęty wracają teraz do łask. Na szczęście mamy operatorkę, która świetnie się na tym zna i doskonale wykonuje swoją pracę. Ja nie jestem specjalistą, nie znam szczegółów, ale jeżeli byłabyś zainteresowana, mogę was z nią umówić. A może chcecie się zabrać z nami? Znajdzie się jeszcze trochę miejsca, zresztą, przecież już się znalazło – dodał Rittner. Jego oblicze z pozoru przypominało twarz

pocziwego dziadunia, jednak jakby się bliżej przyjrzeć, w bystrych, czujnych oczach czaiły się podstęp i determinacja, jakby był adwokatem samego diabła.

Sara pociągnęła kolejny łyk wina, nie bardzo wiedząc, jak mogłaby się wykaraskać z tej sytuacji. I tu z odsieczą przybył Chris.

– Nie, chyba wam dziękujemy. I tak dużo dla nas zrobiliście, nie chcemy was zatrzymywać tu dłużej. Macie przecież swoje plany. Posiedzimy tutaj, aż nasz przyjaciel dojdzie do siebie. Miejsce wydaje się całkiem bezpieczne.

– A co potem?

– A potem zobaczymy. Pewnie ruszymy w dalszą drogę.

– I dokąd tak będziecie wędrować? Wasze auta zostały przy jaskiniach, już pewnie ktoś się nimi zaopiekował. Nie ma tam po co wracać.

Psia mać, cholerne auta – Sara zaklęła w duchu. Szkoda ich, dobrze im służyły przez te kilka dni w Australii. Do swoich gratów też się przywiązali, ale przezornie te najważniejsze rzeczy mieli przy sobie.

– Znajdziemy coś, jak zawsze. Może z garaży przy hotelu coś tam się wydłubie. Rozejrzemy się dokładnie jutro – stwierdził Chris.

– Tak, racja. Możemy sprawdzić, czy stoją tam jakieś auta – powiedział Daniel, co Chris skwitował kiwnięciem głową.

Akurat ten gość wydawał się być w porządku, nie emanował taką podstępą, jadowitą aurą jak ten cały doktor Rittner. Może od niego uda się dowiedzieć czegoś więcej. Ale to później, na spokojnie. Dorwę go w jakimś korytarzu, wtedy pogadamy – obiecał sobie Chris.

– Znaleźliście coś ciekawego w tych jaskiniach? – Pytanie rzucone od niechcienia przez Rittnera przypominało ruch figury na szachownicy. I to ruch bardzo niebezpieczny, grożący szachem, jeżeli przeciwnik nie przygotowuje odpowiedniej obrony.

– Skąd pomyśl, że byliśmy w jaskiniach?

Sara próbowała grać na czas, ale to nie była ta liga. Rittner szybko sprowadził ją na ziemię.

– Przecież wychodziliście z nich, ba!, należałoby raczej rzec, że uciekaliście. O ile mnie pamięć nie myli, ty nawet wydostałaś się jako pierwsza. A to znaczy, że najpierw musieliście wejść do środka, prawda? To dość logiczny wniosek.

Dziewczyna patrzyła na niego, z każdą sekundą coraz bardziej uświadamiając sobie, jak bardzo nie lubi ludzi jego pokroju. I nie zamierzała tego ukrywać. Dawanie im tego do zrozumienia przynosiło jej pewnego rodzaju ponurą satysfakcję.

– Prawda. Ale nie znaleźliśmy tam niczego ciekawego, a poza tym musieliśmy się szybko wycofać. Zwierząt było zdecydowanie za dużo.

– To po co się tam pchaliście?

– Bo z zewnątrz nie było widać, że tam są. Nie zostawiły śladów.

Rittner uniósł krzaczaste białe brwi w udawanym zaskoczeniu.

– Na moje oko śladów było aż nadto. Przecież wszędzie wokół leżały ciała, zniszczone auta, martwe zwierzęta. Czego wam więcej było potrzeba? Jakbyście obudzili się wczoraj. Leżliście prosto w paszczę lwa, i w tym wypadku nie jest to przerośnięcie.

– Szukaliśmy ocalałych i miejsca na nocleg – powiedział niechętnie Chris. Rittner

skierował na niego spojrzenie. – I znaleźliśmy, ale potem nas zaatakowały. Jakby zastawiły pułapkę.

Pieprzone przesłuchanie, czego on chce? – zastanowił się alpinista.

Słyszac odpowiedź, doktor zmrużył oczy. No tak, Matka musi wiedzieć, że za nią podążacie. Teraz to właściwie już razem podążamy. I chyba wszyscy się spóźniliśmy, co można w oczywisty sposób wywnioskować ze śladów, jakie pozostawiła przy jaskini. No nic. Najważniejsze, że jest jeszcze jeden człowiek, który może nas pokierować, gdzie trzeba. I ostatni artefakt, ponoć najpotężniejszy. Wciąż jest szansa. Jak w szachach – dopóki figury są w grze, zawsze jest szansa.

– Cóż, całe szczęście, że wszystko skończyło się dla was całkiem dobrze. Mogło być znacznie gorzej – powiedział Rittner, zmieniając nagle ton.

Znowu był uprzejmym, spokojnym starszym panem, dystyngowanym gentlemanem, otaczającym przyjaciół i napotkanych wędrowców opieką.

– Na pewno wszyscy jesteście bardzo zmęczeni. Sądzę, że zasłużyliśmy na chwilę odpoczynku – powiedział po chwili i wstał. Nie wyszedł jednak z za biurka, w dość jasny sposób komunikując, że wieczorek zapoznawczy dobiegł końca i to gospodarz chciałby zostać sam.

Po wymianie sztucznych uprzejmości goście skierowali się do wyjścia. Na końcu szedł Daniel, którego Rittner zatrzymał.

– Poproś do mnie Natalię. Dziękuję.

Wal się, arogancki, pyszny chamie, pomyślał Daniel, ale Rittnerowi tylko kiwnął głową. Zamknął drzwi, zanim doktor zdołał go poprosić o coś jeszcze. Następnie ruszył żwawo korytarzem przed siebie. Minał na nim krępego, posepnie wyglądającego Petę – najemnik szedł z nisko pochyloną głową, ewidentnie nad czymś rozmyślając, co wyglądało tak, jakby sprawiało mu fizyczny ból. Daniel przeszedł bokiem, nie zamierzając nawet otrzeć się o ulubionego „psa” Rittnera.

– Hej. – Parę sekund później Daniel dogonił grupę. – Może dokończymy to, co zaczęliśmy? Gdzieś na spokojnie. Wiecie.

Powiedziawszy to, uniósł w górę butelkę, w której było jeszcze całkiem sporo whisky. Chris uśmiechnął się znacząco. Wiedzieli, nie trzeba niczego więcej tłumaczyć.

– Dobra, ale ja jeszcze skoczę po wino – zakomunikowała z uśmiechem Sara.

– Weź dwa. I może spotkamy się za garażami za kilka minut – zaproponowała Lena.

Sara przyjrzała się dziewczynie podejrzliwie, ale w końcu kiwnęła głową, dochodząc do wniosku, że to całkiem dobry pomysł.

– Za garażami... No dobra.

– Ja padam z nóg, idę w kimę. Dzięki – ku zaskoczeniu Leny Kryśka wymiksowała się z dalszego siedzenia. Nie miała do niej o to pretensji, czasem dobrze jest odpocząć nawet od najlepszego przyjaciela. Poza tym znając Kryśkę, wiedziała, że za czterdzieści minut może do nich dołączyć z kolejną butelką. Po tej lasce można było się spodziewać absolutnie wszystkiego. ■

ROZDZIAŁ 37

Australia, lato 2021

Sara wychyliła się zza budynku. Teoretycznie byli bezpieczni, jednak dziewczyna poruszała się ostrożnie. W lewym ręku trzymała butelkę wina, prawa tkwiła na kaburze z pistoletem. Na szczęście, zamiast zagrożenia, szybko dostrzegła siedzących nieopodal Daniela i Chrisa. Mężczyźni rozmawiali już od paru minut, dzierżąc w rękach szklanki z whisky.

Siedzieli tuż przy ścianie garażu na drewnianej ławce, która stała tu tak długo, że jej nóżki powrastały w ziemię. Przed nimi rozciągał się niewielki placyk, niegdyś pewnie betonowy, teraz prawie w całości zarośnięty. I to nie z powodu apokalipsy. Był to jeden z tych zapomnianych placyków z popękanego betonu, gdzieś między budynkami, jakie bez większego wysiłku można znaleźć niemal w każdej dzielnicy każdego miasta. W oddali majaczyło ogrodzenie łączące nieruchomość bezpośrednio z lasem. Znajdowali się na tyłach hotelu. Powoli zaczynało zmierzchać, ale jeszcze nie musieli używać sztucznego światła.

Dziewczyna podeszła i przywitała się, a następnie usiadła na odwróconej, drewnianej skrzynce znalezionej w którymś z garaży. Chris i Daniel przygotowali jeszcze kilka siedzisk, nie wiedząc, ile osób ostatecznie zdecyduje się do nich dołączyć.

– Znaleźliśmy auta, ale niestety żadnego terenowego – powiedział Chris i machnął ręką w kierunku garaży. Sara kiwnęła głową, jednak ewidentnie nie zamierzała się teraz tym przejmować.

– Reszta będzie? – zagała.

– Lena chyba przyjdzie, Kryśka raczej nie – odpowiedział Daniel.

– Kim ona właściwie jest, ta Lena?

Sara skorzystała z okazji, zerkając jednocześnie za siebie, aby upewnić się, że dziewczyna nie stoi za jej plecami.

– No, oprócz tego, że waszym nadwornym fotografem.

Daniel uśmiechnął się.

– Nie jest, robi zdjęcia, bo lubi. Dobrze jest dokumentować takie rzeczy. A ona jest... jakby to powiedzieć... jest ważna. Nie tylko dla Rittnera, ale dla całej naszej ekspedycji. Może być ważna również dla was, tak myślę. A Kryśka to jej przyjaciółka.

Chris uniósł z powątpiewaniem brwi, ale nie skomentował. Nie zdążył.

– Sama wam wytłumaczy – dodał jeszcze Daniel, kiwając jednocześnie brodą w stronę rogu budynku, zza którego wychodziła właśnie Lena.

Zdecydowanie wpisywała się w postapokaliptyczny scenariusz, jakiego stali się bohaterami. Z częściowo spiętymi dredami, z tatuażami zdobiącymi ciało w kilku miejscach i w szortach na szczupłych nogach wyglądała, jakby się urwała z jakiegoś „Mad Maxa”, chociaż była na to zdecydowanie zbyt czysta i zbyt dobrze ubrana. Brakowało tylko gazurki i własnoręcznie zrobionego pancerza.

Sara zastanowiła się, jak długo jeszcze ludzie będą się ubierać w tak dobre ciuchy,

skoro niedługo nie będzie ich komu masowo wyrabiać? Ile mają czasu, żeby to naprawić? Rok, dwa, trzy? Potem wiele rzeczy trzeba będzie zaczynać zupełnie od nowa. Zachowała jednak tę ponurą myśl dla siebie. Przyglądając się nadchodzącej dziewczynie, wyłapała pewien zaskakujący szczegół w jej ekwipunku.

– Oj, a gdzie twój aparat? Akumulator się wreszcie rozładował? – zapytała, uśmiechając się z delikatną uszczypliwością.

Lena odpowiedziała z właściwą sobie ironią.

– Przepraszam, absolutnie nie rozumiem pytania. Jak to się rozładował? Mam cztery zapasowe akumulatory, ładowarkę na panele słoneczne, moduł, który umożliwia podpięcie ze zwykłymi bateriami...

– Dobra, dobra, okej – powiedziała Sara, machając ręką, jednak uśmiech nie schodził jej z twarzy. Lena również uśmiechnęła się życzliwie.

– Jeszcze ci narobię zdjęć, nie martw się. Teraz przyszłam napić się z wami wina.

– O, to teraz wino? Myślałem, że wolisz piwo. A może chcesz whisky?

Daniel uniósł czarną, kwadratową butelkę. Widać było, że czasu oczekiwania na dziewczyny obaj panowie nie zmarnowali. Whisky było znacznie mniej niż przed wyjściem z hotelu.

– Nie, w takim upale? Musielibyście mnie za dredy ciągnąć do pokoju. Swoją drogą, ekstra miejscówkę chłopaki wypatryli. Dawno nie spałam w tak czystej pościeli. No i ten prysznic, to jedzenie. Świeżo upieczone, białe buły! Jezu...

Wszyscy się uśmiechnęli, doceniając te – zdawałoby się – zwykłe, zupełnie normalne rzeczy. Docenia się je w pełni dopiero wtedy, kiedy się je utraci.

– Już chłodniej się robi, whisky daje radę – stwierdził Chris.

– No, temperatura spadła z czterdziestu na trzydzieści pięć. Faktycznie, uff, co za ulga. I powietrze takie, że mam ochotę spać w basenie.

– A masz chociaż czym to wino otworzyć?

Lena uniosła brwi.

– Dzisiaj chyba każdy ma przy sobie coś, czym można otworzyć wino – stwierdziła, sięgając do pasa po scyzoryk.

– No właśnie. Skoro już poruszyłaś temat radzenia sobie, to może teraz, jak tak sobie tu siedzimy i rozmawiamy na luzie, bez pana doktora Rittnera – zaakcentowała Sara, na co Daniel pokręcił głową, jakby niezadowolony nawet ze wspomnienia o nim – może powiecie nam, skąd się tu wzięliście? Z tymi wszystkimi latającymi fortecami, żołnierzami i tak dalej. Sorry, ale nie wyglądacie na zwykłą zbieraninę ludzi, którym się udało przeżyć i którzy akurat przelatywali obok.

Lena wymieniła spojrzenie z Danielem, jednak mężczyzna pozostał niewzruszony. Pomocowała się jeszcze chwilę z butelką, aż wreszcie udało się jej wyciągnąć korek. Chwilę później pociągała już łyk wina z blaszanego kubka, który również przyniosła ze sobą. Sara i Chris nie poganiali jej, ewidentnie widząc, że walczy sama ze sobą, może porządkuje myśli, ale generalnie tym razem to ona będzie odpowiadała na pytania. Jeżeli dadzą jej szansę, jest nadzieja, że powie coś wartego uwagi.

Wreszcie Lena nabrała głęboko powietrza i już otwierała usta, lecz zamiast coś powiedzieć, odwróciła się i zerknęła za siebie, zupełnie jak Sara parę chwil wcześniej.

Dopiero gdy upewniła się, że nikt za nią nie stoi ani nikt jej z daleka nie obserwuje, odezwała się:

– Słusznie podejrzewacie, że to nie był przypadek. To znaczy nasze spotkanie owszem, ale sama jaskinia już nie. Przylecieliśmy tu, bo... no, przylecieliśmy za czymś.

Z jednej strony Lena wahała się przed mówieniem prawdy, z drugiej czuła, że ci ludzie zasługują na jej ujawnienie. W końcu byli w jaskini, którą widziała w swojej wizji. I ten mnich. Jego również widziała. To nie mógł być zwykły przypadek.

– Widzieliśmy coś na satelitach. Musieliśmy to sprawdzić.

– Satelity nadal działają? – zapytała Sara.

– Cały czas. Tylko trzeba mieć odpowiedni sprzęt, żeby się z nimi połączyć. Te komercyjne padły pierwsze, to znaczy one tam dalej są, ale gorzej z odebraniem od nich sygnału. Nie wiem dokładnie, nie znam się na tym. Tylko tak słyszałam.

– A co takiego widzieliście? – zapytał Chris, tym razem wymieniając czujne spojrzenie z Sarą. Ci ludzie coś ukrywali, jednak podejrzewał, że ich wyprawy miały wspólny mianownik.

– Widzieliśmy coś, co, jak wierzymy, może być odpowiedzialne za to wszystko – powiedział Daniel.

Sara i Chris znowu wymienili spojrzenia, w których pojawiło się coś na kształt zgody co do obecnej sytuacji. Oboje znali się na podejmowaniu ryzyka.

– No to chyba mówimy o tym samym – powiedziała powoli Sara. – Też tu za nią przyszliśmy.

Lena zerknęła na Daniela, czuła na sobie jego wzrok. Mężczyzna delikatnie uniósł brwi w trudnym do zinterpretowania grymasie. Lena odwróciła głowę, skupiając się na tym, co powiedziała blondynka.

– Za nią? – wyszeptwała.

Sara skinęła.

– A wy co widzieliście? – wtrącił Chris. – Na tych zdjęciach.

– Olbrzymie stada zwierząt – wyjaśnił Daniel. – Ale naprawdę olbrzymie, nie kilkakaset sztuk, tylko znacznie, znacznie więcej. Pewnie widzieliście takie na filmach na Discovery, to teraz przemnożcie to razy sto.

– I dlatego tu przylecieliście? – retorycznie dopytywał alpinista.

– Nie, oczywiście, że nie. Tymi stadami ktoś kierował. Szły za swoją... przywódczynią.

– Za Matką – odgadła Sara, a Lena poczuła, jak jej ciało przeszywa dreszcz. Zadrżała.

– Matką... – powtórzyła cicho, jakby z namaszczeniem. Tak, to by do niej pasowało. Nie wiedziała jeszcze dlaczego, ale miała wrażenie, jakby kilka klocków wskoczyło nagle na swoje miejsce, chociaż wciąż nie widziała całości.

– Tak ją nazywamy. Pierwszy Brat ją tak nazywa, to znaczy ten mnich, który był z nami – wytłumaczyła Sara.

Miała ochotę opowiedzieć im wszystko. O jaskini, o bestii i olbrzymiej kobiecie, o stworzeniach, które mordowały ludzi. O prastarym zakonie w Bhutanie, o jego walce i historii. Dopiero teraz poczuła, jak rozpaczliwie wręcz potrzebowała wyrzucić to

z siebie, powiedzieć komuś o tym, czego doświadczyła i czego się dowiedziała. I wreszcie trafiła na ludzi, którzy słuchając jej, nie uznają ją za wariatkę. Przynajmniej taką miała nadzieję.

– Jak... jak w ogóle na siebie trafiliście? To znaczy wasza dwójka jeszcze jakoś do siebie pasuje, jesteście chociażby... biali... A on? I skąd wiecie o... Matce? Dlaczego Matka? Co jeszcze wam powiedział? I skąd on to wszystko wie?

Lena chciała wiedzieć wszystko już, teraz, natychmiast. Niemalże dziecięca ciekawość wylewała się z niej jak woda z przerwanej tamy, nie do powstrzymania, nie do uspokojenia. Można było tylko pozwolić jej ujść i zacząć liczyć się z konsekwencjami.

I Sara się z nimi liczyła. Zaczęła opowiadać o tym, czego doświadczyli podczas wyprawy na Gangkhar Puensum, ale gdy tylko jej opowieść zaczęła nabierać tempa, Lena jej przerwała.

– Braliście udział w tej wyprawie? Na szczyt Gangkhar? – zapytała inaczej niż dotychczas, jakby ciszej. W jej głosie dało się wyczuć pewnego rodzaju groźbę. Pochyliła głowę niczym pies gotujący się do ataku, ale Chris i Sara tego nie zauważyli.

– Tak. Ja się znam na jaskiniach, Chris na wspinaczce. Dość niezłe się na tym znamy, że tak powiem. Więc zabezpieczaliśmy wyprawę, każdy był odpowiedzialny za inne jej...

– Była z wami Katarzyna Piskorczyk? Dobrze po czterdziestce, brunetka, szczupła. Profesor.

W tonie głosu Leny było coś takiego, że Sara zerknęła na Chrisa, zanim odpowiedziała. Coś kazało jej uważnie dobierać słowa, poruszać się ostrożnie, jak po polu minowym.

– Tak. Czemu o nią pytasz?

– Co się z nią stało?

– Ja... – zaczęła mówić Sara, ale przerwała. W jaskini był ktoś, kto widział wszystko z bardzo, bardzo bliska.

– Została porwana jako pierwsza. Zaatakował ją jakby... nie wiem, taki niedźwiedź... Jakieś dziwne stworzenie porwało ją w głąb góry. Olbrzym. Białe futro, długie szpony. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Próbowaliśmy go ścigać, ale zanim się zebraliśmy, z tego samego korytarza wyszła ta wasza Matka i to wielkie, zmutowane bydło. Matka cała była we krwi, więc możemy się tylko domyślać, jak skończyła pani profesor. Ale skąd ty właściwie o tym wiesz, wyprawa chyba nie była nagłaśniana w mediach?

Lena otworzyła szeroko oczy i zamrugała powiekami, wpatrując się w Chrisa z niedowierzaniem. Miała wrażenie, że jej serce zaraz eksploduje, po prostu rozerwie jej klatkę piersiową, a ona umrze, bo już więcej rewelacji z pewnością nie zniesie. Już jakiś czas temu pogodziła się z myślą, że jej mama nie żyje. Jednak co innego usłyszeć to od naocznego świadka, który w dodatku nie przebiera w słowach, a co innego tłumaczyć to sobie samej wieczorami przed zaśnięciem, w głębi duszy licząc na to, że rzeczywistość wygląda jednak inaczej. Dziewczyna wstała i odeszła kilka kroków. Następnie ukucnęła i ukryła głowę w ramionach.

– Powiedziałem coś nie tak? – zapytał wyraźnie skonsternowany Chris.

Zamiast odpowiedzieć, Daniel wstał i podszedł do Leny. Ukucnął tuż przy niej, delikatnie obejmując ją ramieniem. Sara i Chris przyglądali się im z zaciekawieniem, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Daniel coś mówił do Leny, ale nie udało im się nic usłyszeć. Sara zaczynała coś podejrzewać, ale wydawało jej się to kosmicznie nieprawdopodobne.

Po chwili Lena i Daniel wstali i wrócili.

– Znałaś ją? – zapytała Sara.

Lena spojrzała na nią twardym, choć szklanym wzrokiem.

– To była moja mama.

Chris dopił drinka na raz, chociaż miał go jeszcze sporo w szklance.

– Przepraszam.

Lena zupełnie go zignorowała. Nie chciała się jeszcze do niego odzywać, nie chciała nawet na niego patrzeć, chociaż wiedziała, że nie mówił tego wszystkiego ze złej woli. Jednak niesmak pozostał, co nietrudno było zrozumieć.

– Twoja mama brała udział w wyprawie... ale skąd ty wiesz o Matce? Czy to wszystko ma jakiś związek...? – Sara sama sobie odpowiedziała, chociaż fakt spotkania w Australii córki profesor Piskorczyk był dla niej mocno podejrzany. To nie mógł być przypadek.

– To Rittner stał za całą wyprawą – odpowiedziała Lena. Wpatrywała się w kubek z winem, starając się jakoś uspokoić myśli. – Dlatego też... otoczył nas opieką. I dlatego tu się znaleźliśmy.

Ani Chris, ani Sara nie bardzo rozumieli, co Lena chciała przez to powiedzieć. Dziewczyna szybko to zauważyła i po chwili zaczęła mówić dalej.

– Od momentu rozpoczęcia wyprawy rodziny jej członków były objęte dodatkową ochroną. Właściwie nie wiem dlaczego, ale znając Rittnera, miał w tym jakiś cel. Nie miałam okazji zapytać, wołałam siedzieć otoczona ludźmi z bronią. Mną także się zajęł. Uciekaliśmy z Warszawy razem z Kryską i kilkoma, jak by ich nazwać... ochroniarzami, ale oni, no... nie udało im się. Nie wiem, jak to było u was, ale tam wszędzie rozpętało się piekło. Dosłownie. Nie wszystkim się udało przeżyć.

– Chyba wszędzie było tak samo. My też ledwo uszliśmy z życiem z klasztoru.

– Tam, dokąd zabrał nas Pierwszy Brat – doprecyzowała Sara.

– Jak myślicie... – zaczęła Lena, chociaż trudno jej było wyartykułować pytanie, które uparcie pchało się jej na usta. W końcu się poddała. – Czy to, co się stało w jaskini, ma związek z zachowaniem zwierząt? Myślicie, że Matka za tym wszystkim stoi?

– Jestem tego absolutnie pewna – powiedziała po paru sekundach Sara, patrząc prosto w zielone oczy Leny. – I Pierwszy Brat nam to wszystko dokładnie wytłumażył.

Następnie opowiedziała o Zakonie, o Matce, o jej pojmaniu i uwięzieniu w jaskini na szczycie świętej góry. Opowiedziała o poświęceniu i desperackiej próbie ujęcia jej, o walce i wierze w to, że uda się ją powstrzymać. Mówiła też o artefaktach. Pozostali słuchali jej z wyrazem zacięcia na twarzach i nawet Chris powstrzymał się tym razem

od wygłaszania durnych i niczego niewnoszących komentarzy. Już swoje dzisiaj powiedział. Opowieść Sary skończyła się na opisie walki w jaskini, spod której zostali uratowani.

– Niezła historia – po paru sekundach ciszy odezwał się Daniel. I szczerze tak uważał. Wiedział, że coś lub ktoś stał za tymi wszystkimi atakami, znał teorię mówiącą o Matce, więc dobrze było usłyszeć o niej od kogoś innego, z zupełnie innej perspektywy.

Lena milczała, jakby się nad czymś zastanawiała. Myśli biegały jej po głowie. Powiedzieć, nie powiedzieć, powiedzieć?

Wreszcie pochyliła się do przodu, jakby chciała im zdradzić jakąś tajemnicę.

– Od początku tego wszystkiego, to znaczy chyba od momentu, w którym zeszliście do jaskini, to... od tego momentu mam takie jakby... wizje.

Chris wypuścił powietrze. Trochę głośniejsze i bardziej ostentacyjnie, niż zamierzał. Lena spojrzała na niego pogardliwym i złym wzrokiem.

– Nigdy wcześniej czegoś takiego nie miałam. I nie zwariowałam, przynajmniej taką mam nadzieję. To wszystko zbyt dokładnie zbiega się w czasie, żeby to był tylko zwykły przypadek.

– A co to za wizje?

Sara wydawała się autentycznie zainteresowana. W jej głosie dawało się usłyszeć także coś na kształt troski.

– Różne, chociaż wszystkie mają wspólny mianownik. Widzę w nich wielką, straszłą istotę. Ciemną, jak jakiś wysoki demon, szczupłą i paskudną. Wszystko wokół jest rozmyte, chociaż czasem da się dostrzec jakiś ważny szczegół, i potem próbujemy znaleźć miejsce, które mi się ukazało. – Zrobiła krótką pauzę, pociągnęła łyk wina. – Wygląda jak Matka, o której mówiliście. I ona chyba wie, że mam te wizje.

– Skąd?

– Bo za każdym razem tuż pod koniec wizji mam wrażenie, że na mnie patrzy. Raz wskazuje palcem, innym razem coś mówi. A potem napadają na mnie wszystkie okoliczne zwierzęta, lecąc jak ćmy do lampy. I wtedy zawsze ktoś ginie.

Ostatnie zdanie powiedziała szeptem. Przypomniała sobie ewakuację z domu w Warszawie, z tego cudownego miejsca oddalonego od jej obecnej lokalizacji o tysiące kilometrów. Przypominała jej się walka, podczas której zginął Łukasz i cała jego ekipa. I kilka innych wizji, które praktycznie zawsze kończyły się tak samo, napawając ją za każdym razem lękiem, z którym musiała nauczyć się żyć.

– A ten... Rittner. Co to za jeden? – zapytał Chris, chcąc, aby rozmowa zeszła na coś bardziej przyziemnego. Prawdziwego. Żeby wreszcie przestali fantazjować i porozmawiali o czymś realnym. Nawet jeżeli tematem przewodnim miał być dziadek przypominający założyciela Jurassic Parku.

– Doktor, nie zapominaj – odpowiedział z przekąsem Daniel. Uśmiechał się przy tym, wyraźnie ironizując. Jednak ironia ta pełna była jakiegoś głęboko skrywanego żalu, który wyzierał zza ciemnych tęczęw jego oczu. – Jeszcze gotów dzielić cię tą swoją laską.

– Oby nie.

– Różnie może być. Ale Rittner to nasz, jak by to powiedzieć, szefuńcio. Ma gdzieś pochowane grube miliony, założył kilka firm, inwestował w nieruchomości, obligacje, akcje i tak dalej. Krezus, jednym słowem. Sponsorował obie wyprawy, organizował zabezpieczenie rodzin ich członków, budowę kryjówek i tak dalej. Bez niego raczej by nas tu nie było. Ach, i bardzo się interesuje historią. Zwłaszcza zapomnianymi legendami.

– A czym się dokładnie zajmuje?

– Nie wiem. I powiem ci, że po pierwsze wątpię, aby była to tylko jedna rzecz, a po drugie, to niespecjalnie mnie interesuje. Ważne, że dzięki niemu mamy wszystko, czego potrzebujemy.

– I te pieniądze mu to wszystko zapewniają? Kasa chyba trochę straciła na wartości, nie? – wtrąciła Sara, popijając łyk alkoholu.

– Trochę tak, trochę nie. Zależy gdzie. Nadal istnieją ludzie, którzy głęboko wierzą, że wszystko wróci do normy. Więc gromadzą całe garaże gotówki, wymieniają się papierami wartościowymi i innymi śmieciami, żeby po tej całej apokalipsie zostać bogaczami. Jednak z Rittnerem było trochę inaczej. On jakby wiedział, co się święci. Był na to przygotowany. Przynajmniej takie można odnieść wrażenie.

Wszyscy słuchali słów Daniela w skupieniu. Nawet Chrisowi udzieliła się atmosfera konspiracji, gdyż tym razem to on rozejrzał się podejrzliwie wokół, jednak nie dostrzegł niczego niepokojącego.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Jak się siedzi kilka miesięcy z tymi samymi ludźmi, to można się dokopać do różnych przydatnych informacji. Chociażby z nudów gada się o tym, o czym nie powinno się gadać.

Daniel wyprostował się dumnie na swoim siedzisku, zadowolony z wrażenia, jakie zrobił. Nawet na Lenie. Dotychczas jakoś nie rozmawiali o, jak się teraz zdaje, wielu istotnych rzeczach. Wtedy nie było im to konieczne do szczęścia, ale teraz te informacje mogą się okazać przydatne. Żołnierz pochylił się z powrotem w stronę rozmówców, dolewając sobie kolejną porcję alkoholu.

– Taki jeden technik mi to powiedział, informatyk. Wspomniał kiedyś, że jak się dobrze pokombinowało, można się było włamać do serwerów i wygrzebać różne ciekawe informacje. Z jednej strony wojna, ale z drugiej co? Czasu było pod dostatkiem, a w większości ludzie zajmowali się raczej walką ze zwierzętami niż pilnowaniem serwerów. No więc dowiedział się tego i owego.

Napił się i westchnął.

– Strasznie tego dużo. Rittner miał specjalną grupę, zresztą może nadal ją ma, zajmującą się analizowaniem starych legend. Mówi się, że w legendach jest ziarno prawdy, no to oni to ziarno znajdują i sprawdzają, ile faktycznie jest w nim tej prawdy. Rittner zdaje się wpadł na trop tej... o, teraz wiemy, jak ją nazywać, Matki. Odkrył Zakon, co tylko potwierdziło jego przypuszczenia. Potem dotarł do starej jaskini na szczycie góry – kontynuował Daniel – to znaczy wtedy jeszcze nie było wiadomo, że to jaskinia, ale że c o s tam jest. Trzeba było sprawdzić co, bo gość ewidentnie czegoś szukał, praktycznie od zawsze. Czegoś starego, prawie zapomnianego. Jakby łąził za

Świątym Graalem albo kamieniem filozoficznym, no mówię wam. To widać w jego oczach, cały czas coś mu się kotłuje z tyłu tej starej czaszki. No i jak któregoś razu satelity potwierdziły, że na szczycie góry roztopiła się wieczna zmarzlina, ukazując jakieś nieznane wcześniej wejście, nie trzeba było długo czekać na ruch z jego strony. Pewnie wiecie, a może i nie, ale wy byliście już drugą ekipą.

– Wiemy. Mieliśmy przyjemność trafić na członków poprzedniej. Albo na to, co z nich pozostało.

Słyszając to, Lena zadrżała, czując, jak coś mocno ściska ją w żołądku i serce na chwilę wpada w mocny, nieregularny rytm. Ależ jej ten Chris działał na nerwy, miała ochotę wstać i kopnąć go prosto w ten dumny, nietaktowny łeb.

– No właśnie. Pierwsza ekipa, jak by to powiedzieć, zawiodła. Nie ze swojej winy, jak się później miało okazać. Z powodu czynników zewnętrznych, tak to nazwijmy. I wiecie, co wtedy pomyślał Rittner? Że jeżeli tak doświadczona ekipa nawaliła, to tam musi być to, czego zawsze szukał. Wtedy też zaczął ogarniać drugą wyprawę, ale równolegle przygotowywał te swoje rozsiane po Europie enklawy. Bazy. Jakby się spodziewał, że to, co znajdują na górze, może wywołać jakiś ogólnoswiatowy kataklizm. Jakby wiedział, z czym się będziemy mierzyć.

– No i w sumie miał rację – przyznała Sara. Zerknęła przy tym na Lenę, która od jakiegoś czasu wydawała się zupełnie wycofana, a jej oczy były smutne i nieobecne. Sara nie wątpiła, że myśli dziewczyny krążyły wokół nieżyjącej matki. Mogła jej tylko współczuć. Zamierzała też później wypomnieć Chrisowi, że odrobina taktu jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła.

– Pytanie tylko... – zaczął Chris, ale Daniel za niego dokończył, jednocześnie mu przerywając:

– ...skąd o tym wiedział. Tak.

Następnie pociągnął łyk whisky, opróżniając naczynie do końca. Sięgnął po butelkę i dolał sobie, podczas gdy pozostali czekali na ciąg dalszy, obserwując jego ruchy. Wreszcie, uzbrojony w szklanekę do połowy wypełnioną alkoholem koloru mrożonej herbaty, odpowiedział:

– Nie mam zielonego pojęcia.

Sara rozmasowała skronie, Lena ziewnęła i mocno pokręciła głową w obie strony, aż głośno strzeliły stawy w jej karku. Chris spojrział na nią, jakby mu to zaimponowało, i już otwierał usta, aby skomentować, ale twarde spojrzenie Sary go powstrzymało. Lepiej, żeby już dzisiaj ta dwójka nie wchodziła w zbędne dyskusje. Daniel kontynuował:

– Skąd wiedział, że ona jeszcze może żyć? Nie mam pojęcia. Ani w dokumentach, ani na serwerach nie było niczego na ten temat. Próbowałem go jakoś podejść to z jednej, to z drugiej strony, ale dziadyga się nie dawał. Cwany jest, ostrożny, nie chce się wygadać. To musi być coś... nie wiem. Starego. Takie mam wrażenie, wiecie? Jakby cała historia, jakby wszystko, czego nas uczono, nie zawierały żadnej wzmianki o tym, czego tak uparcie szukał. To by się przecież pokrywało z waszą opowieścią. To by pasowało do tej całej Matki, do zapomnianego Zakonu i tak dalej.

Pozostali pokiwali głowami. Daniel ewidentnie wyluzował. Alkohol działał na nie-

go, rozluźniając język, zdejmując z jego barków napięcie. Jakoś dobrze mu robiło wygadanie się, czuł w środku niemalże nastoletnią radość, że oto spotkał ziomków, z którymi mógł o wszystkim porozmawiać. Nagle skierował spojrzenie na Lenę.

– Nie mówiłaś, że w wizjach widziałaś Australię – stwierdził smutno, ale z jakąś pretensją w głosie. Z pewnym niepokojem zauważył, że mocno musiał kontrolować język.

Z jednej strony rozumiał, że dziewczyna nie musi mu się ze wszystkiego tłumaczyć, jednak z drugiej – tych kilka miesięcy spędzonych razem robiło swoje. Człowiek, chcąc nie chcąc, zżywał się z innymi, przez co w takich właśnie momentach mogło się zrobić zwyczajnie przykro. Zwłaszcza po paru głębszych.

Lena już otwierała usta, aby odpowiedzieć, ale nagle do ich uszu doleciał stłumiony krzyk. Dobiegał gdzieś zza garażu, za którym się skryli, może nawet z wnętrza hotelu.

Nie wymieniali tym razem porozumiewawczych spojrzeń ani uwag. Każdy doskonale wiedział, co należało zrobić. Wszyscy jak jeden mąż wstali, sięgając po noszoną zawsze przy sobie broń, i ruszyli powoli, cicho w stronę źródła dźwięku. Korzystali z osłony gęstniejącego mroku, chociaż wiedzieli, że zwierzętom to nie robi absolutnie żadnej różnicy.

– Ej, ale nie miałaś przed chwilą żadnej wizji, nie? – zapytała Sara po paru krokach.

Lena pokręciła głową, co Sara przyjęła z wyraźną ulgą. Krzyk tymczasem się powtórzył.

– Włazły? – zapytała Lena, rozglądając się wokół.

– Wątpię. Strażnicy by nas ostrzegli. To musi być coś innego. – Spojrzenie i głos Daniela odzyskały ostrość. Po mężczyźnie nie było widać śladu wypitego alkoholu, adrenalina błyskawicznie zrobiła swoje. Przynajmniej tak się wydawało na pierwszy rzut oka. Jednak wytrawne oczy dostrzegłyby desperacką próbę wytrzeźwienia, walkę o wynurzenie się z bagna, do którego sam włazł.

Ruszyli dalej, przemieszczając się gęsiego wzdłuż ściany garażu, aby pozostać niewidocznymi. Hotel i dochodzące z niego krzyki były coraz bliżej. ■

ROZDZIAŁ 38

Wybrzeże Meksyku, lato 2021

Młody Julio leniwie przyglądał się uspijonemu oceanowi. Wiedział, że błąkanie się samemu po okolicy nie było zbyt roztropne, zwłaszcza w nocy, jednak nic nie mógł na to poradzić. Czasem ciekawość jest tak silna, że można ją zaspokoić tylko w jeden sposób. Nawet jeżeli istnieje ryzyko zapłacenia za to wysokiej ceny. Całkiem możliwe, że Julio powstrzymałby się przed nocnymi wędrówkami, gdyby wiedział, co go czeka, chociaż możliwym jest również to, że postąpiłby dokładnie tak samo.

Bo zawsze, ale to absolutnie zawsze gdzieś w głębi duszy liczymy na to, że nam się uda.

Chłopak siedział na kamieniu, tęsknym wzrokiem spoglądając w światło księżyca odbijające się w falującej, ciemnej tafli wody. Pograłby w coś. Kiedyś słyszał o takich małych komputerkach, co to mieściły się w dłoniach, po obu stronach miały przyciski, a na środku całkiem spory ekranik. Fajnie byłoby takie coś znaleźć, może ktoś by się na coś wymienił? Tylko Julio nie bardzo miał na co, ale jak dorośnie, to na pewno będzie miał wiele rzeczy, które będą warte wymiany. Bo pieniądze coraz częściej nadawały się najwyżej do rozpalania ognia.

I gdy tak Julio marzył o gadżetach umierającej cywilizacji, spostrzegł nagle coś dziwnego. Ocean jakby zapadł się w sobie na niewielkiej długości i powstał szeroki rów. Woda po prostu bezgłośnie znikła, uchodząc Bóg wie gdzie. Chłopak przetarł oczy ze zdziwienia, ale nie ruszył się, czekając, co też jego wyobraźnia mu jeszcze podsunie. Bo to, że ma przywidzenia, było dla niego pewne jak amen w pacierzu.

Nie musiał długo czekać. Po zaledwie paru sekundach z powstałego rowu wyszła... kobieta.

Matka powoli wysunęła się nad poziom wody. Mimo że wychodziła z oceanu, była sucha, zresztą tak jak przez całą drogę, którą przebyła. Podobnie jak Bestia, która widząc ład, niemalże rzuciła się pędem przed siebie, wyprzedzając swoją panią, po chwili jednak się powstrzymała, stanęła i zerknęła niepewnie na Matkę. Ta tymczasem szła dumnie, pewnym krokiem zmierzając na plażę. Woda rozstępowała się przed nią niczym przed biblijnym Mojżeszem, chociaż Matka nie prowadziła ze sobą tysięcy ludzi, których zamierzała ocalić. Nie, jej intencje były, delikatnie rzecz ujmując, zgoła odwrotne.

Po chwili stanęła na szarawym piasku meksykańskiej plaży. Wciągnęła głęboko zimne, nocne powietrze. Pachniało wspaniale. Od pierwszego dnia, gdy wiele miesięcy temu miała okazję odetchnąć poza swoim górskim więzieniem, nastąpiła wyraźna poprawa. Teraz było czystiej, świeżej, pod każdym względem lepiej. Nie śmierdziało już tym sztucznym, odrażającym plastikiem, nie było czuć spalin ani wszechobecnego smrodu ludzi. Wystarczyło kilka miesięcy oczyszczania, a sytuacja już się poprawiła.

A jeszcze nie odzyskałam pełni władzy, pomyślała Matka, czując przyjemne podniecenie na myśl o tym, co czeka na nią ukryte głęboko pod ziemią, zaledwie kilkaset kilometrów stąd. Tak, czuła już wibrację ostatniego artefaktu, ostatniej rzeczy, która

ją wypełni, nasyci pełnią mocy i pozwoli spełnić przeznaczenie plugawego robactwa, które rozlało się po jej ziemi. Po raz kolejny poczuła się nie do końca dobrze z tym, jaki miała obecnie stosunek do ludzi, jednak, jak sobie tłumaczyła, sami na to zasłużyli.

Naraz spostrzegła, jak Bestia strzyże uszami, niespokojnie kierując łeb na zachód. Matka instynktownie kucnęła, aby być mniej widoczną, lecz po chwili już wyprostowała się dumnie, powoli, jakby zaskoczona tym, co robi. Wiedziała, że zostawiła pogon daleko w tyle i że ludzie nie zdążyliby przygotować tu dla niej żadnej niespodzianki. Nie mogli mieć pojęcia, gdzie się pojawi, więc co mogło jej tu zagrażać? Zgraja żołnierzy z karabinami? Kilka aut, jakieś pojazdy pancerne? Już potrafiła je nazwać, już nie były tylko strzelającymi ogniem patykami, a śmigłowce nie przypominały latających bestii, unoszących ludzi w swoich pancernych brzuchach.

Wiedziała jednak, że oni nie potrafili nazwać jej. Była demonem, bestią, mityczną istotą z lasu. Zemstą bogów, opowieścią snutą przy ognisku, legendą, która miała jednak w sobie znacznie więcej niż tylko ziarno prawdy.

Ach, wreszcie to poczuła. Był to strach jakiegoś małego chłopca, który właśnie dawał dyla gdzieś daleko między zarośla. Pachniał wybornie. Wyciągnęła odruchowo przed siebie rękę, ale po chwili ją cofnęła. Niech ucieka. Niech się boi, niech opowiada, co widział. Niech rozsiewa strach, żeby jego pobratymcy skryli się w jakiejś ciemnej jaskini i podskakiwali na każdy, nawet najmniejszy szmer. Niech drżą. Bardzo dobrze.

Uśmiechnęła się pogardliwie i ruszyła przed siebie, stawiając długie, dumne kroki. W końcu była u siebie.

Kilka minut później przecięła drogę, idąc na przełaj, wprost do swojego celu. Nie zamierzała chodzić stworzonymi przez ludzi traktami, a postawione przez nich ogrodzenia także nie stanowiły dla niej żadnego wyzwania. Dlatego też po prostu szła przed siebie, ku uciechu Bestii, która mogła pokonywać przeszkody, wspinać się na nie i zeskakiwać, niczym młody pies spuszczonej ze smyczy na spacerze po całodziennym siedzeniu w domu. Teren był dość ubogo zurbanizowany, przeważały niskie, płaskie budynki i smutne ceglane ogrodzenia. Bestii to odpowiadało, czuła się zupełnie tak, jakby była na olbrzymim placu zabaw, tak bardzo szczęśliwa, że już razem z Matką wyszła z tego przeklętego oceanu.

I była tak bardzo tym zachłyśnięta, że zapomniała o swoim głównym zadaniu.

Pierwszy pocisk odbił się od bluszczowego pancerza, robiąc w nim niewielką rysę na wysokości lewego barku. Matka niczego nie usłyszała, nie dostrzegła błysku. Przypominało to zupełnie przypadkowy grom z jasnego nieba. Ale doskonale wiedziała, że nim nie było. Rysa na pancerzu zniknęła niemalże tak szybko, jak się pojawiła. Całkiem celny strzał, stwierdziła z rozbawieniem Matka. Nieźle, bo ani ona, ani Bestia nie zdążyły wyczuć agresora. Jednak sądząc po trajektorii lotu pocisku, już wiedziała, gdzie znajduje się strzelec. Był kilkaset metrów przed nią, na niewielkim wzgórzu, leżał na dachu parterowego domu. Imponujące, trafić z takiej odległości.

Ale ja też potrafię razić z dystansu, robaku, pomyślała Matka.

Wyprostowała się dumnie, czując rosnące w strzelcu przerażenie. Przecież ją trafił,

zdawały się mówić jego myśli, przecież to niemożliwe, żeby nadal była na nogach. A jednak stała przed nim, monumentalna, sięgająca dobrze ponad metr nad poziom parterowego budynku, podobnego do tego, na którym leżał. I nie dość, że nie umarła, to jeszcze wpatrywała się prosto w niego i mimo dzielącej ich odległości przewiercała jego mózg wzrokiem niczym pocisk. Patrząc przez lunetę na jej piękną, dumną twarz, strzelec nie zauważył, że delikatnie poruszyła nadgarstkiem. Nie dostrzegł też olbrzymiego, zbudowanego praktycznie z samych mięśni białego potwora, który pędził bezszelestnie, z każdą sekundą zbliżając się do swojego celu. Nie zrozumiał delikatnego, szyderczego uśmiechu kiełkującego w kąciку ust Matki.

Bestia dyszała, lecz bardziej z podniecenia niż ze zmęczenia. Błyskawicznie dobiegła do posesji, odbiła się od dachu jakiegoś starego samochodu i wskoczyła prosto na dach domu. Nie musiała się skradać. Strzelec akurat przeładowywał broń, nieświadomy, że ktoś go właśnie zaszedł od tyłu. Odwrócił się i jego twarz przybrała wyraz przerażenia i niedowierzania. Zobaczył potwora, najstraszniejsze zwierzę, jakie widział w życiu. Nocne powietrze przeszył jego wrzask, który trwał jednak bardzo, bardzo krótko.

Po paru minutach Matka dołączyła do Bestii, która zlizując krew z futra, spokojnie czekała na swoją panią. Matka spojrzała na barwiącą białą sierść posokę i zmarszczyła brwi. Miała wrażenie, że ta krew pachniała dziwnie, jakby pomieszana była z inną. Przypatrzyła się swojemu obrońcy, tym razem jakby karcąco unosząc brwi.

Bestia przestała oblizywać łapy. No co, zdawały się mówić jej oczy. Napatoczył się, jego wina. Poza tym ten mały chłopiec i tak sam długo by nie przeżył.

Matka nie mogła nie przyznać Bestii racji. Ponadto łatwiej było ubić małego karalucha niż już tego w pełni dorosłego.

Kilka dni później ze szczytu niewielkiego, porośniętego wyschniętą roślinnością wzniesienia Matka ujrzała wyrastające w oddali zabudowania. Proste, cięte bryły burych budynków, tak toporne w swej naturze, tak bardzo niepasujące do rosnących wokół drzew. Nieregularnych, a jednak w jakiś sposób symetrycznych. Zajmujących dawne połacie lasu, wycięte po to, żeby ludzie mogli pobudować swoje brzydkie siedziby.

Ależ się czepiam, pomyślała. Nic, co zostało stworzone przez człowieka, jej nie pasowało. No może poza wojną, w której ludzie z tą cudowną zajadłością wyżylnali się nawzajem. To akurat było całkiem w porządku. Musiała przyznać, że wojny wychodziły im całkiem nieźle.

Szkoda tylko, że jeszcze nie wyróżnęli się w pień. I musiała zrobić to za nich.

Budynki nie były zbyt wysokie, za to dość rozległe. Dominowały najwyżej dwu-, trzypiętrowe domy o płaskich, skąpanych w blasku wschodzącego słońca dachach. Matka czuła, że w mieście znajdują się ludzie, co zresztą nie było żadnym zaskoczeniem. Nie bali się jej, bo jeszcze nie wiedzieli o jej istnieniu. Dla nich była tylko opowieścią, legendą przekazywaną sobie z ust do ust. Nie bali się też zwierząt, bo przez parę ostatnich miesięcy stworzyli całkiem nieźle radzące sobie z nimi społeczności.

Ta na przykład, licząca kilkuset członków, potrafiła zorganizować dość porządnie wyglądające barykady oraz strażę, które leniwie przechadzały się po dachach. Wewnątrz funkcjonowała nawet grupa dbająca o wspólne dobro, uprawiająca ziemię i warzywa. W dzisiejszym świecie mięso stanowiło coraz większy rarytas.

Matka stanęła w cieniu drzewa i zdecydowała, że poobserwuje chwilę, pozwalając Bestii odetchnąć. Przy okazji zaczerpnie trochę wiedzy, której przecież nigdy za wiele.

Szybko zauważyła, że szerokie niegdyś przejścia między budynkami, tak zwane ulice, były teraz zabarykadowane. Wytężyła wzrok. Okna zostały pozabijane deskami, niektóre nawet zamurowane szarą lub pomarańczową cegłą. Na szczytach dachów znajdowały się konstrukcje obronne, jakieś palety z kolcami skierowanymi w dół, siatki, druty kolczaste. Absolutny miszmasz, przeróżne prowizoryczne kombinacje, jakby szyte na kolanie, wszystkie po to, aby uniemożliwić zwierzętom wspięcie się do góry i dobranie do słabych ludzi znajdujących się w środku.

Matka wiedziała, że jej dzieci próbowały. I to wiele razy. Na niektórych kolcach wciąż widać było ciemne, rdzawe ślady ich krwi. Gdzieniedzie siatki zostały rozerwane, miejscami budynki były nadpalone od ładunków wybuchowych, pewnie używanych na większe grupy zwierząt. Ściany domów pobrużdżone były śladami po pociskach, spalone wraki samochodów utrudniały przemieszczanie się większego stada, które musiało kluczyć między nimi, zwalniając, tłocząc się w wąskich przesmykach ulic, wpadając na siebie. I ginąc w tych zatorach od kul wystrzeliwanych przez ludzi.

Obraz nędzy i rozpaczy, poboju jak po wojnie, czyli dokładnie takie, jakie być powinno. Nawet pies z kulawą nogą nie miałby tu czego szukać.

Spytne, pomyślała.

Same ulice kończyły się na wyrastającym nagle murze lub były zabarykadowane ciężkim sprzętem. Gdzieniedzie auta leżały na boku, pewnie od wewnętrznej strony barykady unieruchomione jeszcze w jakiś dodatkowy sposób. Napracowali się, trzeba im to przyznać. I do tej pory szło im całkiem nieźle, może nawet wytrzymałoby tu jeszcze kilka miesięcy.

Z tym tylko, że teraz przed wrotami ich miasta stanęła ona. A to całkowicie zmienia postać rzeczy.

Matka wciągnęła nosem powietrze, wyczuwając dolatujący z oddali zapach potu, brudnych ciał i palonych ognisk. W wielu miejscach elektryczność nadal działała, paliwa było nawet całkiem sporo, jeżeli prądu nie dostarczała elektrownia, to robiły to za nią agregaty. Tu też stało kilka, wśród nich jeden dość duży, wysłużony. Przerobiony ze starego silnika od autobusu. I pewnie używany tylko na specjalne okazje, dlatego w powietrzu nie unosił się ten paskudny, odrażający zapach paliwa.

Unosił się natomiast słodki zapach śmierci, woń rozkładających się ciał i gnijącego mięsa. Tak, pomyślała z uśmiechem Matka. Nie najedliście się ostatnio za bardzo, prawda? Mięso rozkładało się szybko, zaledwie kilka godzin po śmierci zwierzęcia nie nadawało się już do spożycia, nieważne w jaki sposób zostało zakonserwowane. Ot, taka niespodzianka, która szczególnie ją bawiła.

Zasłużyliście na to. Już pożarliście swój limit na to millenium.

Przez głowę zaczęły jej przelatywać obrazy wysane z mózgów ofiar, w których widziała ludzi tak grubych, że nie byli w stanie samodzielnie zejść z łóżka, a mimo to dalej wpychających w siebie jedzenie pulchnymi, ociekającymi od tłuszczu paluchami. Ludzi chorobliwie konsumujących nie tylko jedzenie, ale też gromadzących wokół siebie absurdalne ilości dóbr, tylko dlatego, że mogli to robić. Widziała też cenę, jaką musiała za to płacić Ziemia, widziała wyjałowione gleby, wycięte w pień lasy. Natura musiała za to wszystko słono zapłacić.

Natura, czyli ona.

Nie potrzebowała niczego więcej. Tych parę obrazów wystarczało jej do podjęcia jedynej słusznej decyzji. Nie przejdzie tak po prostu obok miasta.

Przejdzie przez nie.

Bestia poczuła wibracje w powietrzu, które jakby zasysane niewidzialnym silnikiem zaczęło się gromadzić wokół Matki. Suche liście zafalowały, gałęzie uderzały o siebie i jakby ożyły, rozkwitając soczystą, piękną zielenią.

Bestia taktycznie wykonała krok do tyłu.

Tymczasem bluszczowy pancerz zawibrował, tak samo zresztą jak naszyjnik Matki. Jej artefakty zdawały się iskrzyć prastarą mocą, która je wypełniała. Naszyjnik rozjarzył się karmazynowym światłem, wypuszczając promienie czerwonej mgiełki, które wystrzeliły we wszystkie strony. Bestia doskonale wiedziała, co to oznacza. Rozejrzała się wokół, w poszukiwaniu pierwszych oznak nowego stada, które właśnie formowało się na rozkaz swojej pani.

Tym razem Matka nie zamierzała na nie czekać. Ruszyła spokojnym krokiem przed siebie, podczas gdy ziemia delikatnie wibrowała w promieniu kilku metrów od jej stóp. Kamienie drżały i pękały, jakby Matka była epicentrum trzęsienia ziemi, chociaż ona sama szła spokojnie i pewnie, wbijając pogardliwy wzrok w miasto przed sobą, szukając wystraszonych oczu, pełnych niedowierzania, przepełnionych grozą. Jej źrenice płonęły fanatycznym blaskiem.

Wpatrywała się w budynki, na dachach których ludzie zaczęli już coś do siebie krzyczeć, machać rękami, zajmować pozycje obronne. Złorzeczyli, przeklinali i – po prostu – bali się. Byli przerażeni jak jeszcze nigdy w życiu. Spostrzegli bowiem, że oprócz buntu zwierząt Ziemia spłodziła coś jeszcze gorszego, jakiegoś odrażającego, wielkiego mutantą, który teraz kroczył w ich stronę i bynajmniej nie miał dobrych zamiarów.

Najpierw strzelaj, potem pytaj, zwłaszcza gdy przeciwnik jest kilkukrotnie większy od ciebie. Szybko otworzyli ogień. Pociski wyleciały z dziesiątek luf, świszcząc i zasypując Matkę potężną kanonadą.

Różnokalibrowe kule odbijały się od jej pancerza, który nie tylko chronił miejsca, jakie pokrywał, ale również – jak niewidzialną tarczą – całą resztę ciała. Zbroja reagowała automatycznie, jakby wyczuwając trajektorię pocisków. Wypuszczała wtedy młode pędy bluszczu w miejsce, w które ułamek sekundy później uderzała kula, tworząc niemożliwą do spenetrowania barierę i chroniąc tym samym ciało Matki.

Tak śmieszna broń nie zdołałaby więc wyrządzić jej jakiegokolwiek poważnego obrażenia. Niemniej musiałaby tracić czas na leczenie ran, a tego nie zamierzała robić. Zamiast

tego Matka przyśpieszyła kroku.

Pociski świszczały wokół niej, odbijały się od ziemi i od pancerza, ale im bliżej celu była, tym ogień stawał się dokładniejszy i bardziej zintensyfikowany. Zdecydowanie za dużo się tego robiło. Matka przeszła w trucht, jednocześnie wzbijając wokół siebie wir różnej wielkości kamieni, które unosząc się, odbijały znakomitą większość pocisków. Niektóre rozpadały się po przyjęciu na siebie ognia, pozostałe jednak wirowały dalej.

Przerażeni, zdezorientowani ludzie mieli wrażenie, jakby ostrzeliwali ciężarówkę, która właśnie zrzuca ładunek żwiru. Przez te przekłete kamienie nie widzieli też swojego celu. Niektórzy stali i w osłupieniu, opuściwszy broń, przyglądali się tej scenie z rozdziawionymi ustami niczym dzieci w cyrku, widzące pierwszy raz na żywo słonia. Byli też jednak i tacy, którzy zamiast przecierać oczy ze zdumienia, zintensyfikowali ogień, zaciskając ze złości szczęki. Kilku rzuciło się do ucieczki.

Tymczasem Matka biegła już na pełnej prędkości. Kamienne tornado towarzyszyło jej jeszcze przez kilkanaście metrów, skutecznie nie tylko chroniąc, ale i zasłaniając znajdującą się w jego centrum boginię. Mogła wykorzystać tę chwilę spokoju na wzięcie dobrego rozbiegu, wyskok i wybiecie się wysoko w powietrze. Przeskoczyła w ten sposób dobrych kilkadziesiąt metrów.

Ludzie na barykadzie wstrzymali ogień i patrzyli z osłupieniem, jak wielka, oplątana jakimś krzakami humanoidalna postać przelatuje im nad głowami. Niektórzy widzieli jej twarz wykrzywioną grymasem wściekłości, absolutnej pogardy i obrzydzenia. Inni spostrzegli szalony błysk w ciemnych oczach, niewielkie czaszki wplątane w rozwiane włosy, dziwny naszyjnik wrosnięty w skórę. Zobaczyli, jak postać ląduje pośrodku skrzyżowania i od razu uderza pięścią w gorący, popękany asfalt.

Poculi falę uderzeniową, która rozeszła się wokół niej.

Usłyszeli grzmot, jak po uderzeniu pioruna.

Patrzyli na samochody przesuwane niewidzialną siłą, na pękające i walące się ściany domów.

Wielu z nich nie zobaczyło już niczego więcej.

Ci, którzy przeżyli, mieli nieszczęście doczekania chwili nadejścia stada oraz Bestii – głównego, przybocznego egzekutora Matki. Bezlitosnego potwora, którego futro z każdą sekundą stawało się coraz ciemniejsze od kurzu i krwi.

Tym razem nie pozostał ani jeden żywy człowiek, który mógłby przekazać tę historię potomnym. Mogący opowiedzieć o bóstwie pożerającym ludzkie serca, które wyszło z oceanu i którego słuchały się ziemia i zwierzęta. Które wcale, ale to wcale nie było mitem. I które było bardzo głodne zemsty.

Gdy było już po wszystkim, Matka położyła się na ziemi, ciężko dysząc. Gdzieś słychać było jeszcze krzyki cierpiących ludzi, ale w jej uszach były to dźwięki najśłodszej symfonii. Leżała na plecach, wpatrując się w niebo. W tym momencie agonalny wrzask był dla niej najpiękniejszym odgłosem, jaki może wydać z siebie pokraka zwana człowiekiem. Wielu z nich czekało na swoją kolejkę, pomyślała. Myśl ta napawała ją jakimś dziwnym, ponurym optymizmem. Czuła się jak rzeźnik ostrzący noże przed długo oczekiwanym ubojem.

Uniosła w górę ręce i spojrzała na nie, zasłaniając słońce. Ociekały gęstą, ciemną krwią. Kilka kropel spadło na jej twarz, ale nie uchyliła się, pozwalając chwili trwać, rozkoszując się nią.

Już nie tak daleko, pomyślała. Jestem już naprawdę blisko.

Nie pójdzie tam jednak cała we krwi, to nie byłoby godne jej dzieła. Musi z siebie to wszystko zmyć.

Chwilę później nad Matką pochylały się porośnięte futrem różnej wielkości pyski, czyszcząc swoją panią długimi, szorstkimi ozorami.

Bóstwo spędziło w mieście zaledwie kilkadziesiąt minut, ale to w zupełności wystarczyło, żeby odcisnąć na nim krwawe znamię. I Matka absolutnie nie uważała tego czasu za czas stracony.

Czysta, mogła ruszyć w dalszą drogę. ■

ROZDZIAŁ 39

Kilka dni wcześniej, Australia

Dotarli już prawie do drzwi prowadzących z magazynu na kuchenne zaplecze, chociaż mieli jeszcze do pokonania dobrych kilkadziesiąt metrów. W międzyczasie krzyk rozbrzmiał jeszcze dwukrotnie, ale faktycznie nie wyglądało to tak, jakby na hotel rzuciła się cała okoliczna zwierzyna. Raczej wydawało się, że wewnątrz ktoś bardzo, bardzo cierpi.

Lena zastanawiała się, która opcja jest gorsza. Tym razem w jej rękach zamiast aparatu tkwił odbezpieczony pistolet. Prezent od Daniela, który szedł teraz obok niej i z całych sił udawał, że jest absolutnie trzeźwy. Jednak posuwiste kroki i chaotyczne ruchy potwierdzały coś raczej odwrotnego. Niedobrze, pomyślała dziewczyna. Akurat teraz, psia mać.

– Poszehajcie... tam... pali się... światło – wybełkotał.

Wycelował na południe, w jedyne okno, które faktycznie było oświetlone. Następnie przetarł oczy i potrząsnął mocno głową, jakby odpędzając się od niewidzialnych much. Niestety, ta stara i jakże często sprawdzana sztuczka i tym razem zawiodła, nie przynosząc mu upragnionej trzeźwości.

Za dużo, za szybko – próbował myśleć, podczas gdy świat wirowało, a to, co nie wirowało, wydawało mu się trywialne i zabawne zarazem. Jakaś resztką świadomości kazała mu jednak wytrzeźwieć, desperacko walczyła o odzyskanie kontroli nad ciałem.

Bezskutecznie. Organizm nie wytworzył tyle adrenaliny, ile powinien, bo po prostu był przyzwyczajony do niebezpiecznych sytuacji. Mężczyzna nawet nie bardzo wiedział, co się stało. Przecież wypicie połowy butelki whisky nie stanowiło dla niego żadnego wyzwania, nie raz zdarzało się, że taka ilość była zaledwie preludeum, rozgrzewką przed całonocną libacją.

Tylko że tak było kiedyś. Ładnych parę miesięcy temu, kiedy to miał okazję bez trosko urządzić się po raz ostatni. Wtedy nie było też tak gorąco. Chyba tempo zwyczajnie zważyło go z nóg. Do tego należało dołożyć zmęczenie, upał, walkę, emocje, kiepską dietę i tak dalej, i tak dalej.

O, pewnie ktoś pił z mojego kubeczka, to dlatego – mgliście przyznał przed samym sobą, a Lena zobaczyła, jak jego usta wykrzywiają się w uśmiechu. Tak, gdzieś tam w środku musiał paść jakiś dobry, pijacki argument, pomyślała.

Jezu, niech sobie krzyczą i strzelają, a ja się po prostu na chwilę tu położę. Na sekundkę. Przecież zaraz wstanę i pójdę, o co tyle krzyku.

– Daniel.

Chwilunię tylko, chwileczkę.

– Daniel!

Mężczyzna otworzył szerzej oczy, z pewną konsternacją stwierdzając, że Lena zasadziła mu solidnego kopa w łydkę. Może dlatego, że opierając się o ścianę garażu, prawie się po niej osunął na ziemię. Ale żeby aż tak gwałtownie reagować? Dopiero

po chwili dotarło do niego, że kop był nawet całkiem mocny. Spojrzał najpierw na nogę, potem z wyrazem oburzenia na twarzy na dziewczynę, na swoją Lencię, na tę piękną, ale jakże zbuntowaną istotę, którą tyle czasu się opiekował i była dla niego jak córka, jakiej nigdy nie miał, która...

Która właśnie zdzieliła go w twarz otwartą dłonią. Głowa odskoczyła mu do tyłu, zwiotczałe mięśnie nie zareagowały w porę, przez co Daniel walnął skronią w ścianę garażu. Zabolało podwójnie. Już odwracał się, aby wyrazić swoją opinię na temat tak karygodnego zachowania, jednak nie było mu to dane, gdyż Lena, idąc za ciosem, złapała go za gardło w zaskakująco silnym uścisku, sycząc mu prosto w twarz niczym rozjuszona, śmiertelnie niebezpieczna kocica:

– Ogarnij się, do ciężkiej cholery. Ile ty masz lat.

Zacisnął z wściekłością zęby, chwycił ją za rękę, aby się uwolnić, ale w pijanym widzie musiał przyznać, że dziewczyna ma rację. Puścił ją więc i uniósł otwartą dłoń.

– Sorry, już. Przestań mnie bić – wycedził.

Po paru długich sekundach, gdy była absolutnie pewna, że Daniel zrozumiał przekaz, Lena również zwolniła uścisk.

– Idziesz ostatni. I jak przez ciebie zginiemy, to cię zabiję.

Zmarszczył brwi, ale nie powiedział już nic. Zrozumiał.

W tym czasie Chris i Sara sprawdzali wejścia do budynku. Nie dostrzegli żadnych zwierząt, nie było widać śladu ataku ani z lądu, ani z powietrza. Gryzonie, jakieś paskudne pająki, węże i inne diabelstwa? Przecież Australia z tego słynęła, tu nie trzeba było zbyt wiele, aby paść trupem, wystarczyło, że zawędrowało się za potrzebą do nieodpowiedniej kępy krzaków. Jednak wychodziło na to, że tym razem nic z tych rzeczy, chociaż nie mogli być pewni.

– Co jest? – zapytała Sara.

– Niczego nie widać, cisza. Nikt nie strzela. Słyszeliście jakieś strzały?

Zgodnie pokręcili głowami.

– Tam się świeci światło, ale to wszystko. I chyba stamtąd dochodziły te krzyki – stwierdził Chris, wskazując na okno na paterze, które już wcześniej zdążyli zauważyć.

Sarze nie potrzebowało już niczego więcej. Ruszyła śmiało z pochyloną głową i bronią trzymaną oburącz w wyprostowanych rękach. Lena truchtała tuż za nią, Chris szedł na końcu. Zanim ruszył, posłał Danielowi wymowne spojrzenie. Ten zrozumiał i został na czatach, kilkakrotnie uderzając się po twarzy, gdy już nikogo obok niego nie było. Chwilowo nie miał o sobie najlepszego zdania.

W międzyczasie pozostała trójka dotarła do budynku. Poza światłem z tego jednego pokoju nie widzieli innych oznak ludzkiej aktywności, reszta okien była ciemna. Sara oparła się o ścianę plecami, rozglądając się wokół siebie. Lena przykucnęła tuż obok, a po chwili do dziewczyn dołączył Chris.

Tym razem to Lena przejęła inicjatywę, powoli skradając się wzdłuż ściany w stronę okna. Zbliżając się, zauważyła, że jest ono uchylone, chociaż od wewnątrz zostało zasłonięte. Niemniej liczyła na to, że uda jej się sprawdzić, co dzieje się w środku. A kolejny krzyk rozchodzący się w ciepłym, wieczornym powietrzu utwierdził ją w przekonaniu, że nie działo się tam nic dobrego.

Powoli skradała się w stronę okna. Starła się uważać, żeby nie nadepnąć na jakieś szkło, żeby nie kopnąć żadnego kamienia, żeby po prostu w żaden sposób nie zdradzić swojej obecności, o co wcale w takiej sytuacji nie było trudno. Jak do tej pory chyba się to udawało. Dotarłszy do okna, uniosła dłoń, dając znak Sarze i Chrisowi, aby zachowywali się maksymalnie cicho.

Po chwili usłyszała jakieś głosy dobiegające ze środka. Teraz dopiero zorientowała się, że jest to ten sam pokój, w którym zaledwie kilkanaście godzin temu umieszczono mnicha. Stała na palcach, zaglądając ostrożnie do środka niczym dziecko zerkające do kuchni, by upewnić się, że rodzice sobie poszli, pozostawiając ciastka bez ochrony.

Przez szparę w zasłonach zobaczyła mnicha leżącego na rozłożonym fotelu, przodem do okna. Był bez koszuli, dzięki czemu doskonale było widać mocno podrapane, zmasakrowane ciało. Twarzy też dostało się za swoje, jedna jej połowa była sina i opuchnięta, przez czoło przebiegało szerokie rozcięcie, inne ozdabiało nos. Mocno oberwał.

Nad mężczyzną pochylała się jakaś postać. Lena szybko rozpoznała w niej ich polowego medyka, Natalię. I równie szybko poczuła, jak kamień spada jej z serca. Natalia musiała zszywać jego rany, podczas gdy mężczyzna krzyczał z bólu, co w sumie było dość logiczne, chociaż odrobinę rozczarowujące. Wyglądał na większego twardego. Zwierzęta prawie go zeżarły żywcem, a on się maże z powodu małej igielki. Pewnie nie znaleźli wystarczającej ilości środków znieczulających, aby ulżyć mu w cierpieniu. Musiał znieść to najlepiej, jak umiał, a odniesione rany bynajmniej mu w tym nie pomagały, myślała, czując się trochę głupio nie tylko z powodu pochopnej oceny sytuacji, ale też dlatego, że na krzyki mnicha zareagowali, delikatnie rzecz ujmując, odrobinę nadgorliwie.

I gdy Lena już odetchnęła z ulgą, widząc, że nic złego się nie dzieje, za mnichem nagle pojawił się doktor Rittner. Ubrany w białe lniane spodnie i białą koszulę, pochylał się powoli nad głową Pierwszego Brata. W tym geście było coś niepojącego, coś... złowróbnego. Wyglądał jak kostucha pochylająca się nad starcem, rozkoszująca się świadomością nadciągającej śmierci i strachem ofiary. Dziewczyna zamarła, zupełnie nie wierząc w to, co widzi. Ze zgrozą pojęła, co się dzieje, chociaż jej umysł uparcie starał się to wyprzeć. Dobiegły do niej słowa, których się nie spodziewała:

– Zapytam jeszcze raz. A potem kolejny, aż do skutku. Aż wreszcie powiesz to, co chcę usłyszeć. I bądź pewien, że mi powiesz – powiedział Rittner wprost do ucha Pierwszego Brata.

Mnich z trudem otworzył jedno oko, spoglądając gniewnie na swojego oprawcę. Nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko delikatnie, na tyle, na ile pozwalała mu na to opuchnięta i obolała twarz. W jego spojrzeniu dało się dostrzec błysk pełen pogardy i gniewu.

– Gdzie jest ostatni artefakt?

Głos doktora był spokojny, chociaż Pierwszemu Bratu zdawało się, że słyszy w nim nutkę paniki. Dziad zaczyna sobie uświadamiać, że niczego ode mnie nie wy-

ciągnie, pokrząpiał się.

Wiedział, że absolutnie nie może zdradzić położenia ostatniego, według niego najpotężniejszego artefaktu Matki, chociażby mieli go kroić i przypalać żywym ogniem, do czego niechybnie zmierzają. Jeżeli artefakt wpadłby w niepowołane ręce i jakimś cudem nie zabiłby osoby, która go dotknęła, to wtedy posiadałaby ona niewyobrażalną wręcz potęgę. Cały świat ległby u jej stóp, a ci, którzy by się przeciwstawili, zginęliby za jednym machnięciem ręki. Absolutnie nie mógł dopuścić do tego, aby tym człowiekiem był Rittner, ani zresztą nikt inny. Pokusa posiadania potęgi i władzy byłaby zbyt duża.

Myśl o czymś innym, nakazał sobie Pierwszy Brat.

Próbował. Starał się, jak mógł, ale ostatnio przeszedł zbyt wiele. Zwyczajnie kończyły mu się siły, uchodziła wola walki. Szczerze mówiąc, z utęsknieniem czekał na śmierć. Mógł myśleć tylko o tym, jak kilkadziesiąt minut wcześniej do pokoju weszli jacyś ludzie, przenieśli go na biurowy fotel, zwiążali i spokojnie wyszli. Jak jeden z nich posłał mu współczujące spojrzenie. Potem przyszła „pielęgniarka” z całą torbą podejrzanie wyglądających rzeczy, z których teraz tak ochoczo korzystała. Pojawił się również Rittner, przynosząc ze sobą ból. Całe naręcza bólu i najszlachetniejszego cierpienia.

Pierwszy Brat dostrzegł, jak doktor odwraca od niego głowę i kiwa na kobietę, a ta się nad nim pochyla. Skierował następnie spojrzenie prosto w jedyne zdrowe oko mnicha. Chciał, żeby ten dokładnie wiedział, kto jest odpowiedzialny za jego cierpienie, pragnął wyryć swoją siwą, pomarszczoną twarz w pamięci mnicha, zadając mu cierpienie tak fizyczne, jak i psychiczne.

Pierwszy Brat natomiast poczuł, jak w jego nadgarstku eksploduje fontanna bólu. Nie miał pojęcia, co mu robią, nie widział narzędzi, nie znał techniki. Ale wiedział, że szybko przebili się przez jego fortyfikacje obronne, szybko pokonali zapory, jakie zbudował. Praktycznie się po nich przeszli jak po świeżo skoszonym trawniku, tratując go ciężkimi, okutymi w stal glanami. W jego umyśle eksplodowały jaskrawe kolory, krew uderzyła w skronie, a przed oczami zatańczyły mu małe, ciemne plamki, szydzące z jego wytrzymałości, ze szkoleń, z tego, że jest czegoś wart.

Chwilowo jego wartość wynosiła czterdzieści siedem minut, podczas których nie wyjawiał skrywanego głęboko sekretu. Czy Zakon uznałby to za dobry wynik?

Może wynikało to ze stanu, w jakim się znajdował, może to była kwestia walki, którą prawie przypłacił życiem – nie miało to jednak większego znaczenia, liczyło się tylko to, że torturowali go w bardzo wyrafinowany, doskonale przemyślany sposób.

Wiedział, że nie może wyjawiać tajemnicy, chociażby miał to przypłacić życiem. Ta myśl wracała jak bumerang. Bolało niemiłosiernie, ale przecież szkolił się w znoszeniu bólu. I zniósłby go godnie. Nie może jednak umrzeć, bo stoi przed nim jeszcze jedno zadanie. Dlatego też krzyczał, licząc, że ktoś go usłyszy i przyjdzie z pomocą.

Bo wiedział również, że jego misja jeszcze nie została wykonana. Że jest ostatnim obrońcą Zakonu, po jego odejściu nie będzie już nikogo, kto mógłby powstrzymać Matkę, i posiadaną wiedzę zabierze ze sobą do grobu. Było na to przecież absolutnie za wcześnie. Dlatego też zaczął krzyzczeć już teraz, udając ból, z nadzieją, że usłyszą

go Sara i Chris, że go uratują. Uwolnią go i wszyscy razem udadzą się do miejsca, o którym im opowie.

Poczuł, jak kolejna fala cierpienia rozlewa się po jego ciele, tym razem gdzieś po wewnętrznej stronie uda. Szarpnął się, zaciskając zęby, jednak skórzane pasy, którymi był przywiązany, trzymały go naprawdę mocno. Ból w udzie powtórzył się i Pierwszy Brat nie wytrzymał. Otworzył usta, uwalniając potępieńczy wrzask i gdzieś w głębo- kich pokładach swojego umysłu uświadamiając sobie, że może mieć znacznie mniej czasu, niż mu się wydawało.

Lena odwróciła głowę i kucnęła pod oknem, osuwając się po murze. Szorowała o niego plecami, nie bacząc jednak na to, czy było ją słyszać. Krzyk torturowanego mnicha zagłuszał wszystko.

Sara przyglądała się jej ze zgrozą wymalowaną na twarzy. Rozpoznała głos, już wiedziała, kto wydaje z siebie te potępieńcze zawodzenia. Odbezpieczyła broń, postę- pując pewnym krokiem przed siebie. Chris nie zdążył jej złapać.

Natknęła się za to na wyciągniętą rękę Leny.

– Nie, poczekaj.

– Puść mnie, zastrzelę ich, skurwysy...

– Nie! Możesz go postrzelić, a oni cię zabiją. Musimy... – Lena chciała powie- dzieć, że muszą się rozdzielić i zaatakować z dwóch stron naraz, z hotelu i od strony okna, że wie, jak bardzo cierpi ich przyjaciel i bardzo chce mu pomóc, ale nie zdążyła dodać już niczego więcej.

Zamiast tego zobaczyła, jak garaże nagle unoszą się wysoko w powietrze, jak stają dęba, przewracając się następnie na bok niczym monstrualne wskazówki prastarego, kamiennego zegara, sypiąc przy tym wokół tynkiem i pokruszoną cegłą. Z tą tylko różnicą, że zamiast ciężko uderzyć o ziemię, budynki jakby się w niej zapadły, aby po chwili wypłynąć niczym boja, która uparcie nie pozwala się zatopić.

Dziewczyna mimowolnie rozchyliła usta, a jej oczy uciekły w tył głowy. Zszoko- wana Sara spojrzała tam, gdzie przed chwilą patrzyła Lena. I nie dostrzegła niczego niepokojącego, nie widziała nadciągających zwierząt ani wirujących garaży. Sara szybko domyśliła się, co może być na rzeczy. I chociaż Lena wyglądała, jakby miała atak padaczki, doskonale widziała, co dzieje się przed nią.

A daleko z przodu, tuż za budynkiem, który wirował coraz szybciej, przypomina- jąc teraz nie tyle zegar, co wiatrak, stała Matka. Odwrócona do niej plecami, spoglą- dająca na miejsce, którego Lena dostrzec nie mogła. A nawet gdyby stała tuż obok niej, i tak jej wzrok nie sięgałby tak daleko. Dziewczyna miała wrażenie, że jakimś cudem wstała, opuszczając swoje ciało, które, wiedziała o tym, pozostało pod hotelo- wym murem. Bała się odwrócić, aby się co do tego upewnić, bo mogłaby już wtedy doszczętnie zwariować. Musiała więc przeć przed siebie, trochę z własnej woli, trochę bezwiednie, jakby błędziła we mgle.

Miała wrażenie, że coraz bardziej traci kontakt z rzeczywistością. Że ta umyka jej, wymyka się z rąk niczym w pijackim widzie. Kątem oka dostrzegła jakieś zamazane sylwetki, chyba kobiety i mężczyzn, kogoś szybko przemykającego przy ścianie za nią. Nie wiedziała, kto to był. Nie czuła jednak zagrożenia z ich strony, nie obawiała

się, że coś jej zrobią. Byli zaledwie cieniami we mgle, ziarnami piachu niesionymi przez wiatr. Byli nieważni, jak wszystko inne.

Ważne było tylko to, co przed nią.

A przed nią główny, największy budynek wirował rytmicznie, delikatnie przyśpieszając, tworząc wokół siebie tunel pełen kurzu, patyków i rozpadającej się rzeczywistości. Blisko Leny przelatywały rozerwane drzewa, nieregularne bryły zabudowań, odłamki głazów i grudy ziemi oraz coś, czego nie potrafiła nawet nazwać, nie mówiąc już o próbie zrozumienia. Mijały ją fragmenty przeróżnych obrazów, jakby wyświetlane na wirujących obiektach. Sceny przedstawiające ludzi, zwierzęta, plaże, miasta, fabryki, kominy. Wszystko. Sceny przedstawiające życie.

Kroczyła jednak dalej przed siebie.

Wir był coraz silniejszy, ale nie hamował marszu dziewczyny. Po prostu wszystko przelatywało obok niej coraz szybciej i szybciej, niemalże na granicy postrzegania, zlewając się w jednostajną, poszarpaną smugę światła. Ona jednak szła, wolno i ostrożnie stawiając kroki. I chociaż śmigające wokół niej rzeczy nie stanowiły realnego zagrożenia, Lena i tak bała się, że coś ją w końcu trafi, łamiąc lub miażdżąc jej kości. Albo zacznie się rozpadać z tym wirum, tak jak już kiedyś to miało miejsce.

Podobnie jak wcześniej, tak i tym razem odczuwała strach, niemniej tym razem było on jakby... mniejszy. A na pewno inny. W dużej mierze zastępowała go ciekawość, przemożna chęć dotknięcia, poczucia pod opuszkami palców tej mrocznej, potężnej istoty stojącej daleko przed nią. Chęć konfrontacji, przymus sprawdzenia, czy ona faktycznie istnieje. Upewnienia się.

Sama świadomość tego wydawała się wystarczająco przerażająca, jednak Lena była zdeterminowana, aby spróbować. Może wtedy skończą się te przeklęte wizje. Chociaż tak naprawdę jej intencje były zgoła inne.

Musiała spojrzeć morderczyni swojej matki prosto w oczy.

I właśnie ta siła pchała ją do przodu.

Dotarła do wirującego budynku i pewnie kroczyła dalej, jakby była pewna, że nic się jej nie stanie. I przekroczyła barierę spokojnie, zgodnie z oczekiwaniami. Przeniknęła do budynku jak we śnie i chociaż wcześniej dudnił przeraźliwie, w jego wnętrzu panowała absolutna cisza. Tylko zza wirującej ściany widać było co chwilę ciemną postać, nadal stojącą tyłem do zbliżającej się Leny. Dziewczyna nie miała pojęcia skąd, ale wiedziała, że budynek właśnie tak się zachowa. Czuła to gdzieś głęboko w środku.

Przeszła przez budynek i już miała wyjść za jego granice, gdy spostrzegła coś jeszcze. Obok Matki siedziało przodem do Leny jakieś stworzenie. Wyglądało trochę jak niedźwiedź, trochę jak olbrzymi pies albo goryl. Paskudna, zmutowana hybryda nie wiadomo jakich stworzeń. Miało lśniące, białe futro skrywające potężne mięśnie. Na szerokich łapach opierał się tułów, monstrualny kark i toporny, niczym wyciosany z kamienia łeb, w którym tkwiły dwa czerwone paciorki ślepiów, uważnie śledzących każdy ruch dziewczyny. Potwór widział ją. To zmutowane bydlę patrzyło prosto na nią.

Lena poczuła, jak ogarnia ją przerażenie, jak jej żołądek zaściska się w ciasną

kulę. Ale zdusiła w sobie ten strach, bo musiała iść dalej. Kosztowało ją to niewyobrażalnie dużo silnej woli, ale jakimś cudem się udało. Szła więc, stawiając krok za krokiem i przenosząc wzrok z bestii na Matkę. Jeszcze tylko brakowało, żeby ta się odwróciła – to już byłby komplet, wtedy zwariowałaby na pewno i już nigdy by się nie obudziła, po krańce czasu zawieszona w tym chorym limbo.

Wreszcie wyszła poza budynek. Bestia cały czas leniwie, aczkolwiek czujnie śledziła ruchy dziewczyny. Nie to jednak w tym momencie było najważniejsze – jeżeli Lena wcześniej miała wrażenie, że wieje silny wiatr, to teraz znalazła się w samym centrum tornada.

Uniosła głowę i zobaczyła, jak olbrzymi lej unosi się wysoko w ciemne, burzliwe niebo, raz po raz rozświetlane piorunem, któremu towarzyszył rozdzierający huk gromu. Wysoko w górze szalała burza. Czuła się tak, jakby była w samym jej środku, z tą tylko różnicą, że dźwięki dolatywały do niej przytłumione, jak gdyby coś rozgrywało się za grubą teatralną kotarą. Błyski też były inne – spowolnione, oświetlające niebieskim światłem burzowe chmury, w których odbijały się wypaczone, olbrzymie głowy zwierząt.

Lena rozchyliła usta w geście absolutnej konsternacji. Patrzyła teraz na drapieźnie wyszczerzone kły lwów, spokojne, pełne ponurej godności pyski panter, błyszczące jakąś smutną inteligencją oczy słoni, bystre spojrzenia orłów i dziesiątek, setek innych stworzeń. Obrazy znikwały, a na ich miejsce szybko pojawiały się nowe, surrealistycznie zdeformowane. Raz głowa mały była wielkości łba wieloryba, potem zaś zupełnie odwrotnie. Jediną konsekwencją był brak konsekwencji. Nie było zasad, wszystko zmieniało się jak w kalejdoskopie. Pioruny strzelały coraz intensywniej, a Lena czuła się tak mała i nieważna, jakby nigdy nie istniała, jakby trafiła do miejsca, o którym nawet nie powinna wiedzieć. Zwierzęta patrzyły na nią z powagą i pogardą w oczach, a niektóre nawet z czystą nienawiścią.

I tych ostatnich było zdecydowanie najwięcej, chociaż nie wszystkie skupiały swój wzrok na niej. Tak naprawdę to nieliczne ślepia w ogóle zarejestrowały jej obecność. Znakomita większość stworzeń na wyświetlanych obrazach wpatrywała się w Matkę lub patrzyła gdzieś daleko przed siebie, w bliżej nieokreślone miejsce zawieszony poza czasem i przestrzenią.

Lena, otrząsając się po pierwszym szoku i uparcie próbując sobie uświadomić, że kroczy we śnie i absolutnie nic jej nie grozi, skierowała wreszcie wzrok na olbrzymią kobietę stojącą w centrum tego wszystkiego. Matka znajdowała się pośrodku wiru, stała lekko pochylona do przodu, jakby w skupieniu przypatrując się czemuś trzymanemu w rękach. Chyba cały czas nie była świadoma obecności Leny.

Dziewczyna zrobiła niepewny krok do przodu, na co bestia groźnie napięła się, strosząc sierść na umięśnionym karku.

Na pewno nic mi nie grozi? – pomyślała sceptycznie dziewczyna, ale wiedziała, że jest za późno na zmianę zdania. Teraz mogła już tylko iść do przodu. Poza tym uparcie wierzyła, że w najgorszym wypadku po prostu się obudzi i będzie po temacie. A nawet jeśli nie... musiała spróbować.

Zbliżyła się na odległość zaledwie kilku metrów, dzięki czemu mogła dostrzec

więcej szczegółów w wyglądzie stojącej przed nią postaci. Widziała teraz, że ciało Matki pokryte jest jakąś dziwną roślinnością, jakby bluszczem czy innymi pnączami, osłaniającymi ją niczym pancierz. We włosy ma wplątane różne gałązki, koraliki i paciorki, ale dostrzegła tam również niewielkie czaszki jakichś małych stworzeń, kotów, gryzoni, ptaków. Było też kilka humanoidalnych. Gałęzie otaczały jej głowę niczym korona cierniowa, chociaż nie wyglądało na to, żeby wyrządzały jej krzywdę.

Zrobiła kolejny krok.

Bestia uniosła się gwałtownie, gotowa rzucić się w stronę dziewczyny, jednak równie nagle zamarła, jakby napiął się jakiś niewidzialny, krępujący ją łańcuch. Lena, której serce zdążyło przez ten ułamek sekundy podejść do gardła i prawie przezeń wyskoczyć, zauważyła, jak Matka delikatnie skinęła głową w stronę swojego przyboczego potwora. Zatrzymała to coś, pomyślała dziewczyna.

Czyli wie o mnie.

Jezu.

I faktycznie, po kilku sekundach, minutach, może godzinach – gdyż Lena absolutnie nie potrafiła tego określić – Matka odwróciła się.

Dziewczyna uniosła głowę i wreszcie zobaczyła jej piękną, pociągłą twarz. Nie wielki podbródek, krótki, odrobinę uniesiony ku górze nos, wystające kości policzkowe. Wysokie czoło, dumnie górujące nad równymi brwiami.

I jasne, seledynowe oczy przenikające ją spojrzeniem.

Zatrzymała się, stanęła jak sparaliżowana. Chciała zniknąć, przestać istnieć, aby nie przewiercało jej to spojrzenie, żeby nie czuła, jak prześlizguje się nie tylko po jej ciele, ale po każdym najmniejszym zakamarku jej duszy, jak patrzy na nią pobłażliwie, wzrokiem pełnym smutnej litości, ale i rezygnacji.

Jednak nie była w stanie niczego zrobić. Mogła tylko stać i patrzeć, podczas gdy jej fizyczne ciało oddychało spazmatycznie, chociaż nie była tego świadoma. Mogła zrobić tylko to samo, co jej rodzicielka wiele miesięcy temu, tuż przed tym, jak Matka wyrwała i pożarła jej serce, to pierwsze, które przywróciło jej siły witalne na tyle, aby mogła opuścić swoje więzienie.

Matka ruszyła. Zrobiła zaledwie kilka kroków w stronę Leny, a że była ponad dwa razy od niej większa, szybko znalazła się przy sparaliżowanej strachem dziewczynie. I pochylając się nad nią, pokazała jej, co trzyma w dłoniach.

Tyle tylko, że Lena już nie chciała patrzeć na te odcięte głowy, sterty wylupionych oczu, martwe ptaki czy co tam jeszcze taka bestia mogła mieć. Zamiast więc patrzeć na ręce Matki, desperackim ruchem odwróciła się i skierowała wzrok ku górze. Ku setkom pysków, ku tysiącom oczu patrzących już teraz w jej stronę. Milczących, wbijających w tę jedną, biedną dziewczynę ciężkie, oskarżycielskie spojrzenia. Dokończ to, co zaczęłaś, zdawały się mówić. Chciałaś, to masz.

Patrz!

Impuls był tak silny, że Lena nie mogła mu się oprzeć i przeniosła wzrok na to, co Matka trzymała w wyciągniętych, szczupłych dłoniach.

Zobaczyła, że wypełnia je brązowa ziemia. Zmieszana z mniejszymi i większymi kamyczkami, z kilkoma leżącymi na wierzchu gałązkami. Po prostu. Nic szczególnie

specjalnego, ot, grudka gleby.

Lecz strach Leny wcale nie zmalął. Dziewczyna wiedziała, że coś w tej ziemi musi być, jakieś drugie dno, któreś z okropieństw, jakie sobie wyobrażała. I Matka, odgadując myśli dziewczyny, zdecydowała nie trzymać jej dłużej w niepewności.

Zbliżyła swoją wielką głowę do drobnej twarzy Leny. Patrząc jej prosto w oczy, zdmuchnęła delikatnie odrobinę ziemi z kopczyka utrzymanego w dłoniach. Dziewczyna poczuła na twarzy lekki powiew wiatru, zapach budzącego się po długiej zimie lasu, woń mokrego mchu i zbutwiałej kory. Bez fetoru zgnilizny, woni rozkładającego się mięsa. Tymczasem część ziemi z dłoni Matki jakby rozplynęła się w powietrzu, ukazując to, co kryła.

A był to mały, plastikowy korek od butelki. Niegdyś zapewne biały, teraz beżowobrazowy, choć bez wątpienia nadgryziony zębem czasu, zachował jednak swój pierwotny kształt. Widoczne były nawet drobne rowki na jego boku.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, nie wiedząc, jak ma to wszystko rozumieć. Matka dmuchnęła więc ponownie, zwiewając kolejne warstwy ziemi, mchu, odrzucając patyczki, które rozplynęły się w powietrzu. Okazało się, że korek leżał na niebieskiej, plastikowej, jednorazowej torbie. Obok pojawiła się popękana różowa słomka, jakiś ciemny, gruby kawałek gumy, który wyglądał jak fragment opony. Matka dmuchała dalej, odkrywając coraz to nowe śmieci. Kawałki potłuczonego, kolorowego szkła i zapewne coś jeszcze, ale Lena niczego już więcej nie zobaczyła, gdyż nagle odwróciła wzrok. Kątem oka spostrzegła bowiem, jak daleko za Matką z leja tornada wyskakuje jakieś zwierzę. Zeskoczyło miękko z kilkunastu metrów, lądując pewnie na czterech łapach, zupełnie jakby zeskoczyło z kanapy. Był to pies, przypominał owczarka. Z pochylonym łbem ruszył spokojnie w kierunku dziewczyny. Po drugiej stronie tornada kolejnych kilka zwierząt wyskoczyło z leja i nieśpiesznie kierowało się w stronę Leny, która zrozumiała, że jej czas się kończy.

Naraz poczuła, że Matka każe jej spojrzeć na swoje dłonie. Ten przymus zrodził się gdzieś głęboko w środku i Lenie wydawał się niemożliwy do powstrzymania. Musiała mu ulec, ponownie kierując wzrok na skarby, jakie dzierżyła ta przerażająca istota. Bardzo, ale to bardzo chciała się już obudzić. To trwało już zdecydowanie za długo.

Zamiast tego zobaczyła, jak ziemia na dłoniach Matki zaczyna się poruszać. Jak wychodzi spod niej mały biały robak i mozolnie wdrapuje się na śmieci. Jak wypęła długa, obła dżdżownica koloru plażowego piasku i okręca się wokół korka, chybotliwie unosząc główkę, aby sprawdzić, co jest dalej. A potem kolejny robak, i jeszcze jeden. Po chwili było ich już tak wiele, że kłębiły się wokół śmieci, wchodziły na nie, spadając, pełzając się po sobie wzajemnie.

Lena poczuła, jak coś ściska jej żołądek, jak zbiera jej się na wymioty. Niestety, wciąż nie mogła ani odwrócić wzroku, ani się obudzić.

I w tym momencie Matka szybkim ruchem złapała dziewczynę za potylicę. Lena próbowała się bronić, ale nie miała szans. Matka, przytrzymując ją, zaczęła wpychać śmieci pełne robactwa prosto w otwarte usta dziewczyny. Patrzyła przy tym Lenie głęboko w oczy, wwierała się w nie wściekłym, dominującym spojrzeniem. Dziel-

czyna czuła, jak przez jej gardło przechodzą ostre kawałki plastiku, czuła nieprzyjemny smak ziemi oraz to, jak w jej krtani wiją się żywe ciągle robaki. Przerażonymi, mokrymi od łez oczami zobaczyła, jak Matka rozwiera usta w głośnym, pełnym wściekłości krzyku, jak szalejąca nad nią burza przybiera na sile, waląc błyskawicami z prędkością stroboskopu, jak zwierzęta zeskakują z wiru szybciej i szybciej. Czuła wpatrujące się w jej duszę oczy Matki.

Wreszcie zgięła się w pół i zwymiotowała wprost pod gołe stopy bogini.

– Jezu, Lena! – krzyknęła Sara, pochylając się nad dziewczyną. Lena otworzyła oczy i zobaczyła, że klęczy nad własnymi wymiocinami. Szybko uniosła głowę, żeby upewnić się, że koszmar się już skończył. I z ulgą stwierdziła, że nie widzi przed sobą tornada, nie było już wirujących garaży, Matki ani jej bestii i zwierząt. Przełknęła ślinę, czując ohydny, gryzący smak kwasów żołądkowych. Spojrzała przepraszającym wzrokiem na Sarę.

– Dziękuję – wyszeptła, wyciągając rękę w jej stronę i pozwalając, aby pomogła jej wstać. Zerknęła jeszcze na to, co przed chwilą z siebie wyrzuciła. I zobaczyła brudny korek od butelki, po którym spokojnie pełził biały robak. Poczuła, że znowu zbiera się jej na wymioty, ale zdusiła to uczucie w zarodku.

I wtedy też wydarzyło się kilka rzeczy naraz.

Do uszu Leny dobiegł kolejny wrzask torturowanego mnicha. Dzięki temu błyskawicznie przypominała sobie, gdzie jest, dokąd szli i co wcześniej widziała. Sara przed paroma sekundami krzyknęła do niej, więc pewnie Rittner już wie o ich obecności, ale nie to było najważniejsze. Lena przypominała sobie bowiem również to, co stało się, podczas gdy Matka pokazywała jej ziemię w swoich dłoniach. Przypominała sobie zwierzęta, wyskakujące z wirującego tornada, kroczące spokojnie w jej stronę, czające się niczym hieny. Jakby zacieśniały krąg. Jakby zaczynały polowanie.

Wiedziała, jak kończyły się jej wizje. I kolejny raz podczas tego przekłętego wieczoru poczuła, że serce wali jej jak oszalałe, chociaż wielokrotnie myślała już o tym, że osiągnęła limit i dłużej tak nie pociągnie, że po prostu padnie trupem i tak się skończy jej wielka przygoda.

Szybko uniosła głowę, patrząc daleko między zabudowania. Bała się, że ujrzy tam to, czego najbardziej ujrzeć nie chciała, bo nie czas teraz, nie pora na walkę, przecież musieli ratować torturowanego człowieka. Lecz, co oczywiście było do przewidzenia zgodnie z prawem Murphy’ego – życie po raz kolejny pokazało, że nie zawsze oferuje nam to, czego w danym momencie najbardziej pragniemy. Lena dostrzegła między budynkami parę ślepiów, od których odbijało się światło padające z okna. Dwoje czujnych, gotujących się do ataku oczu. I od razu wiedziała, że to nie jest kolejna wizja, że to nie halucynacje ani nic w tym rodzaju.

– Zwierzęta! – krzyknęła, wyciągając rękę i wskazując odpowiedni kierunek.

Sara i Chris zaklęli siarczyście i unieśli broń gotową do otwarcia ognia. Chris szybkim, silnym ruchem odciągnął Lenę za swoje plecy, przysuwając się bliżej muru hotelu.

– Daniel! – krzyknęła Sara, przypomniawszy sobie o pozostawionym na tyłach pijanym mężczyźnie. Musieli po niego wrócić.

Niech to szlag, pomyślał Chris, stając przed Leną i zasłaniając ją swoim ciałem. Ale jak trzeba, to trzeba. On też uratował mu życie, pora spłacić dług. Spodziewał się, że to nastąpi, nie sądził jednak, że chwila ta nadejdzie tak szybko.

– Schowajcie się w hotelu! Ja po niego wrócę – powiedział i nie czekając na reakcję dziewczyn, ruszył w stronę Daniela. Miał nadzieję, że mężczyzna nadal będzie tam, gdzie go zostawili.

Rozległy się strzały. Krótkie serie z broni maszynowej, którym wtórowały ostre krzyki. Rozkazy zajmowania pozycji, ostrzeżenia dla pozostałych członków grupy. Błyskawicznie w całym hotelu podniosła się wrzawa, słychać było otwierane okna, szcęk przeładowywanej broni. Ludzie błyskawicznie się organizowali, miesiące praktyki robiły swoje. A zwierzęta, jak to miały w zwyczaju, atakowały z kilku miejsc jednocześnie, chociaż solidne ogrodzenie wokół hotelu wcale nie ułatwiało im zadania.

– Daniel! – krzyczał Chris, pędząc w stronę mężczyzny. Zza rogu, gdzie go zostawili, usłyszał kilka wystrzałów z broni krótkiej, którym wtórowało kilka równie ostrych, siarczystych przekleństw. Przynajmniej jeszcze żyje, pomyślał Chris, przyspieszając biegu.

– Lena, tędy – poganiała dziewczynę Sara, wskazując hotelowe drzwi.

Jednak Lena ją zignorowała. Zamiast uciekać, stanęła w pozycji strzeleckiej, wyciągając przed siebie wyprostowane ręce i blokując je w łokciach. Następnie bez wahania oddała trzy szybkie, pewne strzały, zabijając biegnące w ich stronę psy. Zwierzęta wyrzęły ze skowytami w beton, zostawiając za sobą czerwone smugi krwi. Sara popatrzyła na nią z podziwem, nie przypuszczała bowiem, że dziewczyna może się wykazać tak dobrym okiem i pewną ręką. Ale nie było teraz czasu na pochwały. Krzyki i wystrzały zaczęły do nich docierać praktycznie zewsząd. Musiały jak najszybciej znaleźć schronienie, bo na otwartej przestrzeni nie miały praktycznie żadnych szans. Lena odwróciła się do Sary.

– Musimy uwolnić waszego mnicha.

Sara tylko kiwnęła głową.

– Wejdziemy do środka i przyczaimy się gdzieś. Rittner pewnie już uciekł do swojego pokoju albo pakuje swoje rzeczy i pędzi do śmigłowca – dodała.

– Okno? – zasugerowała Sara.

Lena przez chwilę zastanowiła się nad tą propozycją, lecz nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, usłyszała trzepot skrzydeł i skrzek dobiegający z wielu małych gardeł. Zdecydowanie zbyt wielu. Dziewczyna odruchowo rzuciła się na ziemię i przykryła głowę rękoma. Skulona Sara znalazła się zaraz tuż obok niej. Obie niemalże czuły setki dziobów i pazurów wbijających się w ich ciała, lecz stało się coś zgoła innego – ptaki, zamiast zaatakować i zmiążdżyć je samą swoją masą i ilością, natarły na okna. Z samobójczą furją, lecąc na pełnej prędkości niczym czarne, opierzone pociski, uderzyły w szyby. Pierwsze, które zderzały się ze szklaną taflą, ginęły, lecz słabe, niczym niewzmacniane szkło szybko przegrywało to starcie.

Chmura trzepoczącej śmierci wbiła się do wnętrza hotelu, błyskawicznie siejąc zamęt i strach w szeregach obrońców, bezbronnych wobec tak licznego, choć niewielkiego przeciwnika. Kilku szybko odpadło z gry, lecz doświadczona większość dała radę się wycofać na – wciąż jeszcze – bezpieczny korytarz, pozostawiając splądrowane pokoje za drewnianymi drzwiami, których ptaki, choćby nie wiadomo jak bardzo chciały – nie dałyby rady przebić.

Sara gorączkowo się zastanawiała, którą opcję powinny wybrać, gdzie szybciej się dostaną – biec do okna czy lepiej do drzwi. Przez okno pokoju, w którym przetrzymywany był mnich, o dziwo zbyt wiele ptaków nie wleciało. Musiały mu pomóc, czasu było coraz mniej.

– Wstajemy, podsadzę cię – stwierdziła, ostrożnie podnosząc się z ziemi. Chmura ptactwa co prawda rozproszyła się po całym terenie, ale w każdej chwili mogły się znowu zbić w grupę i zaatakować, nie dając dziewczynom żadnych szans. Na razie miały farta.

– Dobra, dawaj – Lena również się podniosła, w skupieniu rozglądając się dokoła. Przerazenie zeszło gdzieś na drugi plan, teraz musiała skupić się na nowym zadaniu. Szybko podeszły pod okno, Sara oparła się plecami o ścianę i złożyła dłonie tak, aby móc podsadzić Lenę. I gdy ta już postawiła na nich swoją stopę, opierając jednocześnie dłonie na parapecie, dostrzegła, że źrenice Sary rozszerzają się z przerażenia. Domyślając się, co to może oznaczać, wybiła się mocno z ziemi, złapała mocno parapetu i zwinnie na niego wskoczyła. Nawet nie poczuła, że kaleczy się o drobiny potłuczonego szkła, na szczęście nie odnosząc poważniejszych ran. Błyskawicznie zlustrowała pomieszczenie – mnich nadal był przypięty do fotela, Natalia leżała obok niego nieprzytomna lub martwa, w rosnącej plamie krwi. Rittnera nie było.

Były natomiast ptaki. Nie licząc mniejszych papug i innych okazów, trzy wielkie ibisy czarnopióre z pasją dziobały leżącą kobietę, a jeden atakował mnicha, filetując go żywcem swoim długim, zakrzywionym dziobem.

Lena szybko uniosła broń i pociągnęła za spust. Ptak był wielkości średniego psa, miała do niego mniej niż trzy metry, toteż musiałyby się mocno postarać, żeby nie trafić. Przez głowę przeszła jej myśl, że nawet po tych wielu długich miesiącach nie umiała przyzwyczaić się do takiego świata i wciąż toczyła sama z sobą wewnętrzną batalię. Czy jest to zabijanie z rozsądku, potrzeby czy mordowanie – względnie bezbronnych – stworzeń? Ciągle było jej ich żal. Chociaż ostatnio jakby mniej.

W powietrze eksplodowała fontanna białego pierza i czerwonej krwi. Pozostałe ibisy szybko skierowały swoje łby w jej stronę, ale Lena prędko zastrzeliła dwa z nich. Czwartą wyfrunął przez drzwi prowadzące na korytarz, wydając przy tym z siebie dziwne dźwięki. Część pomniejszego ptactwa poleciała za nim, część wyfrunęła przez okno. Trwało to zaledwie kilka sekund, lecz dopiero teraz dziewczyna mogła wrócić do okna i podać rękę czekającej na dole Sarze.

Wówczas też usłyszała, jak Sara krzyczy i strzela. Nastąpiło kilka szybkich, jakby panicznych wystrzałów, przez co umysł Leny od razu podrzucił jej najgorsze scenariusze – największe zwierzęta, wściekłe watahy wilków, pająki i węże? Jednak Lena nie zobaczyła niczego takiego.

Zamiast tego ujrzała przerażającą scenę.

Do Sary dobiegły kangury, miarowo odbijając się od ziemi i w zawrotnym tempie pokonując kolejne metry. Kilka dorodnych, dobrze odżywionych samców. Boksery, których siła uderzenia zdolna jest znokautować dorosłego mężczyznę, zbliżyły się niczym raptory, sadząc długie, ciężkie do przewidzenia susy. Zwierzęta utworzyły tyralierę, szybko zacieśniając skrzydła wokół śmiertelnie wystraszonej dziewczyny.

Jednak Sara nie zamierzała tanio sprzedać skóry. Krzyczała i strzelała. I udało jej się zabić jednego, drugi dostał w łapę, trzeci gdzieś w korpus, ale mimo tego nie zdołała uniknąć ataku. Pozostały jeszcze co najmniej dwa osobniki, których nie udało się Sarze trafić.

I które właśnie na oczach Leny dopadły Sarę.

Pierwszy z nich wyskoczył wysoko w powietrze, celując w dziewczynę szerokimi, wielkimi tylnymi łapami. Sara uchyliła się w ostatniej chwili, oddając jeszcze niecelny strzał, gdzieś daleko w ciemne, obojętne niebo, prawie trafiając przelatującą kilkanaście metrów dalej papugę. Niestety dziewczyna uchyliła się wprost pod łapy drugiego kangura, który atakując z boku, zastosował ten sam manewr co pierwsze zwierzę. Sara otrzymała ciosy najpierw w pierś i bark, a uderzenie było tak silne, że aż rzuciło ją pół metra dalej na ścianę. Stęknęła ciężko, bezwiednie wyrzucając powietrze z płuc. Była w szoku, nie wiedziała, co robić – czy skulić się w pozycji embrionalnej, czy próbować strzelać? A może powinna po prostu położyć się i dać się skatować jak w jakiejś parszywej trzynastej dzielnicy, do której nie powinno się zaglądać po zmroku?

Nie zdążyła podjąć decyzji, gdy prawy prosty prawie złamał jej kość policzkową. Głowa dziewczyny odskoczyła do tyłu, ponownie odbijając się o ścianę. Po chwili drugi kangur zaczął okładać Sarę silnymi ciosami. Dziewczyna próbowała się uchylić, unikać szybkich łap, ale nie zawsze się jej to udawało. Czuła się jak worek treningowy. Sekundy płynęły przeraźliwie wolno, rozciągając całą walkę w nieskończoność. I Sara walczyła, przyjmując razy z zaciśniętymi zębami. W pewnym momencie zasłoniła się lewą ręką i strzeliła z prawego biodra, trafiając przeciwnika prosto w brzuch. Z dziką satysfakcją zauważyła, że bydlę odsuwa się parę kroków w tył, zaskoczony, przerażony i prawdopodobnie śmiertelnie ranny.

Chciała coś krzyknąć, żeby żarł gruz, żeby zdychał, ale nie zdążyła, bo w tym właśnie momencie ponownie dostała w twarz.

Poczuła, jak robi się jej ciemno przed oczami, ale adrenalina nie pozwalała jej tak po prostu zemdleć. Dziewczyna ponownie spróbowała tego samego zagrania, zasłoniła się ręką i strzeliła z biodra, lecz nic się nie wydarzyło. Usłyszała tylko głucho uderzenie iglicy w zamek.

Wtedy właśnie w oknie pojawiła się Lena i wpakowała w drugiego kangura dwa pociski – jeden prosto w czaszkę, a drugi chyba wbił się w kręgosłup. Zwierzę osunęło się bezwładnie na ziemię. Tym razem Lena nie miała najmniejszych skrępułów, teraz już nie było jej przykro. Omiotła jeszcze wzrokiem pozostałe zwierzęta, strzelając do dwóch z nich i widząc, jak wokół unoszą się mgiełki drobnych kropel krwi. Trzeci kangur leżał nieruchomo kilka metrów dalej.

– Dawaj! – krzyknęła, wyciągając rękę do Sary.

Ta najpierw wcisnęła broń za pasek, a następnie chwyciła jej rękę i szybko wspięła się na parapet. Po chwili, z gracją spadającego z ciężarówki worka z ziemniakami, Sara zwała się na podłogę pokoju. Przeturlała się na środek pomieszczenia, potem podczołgała się do ściany i ciężko się o nią oparła.

– Jezu – wysapała. – Co za szybkie skurwiele.

– Żyjesz, nic ci nie jest?

Sara spojrzała na Lenę i zamiast odpowiedzieć, splunęła krwią. Uśmiechnęła się, ukazując – o dziwo – wszystkie zęby. Lecz uśmiech szybko zszedł jej z twarzy, ustępując miejsca konsternacji. Przejechała językiem po zębach.

– Szlag, chyba czwórka mi się rusza.

– No, ładnie cię tam na kopy wzięły. Trzeba było im oddać zegarek, może by sobie poszły.

Sara, mimo przejmującego bólu, uśmiechnęła się serdecznie. Korzystała, póki jej twarz jeszcze nie spuchła.

– Dobrze, że niczego ci nie złamały ani nie... nie wiem, nie odgryzły – skomentowała jeszcze Lena.

– Kangury?

Lena wzruszyła ramionami, szybko podchodząc do stolika, na którym obok wyszukanych narzędzi tortur leżało również sporo środków medycznych. Podała Sarze bandażę i jakieś chusteczki, a sama zabrała się do uwolnienia mnicha.

Pierwszy Brat wyglądał o wiele gorzej niż siedząca na podłodze Sara. Lena pochyliła się nad nim, nie wiedząc, czy najpierw ma go uwolnić, czy też opatrzeć mu rany. A było ich o wiele za dużo. Pod fotelem utworzyła się wielka plama krwi. To, co Natalia i Rittner zaczęli, dokończyły ptaki.

Dziewczyna poczuła, że zaczyna ją ogarniać panika. Nie tylko z powodu mnicha, ale też dlatego, że tyle czasu spędziła z ludźmi zdolnymi wyrządzać innym takie okropieństwa. Zdecydowała, że najpierw uwolni Pierwszego Brata. Zdjęła skórzane pasy z jego lewej ręki, która błyskawicznie wystrzeliła z prędkości atakującego węża i złała ją za ramię. Lena spróbowała się wyrwać, lecz szybko odpuściła. Zobaczyła bowiem, jak usta mnicha poruszają się w niemym szepcie, jak jedno jego oko patrzy na nią błagalnie. Patrzy, ewidentnie gasnąc.

O cholera. O cholera, o cholera, o cholera.

Wiedziała, co się święci.

Pochyliła się nad umierającym.

– Musicie... ..tefakt... – wyszeptał Pierwszy Brat, ale Lena nie zdołała usłyszeć całości.

Zmarszczyła brwi, skupiając się na wypowiedzianych słowach. Dochodzące zewsząd wrzaski, krzyki i wystrzały bynajmniej w tym nie pomagały.

– Znaleźć... przed... nią...

– Znaleźć przed nią – powtórzyła pokornie, niemalże z namaszczeniem.

Nagle pojawiła się obok niej Sara, agresywnie odpychając Lenę na bok. Dziewczyna nie protestowała, sama by tak postąpiła, gdyby na miejscu Pierwszego leżała

Kryśka.

– Pierwszy, Boże, co oni... dopadnę tego skurwiela, jak Boga kocham, dopadnę go i...

Pierwszy Brat ścisnął teraz rękę Sary. Tak mocno, żeby dziewczyna przestała mówić i wysłuchała tego, co miał do powiedzenia.

– Os... tatni. Ar... tefakt. Musicie. Przed... nią.

Sara zrozumiała. Bardzo dobrze zrozumiała, co się dzieje, co mnich próbuje jej przekazać, jak olbrzymie brzemie będzie teraz niosła. Usłyszała słowa, jednak ich prawdziwy sens jakby gdzieś umykał.

– ...ksyk.

Zmarszczyła czoło.

– Me... ksyk.

– Meksyk!

Westchnęła z ulgą. Dobrze, już jest jakiś punkt zaczepienia. Można grać dalej.

Teraz przed Pierwszym Bratem stało znacznie trudniejsze zadanie, chociaż wiedział, że absolutnie musi to powiedzieć. Co z tą wiedzą zrobi Sara, czego nie zrobi – to już stanie się bez jego udziału. Jego już przy tym nie będzie. A czas, jaki mu pozostał, kurczył się w ekspresowym tempie.

– Kuku... kan.

– Kukukan? – Skonsternowana Sara odwróciła głowę w stronę Leny. Ta, patrząc na wszystko z przejściem w oczach, tylko wzruszyła ramionami. W międzyczasie zmieniła magazynek i zerknęła to na okno, to na otwarte drzwi. Bitwa ewidentnie się jeszcze nie rozstrzygnęła. Tylko gdzie podział się Rittner?

– Miasto. Pira... idy.

– Piramidy! Jakies miasto z piramidami, tak, okej, jest takie. Kurde, kilka ich jest. Które?

– Chi... ken. Pi... ca.

Sara pokiwała tylko głową.

– Chiken.

Zagryzła wargi, rozglądając się w panice po pokoju, jakby na którejś ze ścian mogła znaleźć odpowiedź.

– Pica.

– Chicken pizza? – usłyszała dobiegające zza swoich pleców.

Odwróciła się i zobaczyła, jak Lena taktycznie odsuwa się w obawie, że jej sugestia mogła zostać wzięta za żart.

– Nie, no serio, tak to brzmi – dodała dziewczyna dla usprawiedliwienia.

Sara zastanawiała się gorączkowo, starając się odsunąć od siebie falę wściekłości, jaka zalała ją po tej bezczelnej odpowiedzi. Czuła się tak, jakby brała udział w kalamburach. Z tą tylko różnicą, że zamiast piwa albo kilku dolarów tu stawką było życie, a brak czasu działał na jej niekorzyść. Nagle zstąpiło na nią olśnienie.

– Chichén Itzá! Piramida Kukulkana! Tam jest ukryty ostatni artefakt! – krzyknęła tryumfalnie i tym razem to Lena spojrzała na nią jak na wariatkę. Lecz uścisk mnicha nie zelżał, a twarz pozostała poważna i niewzruszona. Zgadła więc czy nie?

- ...spodem. Pod... ..midą.
- Pod piramidą – potwierdziła dumnie, cały czas wierząc, że jednak dobrze trafiła.
- Musicie... Inaczej... ona... świat.

Sara nie musiała się długo domyślać sensu, doskonale wyłapując kontekst urywanych słów. Czyli jednak zgadła dobrze, inaczej chyba Pierwszy próbowałby naprowadzić ją w jakiś inny sposób na tajną lokalizację. Nagle, zupełnie bez najmniejszego ostrzeżenia, uścisk zelżał. Mnich jeszcze jakby kiwnął Sarze głową, na jego opuchniętej twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu, po czym twarz mu zastygła, a jego lewa ręka opadła bezwładnie.

Sara poczuła, jak zbiera się jej na płacz, ale zdusiła to uczucie w zarodku. Jeszcze przyjdzie czas na żałobę. Teraz musiała dopełnić misji, w którą tak bardzo wierzył mnich i która doprowadziła ich aż tutaj. A żeby to zrobić, najpierw musiała zadbać o własne przetrwanie.

Znajdujący się kilkadziesiąt metrów dalej Chris nie miał pojęcia o dramacie rozgrywającym się w pokoju hotelowym. Nie wiedział o szturmie ptaków, o ataku kangurów ani o śmierci Pierwszego Brata.

Wybiegł zza garażu i zobaczył, jak kilka pięknych, rudych dingo zasada się na Daniela. Mężczyzna stał oparty o ścianę budynku, która osłaniała go, ale również dawała stabilizację i mógł celniej strzelać, czego potwierdzeniem były leżące nieopodal martwe psy. Zastrzelił ich jednak zaledwie kilka. Większość czaiła się, czekając na dogodny moment i konsekwentnie zacieśniając krąg.

Wtedy z odsieczą, niczym ciężkobrajny rycerz na rumaku, przybył Chris. Krzyknął do Daniela, żeby nie strzelał, po czym posłał kilka serdecznych pozdrowień o kalibrze 9 mm w kierunku zaskoczonych psów. Dwa najbliższe dingo dostały w zębra. Pozostałe szybko się rozbiegły, unikając świszczących wokół pocisków. Po chwili już ostatni skowyczący agresor zniknął za rogiem garażu. Stado musiało się obejść smakiem, tym razem człowieka na kolację nie będzie.

– Jesteś cały? – zapytał Chris, podbiegając do ciężko dyszącego Daniela.

– Tak, chyba tak – powiedział tamten, oglądając dokładnie swoje ręce i nogi. – Chyba tak – powtórzył jeszcze dla pewności, jakby wypowiadając życzenie, a jednocześnie nie do końca dowierzając temu, że faktycznie jeszcze żyje.

– Oj, chyba jednak nie.

Chris spojrział na lewą nogę Daniela. Na wysokości uda rozkwitała na nogawce całkiem spora plama krwi, schodząca już niżej pod kolano i na łydkę. Przez poszarpane spodnie widać było kawałek rozciętej skóry.

– Dasz radę iść? – zadał jałowe, bezsensowne pytanie. Niezależnie od odpowiedzi przecież i tak musieli stąd jak najszybciej uciec i dostać się do hotelu. Nie czekając więc na odpowiedź, wziął Daniela pod ramię i ruszyli w stronę teoretycznego schronienia. Co parę kroków któryś z nich odwracał się, modląc się jednocześnie, żeby śladem krwi nie podążały jakieś paskudne zwierzęta.

Na szczęście ich modlitwy zostały wysłuchane – udało im się bez większych prze-

szkód dotrzeć do hotelu. Zbliżając się do celu, z narastającym zdumieniem i grozą stwierdzili, że zwierzęta musiały wziąć budynek szturmem. Świadczyły o tym powybijane okna i wciąż dobiegające ze środka odgłosy walki. Tylko gdzie były Sara i Lena? ■

ROZDZIAŁ 40

Australia, lato 2021

Po przekuśtykaniu kilku kolejnych metrów mężczyźni ciężko oparli się o mur budynku. Chris jeszcze przed chwilą zastanawiał się, czy powinni wejść drzwiami, czy też próbować przez wybite okno, jednak stan nogi Daniela wykluczał tę drugą ewentualność. Plus tego wszystkiego był taki, że emocje jakby wyparły z jego ciała nadmiar alkoholu, dzięki czemu, chociaż dalej delikatnie otumaniony, zachowywał się względnie normalnie. Przynajmniej nie zataczał się i trzymał broń, kierując lufę we właściwą stronę.

– Poczekaj – poprosił Chris, samemu doskakując do okna. Szybki rzut oka do wnętrza tylko potwierdził jego przypuszczenia – dziewczyn już tam nie było. Zdążył za to zobaczyć ciało Pierwszego Brata, cały czas spoczywające na fotelu. Zrobiło mu się cholernie przykro, znacznie bardziej, niż mógłby przypuszczać. Mnóstwo krwi i bezwładnie opuszczona głowa mnicha mówiły same za siebie. Poza tym na podłodze leżały jeszcze wielkie, martwe ptaki i jakieś zwłoki.

Jednak po Sarze i Lenie nie było ani śladu. I gdzie ich teraz szukać, zastanawiał się gorączkowo. Wszystkich chyba nie wymordowali, co?

Nagle, jakby słysząc jego myśli, zza fotela, na którym spoczywało ciało mnicha, wychyliła się Lena, co prawie przyprawiło Chrisa o zawał serca.

Lena też to spotkanie niemal przypłaciła życiem, bo Chris o mały włos nie odstrzelił jej głowy.

– Boże, dziewczyno!

– Spokojnie, spokojnie, to tylko ja – powiedziała, wyciągając w jego stronę rękę. – Znalazłeś Daniela? Dawajcie do środka.

Chris szybko przeanalizował sytuację i doszedł do wniosku, że może to wcale nie jest najgorszy pomysł. W dwie osoby uda się im go wciągnąć. Pomógł Danielowi wgramolić się na parapet.

– On jest ranny. A co z Sarą? – zapytał Lenę.

– Żyje, leży obok.

Chciał zapytać, co się stało, jednak wiedział, że lada chwila sam się przekona.

Kiedy już wszyscy byli w środku, Daniel rozejrzał się po pomieszczeniu. Z tej perspektywy pokój hotelowy wyglądał, jakby wybuchł w nim granat – wszędzie było pełno krwi, walały się jakieś brudne narzędzia, mnóstwo piór i śmieci.

Za fotelem z ciałem Pierwszego Brata, na rzuconej na podłogę kołdrze, oparta o ścianę siedziała Sara. Młoda, smukła blondynka wyglądała i czuła się jak mocno zużyty worek treningowy. Chris troskliwie ujął ją za rękę. Wyglądała na mocno poobijaną, ale na szczęście nie widział otwartych ran czy złamań. Chociaż tyle.

– Jesteś cała?

Dość energiczne skinienie głową potwierdziło jego przypuszczenia.

– Ja tak. Ale...

Dziewczyna kiwnęła głową w stronę Pierwszego Brata. Chris spuścił wzrok i zaci-

snął mocno szczękę.

W tym czasie Lena zajęła się Danielem, korzystając z pozostawionych środków medycznych. Rozcięcie na udzie było dość rozległe, ale szczęśliwie niezbyt głębokie. Wyglądało, jakby dingo tylko go poszarpał i nie zdążył zacisnąć szczęk z całej siły. Chris wstał, żeby dokładnie obejrzyć pomieszczenie.

– Chris – przywołała go cicho Sara. I gdy tylko mężczyzna spojrzął na nią, kontynuowała: – Ja wiem. Pierwszy mi powiedział.

Chris odwrócił się i popatrzył na martwe ciało. Westchnął ciężko i przeniósł wzrok na dziewczynę.

– Co ci powiedział?

– Gdzie jest jej ostatni artefakt. Musimy się tam dostać przed nią, bo jeżeli ona go zdobędzie, to...

– Tak, wiem, wiem – przewał jej bezceremonialnie. Jednak nie tak obcesowo, jak to robił wcześniej. Tym razem w jego głosie nie było szyderstwa. Po prostu chciał jak najszybciej się dowiedzieć, dokąd powinni wyruszyć. – Gdzie jest?

– W Meksyku. Pod piramidą Kukulkana.

Mężczyzna spojrzął na nią, unosząc brwi.

– Meksyk? Przecież w życiu się tam nie dostaniemy – stwierdził z rezygnacją. Faktycznie perspektywa takiej podróży nie wydawała się zbyt pokrzepiająca.

– Dostaniemy się – wtrącił Daniel, który najwyraźniej słyszał całą rozmowę.

Wszyscy spojrzeli teraz na niego.

– Lecimy z wami. Jeżeli ta suka tam jest, to ją znajdziemy. Jeśli ma te swoje zabawki, to je zabierzemy i wreszcie zakończymy to całe gównno. Już mam dość tego wszystkiego, co od paru miesięcy próbuje odgryźć mi dupsko.

Oczy Leny zabłyśły, pomysł i podejście Daniela ewidentnie przypadły jej do gustu. Sara również się uśmiechnęła, chociaż znacznie delikatniej. Cały czas pamiętała, co wielokrotnie powtarzał jej Pierwszy Brat – że artefakty Matki absolutnie nie powinny wpaść w niepowołane ręce. A im więcej osób bierze udział w wyprawie, tym większe prawdopodobieństwo, że któreś z rąk okażą się właśnie tymi niepowołanymi.

Lecz jakie mieli wyjście poza połączeniem sił? Ci ludzie raz ich już uratowali, a Lena pomogła jej dotrzeć do Pierwszego Brata, więc pokazali, że są po właściwiej stronie barykady. Wyglądało to tak, jakby w obozie wroga nagle pojawił się konflikt, który należało wykorzystać. I właśnie nadarzała się ku temu doskonała okazja.

– Raczej my lecimy z wami – poprawiła Daniela Sara. – W końcu nasze auta zostały gdzieś przy wjeździe do jaskiń.

– Chcecie tam wracać? – zapytała Lena.

– Nie ma po co. Mamy przy sobie wszystko, czego potrzebujemy. Umiecie pilotować te śmigłowce? – zapytał Chris.

Lena z Danielem wymienili spojrzenia.

– Ja umiem, ale przydałby się jeszcze jeden pilot.

– I bierzemy też Kryskę, nie zostawię jej samej z tym skurwielem – zakomunikowała twardo Lena. W jej oczach widać było mnóstwo złości i żalu.

Daniel wiedział, że to nie jest dobry moment na zadawanie pytań, ale też nietrudno

było mu się domyślić, jakie emocje targają Leną.

– Wezmę Longera. Znam go od dwudziestu lat, możemy mu zaufać. No i się przyda, ten gość polecą wszystkim, co ma skrzydła, śmigła i w miarę sprawny silnik. A jak ma niesprawny, to on go na pewno naprawi.

– Dobra, to co, zbieramy się od razu? Możemy wykorzystać zamieszanie – zasugerowała Sara, ku zdumieniu malującego się na twarzach pozostałych. Ale wiedziała, że jej propozycja szybko przypadnie im do gustu.

Wystarczyło tylko pociągnąć za odpowiednie sznurki, dlatego też dodała:

– Daniel, to ty leć po tego Longera albo może powiedz nam, jak on wygląda, i my spróbujemy go znaleźć. Lena, idź po Kryskę. Spotkamy się za dziesięć minut przy śmigłowcach. Nie wiem jak wy, ale ja nie chciałabym więcej czasu spędzić z pewnymi osobami.

– A właśnie, gdzie jest Rittner? On to wszystko...? – zapytał Chris.

– Tak, ale teraz nie będziemy go szukać. Gdzieś się zaszył, pewnie ze sporą obstawą. Chris, teraz mamy inne zmartwienie na głowie, ale spokojnie, nie zapomnę mu tego. Myślę, że ty też nie.

Mężczyzna kiwnął jej posępnie głową, tworząc na swojej liście rzeczy do zrobienia nową pozycję. Umieszczoną wysoko w hierarchii, podkreśloną kilkukrotnie grubą, brzydką kreską. Oj tak, nie zapomni tego doktorkowi, nie zapomni.

Lena jako pierwsza ruszyła do drzwi. Ostrożnie obeszła leżące na podłodze zwłoki. Natalia była wobec niej w porządku, lecz to, czego się dopuściła tutaj, dyskwalifikowało ją zupełnie. Nikt po niej nie zapłaci. Uniosła broń i powoli otworzyła drzwi. Nic jej nie zaatakowało, a panujący w tle chaos i bitwa skutecznie zagłuszały wszelkie skrzypnięcia i inne dźwięki. Dziewczyna wzięła głęboki oddech i szybko wyjrzała na korytarz.

Po lewej zobaczyła kilka otwartych pokoi, a między nimi zwłoki jakiegoś najemnika ciężko oparte o ścianę. Spoglądały na nią niewidzącym wzrokiem zaskoczonych oczu, tak bardzo kontrastujących z czerwienią krwi, którą pokryta była większa część twarzy. Nie rozpoznała tego człowieka, ale po posturze mogła stwierdzić, że na pewno nie był to Longer. Po prawej stronie korytarz wyglądał podobnie, tylko bez zwłok leżących pod ścianą. To znaczy bez ludzkich zwłok, bo zwierzęcych truchel było aż nadto. Na szybko Lena naliczyła trzy kangury, kilka dingo, jakieś ptaki, nawet jednego miśka koalę. A to przecież takie rozkoszne stworzenia.

Na korytarzu cuchnęło mięsem, krwią i prochem strzelniczym. I jeszcze czymś, trudną do zdefiniowania wonią, którą mózg interpretował jak połączenie adrenaliny, strachu i śmierci. Woń, która towarzyszyła jej już tak długo, że wątpiła, że kiedykolwiek o niej zapomni.

Do pokoju Rittnera prowadził korytarz po prawej stronie. Niestety, do jej własnego pokoju, gdzie Lena miała nadzieję znaleźć Kryskę, również.

– Czysto? – usłyszała dobiegający zza pleców głos.

Odwróciła się i kiwnęła głową Danielowi. Wyglądał już trochę lepiej. Zdawać by się mogło, że jakimś cudem całkowicie wytrzeźwiał. Lub, co było bardziej prawdopodobne, pomogła mu w tym adrenalina. Była szansa, że nie potknie się o najbliższe tru-

chło, nie zgubi za zakrętem ani przypadkowo nie odstrzeli jej głowy. W tym momencie Lenie musiało to wystarczyć.

– Idę. Za dziesięć minut przy śmigłach – powiedziałwszy to, wyszła na korytarz, wiedząc, że Daniel podąża tuż za nią. Poczowała mocnego kopa od organizmu, który błyskawicznie wyostrzył jej zmysły. W każdej chwili spodziewała się ataku, oczami wyobraźni widziała, jak zwierzęta wypadają z za któregoś z zakrętów lub z jednego z otwartych pokoi, odbijają się od ściany i pędzą prosto na nią. Widziała rozwarłe, wściekle pyski toczące pianę, pełne szaleństwa oczy, zakrzywione, umazane krwią pazury.

Lecz nic takiego się nie stało, kroczyła więc dalej. Ostrożnie, metodycznie, raz po raz oglądając się za siebie, pomimo że Daniel osłaniał jej plecy. Szybko dotarła do zakrętu, za którym korytarz odbijał w lewo. Wychyliła się ostrożnie, powoli. Tak było bezpieczniej. W przypadku Leny gwałtowne ruchy dodatkowo powodowały falowanie i klekotanie jej dredów, zdradzające miejsce, w którym się ukrywała.

Jednak i ten korytarz wyglądał podobnie, chociaż miała wrażenie, że jest tu więcej dziur po kulach. Ponownie obejrzała się za siebie. Daniel wpatrywał się w nią czujnymi, pytającymi oczami. W rękach ścisnął tylko pistolet, chociaż Lena pamiętała, że w jego wypadku każda kula oznacza jedno życie. Wytarła spoczone dłonie o krótkie spodenki i powoli, wypuszczając powietrze, ruszyła dalej.

Raz po raz dolatywały do niej jakieś krzyki, strzały i odgłosy wydawane przez zwierzęta – ryki, szczekanie, i sam Bóg wie co jeszcze. Gdy słyszało się je z bezpiecznych krat w zoo, brzmiały magicznie i nostalgicznie, jednak tutaj było zgoła inaczej. Człowiek czuł się malutki i nic niewarty, niczym posiłek wpędzony do zagrody drapieżnika.

Z tą tylko różnicą, że kaliber 9 mm robił swoją robotę i jak dotąd przeznaczenie Leny jako karmy dla zwierząt jeszcze się nie wypełniło. Zamierzała również utrzymać ten stan tak długo, jak to tylko było możliwe. Widząc drzwi do swojego pokoju, przyspieszyła.

Wpadła do niego z wysoko uniesioną bronią. Szybki rzut oka pozwolił jej dostrzec skołtunione łóżko, przewrócone krzesła, wybite okno, żaluzje, teraz połamane i leżące na podłodze. Były tam też ślady krwi, trochę ptasiego kału, piór, kilka martwych ptaków, ale nigdzie ani śladu Kryśki.

– Krycha! – krzyknęła teatralnym szeptem Lena, podchodząc do łóżka i ostrożnie sięgając po leżący przy szafce nocnej plecak. Cały czas rozglądała się po pomieszczeniu, trzymając w gotowości odbezpieczony pistolet. Przyjaciółka nie odpowiadała, ale to jeszcze nie stanowiło powodu do paniki. W końcu mogła gdzieś uciec, schować się, wleźć w jakąś dziurę, żeby przeczekać. Czy Rittner mógł ją wziąć jako zakładniczkę? Jeżeli tak, to w jakim celu? Szybko jednak odrzuciła te paskudne, bolesne myśli. Wystarczyło jej zwyczajnie poszukać, ale wcześniej Lena chciała zabrać swój plecak ze skromnym ekwipunkiem, z jedynymi przedmiotami, które łączyły ją z poprzednim życiem. Sięgnęła po leżący na szafce aparat i zdjęcie mamy.

I wtedy drzwi od szafy niemalże wypadły z zawiasów, niezgrabnie wypluwając z siebie Kryśkę.

Lena aż podskoczyła, błyskawicznie obierając nowe zagrożenie na cel. Z ust dziewczyny posypał się stek przekleństw, wyzwisk i fachowej oceny stabilności psychicznej Kryśki. Zakończyła zapewnieniem, że mogła jej odstrzelić ten durny, paskudny łeb. A potem pomogła jej podnieść się z podłogi.

– Wal się. Potknęłam się o rozrzucone wieszaki i zaplątałam się w jakieś stare szmaty.

Lena tego nie skomentowała, ciesząc się w duchu z faktu, że jej przyjaciółka żyje i że nie zastrzeliła jej w tak głupi sposób. A do tego nawet Kryśka nie wyglądała na jakąś specjalnie raną.

– Jesteś cała?

– Tak – powiedziała Kryśka, wstając. – Jak się zaczęło, to schowałam się do szafy i cała ta... fala mnie ominęła.

W jej głosie nie było wstydu ani nawet najmniejszego śladu zażenowania okazywanym tchórzostwem. I w sumie prawidłowo, bo nie miało to najmniejszego znaczenia – liczyło się tylko to, że udało jej się przeżyć, a jeżeli swoim zachowaniem nie naraziła innych na niebezpieczeństwo, to już w ogóle idealnie.

– Okej, wiejemy stąd.

Nie trzeba było jej dwa razy tego powtarzać. W międzyczasie do pokoju zdążył dotruchtać Daniel.

– W porządku? – zapytał, szybkim spojrzeniem taksując obie dziewczyny.

– Tak. Idziemy.

Lena zebrała swoje rzeczy i ruszyła jako pierwsza.

– A gdzie reszta? – zapytała Kryśka, gdy już byli na korytarzu.

Dziewczyna z narastającą grozą oglądała ślady krwawego tornada, które przeszło tędy zaledwie przed paroma minutami. Utwierdziło ją to w przekonaniu, że zamknięcie się w szafie było całkiem dobrym pomysłem.

– Jezu... – wyszeptwała, kładąc dłoń na ustach. – Gdzie Rittner, przeżył?

Lena posłała jej wściekle spojrzenie.

– Mam nadzieję, że nie. – Widząc zaskoczone spojrzenie Kryśki, szybko dodała: – Nasz wspaniałomyślny doktor okazał się zwykłym skurwielem i mam szczerą nadzieję, że właśnie jakiś ptak wydziobuje mu oczy.

Brakowało tylko, żeby splunęła na brudne ściany korytarza, ale stwierdziła, że Rittner nie jest tego wart. Widząc nierozumiejące spojrzenie Kryśki, dodała tylko:

– Opowiem ci później.

– Lena, ja lecę po Longera – dziewczyna usłyszała dobiegający zza pleców głos Daniela. Odwróciła się i spojrzała na niego. Poczuli się tak, jakby patrzyła nań po raz ostatni, bo w spojrzeniu jej obrońcy malował się jakiś trudny do zinterpretowania smutek.

– Uważaj na siebie – powiedziała z głębi strapionego, zmaltretowanego serca.

– Wy też. Za parę minut przy śmigle.

Kiwnęli sobie głowami i ruszyli każde w swoją stronę.

– Lewo czy prawo? – spytała Sara.

Chris rozglądał się po korytarzu.

– Chyba w lewo. Ale poczekaj, zaraz – powiedziawszy to, odwrócił się i podszedł do łóżka, następnie szybkim ruchem ściągnął z niego prześcieradło i ruszył w stronę mnicha. Zaskoczona jego zachowaniem Sara poprosiła, żeby się zatrzymał. Chris stanął w pół kroku i z konsternacją obserwował, jak dziewczyna podchodzi do łóżka, sięga po oparty o ścianę kij i wkłada go Pierwszemu Bratu w ręce. Miała przy tym ściśnięte gardło i ledwo powstrzymywała się od płaczu, ale za wszelką cenę starała się zachować spokój. Chris pomógł jej, chociaż jemu też trudno było powstrzymać łzy. Dodatkowo gryzła go świadomość, że relacje między nimi mogły wyglądać zgoła inaczej, gdyby tylko przez cały ten czas nie zachowywał się jak zarozumiały palant.

Postali tak w milczeniu przez kilka sekund, co i tak było ryzykowne, natomiast czuli, że są to winni mnichowi. Chociaż tyle mogli mu dać.

Jedno z tych dwojga wiedziało jednak, że mogą dać znacznie więcej.

– Dasz radę iść? – zapytał Chris, przyglądając się poturbowanej Sarze. Ta tylko kiwnęła twierdząco głową.

Zrobiła to delikatnie, gdyż miała wrażenie, że przy gwałtowniejszym ruchu jej czaszka rozleci się niczym główka porcelanowej lalki trafiona kulą do kręgli.

– To idziemy – powiedział cicho mężczyzna.

Sara ponownie kiwnęła głową i bez słowa ruszyła do drzwi.

– Poczekaj, pójdę pierwszy – powiedział Chris i wyprzedził dziewczynę, od razu wychodząc na korytarz. Nawet nie popatrzył w prawo, dokąd przez chwilę poszli Lena i Daniel. Gdyby zagrożenie miało nadejść właśnie stamtąd, dowiedzieliby się o tym z wystarczającym wyprzedzeniem. Szybko znalazł się za rogiem i ruszył wąskim korytarzem.

Zanim Sara wyszła, odwróciła się i po raz ostatni spojrzała na przykryte prześcieradłem ciało. Wiedziała, że nigdy nie zapomni ostatnich słów mnicha, i była pewna, że zrobi wszystko, aby dotrzymać danej obietnicy. Nawet jeżeli miałoby ją to kosztować życie. Przez ostatnie parę miesięcy wydarzyło się tyle rzeczy potwierdzających teorię Pierwszego Brata, że warto było podjąć ryzyko. A już na pewno spróbować.

Pożegnała się jeszcze, wyszeptując ciche obietnice, i ruszyła za Chrisem, który pochylał się właśnie nad ciałem zamordowanego najemnika i zbierał jego ekwipunek. Znalazł karabinek maszynowy, dwa magazynki i dobry, wojskowy nóż. Pozostałe rzeczy zostawił, jakoś nieporęcznie mu było dokładnie przeszukiwać każdą kieszonkę umazanego krwią ubrania. Następnie schował swój pistolet do kabury i uzbrojony w cięższy kaliber ruszył przed siebie, upewniając się, że dziewczyna idzie tuż za nim.

Bez większych problemów udało im się dotrzeć do pokoju, w którym zostawili skromny dobytek. Co prawda mogli się od razu udać do śmigłowca, lecz Sara upierała się przy zabraniu swojego karabinu snajperskiego. Chris nie oponował, ucieszył się nawet, że sam równie chętnie przy okazji może wziąć swój plecak.

O dziwo okazało się, że w ich pokoju nie było nikogo. Poza przestrzelonymi drzwiami i wybitą szybą wszystko wyglądało tak, jakby nic specjalnego się nie wydarzyło. Pewnie szturmujące hotel ptaki wpadły do środka, zrobiły kilka chaotycznych

rund wokół pomieszczenia i wyleciały, nie znajdując w nim niczego godnego uwagi. Zaraz po wejściu Sara na wszelki wypadek jednak zamknęła za sobą drzwi.

Bez słowa, ale i zbędnej zwłoki zaczęli zbierać swoje rzeczy. Powrzucaли je do plecaków i po kilkudziesięciu sekundach już byli gotowi do wyjścia, gdy Sara nagle zamarła w pół kroku, a jej niebieskie oczy rozszerzyły się ze strachu. Chris także zastygł w bezruchu niczym skradający się kot, na którym spoczęło czujne spojrzenie właściciela. Oboje usłyszeli jakiś hałas dobiegający z korytarza. Ciężkie, miarowe uderzenia wojskowych buciorów o podłogę, świadczące o zmęczeniu posapywanie i szczęk obijającego się o siebie ekwipunku. Wstrzymali oddech, wymieniając spojrzenia i kierując broń w stronę drzwi. Chris dziękował w duchu dziewczynie za to, że je zamknęła. Kilka sekund później ktoś przebiegł tuż za ich drzwiami, po drodze marnując oddech na przekleństwa. W pierwszym odruchu Sara miała ochotę otworzyć i sprawdzić, kto to, lecz szybko sobie przypomniała, do czego niektórzy z tych ludzi byli zdolni. Chwilę później za to przez korytarz przebiegło kilkanaście innych stworzeń, drapiąc go, powarkując i dysząc. Wolała nie wyobrażać sobie, ile i jakie zwierzęta ścigały tego nie szczęśnika.

Wstrzymując oddech, przeczekali jeszcze około pół minuty, po czym dziewczyna jako pierwsza wyrzała na korytarz. Chris wychylił się za nią. Nikogo nie było widać, więc ruszyli. Raz po raz z różnych kierunków słycać było strzały, co chwilę ktoś krzyczał, ale im chyba bezpośrednio nic nie zagrażało. Wiedzieli jednak, że w każdej chwili to może się zmienić. Musieli przeć przed siebie, wierząc, że już za moment spotkają resztę ekipy przy startującym śmigłowcu.

Po kilku długich, wycieńczających minutach czujnego skradania się dotarli wreszcie do holu. W międzyczasie napotkali kolejną przeszkodę – nagle w hotelu zgasło światło, pogrążając go w głębokiej ciemności. Na szczęście Sara i Chris latarki mieli pod ręką. I chociaż byli teraz bardziej widoczni, to niestety nie mieli wyboru. Na domiar złego mrok wypełniał ciemne już wcześniej zakamarki, w których mogły przyczaić się zwierzęta. Musieli więc być jeszcze bardziej ostrożni i zdecydowanie zwolnili tempo ucieczki.

Gdy wreszcie dotarli do holu, okazało się, że jakimś cudem kilka latarni na dziedzińcu nadal działało. Pewnie wywaliło tylko niektóre korki, pomyślał Chris, mając jednocześnie nadzieję, że pozostała część grupy jest równie dobrze przygotowana na nagłe przerwy w dostawie prądu. Szybko sam sobie odpowiedział na to pytanie. Gdyby nie przewidywali takich rzeczy, nie dożyliby tego dnia.

W pewnym momencie Chris ukucnął. Sara zrobiła to samo, przysuwając się do mężczyzny. Jej poobijane ciało w tym momencie było dla niej największym problemem, krępując ją i utrudniając ruchy. Ta ucieczka kosztowała ją wiele wysiłku i okupiona była bólem, ale nie miała wyjścia. Musiała być twarda.

Mężczyzna czujnym okiem przez okna recepcji lustrował dziedziniec. Leżało na nim kilkanaście trucheł jakichś psów, kangurów, czarne, w pierwszej chwili niewidoczne ciała zwierząt przypominających diabły tasmańskie. Leżały tam też dwa trupy, rozszarpane, rozciągnięte po dziedzińcu, jakby przejechał je kombajn. Gdzieś w tle tańczył ogień, kołyszac płomieniami. Paliła się jakaś skrzynia czy coś w tym rodzaju

– oby samo zgasło, pomyślał Chris, chociaż dobrze wiedział, że na tak suchym terenie nietrudno o poważny pożar. Tym bardziej trzeba było się szybko zwinąć. Plus tego był taki, że zwierzęta, pomimo całego swojego sprytu, nadal bały się płomieni. No i ogień rozświetlał najbliższą okolicę, wyganiając demony czające się w mroku.

Po reszcie ekipy jednak nie było ani śladu.

– Co robimy? – odezwała się Sara.

Dopiero teraz odsłoniła ręką czołówkę, pozwalając, by hol rozjaśniło odrobinę więcej światła.

– Czekamy.

Chris chyba chciał powiedzieć coś jeszcze, ale urwał zdanie w połowie, widząc, jak coś dużego przebiegło przez dziedziniec, sadząc długie, zwinne susy. Dwa oddechy później przemknęło jeszcze jakieś stworzenie, tym razem mniejsze.

– Uciekają? – wyszeptala Sara, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w mrok.

– Może – mruknął Chris. – Powinniśmy tu poczekać, bo lada chwila powinni się poja...

Znowu nie dokończył, gdyż Sara, wyciągnąwszy przed siebie rękę, powiedziała:

– Spójrz.

Podążył wzrokiem we wskazanym kierunku i szybko dostrzegł skradające się w mroku sylwetki, świecące sobie pod nogi słabym światłem latarek. Od razu rozpoznał charakterystyczną sylwetkę Leny. Była z nią ta jej koleżanka, a z tyłu siedł Daniel z jakimś mężczyzną. Wszyscy mieli plecaki. Chris odczekał chwilę, aż dotrą do śmigłowca i zapakują się do środka, po czym podniósł się i ruszył w ich kierunku. Lecz po paru krokach zatrzymał się i odwrócił skonsternowany.

– Już, chwila – powiedziała Sara, wyprzedzając jego pytanie. Kuciała na ziemi i szukała czegoś w plecaku.

– Czego ty, do cholery, teraz szukasz? No ruszże się! – poganiał ją, ale ta nie odpowiedziała.

W żaden sposób nie zareagowała. Tylko uparcie, z pasją przekopywała się przez zawartość swojego plecaka.

– Sara! Serio, teraz musisz sobie pomadkę znaleźć? – zaryzykował i chyba mu się udało. Dziewczyna podniosła głowę, posyłając mu ze zmrużonych oczu gromy.

– Wal się. Znalazłam.

Pstryknęła zapalniczką i pojawił się wysoki, jasny płomień. Tym razem to Chris zmrużył oczy, nie rozumiejąc, co dziewczyna zamierza zrobić. Palić się jej teraz zachciało? Przecież nie paliła. Chyba. Przynajmniej nigdy jej z papierosem nie widział, a okazji było wiele.

Sara jednak zerwała się na równe nogi, jęcząc z bólu, i skierowała się w stronę recepcji. Wskoczyła szybko za blat i zaczęła otwierać szuflady, ewidentnie czegoś szukając.

– Sara, do ciężkiej cholery, musimy uciekać!

– Już, już. Mam wszystko – powiedziawszy to, uniosła plik jakichś dokumentów, faktur, notatek czy co tam jeszcze wpadło jej w ręce, i skierowała się w stronę okna, tego tuż przy drzwiach wejściowych. Po drodze zaczęła podpalać kartki.

Parędziesiąt sekund później ogień zajął już firany. Płomienie pożerały je łapczywie, pnąc się do góry coraz szybciej i szybciej, zachłannie obejmując w swoje panowanie kolejne metry. Pożar rozprzestrzenił się błyskawicznie, trawiąc suchy materiał i welurowe meble, zaczynając powoli lizać także drewnianą podłogę.

Sara przyglądała się temu z fascynacją i grozą zarazem, dysząc przy tym jak koń, który właśnie przeciągnął kilkutonowy wóz z węglem. Nie obchodziło jej, czy postępuje prawidłowo. Teraz liczyły się tylko dwie rzeczy – żeby ciało Pierwszego Brata spłonęło i żadne zwierzęta ani robaki go nie zbecześciły oraz żeby jak najbardziej dopieć temu staremu dziadydze. Może przy odrobinie szczęścia nie wyjdzie żywy z hotelu. A niech się smaży!

– Sara – dziewczyna usłyszała cichy głos tuż obok swojego ucha i poczuła też, jak Chris chwycił ją za łokieć. – Jak już zaspokoiliś swoje piromańskie zapędy, możemy łaskawie stąd wyjść, zanim spłoniemy?

Gdy się odwróciła, Chris zobaczył jej piękną, wojowniczą twarz skąpaną w blasku ognia. Blizna tylko dodawała jej uroku. W pierwszej chwili dziewczyna chciała mu coś odburknąć w odpowiedzi, jednak szybko wróciła na ziemię, uświadamiając sobie, że ma obok siebie przyjaciela, nie wroga. A o przyjaciół trzeba było teraz dbać, i to dużo bardziej niż kiedyś. Kiwnęła twierdząco głową.

Bez słowa ruszyła szybkim krokiem w stronę dziedzińca. W międzyczasie reszcie udało się uruchomić potężny silnik maszyny, wprowadzając w ruch ciężkie, długie łopaty wirnika. I wyglądało na to, że zwierzęta, zrobiwszy swoje, pouciekały. Lub szykują się do kolejnego natarcia. Tak czy inaczej, nie było już na co czekać.

Lena machnęła im ręką ze śmigłowca i dwójka podpalaczy pochyliła się i ruszyła pędem do transportera.

Umieśniony najemnik z bliznami na czasce przyglądał się Lenie przez lunetę karabinu maszynowego. Dokładnie mówiąc, przyglądał się nie tylko jej, wodził celownikiem najpierw po Kryście, potem po Danielu i Longerze. Mógł ich wszystkich wystrzelać jak kaczki, jedno po drugim, zanim by się spostrzegli. A mieliby z tym spory problem, gdyż na końcu jego M4A1 tkwił długi, gładki tłumik. Chociaż nie, laski z dredami i tej drugiej by nie zastrzelił, co najwyżej zranił tak, żeby nie mogły daleko uciec. Zabiłby je później.

– Spokojnie Peta, spokojnie – usłyszał jedno, niweczące cały jego misterny plan zdanie. – Niech lecą.

Peta odwrócił się i spojrzął na opanowane, skupione oblicze swojego szefa. Rittner był spokojny, jak gdyby nigdy nic. Jakby połowa zespołu nie leżała martwa lub nie wykrawiała się właśnie gdzieś w mrocznych zakamarkach tego przeklętego hotelu, jakby budynek nie stał już w ogniu, a zgraja zdrajców nie kradła jednego z ich śmigłowców. Jego śmigłowców. Najemnik tego nie rozumiał. I w sumie nie było w tym nic dziwnego – on nie musiał niczego rozumieć, on miał zabijać. A tego mu chwilowo zabroniono i nie bardzo mu się to podobało.

W tym czasie ludzie na dziedzińcu wsiedli do śmigłowca, uruchomili silnik i za-

częli się powoli wzbijać w powietrze. Peta patrzył to na nich, to na Rittnera, licząc, że w końcu doktor zmieni zdanie i będzie mógł otworzyć do nich ogień. Jednak Rittner pozostawał niewzruszony i obserwował całą scenę z ponurym, obojętnym wyrazem twarzy. Chociaż w jego starych, przebiegłych oczach kiełkowało coś jeszcze, jakiś ni-
kły, trudny do wyłapania blask. Tego Peta już kompletnie nie pojmował. Może Rittner ma w ręku detonator, tylko czeka, aż helikopter wzbije się na odpowiednią wysokość, ludzie w nim uwierzą, że są bezpieczni – i dopiero wówczas naciśnie guzik, posyłając ich wszystkich do diabła.

I wtedy Rittner niepodziewanie sięgnął do kieszeni i wyjął z niej jakieś urządzenie. Peta szybko skierował wzrok ku nocnemu niebu, za nic w świecie nie chcąc przegapić tak pięknego widowiska.

Jakże wielkie było jego rozczarowanie, gdy okazało się, że Rittner otwiera klapkę i wciska guziki w telefonie satelitarnym. Po chwili już mówił coś do swojego rozmówcy, który aktywował się po drugiej stronie.

– Lecą drugim Blackhawkiem. Namierzcie go i śledźcie. I niech reszta zespołu kieruje się do Meksyku. Dokładniejsze informacje dostaniecie po drodze.

Osoba po drugiej stronie zaczęła coś mówić, ale Peta nie usłyszał, o co chodziło. Mógł się tylko domyślać po odpowiedzi, jakiej udzielił Rittner:

– Biercie wszystko, cały ciężki sprzęt. Tak, cały. Dziesiątki też. Może być napalm, mogą być rakiety burzące, wszystko. Pakujcie się. Zadzwońię za parę godzin, ale lepiej, żebyście wtedy już byli w powietrzu. Tak, wszyscy.

Następnie rozłączył się i schował aparat do kieszeni.

– Zbieramy się. Peta, w kieszeni Natalii znajdziesz krótkofalówkę. Przynieś ją.

Peta o nic nie pytał, tylko posłusznie ruszył wykonać powierzone mu zadanie. Pozostali żołnierze otworzyli drzwi i weszli w mrok korytarza, polując na czającą się w nim zwierzynę i oczyszczając przedpole dla swojego pracodawcy, który powoli ruszył do swojego gabinetu.

– Jezu, udało się! – krzyczała podniecona Kryśka, patrząc na oświetlone czerwonym taktycznym światłem twarze swoich towarzyszy. Jednak reszta nie podzielała jej entuzjazmu, co najwyżej uśmiechała się niemrawo. Może dlatego, że nie przesiadzieli ataku zwierząt zamknięci w szafie.

Sara mogła o tym powiedzieć najwięcej. Klapnęła ciężko na niewygodny fotel. Miała wrażenie, że dopiero w tej chwili schodzą z niej emocje, pozostawiając miejsce na ból, czekający tylko przed progiem jej świadomości. Teraz dopiero w pełni odczuła, jak potężny łomot dostała od kangurów, i uśmiechnęła się do siebie samej, zdając sobie sprawę z tego, jak zabawnie to brzmi. Jednak równie szybko sposepniała, spoglądając na znikający w dole hotel i widząc oczami wyobraźni ciało Pierwszego Brata, które niebawem miały strawić płomienie. Miała świadomość tego, że dała się ponieść najgorszym emocjom, że pozwoliła wziąć górę pragnieniu zemsty. I naraziła wiele osób na śmierć w płomieniach. Ale skoro Longer i Daniel są cali, to może pozostali też? Może udało im się wcześniej uciec?

– Dobrze, że wam się udało. Szybko się zaczęło jarać – powiedziała Lena, spoglądając w dół. – Macie swoje rzeczy?

Sara odwróciła wzrok, chwilowo nie mogąc nikomu spojrzeć w oczy.

– Tak. A wy? – odpowiedział za nią Chris. Dodał jeszcze: – Widzę, że znalazłaś swoją koleżankę?

Lena uśmiechnęła się, ciepło spoglądając na Kryskę, która odwzajemniła grymas. Po chwili jednak poczuła przemożny, emanujący gdzieś z głębi smutek. Przecież nie będzie komu opowiedzieć ich niesamowitej przygody. Znajomi rozbiegli się po lasach albo nie żyją, w domu nie czeka na nią mama, która z kubkiem ciepłej herbaty lub z lampką wina i wypiekami na twarzy wysłuchałaby tej historii. Przez chwilę dziewczyna poczuła się niewyobrażalnie samotna, jakby była jedyną osobą na świecie.

A już na pewno jedyną mającą wątpliwą przyjemność doświadczania wizji, w których jakieś prastare bóstwo pakowało jej do ust ziemię, robale i plastik.

W tym czasie Daniel rozmawiał z Longerem w kabinie. Dyskutowali o czymś zarcie, a Daniel co chwila zerkał za okno, spoglądając ze złością w ciemną, odległą noc. Wreszcie odwrócił się i powiedział coś do mikrofonu. Lena usłyszała głos dobiegający ze słuchawki zamontowanej w hełmie:

– Dokąd lecimy?

No tak, pomyślała. Nawet nie potrafi zadać normalnego pytania, tylko oczekuje rozkazu, biedny, zagubiony najemnik nie wie, co ma dalej począć. Aż sama się zdziwiła, skąd u niej taka nagła zmiana nastawienia, skąd tyle złości na Daniela. Pewnie dlatego, że jego pijaństwo prawie kosztowało go życie. A może dlatego, że emocji zwyczajnie było już za dużo, a ona była tylko zwykłym, skrajnie przemęczonym człowiekiem. Wzięła dwa oddechy, zanim mu odpowiedziała.

– Musimy się jakoś dostać do Meksyku.

Daniel popatrzył na nią zdecydowanie za długo i dużo wymowniej, niż to było konieczne.

Następnie odwrócił się do Longera i powiedział coś na niedostępnym dla niej kanale. Widziała, jak pierwszy pilot zerka na Daniela, potem odwraca się na chwilę w kierunku pasażerów, znowu patrzy na Daniela, a na końcu przed siebie. Wreszcie kiwa głową, jakby niechętnie, ale jednak godząc się na nową destynację. Odpowiedział coś, a Daniel odpalił mapę satelitarną na urządzeniu, które wyglądało jak wojskowy tablet. Analizował obraz przez kilka minut, po czym odwrócił się do Leny:

– Dobra. Mamy kilka lotnisk na wybrzeżu, zobaczymy, jak tam wygląda sytuacja.

Po prostu. Krótko, rzeczowo i na temat. Po wyrazie twarzy dziewczyny domyślił się jednak, że potrzebuje ona nieco więcej wyjaśnień.

– To za daleko dla śmigłowca. Musimy znaleźć jakiś samolot. Pewnie i tak trzeba będzie robić międzylądowanie na Hawajach, bo wątpię, żeby na lotnisku czekał na nas międzykontynentalny Airbus.

– A umiecie pilotować taki samolot? – zapytała z odrobiną niepewności w głosie. Daniel zerknął na Longera, który lekko pokiwał głową i wzruszył ramionami, co można było zinterpretować jako: „jak trzeba, to trzeba, da się, coś tam się wymyśli”. Nie było to specjalnie pokrępiające, ale na razie musiało im wystarczyć.

Lena odwróciła się i zerknęła na Sarę, szukając w jej oczach choć odrobiny potwierdzenia, zapewnienia, że należy się pchać przez ocean do Meksyku, bo to, co mówił konający mnich, na pewno jest tego warte.

Sara spała jednak twardym, kamiennym snem, jakby ktoś wyciągnął z niej wtyczkę, oparłszy głowę na opiekuńczym ramieniu Chrisa. Ten uśmiechnął się tylko delikatnie do Leny, chociaż jego oczy wyrażały bardziej smutek niż radość.

Dziewczyna odwróciła się więc do okna i wbiła wzrok w otaczającą ich gęstą ciemność. ■

ROZDZIAŁ 41

Australia, lato 2021

– Lena.

Dziewczyna usłyszała cichy szept. Zwiewny, ulotny niczym podmuch ciepłego wiatru w jesienny wieczór. Pozwoliła mu odpłynąć, zbyt zmęczona. Niech sobie leci. Niech będzie pięknym, ciepłym szeptem gdzie indziej.

Ja chcę po prostu odrobiny spokoju. Nic więcej.

– Lena.

Ciepły początkowo szept nagle zaczął ścisnąć jej skronie niczym imadło. Tego nie dało się już po prostu zignorować. Otworzyła oczy zmęczona, wściekła i... głodna.

– Za kilka minut lądujemy. Ogarnij się i obudź resztę.

Pokiwała głową na znak, że wróciła do świata żywych. Jej świadomość ledwo zarejestrowała fakt, że usnęła, a Daniel każe się jej już budzić i nawet ogarniać. Tyran. Pieprzony terrorysta. Zwykły cham i burak.

Emocje wzmagają apetyt, a głodna Lena nie była najlepszą wersją samej siebie. Daniel już nie raz się o tym przekonał. Po raz kolejny naraził się, przerywając jej sen, czym prędzej więc ulotnił się z pola rażenia.

– Gdzie... – powiedziała, musiała jednak przerwać, bo zupełnie zaschło jej w gardle.

Przełknęła więc ślinę i westchnęła ciężko.

– Gdzie jesteśmy?

– Niedaleko jakiegoś lotniska. Spaliście ze trzy godziny, ale teraz szykujcie się, bo nie wiadomo, co zastaniemy na dole – odpowiedział Chris i podał Lenie butelkę z wodą. Wzięła kilka głębokich łyków i rozejrzała się wkoło. Reszta wybudzała się niemrawo, przeciągając się i rozglądając zaspanymi oczami.

– Wakey wakey, eggs and bakey – powiedziała, próbując wywołać u pozostałych choć cień uśmiechu, wykrzesać odrobinę chęci do życia, nie mówiąc już o jakimkolwiek entuzjazmie. Panujący na zewnątrz mrok też nie sprzyjał wstawaniu.

– I espresso – poprosił Chris.

– Podwójne.

Nawet Sara się obudziła, składając swoje zamówienie.

– Na aspirynie. Właśnie, ma ktoś jakiegoś antybóla? – dodała jeszcze.

Kryśka oczywiście spała w najlepsze. Ciekawe, czy gdyby śmigłowiec roztrzaskał się o skały, to ją by to ruszyło, zastanowiła się Lena. A potem szturchnęła przyjaciółkę tak, że nogi, które ta trzymała podciągnięte niemal pod brodę, spadły z głuchym łupnięciem na podłogę śmigłowca. Kryśka otworzyła szeroko oczy, aż podskakując na fotelu.

– Oj, też bym się chętnie napiła. Może na lotnisku będzie działająca kawiarnia. Tam są chyba dwa-cztery. Jakiś Starbucks czy coś – stwierdziła Lena, śmiejąc się z reakcji Kryśki. Następnie wygrzebała z plecaka blister tabletek przeciwbólowych i podała je Sarze.

– Lądujemy? Już? – dopytywała Sara, dziękując Lenie skinięciem głowy. – Ale zaraz, jakie lotnisko?

– Daniel mówił, że nie dolecimy śmigłowcem, musimy się przesiąść.

– Cudownie – odpowiedziała Sara, pochylając się w stronę okna. Chciała rozeznac się w terenie, sprawdzić, czy uda się jej zobaczyć cokolwiek. Jednak skrywający ziemię mrok uparcie bronił swoich sekretów. Opuchlizna nachodząca jej na oko bynajmniej w tym nie pomagała.

– Za dwie minuty lądujemy – rozległo się nagle w słuchawkach hełmów. Daniel nawet się nie odwrócił, tylko skąpany w delikatnym, niewidocznym z daleka świetle taktycznym sprawdzał stan swojego uzbrojenia.

Pozostali niechętnie ruszyli w jego ślady.

W świetle reflektorów śmigłowca Daniel przyglądał się płycie lotniska. Na pierwszy rzut oka kompleks wyglądał na opuszczony, nie świeciły się żadne lampy, nie było widać strażników, żadnych poruszających się pojazdów ani zwierząt. Zupełnie nic, pusto. Zbyt pusto, pomyślał. Niedobrze.

– Longer, posadź śmigło tam.

Wskazał miejsce oddalone od najbliższego hangaru o dobrych sto metrów. Chciał mieć możliwość obserwacji, żeby nic nie zdołało ich podejść niezauważone. W międzyczasie Longer posadził maszynę przodem do hangaru. Nie wyłączał jednak silnika.

Daniel przeszedł do tyłu i przejechał wzrokiem po czujnych twarzach pasażerów. Dziewczyny były w gotowości, nawet Sara jakoś się pozbierała.

– Będę was osłaniała. – Uniosła swój karabin snajperski.

– Dasz radę? – zapytał Daniel, patrząc wymownie na jej coraz bardziej opuchniętą twarz.

– Dam. W najgorszym wypadku dostaniesz kulkę w plecy.

Mężczyzna uśmiechnął się i zwrócił do Chrisa:

– Idziemy.

Ten niechętnie wykonał polecenie.

Stanęli na ciemnej, chłodnej płycie lotniska. Rozejrzeli się wokół. Było tylko jeszcze ciszej, bo silnik śmigłowca buczał na jałowym biegu, gotów w kilka sekund wejść na wysokie obroty i unieść kilkutonową maszynę w powietrze. Nikt nie wyszedł im na powitanie. Bez zbędnej zwłoki Daniel ruszył pierwszy, cały czas czujnie się rozglądając, Chris trzymał się kilka metrów za nim. Skierowali się do najbliższego hangaru. Nie był największy, wyglądał raczej skromnie. Może to jakiś zakład naprawczy, może miejsce, gdzie przechowywano prywatne odrzutowce, pomyślał Daniel. Czyli dokładnie to, czego w tym momencie potrzebowali.

Podczas gdy mężczyźni szli w kierunku budynku, Sara przyglądała się najbliższemu otoczeniu przez lunetę. Z powodu panującego mroku było to trudne, jednak robiła, co mogła, by dostrzec jak najwięcej w sztucznym świetle. Lena stała w gotowości z uniesioną bronią, Kryśka natomiast osłaniała ich tyły, raz po raz przecierając piekące ze zmęczenia oczy.

Daniel zatrzymał się jakieś pięć metrów przed głównym wejściem. Ukucnął i poczekał na Chrisa.

– Chyba jest pusto – szepnął alpinista, zbliżając się do niego.

– Chyba tak, ale coś mi się tu nie... – zaczął Daniel, jednak urwał zdanie w połowie, szybko unosząc broń, gdyż nagle drzwi do hangaru lekko się uchyliły. Daniel zamarł, a Chris szybko przykucnął tuż obok niego i również uniósł broń.

Jednak zamiast fali zwierząt w drzwiach hangaru pojawiła się postać mężczyzny. Oświetlona była od tyłu delikatnym żółtym światłem. Człowiek stał przez chwilę, przyglądając się dwóm skulonym postaciom, których po prostu nie dało się nie zauważyć. Jednak zdawał się nimi zbytnio nie przejmować, nie reagował agresywnie, nie krzyczał, nie groził. Po prostu stał i patrzył, kierując lufę jakiejś długiej broni gdzieś w asfalt niedaleko Daniela i Chrisa. Lena i pozostali wstrzymywali oddech, czekając na rozwój sytuacji. Sara w duchu dziękowała gościowi za to, że tak pięknie się odznaczał na jasnym tle, gotowa w każdej chwili posłać mu serdeczne pozdrowienia pocziwego kalibru.

Wreszcie jednak mężczyzna uniósł rękę i gestem zaprosił przybyszów do środka.

– Co robimy? – wyszeptał Chris, niepewnie unosząc się z ziemi.

– Idziemy. Może to nie jest pułapka.

– A jak jest?

– To godnie nas pomszczą – powiedział Daniel, kiwając głową w stronę wojskowego śmigłowca, którym tu przylecieli. – I tak musimy zobaczyć, co i jak. Nie mamy wyjścia.

– Coś mówiłeś o innych lotniskach.

– Paliwa wystarczy na jedno, a i to nie jest pewne.

Chris zaklął pod nosem. Obaj ruszyli ostrożnie do wejścia, w którym cały czas stał mężczyzna. Gospodarz, co zobaczyli z bliska, miał pewnie pod siedemdziesiątkę, ale trzymał się całkiem nieźle. Widać było krzepę w jego ruchach i spokój na ogorzałej, opalonej twarzy. Przyglądał się intruzom szarymi oczami, podczas gdy z jego ust nie schodził delikatny, uprzejmy uśmiech. Niemniej prawa ręka mocno ścisnęła sztucer. Okazało się, że w głębi hangaru znajdują się kolejni ludzie. Daniel naliczył co najmniej pięć osób, każda pod bronią wycelowaną w ich stronę. Niedobrze, pomyślał, jednak starał się nie dać po sobie poznać strachu.

– Nie ma powodu do obaw – powiedział mężczyzna. – Jestem Matt. Nie obawiajcie się nas, i nie zrozumcie mnie źle, ale jakbyśmy chcieli, to już dawno byśmy was wystrzelali.

– Ja jestem Daniel, a to Chris, miło nam cię poznać. I miło nam, że jednak nie chcieliście nas wystrzelać. Chociaż myślę, że może nie do końca byłoby to takie proste, jak może się wam wydawać – powiedział Daniel z lekkim uśmiechem.

Mężczyzna przyglądał mu się przez kilka sekund. Wreszcie jednak uśmiechnął się szerzej i Danielowi kamień spadł z serca. Odrobinę poluzował palec na spuście.

– Oczywiście. I właśnie dlatego nie zamierzaliśmy do was strzelać. Może wejście, porozmawiamy... pohandlujemy?

Daniel i Chris wymienili zaskoczone spojrzenia. Nie spodziewali się takiego obrotu spraw, ale warto było z niego skorzystać, może uda się coś ugrać. Tylko należało postępować bardzo, bardzo ostrożnie. Daniel odwrócił się i podniósł otwartą dłoń

w stronę śmigłowca, a następnie pokazał uniesiony kciuk. Potem zniknął w hangarze razem z Chrisem i Mattem.

W śmigłowcu zapadła cisza, spotęgowana faktem, że Longer wyłączył silnik.

– Co się dzieje? – zapytała Lena nieco zbyt nerwowo, aż Sara odwróciła się w jej stronę. – Co jest, gdzie oni poleźli?

– Chyba wszystko w porządku – powiedział Longer, zdejmując hełm.

– Chyba?! Nie idziemy do nich?

– Nie. Na razie czekamy tutaj.

Popatrzyła na niego, jakby miał fioletową skórę i mówił po chińsku. Niczego nie rozumiała, takie rozwiązanie wydawało jej się skrajnie nieodpowiedzialne i najzwyczajniej w świecie głupie. Rozdzielać się w takim momencie, dodatkowo zostawiając część ekipy z obcymi ludźmi? Przecież właśnie mogą im oni podrzynać gardła. Co za bezsens.

– Poradzą sobie, spokojnie. Jakby się zrobiło niefajnie, to zostając w tym maleństwie, mamy większe szanse im pomóc – stwierdził Longer, patrząc na targaną wątpliwościami dziewczynę. – Lencia, nie zapominaj, że jesteśmy w latającej fortecy. Jakieś kapiszony, którymi pewnie strzelają, nie przebiją jej pancerza. Musieliby mieć tam w środku zabawki dla dużych chłopców, a nie śrut na papugi.

Jednak wcale nie uspokoiło to Leny. Czuła się jak kotka zamknięta w klatce i, sądząc po reakcji Sary, nie była w tym odosobniona. Tylko Kryśka zachowywała się tak, jakby wszystko się działo obok i niespecjalnie jej dotyczyło.

– To co, mamy po prostu siedzieć i czekać?

Longer pociągnął łyk wody z manierki, wytarł usta rękawem i podał ją Lenie. Patrzył na nią twardo, ale obdarzył również serdecznym uśmiechem. Dopiero gdy dziewczyna wzięła od niego manierkę, odpowiedział spokojnie:

– Tak. Mamy po prostu siedzieć i czekać.

Lena pokręciła głową na znak dezaprobaty, wprowadzając dredy w delikatne kołysanie. Zupełnie jej się to nie podobało, ale niewiele mogła zrobić.

Przez kolejne dwadzieścia minut siedziała jak na szpilkach. Sara zresztą też. Kryśka drzemała, Longer natomiast leniwie, sennie wpatrywał się w hangar. Przed paroma minutami jego wnętrze rozjaśniło się na kilka dłuższych chwil, ale poza tym nic szczególnego się nie wydarzyło. Mężczyzna spojrzał na zegarek, którego wskazówki pokazywały godzinę drugą. Czekala ich jeszcze długa noc.

Lena i Sara wyobrażały sobie najgorsze, lecz pilot zachowywał spokój.

Po kolejnych paru minutach drzwi do hangaru znowu się otworzyły i wyszła z nich jakaś postać, od razu kierując się w stronę Blackhawka. Choć Longer natychmiast rozpoznał Daniela, odruchowo uniósł lekko swoje A4.

– Idzie.

Obie dziewczyny także przygotowały broń, Sara odchyliła nieco bardziej drzwi, aby mieć lepszy widok. Uniosła lunetę do oczu i faktycznie ujrzała zmierzającego w ich stronę Daniela. Mężczyzna wyglądał na całego i zdrowego. Chyba naprawdę wszystko było w porządku, pomyślała. Tylko gdzie był Chris?

Lena natychmiast poczuła, jak kamień spada jej z serca i z ulgą zdjęła palec ze

spustu.

Jeżu, a jeżeli przyszedł negocjować uwolnienie Chrisa, którego wzięli w niewolę?

– Jest okej, spokojnie. Sami swoi – powiedział Daniel, docierając do śmigłowca i widząc zatroskane miny dziewczyn. – Za jakąś godzinę, może dwie, będziemy mogli ruszyć dalej.

Powiedziawszy to, wgramolił się na pokład śmigłowca i zaczął grzebać w umieszczonych pod siedzeniami wojskowych torbach i skrzyniach. Jednak cisza, która zapadła, zmusiła go do przerwania tej czynności. Miny i spojrzenia pozostałych mówiły same za siebie. Daniel nie miał wyjścia, był im winny wyjaśnienia.

– Chris jest w środku, nikomu nic się nie stało. Po prostu dopija kawę. Trafiliśmy na normalnych ludzi, udało nam się dogadać. Mają na wyposażeniu jeszcze jeden odrzutowiec. Jest paliwo, jest też pilot, który zgodził się z nami lecieć.

Lena nie mogła w to uwierzyć.

– Tak po prostu?

– Tak.

– I niczego za to nie chcieli?

– No... nie do końca. Dostaną za to śmigłowiec. Sporo broni i amunicji. Właściwie to bierzemy tylko to, co nasze i co nam będzie niezbędnie potrzebne. Reszta zostaje dla nich.

Daniel odczekał chwilę, patrząc na twarze pozostałych.

– Doktorek stawia.

Lena pokiwała wreszcie głową, powoli oswajając się z informacjami. Tymczasem Daniel znów pochylił się nad torbami.

– Dobierzcie sobie amunicję, jeżeli kaliber pasuje. Weźcie, ile możecie, ale bez przesady, żebyśmy nie łazili obładowani jak muły. Jeżeli ktoś potrzebuje broni, to M4 leżą w tamtej skrzyni. W tej jest taktyczne wyposażenie, baterie, latarki, chyba jakieś noże. Trochę puszek z jedzeniem też się znajdzie, niestety większość była w drugim śmigłowcu. Zabieramy, co chcemy, reszta zostaje. Koniecznie bierzemy PMR-ki, żeby nikt nie zapomniał. Za jakieś dwie godziny startujemy.

– Czym?

– Prywatnym odrzutowcem, którym dofruniemy sobie do Meksyku. Chyba z międzyładowaniem na Hawajach. Mała przesiadka z przerwą na drinka, wiesz.

Na twarzy Daniela pojawił się zawadiacki uśmiech. Lena miała wrażenie, że jego oczy rozbłysły.

Jednak to, co mówił, okazało się prawdą. Za niedługo bowiem przez uchylone drzwi wyszło kilku mężczyzn. Otworzyli hangar, prezentując znajdujący się w środku odrzutowiec. Kilku ruszyło w ich stronę rześkim krokiem.

– To możecie zabierać, z tej strony leżą nasze rzeczy. Może od razu przeniesiemy je do samolotu? – zapytał Daniel, a wychudzony, żylasty mężczyzna o zmęczonej twarzy pokiwał głową i mruknął coś, co chyba oznaczało aprobatę.

W tym czasie kilku kolejnych jegomościów zaczęło zabierać przygotowane skrzynie i torby, co Daniel śledził z żalem. Fakt faktem, cena była dość wysoka, bo dobrego sprzętu nigdy nie za wiele, jednak nie wydawała się wygórowana. Mężczyźni nie-

trudno było sobie wyobrazić, czego jeszcze Matt mógłby sobie zażyczyć za wypożyczenie samolotu.

Kilkanaście pracowitych minut później przetransportowali śmigłowiec bliżej hangaru, w takim miejscu, żeby osłaniał go przy okazji z jednej strony jakiś budynek administracyjny. Mężczyźni i, jak się okazało – również kobiety – pracowali w zupełnie bezstresowej atmosferze, przy świetle padającym z hangaru i doświetlając otoczenie latarkami czołowymi. Takie światło widoczne było z odległości kilkuset metrów, podobnie jak światło z hangaru, nie było tam jednak żadnych straży pod bronią, nie wyczuwało się strachu. Rozmawiali też zupełnie swobodnie, ot, jakby to była kolejna, zwykła noc poświęcona na załadunek towarów. W pewnym momencie Daniel nie wytrzymał.

– Nie boicie się, że ktoś was tu zobaczy? I nie chodzi mi o zwierzęta, tylko o inne grupy. Wiecie... nie wystawiacie żadnych straży?

Zapytany mężczyzna uśmiechnął się, nawet nie przystając na chwilę i nie odstawiając skrzyni. Po prostu zwolnił kroku i rzucił przez ramię:

– Panie, wokół lotniska porozstawianych jest ze trzydziestu chłopów pod bronią. Cała płyta i najwyższe punkty w okolicy są nasze. Snajperzy, na ziemi pułapki, miny, nawet potykacze z racami. Nie jesteśmy głupi.

Daniel przełknął ślinę, uświadamiając sobie, jak naiwnie dali się złapać. Niedługo później, gdy przepakowywali swoje rzeczy do pięknego, smukłego samolotu, podszedł do nich wysoki, tęgi mężczyzna o urodzie południowca.

– Cześć! Mówicie mi Mathew. Polecę z wami – powiedział, wyciągając rękę i witając się z każdym po kolei. Następnie przeniósł rozanielony wzrok na stojący tuż za nim samolot. – Gulfstream G550. Piękna maszyna. Szybka jak diabli. Ma pojemne baki, ale nie na tak długi lot, dlatego polecimy przez Hawaje. Odsapniemy, zatankujemy, zrobimy drineczka na plaży, popływamy z delfinami – powiedział, kręcąc biodrami. – Za jakieś dwadzieścia, trzydzieści godzin powinniśmy być w Meksyku.

Sara odetchnęła głęboko, powoli wypuszczając powietrze. Kiedyś świat pędził tak prędko, że kwestia przemieszczania się zależała jedynie od zasobności portfela. Uzmysłowiła sobie jednak szybko, że praktycznie trafili szóstkę na loterii i powinna być wdzięczna losowi, a nie sceptyczna i krytyczna. Ta podróż mogłaby przecież trwać długie tygodnie. O ile w ogóle udałoby im się dotrzeć do celu.

– Dziękujemy – powiedziała.

Mathew puścił do niej oko.

Wzbili się w powietrze trzydzieści minut później, szybko zostawiając Australię w tyle.

Na wysokości kilku tysięcy metrów, wreszcie bezpieczni, padli jak dzieci. Wszyscy, jak jeden mąż, z wyjątkiem nowego pilota. Nikomu już nawet nie chciało się zastanawiać nad zagrożeniami, martwić czy analizować sytuacji. Jak się rozbiją, to trudno, nic na to nie poradzą. Regeneracja i kilka godzin dobrego snu były w tym momencie ważniejsze.

– Śmigłowiec stanął.

– Wylądował czy zatrzymał się nagle w powietrzu?

Peta spojrzał zmieszany na Rittnera, marszcząc w zamyśleniu wielkie czoło.

– Chyba wylądował.

Rittner uśmiechnął się, ale jakby tak smutno.

– A GPS w plecaku Daniela?

Najemnik stuknął kilka razy w klawisze komputera, coś posprawdzał na ekranie i poczekał w skupieniu na wynik.

– Przemieszcza się. Szybko.

Teraz Rittner zastanowił się chwilę, chociaż wszystko działo się zgodnie z jego planami.

– Czyli udało im się znaleźć czynne lotnisko. Lecą samolotem. Kiedy dolecimy na miejsce? – dopytał.

– Za dziesięć, dwanaście godzin.

– A sprzęt?

– Już jest w drodze, powinien być na miejscu... przed nami.

Starszy mężczyzna kiwnął głową i spojrzał zmęczonym wzrokiem za okno, przyglądając się krajobrazom, nad którymi lecieli. W dole pod nimi przesuwały się rozległe pola uprawne, teraz już suche i zaniedbane, pocięte nitkami równie suchych i zapomnianych dróg. Widział pozostawione na pastwę losu samochody, z pewnością splądrowane domy, walające się śmieci. Istny obraz nędzy i rozpacz, psie pola pełne kurzu, gorąca i beznadziei.

Trzeba będzie zrobić z tym porządek.

I Rittner ślepo wierzył, że jest jedyną osobą zdolną ów porządek przywrócić.

Tylko czy będzie miał jeszcze na to wszystkie siły? Ostatnie miesiące go wykończyły, chociaż starał się tego po sobie nie pokazywać. Pociągał za wszystkie możliwe sznurki, uruchamiał wszelkie kontakty, jednak to wszystko kosztowało go niewyobrażalne ilości energii, zwłaszcza w sytuacji, gdy ludzkości poprzestawiały się priorytety. Samo skontaktowanie się z kimś było nie lada wyzwaniem, nie mówiąc już o dogadaniu biznesu i namówieniu dawnych wspólników, aby wysłali swoje nadwątlone siły do Meksyku.

Jednak jakoś mu się udawało. I chorobliwie wierzył w to, że potrzebuje jeszcze tylko chwili, żeby to wszystko wreszcie zakończyć.

Na myśl o tym poczuł przyjemny ucisk w żołądku i uśmiechnął się do zimnej, obojętnej szyby. ■

ROZDZIAŁ 42

Meksyk, lato 2021

Ta dziewczyna. Ta wstrętna młódka z poskręcanyimi włosami i rękami wymalowanymi tuszem. Śledząca ją, jakimś cudem widząca to, czego widzieć nie powinna. Skąd wiedziała, jak?

Matka nie miała pojęcia.

Lecz nie mogła się dłużej nad tym zastanawiać, chociaż przeczuwała, że nie miało to większego sensu. Bo co, nagle zaprzestanie podróży? Zatrzyma się, poczeka na nią i postara się dowiedzieć, zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi? Nie miało to przecież najmniejszego znaczenia, do niczego nie prowadziło. Zwłaszcza gdy już niemalże widziała miejsce ukrycia ostatniego artefaktu. Czuła wręcz jego zapach i moc, jaką emanuje, i to inne powietrze unoszące się wokół budowli. Święty przedmiot leżący głęboko pod piramidą Kukulkana dopełni ją. Jest ostatnim elementem układanki, który sprawi, że znowu będzie sobą. Na tę myśl przyjemny dreszcz przeszył jej ciało.

Przez ostatnie dni spokojnie podróżowała przez prastare, tajemnicze lasy Meksyku. Nie nękali jej ludzie, nie natrafiła na swojej drodze na żadne większe miasta, miała więc wystarczająco dużo czasu, aby wszystko sobie dobrze przemyśleć. Poukładać i zaplanować, po raz kolejny, jak już robiła to wcześniej i jak będzie robiła, póki nie zrealizuje swojego planu. Bo wprawdzie nie była z tego specjalnie dumna, ale doskonale wiedziała, że zemsta najbardziej posmakuje jej na zimno.

Po drodze gromadziła wokół siebie coraz większe stado – nauczona doświadczeniem wiedziała, że może się spodziewać oporu, że musi być przygotowana na każdą ewentualność, chociaż nie sądziła, aby coś mogło jej specjalnie zagrozić.

Kroczyła od dłuższego czasu przez gęsty, świeży las. W pewnym momencie zatrzymała się. Uniosła głowę i zobaczyła, jak majestatycznie opada ku niej mroczna sylwetka sępnika czarnego. Padlinożerca zataczał coraz mniejsze koła, prezentując się w pełnej krasie na tle zachodzącego słońca. Matka uśmiechnęła się delikatnie, podziwiając piękno stworzenia. Wyciągnęła lewe ramię, robiąc mu miejsce do lądowania. Parę sekund później głaskała go po jego niewielkim łbie.

Nie o pieśczoćy tu jednak chodziło. Ptak był jednym z wielu zwiadowców, których Matka rozesłała we wszystkich kierunkach, a ten najwyraźniej przyniósł wieści. Wystarczyło tylko odebrać wiadomość.

Dotknęła jego głowy i przymknęła oczy. Błyskawicznie przeniosła się kilkaset metrów nad ziemię i poczuła nieprzyjemne ukłucie w brzuchu. Zacieśniła więź, aby zniwelować wszelkie nieprzyjemne wrażenia. Po paru głębokich oddechach mogła już swobodnie zobaczyć wszystko to, co wcześniej widział ptak.

Patrzyła na drzewa w dole, wąskie nitki dróg, na inne ptaki, widziała też kilka większych zwierząt, przemykających w cieniu drzew, chociaż znakomita większość stada pozostawała w ukryciu. Postronny obserwator nie dostrzegłby niczego godnego uwagi. Następnie zobaczyła majestatyczne, dawne budowle Majów. Zdawały się być chaotycznie porzucane na wielkiej polanie otoczonej lasem. To tu, to tam stały

mniejsze piramidy i różne inne budowle, jednak w niczym nie dorównywały one majestatowi piramidy Kukulkana. Wysoka na prawie trzydzieści metrów, patrząca dumnie na cztery strony świata konstrukcja przyćmiewała blaskiem wszystko wkoło, co wobec niej było niczym więcej, jak tylko zwykłą stertą kamieni.

Bardzo cennych kamieni, przeszło Matce przez myśl. Oczami sępa starała się dostrzec szczegóły, których ptak nie miał prawa zobaczyć. Musiała jednak powstrzymać swoją zachłanność, gdyż wzrok zwierzęcia spoczął na czymś zupełnie innym – nie na pięknych, kamiennych schodach, nie na tajnych przejściach ani też na tajemniczych figurach prastarych bogów. Sęp na szczycie piramidy dostrzegł człowieka. Ubrany był w zielony strój maskujący, miał przewieszoną przez plecy broń, a do oczu przykładął dziwny przedmiot, który przypominał dwa złączone ze sobą zwoje papirusu. Matka już wiedziała, że to jest lornetka, wiedziała również, do czego służy. Sęp jednak rozglądał się dalej. I szybko dostrzegł ruch także na niższych piętrach piramidy, podobnie jak u jej stóp – w cieniu pomniejszych budowli stały całe grupy ludzi i wojskowe pojazdy, a wokół rozciągały się zasieki z drutu kolczastego.

Matka cofnęła rękę. Zobaczyła wszystko, co chciała.

A więc już wiedzieli. Czekali na nią. Ale nie rozkopali ziemi ani nie zburzyli piramidy, a to oznacza, że nie wiedzieli wszystkiego. Wciąż miała jeszcze szansę. Moc artefaktu była tak wielka, że gdyby weszli w jego posiadanie, nie czekali by na konfrontację, a sami wyszliby jej naprzeciw.

Jedyną opcją pozostawał atak. Matka spojrzała zamyślona na Bestię. Ta zaś popatrzyła swojej pani głęboko w oczy. Następnie skierowała wzrok na stojące wokół setki zwierząt, jakby je mierzyła, jakby starała się oszacować liczebność stada. Potem powoli przeniosła wzrok z powrotem na Matkę i delikatnie uniosła brwi.

Matka zrozumiała.

Potrzebowali posiłków. ■

ROZDZIAŁ 43

– Zobacz.

Cichy głos Chrisa dobiegał do Sary gdzieś z daleka, jakby zza mgły, zza kotary błogiej nieświadomości, z letargu, który podstępnie wziął ją w swoje posiadanie, a ona nie wiedziała nawet kiedy. Głos stawał się coraz bardziej natarczywy. Wreszcie delikatnie poruszyła się w fotelu, zamruczała coś w odpowiedzi, ale postanowiła nie unosić powiek, o nie, jeszcze nie. Jeszcze sekundka.

Chris jednak zdawał się mieć jej coś naprawdę ważnego do przekazania, gdyż nie dość, że nie odpuścił, to jeszcze kilkakrotnie szturchnął Sarę, niczym krnąbrne szczenię.

– Sara.

Niechętnie podniosła powieki, co wystarczyło, żeby posłać mu mordercze spojrzenie.

– Co? Czego chcesz, dajże spać.

– Śpisz od dwudziestu godzin.

Twarz Chrisa rozświetlał pocziwy, serdeczny uśmiech. Dziewczyna zamrugła powiekami, potem przetarła twarz rękoma. Rozejrzała się i chociaż w jej otoczeniu niespecjalnie wiele się zmieniło, potrzebowała chwili, aby pojąć, że wciąż jest w samolocie, a na zewnątrz świeci słońce.

– Jakie dwadzieścia godzin?

Zadając to pytanie, poczuła, jak zaburczało jej w brzuchu. Żołądek domagał się jedzenia, teraz, zaraz, natychmiast, co tylko mogło potwierdzać słowa Chrisa. Dziewczyna rozejrzała się w panice za czymkolwiek, co mogłaby włożyć do ust.

– Serio, nie widziałem nigdy, żeby ktoś przespał lądowanie i start samolotu, nawet takiego małego pypcia. Przecież przyśpieszenie wgniatało w fotel... Dobra jesteś. Ale może to kwestia tych kangurów, sam nie wiem.

– Może środków nasennych, które dostałaś – wtrąciła Lena, podnosząc się ze swojego fotela i odwracając się do pozostałej dwójki. – Pij.

Zanim Sara i Chris zdążyli zareagować, dziewczyna podała jej butelkę z wodą.

– Jak się czujesz? – zapytała Lena po chwili, uważnie przyglądając się Sarze.

– Lepiej. Chyba.

Dotknęła dłonią opuchniętej twarzy. Wciąż bolało, ale inaczej, jakby ból docierał do niej z daleka. Łatwiej było go ignorować. To możliwe, że przespała aż tyle czasu?

– Jestem głodna jak wilk. Gdzie jesteśmy?

– Zbliżamy się do Meksyku. Za jakieś pół godziny powinniśmy lądować.

– Mówicie poważnie...?

Jeżeli Lena i Chris wspólnie zaplanowali ten żart, to odgrywanie ról wychodziło im całkiem nieźle, musiała to przyznać.

– Nie, tak na poważnie to cię oszukuję. To znaczy nie do końca, bo na serio będziemy zaraz w Meksyku, ale znaleźliśmy tunel czasoprzestrzenny i przenieśliśmy się nim na miejsce w pół godziny. A ty ucięłaś sobie piętnastominutową drzemkę, to

wszystko, ot, cały sekret.

Chris zaprezentował w szerokim uśmiechu pełne uzębienie, co sprawiło, że przez chwilę wyglądał dość upiornie. Sara przeniosła wzrok na Lenę, która uśmiechnęła się życzliwie i wróciła na swoje miejsce. Chyba nie pozostało jej nic innego, jak tylko uwierzyć w to, co słyszy.

– Bujaj się. Albo lepiej daj mi coś do jedzenia – fuknęła do Chrisa.

Mężczyzna tym razem uśmiechnął się subtelniej i sięgnął do plecaka.

Tymczasem siedząca z przodu Lena zaczęła przeglądać zdjęcia w aparacie. Bardziej dla zabicia czasu i zajęcia czymś rąk i głowy niż z faktycznej potrzeby. Wcześniej wyczyściła broń, naładowała ją, przejrzała i uporządkowała cały swój ekwipunek, przespała się i tak w kółko kilka razy. Nawet się trochę ponudziła, doświadczając stanu, którego nie miała przyjemności poczuć przez ostatnie tygodnie. Brakowało jej tylko książki. Każdy miał w samolocie czas dla siebie. Z przestrzenią było trochę gorzej, ale i tak te godziny spokoju okazały się dla wszystkich błogosławieństwem, zapomnieniem, pozwoliły im znaleźć się daleko od wszelkich problemów. Nawet Kryśka przestała trajkotać i zajęła się sobą, co jakiś czas tylko podchodząc do Sary, która większość podróży faktycznie przespała, i sprawdzając, czy wszystko w porządku.

Kilka minut później Lena przeszła na przód samolotu. Chciała się trochę rozruszać przed lądowaniem, bo nie miała pojęcia, czego mogą się spodziewać na lotnisku. W sumie to, że podczas międzylądowania na Hawajach było spokojnie, nie znaczyło jeszcze, że wszędzie tak jest. Dlatego też warto byłoby mieć sprawne nogi, gdyby nagle trzeba by było wziąć je za pas.

– Jak tam? – zapytała, podchodząc do Daniela. Mężczyzna siedział sam w pierwszym rzędzie dla pasażerów, raz po raz zerkając na pilota, gdyż drzwi do malutkiej kabiny stały otworem. Usłyszawszy Lenę, uniósł głowę i uśmiechnął się do niej serdecznie, ukazując siateczkę zmarszczek wokół oczu. Lena zauważyła, że Daniel wygląda zdecydowanie starzej niż chociażby tydzień temu. Bez wątpienia tak intensywne przeżycia odcisnęły piętno na każdym z nich. Zastanowiła się przez chwilę, jak bardzo sama się zmieniła. Nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim psychicznie. Ile blizn nosi teraz w środku, ile ran wciąż jeszcze się nie zagoiło? Czy kiedyś będzie tą samą dziewczyną, którą była jeszcze kilka miesięcy temu?

Szczerze w to wątpiła.

– Spokojnie. Wypoczęłaś? – odpowiedział Daniel.

Dziewczyna parsknęła, uśmiechając się szeroko.

– Czy wypoczęłam? Człowieku, ja się nawet trochę ponudziłam. Dziwnie tak, jak nic nie próbuje odgryźć ci tyłka.

– No, miła odmiana.

– Ale potrzebowałam tego.

– Jak my wszyscy.

Daniel, mówiąc to, spuścił wzrok, ale szybko go podniósł. Jednak ta chwila wystarczyła Lenie, aby zauważyć, że coś mocno go gryzie.

– Na pewno wszystko w porządku?

Chociaż mężczyzna twierdząco pokiwał głową, Lena uparcie świdrowała go zielo-

nymi oczami, które tego ranka miały dość intensywne, szare zabarwienie. Po prostu stała i patrzyła na niego dość wymownie, ale z dużą dozą serdeczności.

– Rittner? – zapytała po paru długich sekundach ciszy.

– Skurwiel. Gdybym tylko wiedział, to...

– Wiem. Nie tylko ciebie oszukał.

– Tylko że ja znałem go już dużo wcześniej, rozumiesz? Pracowaliśmy razem przez długie lata, zanim to wszystko się zaczęło.

Dziewczyna zastanowiła się przez chwilę, szukając odpowiednich słów. Było jej żal Daniela, nie chciała niepotrzebnie dolewać oliwy do ognia.

– Słuchaj, Rittner to kawał cwanej cholery. Inaczej nie byłby tam, gdzie jest, cokolwiek to znaczy... ale wiesz, co mam na myśli. Chodzi mi o to, iloma osobami się otacza, jakie ma kontakty, ile worków ze złotem trzyma w piwnicy. Takich rzeczy nie dostaje się za ładne uśmiechy, trzeba być po prostu kawałem niezłego, bezwzględnego skurwiela. Więc nie miej do siebie pretensji, że niczego nie zauważyłeś. Wątpię, żeby ktokolwiek z nas się połapał, będąc na twoim miejscu.

Daniel słuchał, cały czas patrząc na Lenę, która miała wrażenie, że jego twarz delikatnie się zmienia. Rysy łagodniały, męczyzna jakby się odprężył. Chyba potrzebował usłyszeć coś takiego. Ależ łatwo poszło, pogratulowała sobie w duchu dziewczyna.

– Zabiję go przy najbliższej okazji – skomentował z uśmiechem.

– Chyba będziesz musiał się ustawić w kolejce. – Lena wskazała ruchem głowy Chrisa i Sarę.

Oboje sprawdzali teraz swój ekwipunek, przygotowując się do zbliżającego się z każdą chwilą lądowania. Chyba trzeba było zacząć się zastanawiać nad kolejnymi krokami. Kryśka tymczasem spała z głową na oparciu fotela i z otwartymi ustami.

– Gdzie mamy lotnisko? – zapytała, zmieniając temat.

– Nie pamiętam miejscowości, ale jakieś sto, sto dwadzieścia kilometrów od Chichén Itzá.

Lena westchnęła.

– Nie tak źle, ale bez auta to kawał drogi.

– Coś znajdziemy na miejscu.

– A mamy czym zapłacić?

– Jeszcze jakieś tam zaskórniaki mam, nie martw się. Trochę amunicji możemy dać, nie wszystko poszło na wymianę za samolot. Poradzimy sobie. A auto musimy mieć, bo goni nas czas. Przynajmniej tak wnioskuję z tego, co wspominałaś. Ty i Sara, tak w sumie.

– Okej.

Może Daniel chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Lena już nie miała ochoty na dalszą rozmowę, dla niej dyskusja była skończona. Wiedziała, że goni ich czas. Wiedziała, że z każdą minutą zbliżają się do swojego przeznaczenia, przez ostatnie tygodnie czuła to w kościach. Tak jak teraz, niemalże fizycznie wyczuwała coraz silniej obecność Matki – mimo że ta znajdowała się setki kilometrów stąd. Dziewczyna odczuwała też coraz większy stres, pożerający jej pewność siebie i zdolność do racjonalnego

myślenia. Lena najchętniej odwróciłaby się na pięcie i pobiegła przed siebie, jak najdalej od przerażającej istoty, z którą miała się spotkać. Ochota na zemstę jakoś jej przeszła, zwłaszcza po tym, czego doświadczyła w Australii.

Lecz głęboko w duchu dziewczyna liczyła na to, że to tylko chwilowe załamanie i ogień w środku dalej się tli, czekając tylko na to, aby buchnąć pełnym płomieniem, pochłaniając stres i niepewność oraz wlewając w jej żyły siłę, która pozwoli jej stanąć z Matką oko w oko.

A co będzie dalej, czas pokaże.

Najpierw jednak trzeba było wylądować, dotrzeć do piramid i nie dać się po drodze zabić. Co, zważywszy na rosnącą moc Matki i na to, że jej również zależało na szybkim dotarciu do artefaktu, mogło się okazać nie lada wyzwaniem.

Trzydzieści minut później byli już na ziemi. Na niewielkim, chociaż teraz nieco zapuszczonym lotnisku w Meridzie na szczęście udało się wylądować bez problemów. Mathew próbował wywołać wieżę przez radio, jednak bezskutecznie – co oczywiście nie musiało wcale oznaczać, że nikogo tam nie było. Jeden z hangarów miał zapadnięty dach, wokół stały splądrowane wraki samolotów i samochodów. Ogrodzenie z jednej strony było zniszczone na długości co najmniej kilkudziesięciu metrów, co nie czyniło z płyty lotniska zbyt bezpiecznej bazy. Część pojazdów i niektóre budynki były czarne od ognia, który bez wątpienia strawił je długie tygodnie, jak nie miesiące temu. Dodatkowo wokół wałało się pełno różnego naniesionego przez wiatr śmiecia, co tylko dopełniało obrazu nędzy i rozpacz.

Nie wyglądało na to, aby ktokolwiek tu rezydował, tym bardziej więc chcieli szybko posadzić maszynę i załatwić to, co mieli do załatwienia, bez ściągania na siebie zbytnej uwagi. Łądując, pilot musiał nieźle się nakombinować, by nie zahaczyć skrzydłem o któryś z wraków stojących na pasie startowym.

– Dobra, spróbuję dotankować i spadam stąd – oznajmił Mathew, a na jego pogodnej twarzy południowca pojawił się cień niepokoju. – No co, nie patrzcie tak na mnie, tylko mi pomóżcie. Ty – powiedział, wskazując na Daniela – skocz tam i zobacz, czy jest jakieś paliwo. Nie podoba mi się tu, nie zamierzam zostawać tu dłużej, niż to konieczne. Miałem was dostarczyć do Meksyku i dostarczyłem. Reszta mnie nie interesuje.

Pozostali zaczęli coś pomrukiwać z niezadowoleniem, jednak Mathew zdawał się tego nie słyszeć, nie ukrywając, że niezbyt przejmuje się ich zdaniem.

Niespełna godzinę później stali na płycie lotniska i przyglądali się szybko znikającemu na horyzoncie odrzutowcowi.

– Dobra – odezwała się Lena, przecierając spocone czoło. Nie dość, że się nadźwigali, to jeszcze upał robił swoje. Zwłaszcza że zegarki wskazywały godzinę czternastą i zrobiło się nieznośnie gorąco i duszno. – Proponuję na chwilę się rozdzielić. Wiem, nie patrzcie tak na mnie, przecież mówię, że na chwilę. Tylko tu w okolicy, zajrzemy do tych hangarów i może przy odrobinie szczęścia znajdziemy jakieś auto.

– Trochę tu tego jest – zauważyła Sara, omiatając wzrokiem płytę lotniska i stojące wokół niej budynki. Dobry odpoczynek i lekarstwa robiły swoje. Dziewczyna nadal nie w pełni odzyskała siły, ale przynajmniej jej ciało nie protestowało i nie bolało

przy najmniejszym ruchu. Wokół nich faktycznie stało sporo pojazdów, jednak znakomita większość raczej nie nadawała się do użytku, z daleka widać było, że są uszkodzone. Miały poprzębijane opony, powybijane szyby, powyrywane maski i drzwi. Nietrudno było się domyślić, że pewnie niejeden plądrował te wraki w poszukiwaniu czegokolwiek cennego czy użytecznego. Pozostało liczyć na to, że w którymś z hangarów znajdą jakieś sprawne auto, że ktoś coś przeoczył, nie przeszukał jak należy magazynów, nie zajrzał w każdy kąt.

I rzeczywiście udało się takie znaleźć, chociaż poszukiwania trwały dobrą godzinę, a kolejne dwie – przygotowywanie samochodu do drogi. Plus tego wszystkiego był taki, że zdezelowane auta ograbiane były raczej z podstawowych rzeczy – ktoś ściągnął paliwo, inny wybebeszył schowek albo przetrzepał bagażnik. Niespecjalnie złodziei interesowały natomiast silniki, więc gdy zlokalizowali drobną usterkę w znalezionym Dodge’u, wymiana części nie stanowiła wielkiego problemu.

Summa summarum, cztery godziny po wylądowaniu ruszyli w dalszą drogę. Na szczęście nikt ich nie niepokoił, ani ludzie (choć Chris co chwilę powtarzał, że nie podoba mu się to miejsce i ma wrażenie, jakby ktoś w niego celował), ani żadne zwierzęta.

– Mamy przed sobą jakąś, nie wiem, godzinę, dwie godziny jazdy – stwierdził Daniel siedzący za kierownicą. Zajmujący miejsce obok niego Longer studiował znaną mapę, trzymając między nogami karabin skierowany lufą w dół. Dobry nawyk, żeby nie stracić oka przy pierwszej dziurze albo nie odstrzelić sobie głowy przy kolejnej.

– Skręcasz w sto osiemdziesiąt i walimy nią jakieś... pięćdziesiąt, może siedemdziesiąt kilometrów. Szybko obrócimy, o ile droga będzie przejezdna.

Daniel kiwnął posępnie głową, uważnie obserwując mijane zabudowania.

– Nie będziemy przejeżdżać przez żadne większe miasto. Powinno być spokojnie – dodał jeszcze nawigator.

– Jak tam? – kierowca zapytał pasażerów siedzących z tyłu, zerkając we wsteczne lusterko.

Lena w odpowiedzi pokazała uniesiony wysoko kciuk. Posłała mu też sarkastyczny, acz uroczy uśmiech. Ani Sara, siedząca na kolanach Chrisa, ani on sam nie zaszczycili pytającego odpowiedzią. Kryśka natomiast tylko się uśmiechnęła i stwierdziła, że czuje się jak w liceum, kiedy cała ekipa pakowała się do jednego golfu i cisnęła na imprezę na przedmieścia.

– Jest jakiś McDonald’s po drodze? – zapytała, ewidentnie wczuwając się w rolę licealistki. Niestety reszta tylko się pouśmiechała pod nosem, ale nie pociągnęła tematu.

Dalej już jechali w ciszy, leniwie rozglądając się wokół. Przez pierwsze kilometry mijali jakieś zabudowania, kilka przystanków i mnóstwo porzuconych pojazdów. Jechali wolno, klucząc między nimi z prędkością nieprzekraczającą dwudziestu kilometrów na godzinę. Parę razy musieli też zatrzymać się, żeby usunąć z drogi a to ostre fragmenty szkła czy blachy, a to jakiś wrak. Niemniej po niespełna godzinie podróży dojechali do znaku, który wskazywał im skręt na Chichén Itzá.

– Tam? – zapytał Daniel, odwracając się do Sary.

Dziewczyna pokiwała niepewnie głową.

– Tak, chyba tak.

– Ktoś tu kiedyś był? – wtrącił Chris.

Wszyscy zaprzeczyli.

– Dobra, pewnie będą jeszcze po drodze jakieś znaki. Tylko teraz już ostrożnie.

– Tak dla odmiany – mruknął pod nosem Daniel, ale nikt tego nie skomentował.

Po kilku kolejnych minutach dojechali do uniesionego szlabanu, obok którego stała budka strażnicza. Miała wybite szyby i najwyraźniej ktoś zdecydował, że udekoruje ją uczciwą serią z karabinu maszynowego. Przejechali spokojnie, rozglądając się czujnie na wszystkie strony.

– Tam zaparkuj – powiedział Longer, wskazując wolne miejsce na parkingu pełnym autokarów turystycznych, które robiły bardzo ponure wrażenie. Stały tam niczym wyrzucone na brzeg wieloryby, świecąc pustkami martwych oczodołów. Dwa pierwsze z brzegu były spalone, ale w jakiś sposób ogień nie przeniósł się na pozostałe. Wokół autokarów wałyły się dziesiątki małych walizek, toreb turystycznych, większych bagaży – wszystko już dawno wypatroszone.

– Podjadę tam, pod te schody. Dalej musimy chyba ruszyć z buta.

Faktycznie, wyglądało na to, że tylko część parkingowa przeznaczona jest dla ruchu samochodowego. Daniel dojechał więc jedynie do szerokich schodów prowadzących na jakiś wyższy poziom, więc nie mógł zrobić.

– Dobra, z wozu.

Wszyscy wzięli głęboki oddech, zanim wykaraskali się z ciasnego auta. Po chwili stali już na zewnątrz – gotując się w niemiłosiernie prażącym słońcu. Słysząc było głośnie bzyczenie setek owadów pochowanych w gęstym lesie, który otaczał ich teraz z każdej strony. Nie rozbiegli się jednak od razu i nie pochowali. Tu trzeba było postępować metodycznie, rozważnie. Na spokojnie. Postapokaliptyczna sceneria, w której się znaleźli, nie zachęcała do szybkiego działania.

Miejsce sprawiało tak ponure wrażenie, że Lena nawet nie pomyślała o aparacie. Zdjęcia bez wątpienia wyszłyby świetne, ale chwilowo całą swoją energię skupiła tylko i wyłącznie na tym, aby jak najszybciej opuścić to miejsce.

Rozglądali się przez chwilę, czujnie badając otaczający ich teren. Z naładowaną i odbezpieczoną bronią, przygotowani na atak, który mógł nastąpić dosłownie z każdego miejsca i absolutnie w każdej chwili. W duchu przeczuwali, że wchodzi w paszczę lwa. Ciemnych kryjówek wokół nich była cała masa. Stali tak przez kilkadziesiąt niemiłosiernie długich sekund, ale nic się nie wydarzyło.

– Dobra, to... co właściwie robimy? Dokąd idziemy? – zapytał wreszcie Daniel.

Sara zerknęła na Chrisa.

– Chyba powinniśmy znaleźć piramidę Kukulkana. Pierwszy Brat o niej wspominał – powiedziała cicho i jakby niepewnie, sama nie do końca wiedząc, czy dobrze postępuje.

– Okej, to chodźmy.

Daniel odwrócił się na pięcie i ruszył w górę szerokich na kilkanaście metrów

schodów. Na ich szczycie stały obrotowe bramki i jakieś współczesne zabudowania, najprawdopodobniej służące obsłudze tysięcy turystów, którzy corocznie odwiedzali to miejsce.

– Wiesz gdzie? – zapytała Lena, ruszając za nim.

– Tak, tam. – Wskazał głową niskie budynki. – Tam pewnie trafimy na jakąś mapę albo zdjęcie. I wtedy znajdziemy piramidę.

Lena już zamierzała przyznać mu rację, ale jej głowę przeszył tak nagły i intensywny ból, że aż osunęła się na schody. Idąca obok niej Kryśka złapała ją dosłownie w ostatniej chwili, chroniąc przed upadkiem i – prawdopodobnie – sturlaniem się kilka dobrych metrów.

Dziewczyna miała wrażenie, że jej czaszka zaraz eksploduje, ból był nie do wytrzymania. Krzyknęła, przykładając dłonie do skroni, jednak nic to nie dało. Wiedziała, kto za tym stoi, wyczuwała obecność Matki intensywniej niż dotychczas, czuła, jak energia przechodzi przez nią falami, a każda następna silniejsza jest od poprzedniej. Było to jak jakiś pierwotny zew, dobiegający zarówno z głębi jej ciała, jak i z zewnątrz. Przez parę sekund ból był jedynym, czego doświadczała.

W pewnym momencie jednak zniknął równie nagle, jak się pojawił. Dziewczyna ciężko oddychała, czując, jak jej rozszalałe serce powoli odzyskuje normalny rytm. Po paru sekundach podniosła się, rozglądając niepewnie wkoło. Umarła?

– Ona gdzieś tu jest – powiedziała tylko, widząc wystraszone i pełne troski spojrzenia. Zamierzała kontynuować, ale zdążyła jedynie otworzyć usta, kiedy zobaczyła wybiegającą z za oddalonego o kilkanaście metrów autokaru wielką czarną panterę. Sadząc długie susy, zwierzę przebiegło niedaleko od nich, jednak nie zwróciło na ludzi najmniejszej uwagi. Stało się to tak szybko, że żadne z nich nie zdążyło zareagować.

– Nie, nie strzelaj! – powiedziała Sara, widząc, jak Daniel unosi broń. – Nie zdradzaj naszej obecności. Może ona po prostu...

Nie udało jej się skończyć, przerwał jej huk wystrzału. Po sekundzie powietrze przeszył kolejny, a potem jeszcze jeden. Żadne z nich jednak nie strzelało. Pędem ruszyli schodami w górę, kierując się ku zabudowaniom. Szybko zrozumieli, co się dzieje.

– Kto strzela? I Jezu, z czego? – krzyczała Sara, biegnąc w stronę schronienia. Ziemia aż drżała, była to więc zdecydowanie broń cięższego kalibru.

– Rittner, a kto! Skurwiel już tu jest – stwierdził Daniel. – Szybko!

Dobiegli do jednego z niskich budynków administracyjnych i ukryli się za jego murem. Kanonada trwała tymczasem w najlepsze, a wybuchy nie przypominały konwencjonalnej, ręcznej broni. Tu musiał działać ciężki sprzęt. Rittner wiedział, o jaką stawkę toczy się gra, i wyłożył na stół wszystkie najlepsze karty.

– Do środka, do środka! – krzyknęła Kryśka, szybko popychając znajdujących się przed sobą ludzi. W jej głosie było coś takiego, tyle paniki i przerażenia, że nikt nie oponował, nikt nie miał ochoty oglądać się za siebie ani przekonywać się, co takiego przed chwilą zobaczyła dziewczyna.

Wszyscy wpadli przez otwarte drzwi, potykając się o siebie, do pomieszczenia peł-

nego walających się po podłodze książek, dokumentów, połamanych krzeseł. Szczęśliwie żadne z nich się nie wywróciło.

– Co jest, pochrzaniło go?... – zaczęła pytać Sara, ale w tym momencie do jej uszu doleciał tętent końskich kopyt. Dziewczyna wycelowała przed siebie karabin snajperski. Dosłownie parę sekund później obok drzwi przebiegł wielki kary koń.

Daniel szybko uniósł rękę, prosząc tym gestem, aby pozostali nie strzelali. Modlił się w duchu, żeby zwierzę popędziło w sobie tylko znanym kierunku i nie zwróciło na nich uwagi, tak jak tamta pantera.

Wkrótce obok drzwi przebiegł kolejny koń i jeszcze jeden, aż wreszcie usłyszeli nie tylko tętent dziesiątek koni, ale zobaczyli setki innych zwierząt. Gnały przed siebie kierowane impulsem, który zrozumieć mogła tylko Lena.

Po kilkudziesięciu sekundach stado się przerzedziło. Zwierzęta przebiegały coraz rzadziej i coraz wolniej – na samym końcu ciągnęły się te bardziej ociężałe lub chore. Wszyscy odetchnęli z ulgą, jak się jednak okazało – przedwcześnie. Gdy myśleli, że zagrożenie minęło, w otwartych drzwiach pojawił się jaguar. Stał i przyglądał się wystraszonemu ludziom, mierząc ich lekceważącym, beznamyślnym wzrokiem. Dyszał ciężko po długim biegu, a jego sierść lśniła w blasku słońca.

Wszyscy w niego wycelowali, jednak nikt nie otworzył ognia. Jaguar natomiast popatrzył jeszcze przez chwilę, po czym mocno odbił się od ziemi i popędził dalej, w ślad za swoim stadem. Patrzył na nich może ze trzy sekundy, co wystarczyło jednak, żeby od nadmiaru adrenaliny aż zakręciło im się w głowach.

– Jezu... – rozległo się kilka szeptów jednocześnie.

– Co to było?

– Wiecie... Jest tutaj – powiedziała Lena, patrząc na pozostałych poważnym, pełnym determinacji wzrokiem.

– Musimy się ruszyć, zanim będzie za późno. Mamy coraz mniej czasu. – Nie czekając na reakcję pozostałych, Sara podniosła się z brudnej podłogi i podeszła do drzwi. W międzyczasie kanonada nabrała na sile, na ciężkie, miarowe wystrzały z jakiejś broni dużego kalibru nakładały się wystrzały z konwencjonalnych karabinów. Widać Rittner bardzo dobrze to wszystko zaplanował.

Jednak nie był on jedynym strategiem na tym polu bitwy. ■

Matka wiedziała wszystko.

Mogła patrzeć, pod jakim kątem chciała i z dowolnej perspektywy. Widziała cały kompleks dawnych budowli, zaminowany duży plac wokół, zasieki, worki z piaskiem. Dziesiątki, jak nie ponad setkę żołnierzy. Widziała też ciężkie pojazdy opancerzone, jeepy z działkami na bagażnikach, czołgi, które już potrafiła nazwać. Patrzyła na nie, jakby pochylała się nad makietą, skupiając wzrok i przybliżając wybrane cele.

Setki par oczu, suma wyostrzonych zmysłów wszystkich stworzeń atakujących i obserwujących pozycje ludzi, dostarczały jej do przetworzenia olbrzymią ilość danych.

Nieco wcześniej, zanim Lena i jej przyjaciele dotarli pod kompleks świątyń, Matka wypuściła pierwszą falę swojego ogromnego stada. Od razu zaatakowała fortyfikacje ludzi z każdej możliwej strony. Jednak zgodnie z jej przypuszczeniami zwierzęta szybko padały, często nawet nie dobiegając do ustawionych zasieków. Na otwartym polu miały niewielkie szanse, niezależnie od ich liczby i masy uderzeniowej – siła rażenia najemników Rittnera była w tym wypadku większa. Obrona nie przepuściła przez barykady ani jednego stworzenia.

Matka nie była tym zaskoczona. Ten pierwszy atak miał na celu tylko wyeksponowanie pozycji obronnych wroga, sprawdzenie, gdzie znajdują się ludzie, ilu ich jest i jakim dokładnie arsenałem dysponują. Gdy się tego dowiedziała, Matka poznała też ich słabe punkty.

Dlatego wstrzymała atak. Zwierzęta miały za zadanie raz po raz się pokazywać, przemykać przed pozycjami obronnymi wroga, podtrzymywać napięcie w jego szeregach, nękać małymi grupami. Zamiast wysłać je do pełnego szturm, przegrupowała swoje stado, tworząc kilka mniejszych, i wydała im odpowiednie rozkazy.

Zaraz potem Matka ruszyła przed siebie, wchodząc w las, daleko między drzewa. Wiedziała, że zaledwie kilkaset metrów przed nią jest piramida Kukulkana, pod którą, w tajnej komnacie, nieodnalezionej jeszcze przez tych głupich ludzi, spoczywał ukryty ostatni z jej artefaktów. Była już tak blisko, mogła przekopać się do niego pod ziemią, jednak nie zamierzała tego robić. Nie będzie uciekała się do tak niecnego podstępu, o nie. Pójdzie po niego dumnie przez pole bitwy, depcząc swoich wrogów z wysoko uniesioną głową. Niech ją zobaczą w pełnej krasie, a ci, którzy przeżyją, niech zapamiętają tę chwilę i przekażą ją potomnym ku przestrodze.

Strzelcy wyborowi stale monitorowali granicę dżungli, raz po raz posyłając jakies zwierzę na tamten świat. A mieli w czym wybierać. Ludzie czuli, że zwierzęna ich osacza, widzieli cienie przemykające między drzewami. Jednak twardo tkwili na swoich posterunkach.

Matka przeszła jeszcze kilkanaście metrów, cały czas słysząc pojedyncze wystrzały, czując strach, ale też jakąś ponurą determinację docierającą do niej z linii obrony ludzi.

Wreszcie uznała, że miejsce jest odpowiednie. Zatrzymała się i ukucnęła. Bestia, która cały czas wiernie kroczyła przy swojej pani, również stanęła, ale tym razem nie patrzyła na Matkę. Potwór rozglądał się wokół, szukając najmniejszych oznak zagrożenia. Tak samo jak stado czarnych panter i jaguarów – kilkanaście potężnych kotów, tworzących jej przyboczną gwardię.

Ukucnąwszy, Matka powoli wsunęła dłonie w ziemię, przebijając się przez wilgotną ściółkę, jakby wkładała je w worek z ziarnem. Szybko wokół jej rąk zaczęła się formować delikatna, zwiewna mgiełka, która tym razem, zamiast rozchodzić się wokół – jakby wsiąkała w glebę. Oczy uciekły Matce w tył głowy, a usta miarowo poruszały się w rytm recytowanych słów. Wyglądała teraz jak demon, jak zjawą zesłana z zaświatów po to, by nieść śmierć i pozogę.

I tym właśnie była.

– ...htija fe'ren ah net bhugar, hrija fe'ren karhote qurri'ga...

Mgły było coraz więcej, uchodziła w ziemię, jakby zasysało ją jakieś urządzenie o potężnej mocy. Bestia w pewnym momencie poczuła, jak ziemia zadrżała.

Matka szeptała jeszcze przez chwilę, aż nagle... przestała. Otworzyła oczy, wstała i ruszyła przed siebie, zwieszając posępnie głowę, trochę tak, jakby coś się jej nie udało. Bestia dobrze ją знаła i wiedziała, że Matka aż się gotuje w środku z wściekłości, wywołanej nie tyle niepowodzeniem, co raczej pragnieniem spotkania ze zniechęconym wrogiem. Niemniej Bestię zaskoczyło, że po tak długim zakłęciu nic specjalnego się nie wydarzyło.

Po przejściu parunastu metrów Matka ruszyła truchtem, zwinnie przeskakując przez poprzewracane drzewa, schylając się pod grubymi konarami i omijając śliskie głązy. Bestia popędziła za swoją panią, a dzikie koty zerwały się w ślad za nimi, przemykając przez listowie niczym upiory. Daleko między drzewami zamajaczyły szare kontury kompleksu Chichén Itzá.

Nagle jednak Matka zatrzymała się i spojrzała na Bestię. Patrzyła głęboko w jej czarne ślepie. Potwór spostrzegł, że naszyjnik Matki rozjaśnia się karmazynowym blaskiem i sekundy później poczuł, jak przepelnia go moc. Jak rośnie jego siła i szybkość, jak wyostrzają mu się zmysły. Usta Matki rozchyliły się, wyszeptała kilka niezrozumiałych dla ludzi słów, a umysł Bestii wypełniły obrazy tłumaczące to, co miała uczynić.

Źrenice Bestii rozszerzyły się z podniecenia. Potwór odwrócił się i bezszelestnie pomknął w dżunglę, wypełnić wolę swojej pani.

– Ruch na dwunastej, centralnie przed nami. Trzysta metrów, zbliża się. Wiele jednostek.

Rittner pochylił się nad polowym komputerem, na którym teraz wyświetlała się zielona siatka radaru. Zbliżał się na nim do ich pozycji stożkowaty kształt, przypominający klasyczny klin. Mężczyzna uśmiechnął się pod wąsem. No tak, w sumie to czego innego się spodziewać po tak starej i niedoświadczonej w walce istocie? Z jednej strony szkoda mu było, że tak szybko to wszystko się skończy, z drugiej jednak – nie

chodziło przecież o finezję, tylko o wynik. A ten mógł być tylko jeden.

– Niech A-10 leć od południa i zrzuć ładunki – rozkazał beznamiętnie.

Operator wydał kilka szybkich komend i wystukał coś na klawiaturze komputera. Rittner w międzyczasie podszedł do zasieków i przez lornetkę spojrzął na miejsce, w którym spodziewał się ujrzeć Matkę, czy jak tam ją nazywał mnich.

Mężczyzna znajdował się teraz w świątyni Kukulkana, na samym szczycie piramidy. W czterech wąskich wejściach, zabezpieczonych drutem kolczastym, rozlokowano stanowiska snajperów i ciężkich karabinów maszynowych. Dach również był zabezpieczony tak, żeby jakieś stado ptaków nie zdołało zaatakować z góry. Świątynia, w której niegdyś władcy przyglądali się krwawemu składaniu ofiar, była teraz centrum operacyjnym Rittnera. W pozostałych budowlach całego kompleksu także zorganizowano tego rodzaju stanowiska, a na największej piramidzie znajdowały się jeszcze gniazda na poszczególnych poziomach. Poza tym na otaczającym ją polu stało kilkanaście wozów pancernych i czołgów, ubezpieczających się nawzajem. Między nimi dziesiątki najemników ukrywało się za workami z piaskiem, przenośnymi barykadami ze stali i drutu kolczastego, głazami. Część terenu była zaminowana, w niektórych miejscach wykopano też rowy, które miały utrudnić szturm rozpędzonej zwierzynie.

El Castillo stało się fortecą, mającą niebawem spłynąć setkami litrów krwi.

I miało to nastąpić nawet szybciej, niż zaplanował to sobie Rittner.

– Kontakt, liczne cele – zakomunikował nagle jeden z najemników, najprawdopodobniej któryś snajper.

Peta natychmiast podjął działanie.

– Co widzisz, melduj!

– Zwierzęta, wiele sztuk. Wiele drobnicy, duże małpy, ale i tygrysy.

– Coś jeszcze? – zapytał potężny najemnik, poprawiając przewieszony przez ramię ciężki granatnik. Na drugim miał strzelbę samopowtarzalną, śrutówkę, która mogła jednym strzałem zabić lub poważnie zranić kilkanaście zwierząt.

– Nic więcej nie ma... O kurwa, a co to ma być? – Snajper urwał gwałtownie. Nie było najmniejszych wątpliwości, co też ujrział.

– Mamy ją. Jest kontakt – powiedział Peta, a w jego oczach pojawił się błysk.

– Kiedy będą A-10?

– Piętnaście sekund.

– Doskonale. Ostrzelać, niech nie podchodzi za blisko.

– Tak jest.

Peta wydał krótki rozkaz swoim ludziom. Odezwały się karabiny maszynowe, moździerze, nawet czołgi wystrzeliły kilkukrotnie, kierując potężną siłą ognia w jedno miejsce.

Matka jednak, widząc, co się święci, zdążyła utworzyć wał obronny. Oczami swoich dzieci widziała, jak ludzie unoszą broń, pociągają za spusty, zaciskając z podniecenia zęby. Przygotowana na to, sięgnęła po energię wydobywającą się z ziemi i uformowała olbrzymi wał, unoszący się teraz przed nią na wysokość prawie pięciu metrów i o grubości ponad sześciu. Zatrzymał on znakomitą większość pocisków, niektóre jednak zdążyły przelecieć i poczynić szkody w jej przybocznej gwardii. Czują na

sobie podmuchy ognia i fale wywołane eksplozjami, widziała, jak zwierzęta i drzewa stają w płomieniach.

Krzyknęła z wściekłością i rozkazała ptactwu ruszyć do ataku.

W całym tym bitewnym zgiełku, do którego podrywała także swoich podniebnych poddanych, oczami jednej z papug zobaczyła szybko rosnące na horyzoncie kształty, dwie wąskie kreski, które powiększały się bardzo, bardzo szybko.

Kilka sekund później niebo nad jej głową przecięły dwa myśliwce bojowe typu A-10 Thunderbolt, nazywane niszczycielami czołgów. Przeleciały, ale nic szczególnego się nie stało, oprócz tego, że wypadło z nich kilka cylindrycznych przedmiotów, które bezwładnie zaczęły opadać. Gdy tylko pierwszy z nich zetknął się z ziemią, okazało się, że jest pełen gorącego powietrza i ognia tak piekielnego, jakby pochodził wprost z samego wulkanu.

Matka otworzyła oczy z przerażenia i krzykiem próbowała ostrzec swoje dzieci, lecz było na to za późno. Wybuch napalmu pochłonął dziesiątki metrów kwadratowych lasu i wszelkiego życia, które się w nim znajdowało. Zwierzęta ginęły, piszcząc i kwiląc z bólu, desperacko rzucając się do ucieczki. Trwało to zaledwie kilka sekund. Matka wiedziała, że nie może pozwolić na kolejną taką rzeź.

Czas jakby zwolnił. Widząc, jak spadają trzy kolejne bomby, ukucnęła i pchnęła olbrzymią ilość energii w ściółkę leśną, a ta przeniknęła przez nią i pomknęła w dół, aby wypełnić rozkazy swojej pani. Oby tylko okazały się słuszne.

Po chwili pod spadającymi bombami otworzyła się ziemia, tworząc trzy szerokie i głębokie na kilkadziesiąt metrów kominy. Kilka wolniejszych i nieporadnych zwierząt wpadło do nich, jednak te nieliczne ofiary były niewielką ceną w porównaniu do setek, które mogłyby zginąć. Gdy tylko pociski spadły do stworzonych przez Matkę kominów, ta kolejnym rozkazem natychmiast je zamknęła. Chwilę później w trzech różnych miejscach ziemią wstrząsnęły niewielkie tąpnięcia.

– Co... jak... – Peta nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. To było przecież tak olbrzymie uderzenie, tyle ognia, tyle amunicji, wszystkiego... a wyglądało na to, że ledwie nadszarpnęli siły przeciwnika. Rittner natomiast stał i przyglądał się Matce bez słowa. Widział ją z takiej odległości po raz pierwszy. Łapczywie prześlizgiwał się wzrokiem po jej bluszczowym pancerzu, po dziwnej koronie na głowie. Patrzył na to nienaturalnie duże ciało, czując, jak w dół po plecach spływa mu zimna, nieprzyjemna kropla potu.

Matka bowiem dobrze wiedziała, że on na nią patrzy, dlatego też uśmiechnęła się drapieźnie, pochyliła jednocześnie głowę i wprawiając w ruch koraliki we włosach, powiedziała:

– Teraz ja.

Wypowiedziała te słowa czystą angielszczyzną, licząc na to, że obserwujący ją ludzie wyczytają je z ruchu jej warg i że wprowadzi to do ich małych serc jeszcze większy niepokój.

I najwyraźniej jej się udało. Gdy Rittner zaczynał pojmować grozę sytuacji, brać pod rozwagę przypuszczenie, że może jednak przecenił swoje możliwości i nie zabezpieczył bazy wystarczająco dobrze, a właściwie to że dość poważnym i tragicznym

w skutkach błędem mogło być samo pojawienie się tutaj, wtedy poczuł pierwsze tapnięcie ziemi. Było tak silne, że aż się zachwiał, chwytając się rękoma ściany. Z sufitu posypały się drobne kamienie, na murach i w podłodze pojawiły się nieregularne pęknięcia, biegnące gdzieś od dołu i wijące się ku górze. Wokół rozległy się przekleństwa.

Niektórzy najemnicy wstrzymali ogień, zaskoczeni tym nagłym wstrząsem. Rittner wyczuł, że nie było to zwykłe trzęsienie ziemi, ale w swoich przypuszczeniach nie był sam. Wszyscy byli zaskoczeni, z otwartymi ustami i tępych minami wymalowanymi na twarzach rozglądali się wokół. Chaotycznie wymachiwali bronią we wszystkie strony i rozstawiali szeroko nogi, aby się nie przewracać. Zupełnie jakby dryfowali na lodowej krze.

Trwało to zaledwie kilkanaście sekund, gdy nagle ziemia na środku placu wystrzeliła w górę niczym olbrzymi gejzer, wypływając z siebie setki kilogramów żwiru, piachu i większych kamieni. Fontanna osiągnęła wysokość prawie trzeciego piętra i nim cięższe gązdy opadły – ukazując nowo powstały tunel o średnicy ponad dwudziestu metrów – na pole bitwy wydostały się z niego pierwsze drapieżniki. Jaguary, czarne pantery, dzikie psy, małpy i wiele innych. Wylewały się niczym woda z przepełnionej studzienki, błyskawicznie kierując się we wszystkie możliwe strony i atakując każdego napotkanego człowieka, przewracając barykady i oblażąc pojazdy niczym mrówki.

Jednak największe przerażenie budził nienaturalnie wielki biały goryl czy też niedźwiedź, który poprowadził do ataku setki innych zwierząt. Bestia wyskoczyła zwinnie z tunelu i od razu przetrąciła kark znajdującemu się najbliżej nieszczęśnikowi. Zaryczała tryumfalnie i skoczyła do przodu, łapiąc dwóch kolejnych ludzi i ciskając ich za siebie, wprost w środek tunelu, z którego wylewała się fala zwierząt. Mężczyźni nawet nie zdążyli krzyknąć.

Zwierzęta rozbiegały się wokół dziury, która cały czas rodziła nowe sztuki, wytłaczała ze swoich trzewi niekończącą się falę stworzeń. Szybko jednak okazało się, że nie była jedyna. Wokół kompleksu zaczęły wystrzeliwać w górę kolejne fontanny ziemi, rodząc nowe fale zwierząt. Jeden z tuneli pochłonął nawet cały czołg wraz z ukrywającymi się za nim najemnikami.

W fortecy Rittnera zapanował chaos.

Ludzie krzyczeli i strzelali na oślep, nierzadko trafiając w siebie nawzajem. Peta również nie stał beczynnym, oddając głuche strzały ze swojego granatnika. Celował w jeden z tuneli, posyłając weń pocisk za pociskiem. Wokół fruwały fragmenty ciała, wybuchały fontanny krwi, a oczy mężczyzny błyszczały z podniecenia.

W ruch poszły granaty, miotacze ognia, ciężkie karabiny maszynowe, wszystko, co ludzie mieli pod ręką. Cały jednak sprzęt był zamontowany tak, aby bronić wejścia na teren kompleksu. Lufy zwyczajnie były skierowane nie w tę stronę, co trzeba.

I najemnicy obsługujący ciężkie karabiny tracili cenne sekundy, aby zmienić ich ustawienie.

Sekundy, które wystarczały Bestii na pokonanie kilkunastu metrów, wyskok i wbięcie potężnych łap w odwróconych plecami najemników. Sekundy, które wystarczały diabelnie szybkim jagurom na dobiegnięcie do operatora karabinu, który akurat prze-

stawiał swoją broń na drugą stronę barykady.

O powodzeniu lub klęsce bitwy często decydują takie właśnie sekundy, w których człowiek boleśnie sobie uświadamia, że schrzanił sprawę, ale nie ma już czasu na naprawę swojego błędu.

A najemnicy Rittnera odczuli to nad wyraz boleśnie.

Obserwujący tę masakrę z góry Rittner zauważył, że na domiar złego z kolejną falą zwierząt do natarcia przystępuje sama Matka. Mężczyzna poczuł się totalnie bezradny i mały. Mógł walczyć, ale jego klęska była tylko kwestią czasu i zdawało się, że zaczynało to do niego docierać.

Zaciskająca mocno szczęki Matka była tego doskonale świadoma.

– O Boże, o Jezu – powtarzała niczym mantrę Kryśka, chociaż żaden z wywołanych do tablicy nie raczył stawić się na wezwanie.

– Zamknij się, daj pomyśleć! – syknęła Lena.

– Nad czym ty chcesz myśleć, pojebało cię? Spieprzajmy stąd! – wtrącił Longer, wyglądając raz po raz przez okno.

Chris w tym czasie siedział i przyglądał się Sarze. Jej spojrzenie i wyraz twarzy mówiły same za siebie.

– Chcesz tam pójść, co nie?

Mimo panującego wokół zgiełku doskonale usłyszała to pytanie.

– Nie mam innego wyjścia – powiedziała, kierując na niego poważne spojrzenie niebieskich oczu.

– Zginiesz.

Powiedział to beznamiętnie, po prostu stwierdzając fakt. Jak na autostradzie wejdiesz pod rozpędzoną ciężarówkę, zginiesz. Tu nie było większej filozofii. Sara jednak albo nie zdawała sobie z tego sprawy, albo w pełni świadomie to ignorowała.

– Może. A może nie. Ale muszę spróbować.

– Nawet nie wiesz, dokąd masz iść!

– Wiem – odpowiedziała i wskazała ręką na piramidę Kukulkana.

Wokół toczyły się walki i było pełno dymu, jednak udało jej się dostrzec pewien szczegół.

– Zobacz, jeden z tuneli otworzył coś przy piramidzie. Patrz – dodała, podając mężczyźnie karabin z lunetą. Chris spojrział przez nią, starając się zlokalizować to miejsce. I gdy wreszcie je dostrzegł, chcąc nie chcąc musiał przyznać Sarze rację. Wyglądało tak, jakby osuwająca się ziemia odsłoniła zasypane wcześniej wejście.

– Myślisz, że to...

– Tak – odpowiedziała stanowczo dziewczyna.

Mężczyzna milczał przez chwilę.

– Jak chcesz to zrobić? Przecież zanim tam dojdziemy, albo coś nas zeżre, albo nas wystrzelają.

– Są zajęci sobą – wtrącił Daniel. – Możemy spróbować prześlizgnąć się po cichu, nikomu nie rzucając się w oczy. Krótkie skoki od budynku do budynku, wiecie.

Mamy ich tu ze... – przerwał i wyrztał przez okno, by szacować drogę. – No ze trzy, cztery. Nie wiem, co jest za tamtym najdalszym budynkiem, ale powinno się udać. Mamy szansę.

Chris spojrzął na Sarę i już wiedział, jakie jest jej stanowisko.

– Idę – powiedziała, ruszając w stronę drzwi.

– Poczekaj, idę z tobą – rzuciła Lena. Podeszła do Sary i popatrzyła skupionym wzrokiem na teren przed nimi. Co parę sekund albo przebiegał jakiś człowiek, albo zwierzę, czasem odbijała się od muru jakaś zabłąkana kula lub też cała seria. Nie było w tym absolutnie żadnej konsekwencji. Kolejna walka, w której można było zginąć, jeszcze zanim się do niej na dobre wkroczyło.

– Nie musisz... – zaczęła Sara, ale Lena bezceremonialnie jej przerwała.

– Wiem. I muszę. Idziemy.

Dziewczyna miała zdeterminowany, stanowczy wyraz twarzy. Sara nie zamierzała jej powstrzymać, w głębi duszy ciesząc się, że będzie miała towarzyszkę. Może lżej będzie umierać.

– Dobra, miejmy to już z głowy.

Daniel dość bezczelnie przepchnął się obok Sary i wyrztał na pole bitwy.

– Prowadzę. Krótkie odcinki, od budynku do budynku. Lecimy pojedynczo.

– Ja zamykam.

Sara spojrziała na Chrisa, który skończył przeładowywanie karabinu, zarepetował go i umieścił kolbę w dołku strzeleckim.

– No nie patrz tak na mnie, przecież się zgubisz, jak ci drogi nie pokażę. Albo jakieś kangury cię zaatakują, czy kto wie co jeszcze.

– Tu chyba nie ma kangurów.

– Ehe, jasne. Pogadaj o tym z naszą nową przyjaciółką – odparł i kiwnął głową w stronę dżungli.

– Lencia, kochanie, ty wiesz, że ja... – Kryśka też włączyła się do rozmowy.

– Wiem. Ale ktoś musi tu zostać i nas osłaniać, żeby nic nie zaszło nas od tyłu. –

Lena ułatwiła sprawę przyjaciółce.

Okazało się, że Longer również przyjął to zadanie z ochotą.

– Zostaniemy tu, wejdziemy gdzieś wyżej i będziemy was osłaniać.

Daniel skinął mu głową.

– Dobra, nie ma na co czekać. Lecimy.

Dotarcie do pierwszego budynku było całkiem proste. Wystarczyło przebiec jakieś dwadzieścia metrów i już. Poradzili sobie z tym bez większego problemu, nie niepokojeni przez żadne żywe stworzenie. Problemy jednak zaczynały się przy przejściu między kolejnymi budowlami, ponieważ dystans do pokonania był już znacznie większy.

– Cholera – skwitował krótko Daniel, oceniając najkrótszą trasę, jak i to, co działo się wokół niej.

Miał przed sobą puste pole, prowadzące do murów kamiennej budowli. Na jej szczycie znajdowało się gniazdo ciężkiego karabinu maszynowego, którego lufa wskazywała w niebo. Po murze spływała krew, co dodatkowo sugerowało, że było

ono opuszczone. Obok budowli raz po raz przebiegało jakieś zwierzę.

– Nie wygląda to zbyt dobrze, będziemy widoczni jak na dłoni.

– Nie mamy wyjścia – stwierdziła Sara.

– Może jakoś naokoło? – próbował znaleźć rozwiązanie Chris, rozglądając się jednocześnie za alternatywną drogą.

– Zanim przelecimy naokoło, to Matka już dawno zdąży wejść pod piramidę – zażyła przytomnie Lena.

Przez chwilę zastanawiali się, co robić dalej. W tle cały czas toczyły się walki, do ich uszu stale docierały wystrzały, wybuchy, odgłosy ranionych zwierząt i krzyki ludzi.

– Jest jeszcze jeden problem.

Wszyscy spojrzeli niezbyt przychylnym wzrokiem na Chrisa. Ten natomiast, zamiast wchodzić w jakąkolwiek polemikę, po prostu skinął głową w stronę piramidy Kukulkana.

– No tam idziemy. I co? – zapytała Sara, nie bardzo rozumiejąc, co przyjaciel ma na myśli.

– Na szczycie ktoś siedzi. Pewnie Rittner ze świtą. Jak nas zobaczą, a zobaczą na pewno, to serdecznie nas pozdrowią.

– Cholera jasna. Ktoś ma jakiś pomysł?

– Poczekaj... – powiedziała Lena, unosząc w górę dłoni.

Trzymała ją zawieszoną w powietrzu, jakby się na coś szykowała.

– Czekajcie... jeszcze chwila...

Pozostali patrzyli na nią zdziwieni, jednak Lena nie zwracała na nich uwagi. Stali nieruchomo, nie wiedząc, o co może chodzić. Po prostu czekali.

– Teraz! – krzyknęła i rzuciła się biegiem przed siebie.

Nie zastanawiając się nad tym, co robią, ruszyli pędem za Leną. I szybko zrozumieli dlaczego. Dziewczyna odczekała, aż olbrzymie stado ptaków nadleci i zakryje szczyt piramidy. Przebiegli kilkadziesiąt metrów, gdy z gniazda Rittnera ze wszystkich stanowisk buchnęły płomienie.

– Szybko! – ponaglała towarzyszy Lena.

W pewnym jednak momencie Chris, biegnący z tyłu, gwałtownie się zatrzymał. Uniósł broń i oddał strzał do pędzącego w jego stronę konia. Puścił mu serię prosto w łeb, zabijając zwierzę na miejscu. Jego cielsko ciężko upadło, wznosząc tuman kurzu. Zanim koń padł na ziemię, wybiegły zza niego dwie mały, sadząc długie susy wprost na Chrisa.

– Daniel! – krzyknął mężczyzna, strzelając dalej. Naraz jedna z małych przewróciła się, bryzgając krwią. Ułamek sekundy później druga również padła, ale z całą pewnością nie trafił jej Daniel. Chris spojrział na niego, ale mężczyzna był znacznie dalej. Pewnie nawet nie usłyszał jego wołania. Wtedy też Chris popatrzył za siebie i uniósł dłoń w kierunku Longera. Tamten z daleka odpowiedział mu tym samym.

Chwilę później wszyscy znaleźli się przy murze kolejnej budowli. Do piramidy zostało już naprawdę niewiele. Adrenalina kipiała w ich żyłach tak intensywnie, że aż powodowała ból głowy. Wszyscy rwali się do dalszej akcji, zupełnie nie zastanawia-

jąc się nad zagrożeniem.

– Za tamten wóz, szybko, potem od głazu do głazu. Dobiegamy pod mur i prosto do dziury, jasne? – zarządziła Sara, a pozostali energicznie przytaknęli. Nie mieli tu zbyt dużego pola manewru, nie bardzo było co planować. Musieli po prostu biec ile sił w nogach i wierzyć, że dotrą do celu w jednym kawałku.

Ruszyli.

Pokonali zaledwie kilkanaście metrów, gdy Lena spostrzegła, jak biegnący przed nią Daniel dosłownie znika, jakby zmiotła go ciężarówka, odrzucając ciało na bok. Mężczyzna nawet nie zdążył zareagować, gdy czarna pantera rzuciła się na niego, obaliła i z furią zaatakowała. Lena błyskawicznie uniosła broń i licząc na to, że nie trafi Daniela, oddała kilka strzałów w pięknego kota o lśniącej sierści. Trafiona pantera zvaliła się ciężko obok swojej ofiary.

Tych kilka sekund wystarczyło jednak, by drapieżnik zrobił swoje.

Sara kiedyś doświadczyła podobnego ataku, dlatego też doskonale wiedziała, do czego taka bestia jest zdolna. Dziki kot pokazał niestety, na co go stać.

– Jezu, Daniel, żyjesz? – zapytała Lena, podbiegając do krwawiącego mężczyzny. Zwierzę zatopiło kły w jego szyi, szczęśliwie omijając jednak tętnicę. Jego ramiona i klatka piersiowa były podrapane i poszarpane, rany miał także na udach i brzuchu. Gdyby Lena spóźniła się z reakcją o dwie, trzy sekundy, z Daniela nie byłoby co zbierać.

W odpowiedzi mężczyzna splunął krwią. Jego rozbiegane oczy świadczyły o tym, że cały czas był w szoku. Ale żył.

– Biegnijcie, ja się nim zajmę – powiedział Chris, dobiegając do leżącego.

Lena spojrzała na niego zaskoczona. Sara w tym czasie rozglądała się wokół, co chwila pociągając za spust swojego karabinu.

– Spierdalajcie. Już! Ukryję go gdzieś, zabiorę stąd. Biegiem! – wykrzyczał Chris, a Lena, cały czas będąc w szoku, tylko pokiwała twierdząco głową. Czuła żal i strach, które towarzyszyć jej miały jeszcze bardzo, bardzo długo.

Wstała, złapała Sarę za ramię i obie, nie oglądając się za siebie, popędziły w stronę otwartego tunelu.

Po chwili stały już nad nim. Czujnie zajrzały w olbrzymią wyrwę w ziemi, ale szczęśliwie nie było w niej żadnych zwierząt. Skalny tunel u podstawy północnej ściany piramidy Kukulkana prowadził stromo w dół, szybko ginąc w mroku. Nie miał gładkich ścian, na dół wiodły kamienne stopnie, tyle że kilka pierwszych było zasypanych ziemią i gruzem. Dziewczyny bez wahania weszły do środka i gdy tylko pokonały pierwsze metry, od razu zrobiło się ciszej i zdecydowanie chłodniej.

– Poczekaj – powiedziała nagle Sara, wyciągając z kieszeni czołówkę.

Lena zrobiła to samo.

– Dobra, teraz szybko na dół.

Ruszyły, bojąc się tego, co mogło tam na nie czekać, jak i tego, co mogło za nimi podążać. Zagłębiały się jednak coraz niżej, miarowo pokonując kamienne stopnie i zostawiając bitewny zgiełk za sobą. Tunel był bogato zdobiony – zarówno ściany, jak i sufit pokrywały kamienne płaskorzeźby Majów, jednak nie miały czasu ich po-

dziwiać. Musiały iść przed siebie, nie bacząc na to, co mijają po drodze. Zwłoka oznaczać mogła pewną śmierć.

Dopiero na tym etapie Sara zaczęła się zastanawiać, co dalej. Jeżeli nawet znajdą tam artefakt Matki, to co z nim zrobią? Mnich ewidentnie przed tym przestrzegał, podkreślał, że człowiek nie byłby w stanie udźwignąć jego potęgi. To jak, do cholery, miały go przenieść? Nie dotykając? Jak miały go stamtąd zabrać, gdzie ukryć? Może będzie schowany w jakiejś skrzyni? Jak on w ogóle mógł wyglądać? – w miarę schodzenia w głowie dziewczyny rodziły się coraz to nowe pytania.

Tunel, cały czas biegnąc w dół, skręcał kilkakrotnie w prawo, jakby był olbrzymią, spiralną klatką schodową. Po kilku takich zakrętach odgłosy bitwy stały się ledwo słyszalne. Teraz słychać było jedynie kroki i oddechy dziewczyn, które raz po raz wymieniały wystraszone spojrzenia, próbując dodać sobie odwagi. Światło czołówek prześlizgiwało się po kamiennych rzeźbach przedstawiających potwory, paskudne maski i walczących wojowników, otoczonych niezrozumiałymi liniami i symbolami.

Po pewnym czasie doszły do końca tunelu. Ujrzały pomieszczenie, do którego wkroczyły bez zbędnego wahania. Co ma być, to będzie, pomyślała Lena. Na tym etapie i tak już nie było odwrotu.

Znalazły się w niewielkiej kwadratowej sali. Podłoga była gładka, jakby ze szlifowanego kamienia. Ściany pokrywały podobne rzeźby do tych, które widziały w tunelu. Na środku znajdował się kamienny postument o wysokości około metra i średnicy pół metra. Leżała na nim kupka kamieni.

Sara i Lena rozejrzały się zdezorientowane.

– To... co? Nic nie ma? Żadnej skrzyni, nie wiem, kufra? – zapytała Sara, podchodząc do jednej ze ścian. Zaczęła jej dotykać, jakby szukała jakiegoś guzika czy ukrytej dźwigni. Przecież na filmach zawsze tak bywa.

– No nie wiem! Szukaj, pewnie jest jeszcze jakieś tajne przejście – powiedziała Lena i podeszła do postumentu. Przyjrzała mu się uważnie, okrążyła go dwukrotnie. Nie zawierał żadnych innych znaków, poza takimi, jakie już widziały na ścianach. Gdy tak stała przy postumencie, nagle rozległ się ryk tak potężny, że poczuła, jak jej serce na chwilę przestaje bić. Natychmiast kucnęła.

Zobaczyła, jak od strony schodów nadchodzą koszmary z jej wizji i stają przed nią w pełnej krasie. Bestia, której ryk o mało nie przyprawił Leny o zawał serca, szła na czterech łapach, pochylając umazany krwią łeb i szykując się do skoku. Jednak to istota idąca za nią, dumnie prostująca się teraz Matka, sprawiała stokroć bardziej przerażające wrażenie. Wyglądała jak bogini zemsty. Potężna, z pulsującym szaleństwem w oczach, cała we krwi. Wchodziła do komnaty, ciężko dysząc. Lena zobaczyła, jak kilka pocisków wypada z jej ciała, z głośnym łoskotem upadając na posadzkę.

Kobieta patrzyła na Lenę z wściekłością i już otwierała usta, aby coś powiedzieć, gdy jej wzrok spoczął na dłoni dziewczyny, opartej na postumencie, tuż obok leżących na nim kamyków. I wtedy w jej oczach pojawił się strach.

Dziewczyna patrzyła ze zdziwieniem na reakcję Matki.

Nie zdążyła sobie uświadomić jej strachu, nie zdążyła pomyśleć o zemście. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Zdążyła tylko zauważyć, jak Matka rzuciła się

desperacko w jej stronę.

Potem czas zwolnił, choć tak naprawdę bardzo przyspieszył.

Kamyki jakby ożyły. Wystrzeliły w kierunku ręki Leny i zaczęły krążyć wokół niej, orbitując niczym księżycy wokół planety, przyciągane doń jakąś niewidzialną siłą.

Jednak to nie wszystko.

Dziewczyna poczuła falę energii o niewyobrażalnej sile, która ją przepełniła. Przeszyła ją na wskroś moc, która uśmiercała ją i rodziła w każdym ułamku sekundy, setki razy od nowa. Wszystko, czego doświadczyła podczas dotychczasowych wizji, było niczym, zaledwie pyłem na wietrze, w porównaniu do mocy, którą poczuła teraz. Cierpiała katusze i przeżywała niewyobrażalną rozkosz jednocześnie, chociaż nie trwało to nawet sekundy. Lena chciała krzyczeć, ale w płucach nie miała powietrza.

Powietrza.

Ta jedna myśl przechodząca przez jej umysł była wyraźniejsza od pozostałych. To jedno słowo.

Powietrze.

Lena wystrzeliła myślami daleko przed siebie, wyleciała korytarzem przed piramidę, a potem wysoko w niebo, aż do granicy atmosfery.

Czuła powietrze.

Była powietrzem.

Była wiatrem, była burzą, mrozem i śniegiem. Czuła prądy powietrzne, widziała wahania temperatur i linie frontów atmosferycznych. Na całej planecie, jakby miała przed sobą aplikację komputerową, tylko podłączoną bezpośrednio pod jej mózg. Kontrolowała pogodę. Mogła w parę chwil przywołać tornado, wywołać tsunami lub zasypać ziemię tysiącem piorunów. Na życzenie mogła sprawić, że morze wyparuje, a ocean zamarźnie.

Nie była tego świadoma, ale jej ciało, znajdujące się na ziemi, unosiło się kilka centymetrów nad podłogą.

A minęły zaledwie dwie sekundy, odkąd kamienie ruszyły, oplatając jej nadgarstek.

Lena otworzyła oczy i zobaczyła Matkę wyciągającą rękę po kamienie – było na to jednak za późno. One już orbitowały wokół Leny, która wiedziała, że dzięki ich mocy może unicestwić Matkę, zanim ta cokolwiek poczuje.

Gdy o tym myślała, Matka dotknęła jej ramienia.

I świat Leny znowu zawirował, lecz tym razem inaczej.

Nie przepełniała jej już ta sama siła i nie czuła dominującej mocy.

Przepełniały ją natomiast emocje.

Przez umysł dziewczyny przewinęły się tysiące obrazów, miliony ujęć i scen. Wypełniły go wydarzenia i wszystko to, co widziała i odczuwała. Lena przez kilka sekund stała się jakby kopią Matki – rozumiała i postrzegała świat tak samo jak ona. Była wstrząśnięta faktem, że jakiegokolwiek stworzenie jest w stanie postrzegać otaczającą je rzeczywistość tak kompleksowo i na tak wielu poziomach. Że cokolwiek jest w stanie pojąć tak skomplikowane relacje.

W obrazach Lena widziała miliardy ludzi tłoczących się na wielkich placach, miliony samochodów na szerokich ulicach. Czowała smród spalin i swąd dymu unoszącego się z fabrycznych kominów, sięgające do gwiazd. Niemalże fizycznie czuła ciężar niepoliczalnych ton śmieci zalegających na plażach, w lasach i na polach oraz plastiku dryfującego po morzach i oceanach. Odczuwała je na własnej skórze, jak wrzód, z którym nie sposób żyć. Miała wrażenie, że swędzi ją całe ciało, że się dusi, że płuca palą ją od gryzącego dymu. Traciła ostrość widzenia, nos palił ją w środku od gorącego powietrza. Czowała się tak, jakby trawiła ją śmiertelna choroba, jakby naraz dostała wszelkich możliwych chorób, nowotworów, udaru i trądu.

Gdzieś przez tę całą barierę z sadzy, oleju i dymu ledwo przebijała się zieleń i obraz takiej Ziemi, jaką niegdyś była. Jaką stworzyła Matka, a ludzie prawie zniszczyli.

I wówczas Lena zrozumiała postępowanie Matki. Zapomniała o zemście – zastąpiło ją poczucie wstydu, które zmiażdżyło świadomość dziewczyny niczym buldożer miażdżący młode drzewka.

To oni byli temu wszystkiemu winni.

Lena, Sara, Chris, Daniel. Rittner. Jej matka, jej przyjaciele, znajomi. Wszyscy. Byli zarazą, chorobą toczącą Ziemię, szarańczą pożerającą piękny ogród Matki. Intruzami, którzy nie potrafili uszanować gościny i zdeptali dywan gospodarza ciężkimi, budowlanymi buciorami.

Lena otworzyła usta, a jej brudne od kurzu policzki przecięły strużki łez.

Minęła piąta sekunda.

Matka zdjęła z niej rękę, szykując się do walki, jednak wtedy stało się coś, czego zupełnie się nie spodziewała. Dziewczyna nie zaatakowała. Patrzyła na nią łagodnie swoimi zielonymi, mokrymi od łez oczami. Już się nie bała. Matka, zaskoczona taką reakcją, czekała w niepewności.

A Lena chwyciła orbitujące wokół jej prawej ręki kamyki i po prostu oddała je Matce, wbijając przy tym wzrok w ziemię, jak dziecko oddające rodzicowi podebrane drobniaki.

Ta przyjęła podarunek z nieskrywanym zaskoczeniem, nie spodziewając się takiego obrotu spraw. Łapczywie chwyciła kamienie i umieściła je w odpowiednim miejscu.

Idiotka, pomyślała Matka, czując, jak przepęlnia ją moc i znowu zaczyna być sobą. Pełna, kompletna. Doskonała. Uśmiechnęła się upiornie i uniosła kilkanaście centymetrów nad ziemię, prawie dotykając głową sklepienia. W mgnieniu oka mogła przywołać każdy kataklizm lub burzę, która raziłaby piorunem absolutnie każdego człowieka w promieniu kilkuset metrów.

Coś ją jednak powstrzymywało.

Coś bowiem się zmieniło.

Dlaczego to ludzkie szczenię tak postąpiło? Nie podjęło walki i nie ocaliło swojego gatunku? Dziesiątki pytań rodziły się w umęczonym umyśle Matki. I już nie przepęlniała jej tak wielka nienawiść do ludzi.

Czyżby nasyciła się już swoją zemstą? Czy gest tej płaczącej dziewczyny mógł to spowodować? Matka dobrze wiedziała przecież, że Lena nie płacze ze strachu,

a z żalu i wstydu.

Przyglądała jej się jeszcze przez dłuższą chwilę. Następnie odwróciła głowę i zerknęła na Bestię, która pilnowała przypartej do ściany Sary. Potwór nie atakował jej, a tylko pilnował. Oboje wpatrywali się w Matkę, czekając na dalszy rozwój wypadków.

Istota unosiła się jeszcze przez chwilę, po czym opadła stopami na ziemię. Spokojnie podeszła do ściany i jednym dotknięciem ręki spowodowała, że skała rozstąpiła się, ukazując tunel, znikający gdzieś głęboko w mroku.

Matka skinęła na Bestię, która w odpowiedzi ostrożnie ruszyła w kierunku tunelu. Zerkając ostatni raz na Lenę i Sarę, zastrzygła uszami i zniknęła w mroku. Matka już miała wejść za nią, ale zatrzymała się w pół kroku, jakby nagle sobie o czymś przypomniała.

Wzięła głęboki oddech i skupiła moc w swojej koronie – ta po chwili eksplodowała energią, wytwarzając taką falę uderzeniową, że aż odrzuciła obie dziewczyny na ścianę. Ciężko się przy tym poobijały, ale nie doznały poważniejszych urazów. Fala rozeszła się wokół Matki w każdą możliwą stronę, a następnie przeniknęła przez skały.

Potem Matka dłonią, wokół której unosiły się drobne kamyki, zatoczyła kilka kręgów, jakby bawiła się niewidzialną wstążką. Uśmiechała się przy tym ponuro. Gdzieś w górze uderzył nagle piorun tak potężny, że moc wyładowania elektrycznego odczuwalna była nawet tu, głęboko pod ziemią.

Następnie odwróciła się do Leny. Spojrzała głęboko w jej zielone oczy, a dziewczyna, pomimo wstydu, jaki odczuwała, nie potrafiła odwrócić wzroku. Po chwili Matka skinęła jej głową i wkroczyła do tunelu, który zamknął się zaraz za nią.

Tymczasem kilkadziesiąt metrów wyżej, w świątyni Kukulkana, zwęglone zwłoki Rittnera bezwładnie osunęły się na podłogę.

Lena nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, zanim Sara się do niej podczołgała. Minuty? Godziny? Dziewczyna przez ten cały czas siedziała pod ścianą i wpatrywała się tępym wzrokiem gdzieś przed siebie.

– Lena. Jezu, Lena, żyjesz?

Popatrzyła na Sarę, ale nie odpowiedziała.

– Coś ty zrobiła, dlaczego jej to oddałaś, dziewczyno, przecież teraz...

Sara mówiła dalej, ale Lena jej nie słuchała. Myślami była setki kilometrów stąd. Nie spostrzegła nawet pantery, która bezszelestnie wślizgnęła się do pomieszczenia, a potem powoli i cicho podeszła do kobiet. Światło czołówek odbijało się w jej niesamowitych ślepiach.

Sara w odróżnieniu od Leny aż podskoczyła na widok drapieżnika. Najgorsze było to, że jej broń leżała w drugim końcu pomieszczenia. Jak więc miała z nim walczyć, nożem?

Pantera wcale nie zareagowała na Sarę. Zamiast tego podeszła do Leny i położyła się przy niej, kładąc swój ciężki łeb na jej udzie. Sara przyglądała się temu z niedo-

wierzaniem. Umarłam albo mam przywidzenia – pomyślała. Lena natomiast zaczęła delikatnie głaskać olbrzymiego kocura, który odpowiadał na jej pieszczoty głośnym mruzeniem. ■

EPILOG

**Dziennik Skryby
Zeszyt Piąty
pismo odręczne**

Nikt nie wie, dlaczego zwierzęta oszalały. Nikt nie wie, dlaczego pewnego dnia się uspokoiły i wszystko zaczęło wracać do normy. Nie były już tak diabelnie inteligentne, nie współpracowały ze sobą jak przedtem. Nie polowały na ludzi, tylko wzajemnie na siebie. Ludzie powoli i początkowo nieufnie wracali do swoich domów.

Życie zaczynało przypominać to, jakim było wcześniej. Przed czasem panowania Matki.

Skryba odłożył długopis i zapatrzył się na zachód słońca, przecięty kluczem odlatujących na południe ptaków. Następnie pogłaskał leżące u swoich stóp psa.

Wiara, jak nazwał swoją suczkę, zamerdała wesoło ogonem i spróbowała polizać jego rękę.

Siedząca na dnie Pacyfiku Matka wpatrywała się spokojnie w przepływające wokół niej stworzenia. Bestia leżała zwinięta u jej stóp, śpiąc w najlepsze. Potwór co raz wierzgał którąś łapą, najpewniej na wspomnienie wydarzeń, które miały miejsce wiele miesięcy temu. Leżał bezpiecznie w kopule powietrza stworzonej przez Matkę.

Matka знаła już liczby. Wielokrotnie nad nimi myślała, delikatnie gładząc swój tron, znajdujący się na tak dużej głębokości, że ludzie na pewno długo jej tutaj nie znajdą. Wątpiła zresztą, żeby szukali.

Te niespełna dwa miliardy, które łaskawie pozostawiła przy życiu, miały zdecydowanie ważniejsze rzeczy do roboty.

Zobaczymy, czy z całej tej historii wyciągnęli wnioski – pomyślała, uśmiechając się. ■